PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK SZÓSTY. — TOM XXI.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1889.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1889.

WAŻNIEJSZA OMYŁKA DRUKU.

Str. 95 wiersz 27 *zamiast:* (dok~~ nast.~~) *czytaj:* (ciąg dalszy nastąpi)

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Wieża Eiffela i rok 89-ty. Przez *Ks. Maryana Morawskiego T. J.* 1

Artykuły naukowe i literackie.

Kapłańska i literacka działalność Ks. Stanisława Chołoniewskiego. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* (dok.) 17

W sprawie sądownictwa czerwonoruskiego przed r. 1435. Przez *Władysława Margasza* 39, 191

Listy krymskie księcia de Ligne (dok.) 55

Herkules Dembowski astronom. Szkic biograficzny. Przez *Dra Daniela Wierzbickiego* 72

Nasze sioło. Studyum etnograficzne. Przez *Karola Mátyása* 83, 209, 325

Szkoły ludowe w Rosyi 153

Proroctwa jako uwierzytelnienie boskiego objawienia. Przez *Ks. A. Langera T. J.* 176, 390

Z przeszłości uniwersytetu krakowskiego. Wisnka-Wistka, św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski. Przez *Dr. Władysława Wisłockiego* (c. d) 232, 362

Stronnica.

Kilka słów o genezie pedagogii. Przez *Ks. Gadowskiego* 305

Pogrobowiec Siczy Zaporozkiej. (Losy ostatniego atamana Koszowego). Fragment historyczny. Przez *Maryana Dubieckiego* 341

Rybacy. Kącik polskiej ziemi nad Bałtykiem 378

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Rządy sejmikowe w Polsce na tle stosunków województw kujawskich. Przedstawił *Adolf Pawiński. (August Sokołowski)* 96

Polacy w Hiszpanii. (1808—1812). Przez *Zygmunta Lucyana Sulimę* 105

Michał Bałucki. Szkic literacki. Przez *Czesława Pieniążka* . 106

Barbaryzmy i dziwolągi językowe. Napisał *Józef Bliziński*. 107

F. R. Bellarmin kardynał. Konferencye o rzeczach ostatecznych. Spolszczył *X.**** 108

Kwartalnik historyczny. Rocznik II. *(Aloizy Szarłowski)* . 245

O majątku kościelnym i tegoż alienacyi w stosunku do papieża. Napisał *Dr. Józef Brzeziński. (Ks. Tadeusz Gromnicki)*. 252

O lekturze domowej uczniów. Referat *Ks. Zoellera*, odczytany na zjeździe nauczycieli szkół wyższych w Krakowie 20 maja 1888, *(Ks. M. Morawski T. J.)* 254

Szkoła ludowa a Kościół w Austryi i trzy najnowsze wnioski szkolne. Napisał *Ks. Tadeusz Gromnicki* 255

Jak żywić niemowlęta i dzieci. Napisał *Dr. Józef Koszutski* 255

Marnotrawni przez autora *Biedy naszej* 256

Trzeci zakon św. Franciszka. Przez *Ks. Ségur*. Przełożył z oryginału *Wł. M.* Wydanie trzecie. — Nowenna najskuteczniejsza do Matki Boskiej nieustającej pomocy. Przez *O. Saint-Omer* Redemptorystę ułożona, a przez *O. Bernarda Łubieńskiego* przetłumaczona. Wydanie drugie. — Nabożeństwo pięciu niedziel na cześć blizn św. Franciszka 257

Z literatury kalendarzowej 257

Józef Ignacy Kraszewski, jego życie i zasługi. Skreślił *Aleksander Borucki.* Z portretem 259

Ksiądz Nykoła. Z opowiadania dyaczka spisała *Walerya Solecka* 260

P. Mahrburg *contra* celowość. Teorya celowości ze stanowiska naukowego, studyum filozoficzne. Przez *Adama Mahrburga.* Celowość w przyrodoznawstwie. Przez *Adama Mahrburga. (Ks. M. Morawski T. J.)* 406

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Apologie des Christenthums. Von *Paulus Schanz.* 109

Giordano Bruno e i suoi tempi dal p. *Luigi Previti S. J.* . 114

Stronnica.

Le Père Bouhours. Par *George Doncieux*. 119
Der heilige Peter Claver, Apostel der Neger und Carthagena's. Przez *Ks. Ferdynanda Höver S. J.* 119
Commentarius in Isajam Prophetam. *F. Knabenbauer S. J. (Ks. Augustyn Arndt T. J.)* 261
Le Rêve. Par *E. Zola*. 265
Portraits littéraires. Par *Edmond Biré*. 269
Frederic III. Par *Rennel Rood*. 271
Fillion. Biblia Sacra juxta Vulgatae exemplaria Romana, divisionibus logicis analisique continua sensum illustrantibus . 271
Biblische Archäologie. Von *Dr. Peter Schegg* Nach seinem Tode herausgegeben von *Dr. J. Wirthmüller*. II-te u. III-te Theil. *(Ks. Marcin Czerwiński)* 437

Z pism czasowych:

Historisch-Politische Blätter o katolikach austryackich 272
Duszpastyr (Душпастыръ Газета церковна). Pod redakcyą Dr. Józefa Komarnickiego 445

Rozmaitości 120, 448

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Styczeń.

Sprawy Kościoła: Kwestya wyjazdu Papieża z Rzymu. — Protesty biskupów i wieców katolickich przeciw włoskiemu kodeksowi karnemu. — Liberalne Włochy a krucyata kardynała Lavigerie. — Głosy angielskich i niemieckich protestantów. — Wzrost katolicyzmu w Anglii. — Rozprawy w parlamencie francuskim o zniesieniu ambasady przy Watykanie. — Smutne rewelacye. — Okólniki biskupów hiszpańskich. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 123
Walne zebranie episkopatu anglikańskiego (2 - 28 lipca 1888 r.) 135
Rytuał Koptów Monofizytów 143
Pozytywizm a umiejętności 148

Luty.

Sprawy Kościoła: Zakończenie jubileuszu papieskiego. — Encyklika „Exeunte jam anno". — Mowa Ojca św. do kollegium kardynalskiego. — Okólnik Crispiego o kwestyi rzymskiej. — Telegramy Fazzariego. — Głosy włoskich liberałów o konieczności pogodzenia się z Papiestwem. — Antireligijne manifestacye. — Dwie krucyaty: przeciw handlowi białymi niewolnikami w Ameryce i handlowi murzynami w Afryce. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* . . 277

Stronnica.

Ogrzewalnia miejska pod opieką Tercyarzy św. Franciszka. Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 290
Kolej zakaspijska 294
Kościół syryjsko-unicki 297

Korespondencya Redakcyi 304

Marzec.

Sprawy Kościoła: Allokucya papieska. — Rozruchy w Rzymie. — Reorganizacya zakładów miłosiernych we Włoszech. — Koszta laicyzacyi szkół we Francyi. — „Powszechny Związek wychowawczy i naukowy". — Rozmowa z kardynałem Manningem o położeniu Kościoła w Anglii a we Francyi. — Rozwój Kościoła katolickiego w Afryce. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 449
Kościół katolicki w Norwegii 459

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Ks M. Morawski. T. J.

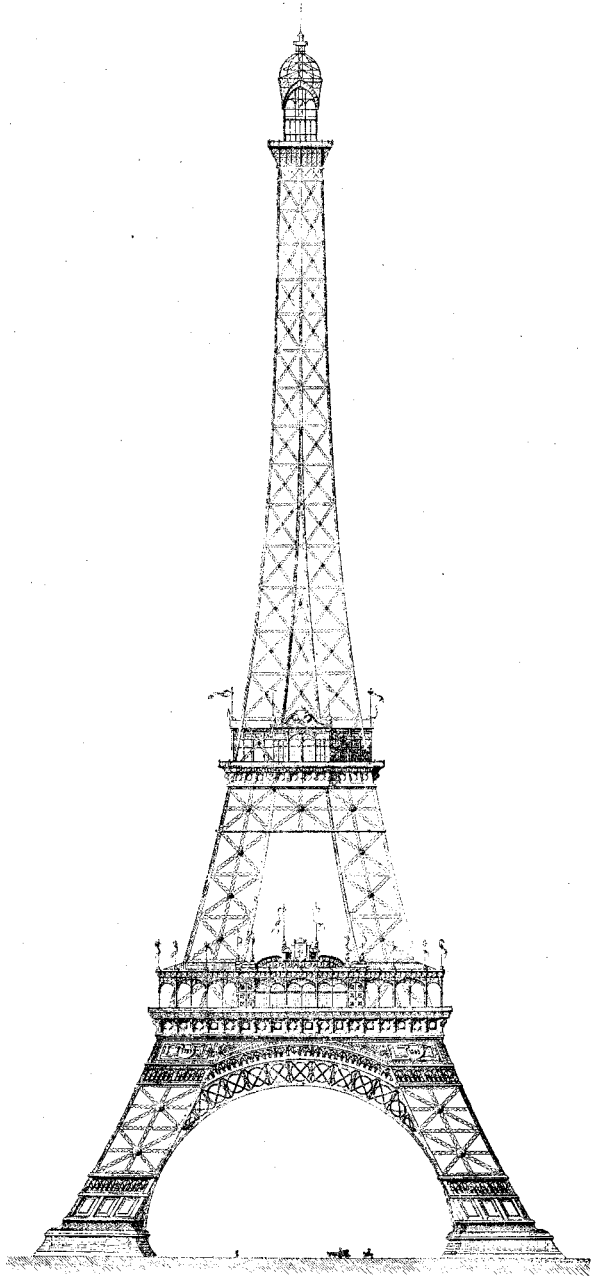

WIEŻA EIFFELA
podług projektu pierwotnego.

WIEŻA EIFFELA I ROK 89-ty.

W chwili, kiedy to piszę, buduje się nad prawem wybrzeżem Sekwanny, naprzeciwko sławnego z poprzedniej wystawy pałacu Trocadero, wieża żelazna, która dosięga już wysokości 200 metrów, tj. o wiele wyżej niż wszystkie dotychczas istniejące budowle ludzkie, piramidy egipskie, wieże katedry kolońskiej i strasburskiej. A ma jeszcze o 100 metrów wyżej w niebo wystrzelić, co wyniesie więcej niż dwie wieże jak św. Szczepana, jedna na drugiej postawione.

Dziwna architektura tej wieży: cztery olbrzymie pręty wyrastające z ziemi w kwadrat, o sto metrów jeden od drugiego, wklęsłe ku środkowi i doganiające się w przestworzu, w wysokości 300 metrów. U góry czapka frygijska. Cały korpus tej budowli jest klatką z krzyżujących się sztab żelaznych. Tylko u spodu, olbrzymie łuki otwarte między czterema nogami, pomnażają jeszcze wrażenie cudaczności i dysharmonii tej bezprzykładnej konstrukcyi, i nadają jej postać rozkraczoną, ciężką w dole, a jednak nie zrosłą z gruntem, nie osadzoną silnie, jak prawa budowla, na ziemi. Wygląda to niby latarnia olbrzymia, postawiona jak mebel na powierzchni.

Widocznie wszelkie względy estetyki i sztuki architekturalnej zostały przy budowie tej wieży (świadomie czy nieświadomie) uchylone, poświęcone dla względów i wymagań praktycznych. Nikt nie żąda od tego, co buduje komin fabryczny, żeby się oglądał na estetykę. Ale jakiżto był cel praktyczny, który osiągnąć chciano tą budowlą? Kiedy inżynier Eiffel wyrabiał u rządu koncesyę na to przedsiębiorstwo, mówiono o rozmaitych praktycznych celach. Mó-

wiono o obserwacyach astronomicznych i meteorologicznych w czystszem przestworzu. Ale meteorologowie mają wygodniejsze obserwatorya, a astronomowie musieli się między sobą uśmiać z tego projektu. Dziś, kiedy i granitowe wieże są zanadto chwiejne dla większych teleskopów, jakżeż myśleć o umieszczeniu lunety na żelaznem rusztowaniu, które jak żerdź w powietrze wystrzela i wiecznie chwiać się musi? Mówiono następnie o oświetleniu Paryża elektrycznem słońcem; ale wnet zwrócono uwagę, że to miejsce na taki cel bardzo niestosowne, bo nie w środku, ale na zachodnim krańcu miasta. A nadto, we wszystkich dalszych od wieży dzielnicach, domy zasłaniałyby to słońce ulicom, tak że oświetlone byłyby dachy, a ulice wydawałyby się przez kontrast jeszcze ciemniejsze. Ażeby temu zaradzić, myślał nawet Eiffel o osadzeniu na dachach olbrzymich parabolicznych luster, któreby światło sztucznego słońca zwracały ulicom. Ale któż nie widzi, jakie to łamane sztuki i jakie olbrzymie koszta, dla oświetlenia, które w najlepszym razie nie wyrówna zwykłemu gazowemu? Poruszono w końcu myśl, że taka wieża służyć może do obserwacyj strategicznych w razie oblężenia Paryża. Ale w takim razie kilka pocisków Krupa obaliłoby w mgnieniu oka tę kolosalną robotę. Balon uwięziony (o jaki w Paryżu zawsze łatwo) daleko korzystniejszym jest do takich obserwacyj, niż najwyższa wieża. Wreszcie wieża o połowę mniejsza, postawiona na wzgórzu Montmartre, które już ma półtorasta metrów, byłaby odpowiedniejszą do wszystkich pomienionych praktycznych celów, niż ta, która się obecnie buduje. Ze wszystkiego widać, że wrzekome praktyczne korzyści, o jakich się mówi, są tylko przyczepkami, ale nie celem, dla którego się tak wielkie dzieło z tak niesłychanym nakładem podejmuje.

Spotykamy się już więc z zagadką: każda budowla ludzka ma cel praktyczny i zarazem cel estetyczny, albo przynajmniej jedno z dwojga; a tu ani jednego ani drugiego nie znajdujemy. Faraonowie budowali kolosalne piramidy — ale mieli cel, który w zupełności osiągnęli, tj. zapewnić swym grobom nietykalność na tysiące lat. Michał Anioł chciał Panteon w powietrzu postawić — ale stworzył arcydzieło. Świeżo Belgowie chcieli zaimponować światu ogromem budowli — ale zbudowali przynajmniej pałac sprawiedliwości, i oglądali się jako tako na architekturę. Ani Amerykanie,

którzy mają jednak upodobanie w kolosalności, ani Anglicy, którzy niekiedy dla samej oryginalności coś zrobią, nic równego nie pomyśleli... Skądże Francuzi, którzy przecież i pod względem praktycznym nikomu nie ustępują, i pod względem estetycznym delikatniejsze mają wymagania, wpadli na ten pomysł — arcynieprakтyczny i arcynieestetyczny?

Klucza zagadki szukać trzeba w warunkach chwili. Wystawa tegoroczna ma być tryumfalnym obchodem Wielkiej Rewolucyi z 1789 roku — a wieża żelazna trzystumetrowa wydała się pomnikiem godnym tego wielkiego dziejowego wypadku. Sam p. Eiffel i fabrykanci żelaza mogli w tym projekcie widzieć osobisty interes — społeczeństwo francuskie widziało, odczuło w nim odpowiedni pomnik Wielkiej Rewolucyi — i dlatego (po wielkiej części) przyjęto go z applauzem, i rząd podał mu rękę. — I w rzeczy samej, jest tu pewna odpowiedniość: duch Wielkiej Rewolucyi i tej całej cywilizacyi nowego kroju, która z niej wyszła, wyraża się poniekąd (może głębiej, niż na pierwszy rzut oka przypuścić można) w wieży Eiffela.

Ludzkość, która wykluła się z zasad 89-go roku i wypadków następnych, rzuciła się z bezprzykładnym zapałem ku opanowaniu przyrody. Nauka, która już w XVII-ym stuleciu, dzięki kilku geniuszom, zdobyła główne klucze do znajomości świata, doszła była z końcem XVIII wieku do tego punktu dojrzałości, że umożliwiała zastósowania praktyczne na szersze rozmiary. Był to fakt spółczesny, lecz niezależny od rewolucyi. Ale gdy równocześnie rewolucya w imię wolności zdruzgotała dawną organizacyę pracy w cechach, rzucając nagle przemysłowców w opały konkurencyi, wytworzył się stąd niewidziany jeszcze na świecie pęd produkcyi i przemysłu. Nauka stworzyła maszynę, przemysł ją ożywił, zwiększył do rozmiarów fabryki, zrobił z niej potęgę społeczną; ona znów przemysł spotęgowała, ona produkcyę dziesięć razy, sto razy pomnożyła; rozpowszechniła między ludźmi dobrobyt, wymiany myśli i płodów niesłychanie ułatwiła, zniosła poniekąd naturalne granice ludów, morza i góry, i najdalsze części świata zbliżyła, z głębi ziemi i oceanu ukryte i dotąd nieprzystępne wydobyła skarby. Wszystkie siły natury przyszły po kolei wprzągnąć się w maszynę

ludzką: i wiatry i rzeki i para i elektryczność... Na zaklęcie geniuszu ludzkiego, duch natury, który się tyle wieków taił, zjawił się i oddał się w służbę człowieka, jak bies przez czarnoksiężnika okiełzany.

Le Play nazywa nasze czasy „wiekiem węgla“. Może jeszcze słuszniej nazwaćby je wypadało „wiekiem żelaza“, „wiekiem maszyny“; bo że węgiel służy w maszynie, to rzecz podrzędna i może przejściowa; ale to właściwie charakteryzuje nasz czas, że wszystko robiemy maszyną: maszyną fabrykujemy to wszystko, co się dawniej ręcznie przy domowym ognisku robiło, maszyną kujemy żelazo i przędziemy nici, maszyną orzemy ziemię i siejemy i zbieramy, maszyną jeździmy po lądach i po morzach, maszyną wrzynamy się w głębie ziemi, prujemy w niej drogi lub wydobywamy cenne substancye... Motorem całej cywilizacyi naszej są żelazne walce i szyny — więc pomnik tej cywilizacyi musi być żelazny! — I słuszną jest rzeczą, żeby się składał z krzyżujących się szyn — jak budujemy fabryki i kolejowe mosty — bo tak lepiej wyraża potęgę, co naturę pokonała, tj. maszynę. Ale nadewszystko ten pomnik musi być wysoką wieżą, musi się wzbijać dumnie ku niebu i panować nad ziemią: bo uświetnia i wynosi pod niebo wielki tryumf człowieka nad przyrodą — tryumf, o jakim przeszłe pokolenia nie śniły... Późniejsze pokolenia tej wieży zapewnie oglądać nie będą, już dziś ona pod stopami robotników się chwieje i budujących przeraża. Lecz my się o przyszłość nie troszczymy, jak się troszczyli Egipcyanie; my wiemy dobrze, że przyszłe pokolenia prześcigną nas prędko w tym kierunku postępu, z którego dziś tryumfujemy. Ale naszym czasom, sobie samym chcemy oddać hołd i świadectwo o swojej wielkości. Gdyby jakiś geniusz z innej planety zstąpił na *Champ de Mars*, i zobaczył tę żelazną wieżę, wyczytaćby w niej mógł i wielkość i charakter dzisiejszej cywilizacyi mieszkańców ziemi.

Istotnie, ta cywilizacya ma swoją wielkość, nakazującą podziwienie. Ale ma także swoje ciemne i groźne strony. Cywilizacya, która właściwie jest wydoskonaleniem i kwiatem ludzkości, powinna w pierwszym rzędzie rozwijać i doskonalić wyższą i naczelną część natury człowieka; a tą jest niewątpliwie jego strona duchowa i moralna. Cywilizacya, która jest pochodem ku uszczęśliwieniu ludz-

kości, powinna ją zbliżać do absolutnego szczęścia i celu człowieka. Otóż faktem jest niezaprzeczalnym, że cały ten ruch nowej oświaty, cały ten olbrzymi wysiłek ducha ludzkiego, który się datuje od zasad 89 r., a rozgałęzia się następnie w prawie publicznem, kontraktem socyalnym, w polityce parlamentaryzmem, w filozofii absolutnym racyonalizmem, w ekonomii teoryą manczesterską, w przemyśle maszyną i fabryką — faktem jest, mówię, że ten cały wysiłek ludzkości w XIX w. obrócił się od samego początku przeciwko Bogu, Stwórcy i celowi człowieka. Hasłem tej ludzkości było: *Non serviam!* nie chcemy, żeby Bóg panował nad nami! miasto praw Boga, które dotąd głoszono, ogłaszamy „prawa człowieka“; zamiast władzy zstępującej z góry, stwarzamy władzę wziętą z dołu, przez ugodę obywateli; zamiast wiary, ogłaszamy wszechpotęgę rozumu, i bóstwo rozumu stawiamy na ołtarzu. Nie chcemy nieba, które nam dawny Bóg obiecywał, ale sami sobie niebo zrobimy na ziemi: postęp naszego przemysłu wszystkich ludzi obdarzy dostatkiem i zbytkiem; postęp naszej oświaty wszystkich ludzi wykształci na półbogów; wolność zupełna handlu i przemysłu wszystkie kraje zarówno bogactwy obdzieli; wolność słowa i druku obronę i zwycięstwo użyczy prawdzie; zniesienie granic, chyżość komunikacyi zbrata wszystkie ludy; zapanuje na kuli ziemskiej powszechna miłość, dobrobyt, szczęście — to jest nasze niebo! — Takie dytyramby o niebie na ziemi odzywały się już z ust Jakobinów i z mownic świeżą krwią zbryzganych; a któż nie wie, jak uroczo śnili o nich Fourrieryści i Saint-Simoniści? i mimo następnych zawodów, do dziś dnia czciciele Wielkiej Rewolucyi uporczywie tę piosnkę o swoim raju nucą.

Otóż ta właśnie była myśl starych budowników wieży Babel. Księga Rodzaju, opowiadając to zdarzenie, dwa cele owej wieży wymienia: ludzie ówcześni, już rozmnożeni po potopie i rozwielmożnieni, chcieli dosięgnąć nieba: *faciamus nobis civitatem et turrem, cujus culmen pertingat ad coelum*[1] — zamach, którego echo odezwało się w klasycznym mycie gigantów zdobywających Olimp, i piętrzących w tym celu góry na górach, Pelion na Ossie. Daleko wierniej atoli powtórzył się ten zamach w niniejszem usiłowaniu na-

[1] Genes. XI.

szego wieku, żeby ściągnąć niebo z pozaświata na ziemię, ze sfery wiary i drugiego życia, do sfery namacalnej teraźniejszości. Drugi cel budowników wieży Babel był: postawić godny siebie pomnik, któryby wyniósł ich chwałę pod niebiosa, zanim się rozprószą po ziemi; bo już wówczas ludzkość czuła w sobie tę siłę ekspansywną, która ją parła do opanowania kuli ziemskiej. *Et celebremus nomen nostrum, antequam dividamur in universas terras.* To drugie zdanie pokazuje, że pierwsze nie ma być wzięte w znaczeniu literalnem, jakoby ówcześni ludzie myśleli materyalnie nieba dosięgnąć za pomocą tej wieży; ale było to tylko powiedzenie emfatyczne, wyzywające, a wieża niebotyczna miała być symbolem tego wyzwania rzuconego niebu, i pomnikiem potęgi ludzkości, idącej opanować świat.

Pod każdym więc względem jest podobieństwo między myślą ówczesnych ludzi, a myślą naszego wieku, między wieżą Babel a wieżą Eiffela. I, fakt uderzający, jak tylko projekt tej budowli zaświtał w Paryżu, zaraz jakby instynktowo prasa, zarówno wolnomyślna jak katolicka, zaczęła ją powszechnie nazywać, bądź żartem bądź serio, „wieżą Babel“ [1].

Otóż ten bunt nowoczesnej cywilizacyi przeciw niebu musiał się, siłą rzeczy, pomścić — bo każde dążenie odwodzące jakąś istotę od prawdziwego jej celu, jest dążeniem przeciwko naturze. Duch przyrody, zaklęty, jak powiedziałem, potęgą geniuszu ludzkiego, stawił się na jego usługi; ale, strasznym odwetem losu, trapi i gnębi człowieka więcej niż mu służy. Göte, w swej balladzie *der Zauberlehrling*, przedstawia młodego ucznia czarnoksiężnika, który w nieobecności mistrza zaklina demona i każe mu przynieść sobie wody do łaźni. Czart znosi konew po konwi, napełnia wannę, napełnia izbę — młodzieniec woła: stój! dosyć! — Nieszczęśliwy zapomniał czarnoksięzkiego słowa do odklęcia ducha. Demon znosi ciągle konew po konwi — i byłby go żywcem zalał, gdy w ostatniej chwili okazuje się mistrz. Taka jest historya dzisiejszego panowania człowieka nad naturą. Duch natury wcielił się na zaklęcie człowieka w maszynę, przybrał sto ramion stalowych, któremi poruszają wszystkie siły przyrody, ażeby wyręczać człowieka w pracy.

---

[1] *Figaro* np. 7 stycznia 88 pisał art. p. t. Le rétablissement de la tour de Babel.

Ale niebawem, zamiast mu pomagać, maszyna w tej nierównej spółce zmusza człowieka, żeby on się do niej stósował, zaprzęga go do pracy cięższej niż przedtem — ona nim włada, ona go tyranizuje. Maszyna nie zna rodziny — i ludzie muszą łamać domowe warsztaty, przy których wśród rodziny na chleb zarabiali, muszą porzucać żony i dzieci, dla usługi maszyny. Maszyna nie zna Boga — i ludzie muszą o Bogu zapominać, muszą dzień Pański i nabożeństwo i słowo Boże i Boży spoczynek poświęcać, dla obsługi maszyny. Maszyna ma żelazne muszkuły, spoczynku nie potrzebuje — i ludzie muszą dniem i nocą przy niej nieprzerwanie pracować, muszą wytężać swe siły nad miarę, ukrócać życie, by dotrzymać kroku żelaznemu olbrzymowi. I nie przestając na tem, maszyna i kobiety i dzieci groźbą głodu ściąga, i te wątłe istoty między swe koła i szyny sprzęga. Słowem, maszyna w tej współce pracy z człowiekiem, będąc mocniejszą, gniecie człowieka w swem żelaznem objęciu, i jego samego w maszynę przerabia.

Doprawdy, cóż to jest fabryka nowożytna, jeźli nie wielka maszyna, która oprócz żelaznych kół i walców, zawiera kilkaset ludzkich ramion i kilka mózgów — wszystko razem w jeden żelazny mechanizm ujęte? — Maszyna karmi wprawdzie te ramiona, których używa, ale tak, jak opala swe piece i smaruje swe gwinty: aby tylko dalej pracowały. „Żelazne prawo“ ekonomiczne nie pozwala tej płacy wznieść się wyżej, niż wystarcza na opędzenie koniecznych potrzeb życia. Maszyna więc nie daje istotnie zarobku, tylko życie swych narzędzi utrzymuje na swoje usługi. A choć niekiedy płaca, jaką do ręki kładzie, jest względnie wysoką, to nie zmienia stosunków. Maszyna tak wyczerpuje siły współpracującego człowieka, tak rozpala jego krew swoim ogniem, tak go przytem pozbawia wszelkiej wyższej myśli religijnej i moralnej, przez odebranie mu niedzieli i kościoła i życia rodzinnego, że nieszczęsny robotnik staje się niemal fatalnie ofiarą zwierzęcych namiętności: co zarabia codziennym znojem, to przetraca w wieczornej orgii — aż do wyniszczenia zdrowia — i śmierci głodowej żony i dzieci.

Gdy razu jednego zwiedzałem taką fabrykę, wielką walcownię żelaza w Belgii, przesuwałem się ostrożnie wśród tej ogromnej, ciemnawej przestrzeni; huk olbrzymich młotów, warczenie kół, gwizd osi i rzemieni zagłuszał, dym gryzł oczy, a upał nieznośny

pot wyciskał. Tu i owdzie otwory wielkich pieców, jak paszcze smoków, świeciły rudym blaskiem stopionego kruszca. W jednem miejscu olbrzymi młot, podnoszony siłą pary, spadał z wysokości kilku metrów na bryłę żarzącego się żelaza i bryzgał na wszystkie strony deszczem iskier i żaru. A pośród tego piekła, zgraja istnych demonów, czarnych od węgla, nagich, tylko fartuszkiem skórzanym przepasanych, uwijała się na wszystkie strony; jedni widłami obracali ognistą bryłę, którą młot otłukiwał; drudzy podobne bryły wydobywali z pieców, lub pędem wlekli po podłodze i wciskali między walce; a wszyscy jak w szale biegali, bo im żar zewsząd buchający chodzić nie pozwalał. Gdym się do jednego z nich zbliżył z wyrazem politowania, on z gorżkim uśmiechem: Księże, zapytał, czy będzie goręcej w piekle? — Czyż nie pragnął z całej duszy ten biedny niewolnik maszyny, odkląć tego ducha, który go trapił? — Ale nie umiał, nie mógł — i odwróciwszy się odemnie, rzucił się znowu między koła i ognie.

Czy chociaż ci przynajmniej, co są poza obsługą maszyny, a używają jej płodów, błogosławią jej dobroczynność? Ci cieszą się zwykle, że tanio jej wyroby nabywają, ale postrzegają po chwili, że te wyroby maszynowe są w ogóle złe i nietrwałe, że kupiwszy je tanio, trzeba je drugi i trzeci i dziesiąty raz kupować. *C'est le bon marché qui ruine.* Ci sami ludzie, co się cieszą taniością wyrobu jednej maszyny, lamentują znowu, że im druga maszyna chleb odbiera, fabrykując zbyt tanio to, z czegoby oni zarobek mieć mogli. Więc co jedną ręką maszyna daje, to drugą odbiera. Wreszcie maszyna, choć niesłychanie mnoży produkcyę, mało stosunkowo przyczynia tych substancyj, które zaspokajają pierwsze potrzeby człowieka, a nierównie więcej rozmnaża towar taniego zbytku, który sztuczne wywołuje potrzeby i wymagania. Stąd w naszym wieku, pod wpływem produkcyi fabrycznej, stosunek cen zmienił się w proporcyi, która zadziwia historyków i ekonomistów: rzeczy należące do potrzeb, chleb, mięso, ogromnie stosunkowo podrożały, a rzeczy należące do zbytku, ozdobne ubiory i sprzęty, niezmiernie staniały. Tymczasem większość ludzkości, jak wiadomo, ani pierwszych potrzeb należycie zaspokoić nie może, a pod wpływem tego odwróconego stosunku, jeszcze więcej sobie z takowych ujmuje, aby potrzebom sztucznie wywołanym zadośćuczynić. Tani a okazały blichtr,

jaki maszyna swym wyrobom nadawać umie, przynęca masy, jak wszystko co świeci, narzuca się modzie, wyrabia nawet u ubogich jakieś wymogi pseudo-luksusowe; uciechy jednak estetycznej istotnie nie daje, właśnie dla tego, że jest blichtrem, kopją bez wartości, nacechowaną piętnem bezdusznej maszyny.

Jedna jest klasa ludzi, którzy czysto i bezwarunkowo ze zwrotu świata ku maszynom i fabrykom korzystają: tj. klasa tych, co najdalej od maszyny stoją, ale trzymają maszynę w swojej mocy i na swoich usługach, za pomocą kapitału. Tym maszyna służy, i tych maszyna stworzyła: maszyna albowiem, koncentrując produkcyę wprzódy rozprószoną, tem samem ściele drogę do skoncentrowania obrotu kapitałów. I dla tego, w ślad za tem wybujaniem maszyny, rozmnożyły się w naszym wieku te niesłychane fortuny, rosnące w biegu jak lawiny, a przewyższające dochodami wielkie państwa starożytności.

Ale wrzekome szczęście tej garstki wybrańców, ich błogosławieństwa dla maszyny, nie okupują łez i przekleństw owych milionów, których maszyna w żelaznym uścisku gniecie, albo chleba pozbawia. Owszem, sam kapitalizm w ten sposób powstający, jest nową, złowrogą naszych czasów potęgą — a może i zmorą. Albowiem jakkolwiek śpiesznie pracują maszyny, jednak nie tak prędko pomnażają ogólne bogactwo świata, jak prędko to bogactwo się koncentruje. Rewolucya 89 roku obaliła feudalizm, uwolniła ziemię od *altum dominium* baronów, postawiła zasadę, że własność jest zupełna i absolutna — ale cóż się stało? Oto, pod tchnieniem tejże rewolucyi, pod wpływem danego przez nią impulsu, powstał wielki władzca, który wznowił i spotęgował dawny stosunek feudalny ziemi: na każdej niemal piędzi ziemi w Europie ten władzca bez nazwy ma *altum dominium* zapisane w hipotecznych księgach; z dochodów pobiera nie dziesięcinę, ale przeciętnie połowę; — i znowu chłopek dla niego odbywa pańszczyznę; i szlachcic na własnej zagrodzie jest jego parobkiem; twardo pracuje, więcej dla niego niż dla siebie, a często tak mało na tej służbie zarabia, że puszcza ten kawałek roli w ręce kapitału i ucieka zrozpaczony. Dawni feudalni panowie mieli często twarde serca; — ale dzisiejszy pan jest zupełnie bez serca, bo jest bezosobowy, nazywa się zwykle „towarzystwem bezimiennem"; sam nie będąc człowiekiem, tylko

kapitałem, w reszcie ludzkości nie widzi ludzi, tylko siłę produkcyjną, której nie wyzyskać do ostateczności, byłoby uchybić przeciw sobie samemu. Dawni panowie byli uprzywilejowani; rewolucya te przywileje z wielkim zamachem i hałasem zniosła; — ale któż był kiedykolwiek bardziej uprzywilejowany, jak jest dzisiaj kapitał? W prawodawstwie dziś dopiero zaczynamy składać kilka paragrafów na korzyść robotników, żeby uregulować właściwe ich stosunki, ziemiaństwo dotąd czeka odpowiednich dla siebie ustaw — a kapitał ma prawie od początku tego wieku specyalne prawodawstwo, uwzględniające jego wymagania, ułatwiające jego ruchy, warujące jego bezpieczeństwo i faworyzujące go we wszystkiem. Takiem jest bowiem prawo wekslowe i inne ustawy dotyczące handlu pieniężnego. Wobec podatkowości, która dziś tak strasznie cięży na wszelkich rodzajach własności ludzkiej, jeden kapitał cieszy się niemal zupełnem zwolnieniem od opodatkowania: — bo i rządy się tego władcy boją i nisko się przed nim kłaniają. A choćby i najszczerzej chciano go pod wspólne podciągnąć brzemię, nie wieleby zdołano: kapitał dzisiejszy posiada jakiś przywilej, duchom właściwy, niewidzialności i przenoszenia się w mgnieniu oka na krańce świata. Kiedy w jednem miejscu chcą nań rękę położyć, on niknie, z chyżością iskry elektrycznej przerzuca się za morza, i przez samo usunięcie się karze surowo rządy i społeczeństwa, które ważyły się targnąć na jego niezawisłość. Taki to pan, srogi, potężny i uprzywilejowany, wyrósł z nowego porządku rzeczy, opartego na maszynie i wolności pracy, czyli rozbiciu jej organizacyi.

Ale nie koniec na tem. Ten sam geniusz natury, który na zaklęcie człowieka wcielił się w maszynę produktywną, wcielił się też konsekwentnie w maszynę destrukcyjną. Nie tylko przemysł używa dynamitu, nie tylko handel posługuje się koleją i telegrafem, ale te wszystkie środki i wynalazki wpadły i wpaść musiały w ręce wrogów społeczeństwa, nihilistów i skrajnych socyalistów, i dają im straszną potęgę, która już zawisła jak zmora nad ludzkością. Dziś samodzierżca Północy nie ma kąta w swem olbrzymiem państwie, gdzieby się mógł przed nią bezpiecznie schronić; cesarz Niemiec, wraz z całym pocztem królów i książąt, przypadkiem tylko ocalał od pogrzebania pod tryumfalnym posągiem Germanii w Ni-

derwaldzie; dumni lordowie, którzy się dotąd mieli na swej wyspie za najbezpieczniejszych ludzi na świecie, niedawno temu bladzi i drżący przechodzili po krużgankach Westminsterskiego pałacu, oczekując każdej chwili wysadzenia w powietrze... Ale to dopiero przygrywki: dzisiejszy tryb ekonomiczny wciąż pomnaża, jak wiadomo, pauperyzm, a więc i liczbę i gniewy armii socyalistów; dzisiejsza nauka coraz potężniejsze wynajduje czynniki destrukcyjne, a zarazem coraz szerszym udziela się sferom ludności... Do czego nas te skombinowane i rosnące prądy doprowadzą? czy dalekimi jesteśmy od chwili, kiedy nam się będzie zdawało, że cała ziemia jest podminowaną, kiedy wciąż pod stopami czuć będziemy drżenie i gorąco — jak chodzący po wulkanie? Któż może na to odpowiedzieć zabezpieczająco?

Ale poco nam szukać strachów w kryjówkach lub w przyszłości? Już dziś stoi pod gołem niebem maszyna destrukcyjna, daleko szkodliwsza dla ludzkości od spisków socyalistycznych, bo daleko szerszą mająca podstawę, nad całym światem rozparta — maszyna, która wszystkie wynalazki i zdobycze nowożytnej nauki, będące chlubą naszej cywilizacyi, wszystkie odkrycia fizyczne, chemiczne, metallurgiczne, wszystkie środki komunikacyi i wymiany myśli, które zapłodniły przemysł i handel naszego wieku, spożytkowuje na zagładę ludzi i dzieł cywilizacyjnych. Rozumie się, że mówię o militaryzmie dzisiejszym.

Wojna w naszym wieku stała się okrutną, bo całe narody powstają, a raczej spędzane bywają do mordowania się nawzajem, z każdej ręki pada po kilkadziesiąt śmiertelnych pocisków na minutę, w jednej bitwie — aż groza pomyśleć! — 30.000 ludzi pada brocząc we krwi własnej, pod morzem nurtują samo-ruchome torpedy, niby żywe gadziny, które za dotknięciem statku, 500 ludzi załogi i 15 milionów kosztów w powietrze wysadzają... Wojna stała się okrutną, dzięki nowożytnym wynalazkom, ale jeszcze groźniejszym staje się ten militaryzm chroniczny, to wieczne uzbrojenie i życie pod bronią całych narodów. Uzbrojenie wieczne, a jednak nigdy się nie kończące: wciąż je trzeba pomnażać, bo codzień inny naród w czemś je pomnożył; wciąż trzeba przerabiać i broń i fortece i okręty, wciąż miliony krwawo zapracowane bezpowrotnie

w ziemi zakopywać; bo co dnia jakiś nowy wynalazek pozwala jeszcze prędzej, jeszcze dalej, jeszcze skryciej śmierć zadawać. Uzbrojenie ogromne, a jednak żadnego nie dające bezpieczeństwa, bo w tych samych proporcyach zbroją się sąsiedzi; a zupełna gotowość do wojny ułatwia niewątpliwie jej wybuch; jest to palny materyał, któremu iskra do wybuchu wystarcza. I samo to gotowanie się do walki roznamiętnia narody, wzbudza ciągłe podejrzenia, potęguje rasowe nienawiści. Narody stoją wciąż naprzeciwko siebie, jak te głodne wilki, kłapiące zębami i czekające który z nich z wycieńczenia zesłabnie, żeby się wszystkie na niego rzucić.

Coby nie dały narody, żeby się wydobyć z tego stanu, żeby odkląć tego demona, który je gnębi, wysysa, trwoży dniem i nocą?! Coby nie dały, żeby nie było ani broni odtylcowej, ani dynamitu, ani armat dalekonośnych, ani torpedów, ani służby powszechnej!... Gdyby o tem mogło rozstrzygnąć powszechne głosowanie ludzkości, jak ogromną większością zniesionoby i zatracono te wszystkie wynalazki! — Ale darmo! nie zna ludzkość słowa, któreby mogło odżegnać to licho. Rozbrojenie, o jakiem już dziś wspominają, rozbrojenie w wieku nieznającym innej powagi jak siła, jest czystą chimerą. Bo przecież niepodobieństwem jest, żeby siła wyparła ze świata panowanie siły. — Darmo! ten stan rzeczy jest karą Bożą, i jest naturalną konsekwencyą zasad 89 roku, na których ludzkość stanęła. Skoro się zaprzeczyło przyrodzony i Boży pierwiastek prawa, skoro się oparło zasadniczo wszelkie prawo na sile i mnóstwie, tem samem wpadło się pod absolutne panowanie siły, i trzeba jej tyranię znosić: trzeba dalej miliony najzdrowszych ramion od pracy produkcyjnej odrywać, trzeba dalej kasarniami i portami zabudowywać kraje, trzeba dalej budżety wojenne co roku powiększać, dalej od ust sobie chleb odejmywać, by broń wciąż przerabiać i wciąż pomnażać, trzeba dalej co roku oczekiwać wojny... A jak długo tak dalej? — chyba aż się siły społeczeństwa do ostatka wyczerpną, albo przewrót socyalny wszystko w powietrze wysadzi.

Gdy w lasach północnej Ameryki spotykają się czerwonoskórcy z przeciwnych plemion, każdy trzyma w jednej ręce nóż do skalpowania wroga, a drugą chwyta uzbrojoną rękę przeciwnika; i tak się wzajemnie trzymają, grożąc sobie nożem i zębami, i ściska-

jąc sobie ręce do ostatka sił, aż jeden zesłabłszy, wypuszcza z ręki nóż, a drugi go spokojnie i bezpiecznie skalpuje. Nie jestże wierny obraz naszej obecnej międzynarodowej cywilizacyi — i to się pokojem nazywa!

Militaryzm dzisiejszy, to ogromna żelazna maszyna, która ssie i tłoczy krew i pracę pokoleń. Wieża Eiffela jest też jej pomnikiem i obrazem. Wygląda mi ona jak panoplia z miliona bagnetów.

Militaryzm ten znowu, jak już wspomniałem, oddziaływa zgubnie na wzajemne stosunki we wszystkich kierunkach i poniekąd na sam charakter narodów. Co się stało z tem braterstwem, o jakiem niedawno jeszcze tak cudnie marzono? gdzie się podziała wolność handlu, zniesienie granic i te wszystkie piękne rzeczy, które w części obiecywano, w części już dawano? Oto na schyłku tego wieku widzimy narody odgraniczające się jak nigdy murami chińskiemi ceł, paszportów, rozporządzeń policyjnych; tak dalece, że i ta wolność goszczenia, której od wieków nie odmawiano obcym, dziś odjętą zostaje. Zdarzają się wypadki wydalań i wywłaszczań, które nas cofają aż do czasów assyryjskich. Współzawodnictwo, jakie było między narodami, przemienia się obecnie w jakąś nienawiść, pogardę, odbijającą się nawet w olimpijskiej sferze sztuki i nauki — jakiej w przeszłych wiekach wcale nie widać. U szczytu wreszcie wszystkich spraw ludzkich, od polityki aż do nauki, stoi dziś państwo na żelazie oparte, nadające światu ton sobie właściwy. A na czele tego państwa mąż stanu, którego wszyscy „żelaznym“ nazywają. — Wszystko razem wziąwszy, nie jest że to widocznem cofnięciem się cywilizacyi wstecz?

Ale dokądże nas ta ewolucya wsteczna prowadzi? Z jednej strony te straszne środki terroryzmu i zniszczenia, jakie zdobywają żywioły przewrotu, z drugiej strony te nieznane dotąd światu środki centralizacyi i siły, jakich nabywają rządy, przez sam militaryzm i przez inne nowożytne wynalazki, kto wie czy nas nie prowadzą pod jarzmo ostatecznego, niczem nieograniczonego absolutyzmu — absolutyzmu z góry, czy absolutyzmu z dołu, mniejsza o to — ale absolutyzmu uzbrojonego jak nigdy dotąd, na zupełne opanowanie i zgnębienie jednostki i rodziny. Każda cywilizacya, każde uspołecznienie oparte wyłącznie na sile, przychodzi powoli lecz fatalnie do tego,

że centralna władza, jako najmocniejsza, pochłania wszystkie zasoby i prawa obywateli, wszystkie żywotne siły społeczeństwa. Od stosunków mniej więcej feudalnych i gminowładnych, przechodzi takie społeczeństwo do stosunków czynowniczych, gdzie na gruzach wszelkich powag społecznych królują poborca i policyant. A gdy wypadki historyczne, np. najazdy obcych na osłabione państwo, nie przerwą tej ewolucyi, kończy się ona logicznie ostateczną centralizacyą, tj. socyalizmem państwowym — marazmem starości organizmów społecznych. Tak zakończył Egipt swoją trzydziestowiekową cywilizacyę: już nic w niem nie było prócz faraonów i skrybów, i mumii wielkiej przeszłości. Tak zamarły stare także cywilizacye Meksyku i Peruwii: kiedy Hiszpanie lądowali w Ameryce, Peruwianie podzieleni byli na dekady i centurie, a Inkas z roku na rok rozdzielał grunta do uprawy. Cóż dziwnego, że 150 awanturników z Europy obaliło takie państwo, mimo jego cywilizacyi, skarbów i fortec? Tak bywa w ogóle, kiedy te pyszne wieże Babel pogańskich cywilizacyj dobudowują się bez przerwy aż do szczytu. Do takiego też fatalnego kresu zbliża się widocznie i nasza cywilizacya, tem spieszniej, że i rządy centralizujące z góry i socyaliści nurtujący u dołu, ku temu samemu kresowi społeczeństwo pędzą; a materyalne środki, jakich dzisiejsza cywilizacya jednym i drugim dostarcza, do takiego doprowadzić mogą owładnięcia jednostek, do takiego przeniknięcia wszystkich skrytości, skrępowania wszystkich ruchów, okiełznania wszystkich rąk, ust i serc, że o wiele prześcignąą starą formułę Faraonów: *absque tuo imperio non movebit quisquam manum aut pedem in omni terra Egypti*[1]. Wieża Eiffela przedstawia mi się jak ogromna klatka żelazna, przygotowana na uwięzienie ludzkości.

Boże! któż tego demona, najgorszego ze wszystkich, odżegna? Cóż nam po tym całym postępie, jeśli nas w końcu zapędzi do kaźni? Jest czego się lękać, zaprawdę — ale nie ma powodu rozpaczać. Jest bądź co bądź głęboka różnica między staremi cywilizacyami a naszą: iż nasza ma w sobie nieśmiertelny pierwiastek odrodzenia — słowo zbawienia, które z nieba spadło. Nie wierzę, żeby

[1] Genes. XLI, 44. „Bez twego rozkazu nikt nie ruszy ręką ani nogą w całej ziemi egipskiej". (Słowa Faraona do Józefa).

dla chrześcijańskich narodów jakaś kara mogła być litylko karą, a nie oraz lekarstwem i bodźcem do poprawy. Nie przypuszczam, żeby mógł powstać w chrześcijańskim świecie jakiś wielki prąd duchowy, choćby ze złego poczęty źródła, któryby nie był przez Opatrzność kierowany ku jej najwyższym i miłościwym celom, i dlatego właśnie przez nią dopuszczony, że ma w końcu tymże celom posłużyć. A więc i ten wielki ruch naukowy, umysłowy i cywilizacyjny, z roku 89-go wychodzący, ten ruch co podbija przyrodę, wciela się w maszynę i fabrykę, oplata kulę ziemską siecią żelaznych szyn i drutów, służyć ma w końcu królestwu Bożemu na ziemi.

Jak się to stanie, trudno to sobie obecnie wystawić. Ale czy łatwo było zrozumieć, np. w VI wieku, do czego zmierzał opatrznościowo ten zalew barbarzyńców, burzący do szczętu ową starą rzymską cywilizacyę, na której i chrystyanizm podówczas spoczywał? Myślano, że już koniec świata nadchodzi — (jak nam się zdaje, że nadchodzi kataklizm) — ale był to tylko koniec jednej cywilizacyi — a nastawała nowa, lepsza, bo od korzenia wodą chrztu zroszona.

Trudno doprawdy sobie wytłumaczyć, jakim sposobem ten ruch nowożytny, ta materyalistyczna cywilizacya przyjdzie służyć królestwu Bożemu; jednakże bacznie śledząc, dostrzedz można tu i ówdzie brzask tego zwrotu. Nauki przyrodnicze i badania prastarych ludzkości śladów, które z początku tak namiętnie przeciw słowu Bożemu powstawały, dziś coraz więcej do niego się zbliżają i dają świadectwo prawdzie [1]. Nowożytne środki komunikacyi konsolidują jedność Kościoła i potęgują jego siłę ekspansywną na zewnątrz; w żadnym wieku Kościół ani tyle solidarności nie okazał w sobie, ani tyle przestrzeni nie zdobył misyami, jak w naszym stuleciu. Militaryzm i wszystkie nadużycia siły, jakie cierpiemy, choć same przez się, jak powiedziałem, tej siły nie rozbroją, zaczynają jednak przekonywać ludzi, że siła sama nie może być podstawą uspołecznienia ani stosunków między narodami, i że trzeba

[1] Patrz: *Mir* „L'accord de la science et de la foi". — *Carbonnelle* „Les confins de la science et de la philosophie". — *Moigno* „Les splendeurs de la foi, etc." — *Vigouroux* „La Bible et les découvertes modernes" — *Lenormant* „Histoire aucienne de l'Orient". — *Zaborski* „Źródła historyczne Wschodu" etc.

bądź co bądź szukać straconego punktu oparcia w sferze sumienia i sprawiedliwości.

A fabryka! to narzędzie demoralizujące, grzebiące, przerabiające człowieka w maszynę, cóż ona ma za możliwy stosunek do królestwa Bożego? — Przed dwoma laty, będąc na kongresie socyalnym w Liège, słyszałem przemysłowców katolików opowiadających po kolei cuda umoralnienia i materyalnego podniesienia robotników, jakie w swych fabrykach urzeczywistnili. Słyszałem ich wyznających z prostotą, że pełnienie zasad ewangielicznych w przemyśle, przyniosło im według ewangelicznej obietnicy, prócz uszczęśliwienia i miłości podwładnych, miliony zysku. A gdy najdzielniejszy i najbogatszy z tych przemysłowców, w którego fabrykach robotnicy modlą się codzień wspólnie, a po kilkunastu latach pracy wychodzą z pokaźnemi majątkami i poważne w kraju zajmują stanowiska — gdy, mówię, Leon Harmel kończył swe sprawozdanie: „Doprawdy, Panowie, zawołał, fabryka jest dziełem chcianem od Boga! „Bóg powiedział: idźcie, podbijcie materyę. I fabryka podbiła „materyę, mocą pary, pod panowanie umysłu człowieka przemyślnego. Wypełniamy prawo Boże. A jeśli fabryki nie są jeszcze „powszechnie miejscami uświętobliwienia, to dla tego tylko, że inteligencya ludzka nie stanęła na równi z inteligencyą mechanizmu. „Trzeba, żeby rozum ludzki wzniósł się równie wysoko na punkcie „moralnym, jak się wzniósł na punkcie mechanicznym; a wówczas, „z prędkością i energią maszyny, dzieło umoralnienia przeprowadzi".

Te słowa, z czynami i faktami związane, były dla mnie rewelacyą: dały mi w mgnieniu oka zrozumieć, nad czem oddawna napróżno myślałem: jaka być może myśl Boża nad fabryką i płynącym z niej potokiem dzisiejszego przemysłu. — Ufam, że żelazna wieża dzisiejszego materyalnego postępu, wyniesie kiedyś pod niebiosa ten znak, który umierający Pankracy ujrzał nad głowami.

Ale to dopiero wtedy nastąpi, kiedy ludzkość otrząśnie się z oszołomienia, jakie jej sprawia chwilowo szybkość tego postępu, kiedy zrozumie, że te materyalne zdobycze, jakiemi się dziś pyszni, nie dają klucza do wszelkiej zagadki, nie zaspakajają wszelkich potrzeb człowieka — kiedy otrzeźwiawszy, użyje siły, którą zdobyła w tym wieku, na usługę prawa, które jej Pan Bóg dał od początku.

Ks. M. Morawski.

KAPŁAŃSKA I LITERACKA DZIAŁALNOŚĆ
KS. STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO.

(Dokończenie).

IV.

Wycieczka do Krymu. — Memoryał o potrzebach katolików krymskich. — Podróż do Petersburga i Kijowa. — Audyencya cesarska. — Administrator dyecezyi kamienieckiej. — Zmiany w kapitule. — Ustawy dla seminaryum. — „Magnificat". — Ostatnie chwile życia. — Zakończenie.

Przed wyjazdem do Rzymu wiódł Chołoniewski przez całe nieraz miesiące życie prawdziwie koczownicze: to nadpsute zdrowie, to ważne interesa, to nadzieja świetnej karyery pędziły go na wschód i zachód, do Paryża i Petersburga, do Wiednia i Rygi; po powrocie z miasta wiecznego, mając już jako ksiądz i pisarz jasno przed sobą wytkniętą pracę, rzadko kiedy nawet do spokrewnionych domów z Kamieńca czy z Janowa się wychylał, a dzieląc czas między kapłańskie i literackie zajęcia, znajdując najmilsze wytchnienie w bliskiem kole krewnych i przyjaciół, wszelkie nasuwające się myśli o zagranicznych podróżach i kuracyach oddalał jako pokusy. Niedobre jednak zdrowie, zawsze nie zbyt silne, klimatem rzymskim bardziej jeszcze podkopane, gwałtem domagało się radykalniejszej kuracyi. Już w pierwszych miesiącach 1834 r., a więc w kilkanaście miesięcy po powrocie na Podole, skarżył się szwagrowi, który dopiero co z Kurska powrócił[1]: „Siedzieć długo

[1] List cytowany przez Dr. Antoniego J. w *J. I. Kraszewski i Ks. St. Chołoniewski* (Przew. nauk. i lit. T. VI. Str. 611).

„nie mogę dla duszności, ale tylko chodzić, albo leżeć; pisać, czy-„tać i pracować bardzo ciężko mi przychodzi". Lekarze radzili kąpiele morskie. Może się bez kąpieli obejdzie, wmawiał Chołoniewski w siebie i w innych, ale ostatecznie widząc, że mimo chwilowych przerw i złudnych polepszeń, choroba raczej rosła niż ustępowała, poszedł za głosem rozsądku i radami przyjaciół i późną wiosną 1836 r. w towarzystwie całej rodziny Grocholskich wyjechał do Odessy.

Dawni petersburscy przyjaciele i znajomi, między innymi miejscowy generał-gubernator Woroncow, ks. Aleksander Gallicyn, spowinowaceni z Chołoniewskimi Naryszkinowie, serdecznie powitali miłego gościa. Będąc w Odessie zrobić koniecznie należy wycieczkę w głąb Krymu — doradzali miejscowi przyjaciele; radę tę przyjęto ochoczo, i 28 lipca „wielką bandą, jak notuje nasz podróżnik [1], wsiadamy na statek parowy, wyładowany kuferkami, potrzebnemi i niepotrzebnemi rzeczami naszemi. Karawana nasza składa się z dziesięciu osób, pięciu służących i pięciu źle usłużonych". W Jałcie czekał na podróżnych poprzednio uwiadomiony Graf Woroncow i obsypał ich grzecznościami: sam najdokładniej przepisał dalszą marszrutę, pożyczył własnego powozu, męskich i damskich siodeł; dodał dla bezpieczeństwa i wygody obznajomionego z okolicą masztalerza i eskortę złożoną z podoficera, służącego zarazem za tłumacza i czterech pieszych Tatarów. Otoczenie to robiło na mieszkańców niemałe wrażenie; rozpowiadano, że jakaś książęca rodzina *incognito* podróżuje; w Bujuk-Juzenbash, małe tatarskie miasteczko całe się poruszyło na widok wysokich gości, a *Gołowa* wyjechał nawet naprzeciw nich z licznym orszakiem Tatarów. Mniej hucznie, ale zawsze jednak „po książęcemu" przyjęto protegowanych generał-gubernatora w Bakczyseraju. Bogaty Tatarzyn, były rosyjski gwardzista wydał zaimprowizowaną ucztę, po której nastąpiły przy odgłosie jednej muzyki dwa odrębne bale: jeden w haremie dla kobiet, drugi dla mężczyzn na podwórzu haremu. Na noc tylko zatrzymawszy się w Sebastopolu, turyści nasi zwiedzili szczegółowo wspaniały okręt wojenny *Warszawa*, poczem

[1] *Dzienniczek podróży w głąb Krymu.* Lakoniczne te zapiski od ręki zajmują jednak półtrzecia arkusika dość bitego pisma.

śladami Mickiewicza dziwili się: *Ałuszcie w dzień* i *Ałuszcie w nocy*, słuchali morskich szturmów, poili się muzyką kwiatów, i na starych wieżycach opustoszałych zamków szukali herbów śladu, imion bohaterów.

Kiedy Chołoniewski po powrocie do Jałty z zachwytem opowiadał w licznem towarzystwie rosyjskiej arystokracyi o widzianych cudach natury, jedna z przytomnych pań — zdaje się, stara hr. Woroncow — zupełnie na seryo namawiać go poczęła do stałego osiedlenia się w Krymie. „A co ja bym tu robił? zapytał zdziwiony ksiądz. „Jakto, cobyś robił; czyż w Odessie niema dość „katolików; czyż rozsiane po Krymie katolickie kolonie nie po„trzebują duchownej opieki?“ O prawdziwości tych słów, o niezbędnej potrzebie jak najprędszego zaradzenia duchownym potrzebom katolików w tak zwanej naówczas powszechnie „Nowej Rosyi“ przekonywał się nasz podróżnik na każdym kroku. Choć przyjechał nie dla pracy, ale dla odpoczynku, powiedział w Odessie parę francuskich z wielką starannością wypracowanych kazań, na które zbierała się cała miejscowa arystokracya, ale rzecz prosta, wrażenie kilku temi kazaniami i to na pewne tylko sfery wywarte było kroplą wody tam, gdzie całej rzeki było potrzeba. Jak, jeśli już nie rzekę, to strumyk przynajmniej sprowadzić; jak rozwinąć moralne, religijne życie w tak świetnie pod względem materyalnym rozwijających się nowo-rosyjskich koloniach? — oto pytanie, nad którem Chołoniewski nie sam tylko przemyśliwał, ale nad którem zastanawiał się zwłaszcza w długich, poufnych rozmowach z zaprzyjaźnionym krymskim wielkorządzcą. Woroncow zgadzał się w głównych zasadach z poglądami swego gościa; rozumiał, że najgorszymi obywatelami są ludzie nie mający i nie wykonywujący przepisów żadnej religii, i dla tego zwrócił się do Chołoniewskiego z prośbą, aby mu podał na piśmie wyczerpujący memoryał o potrzebach Kościoła katolickiego w koloniach krymskich, obiecując ze swej strony szczere zajęcie się i poparcie tej sprawy. Ks. Stanisław przyjął naturalnie oburącz uczynioną sobie propozycyę; bez zwłoki jeszcze w czasie krymskiej podróży zabrał się do pracy, wykończył ją i poprawił w Janowie, wedle wskazówek otrzymanych od administratora parafii odesskiej, kanonika Muśnickiego, i odczytawszy ostatecznie po francusku zredagowany, kilkakrotnie poprawiany me-

moryał[1] kilku księżom i znajomym, wyprawił go w dzień Trzech Króli 1837 r. w imię Boże do Odessy.

W prywatnym liście do memoryału dołączonym Chołoniewski przepraszał za długość swego pisma; delikatnie wspominał o możliwych trudnościach, o trapiących obawach, „które wszystkie jednak ustąpić musiały przed europejską sławą uprzejmości i wzniosłego charakteru W. Ekscelencyi. Zresztą czarna ma sutanna niechaj mi służy za usprawiedliwienie i wymówkę. Spoglądając na nią, wzniecałem w sobie ufność, że W. E. przebaczyć zechcesz pewne nawet natręctwo niezgrabnego sługi, z miłości dla Boskiego Pana, w którego sprawie występuje".

Memoryał zaopatrzony w *motto* wyjęte z Pisma św.: *Jest czas milczenia i czas mówienia*[2] rozpoczyna się od nakreślenia ogólnego obrazu wyjątkowych korzyści i ułatwień, które cała Rosya, ale w szczególności południowe jej prowincye nastręczają do przeprowadzenia systematycznej kolonizacyi tych bogato od natury uposażonych obszarów. Rząd bez najmniejszego wątpienia rozumie dobrze, jakie skarby posiada, choć skarby te w znacznej części jeszcze zakopane: świadkiem tego zrozumienia rzeczy tak niezmiernie szybkie „zaimprowizowanie" Odessy, tak stosunkowo licznie po całym Krymie rozsiane niemieckie kolonije, które osiedliły się tutaj zwabione w równej mierze bogactwem ziemi, co i jawną zachętą i szczodrze udzielaną pomocą rządową. Każdy dobrze myślący radby — rzecz prosta — przyczynić się, w miarę swych sił i zdolności, do rozwoju tak pięknie rozpoczętego dzieła; do tego też celu służyć mają następne uwagi. Jako mieszkaniec cesarstwa rosyjskiego pragnąłem uwagami temi zadośćuczynić chrześcijańskiemu obowiązkowi, nakazującemu uczynną miłość dla społeczeństwa, którego jest ktoś członkiem; jako katolik miałem przedewszystkiem na oku potrzeby mych współwyznawców.

Po krótkim tym wstępie *ad captandam benevolentiam* dzieli autor memoryału swą pracę na dwie główne części; w pierwszej

---

[1] *Considérations sur la prospérité morale des Colonies de la N. Russie.* W papierach po Chołoniewskim znajdujemy aż cztery odrębne, nader starannie dokonane kopije tego memoryału.

[2] Ekklez. III. 7.

wylicza główniejsze warunki, mogące zapewnić koloniom moralny, pomyślny rozwój i najważniejsze w tym kierunku przeszkody; w drugiej praktycznie zastanawia się, w jaki sposób zadosyć uczynić duchownym potrzebom katolickich kolonij w Nowej Rosyi. Rząd rosyjski rozumiał zawsze doskonale, że nie samym chlebem żyje człowiek i dlatego, jak za Piotra W., tak za następnych i za ostatnich cesarzów: Pawła i Aleksandra nie mało dbał o to, aby chrześcijańskim kolonistom zapewnić wolność i możność wyznawania wiary, w której się zrodzili, a która, tem samem że w sercu ich i umyśle głębokie zapuściła korzenie, najsilniejszy wpływ wywierać jest w stanie na moralne ich zdrowie. Każda kolonia — zdaniem najznakomitszych rosyjskich mężów stanu — trzymać się powinna odziedziczonego od przodków wyznania; każda nowość w tej mierze stać się musi źródłem niekończących się niesnasek i kłótni, które znowu najfatalniej oddziaływują na moralną jak i na materyalną pomyślność i rozwój kolonij. Niesnaski te, spory powstałe już nie tylko w miasteczkach i wioskach, ale i w pojedyńczych rodzinach, nie wychodzą na korzyść żadnego chrześcijańskiego wyznania, przyczyniają się tylko jedynie do powiększenia obojętności dla religii w ogóle, do wygładzenia z serc i pamięci wszelkiej normy chrześcijańskiej moralności, której rząd powagą swą bronić jest obowiązanym, i niewątpliwie bronić i strzedz pragnie. Na ogólne te zasady zgadzał się i zgadza rząd cesarski, czego najlepszym dowodem opieka, jakiej nie odmawia różnym wyznaniom chrześcijańskim; nie odmówi więc tej opieki i katolickim koloniom w Nowej Rosyi Jakież są duchowne potrzeby tych kolonij liczących około 21.000 katolików stale w nich osiadłych; jak potrzebom tym zapobiedzby można?

Przedewszystkiem uderza rażący brak katolickich księży. Na niezmiernej przestrzeni obejmującej trzy wielkie gubernie: Cherzońską, Jekaterinosławską i Krymską rozsianych jest 15 parafij, zarządzanych przez 20 księży, z których pięciu przebywa w Odessie. Kilku z tych księży nie włada dostatecznie ani rosyjskim, ani niemieckim językiem. Każdy ma prócz innych zajęć poruczoną sobie dyrekcyę elementarnej szkółki, odległej od kościoła nieraz o wiorst pięćdziesiąt; każdy niemal ma do walczenia z większą lub mniejszą materyalną nędzą. Jeżeli gdzie, to w miejscach, w których katolicy

znajdują się w mniejszości, otoczeni przez nader różnorodne, często niechętne żywioły, duszpasterze ich odznaczać się muszą, jeżeli należycie odpowiedzieć mają swemu urzędowi, równie budującem życiem, jak wszechstronną, a głęboką nauką. Czy sądzić można, że pograniczne trzy dyecezye takich właśnie kapłanów w ogóle do kolonij krymskich wysyłają? Nie ubliżając bynajmniej powadze biskupów, nie omylimy się twierdząc, że wolą oni i starają się zachować gorliwszych i uczeńszych księży dla własnych dyecezyj; kogo radzi się pozbyć, kto nie zbyt lubi pracą się obciążać, a tem samem, jak często się dzieje, do podróży i zmiany miejsca okazuje się skłonniejszym, temu ofiarują misye krymskie. Pograniczne dyecezye na odjazd takich księży się nie skarżą; inna rzecz, czy katolicy krymscy cieszą się z ich przyjazdu.

Jakże temu złemu zaradzić; jak zapewnić Nowej Rosyi wzorowych a uczonych katolickich księży, którzy byliby w stanie godnie odpowiedzieć wszystkim słusznym wymaganiom rządu i mieszkańców: katolików i akatolików. Jedynym radykalnym środkiem byłoby założenie w Krymie, najodpowiedniej w Odessie, katolickiego seminaryum na 24 kleryków[1]; seminaryum mającego na celu wychowanie i wykształcenie przyszłych krymskich proboszczów, znających zwyczaje i obyczaje swych parafian, mogących się z nimi bez trudności rozmówić w ojczystym ich języku. Naturalnie, seminaryum to, jeżeli przynieść ma pożądane owoce, zależeć będzie musiało we wszystkich szczegółach od wyższej kościelnej władzy; dlatego dla ukoronowania całego tego dzieła, należałoby koniecznie erygować w Odessie katolickie biskupstwo. Odpowiednich funduszów dla uposażenia seminaryum, biskupa i kapituły dostarczyćby mogły bądź pojezuickie majątki, bądź bezpośrednio szczodrość rządu, troskliwego o moralne dobro swych poddanych...

Oto w głównych zarysach treść ważnego tego, z niemałem staraniem i znajomością rzeczy zredagowanego memoryału. Na Wo-

[1] Wedle planu załączonego do memoryału, seminaryum zostawać miało pod zarządem rektora i prefekta; czterech profesorów miało zająć katedry: dogmatyki, prawa kościelnego, historyi kościelnej i liturgii, Pisma św.; wreszcie osobny nauczyciel, niekoniecznie ksiądz, uczyć miał praktycznie języków: rosyjskiego, niemieckiego, włoskiego i polskiego.

roncowie, korzystnie zresztą z góry dla sprawy uprzedzonym, wywarł on nie małe wrażenie: „Nie tylko zgadzam się najzupełniej, pisał do Chołoniewskiego w nadzwyczaj grzecznym liście [1], na głó„wne zasady wyrażone w Twem piśmie, ale i na wszystkie szcze„góły wybornie obmyślane, z wielkiem doświadczeniem, znajomo„ścią miejscowości i w prawdziwie chrześcijańskim duchu". Na teoryę najzupełniejsza zgoda; ale jak tę teoryę w praktyce przeprowadzić? „Zdaniem mojem, inicyatywa wyjść musi z Petersburga, „od tamtejszego katolickiego metropolity. Trzeba będzie tak sprawą „pokierować, aby zapytano mi się o zdanie w tej mierze, jako tu„tejszego gubernatora, a natenczas z gorliwością płynącą ze szcze„rego przekonania poprę podany mi przez Ciebie projekt. Ja ze „swej strony pierwszych kroków stawiać nie mogę, tem bardziej „że, choć bez najmniejszej racyi, podejrzywają mię w Petersburgu, „jakobym zbyt sprzyjał religii katolickiej. Jestem wierny i przy„wiązany do własnej swej religii, ale zarazem sercem i duszą prze„konany jestem o niewymownych pożytkach religijnej tolerancyi, „jednym z głównych owoców chrześcijańskiej miłości... Oto moje „zapatrywanie się. Być może, że prędzej czy poźniej nadarzy się „okazya do poruszenia tej kwestyi w inny sposob, niż obecnie „przezemnie podany, ale zawsze, jak sądzę, najpraktyczniejszą i naj„bezpieczniejszą byłoby rzeczą, aby inicyatywa wyszła z Petersburga".

Rada była dobrą, ale w Petersburgu nie tak łatwo było kogo znaleść, coby rozumnie a gorliwie zajął się ważną tą sprawą. Nie widząc innego sposobu, pragnąc zarazem wyjednać sobie paszport za granicę, wyruszył sam Chołoniewski, choć dopiero z wiosną 1838 r. do Petersburga. Inne to było teraz miasto; inni, inaczej usposobieni i myślący ludzie, niż ci, z którymi Chołoniewski w młodości kolegował. Jeżeli Woroncow bardzo przychylnie dla przedłożonego sobie projektu usposobiony, nie taił, że nie tak łatwo będzie sankcyę rządową dla niego uzyskać, zwłaszcza przed ustanowieniem prawosławnego biskupstwa w Odessie lub Cherzonie, to petersburscy ministrowie i urzędnicy słuchali z nieukrywanem zdziwieniem czynionych sobie przedstawień i grzecznie, ale i stanowczo

[1] Odessa 21 marca 1837.

przechodzili nad niemi do porządku dziennego. Ten sam los spotkał kwestyę małżeństw mieszanych, którą Chołoniewski nieraz w rozmowach próbował poruszać i nad którą przygotowując się do odpowiedzi na możliwe pytania i zarzuty robił w samymże Petersburgu wyczerpujące studya. Dla pociechy wręczono mu nominacyę na kanonika-prałata katedry kamienieckiej; słaba to była pociecha i nie dziw, że Chołoniewski z żalem wracał do domu, strapiony nieudaniem się pięknych a daleko sięgających planów; rad, że mógł pożegnać „długie, tęskne ulice Hosudarskiego grodu“ [1].

Mniejszą, ale nie mniej dotkliwą przykrością było odmówienie paszportu za granicę, a w szczególności do Włoch. Wieść o tej podróży, będącej od kilkunastu miesięcy celem pragnień stęsknionego do południowego nieba, a zwłaszcza do Rzymu kapłana, rozbiegła się już szeroko i daleko między dawnymi jego przyjaciółmi. „Ks. Chołoniewski, donosiła Mickiewiczowi pani Ankwiczowa [2], wybiera się do Włoch“. Wybierał się, lecz wybrać się nie mógł i to nie tylko do Włoch, lecz nawet i do austryackich zakładów kąpielowych. „Za dawne moje włóczęgi teraz pokutować muszę“, mawiał ks. Stanisław z uśmiechem, i prócz paru obowiązkowych wycieczek do Kijowa, nigdzie dalej z domu się nie wychylał. Prawda, że czasami, jak np. w r. 1840, i dwa razy do roku trzeba było odbywać niezbyt bliską i wygodną drogę do Kijowa: raz na kontrakta, drugi raz w deputacyi podolskiej szlachty, wezwanej do Kijowa dla złożenia hołdu bawiącemu tam cesarzowi Mikołajowi. Drugą tę podróż, smutne jej i zabawne przygody, sam akt prezentacyi a zwłaszcza długie do niego przygotowania, opisał zwyczajem swym Chołoniewski dla siostry Cecylii w bardzo obszernym, ale nie mniej ciekawym dzienniczku, wybornie malującym ówczesnych ludzi i stosunki [3].

---

[1] „Powitanie stolicy północnej“. *Pisma pośmiertne* t. II, 140.

[2] Kraków. 10 marca 1838. *Pisma Mickiewicza.* Paryż 1870. t. IX. 237.

[3] Dzienniczek ten, a raczej obszerne z niego wyjątki wydał z rękopisu dr. Antoni J. p. t. *Ksiądz Stanisław Chołoniewski. Opis podróży Kijowskiej odbytej w r. 1840*, najprzód w *Przewodniku naukowym i literackim* z r. 1886, a następnie w osobnej odbitce. Wydawca uwiadamia w przedmowie, że wykreślił z opisu „ustępy dotyczące osobistych stosunków piszącego, wrażeń i medytacyj nie obchodzących ogółu“; czy ustępy te istotnie na wykreślenie

Po nużących, choć nie pozbawionych komicznej strony, korowodach paszportowych i po wydaniu sporej liczby rubli na sztafety z zapytaniami, czy w ogóle księża mile będą widziani, popędził Chołoniewski do Kijowa w piątek 2 sierpnia „prawie tak gwałtownie, jak Mazepa Lorda Byrona, przywiązany do dzikiego konia, jak złodzieje czujący za sobą pogoń niemiłą, przerzynając się przez piaski sześciokonną karetką, z dobrym kapitałem cierpliwości, który też, mimo sześciu koni i nadskakujących Żydów — poczmistrzów, nieraz bardziej jeszcze od brzęczącego kapitału był potrzebny. W cztery dni stanął nasz podróżnik w Kijowie; choć cesarz dopiero za dni kilka miał przyjechać, w całem mieście wrzało jak w ulu, mieszkania za wagę złota nie można było wynająć, a fiakrzy kazali sobie płacił 50 – 80 rubli asygnacyjnych dziennie. Ósmego sierpnia, w czwartek udzielił generał-gubernator Bibikow audyencyi podolskim obywatelom; gubernator, z niemałem zdziwieniem zebranych, przemówił do nich po francusku, a Chołoniewskiego zaszczycił osobnym, gładko ułożonym komplementem. Przez cały dzień i część następnego rozmawiała szlachta tylko o francuskiej przemowie i najpiękniejsze na tem tle snuła nadzieje; zaczęto rozmyślać i głośno radzić, czy i jakie petycye do cesarza podać; ks. Stanisław, ogólnym prądem porwany, chciał też wysunąć naprzód pewne potrzeby parafij i kościołów katolickich, „aby okazać rządowi, jak ma trzymać o duchu katolickim tych prowincyj; — że wiara przodków jest dla nich najważniejszym interesem“, i kto wie, czegoby jeszcze nie żądano, a zwłaszcza czegoby się nie spodziewano, gdyby Bibikow, wezwawszy marszałków gubernskich: podolskiego, wołyńskiego i kijowskiego, nie oświadczył kategorycznie, że on już sam na własną rękę odpowiednie petycye cesarzowi przedłoży, a prosi bardzo, aby z wszystkiemi innemi prośbami i uwagami niepotrzebnie się nie wyrywano. Marszałkowie potrójnym, niskim ukłonem pożegnali gubernatora, a szlachta i z nią Chołoniewski „znowu cicho!“

---

zasługiwały, tego osądzić nie jesteśmy w stanie, bo dr. Antoni J. mimo parokrotnie powtórzonych próśb, nie uważał za stósowne pożyczyć nam ani tego rękopisu, ani innych listów i notatek, których niegdyś M. Cecylia do przejrzenia mu udzieliła.

Wreszcie w sobotę, 10 sierpnia przyjechał cesarz z następcą tronu wśród deszczu i słoty. Ks. Stanisław wygodnie z okna wjazdowi się przypatrywał, ale ci, co od piątej z rana do piątej popołudniu przed Ławrem na deszczu i głodni czekali, powracali do domów w rozstrojonych humorach, i innym psuli humory opowiadając o „srogiej“, tem sroższej, że znudzonej i zmęczonej przyjęciem i słotą twarzy cesarskiej. Nie bez pewnego też niepokoju zebrała się szlachta trzech gubernij, pod przewodnictwem swych marszałków, na uroczystą, na południe w poniedziałek naznaczoną audyencyę. Długo czasu upłynęło, wiele krwi się napsuło, zanim zebrani uszykowali się w jakimśkolwiek porządku; Chołoniewskiego, mimo próśb i protestów, wciągnięto gwałtem do pierwszego szeregu, „bo prałat z tyłu przecież stać nie może, — i nie o Jegomościa, ale o stan tu chodzi“ — powtarzano mu z przyciskiem, pchając naprzód i tak dobrze już „przyduszonego i zmiętego“. Od czasu do czasu przerywała monotonię długiego czekania jakieś zabawne nieporozumienie, lub śmieszna awanturka, które Chołoniewski skrzętnie w pamięci sobie karbował i z niemałym humorem w dyaryuszu opisuje; ale ostatecznie nieznośnie było „ciasno, nudno, cicho“, „aż wreszcie zdala u wchodu sali błysnął w lazurowym żandarmskim mundurze hr. Benkendorf, i wnet jak lekki zefiru powiew przeleciał szmer po całej sali: unosił się coraz dalej, aż póki nie skonał na wargach ostatniego obywatela, stojącego na drugim jej końcu“.

Zaczęła się prezentacya. Za każdem nowem poruszeniem obijało się o nasz słuch donośnym głosem przez Bibikowa wymówione nazwisko prezentowanego, a potem brzęk ostróg, oznaczający ukłon cesarski — i nic więcej. Do kilku zaledwie wybranych cesarz parę słów przemówił, przy senatorze Ilińskim najdłużej się zatrzymał, Chołoniewskiego nawet zwykły ukłon ominął, bo gubernator go nie przedstawił, a cesarz nie przypominając sobie naturalnie, że kiedyś jeszcze jako W. Książę spędził sam na sam całe pół godziny z ówczesnym „kamerjunkrem“ na ożywionej rozmowie; ani znać, ani widzieć nikogo nie chciał prócz osób ceremonialnie prezentowanych wedle z góry ułożonej listy. Po odejściu cesarza miał Bibikow mowę, której nikt nie słuchał, później dowiedziano się, że marszałek kijowski, Tyszkiewicz został tajnym sowietnikiem, marszałek podolski, Przezdziecki otrzymać miał złotą tabakierkę z portretem

cesarskim jak utrzymywali jedni, z cyfrą brylantową jak dowodzili inni.

Nazajutrz otrzymał Chołoniewski ciekawszą w swoim rodzaju audyencyę u senatora Ilińskiego. Głośny ten, ale w gruncie poczciwy i względem kraju zasłużony oryginał, dźwigał dobrze siedemdziesiąty piąty rok życia, choć na nogi słabował i w dyskursie cokolwiek się zapominał. „Senator jak zawsze przyjął mię bardzo łaskawie i przybierał się do całowania mi ręki“ — poczem wszczęła się następująca, z humorem przez Chołoniewskiego powtórzona rozmowa:

Senator. Kochaneczek! aniołeczek! zawsze cię noszę w mojem sercu. Jużem się chciał gniewać na ciebie, żeś mię dotąd nie odwiedził.

Ks. Stanisław. Pragnąłem dawno już szczęścia powitać p. senatora w Romanowie. Czułem, że jest to moim obowiązkiem, dlatego najprzód, że Hrabia tyle zawsze byłeś łaskaw na całą moją rodzinę; powtórę, że jesteś, Panie, dla nas katolików prawdziwie patryarchalnym opiekunem, którego winniśmy kochać i szanować drogo.

Senator. Ja *łotr,* Kochaneczku, i nic więcej, ale dlaczegóż nie odwiedziłeś mnie w Romanowie?

Ks. Stanisław. Z powodu tych nowych nieszczęśliwych urządzeń krajowych, które nie dozwalają księżom bez paszportu nawet z powiatu do powiatu przejeżdżać.

Senator (poważnie). Co to nie dozwalają! Do mnie przyjeżdżać nikt nie może zakazać. Oto ks. Deszczyński, kanonik, *mon Chapelain,* który ma zawsze przystęp do mego gabinetu o każdej porze. Żebyś był, Kochaneczku, przez niego do mnie się udał, że chcesz być u mnie w Romanowie, ja byłbym Ci dał słówko na piśmie, i nikt w świecie nie byłby śmiał Ciebie zatrzymać. Powiedz Deszczyński, ty wiesz, co to znaczy?

Kanonik (donośnym głosem). Tak jest, p. Senator byłby wezwał ks. prałata. W tem nie ma żadnej wątpliwości, że p. Senator kogo chce może wezwać pismem.

Ks. Stanisław. Ja wiem, że p. Hrabia jako *senator Imperii,* może to, czego innym nie wolno.

Senator. Co to hrabia! Co to *senator Imperii! Vanité des*

vanités! Co senator może! Ale *łotr* ma sobie dane od pana naszego *carte blanche* w interesach kraju tego i jego religii; dwa słówka *łotra* na piśmie i wszystko być musi. Powiedz, Deszczyński, czy nie tak?

Kanonik. Tak jest niezawodnie.

Senator. Nie wiedziałeś o tem Kochaneczku. Szkoda także, żeś mnie pierwej nie uprzedził, że chcesz widzieć cesarza, ja byłbym ciebie obok *łotra* postawił i powiedział: *Sire, voilà un digne Ecclésiastique, qui mérite d'être Evêque*[1], i wszystko byłoby już skończone. Szkoda. Słyszeliście już zapewne o łaskach ogłoszonych; obiecał mi jeszcze większe na potem, tylko trzeba cierpliwości, a ja mu znowu przypomnę obietnicę. Byłeś także, jak ja, Aniołeczku w tym raju ziemskim: w Rzymie i w Lorecie. Mnie Leon XII dał wszystkie łaski i przywileje, jakie tylko mógł dać.

Ks. Stanisław. Wiem o tem p. Hrabio.

A *Contessa* ciągle trzymając w ręku filiżankę z zimną czekoladą powtarzała kilkakrotnie: *Oh, il lui a donné tout*, wszystko mu dał — *mais c'est la vérité*[2].

Ks. Stanisław. Czy p. Senator podczas swej ostatniej bytności we Włoszech widział się z szanownym Ojcem Odescalchi.

Senator. Widziałem go w Weronie. *Och! c'est un grand saint.* Skoro mnie obaczył, tak się ucieszył, że mnie ręce i nogi chciał całować, a ja ręce nogi jego chciałem całować... Jest tu podobno jeszcze kilku innych księży, ale ja ich nie znam. Takie to teraz czasy, że i oni mnie nie znają. Jakiś tu jest podobno ksiądz Ho — Hoł — ; jak on się zowie, Deszczyński?

Kanonik. Ks. kanonik Hołowiński; zapewne nie mógł dotąd służyć J. W. Panu dlatego, że temi dniami w uniwersytecie zajęci byli przybyciem cesarza, a on jest profesorem w uniwersytecie.

Senator (przerywając). Żadna twoja racya, Deszczyński! *Et haec facienda et haec non omittenda* — a obróciwszy się do mnie rzekł: *Voyez, je suis tout en Dieu*, a mam czas na wszystko...

„Żal mi było widzieć tego staruszka w takim stanie osłabie-

---

[1] Oto, Najjaśniejszy Panie, zacny kapłan, który zasługuje na to, by został biskupem.

[2] O! dał mu wszystko; to szczera prawda

nia. Zawsze mu wdzięczność należna będzie od tych prowincyj za tę piękną stałość, z jaką tylekroć stawał w obronie religii katolickiej. Dopóki w Polsce pamiątka zostanie oswobodzenia Kościuszki z więzienia petersburskiego, dopóty Iliński musi być wspominanym. Wiara jego także niezłomna w tym odmęcie czasów jest moralnym fenomenem godnym uwagi; albowiem ci, których jego śmieszności gorszą, ludzie mu nieprzyjaźni, duchy mocne, co się natrząsają z osób daleko mniej od Ilińskiego pociesznych, nigdy nie wpadli na myśl szukać obłudy w jego uczuciach religijnych. Niech co chcą mówią, powtarzam, że to nie mały fenomen potęgi wiary naszej, zmuszać płochy świat do poważania siebie wtedy, kiedy się nawet pokazuje w osobie, skąd inąd pobudzającej do owego nieustannego śmiechu bogów, o którym Homer wspomina".

Pobyt w Kijowie, mimo paru mniej miłych, ale z wybornym humorem zniesionych epizodów, miał być ostatnim, podobno weselszym, żadną ciężką troską niezamąconym połyskiem w życiu Chołoniewskiego. Zdrowie dawno radykalniejszej kuracyi potrzebujące, coraz częściej i dłużej odmawiało służby, a na domiar nieszczęśliwy przypadek znacznie je jeszcze na długie tygodnie nadwyrężył. „Już piąty tydzień łóżkiem się bawię, pisał ks. Stanisław do szwagra pod datą 17 grudnia 1841 r., na progu ks. biskupa płaszcz zaplątawszy mi się w nogi, stał się przyczyną tak gwałtownego upadku, iż, zdaniem Fockelmana, prawej nogi kość *tibia* musiała się trochę rozkłóć i kilka pomniejszych ścięgów pękło; kto ich tam zresztą wie? Dość, że mi kazano leżeć jak najwięcej; siedzieć długo nie mogę i pisać mi przytrudno, a po pokoju to tylko na kuli przesuwać się mogę. Jestem formalny, na nic nie przydatny szpitalnik".

Dolegliwość ta była tem przykrzejsza, że przyszła bardzo nie w porę, bo w chwili, w której biskup Mackiewicz ciężko zachorował i lada dzień mógł dyecezyę osierocić. Choć o kuli i z wielką trudnością zawlókł się jednak Chołoniewski parę razy do biskupa, który „mile go widział, donosi matka Cecylia Grocholskiemu[1], „i dziś podobno ostatni raz błogosławił. Biskup daje dowody szczerej i żywej wiary, co nas wielce pociesza i osładza te chwile pełne litości dla niego, a obawy o przyszłość naszą. Ach! bę-

[1] 14 stycznia 1842 r.

„dzieszże ona lepszą, czyli podobno gorszą jeszcze?“ List ten pisany był 14 stycznia; nazajutrz we czwartek biskup umarł. Kto będzie jego następcą, kogo kapituła wybierze wikarym generalnym? pytano w całym Kamieńcu, a odpowiedź brzmiała z rzadką jednomyślnością: Chołoniewskiego. Oddawna już obijały się o uszy ks. Stanisława i to nie tylko z ust starego Ilińskiego, zapewnienia i komplementy: „Biskupem będziesz i być powinieneś“; komplementów tych słuchał on z uśmiechem, nie sprzeczając się, ale z lekkiem odcieniem właściwej sobie ironii wzruszając ramionami; nie mógł jednak przed sobą samym taić, że prędzej czy później do infuły zostanie wezwanym, i pytał się z trwogą, czy i jak ciężar ten, zawsze nie mały, a w ówczesnych, coraz smutniejszych stosunkach prawdziwie przygniatający, potrafi udźwignąć? Infuła nie miała wprawdzie spocząc na głowie dobrze na nią zasługującego prałata; ale choć honor ominął, ciężar nie ominął. W sam dzień pogrzebu biskupa Mackiewicza, 21 stycznia kapituła obrała jednomyślnie ks. Stanisława wikarym kapitularnym — „jednomyślnie, do„daje M. Cecylia[1], bez braku żadnego głosu, tak iż trzeba uwa„żać w tem prawdziwe natchnienie Boże“. Chory jeszcze Chołoniewski zmuszony prośbami, obawiając się nie bez podstawy, aby administracya dyecezyi w mniej właściwe nie dostała się ręce, przyjął ofiarowaną sobie godność, ostatni szczebel do biskupiego tronu, jak mu powszechnie powtarzano; jeden chyba stopień do krzyża Chrystusowego, jak mówił sam w gronie poufałych[2]. Niedaleki czas okazał, że ks. Stanisław jaśniej od swych przyjaciół patrzał w przyszłość.

Wybór kapituły potwierdzić miał metropolita; właściwie jednak i to od pierwszej zaraz chwili troska o sankcyę duchowną zeszła na drugi plan, a jedynie obawiano się rządowego *veto*. Jakoż ledwie dni kilka upłynęło, nadszedł z wyższego polecenia kategoryczny rozkaz, który unieważniając dopełniony wybór, zlecał w imieniu i z woli rządu całej kapitule administracyę dyecezyi. Z jakich przyczyn i pod czyim wpływem rozkaz ten został wydany; czy

---

[1] Do *Grocholskiego* 21 stycznia 1842 r.
[2] Do *Emil. Grocholskiej* 24 stycznia 1842 r.

grały tu rolę nieprzebierająca w środkach ambicya i niska zazdrość; czy może w wpływowych sferach nie chciano oddać zarządu dyecezyi kapłanowi wykształconemu w Rzymie, nie tającemu bynajmniej ściśle katolickich, ultramontańskich zasad swych i przekonań, mającemu szerokie stosunki w obywatelskich sferach, gorliwemu a majątkowo niezależnemu? Wszystkie podobno te przyczyny wpłynęły w pewnej mierze na zaszłe postanowienie, które piętnując Chołoniewskiego jako *personam ingratam* raz na zawsze od infuły go odsądzało. Kapituła ustępując konieczności, a nie mogąc wedle prawa kanonicznego przystąpić do powtórnego wyboru, naznaczyła administratorem dyecezyi dla spraw wymagających porozumienia się z rządem prałata Jana Ostapowicza, dając mu tytuł, a władzę, przynajmniej we wszystkich sprawach duchownych, zachowując wybranemu kanonicznie Chołoniewskiemu. Niezmiernie to była trudna i delikatna pozycya: jeden miał rządzić, drugi rządzcą dyecezyi się nazywać; jeden podpisywać rozporządzenia i rozkazy, drugi je wydawać; pozycya tem trudniejsza, że w tym właśnie czasie zbierały się równie nad kamieniecką, jak nad sąsiedniemi dyecezyami coraz czarniejsze chmury, a kilka zwłaszcza spraw niemałej wagi domagały się energicznego wystąpienia i pewnej siebie ręki.

Ciężka odpowiedzialność i coraz nowe trudności i troski podkopywały i tak niesilne zdrowie; pogorszyło się ono zwłaszcza z początkiem lata 1844 tak dalece, że — jak Chołoniewskiemu sumiennie się zdawało — dłużej trudnych, tem trudniejszych że w tajemnicy niejako wykonywanych obowiązków wikaryusza kapitularnego należycie dźwigać nie był w stanie. W zdaniu tem potwierdzili go lekarze, domagając się energicznie, aby jak najprędzej, jeżeli życie mu miłe, wyjechał do Grafenberga mniej dla odbycia coraz bardziej w modę wchodzącej „prysznicowo-gräfenbergowskiej“ kuracyi, jak dla usunięcia się choćby na kilka miesięcy od rosnących wciąż, a istotnie przewyższających siły prac i kłopotów. Ustępując konieczności złożył Chołoniewski w pierwszych dniach sierpnia 1844 r. na sesyi kapituły rezygnacyę z urzędu wikaryusza kapitularnego, a jednocześnie starał się poinformować, czy i jaką drogą dostaćby mógł paszport za granicę. Kapituła rezygnacyi nie przyjęła, tłumacząc się w obszernym, po łacinie spisanym urzędo-

wym akcie[1], że wedle prawa kościelnego nie wolno jej bez osobnego pozwolenia kongregacyi biskupów zmieniać kanonicznie obranego wikaryusza. Napróżno Chołoniewski dowodził w liście do jednego z kanoników[2], „że nie ma *officium* ani *beneficium*, ani „żadnej władzy świeckiej lub duchownej, której rezygnacya sama „przez się byłaby wzbroniona, jeśli według przepisanych reguł się „dopełnia; wszakże nawet *papatum* można rezygnować; złożył je „Celestyn w ręce kardynałów, lubo oni pewnie nie mieli prawa od„bierać mu władzy"; napróżno do tego listu dołączył obszerny memoryał dowodzący, że kapituła w zdaniu swem z prawem kanonicznem się rozmija. Uczony memoryał wywołał niemniej uczoną replikę i długo może jeszcze przeciągnęłyby się scholastyczne te rozprawy, gdyby zniecierpliwiony Chołoniewski, który w tej chwili bynajmniej nie miał ochoty rzymskie wrażenia odświeżać i wracać do szkolnych dysput, nie przerwał ich słowami: „Ja zrobiłem, co „mi sumienie kazało i dotąd mniemam, że mam prawo do r e z y„g n a c y i; wy inaczej sądzicie, więc trzymajmy się tej reguły: „W d o g m a t a c h j e d n o ś ć, w r z e c z a c h w ą t p l i w y c h „w o l n o ś ć, we w s z y s t k i e m m i ł o ś ć. Nadal nie myślę was „utrudzać tą materyą, boby to było na próżno".

Napróżno również było o paszport się starać. Na zapytanie, gdzie, u kogo i w jaki sposób może sobie paszport wyrobić, otrzymał Chołoniewski następną poufną odpowiedź[3]: „P. Hrabiemu, „jako duchownej osobie, pominąwszy władzę cywilną należy starać „się o paszport przez konsystorz, przedstawiwszy świadectwo le„karskie o niezbędnej potrzebie wód, czyli kuracyi zagranicznej, „przy czem w prośbie należy wymienić miejsce, do którego się „dąży. Konsystorz wniesie przedstawienie do K o l e g i u m, a to „do ministra; minister zaś, ile o obywatelu i duchownej osobie, „czy niema przeszkód do wyjazdu za granicę, zapyta jenerał-gu„bernatora, a ten gubernatora; następnie zapewne za rezolucyą ce„sarską każe wydać paszport". — „Ciekawym, w wiele lat po mo-

[1] Akt ten podpisany przez prałatów Marczyńskiego i Budzyńskiego; kanoników: Torosiewicza, Pawłowskiego i Sadowskiego i sekretarza kapituły Heymanna, nosi datę 12 sierpnia 1844.

[2] Do ks. Budzyńskiego. 14 sierpnia 1844 r.

[3] Kamieniec Podolski 30 lipca 1844 r.

jej śmierci paszport dla mnie nadejdzie?“ żartował sobie Chołoniewski, podając wedle powyższych wskazówek, prośbę do konsystorza, na którą rzeczywiście ostatecznej odpowiedzi nie miał się doczekać.

Z wiosną 1845 r. wyjechali Grocholscy w towarzystwie Morawskich do Gräfenbergu, pocieszając Chołoniewskiego i sami nadzieją się łudząc, że za parę tygodni, może nawet za parę dni i on będzie mógł za nimi podążyć i doznać skutków prysnicowskiej kuracyi, o której cuda sobie opowiadano. Liczna kolonia polska pod skrzydłami Prysnica zgromadzona: Czaccy, Rylscy, księżna Ogińska, ksiądz Benjamin Szymański, a zwłaszcza i przedewszystkiem Witwicki, codzienny gość w domu Grocholskich, niektórzy nawet cudzoziemcy, jak Gorczaków, Boriatyński i późniejszy generał Jezuitów O. Piotr Beckx, z upragnieniem czekali przybycia ks. Stanisława, którego jedni znali osobiście jeszcze z seminaryjskiej i szambelańskiej epoki, inni listownie z nim się znosili, wielu ceniło go wysoce jako autora, wszyscy czcili jako gorliwego kapłana, wiernego stróża Domu Bożego. Tymczasem całe lato minęło; w listopadzie Grocholscy opuścili *Gräfenberg*, a raczej sąsiadujące z nim *Freiwaldau*, a upragnionego gościa widać nie było. „Pyta „Pani, pisał Witwicki w grudniu 1845 r. do Emilii Grocholskiej [1], czy przed wiosną nie wyjadę? „Nie — będę już siedział, a gdy„bym i wtedy dosłyszał, że ma być ks. Stanisław, gotówem wtedy „umyślnie i pół roku na to czekać“. I znowu w miesiąc później [2]: „Bardzo dobrze, że ks. Stanisław chce przecież o zdrowiu swojem „pomyśleć i zamierza przybyć do Prysznicy; mam wielką otuchę, „żeby mu to prędko pomogło...“

W chwili, w której ostatni z wzmiankowanych listów Witwickiego przybył do Kamieńca, gdzie równie Grocholscy, jak i ks. Stanisław całą prawie zimę bawili, utracono już zupełnie nadzieję uzyskania paszportu dla z dnia na dzień widoczniej upadającego na siłach chorego. Chołoniewski pracował jeszcze dużo: w marcu dawał ośmiodniowe rekolekcye w kaplicy Wizytek; w kwietniu i w maju spędzał długie godziny przy stoliku, kreśląc

[1] Freiwaldau 6 grudnia 1845 r. — *Niwa* r. 1882 str. 603.
[2] 13 stycznia 1846. Tamże str. 605.

nieco gorączkowo parafrazę hymnu *Magnificat*, w którą złożyć niejako zamierzał wszystkie swe uczucia, myśli, pragnienia; w czerwcu przyczyniał się „osobistością swą do wielkiej parady w klasztorze Wizytek z powodu uroczystości Serca Jezusowego“ i pisał — choć mu z ciężkością pisać przychodziło“ — długie listy do swej „Mysi Dobrodzijki“ o wychowaniu wnuków, pocieszając ją w drobnych, zbyt żywo do serca branych kłopotach i kłopocikach, „że to rzecz całego życia wyrywać zielska złe, a polewać dobre kwiaty“. W ostatnich tych pracach i listach przebija coraz częściej jakby jakieś przeczucie zbliżającej się śmierci; potężnieje zawsze silny nastrój ascetyczny; wzrok w niebo coraz stalej utkwiony; dusza oczyszcza się w cierpieniach z pozostałych ziemskich naleciałości i pragnień. „Jak to dobrze dla duszy, zwierzał się najbliższym, powracając do „kwestyi paszportowej [1], nie mieć rzeczy po swojej woli. Kto Chry„stusa Pana nie chce do domu swego przyjąć tylko w chwale, jak „na zabawę, bez krzyża, ten Go próżno w gościnę wzywa. Zbawi„cielowi i w chwale miły krzyż ten, na którym świat odkupił; „niechże nam w pośród nędz tego świata stanie się on słodkim... „Bądźcie dobrej myśli, nigdy mi rzeczy więcej na wspak nie szły, „a nigdy tyle nie miałem słodkiej ufności w Bogu moim...“

Ufność tę wzmagała, cierpienia słodziła gorąca modlitwa, w której braku i niedostatecznem zrozumieniu ważności jej i potrzeby upatrywał Chołoniewski, bardzo słusznie, przyczynę wielu nieszczęść i prywatnych i publicznych. Ostatnie słowa skreślone dnia 30 maja 1846 r., trzęsącą się już ręką w niedokończonej parafrazie hymnu *Magnificat* są jakby hymnem pochwalnym na cześć modlitwy, jakby testamentową prośbą do najszerszego koła rodaków skierowaną:

„I ksiądz i zakonnik Polak, ze szlachtą swoją świecką jakoś „się już porozumieć nie mogą! Dlaczego? Bo się nie modlimy po „staropolsku razem, i straciliśmy ufność w pacierzu... Jako z upad„kiem modlitwy między nami upadła ojczyzna, tak przedewszystkiem „modlitwą tylko powstać może, której wzór przecudny właśnie

[1] List cytowany przez dr. Antoniego J. w rozprawie: „J. I. Kraszewski i ks. Stan. Chołoniewski“. *Przew. nauk. i liter.* Grudzień 1878 r.

„znajdziesz w tym śpiewie *Magnificat.* — *Haec spes mea reposita „est in sinu meo*[1]...“

Wezwaniem do ufności i modlitwy, okrzykiem: „W górę serca!“ który codzień przy ołtarzu powtarzając, w pismach swych słał go w najodleglejsze polskie prowincye, z ambony i w konfesyonale tysiące dusz nim krzepił, zakończył i streścił niejako Chołoniewski kapłańską swą i literacką działalność. W czerwcu usiłował jeszcze pracować w kaplicy Wizytek; cieszył się[2] „z wielkiej uroczystości Serca Jezusowego“ i z pomyślnej wiadomości, „że *tandem* rękopism mój o progressie przeszedł przez cenzurę i druk już na ukończeniu“; a jednocześnie słabiejąc na ciele, wzmacniał się coraz bardziej na duszy, cieszył się, że Bóg ogniem cierpienia oczyszczać mu ją dozwala z ziemskich naleciałości, aby od wszelkich więzów uwolniona, bez przeszkody potężnym lotem wzbić się mogła do ostatecznego kresu długiej swej, nieraz ciężkiej pielgrzymki. „Mszy św. mieć nie mogę i z ciężkością piszę, spowiadał „się przed szwagrem[3], lecz z cierpień fizycznych, zdaje mi się, cie„szyć się trzeba, że nam Bóg miłosierny daje pole do zasług „i świętej pokuty; równie bowiem fizyczne, jak moralne cierpienia „i prześladowania zasłużone, czy niezasłużone są ową drogą, nie„oszacowaną monetą, którą łącząc z zasługami i męką Zbawiciela „naszego możemy się wypłacać sprawiedliwości Bożej. Dlatego, do „każdej z takowych przygód powinniśmy, z duchem wielkiej ufno„ści i wiary, wołać z św. Andrzejem apostołem: *Ave crux bona!*“

W ostatnich dniach czerwca opuścił ks. Stanisław Kamieniec, aby jak corocznie, parę letnich miesięcy przepędzić w Janowie. Mimo zdrowego powietrza, mimo najtroskliwszych starań, nerwowe cierpienia, zbyt wierni i stali towarzysze od wielu już lat, coraz bardziej się wzmagały, a z początkiem sierpnia przyprowadziły chorego do bardzo groźnego stanu. Chołoniewski do łóżka się nie kładł, ale nie łudząc się bynajmniej spisał testament, a czerpiąc ufność w krzyżu i modlitwie, czekał z zadziwiającym spokojem, rychłoli spodoba się niebieskiemu wodzowi odwołać żołnierza swego

[1] Schowana jest ta nadzieja moja w zanadrzu mojem. (Job. XIX. 27).
[2] Do *Emilii Grocholskiej.* Kamieniec 14 czerwca 1846 r.
[3] Kamieniec 22 maja 1846 r.

z wyznaczonego mu na ziemi stanowiska. Drugiego września (n. st.) przyjął ks. Stanisław klęcząco w komży i w stule komunię św., jako wijatyk, a wziąwszy krzyż w rękę i wpatrując się w rany Jezusowe, odmówił głośno następną, przez tradycyę rodzinną wiernie przechowaną modlitwę:

„Przedwieczny Ojcze, który mi pozwalasz opatrzeć się Cia„łem i Krwią najświętszą Jednorodzonego Syna Twego na drogę „wieczności: bądź pochwalony i w tej chwili, jako Cię chwaliłem „przez całe życie moje. Nie racz pamiętać na grzechy moje, kiedy „zdawać będę przed Tobą potrójny rachunek, jako człowiek, jako „chrześcijanin i jako kapłan; a postąp ze mną według wielkiego „miłosierdzia Twojego!“

Ostatnie to były słowa, ostatnie niejako, najwymowniejsze kazanie żarliwego tego sługi Bożego; nazajutrz 3 września po przyjęciu Ostatniego Namaszczenia, modląc się cicho, słuchając i łącząc się z modlitwami otaczających, żyć przestał. „Ks. Chołoniewskiego stratę cała prowincya opłakuje, to prawdziwie strata Kościoła polskiego“, pisano w kilka dni później do Wojciecha Morawskiego; a że słowa te z prawdą się nie mijały, tego dowodem pośmiertne oznaki czci, w których cała Polska się złączyła. Na pogrzebie zwracał na siebie szczególną uwagę Kraszewski, który rzucając wszystko, pospieszył z Gródka oddać drogiemu przyjacielowi ostatnią usługę. „Tłum obywateli, krewnych, przyjaciół — opisuje Kraszewski smutne te chwile — znajomych z różnych stron przybyłych i ludu ubogiego był ogromny. Połowa prawie duchowieństwa dyecezyi znajdowała się w Janowie. Ubodzy, których tajemnie wspierał ks. Stanisław, cały wylany dla cierpiących w jakikolwiek sposób, niektórzy o mil kilkadziesiąt do zwłok dobroczyńcy się przywlekli, mówiąc, że to za święty uważali obowiązek“. W Kamieńcu, Wilnie, Lwowie, Warszawie, Petersburgu, odbyły się uroczyste nabożeństwa żałobne; wszędzie pierwszorzędni kaznodzieje głosili cnoty zmarłego, w którym, jak wyraził się warszawski mowca ks. Mętlewicz[1]: „Kościół stracił najlepszego syna; ziomkowie stracili „swój zaszczyt; poddani stracili nie pana, ale ojca i dobroczyńcę“.

[1] Kazanie na żałobnem nabożeństwie za duszę ś. p. Stanisława hr. Chołoniewskiego, miane przez K. J. K. Mętlewicza, w dniu 24 września 1846 r. u OO. Kapucynów w Warszawie.

Z głosami pogrzebowych mowców podających jako przykład do naśladowania cnoty, zaparcie się, kapłańskie prace Chołoniewskiego, złączyły się wszystkie poważniejsze pisma polskie, wynosząc literackie jego zasługi. Najserdeczniej i najpiękniej odezwał się Kraszewski w *Athenaeum*[1]: „W Kościele wojującym mało jest „mężów, coby go zastąpić potrafili, nikt może zupełnie miejsca jego „nie zajmie... My, cośmy go znali osobiście, cośmy go cenili ser„cem i umysłem, jako człowieka, kapłana, jako pisarza, zbliżeni „ku niemu, głębiej zajrzawszy w anielską duszę jego, bolejem może „mocniej nad innych nad zgonem... Wszędzie jest on najprzód „kapłanem. W życiu prywatnem, publicznem, pisarskiem, widzisz „go zawsze księdzem przedewszystkiem. Słodki w towarzystwie, „ujmujący dobrotliwością, grzecznością, współczuciem, dowcipny „z serca nie z głowy, ale dowcipu prawdziwie polskiego, z któ„rego się miłość braterska dla ludzi przebijać umiała — gdziekol„wiek był, cokolwiek poczynał, nie starł z siebie na chwilę świę„tego i wielkiego charakteru kapłańskiego. Wśród zabawy, gdy „przyszła godzina modlitwy, wychodził od ludzi, aby pokrzepić się „rozmową z Bogiem. W pismach też pomniał najprzód na to, co „stan mu nakazywał: tak zawsze, tak wszędzie!... Słowa kardy„nała Odeschalchi, który mówił o ks. Chołoniewskim: Idzie „drogą świętych, pozostały może najwymowniejszem a naj„sprawiedliwszem ocenieniem jego żywota".

Kraszewski domagał się i spodziewał się, że potomność spłaci po śmierci dług zaciągnięty za życia „względem jednego z najznakomitszych ludzi w kraju naszym, jednego z najmniej przecież po„znanych i ocenionych". Nie prędko nadzieje te i życzenia choćby w części tylko spełnić się miały. Czterdzieści blisko lat upłynęło od śmierci Chołoniewskiego, a grób jego nie był jeszcze ozdobiony odpowiednim pomnikiem; stanąć on miał dopiero dzięki staraniom proboszcza Janowskiego, ks. Jana Goertza. „Po kilkodziesięcioletniem marzeniu, pisał ks. Goertz do Kraszewskiego pod datą 21 maja 1883 r., postawienia pomnika na grobie ś. p. ks. hr. Stan. Cho-

[1] *Athenaeum*. Oddział VI, zeszyt 6.

łoniewskiego, udało mi się nareszcie osiągnąć pożądany skutek. Proponuję napis:

Życie zgasło, lecz dusza wielka i wspaniała
Swą wyższością pośród nas jaśnieć nie przestała:
Roztacza swe promienie między piszącymi
Potęgą wzniosłych dążeń, myślmi szlachetnymi.

Po czterdziestu też dopiero latach zakrzątnięto się żywiej koło zbierania materyałów dla zapewnienia Chołoniewskiemu należącej mu się kartki w dziejach Kościoła i literatury polskiej. W *Dyaryuszu z podróży Kijowskiej* odsłoniła się w części postać dawnego dyplomaty, przyzwyczajonego po przez siatkę zewnętrznych oznak i pozorów śledzić właściwe poruszające sprężyny, głębiej do jądra rzeczy wzrok zapuszczać, zawsze trafnem, często dowcipnem słowem ludzi i stosunki charakteryzować. W *Kazaniach* daje się poznać ksiądz, asceta, misyonarz; w *Korespondencyi z Kraszewskim* wytrawny krytyk bacznie śledzący w najrozmaitszych kierunkach objawy narodowego ducha; we *Śnie w Podhorcach* samodzielny pisarz, ostrzegający przed fałszywemi drogami i w pismach i w życiu[1]. I niniejszego życiorysu jedynem zadaniem, aby piękna ta dusza, która jak pobożne siostry na pośmiertnej pamiątce wypisać kazały: „Dla Jezusa, Prawdy wiecznej, jedynie żyła“ — i pośród nas odblaskiem wiecznej Prawdy: potęgą wzniosłych dążeń, myślmi szlachetnemi nie przestała jaśnieć.

Ks. Jan Badeni.

[1] Życzyćby sobie należało, aby niebawem „Dwa wieczory u p. Starościny Olbromskiej“ i „Odpowiedzi na dwa pytania“, zwłaszcza na drugie: „Jak zapewnić sobie zbawienie w stanie małżeńskim?“ — okazały się w nowem wydaniu. Przekonani jesteśmy, że zwłaszcza ta ostatnia rozprawa, w odpowiednim formacie wydana hojnieby się nakładcy opłaciła, a nie mniej podobno jak przed czterdziestu latami i dziś byłaby na czasie.

W SPRAWIE SĄDOWNICTWA CZERWONORUSKIEGO
przed r. 1435.

Pod tytułem: *Wyrok lwowski r. 1421,* napisał zasłużony badacz naszej przeszłości p. Romuald Hube rozprawę traktującą o najdawniejszem sądownictwie ruskiem przed r. 1435 tj. przed nadaniem Rusi Czerwonej prawa polskiego. W rozprawie tej wy powiedział szanowny autor zapatrywania odmienne w kwestyach zasadniczych od tego, co w tej sprawie napisał prof. dr. Ksawery Liske w przedmowie do XI tomu swych Aktów grodzkich i ziemskich (str. VI—XII), który opierając się na wydanych w tymże tomie najdawniejszych zapiskach sądu sanockiego, rzucił nowe, a nieznane dotychczas światło na ową wielce ciekawą kwestyę, zmierzającą do rozstrzygnienia pytania, jaka była organizacya sądowa na Rusi od czasu przyłączenia jej do Polski aż do r. 1435, tj. przed tym czasem, kiedy weszła w krajach ruskich w życie uchwała sejmu jedlneńskiego z r. 1433, zapewniająca w skutek prośby szlachty ruskiej ziemiom ruskim wcielonym do Królestwa polskiego: *unum ius et unam legem communem* z Koroną [1]. Rozwiązanie tego pytania jest dla nauki wielkiej doniosłości, albowiem może przyczynić się do wyjaśnienia stanowiska prawnego, jakie zajęła Ruś w pierwszem stadyum wspólnego życia państwowego z Koroną. Niewątpliwie leży też w interesie nauki, aby ciekawa

[1] Vol. leg. wyd. Ohryzki t. I, str. 40—42.

ta sprawa znalazła w literaturze naszej jak najwszechstronniejsze omówienie, aby starły się w tej mierze różne zapatrywania, boć tylko na tej drodze, po zbadaniu różnych opinij, można dociec prawdy. To też praca p. Hubego pożądaną była bardzo w ubogiej pod tym względem naszej literaturze, żałować tylko wypada, że szanowny autor, stwarzając swe cenne poglądy, nie przedstawił w swej pracy zapatrywań prof. Liskego, lecz pominął je prawie zupełnie milczeniem, nie starając się nawet pokrótce zapoznać z niemi czytelników. Boć przecie sądzimy, luźnej wzmianki umieszczonej we wstępie do rozprawy: „że prócz trafnych dostrzeżeń prof. Liskego, wyłożonych z właściwą mu krytyczną miarą, w przedmowie do wydanych przez niego w roku zeszłym najdawniejszych ksiąg sądowych sanockich, nie posiadamy dotąd żadnej pracy przedmiotowi temu poświęconej“ — nie możemy uważać za wyczerpujące przedstawienie tych zapatrywań, które tem bardziej winne były znaleść omówienie w pracy szan. autora, że między zapatrywaniami prof. Liskego a zapatrywaniami autora, ważne zachodzą różnice.

W obec tego, poczuwamy się do obowiązku przedstawić w niniejszej pracy zapatrywania obu autorów i wykazać na podstawie wydanych dotąd materyałów źródłowych, za którem z tych obu zapatrywań oświadczyć się wypada.

Prof. Liske, opierając się na wydanych przez siebie zapiskach sądu sanockiego, rozpoczynających się od r. 1423, które mieszczą zatem w sobie zabytki z lat 12 przed nadaniem krajom ruskim prawa polskiego, objawił w sprawie naszej następujące zapatrywanie.

Przed r. 1435, tj. przed nadaniem Rusi Czerwonej prawa polskiego, istnieje tutaj w poszczególnych ziemiach jeden sąd nazwany ziemskim, którego kompetencya obejmowała zarówno sprawy podlegające po r. 1435, tj. z nastaniem organizacyi sądowej polskiej juryzdykcyi ziemstwa, jak i te, które później podpadały pod kompetencyę grodu. Ów sąd ziemski z przed r. 1435 składał się ze starosty, jako naczelnika i przewodniczącego, dalej ze sędziego tytułującego się ziemskim, z wojewody w znaczeniu ruskiem, pisarza i asesorów przypadkowo na roczku obecnych. Podobnej organizacyi sądowej, zdaniem prof. Liskego, nigdzie w Polsce nie spotykamy. Że takim był skład sądu sanockiego przed r. 1435, tego wymo-

wnym dowodem są ogłoszone w XI tomie A. g. z. przez prof. Liskego zapiski tegoż sądu[1]. Że zaś taka organizacya ówczesnego sądownictwa istniała i w innych ziemiach ruskich, za tem przemawia, zdaniem prof. Liskego[2], ta okoliczność, że i w zapiskach sądu halickiego spotykamy wzmiankę o istnieniu sędziego halickiego przed r. 1535, który występuje obok starosty i wchodzi razem z nim i wojewodą w skład sądu halickiego, zorganizowanego na wzór sanockiego. Mianowicie zawiera jedna z zapisek sądu halickiego z r. 1536[3] wzmiankę o byłym sędzi halickim Spiczniku, którato osobistość mogła piastować tę godność tylko przed r. 1435, gdyż od pierwszej chwili zaprowadzenia organizacyi sądowej polskiej w ziemi halickiej, spotykamy na tym urzędzie już inną osobistość, mianowicie Jana Kolę. Zdaje się, jak trafnie zauważył prof. Liske, że z czasów owej organizacyi sądowej, istniejącej w ziemi halickiej przed nadaniem Rusi prawa polskiego, pochodzi też ogłoszona w XII t. A. g. z. jedyna ruska zapiska[4], wystawiona przez Michała Buczackiego, kasztelana, starostę halickiego i Jana Kolę sędziego halickiego. Zapiska ta zdaje się przemawiać za tem, że organizacya sądu halickiego przed r. 1435 była taka sama jak organizacya sądu sanockiego. Że wreszcie taki sam stan rzeczy zachodził i w ziemi lwowskiej, za tem przemawia fakt, że i tutaj występuje w r. 1433 Stanisław Dawidowski w charakterze *Iudicis terrae Leopoliensis*, który urzęduje obok starosty lwowskiego[5].

Sąd ten tak zorganizowany, jest w Rusi jedynym organem sprawiedliwości, spełniającym juryzdykcyę zarówno grodu jak i ziemstwa w pojęciu organizacyi sądowej polskiej — obszerną jego kompetencyę charakteryzuje jasno późniejsza zapiska sądu sanockiego z r. 1442, z której dowiadujemy się, że *tempore iuris Ruthenicalis erat moris inscriptiones facere coram Capitaneis pro causis qui-*

---

[1] Np. w zapisce z r. 1430: *Iudicium terrestre celebratum sabbato proximo post festum Assumpcionis per Nicolaum Capitaneum Sanociensem, Climaschkonem Iudicem, Ymram Pallatinum, Pelkam de Jurgiowicze, Stanislaum Zidowkam Mikulecz de Pella, Johannem Dolinsky, Climaschkonem filium Botham anno XXX* A. gr. z. t. XI nr. CXXXVIII.

[2] Ibid. t. XII, str. XII.

[3] Ibid. nr. 72.

[4] A. g. z. XII, nr. 4204.

[5] Ibid. V, nr. 56.

buscunque [1]. W tym składzie sądu zajmują sędzia i wojewoda stanowisko zupełnie podrzędne, całkiem zawisłe od starosty, który jest sam przewodniczącym i głównym sędzią, a nadto tak dalece samoistnym, że wymierzając sprawiedliwość może się obchodzić bez tych podrzędnych urzędników i wydawać sam wyroki.

Ta wyjątkowa organizacya sądownictwa ruskiego, zupełnie odmienna od ówczesnej organizacyi sądowej polskiej, trwa aż do r. 1435, tj. do tej chwili, w której Ruś zrównano z Polską na polu sądownictwa. W tym dopiero roku przychodzi tu do skutku przeprowadzenie rozdziału sądownictwa na ziemskie i grodzkie — w skład pierwszych wchodzi sędzia, podsędek, w skład drugich zaś starosta, sędzia grodzki i wojewoda, który utrzymał się i nadal w sądach ruskich, mimo zaprowadzenia w nich organizacyi sądowej polskiej.

Przeprowadzenie nowej organizacyi sądowej nie było jednak we wszystkich ziemiach jednolite. W poszczególnych ziemiach wytwarzają się pewne odrębności, dość np. wspomnieć, że w ziemi halickiej spotykamy nieznaną prawie zupełnie w ziemi sanockiej instytucyę komorników, wchodzących stale w skład nowo powstałych sądów ziemskich. Znajdujemy mianowicie tutaj naraz z początkiem zaprowadzenia prawa polskiego komornika sędziego i komornika podsędka, którzy urzędują w charakterze organów pomocniczych obu głównych funkcyonaryuszy sądu ziemskiego tj. sędziego i podsędka, w ich zastępstwie spełniają pewien stale przydzielony sobie zakres czynności sądowych, odbywając osobne sądy zwane *termini Camerariorum*, a nawet prowadzą osobne księgi zwane *libri Camerariorum*. Podobne odrębności wytworzyły się z biegiem czasu w każdej prawie ziemi tak, iż chcąc stworzyć obraz całego sądownictwa ruskiego z onych czasów, należałoby badać rozwój jego w każdej ziemi z osobna. Od r. 1435 stanowi podstawę organizacyi sądowej podział na ziemstwa, których znajdujemy na Rusi cztery mianowicie: we Lwowie, Przemyślu, Sanoku i Haliczu. Zdaniem prof. Liskego, była przed r. 1435 organizacya sądowa, pod tym też względem odmienna od późniejszej, że była przepro-

[1] A. g. z. XI, nr. 1445.

wadzona nie wedle ziem, lecz wedle powiatów. Domysł ten opiera się na wydanych przez dr. B. Ulanowskiego *Inscriptiones Clenodiales*, a mianowicie na dokumencie z r. 1415, z którego dowiadujemy się, że Władysław Jagiełło zamianował *in iudicem terrestrem in distr. Drohobicensi nobilem Phyl de Lethyn*[1]. Szczegół ten zdaje się wskazywać na to, że powiat drohobyski miał swój osobny sąd ziemski, który prawdopodobnie był takim samym jak sąd sanocki pod względem swej wewnętrznej organizacyi. Wydane zaś w XII tomie A. g. z. akta halickie każą się również domyślać, że w ziemi halickiej prócz w Haliczu, w Kołomyi i Trembowli, musiały pierwotnie istnieć podobne sądy powiatowe jak w Drohobyczu. Jeżeli się nadto zważy, że i sędzia lwowski tytułuje się mianem *iudex districtus Leopoliensis*, to łatwo pojąć, że w każdym powiecie Rusi Czerwonej istniały odrębne sądy powiatowe, urządzone na wzór sądu sanockiego, czyli że organizacya sądów ruskich przed r. 1435 przeprowadzoną była wedle powiatów.

Gdy następnie wprowadzono na Rusi w życie organizacyę sądową polską wedle ziemstw, przybierają nowi ci sędziowie w tych sądach tytuł *iudices generales*, a to zapewne dla uwydatnienia wyższego stanowiska, jakie zajęli, odmiennego od stanowiska dawnych sędziów, którzy byli zupełnie od starosty zależnymi i nie posiadali juryzdykcyi tak obszernej, obejmującej całą ziemię, jak sędziowie wedle nowej organizacyi. W takiem świetle przedstawia prof. Liske obraz sądownictwa ruskiego przed zaprowadzeniem na Rusi prawa polskiego. Nakreślenie tego obrazu jasne, spoczywające na gruntownych podstawach, przemawiające do przekonania.

P. Hube w rozprawie swej, na wstępie cytowanej, kreśląc dzieje sądownictwa czerwonoruskiego od czasu przyłączenia Rusi do Korony polskiej aż do r. 1435, różni się od powyższych zapatrywań prof. Liskego w dwu zasadniczych kierunkach:

1) Utrzymuje, że obszerna władza starostów ruskich jest taką samą jak ówczesna władza starostów polskich, a mianowicie starosty wielkopolskiego; 2) przeprowadza rozdział sądownictwa ruskiego przed r. 1435 na trzy odrębnie istniejące kategorye sądów, miano-

[1] Starod. pr. pol. pomniki t. VII, str. 595.

wicie: 1) na sądy starosty generalnego ruskiego; 2) zwykłe sądy starostów grodowych i 3) sądy wojewodzińskie. Odszukany w Bibliotece ordynackiej hr. Krasickich wyrok sądu lwowskiego z r. 1421, stanowiący cenny przyczynek do dziejów sądownictwa ruskiego, pisany, jak się autor w przedmowie do swej rozprawy wyraża, w narzeczu halicko-ruskiem, nasunął szanownemu autorowi myśl, że organizacya sądów ruskich przed r. 1435 była taką, jak powyżej przedstawiono.

W dziejach sądownictwa Rusi Czerwonej, odróżnia szan. autor trzy epoki: 1) stare sądownictwo w okresie czasu przed zajęciem Rusi Czerwonej przez Kazimierza W.; 2) „czasy przejścia od starego sądownictwa do nowego“ i 3) nowe sądownictwo. Pominąwszy kwestyę czy na podział ten możnaby się w zupełności pisać, już ze względu na to, że w epoce, którą szan. autor określa jako drugą, odróżnićby może należało kilka okresów, w których sądownictwo ruskie cechuje się odmiennemi własnościami, nadającemi każdemu okresowi charakterystyczną cechę — przystąpimy obecnie wprost do tej drugiej epoki, której szanowny autor najwięcej miejsca w swej cennej rozprawie poświęca. Epoka ta nazwana przez szan. autora „czasem przejścia od starego do nowego sądownictwa“, oznaczoną jest w jednej z późniejszych zapisek sądowych sanockich jako *tempora iuris Ruthenicalis*. Obejmuje ona okres sądownictwa czerwonoruskiego od czasu zajęcia Rusi przez Kazimierza W. do chwili nadania jej prawa polskiego. Epoka ta nazwaną jest dlatego „epoką prawa ruskiego“, gdyż Ruś Czerwona, przyłączona do Polski, posiada w tym peryodzie odrębne stanowisko na polu sądownictwa i wewnętrznej administracyi, rządzi się prawem odmiennem od reszty państwa, prawem, które zapiska sądu sanockiego zwie dlatego jedynie „prawem ruskiem“, że jest ono odmienne od powszechnego prawa państwowego polskiego. Z tego zaś nazwania nie wynika wcale, aby to prawo, obowiązujące podówczas na Rusi, było owem prawem, które wytworzyło się jeszcze w czasach niezawisłości krajów ruskich, przeciwnie, przedstawia się ono, jak trafnie zauważył p. Hube (str. 13), jako takie, które rozwinęło się pod wpływem instytucyj koronnych i zachowało w sobie tylko resztki prastarego pierwiastku rodzimego. Jak silnym był ten wpływ Polski na rozwój prawodawstwa i sądownictwa ruskiego tej

epoki, tego wymownym dowodem jest poruszona przez prof. Liskego [1] okoliczność, że najdawniejsze zapiski sanockie z lat 12 przed r. 1435 spisywane są nie w języku ruskim, lecz w języku łacińskim, używanym powszechnie w średniowiecznem sądownictwie polskiem. W tym też języku spisany jest najdawniejszy akt sądu sanockiego. z r. 1388, co świadczy wymownie za tem, że już wcześnie, mianowicie w w. XIV używano w sądach czerwonoruskich tego języka.

Jakżeż, zdaniem p. Hubego, przedstawia się sądownictwo ruskie tej epoki?

Oto wedle mniemania szanownego autora utrzymało się najpierw, mimo zmiany rządu w ziemiach ruskich, wcielonych do Polski, dawne sądownictwo wojewodzińskie w całej pełni. Sądy wojewodzińskie, zdaniem szanownego autora, posiadają i obecnie dawną swą odrębność i powołane są do wykonywania miejscowego sądownictwa, spełniając „cywilną i kryminalną juryzdykcyę drugorzędną".

Szanowny autor twierdzi, że wojewodów z taką samoistną i odrębną władzą sądową spotykamy „siedzących na głównych a w części i drugorzędnych grodach Rusi". Że nie tylko w grodach ale i w pomniejszych miejscowościach ruskich istnieją wojewodowie, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Prócz wymienionego przez szanownego autora wojewody żydaczowskiego, znamy jeszcze innych wojewodów siedzących w pomniejszych miejscowościach, mianowicie spotykamy się w r. 1379 ze Stefanem Kasprem, wojewodą jazłowieckim [2], 1384 ze Stefanem, wojewodą lubaczowskim [3], i Janem Parwo, wojewodą grodeckim [4], 1397 z Paśkiem Motyczką, wojewodą jarosławskim [5], 1401 z Michałem, wojewodą buczackim [6], 1404 z Dziersławem Konopką, wojewodą czerwonogrodzkim [7].

Tak samo w ziemi sanockiej obok wojewody w Sanoku istnieją ci urzędnicy w takich miejscowościach jako w Besku [8], Denowie [9], Sobniu [10], w ziemi halickiej prócz w Haliczu i Buczaczu też w Czesybiesach [11], Jazłowcu [12] i Rohatynie [13].

---

[1] l. c. str. VIII. [2] A. g. z. IV. nr. 15. [3] Ibid. II nr. 11. [4] Ibid. [5] Ibid. IX, nr. 6. [6] Ibid. V, nr. 24. [7] Ibid. II, nr. 31. [8] A. g. z. XI z. nr. DCXLVII. [9] Ibid. nr. 1574. [10] Ibid. nr. 120. [11] Ibid. XII, str. 51. [12] Ibid. str. 97. [13] Ibid. str. 21.

Chodzi obecnie o to, czy i o ile możnaby się zgodzić na twierdzenie p. Hubego, że wojewodowie na Rusi posiadali odrębną w epoce, o której mowa, juryzdykcyę niezawisłą od innych sądów? Otóż zdaje się, że twierdzenie to jest niesłuszne. Mamy w źródłach liczne dowody na to, że wojewoda nie sprawował samoistnie swej juryzdykcyi obok starosty, lecz był w wykonywaniu swej władzy sądowej zupełnie od tegoż ostatniego zawisłym. Występuje on zawsze tylko jako funkcyonaryusz starosty, jemu w zupełności podległy, przydany mu do pomocy w urzędowaniu, władza jego nie jest *iurisdictio propria*, lecz *iurisdictio mandata*, przelana nań przez starostę. Że wojewoda był podrzędnym funkcyonaryuszem starosty, to jasno wynika z rozmaitych miejsc, znajdujących się w źródłach. I tak Władysław Jagiełło w przywileju swym z r. 1387[1] wydaje polecenie do starostów w tej formie: *vobis igitur Capitaneo et eius vojevodis, nostris fidelibus, qui pro tempore fueritis... mandamus.* Tak samo w dokumencie z r. 1413 nazwany jest Włodek, wojewoda lwowski, wojewodą starosty lwowskiego[2]. Z zapiski zaś sądu sanockiego z r. 1450[3] dowiadujemy się, że wojewoda podlega władzy sądowej starosty.

Również i ocenienie stanowiska, jakie wojewoda zajmuje w hierarchii urzędniczej, przemawia za tem, że on samoistnej władzy wówczas już nie posiadał. Możemy mianowicie skonstatować, że urzędnik ten nie był urzędnikiem stałym, lecz od woli starosty zależało, czy i kogo chce powołać do sprawowania jego funkcyj. Z zapisek sądu sanockiego wynika, że starosta mógł zamianowanego przez się wojewodę każdej chwili usunąć, jeśli się tenże dlań nie nadawał. Tak np. widzimy, że w r. 1427 urzędują aż trzy osobistości w charakterze wojewody, mianowicie najpierw niejaki Mikołaj, następnie Swanszko, a wreszcie Cygan, który się już dłużej na tem stanowisku utrzymuje[4]. Wedle swego upodobania może też starosta wyręczać się tymczasowymi zastępcami wojewodów, zwa-

[1] A. g. z. III, nr. 45.

[2] Ibid. IV, nr. 30.

[3] *Nos Albertus de Michow Castellanus Zawichost. recognoscimus, quia dom. Regina mandavit nobis ius facere... cum Johanne nostro Castr. Vogev.* Ibid. IX, nr. 2849.

[4] A. g. z. XI. nr. LXVIII. LXIX. LXXIII.

nymi *protunc voyewoda, protunc pallatinus*, nie powołując na ich godność żadnych stałych funkcyonaryuszy [1]. Jeżeli się nadto zważy, że zdarzało się, iż starosta powoływał na urząd wojewodów osobistości z pośród dworzan i sług swoich, jak to spotykamy np. w r. 1424 w Sanoku takiego wojewodę, który nazwany jest wyraźnie *familiaris dom. Capitanei* [2] — to trudno zgodzić się na zapatrywanie p. Hubego, że wojewoda z niskiego swego szczebla, jaki zajmował w hierarchii urzędniczej, mógł z czasem postąpić na godność starosty, a zatem stać się jedną z pierwszych figur w powiecie.

Że władza takiego wojewody była tylko juryzdykcyą zleconą, to jasno wypływa z tej okoliczności, że wojewoda urzęduje samoistnie zawsze tylko w nieobecności starosty i w jego zastępstwie, i trzyma się wtedy w wykonywaniu władzy sądowej ściśle granic przez tegoż sobie zakreślonych. Ile zatem razy granicę tę wypadało przekroczyć, uznawał się zawsze niekompetentnym i odkładał sprawę aż do przybycia starosty [3]. Tak samo działo się gdy wojewoda, urzędując w zastępstwie starosty, nie umiał jakiej sprawy rozstrzygnąć [4].

Jako funkcyonaryusz starosty był wojewoda zazwyczaj tegoż zastępcą w sądzie, w razie gdy tenże sam nie mógł na roczku się jawić. Jeśli zaszedł ten wypadek, że starosta doznający przeszkody w urzędowaniu, powierzał kierownictwo sądu wojewodzie, wówczas tenże przybierał na czas zastępowania starosty tytuł *Vicecapitaneus* lub *Vicesgerens protunc Capitanei* [5]. I tak np. gdy starosta sanocki, Janusz z Kobylan na rozkaz króla Władysława Jagiełły wyruszył w r. 1426 na czele szlachty ruskiej w pomoc cesarzowi Zygmuntowi, przybrał zastępujący go wojewoda sanocki Klimaszko z Pobiednia tytuł zastępcy starosty *(Vicecapitaneus)* [6]. Jako taki spełniał wojewoda władzę sądową w zastępstwie nieobecnego

---

[1] Ibid. nr. CXXI. Liske l. c. str. VII.

[2] A. g. z. XI. nr. XXV i XXVI.

[3] A. g. z. XI. nr. 22—25. 342. Liske l. c. str. VII.

[4] *Quam causam nos deffinire non valuimus ... et ad dom. Capitaneum distulimus discernendam.* A. g. z. XI. nr. 353.

[5] A. g. z. XI. nr. CXIV. CXVI. CV.

[6] Ibid. str. 25. uw.

starosty w tej samej co tenże rozciągłości, zasiadając w sądzie, bądź w towarzystwie sędziego [1] lub bez niego [2], nigdy jednak nie miał samoistnej władzy obok starosty w czasie, gdy tenże napowrót objął urzędowanie.

Z drugiej strony mógł jednak starosta zastępstwo swoje powierzyć komu innemu z pominięciem wojewody, który mu stale był przydany do pomocy. Księga sanocka dostarcza nam wielu przykładów tego. I tak, gdy starosta sanocki, Mikołaj Chrząstowski opuścił w lipcu r. 1432 Sanok powołany na dwór królewski, poruczył zastępstwo swojej osoby Piotrowi Smolickiemu, który się jako taki zastępcą starosty tytułuje *Vicecapitaneus* i urzęduje samoistnie, wojewoda zaś jest teraz pomocnym w urzędowaniu temu tymczasowemu zastępcy swojego zwierzchnika [3]. Podobnie w r. 1432 tenże sam starosta pozostawia jako swego zastępcę w Sanoku niejakiego Andrzeja, z pominięciem swego wojewody [4].

Z przytoczonych faktów wypływa niewątpliwie, że istniejący w grodzie obok starosty wojewoda tylko wówczas spełniał samoistną juryzdykcyę, gdy go do tego upoważnił starosta, powierzając mu w swojem zastępstwie wykonywanie władzy sądowej. Być może, że nawet w czasie swej obecności w grodzie poruczał starosta, obarczony licznemi czynnościami, swemu wojewodzie załatwienie spraw mniejszej wagi, wysyłając go w swem zastępstwie na roczki sądowe, jak licznych tego dowodów dostarcza nam księga sanocka, zawierająca wiele wyroków wydawanych przez wojewodów. Fakt ten był w obec przeprowadzonej ściśle centralizacyi ówczesnego sądownictwa częstokroć może nawet koniecznym, z tego jednak bynajmniej nie wypływa, ażeby wojewodowie spełniali odrębną juryzdykcyę, istniejącą samoistnie obok juryzdykcyi starostów. Fakt ten niczem nie da się uzasadnić. W obec tego nie możnaby się zgodzić na przypisywanie sądom wojewodzińskim samoistnej juryzdykcyi, a tem samem i na określenie takiej sfery ich kompetencyi, jaką p. Hube w swej pracy oznaczył. Wypadki przytoczone przez

---

[1] Ibid. IV. nr. 10. VIII. nr. 17.
[2] Ibid. III. nr. 57 i XI. nr. XCVII.
[3] Liske l. c. str. VII. A. g. z. XI. nr. 335. CLXXIII. CLXXXV.
[4] Ibid. nr. CLII.

szan. autora, w których wojewoda spełniając pewne funkcye sądowe wykonywać ma własną, odrębną juryzdykcyę, za tem bynajmniej nie przemawiają. I tak podany przez p. Hubego fakt, że królowie polecali wojewodom „kierunek nad rozgraniczeniami“, że uroczyste wprowadzanie w posiadanie nieruchomości zwykło się było dziać w obecności wojewodów, nie stanowią bynajmniej dowodu tego, aby oni spełniali odrębną juryzdykcyę własną, istniejącą obok władzy sądowej starostów. Bo, że wojewodów powoływał czasem król do załatwiania czynności rozgraniczania dóbr, to wcale nie przemawia za istnieniem odrębnej ich władzy w tym kierunku, wiadomo bowiem, że czynności tego rodzaju zwykle nie należały do stałego zakresu działania ówczesnych władz sądowych, tylko król zazwyczaj w razie potrzeby zlecał ich załatwienie różnym urzędnikom, jak tego licznych przykładów dostarczają nam ówczesne źródła [1]. Czynności te nie należały do stałego ich zakresu działania, lecz wykonywali oni takowe jedynie *ex speciali mandato dom. Regis* w charakterze komisarzy królewskich. Jeżeli więc i wojewoda lwowski w przytoczonym przez p. Hubego wypadku z rozkazu królewskiego razem z dwoma komisarzami kazał rozjechać granice [2], to władza jego przedstawia się tutaj jedynie jako zlecona w tym specyalnym wypadku, nie jest zaś wypływem stałego upoważnienia, któreby czynność rozgraniczania nieruchomości juryzdykcyi wojewodów stale przydzieliło. Tak samo i drugi wypadek przytoczony przez szan. autora, w którym w obecności wojewody odbywa się wprowadzenie w posiadanie nieruchomości, nie przemawia również za tem, aby czynność ta stanowiła stałe upoważnienie władzy wojewodzińskiej, zdarzało się bowiem nieraz, że podobne czynności odbywały się *cum consensu et voluntate Capitanei* a tylko *in praesentia ipsius Voyewode* [3].

Z tego wszystkiego wypływa, że sądy wojewodzińskie nie miały za rządów polskich na Rusi Czerwonej bytu odrębnego obok sądów starościńskich, i że wojewoda jest tylko podrzędnym fun-

[1] A. g. z. IV. nr. 41, 55. VI. nr. 14.
[2] L. c. str. 17.
[3] A. g. z. IV. 30

kcyonaryuszem starosty, wyręczającym go w wykonywaniu juryzdykcyi.

Czy zaś wojewodowie w pomniejszych miejscowościach, które nie były siedzibą starosty, sprawowali samoistną władzę sądową, o tem nie mamy żadnej pewnej wiadomości — to tylko pewne, że wojewoda istniejący obok starosty, nigdy takiej samoistnej władzy nie posiada.

Sądzimy, że nie od rzeczy będzie obecnie załatwić się jeszcze z jednem pytaniem poruszonem przez p. Hubego[1], mianowicie jaki zachodził stosunek pomiędzy wojewodą i burgrabią, czy obie te osobistości były identyczne, czy też, jak utrzymuje szan. autor, wojewoda zajmuje w skali urzędników grodowych wyższe stanowisko od burgrabiego?

Instytucya wojewodów, którą spotykamy na Rusi Czerwonej po przyłączeniu jej do Korony polskiej, jest nabytkiem dawnych ruskich urządzeń. Urzędnik ten jednak miał w czasie niezawisłości Rusi Czerwonej stanowisko odmienne od tego, które zajął pod rządami polskimi, spełniając obecnie funkcyę podrzędnego funkcyonaryusza starościńskiego. Pod tym względem podobne było jego stanowisko do stanowiska, jakie zajmował w Polsce urzędnik zwany burgrabią. Zachodzi jednak pytanie, czy ów urzędnik występujący za rządów polskich na Rusi pod mianem wojewody jest osobistością identyczną z burgrabią, z którego nazwą w sądach ruskich, również często się spotykamy, czy zatem ów dawny urzędnik ruski przedzierzgnął się w zupełności powoli w polskiego burgrabiego, czyli wojewoda jest tutaj i nadal urzędnikiem istniejącym obok burgrabiego?

Prof. Liske doszedł na podstawie zapisek sanockich do tego przekonania, że owego wojewodę ruskiego nazywanego w zapiskach sądowych łacińskiem mianem *palatinus*, uważano w ziemi sanockiej za znaczącego tyle co burgrabia, i że on powoli przemienia się później w burgrabiego.

P. Hube utrzymuje natomiast, jak to już powyżej wspomnieliśmy, że wojewoda przedstawia się w całej Rusi jako funkcyona-

[1] L. c. str. 34 i 35.

ryusz starszy w ówczesnej hierarchii urzędniczej od burgrabiego, który dopiero z czasem mógł na wojewodę awansować, że zatem urząd burgrabiego i wojewody nie są identyczne. Za tem ostatecznem zapatrywaniem zdawałby się przemawiać dokument Władysława Jagiełły z r. 1425 [1], w którym tenże król wydaje w tej formie polecenie do urzędników ruskich: „*quodcirca omnibus et singulis terrarum nostrarum Russiae praedictarum Capitaneis, Burgrabys, Voyewodis et ipsorum vicesgerentibus... damus Regalibus in mandatis*". Z dokumentu tego wypływałoby co najmniej, że za rządów Władysława Jagiełły nie wszędzie uważano na Rusi burgrabiego i wojewodę za pojęcia identyczne, toteż w dokumencie tym dlatego tylko odrębnie jest mowa o wojewodach a odrębnie o burgrabiach, ponieważ co do owych odrębnych funkcyonaryuszy starostów w różnych ziemiach ruskich różne zachodziły stosunki. Że tak było w rzeczywistości, tego dowiodą przykłady. W ziemi halickiej, jak to wynika z późniejszych zapisek sądu halickiego, robiono wyraźnie różnicę między osobą wojewody a burgrabiego. I tak na jednym z roczków odbytych w r. 1459, występuje obok wojewody halickiego, Piotra Godowskiego, osobno inny urzędnik zwany burgrabią [2]. Co więcej, akta halickie dają nam nawet wskazówkę, że ten burgrabia był podrzędnym funkcyonaryuszem wojewody, dodanym mu do pomocy, zostającym pod jego rozkazami. I tak wspominają dwie zapiski z r. 1439 wyraźnie o wojewodzie halickim i jego burgrabi [3], a dalej inna zapiska z tegoż roku wspomina, że wojewoda halicki przeznaczył swego burgrabiego razem z woźnym do zbadania krzywd i gwałtów wyrządzonych przez jedną ze stron sporujących [4].

Natomiast w ziemi sanockiej panują w tej mierze zupełnie odmienne stosunki. Przed rokiem 1435 z reguły nazywa się tutaj urzędnik będący podrzędnym funkcyonaryuszem starościańskim *woyewoda, palatinus*, a jego tymczasowy zastępca *vicewoyewoda, vi-*

---

[1] A. g. z. II, nr. 45.

[2] A. g. z. XII nr. CCCLXXXVI, i nr. 4214.

[3] *Abs licentia Petri Woywode Castri vel eius Burgrabii.* Ibid. nr. 4214 i 4215.

[4] *Ego Woyewoda pro conspiciendis violenciis destinavi Burgrabium cum ministeriali.* Ibid. nr. 4224.

cepalatinus[1]. Z nazwą *burgrabius* spotykamy się nader rzadko. Znajdujemy np. w kilku zapiskach sądu sanockiego, że tymczasowy zastępca wojewody zwie się *burgrabia protunc* zamiast, jak zwykle go nazywano, *woyewoda protunc* lub *vicepalatinus*[2]. Szczegół ten wskazuje na to, że już przed r. 1435 mieszano oba te pojęcia ruskiego wojewody i polskiego burgrabiego, oznaczając temi nazwami jednego i tego samego urzędnika. Zdaje się, że było to skutkiem silnego wpływu sąsiedniej Polski, któremu ziemia sanocka najbardziej ze wszystkich dzielnic ruskich ulegała. Wpływ ten wypierał powoli nawet dawniejszą nazwę tego urzędnika ruskiego, nadając mu miano burgrabiego, używane w Polsce. Jeszcze bardziej uwydatnia się to po zaprowadzeniu na Rusi Czerwonej prawa polskiego. Teraz ów wojewoda, będący zabytkiem dawnej ruskiej organizacyi sądowej, przestaje powoli, przeszedłszy do sądu grodzkiego, gdzie zajmuje podobne stanowisko jak w Polsce burgrabia, używać wyłącznie swego dawnego tytułu *Woyewoda*, nazywając się naprzemian to wojewodą, to burgrabią. Licznych tego przykładów dostarczają nam wydane przez prof. Liskiego w tomie XI. A. g. z. zapiski sądu sanockiego. Tak np. występujący w r. 1446 wojewoda sanocki Paweł Rola zwie się raz *Woyewoda Castri* (nr. DCCXXXVIII), następnie *Burgrabius Castri* (nr. DCCXXXIX), a wkrótce znowu *Woyewoda Castri* (nr. DCCXL). Podobnie w r. 1447 Jan Kaliszeński nosi raz tytuł *Woyewoda* (nr. DCCCX), innym razem *Burgrabius* (nr. DCCCLXVI), a potem znów *Woyewoda* (nr. DCCCLXXII). W zapisie zaś z r. 1460 (nr. 3580) nazwany jest nawet Mikołaj Włyński wyraźnie *Burgrabius seu Woyewoda*. Szczegóły te wykazują dowodnie, że w ziemi sanockiej używano nazwy „wojewoda“ i „burgrabia“ na określenie jednego i tego samego urzędnika. Z tego dalej wynika, że postawiona przez p. Hubego ogólna zasada, iż burgrabia we wszystkich ziemiach ruskich był urzędnikiem odrębnym, niższym od wojewody, nie może się żadną miarą stósować do ziemi sanockiej, że natomiast sprawdza się tylko co do ziemi halickiej. Jakie w tej mierze stosunki pano-

[1] A. g. z. XI, nr. VII, XLII, L III.
[2] Ibid. nr. 268, 342.

wały w pozostałych dwu ziemiach ruskich, mianowicie w ziemi lwowskiej i przemyskiej, to okaże się dopiero z postępem pracy około wydawnictwa zapisek sądowych obu tych dzielnic.

Przystępujemy obecnie do drugiej kategoryi sądów, omawianych przez p. Hubego, mianowicie do sądów starościńskich.

Szanowny autor różni się przedewszystkiem pod tym względem w swych zapatrywaniach na władzę sądową starostów ruskich od prof. Liskego, że utrzymuje, iż „sąd zostający na Rusi pod kierownictwem starosty w rzeczywistości jest co do składu owego takim samym sądem, na jaki w tych czasach natrafiamy w Koronie, a zwłaszcza w Wielkopolsce“ [1]. Czy i o ile możnaby się zgodzić na podobne zapatrywanie?

Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba przedewszystkiem uwzględnić poszczególne okresy w rozwoju władzy starościńskiej a nadto uczynić różnicę między tymi starostami w Polsce, którzy w poszczególnych ziemiach piastowali zarazem godność namiestników królewskich, a innymi starostami sprawującymi zwykłą juryzdykcyą grodową. Przeszczepiona do Polski z Czech, prawdopodobnie za rządów króla Wacława z końcem w. XIII, instytucya starostów, będących zrazu pełnomocnikami królewskimi, którzy powołani byli do wyręczania panującego w wykonywaniu juryzdykcyi zarówno sądowej jak i administracyjnej, zyskuje zaraz w początkach swego istnienia, szczególnie za rządów króla Wacława, nader obszerny zakres działania. W pierwszym rzędzie starosta krakowski jako namiestnik królewski dla Małopolski i starosta poznański noszący z początkiem XIV stulecia szumny tytuł *Summus Capitaneus totius Regni Poloniae* wyposażony jest tak rozległą władzą na polu sądownictwa i administracyi, że takowa nie ustępuje niemal w niczem władzy panującego, tak że ów starosta jest na polu władzy publicznej niejako *alter ego* króla [2]. W szczególności władza jego sądowa wykonywana w zastępstwie króla, obejmuje całą ziemię, którą otrzymał w zarząd [3] *in procurationem* i opiera się na

[1] Hube l. c. str. 29.
[2] Balzer Geneza Tryb. kor. str. 12.
[3] Voigt Cod. dipl. Pruss. t. II, nr. 87.

generalnem upoważnieniu, udzielonem mu przez panującego do zastępowania go w spełnianiu czynności sądowych jemu zastrzeżonych. Prócz spraw należących do sądownictwa kryminalnego, załatwia on też wszelkie najważniejsze sprawy z zakresu sądownictwa cywilnego podlegające juryzdykcyi królewskiej, przed jego *forum* zeznawały strony zawarcie podobnych aktów prawnych jak: alienacyi, obciążenia lub zamiany dóbr nieruchomych, którym ów starosta przez wystawienie wiarogodnego dokumentu, stwierdzającego zawarcie takowych, nadawał moc obowiązującą [1]. Podobnie powołany jest ten urzędnik do potwierdzania darowizn uczynionych przez osoby prywatne, do rozstrzygania sporów o własność dóbr nieruchomych i t. p. Spełniając władzę w tym kierunku działa starosta taki w charakterze namiestnika królewskiego, jako organ zastępujący króla w wykonaniu juryzdykcyi sądowej, która jest w tym wypadku dlatego tak rozległą — niemal królewską. Tylko wyjątkowo w jego nieobecności zastępują go w podobnych sprawach organa jak wojewoda lub kasztelan. Tak np. spotykamy taki wypadek w r. 1305, w którym rezygnacya dóbr dziedzicznych przez stronę zeznana odbywa się z powodu nieobecności starosty wielkopolskiego przed wojewodą kaliskim i poznańskim [2].

(Dok. nast.)

Władysław Margasz.

---

[1] Kod. dypl. Wielkop. Nr. 840, 846, 1005, 1023, 1199, 1738, 2012.
[2] Ibid. Nr. 890.

LISTY KRYMSKIE KSIĘCIA DE LIGNE.

(Dokończenie).

List następujący, acz najmniej zawiera historycznych szczegółów, ciekawy jest jednak z punktu moralnego i psychologicznego. Ciekawą jest rzeczą spojrzeć w tę duszę znużoną zabawą i pracą dla świata, przesyconą zaszczytami, jakie się nań nieproszone zwalają, a dla pozyskania których choćby w tysiącznej części niejeden dworak chętnieby połowę życia darował. Rachunek sumienia zakończający ten list również jest ciekawym choćby tylko dla samej powierzchowności, z jaką jest zrobiony. Aż strach bierze pomyśleć, wieleby się tram w tem oku znalazło, gdzie on sam tylko drobne źdźbło dostrzega. Czy książę de Ligne był tu szczerym w obec swojej przyjaciółki, a raczej względem samego siebie, gdyż z pewnością w tej chwili osoba, do której pisał, była mu zupełnie obojętną? — być może. Tylu ludzi spogląda na swoje obowiązki zmniejszającym końcem lunety i przechodzi przez życie bez najmniejszej troski o obowiązek, że i o ks. de Ligne możemy to przypuścić.

Z Partenicy.

„Piszę przy srebrzystem wybrzeżu Czarnego morza, ponad brzegiem szerokiego strumienia, do którego spływają wszystkie potoki z wyżyn Czatyrdahu płynące, pod cieniem jednego z najgrubszych i najstarszych w świecie drzew orzechowych, u stóp skały, na której sterczy jeszcze kolumna, smutny szczątek świątyni Dyany, gdzie Ifigenia składała ofiary, na lewo od skały, skąd król

Toas zrzucał obcych przychodniów — jednem słowem w najpiękniejszem i najciekawszem miejscu na kuli ziemskiej.

„Siedzę na kamiennej posadzce, pokrytej tureckim dywanem, otoczony Tatarami, którzy patrzą na mnie, podczas kiedy piszę, i co chwila z podziwu podnoszą oczy w niebo, jak gdyby we mnie drugiego Mahometa widzieli. Z mego miejsca dostrzegam szczęśliwe wybrzeża dawnej Idalii, równie jak i Anatolskie brzegi. Do koła figi, palmy, oliwki, wiśnie, morele i brzoskwinie, wydają woń najmilszą, zasłaniając mnie od słonecznych promieni, fale morskie do stóp moich toczą brylantowe kamyczki. Za mną widać pomiędzy zielenią ustawione w półkole mieszkania moich półdzikich wasalów[1], kurzących fajki na swych płaskich dachach; widać ich cmentarz położony, jak zwykle u Muzułmanów, w taki sposób, iż daje wyobrażenie o polach Elizejskich. Cmentarz ten leży nad brzegiem potoku, który w tem miejscu, wstrzymany kamykami, rozlewa się szerzej, i dalej znowu płynie spokojnie między owocowemi drzewami ocieniającemi mogiły. Miejsce spoczynku umarłych naznaczają grobowe głazy zdobne w kamienne, niekiedy złocone turbany, lub też marmurowe urny, niezgrabnie ciosane. Wśród tylu różnych rzeczy ciągnących widok ku sobie, odchodzi mnie ochota pisania; wyciągam się na dywanie i poczynam rozmyślać.

„Nie mogę opisać, co się w mej duszy dzieje; czuje się nową, wręcz odmienną istotą. Uciekłszy od wielkości światowych, od gwaru uczt, od znużenia zabaw i od dwóch Cesarskich Mości Zachodu i Północy, które tam poza górami zostały, mogę nareszcie pomyśleć o sobie. Dziwię się, gdzie jestem i jakim trafem się tu znajduję; i tak powoli, niechcący prawie zaczynam w myśli przechodzić cały brak loiki mojego życia. Na początku dostrzegam, iż mogąc jedynie czuć się szczęśliwym za pomocą spokoju i swobody, których posiadanie li tylko od mojej woli zależy, do tego obdarzony wszelkimi instynktami lenistwa, wprawiam ciało i umysł w ruch ustawiczny: ciało wśród ciągłych wojen, przeglądów wojsk lub podróży, siły umysłu zaś, zużywając je dla przyjemności ludzi,

[1] Carowa darowała była ks. de Ligne tę miejscowość z dużym majątkiem w Krymie.

którzy najczęściej nie są tego warci. Posiadając dozę wesołości wystarczającą na własny użytek, muszę prócz tego być wesołym dla innych, którzy nimi nie są. Jeźli na chwilę dam się porwać tysiącznym myślom, jakie mi chodzą po głowie, mówią mi zaraz: „Jesteś smutny“, z czego samego posmutnieć by można, albo też: „nudzisz się“, co wystarcza, aby się stać nudnym na zabój.

„Zapytuję sam siebie dlaczego, nie lubiąc przymusu, nie stojąc ani o zaszczyty, ani o pieniądze, mając z urodzenia dość tego wszystkiego, aby o nie nie dbać, strawiłem życie na dworach po wszystkich krajach Europy.

„Przypominam sobie, iż niemal ojcowskie obejście cesarza Franciszka I, lubiącego nieco lekkomyślnych młodzieńców, przywiązało mnie do niego odrazu. Po jego śmierci, choć jeszcze bardzo młody, liczyłem się do dygnitarzy dawnego dworu, i byłem już *a priori* gotów do obgadywania nowego, gdy nagle spostrzegłem, że i młody cesarz umie być uprzejmym, i że posiada zalety tego rodzaju, że ludzie starają się raczej o jego szacunek niż łaskę. Wiedząc, iż nie jest skłonnym do faworytyzmu, mogłem swobodnie dać się unieść swoim uczuciom ku niemu. Ganiąc w nim dorywczość działania, podziwiam przecież większą część jego czynów, i nigdy nie przestanę wychwalać dobrych chęci tak płodnego i żywego umysłu.

„Wysłany raz na dwór francuski w najświetniejszych moich latach i w najświetniejszej okoliczności, bo z doniesieniem o wygranej bitwie — nie miałem już zamiaru tam kiedykolwiek powrócić. Tymczasem los sprowadza hrabiego d'Artois do garnizonu stojącego opodal miejsca, gdziem wojsko nasze przeglądał. Jadę tam z trzydziestoma oficerami austryackimi o dziarskich minach i pięknej postawie; książe nas spostrzega, woła mnie, i zacząwszy rozmowę jako na brata królewskiego przystało, kończy jakby był moim własnym bratem. Zaczyna krążyć wino, karty i śmiechy, a młody książe po raz pierwszy czując się wolnym, nie wie jak się dość swoją swobodą nacieszyć. Ten pierwszy rzut wesołości i swawoli młodzieńczej bawi mnie; zachwyca szczerość i dobroć przeglądająca z każdego ruchu i słowa. Hr. d'Artois zaprasza mnie, abym go odwiedził w Wersalu; odpowiadam że go zobaczę w Paryżu, skoro tam przybędzie. Książe jednak nie daje się zbić z toru i mówi o mnie z królową, która każe mi do Wersalu przyjechać.

Odtąd, wdzięki jej twarzy i duszy — zarówno pięknych i białych — przytem urok świetnego towarzystwa, przyciągają mnie rok rocznie na pięć miesięcy, które niemal bez przerwy u dworu przepędzam. Chęć zabawy przynęciła mnie do Wersalu, a teraz wdzięczność każe tam znowu powracać.

„Książe Henryk (Pruski) biegnie z jednego pola bitwy na drugie. Filozofia i znajomość spraw wojennych zbliżają nas; towarzyszę mu i mam szczęście spodobania się. Z jego strony oznaki łaski, z mojej czci i usłużności; stąd częsta wymiana i *rendez vous* do Spaa i Reinsbergu. Obóz cesarski w Morawii przyciąga ówczesnego króla pruskiego również jak i tego, co dziś panuje; z tych pierwszy miarkuje moją bałwochwalczą cześć dla wielkich ludzi i przyciąga mnie do Berlina. Tu stosunki z nim samym i oznaki szacunku, doznane od największego z bohaterów, napełniają mię chlubą. Synowiec jego, dzisiejszy następca tronu przybywa do Strasburga. Pewne poufne, pieniężne lub przyjacielskie zlecenia wykonane przeze mnie były nas już zapoznały z daleka; tu zaś, jak zwykle w oddalonym kraju, cudzoziemcy zbliżają się do siebie pomimo różnicy interesów, służby i stanowiska.

„Ratuję się przed czułemi sentymentami dwóch innych królów północy. Ciasna głowa jednego na dobre przewraca zbyt żywą głowę drugiego, co mi oszczędza mnóstwa ckliwych nudziarstw, jakie mi obiecywano w ciągu podróży do Kopenhagi i do Stokholmu. Kończy się na festynach, sprawionych dla mnie przez jednego z tych króli i na wyprawianiu takowych przeze mnie na cześć drugiego.

„Syn mój Karol żeni się z ładną polską panienką. Rodzina jej zamiast gotówki daje nam papiery tj. pretensye do rosyjskiego dworu. W przejeździe przez Polskę staję się a raczej robią mnie Polakiem. Waryat biskup [1], (od tego czasu powieszony) wuj mojej synowej dowiadując się, że mnie cesarzowa bardzo grzecznie przyjęła, wystawia sobie, że jestem z nią w jak najlepszych stosunkach, i że bylem miał indygenat, zostanę królem polskim. „Co za przewrót, powiada, w stanie wszystkich spraw Europy! Co za szczęście dla rodziny de Ligne i dla Massalskich“. Wyśmiewam się

[1] Masalski.

z niego, ale bierze mnie ochota przypodobania się narodowi zebranemu na sejmie. Naród przyjmuje mnie oklaskami. Przemawiam po łacinie, całuję i przygłaskam wszystkie wąsy. Intryguję dla króla polskiego, który sam również intryguje jak wszyscy królowie, którzy o tyle są pewni na tronie, o ile spełniają wolę swoich sąsiadów lub też poddanych. Król jest dobry, uprzejmy, przyciągający, udzielam mu rad i ot, już jestem z nim w przyjaznych stosunkach.

„Przybywam do Rosyi i na samym wstępie zapominam o sprawie, która podróż moją spowodowała, wydaje mi się niedelikatnem korzystać z łaskawości, z jaką mnie przyjmują, aby się dopominać o jakąkolwiek łaskę. Pełna wdzięku prostota Katarzyny Wielkiego[1] zniewala mnie, a geniusz jej doprowadza do czarownego miejsca, w którem się dzisiaj znajduję. Obecnie przebiegam je oczyma i daję spocząć pamięci, gdyż ta, przywodząc mi na myśl okoliczności, które mnie zawsze wiodły do robienia tego czego nie chciałem, dowiodła mi aż nadto, jak mi wiele w głowie brakuje...

„Noc będzie prześliczna. Morze znużone całodziennym ruchem tak jest ciche, że wygląda na wielkie zwierciadło, w którem mogę się przejrzeć aż do głębi duszy. Wieczór cudowny, w myśli mojej taka jest jasność jak na niebie i w wodzie. Dlaczegóż, pytam sam siebie, rozmyślam tu nad pięknościami natury zamiast się niemi po prostu cieszyć w błogim spokoju, który mi jest tak niewymownie miłym? Oto, bo wystawiam sobie, że ta miejscowość mnie natchnie, i że wśród tych dziwów wytryśnie choćby jedna myśl mogąca komuś przynieść przyjemność lub radość.

„Być może, iż tutaj Owid pisał swe pieśni, iż może siedział na tem samem miejscu, gdzie ja teraz siedzę. Elegie jego są datowane z Pontu, a oto jest *Pontus Euxinus*; kraj ten należał do Mitrydata, króla Pontu, a że miejsce wygnania Owidyusza jest dotąd niepewne, mam więcej prawa mniemać, iż było ono tutaj, niż w Siedmiogrodzanie, którzy umieszczają go w Caranczebes pod pozorem, że nazwa ta miała powstać z *Cara mea sedes*. Nie, zaprawdę! miejscem wygnania Owidyusza jest Partenica, greckie *Parthenion*

[1] Catherine le Grand.

(dziewica) zepsute tatarską wymową. Tu jest ów słynny przylądek Parthenion, gdzie tyle zaszło wypadków, gdzie mitologiczne wspomnienia upajały wyobraźnię, tutaj wszystkie poetyczne talenta, hołdujące bogom Olimpu znajdowały dla siebie pole. Gdy zaś na chwilę porzucam Olimp dla rzeczywistości, dostrzegam zdala Eupatoryę, założoną przez Mitrydata; w pobliżu stąd, w starym Chersonie znajdują szczątki alabastrowych kolumn, spotykam reszty wodociągów i murów wskazujące na obwód równie wielki, jak obszar Londynu lub Paryża. Te dwa miasta przeminą podobnie jak tamto zginęło; i tu odgrywały się podobne intrygi miłosne i polityczne, każdy mieszkaniec myślał, iż jest ważną na świecie osobistością — a dziś przepadły nawet nazwy krain, które Krymem i ziemią Tatarską mienimy.

„To też obracając oczy, wielbię lenistwo moich poczciwych Tatarów siedzących na dachach, z założonemi rękami i nogami. Znalazłszy pomiędzy nimi Albańczyka mówiącego trochę po włosku, każę mu zapytać ich ode mnie, czy są szczęśliwi, czy mogę im być w czem użytecznym i czy wiedzą, że mi ich cesarzowa darowała? Odpowiadają, iż wiedzą że ich rozdano, ale nie rozumieją dobrze co to znaczy, że jak dotąd są szczęśliwi, i że gdyby nimi być przestali, wsiądą na dwa statki, które sami sobie zbudowali, i umkną do Turków. Na to każę im powiedzieć, że próżniaków lubię, ale że radbym wiedzieć, z czego się utrzymują? Wskazują mi kilka baranów leżących jak ja na trawie — patrzę na nie i błogosławię próżniaków! Pokazują mi jeszcze kilka drzew owocowych i mówią, że gdy czas zbiorów nadejdzie, przybywa kaimakan z Bakczyseraju i zabiera połowę plonu. Z tego, co pozostaje, każda rodzina sprzedaje za 200 franków rocznie, a rodzin takich jest 46, tak w Partenicy jak i w innej wiosce należącej do mnie, a której nazwa Nikita znaczy po grecku zwycięstwo. Wielbię próżniaków! — i obiecuję ich bronić od wszelkiego ucisku. Przynoszą mi ser, masło i mleko, bynajmniej nie kobyle, jak u innych Tatarów. Wielbię próżniaków i dalej pogrążam się w myśli.

„Raz jeszcze pytam co ja tu robię? Czyż jestem jeńcem tureckim? Czy mnie tu z rozbitego okrętu wyrzuciły fale? Czy jestem jak Owidyusz wygnany, dla dworskich gniewów lub własnych namiętności? Bynajmniej. Po dzieciach moich i paru osobach, które

kocham lub zda mi się że kocham na zabój, nic dla mnie milszem nie jest nad moje ogrody — mało ich jest tak pięknych na świecie. Lubię nad ich upiększeniem pracować — a jednak prawie nigdy ich nie widuję. Nigdy ich nie widziałem w porze kwiecia, gdy gaiki drogocennych krzewów całe powietrze napełniają wonią. Jestem o dwa tysiące mil od tego wszystkiego; ja dotąd posiadający dobra nad brzegiem Atlantyku, znajduję się nagle właścicielem ziemskim nad wybrzeżem Czarnego morza. Ot tak się stało: o 800 mil odległości doszedł mnie list cesarzowej; pomna na nasze rozmowy o starożytności, namówiła mię, żebym jej towarzyszył w ten kraj czarowny, któremu nazwę Taurydy przywróciła, a wiedząc jak mi typ Ifigenii jest miłym, podarowała mi kawał ziemi z szczątkiem świątyni, gdzie niegdyś córa Agamemnona była kapłanką. Zapominając wreszcie o wszystkich ziemskich potęgach, o tronach i panowaniach, wpadłem naraz w ów błogi stan upojenia, kędy myśl całkowicie spoczywa, kędy się ledwie czuje, że się istnieje. Co się wtedy dzieje z duszą, nie wiem — ale co pewna, to że w takich chwilach wszelka jej działalność ustaje, że spoczynek swój odczuwa i nim się cieszy.

„Potem zacząłem roić projekta. Czemuż znudzony wszystkiem prawie co ludziom jest znane, nie osiadłbym tutaj na drodze? Nawracałbym tych Muzułmanów Tatarskich, ucząc ich wino zapijać i nadając mieszkaniu memu pozór pałacu widnego zdala dla oka żeglarzy. Założyłbym winnice i wystawiłbym ośm domków z kolumnami i balustradą zasłaniającą dachy. I natychmiast narysowałem to, co byłoby niezwłocznie weszło w wykonanie, gdyby nie wojna, do której podróż nasza stała się pobudką.

„Co za szkoda, pomyślałem wtedy, iż ciemnota Bizantyjska zniszczyła te piękne szczątki starożytności! A jednak te miejsca urocze zachwycają jeszcze widokiem białych minaretów, długich a cienkich jak igła kominów, całej tej niby wschodniej architektury, nadającej pewien charakter wszystkiemu aż do najdrobniejszej chaty. Myśl moja, kreśląc obrazy zniszczenia wieków, zatrzymała się w końcu i nad stratami, które ja sam poniosłem. Zrozumiałem, iż nic na tej ziemi nie może w zupełnym stanie nieruchomości pozostać, iż gdy mocarstwo przestaje się wznosić, natychmiast upadać poczyna, a gdy miłość wzrastać przestaje, natychmiast stygnie.

Miłość! Jakież to wymówiłem słowo? Rozpłakałem się sam, nie wiedząc czemu, ale łzy moje były słodkie. Byłoto ogólne wylanie serca, a nie wiedziałem dla kogo . . . . . Łzy moje nie ustawały. Byłoż to przeczucie jakiejś bolesnej straty, jakiegoś nieszczęścia, które mnie kiedyś ma spotkać? Usiłowałem tę myśl okropną oddalić, począłem się modlić i powiedziałem sobie w duszy, iż ten nieokreślony smutek podobny tym, jakie się w młodości odczuwa, jest może zwiastunem jakiejś niebiańskiej miłości, godnej nareszcie mego uwielbienia, mogącej na zawsze bieg życia mego ustalić. Zdawało mi się, że tuż, tuż przyszłość się przedemną odsłoni: entuzyazm i egzaltacya tak są pokrewne z darem wypowiadania wyroczni!

. . . . . .

Przyjaciół posiadam więcej niż ktokolwiek, nie mając pretensyi do niczego i w niczem. W życiu mojem nie było nic nadzwyczajnego, ani osobista wartość moja nie jest dla drugich przestraszająca. Wszędzie spotykam salonowych przyjaciół, z którymi się wieczerza i gra przez dzień cały; lecz czyż spotkałem choćby jednego, któryby się mną dostatecznie był zajął, abym mógł mu za to być wdzięcznym? Tak bym rad coś drugim zawdzięczać, boć oni już nieraz mogli mi być wdzięczni, a choć się nie wiele do tego poczuli, lubię przecież od czasu do czasu dać im do niewdzięczności sposobność. Z obawy zaś, abym sam w ten ich błąd nie popadł, wolę często w przeciwnym kierunku przesadzić; sądzę nawet, iż pod tym względem wolno jest być zbyt łatwowiernym i dać się nieco oszukać. Nie płacząc nad ludzkością, nie miłując zbytnie ludzi ani ich nienawidząc — nienawiść bowiem jest rzeczą nużącą — nie jestem bardziej zadowolony z nich niż z samego siebie. Badając się jednak bliżej, odkrywam w sobie jedną tylko zaletę, tj. zadowolenie z szczęścia, które się drugim wydarza.

„Spoglądam na świat, jakoby na przemijające cienie chińskiej latarni, czekając na chwilę, w której mnie śmierć od widowiska oderwie. Dziesięć wojen, które przebyłem, kilkanaście bitew czy utarczek, w jakich brałem udział, przesuwają się jak sen przed mymi oczyma. Rozmyślam nad nicością chwały, częstokroć nieznanej, zazdroszczonej, zapomnianej, posądzanej lub zgoła niewidzianej, i dziwię się pomnąc, iż znaczną część życia strawiłem w ciągłych

usiłowaniach poświęcenia go dla zyskania tej chwały. Męstwa sobie nie zaprzeczam; jest ono dość świetnem, ale może nie dosyć czystem; jest w niem odrobina szarlataneryi. Działam po części dla widzów. Wolę stokroć dzielność mego poczciwego Karola, który nie pyta, czy kto patrzy na niego. Robię dalej rachunek sumienia i odkrywam w sobie wad ze dwadzieścia. Potem zastanawiam się nad marnością ambicyi. Śmierć pozbawiła mnie lub wkrótce pozbawi łaski kilku wielkich wojowników i wielkich monarchów. Niestałość, kaprys, złośliwość, zniweczą moje nadzieje. Intrygi ludzkie odsuwając mnie od wszystkiego, wymażą mnie nawet z pamięci moich żołnierzy. Cicho więc, bez żalu za przeszłością ani trwogi o przyszłość, puszczam na wolę losu bieg mego żywota.

„Naśmiawszy się do syta z mojej nicości i z różnych moich przygód obozowych lub dworskich, koniec końców ucieszyłem się że jeszcze gorszym nie jestem, winszowałem sobie zwłaszcza wielkiej zdolności korzystania z wszystkiego dla własnego szczęścia. Sądziłem się i widziałem takim, jakim jestem, w tem wielkiem morzu, które odbijało obraz mego ducha tak wiernie, jak zwierciadło odbija rysy oblicza. W około mnie zmrok zwolna poczyna zapadać: już na drugiej półkuli wschodu słońca czekają. Owce paszące się około mego kobierca już becząc wołają Tatarów; ci poważnie zstępują z dachów, aby je zamknąć obok żon swoich, które cały dzień trzymali w zamknięciu. Muezzyni ze szczytu minaretów wołają do modlitwy. Lewą ręką szukam na mojej twarzy nieobecnej brody, prawą przykładam do łona, błogosławię próżniakom i żegnam się z nimi, zostawiając ich w równem zdumieniu z tego, że jestem ich panem, jako i z tego, że chcę, aby byli sami swymi panami.

„Zebrawszy rozstrzelone myśli raz jeszcze w około siebie z wzruszeniem spoglądam na ten cudny kąt świata, którego już nigdy więcej nie zobaczę, a w którym najmilszy dzień mego życia spędziłem. Chłodny wiatr nagle powstały odjął mi ochotę powracania łódką do Teodozyi. Dosiadłem tatarskiego konia i wraz z przewodnikiem zagłębiłem się w okropności nocy, złych dróg i potoków, by przebywszy góry, znaleść się po upływie 28 godzin w Karasubazarze w obecności Ich Cesarskich Mości".

W istocie książe de Ligne nie miał już nigdy do swego raju Krymskiego powrócić. Donacya Katarzyny jednak nie pozostała dlań bez rzeczywistych korzyści. Gdy w roku 1792, poróżniwszy się z kilku wysokiemi figurami dla niepowściągliwości języka, który mu nigdy nie dał dowcipu przewalczyć, pominięty w nominacyach przez Leopolda II, „oddalony od wszystkiego, nawet od serca swoich żołnierzy", znalazł się wreszcie w Wiedniu zrujnowany, zmuszony do najskromniejszego życia, cesarzowa napisała do niego z propozycyą zakupienia Partenicy dla szefa artyleryi, Zubowa. Oczywiście był to delikatny sposób przyjścia mu w pomoc; książe zgodził się nań, warując sobie tylko z niezrównaną swą galanteryą własność pewnej skały, na której był niegdyś wyrył imię Katarzyny. Kilka lat zaledwie było minęło od owego uroczego wieczora na wybrzeżach Taurydy. Ale wróćmy jeszcze do tej chwili, kiedy cały upojony rzadkim dla niego urokiem samotności, powracał przez Krymskie góry na gościnny dwór Katarzyny.

Z Karasubazar.

„Porzuciłem rozmyślania i wracam do czynnego życia. Na wstępie znalazłem nowe przedmioty podziwu, ale zanim je wymienię, pozwól mi, Pani, parę słów o wierności powiedzieć. Proszę się jednak nie lękać — nie chodzi tu o żadnego z nas, ale o dzikiego Tatara, któremu byłem polecony pomimo jego złej sławy i zbójeckiej miny. Byłby mnie zapewne okradł lub zbił, gdyby mnie był przypadkiem napotkał — skoro jednak powierzyłem się jego pieczy, byłby życie swe za mnie zostawił. Przez chwilę umknąłem z pod jego straży, aby na skale nadbrzeżnej wyryć drogie mi imię; mój Tatar w strachu szukając mnie wszędzie i pewien że mnie zamordowano, gotów już był na chybił trafił podpalić najbliższą wioskę. Jadąc tak w towarzystwie mego „wodza" ujrzałem naraz z największem zdziwieniem dom wznoszący się wśród płaskiej, zielonej i woniejącej pustyni. Zdumienie moje wzrosło widząc z bliska ten dom biały, czysty, okolony sadem i ogrodem warzywnym, przez któren bystry przepływał strumień; zdumiałem się zaś na dobre, gdy z tego domu wyszły na moje spotkanie dwie śliczne postacie w bieli i zaprosiły mnie do stołu, strojnego w kwiaty i zastawionego masłem i śmietaną. Przypomniały mi się śniadania

z powieści angielskich. Były to w istocie córki bogatego farmera, posłanego ks. Potemkinowi przez ambasadora rosyjskiego w Londynie, dla wykonania różnych prób rolnictwa w Taurydzie.

„A teraz wróćmy do dziwów i podziwu. Zastaliśmy porty, wojska i floty w najświetniejszym stanie. Cherson i Sebastopol przewyższają wszystko, coby o nich powiedzieć można. Każdy dzień przynosi nam coś nowego: raz chmara kozaków dońskich w koło nas wyprawia fantazye; to znów Tatarzy krymscy, którzy niegdyś odstąpili hana Selim Gereja, dlatego że chciał z nich regularne wojsko utworzyć, dzisiaj sami formują się w korpus, aby przed cesarzową wystąpić. Przez kilka dni przebywaliśmy ogromne pustynie, skąd Jej C. M. wygnała budjackich i nogajskich Tatarów, którzy jeszcze przed dziesięciu laty najeżdżali i pustoszyli jej ziemie. Wśród tych stepów znajdowaliśmy na noclegi i popasy dworu piękne namioty, całe obozowiska strojne z azyatyckim przepychem. Owe pustynie zamienią się w krótce na wioski, pola i gaje; są już zamieszkałe przez kilka półków, niedługo zaludnią się wieśniakami przynęconymi dobrocią gleby. Cesarzowa w każdem gubernialnem mieście zostawiła podarki za przeszło 100.000 rubli; co dnia posypało się kilka brylantów. Po drodze same bale, fajerwerki i illuminacye; zdala na górach widać było jakby płonące bory, które potem zbliżając się ku nam, zamieniały się w ogniste krzaki...

Z Kaffy (dawnej Teodozyi).

„Czar trwa jeszcze, ale się już ma ku końcowi. Oto wielkie miasto, słynne ze swych meczetów, łazienek i portu, z dawnych świątyń i składów handlowych, słowem z wszystkich szczątków wielkości, która się ma obecnie podnieść i odnowić.

„Wszedłem do kilku kawiarń i sklepów; widziałem cudzoziemców z najodleglejszych krain: Greków, Turków azyatyckich, fabrykantów broni z Persyi i Kaukazu; a patrząc na nich, pomyślałem, że grzeczność można znaleść tylko u niecywilizowanych ludzi. Tutaj witając się każdy twarz nastraja łagodnie i mniej lub więcej pokornie. Mowa brzmi szlachetnie, jak język grecki lub hiszpański; nie masz w niej ani syczenia, ani trywialności, ani przeciągania, ani śpiewania, ani żadnej szpetności języków europejskich. Tatar przyjeżdżający do stolicy uprzejmości i dobrego tonu, zadziwiłby

się mocno słysząc na bulwarach furmana przemawiającego do swoich koni, lub przekupki rozmawiające na placu Maubert. Co za różnica między zuchwalstwem, skąpstwem i brudem ludów Europy a poczciwością i czystością tego narodu. Tu przed każdą czynnością, równie jak i po niej odbywa się libacya. U balwierzy rzecz dzieje się w nieco dziwny sposób: balwierz bierze pomiędzy kolana głowę pacyenta i trzyma ją w tej pozycyi pod tryskającą fontanną.

„Widziałem tu jednę tylko kobietę: księżniczkę krwi, siostrzenicę dawnego hana Selina Gereja. Cesarzowa schowała mnie za parawanem: księżniczka przed nią odsłoniła twarz, była piękną jak słońce, brylantów zaś miała na sobie więcej, niż wszystkie damy wiedeńskie razem, — co jest zaiste bardzo wiele. Zresztą widziałem tylko twarze batalionu kobiet Albańskich z Macedońskiej kolonii w Bałakławie; dwieście ich, dziewcząt lub zamężnych, uzbrojonych w strzelby, bagnety i lance, a zdobnych w długie i piękne warkocze, przyszło naprzeciw nas, nie z ciekawości, ale by oddać hołd cesarzowi. Ludzi gapiących się niema tu wcale — należy to, wraz z impertynencyą i pochlebstwem, do skarbów cywilizacyi. Nikt za nami nie gonił; gdyśmy się zatrzymywali, aby o co zapytać, patrzano na nas obojętnie, bez wzgardy, a nawet z rodzajem przychylności.

„Gdyby już i tak w krajach filozofią przesiąkłych z wielkiej tolerancyi nie prześladowano zakonników, powiedziałbym, że tu, Bogu dzięki, niema żebraków ani kapucynów. Najgorsze posłanie najuboższego Tatara, z których żaden nie żebrze, ani żebrać nie potrzebuje, — składa się z poduszek i dość pięknego tureckiego kobierca, rozłożonego na szerokiej desce. Nowa ludność, osiadająca w cudnym amfiteatrze nad brzegiem Czarnego morza, bardzo będzie szczęśliwą; dawna zaś zamieszkała w pobliżu słonych jezior, była ustawicznie pod grozą dżumy. Jeżeli nudy, które nieznacznie przenikają towarzystwo, za pomocą wchodzących weń rozumnych ludzi i cnotliwych kobiet, zanadto zapanują w Paryżu, i nawet w salonie Pani — to radzę tutaj się schronić. Przyjmą Panią gościnniej, niż mój poprzednik król Toas".

Tula.

„Niestety! powracamy. Czy Pani uwierzy, iż o mało nie na-

pisałem do Pani z Azyi, z Azofu! Nieszczęsna przezorność, rady lekarzy i ministrów (choć cesarzowa ni jednym ni drugim nie wierzy) nie dały nam wyjść z Europy, jeźli wszakże można Europą nazywać to, cośmy oglądali i co tak mało do Europy podobne. Wiem, że jest w modzie nie wierzyć podróżnikom, gdy co dobrego mówią o Rosyi. Ci nawet z pomiędzy Rosyan, którym markotno, że z nami nie byli, utrzymują, że nas okłamano, i że my drugim kłamiemy. Rozniosła się już bajka, jakoby nam po drodze pokazywano wsie kartonowe, przenoszone z miejsca na miejsce, że statki i armaty były malowane, kawalerya bez koni i t. d.

„Od dwóch miesięcy wyrzucam literalnie pieniądze przez okno; już mi się to nieraz przytrafiło, ale nigdy w takich rozmiarach: być może iż już rozdałem miliony. Dzieje się to w ten sposób: w powozie obok siebie mam duży worek zielony pełen imperyałów, tj. sztuk złota wartości czterech dukatów. Mieszkańcy wsi okolicznych przychodzą o pięć a czasem o dziesięć mil by cesarzową oglądać. W tym celu z dobry kwadrans przed jej przybyciem kładą się twarzą o ziemię, a powstają dopiero w kwadrans po naszym przejeździe. Ja zaś przelatując w pełnym galopie ciskam garściami złota na te plecy i głowy nurzające się w prochu, i to powtarza się co dzień najmniej po dziesięć razy.

„Wiem doskonale co tu jest zmyślonem; i tak np. cesarzowa nie mogąca jak my wychodzić piechotą, wierzy zapewne, iż niektóre miasta, na które dała pieniądze, są już wystawione, gdy tymczasem są to częstokroć miasta bez ulic, ulice bez domów, a domy bez dachów, okien i drzwi. Cesarzowej pokazują tylko dobrze zbudowane kamienne sklepy i kolumnady pałaców przeznaczonych dla gubernatorów; z tych, czterdziestu dwom podarowała zastawy srebrne na sto osób... Znajduje się tu jedna z najpiękniejszych fabryk broni na świecie; prócz tego wyrabiają tu stal równie dobrze jak w Anglii. Zarzucony jestem prezentami, z którymi nie wiem co począć. Posiadam taburecik, parasol, stół, laskę i t. d., wszystko nader użyteczne, a zwłaszcza łatwe do zabrania w drogę.

„W ciągu podróży kilkakroć odłączyłem się od orszaku cesarzowej, to też widziałem dużo rzeczy, o których Rosyanie sami nie wiedzą; pyszne początki stawianych dworów, fabryki, wsie budo-

wane prosto jak miejskie ulice, leżące nad rzeką i otoczone drzewami. Proszę wierzyć, iż wszystko, co tu piszę, jest prawdą najsamprzód dlatego, że się kłamie tylko takim osobom, które nie są do Pani podobne, powtóre, że tu nikt listów moich nie czyta, a w końcu dlatego, że się nie pochlebia osobom, które się widzi od 6-tej z rana do 10-tej wieczór; przeciwnie, nieraz siedzący w powozie mają ochotę dąsać się jedni na drugich. Pamiętam, że raz mówiono o waleczności: „Gdybym była mężczyzną, rzekła cesarzowa, byłabym poległa zanimbym kapitanem została". A na to ja: „Nie wierzę temu, Najj. Pani, gdyż ja jeszcze żyję". Spostrzegłem, iż po chwili dopiero zrozumiawszy, com powiedział, zaczęła się ze mnie śmiać po cichu, żem jej chciał dać nauczkę. Innym razem znów sprzeczałem się z nią na seryo, widząc iż dawała wiarę niektórym baśniom kursującym o dworze francuskim, a w końcu powiedziałem: „Najj. Pani! ludzie kłamią tak dobrze na Północy „mówiąc o Zachodzie, jak na Zachodzie gdy mówią o Północy, i nie „należy bardziej wierzyć plotkom wersalskich lokai niż izwoszczy„kom z Carskiego Sioła".

„Dalszy ciąg podróży już nam się niczem wydaje, mamy bobowiem niestety tylko 200 mil do przebycia. Przez całą drogę potrzeba nam było po 600 rozstawnych koni; powozy nasze pełne są pomarańcz i brzoskwiń. Służba poi się winem szampańskiem, a ja pomimo to umieram z głodu, wszystko bowiem u stołu cesarzowej wystygłe jest i niesmaczne. Najsamprzód siedzi się zbyt krótko przy stole, a gdy cesarzowa chce coś przyjemnego lub użytecznego powiedzieć, tyle na to potrzebuje czasu, że gdy skończy, wszystko jest zimnem prócz wody do picia, jedną bowiem z przyjemności tego kraju są upały, które tu w lecie bywają gorsze aniżeli w Prowancyi. W Krymie myślałem że się uduszę żarem, jakim się tam oddycha. Inną przyjemnością tego kraju jest brak wszelkich wiadomości z waszej małej Europy. Wątpię, aby was moje listy doszły, od was już nie otrzymam żadnych, jeśli, jak mam nadzieję, wojna z poczciwymi Turkami w tych dniach wybuchnie. Trzeba ich będzie pobić czemprędzej, aby módz do Pani pospieszyć".

Zabawnym jest w tym liście zły humor Epikurejczyka, przebijający warstwę dworskiej galanteryi. Jest więc przecież jedna

rzecz, która mu się nie podoba u Katarzyny, a tą jest kuchnia! Zdaje się, iż książę de Ligne byłby równie niezadowolonym jedząc u stołu dzisiejszych panujących, którzy pono za bardzo drogie pieniądze, wcale nie szczególną kontentują się strawą. Jakie pod tym względem działy się nadużycia na rosyjskim dworze, opowiadała sama Katarzyna hrabiemu de Ségur[1]: Podczas jednej z swoich wycieczek po kraju wypytywała nadwołżańskich rybaków, jak im się wiedzie. „Wiodłoby się dobrze", odpowiedzieli, „gdyby nie ciężka danina, którą składać musimy; co roku przecież posyłamy za przeszło dwa tysiące rubli sterletów na stajnię cesarską". „Doprawdy! odrzekła cesarzowa, dotąd nie wiedziałam, że moje konie sterletami się żywią. „Daj mi do wyżywienia rządowego wróbla, a ja ci przy nim własnego konia upaszę", mówi rosyjskie przysłowie.

Z Moskwy.

„Tu znów coś innego. To miasto mogące dać wyobrażenie o Ispahanie wygląda jak zestawienie kilkuset zamków wraz z przyległemi wioskami, których właściciele, chcąc żyć pospołu, wszystkie budynki w jedno miejsce przywieźli na kółkach. Wyuczcie się z geografii, ze słowników i opisów podróży wszystkiego co napisano o Moskwie, czego tam jednak nie znajdziecie, jest to, iż najmożniejsi panowie rosyjscy niezadowoleni z dworu, siedzą tutaj, burząc się i szemrząc do woli. Cesarzowa wie o tem ogólnikowo, ale szczegółowo wiedzieć nie chce. „Co książę myślisz o tych panach?" zapytała mnie. Są to piękne ruiny, odrzekłem, patrząc na paru dawnych szambelanów i wysłużonych generałów. „Nie lubią mnie", dodała cesarzowa, tu w Moskwie nie jestem w modzie".

„Tu cesarzowa nie była już Kleopatrą w Aleksandryi. Cezar zresztą był nas opuścił, wracając do swego kraju. Poezya znikła, a miejsce jej zajęła — smutna rzeczywistość. Aleksy Orłow miał odwagę oznajmić cesarzowej, iż w niektórych guberniach głód poczyna grasować. Natychmiast uroczystości ucichły... Pieniędzy już się nie ciska ale rozdaje; potoki szampana przestały płynąć. Mia-

[1] Memoires de m. de Ségur. t. II.

sto łodzi pomarańczami ładownych, widać tysiące fur pełnych chleba. Czoło Katarzyny Wielkiej zasępiło się chwilę, konferowała z dwoma ministrami przy drzwiach zamkniętych, i dopiero wsiadając do karety odzyskała zwykłą wesołość.

„Gdybym był takim La Rochefoucauld lub d'Albon i t. d. mówiłbym Pani o rolnictwie i o finansach cesarstwa; nie mam wszakże zaszczytu znać się na tych przedmiotach. Wprawdzie co do finansów mogę powiedzieć, żem nad niemi pracował, gdyż skarb musiał grubą sumę zapłacić za to, co zjadłem sterletów z Wołgi, cielęciny z Archangielska, owoców z Astrahanu, lodów, konfitur i win z Konstancyi. Proszę za to w imieniu mojem przeprosić waszych gromiących nadużycia pedantów: ja sam stanowię jeden ze zbytków i nadużyć tego kraju. Dobrze mi z tem i drugim także. Zbytki naszych poczciwych państw monarchicznych są dobrodziejstwem dla wielu ludzi, a gdyby je usunąć chciano, wnetby Pugaczewy odżyły.

„Zdaje mi się już, że was jutro zobaczę. Przebyłem 900 mil drogi, mam ich już tylko 600 przed sobą. Charakter cudzoziemca, w którym mnie wszędzie przyjmują, bardzo mi jest miły — w Austryi jestem francuzem, austryakiem we Francyi, w Rosyi zaś — jednem i drugiem. Jestto najlepszy sposób, aby komu wszędzie było dobrze i aby się zawsze czuć niezależnym.

„Nadchodzi chwila, w której trzeba będzie nam opuścić piękną baśń dla powagi dziejowej i Wschód dla Północy. Dla Pani jednak w sercu mojem zawsze będzie południe".

Na tem kończy się wybrany przez P. de Lescure zbiór listów. Ostatni ich ustęp charakteryzuje autora: W s z ę d z i e c z u ć s i ę d o b r z e i w s z ę d z i e b y ć n i e z a l e ż n y m! jestto prawdziwe hasło człowieka XVIII w., *Leben und leben lassen!* Dzisiaj dziwimy się wiosennej wyobraźni księcia de Ligne, liczącego w czasie podróży Krymskiej lat pięćdziesiąt i kilka, dziwimy się bardziej jeszcze dziecinnym zabawom niemłodej już Katarzyny. Przypisujemy tę świeżość życiu bez trosk i frasunku. Gdyby nam jednak wolno było wyjść po za obręb książeczki P. de Lescure i spojrzeć dalej w losy księcia de Ligne, widzielibyśmy go zawsze z uśmiechem na

ustach i bez goryczy w sercu znoszącego upadek fortuny i stanowiska, usunięcie od wszelkiej publicznej pracy, i to przez długie lata wyjątkowej starości. Zawsze piękny i miły, zawsze ożywiony i dowcipny, nie przestał nigdy być ulubieńcem wiedeńskich salonów. Dobijano się o miejsce w jego skromnym, różowym domku, tak jak niegdyś żebrano zaproszenia na świetne przyjęcia w Belœil. Umarł jak żył — lekko i bez troski. Oby z Bogiem w sercu. Smutnoby było pomyśleć, by człowiek, który tyle przyjemności drugim sprawił za życia, nie był zabrał na tamten świat choć wiązki kwiatów zasługi.

T. W.

HERKULES DEMBOWSKI

ASTRONOM.

SZKIC BIOGRAFICZNY.

Do strat narodowych, jakie walka o niepodległość kraju naszego i czasy porozbiorowe za sobą pociągły, policzyć należy także bez wątpienia i stratę w ludziach, którzy biegiem nieszczęsnych wypadków z własnej ojcowizny i ziemi swojej wyrzuceni, przez dłuższe lata na obczyznie żyjąc, zaaklimatyzowali się tam zupełnie, by wreszcie w następnem pokoleniu stać się całkiem obcymi kolebce swych ojców i praojców. Wielu z nich, szczególniej ludzie nauki, natrafiwszy tam na szczęśliwe dla siebie warunki, dosłużyli się u obcych uznania i sławy, lecz pod wpływem lepszej i spokojniejszej doli, utraciwszy zwolna przywiązanie do ziemi ojczystej, nie starali się wcale o to, by to uznanie i tę sławę nawiązać, jeżeli nie z losami, to przynajmniej z historyą tego, co im niegdyś najdroższem w tem życiu było. To też rachunek strat naszych na tem polu wcale pokaźny i w oczy bijący, zwłaszcza że równocześnie wzmagał się choć częściowo kosztem naszym budżet zysków moralnych u obcych narodów, a z nich bardzo tylko mały procent dostawał się nam w podziale, i to nie dany nam dobrowolnie w poczuciu słuszności, lecz siłą przez nas wydzierany, bo półgębkiem tylko przyznawano, że się i nam coś z tego należy. To prawda, że nauka i jej zdobycze są powszechną własnością ludzkości, lecz także i to prawda, że w ogólnym budżecie narodów dopóty figurować będziemy, dopóki w wieńcu ich zasług naukowych i nasz także listek znajdować się

będzie. Dlatego nie ronić nam z lekceważeniem, lecz zbierać skrzętnie i hodować wszystkie pączki, z których ten listek urosnąć może, bo jak na dziś to tylko dowodem życia naszego.

Słów tych parę nastręczył nam zmarły w Neapolu przed paru laty Herkules Dembowski, znany zaszczytnie w świecie naukowym z powodu wielkich zasług położonych dla astronomii, ale znany tylko poza granicami kraju naszego, najmniej zaś przez swoich. Nie jego w tem wina ani nasza, lecz wina stosunków mu współczesnych, ktore na obcej ziemi pracować mu kazały. Przyznać się nam pierwszym do niego, pisząc życiorys, na który sobie najprzód u obcych pracą swoją zasłużył, nie będzie dla nas wstydem ani grabieżą.

Rodzina Dembowskich głośną u nas była w ostatnich czasach bytu politycznego Polski. Ojciec naszego astronoma, Jan Dembowski, rodem z Góry w księstwie warszawskiem, walczył w stopniu kapitana w powstaniu Kościuszkowskiem. Po r. 1794 schronił się do Francyi i zaciągnął się do legionistów polskich. Chlubnie odznaczył się pod Trebią i Novi, a w r. 1808, znajdując się w armii iliryjskiej, zmusił Anglików do opuszczenia wysp Guarneryjskich. W r. 1810 mianowany generałem brygady, brał udział w wojnie przeciw Rosyi, poczem osiedliwszy się we Włoszech, został komendantem placu w Medyjolanie i gubernatorem Ferrary. Tu ożenił się z Matyldą Visconti, która w r. 1821 należała do spisku przeciw rządowi austryackiemu. Podobneż losy przechodził i brat jego Ludwik Maciej, który walczył najprzód przeciw Rosyi na czele pułku własnym kosztem wystawionego, później zaś, uciekłszy wraz z bratem Janem do Francyi, jako szef a następnie dowódzca legionów polskich, bardzo ceniony przez Napoleona, walczył w Prusach i w Polsce, a po traktacie tylżyckim w Hiszpanii, gdzie w pojedynku zginął.

Herkules Dembowski urodził się w Medyjolanie 12 stycznia 1812 r. z ojca powyżej wspomnianego Jana Dembowskiego i matki Matyldy Visconti. Łatwo zrozumieć, że chowany pod okiem ojca żołnierza, już od pierwszej młodości swojej miał żyłkę wojskową. To też, gdy go ojciec już w r. 1823 a niebawem także i matka odumarli, 13-letni chłopczyna wstąpił do szkoły marynarki austryackiej w Wenecyi. Ze szkoły tej wyszedłszy jako kadet, zaciągnął się do służby czynnej morskiej i brał udział w ciągu kilku lat

w różnych wyprawach na morzu Śródziemnem. W r. 1832, podczas powrotu ze Smirny do Wenecyi na pokładzie okrętu wojennego „Bravo“, nadarzyła mu się po raz pierwszy sposobność pokazania swej odwagi i przytomności umysłu, a to przy obronie okrętu przeciw napadowi piratów morskich. W roku następnym został chorążym, a niebawem także i oficerem marynarki, i w tym charakterze odbył wiele podróży do Ameryki i na Wschód. W r. 1840 przydzielony do służby na okręcie fregaty Guerriera, brał udział w różnych wyprawach pod rozkazami admirała Bandiera, i odznaczył się nieustraszonością, rzucając się pierwszy na fortyfikacye znanej od czasów krucyjat fortecy „Acra“ (u Francuzów St. Jean d'Acre“, staroż. „Ptolomais“) [1].

W r. 1842 odbył jeszcze podróż do Anglii na pokładzie fregaty „Bellona“, a w następnym mając około 31 lat, wziął Dembowski dymisyę z marynarki austryackiej. Nie znane są bliższe przyczyny, które go skłoniły do porzucenia zawodu wojskowego, prawdopodobnie atoli jedną z ważniejszych była podagra, dla której ciągłe wałęsanie się po morzach nie było zbawiennem.

Cofnąwszy się do życia prywatnego, osiadł Dembowski w Neapolu w nadziei, że dłuższy pobyt w łagodnym klimacie ulży mu w cierpieniach. Mały majątek oddziedziczony po rodzicach, zaspokajał jego skromne potrzeby. Wolnym teraz będąc od zajęć, obrócił wszystek swój czas na uzupełnienie w różnych kierunkach swych wiadomości naukowych i literackich, do czego mu przedtem jego obowiązki wojskowe nie dozwalały. Tu się zapoznał a nawet ściśly przyjacielski stosunek nawiązał z Antonim Nobile'm, astronomem obserwatoryum w Capodimonte, będącego pod zarządem Capocci'ego, i zdaje się, że tento jego uczony przyjaciel, widząc w nim zamiłowanie i zdolności, nakłonił go do poświęcenia się astronomii.

Na początek zakupił sobie Dembowski lunetę dialityczną Plössla, 5 calową, narzędzie mniej niż skromnych wymiarów, a przytem nie zbyt dokładnie montowane, to też trzeba rzeczywiście zrę-

[1] Szczegóły te z życia Dembowskiego, posiadamy z biografii napisanej przez Schiaparellego, astronoma medyjolańskiego, a dołączonej do dzieła, o którem później obszerniej pomówimy.

cności i sumienności jego przypisać tylko te owoce, jakie on już od samego początku z tego narzędzia wyciągnąć potrafił. Usadowiwszy się i urządziwszy ze swoim teleskopem na przedmieściu św. Grzegorza, rozpoczął przy końcu 1851 r. piękny szereg pomiarów względnej odległości gwiazd podwójnych, a który prowadził już z wytrwałością nadzwyczajną aż do ostatnich lat życia swego. Był to dział mało w ogóle dotąd i od niedawna przez astronomów uprawiany, to też, ażeby dobrze ocenić zasługi, jakie on w uprawie jego położył, przypatrzmy się wpierw w krótkości temu, co dotychczas w tym obranym przezeń kierunku zdziałanem było.

Gwiazdami podwójnemi nazywają astronomowie, jak wiadomo, gwiazdy parami na niebie się jawiące, i to bardzo blisko siebie, jedna tuż koło drugiej. Dawniejsi astronomowie, a nawet jeszcze z 17 wieku, znali ich zaledwie kilka, w ogóle bardzo mało. Nie zwracali oni bowiem na nie szczególowo zbyt wiele uwagi, tłumacząc sobie tę ich dwoistość w ten sposób, że między tylu tysiącami gwiazd, w najrozmaitszy sposób po niebie rozsianemi, mogą przecież zdarzać się przypadki, w których dwie gwiazdy wraz z ziemią naszą czyli miejscem obserwacyi, znajdują się zupełnie na jednej linii prostej, lub też bardzo blisko tejże, a skutkiem czego jedna drugę zakrywać, lub też tuż obok niej widzianą być musi. Inaczej mówiąc, uważali je tylko jako optyczne, tj. tylko dla naszego obserwacyjnego stanowiska we wszechświecie pozornie bliskie gwiazdy, a nie jako fizyczne, tj. rzeczywiście do się należące ciała niebieskie, jedną całość czyli systemat do naszego systematu słonecznego podobny, tworzące. Nawet niektóre wyznaczenia ich względnych stanowisk, a które nasz polski astronom Heweliusz w r. 1659, później zaś Flamsteed, dyrektor obserwatoryum w Greenwich, w r. 1690, Tobiasz Mayer astronom gettyngski w r. 1756 i t. p. uskutecznili, były bez bliższego względu na ich rzeczywistą i fizyczną łączność z sobą wykonane.

Większa w tym kierunku zasługa należy się J. H. Lambertowi, filozofowi i matematykowi niemieckiemu, który, chociaż o rzeczywistej egzystencyi podwójnych systemów gwiaździstych więcej powątpiewał, aniżeli w nią wierzył, jednak w różnych swoich publikacyach, a szczególniej w swoich bogatej treści kosmologicznych listach o budowie wszechświata, dał rzetelniejsze pojęcia także

i o gwiazdach podwójnych, a szczególniej o konieczności stósowania się ich ruchów do ogólnej grawitacyi. Po nim John Michell, angielski proboszcz i astronom-amator, w jednem ze swoich pism wskazał na prawdopodobieństwo, że niektóre grupy gwiazd, jak np. Plejady, nie są następstwem przypadkowego ich rozproszenia, lecz, że tworzą one systemata osobne, podobne do mgławic, — a dalej, że gwiazd podwójnych nie należy uważać za zjawiska optyczne, lecz za systemy odrębne, dwoiste.

W każdym atoli razie było jeszcze naówczas za mało dat i materyału, na którychby te poglądy stanowczo oprzeć można było. To też najwięcej w położeniu tych niezbędnych fundamentów zasłużył się dopiero Chrystyan Mayer, który wkrótce potem na obserwatoryum, zbudowanem dlań w Manheim przez mecenasa jego, elektora Teodora z Palatynatu, zaczął formalne i specyalne poszukiwania za gwiazdami podwójnemi. Po zebraniu tychże jak na początek wcale pokaźnej liczby, bo około 80 par, ogłosił następnie stanowczy swój wniosek, że jestto rodzaj trabantów gwiaździstych lub słońc podwójnych, miał jednak w następstwie tego wiele do walczenia aż do swej śmierci (1783) z przeciwnikami tej myśli, jak w ogóle, praca ta jego przez współczesnych z małym tylko ich wyjątkiem więcej wyszydzaną aniżeli chwaloną była, i dopiero w późniejszych czasach doczekała się należytego sądu.

Nowy i godziwy zwrot w tej sprawie nastąpił dopiero, gdy sławny W. Herszel zaczął zajmować się temi badaniami ze swoją wielką przezornością i wytrwałością. Już w r. 1782 przedłożył on Tow. astronomicznemu w Londynie katalog 269 gwiazd podwójnych, z których 24 tylko za pomocą najsilniejszych teleskopów jako podwójne ocenione być mogły. Później nie tylko podniósł on tę cyfrę do liczby 846, ale co ważniejsza, ponieważ od czasu do czasu pomiary współrzędnych powtarzał, już w r. 1803 oddał temuż Towarzystwu wykaz najwidoczniejszych zmian położenia niektórych gwiazd podwójnych, a tym sposobem dostarczył niezbitego dowodu o rzeczywistej bytności dwoistych systemów.

Prace te starszego Herszla, były dalej starannie kontynuowane przez syna jego, jak również przyjaciela tegoż, Jana Southa, prywatnego astronoma, — szczególniej jednak w nową erę wprowadzone zostały przez W. Struwego, astronoma w Pułkowie. Ten skatalogował

2640 gwiazd podwójnych i wielorakich, odległych od siebie o mniej niż 32″, a obserwowanych od połowy trzeciego dziesiątka lat bieżącego wieku, wymierzył i opisał je z największą starannością i oględnością, nadto zaś przy blisko stu parach udowodnił ze swych obserwacyj widoczne zmiany ich względnego położenia. Łącznie z nim, później zaś sam prowadził te rzeczy dalej syn jego i następca w urzędzie Otto Struve, — prócz niego zaś pracowali na tem polu gdzieindziej Dawes, Bessel, Secchi, Engelmann i t. d., a w ostatnich latach Peters, Auwers i t. d. W ślad za temi zbiorami obserwacyjnemi, poszły znów prace teoretyczne Enckego, Klinkerfuesa, Mädlera, Winneckego i t. p., którzy pod założeniem, że nasze prawo grawitacyi panuje także w najodleglejszych systematach gwiazdzistych, pokusili się wreszcie o rozwiązanie zadania: z kilku obserwowanych pozycyj gwiazdy, będącej w systemie dwoistym, troistym i t. p. satellitą gwiazdy głównej tegoż systemu (odpowiadającej naszemu słońcu w systemie słonecznym), względną drogą pierwszej odnośnie do gwiazdy głównej wyznaczyć, i przez porównanie wyników rachunkowych z obserwacyami teoryę tę stwierdzić.

Po tej małej przerwie, powróćmy nazad do Dembowskiego.

Kierunek, jaki sobie Dembowski jako astronom do swych przyszłych prac i badań obrał, był bardzo ważnym dla nauki i na czasie, bo wiele tu jeszcze bardzo do czynienia pozostawało. Nabycie dialitu Plössla, o czem już wyżej wspomnieliśmy, zdecydowało o tym kierunku już od początku, a raz nań wszedłszy, nie zeszedł z niego już aż do końca, lecz oddał mu się cały cmiałe i duszą. Przyrząd ten był wielkiej dokładności optycznej, i dla bystrego a wyćwiczonego oka Dembowskiego dozwalał odróżniać gwiazdy odległe od siebie aż do 1″ łuku, konstrukcya jego jednak mechaniczna zostawiała wiele do życzenia. Nie było przy nim ani aparatu zegarowego, ani koła pozycyjnego, — i w ogóle mówiąc, środkami dość ograniczonemi i dla kogo innego może nie wystarczającemi zaczął pracować Dembowski, lecz przy jego talencie i zręczności zdawała się znikać wszelka trudność. Własną, przez siebie obmyślaną i do tego narzędzia zastósowaną metodą, mierzył on kąty pozycyjne, a był to sposób bardzo skomplikowany i wymagający prócz bystrości nadzwyczajnej, także ogromnej wytrwałości. To też już pierwsze publikacye jego w czasopiśmie astronomi-

cznem *(Astronomische Nachrichten)* z r. 1855 umieszczone, zwróciły na niego uwagę astronomów jako na zdolnego obserwatora. Był tam pierwszy szereg jego obserwacyj, obejmujący wprawdzie pomiary tylko 127 gwiazd podwójnych jaśniejszych, ale z zakroju tegoż już wtedy widocznym był zamiar jego mierzenia ponownie wszystkich gwiazd katalogu dorpackiego w granicach, na jakie siła optyczna jego dialitu dozwalała. I rzeczywiście też, przełamawszy zwycięsko pierwsze trudności, jakie początkującemu obserwatorowi sam instrument stawia, nim się stanie panem tegoż, już do wiosny 1858 r. powtórzył on pomiary prawie wszystkich gwiazd podwójnych W. Struwego, oznaczonych przez tegoż mianem świetlnych *(Lucidae)*, jakoteż wielu innych, które nie były zbyt słabe co do światła dla jego teleskopu. W ogóle obserwacye zebrane przezeń w Neapolu obejmują więcej niż 2 tysiące gwiazd, a zasługa jego polega nie tyle na ich ilości, jak na wielkiej precyzyi, do jakiej on je doprowadzić potrafił.

Nie ograniczając się na samem katalogowaniu gwiazd, powziął Dembowski około tegoż czasu zamiar naśladowania W. Struwego i w innym kierunku, tj. wyznaczania także bezwzględnych pozycyj gwiazd podwójnych, przez niego mikrometrycznie mierzonych. Zmierzał więc do praktycznego celu i zastósowania swych prac, porównanie bowiem tych pozycyj z takiemiż, a wyznaczonemi w Dorpacie przed 30 laty, powinno dać bardzo cenne daty do znajomości fizycznej tych systemów. Myśl była wyborna, i tę postanowił on zaraz wprowadzić w wykonanie. W tym celu nabył niebawem koło południkowe od Starkego w Wiedniu, z objektywem 42 linij otworu, a 50 cali odległości ogniskowej, opatrzone kołem o średnicy 14 cali z 4 mikroskopami. Z obserwacyj tym instrumentem zrobionych, a którego dobrocią łudził się początkowo, znaną jest jednak tylko jedna publikacya, zamieszczona w czasopiśmie astronomicznem z r. 1859, i obejmująca 336 obserwacyj 52 gwiazd podwójnych. Późniejszych prac w tym kierunku, ani śladu. Czy to, że podejrzywał on błędy systematyczne w tych swoich rezultatach, czy, że nie dowierzał swojemu nowemu instrumentowi, czy wreszcie dowiedział się, iż podobne wyznaczenia są w toku na innych obserwatoryach, rozporządzających większemi środkami, — dość, że po ogłoszeniu próby powyż rzeczonej, zaniechał dalszych publikacyj

w tym kierunku, i wolał zniszczyć całą pracę, aniżeli ogłaszać daty, które mu się wydawały niepewnemi z jakiegobądź powodu.

Drugi a bardzo żyzny peryod swych prac rozpoczął Dembowski w r. 1858. Przy końcu tegoż roku, gdy poprawiony znacznie stan jego zdrowia dozwolił mu opuścić Neapol, po krótkim pobycie we Florencyi i Medyjolanie, osiedlił się w wydzierżawionej willi w pobliżu miasta Gallarete (w Lombardyi, niedaleko od Medyjolanu). Tu urządził znowu swoje nowe obserwatoryum, które przedewszystkiem wzbogacił 7-calowym refraktorem, zakupionym u Merza w Monachium. Ponieważ i sama luneta była teraz donioślejszej siły, a prócz tego zaopatrzoną była w różne dodatki użycie jej ułatwiające, jak przyrząd zegarowy i mikrometry, rozszerzyło się więc równocześnie także pole pracy jego, bo mógł tym przyrządem nietylko wszystkie gwiazdy podwójne katalogu dorpackiego mierzyć, ale także z małym wyjątkiem i inne odkrycia poczynione na niebie obserwować. Odtąd też, a szczególniej od r. 1862, w którym się całkiem na swojej nowej siedzibie uporządkował, widzimy go przez 17 lat, tj. aż do r. 1879, prowadzącego z wzrastającym ciągle zapałem swoje ulubione badania i obserwacye gwiazd podwójnych, w czem, aby jednolitością działania rzecz tem cenniejszą uczynić, trzymał się stale i wiernie reguł i zasad postawionych w tej mierze przez W. Struwego, w jego klasycznem dziele „Mensurae micrometricae“. W program prac swoich przyjął między innemi powtórzenie pomiarów w ciągu ostatnich 40 lat wykonanych, i za tym programem szedł wytrwale, dopóki nie wypełnił go w najważniejszych częściach. W ciągu tego czasu zrobił on w Gallarete 18 tysięcy pomiarów, do czego dołączywszy znów więcej niż 2 tysiące zrobionych w Neapolu, a jeszcze około 700 innych, wykonanych celem zbadania błędów systematycznych tychże pomiarów, otrzymamy około 21 tysięcy obserwacyj przez niego samego uskutecznionych — co, jeżeli zważymy, że liczba pomiarów ogłoszonych przez W. Struwego dochodzi tylko do 10.600, zaś drugie tyle dostarczył syn jego w ciągu 40 lat, przekona nas łacno o jego niezmordowanej pracy, zapomocą której zrobił on sam jeden tyle, ile tamci dwaj astronomowie razem zrobić zdołali.

W r. 1879 po ukończeniu się dzierżawy domu zajmowanego w Gallarete, zakupił Dembowski małą posiadłość w gminie Albiz-

zate, w pobliżu Lago Maggiore, gdzie się przeniósł w maju t. r. I tu urządził on także obserwatoryum i ustawił narzędzia, w nadziei, że będzie mógł prowadzić dalej swoje prace, ale siły ku temu już nie wystarczyły. Już w ostatnich czasach pobytu jego w Gallarete dawne cierpienia zaczęły wracać, i ataki podagry z coraz większą gwałtownością się powtarzać. Żądny pracy i w niej rozmiłowany, zmuszony bywał całemi miesiącami pozostawać w łóżku, nie mogąc władać rękoma lub nogami; lecz skoro tylko cierpienia fizyczne trochę pofolgowały, wracał z dawną świeżością umysłu i wytrwałością do swoich obserwacyj. Zmiana jednak pobytu nieszczęsną była dla niego i dla nauki, zaledwie bowiem przybył do Albizzate, odnowiły się te ataki z taką siłą, że wreszcie uległ im po ciężkiej chorobie dnia 19 stycznia 1881 r.

Cenne prace Dembowskiego nie byłyby może nigdy w całej swej rozciągłości ujrzały światła Bożego, gdyby nie ludzie, którzy znając się na ich wielkiej wartości, przynajmniej po śmierci jego z ukrycia je wyciągnęli. Był to bowiem człowiek przesadnej niemal skromności w ocenie swych zasług, a przeciwnie unoszący się nad zasługami tych, którzy równocześnie z nim pracowali. Nie chciał się nigdy zgodzić na to, aby go nazywano astronomem, a to z powodu, że w swych młodych latach nie miał sposobności przechodzić wszystkich nauk przygotowawczych do zawodu naukowego potrzebnych, później zaś wielkie zainteresowanie się obserwacyami, przeszkodziło braki te według jego mniemania i pragnienia uzupełnić. Ta skromność jego była powodem, że przez dłuższe czasy unikał nawet stosunków z innemi astronomami, a żałować tego należy, gdyż skutkiem tego długi czas także ci ostatni pozbawieni byli możności korzystania z jego wytrawnego sądu o rzeczy i doświadczenia, jak również także i współdziałania przy dążeniu do jednakowego celu. Skromność jego była także przyczyną, że wstrzymywał się ciągle z ogłoszeniem bogatego zbioru swych obserwacyj, mimo że był ciągle o to nagabywany przez tych, którzy znali cząstki jego zbioru, publikowane w czasopiśmie astronomicznem. Dopiero w r. 1872 zdecydował się dać tamże większą seryę swych obserwacyj z lat 1863—70 nad gwiazdami podwójnemi, a która mu się wydała więcej od reszty interesowną, gdyż była tam wielka liczba pomiarów dających się porównać z pomiarami przed 20 laty przez

O. Struwego wykonanemi. Za tę jednę już publikacyę, otrzymał medal złoty od Towarzystwa astronomicznego londyńskiego, czem dopiero jak gdyby oświecony o wartości siebie samego i ważności swych obserwacyj, wziął się odtąd do porządkowania swych manuskryptów, i przygotowania ich do druku, co też mimo cierpień fizycznych prawie zupełnie w ostatnich latach do skutku doprowadził.

Lecz nie doczekał się Dembowski wydawnictwa swych prac za życia. Na jego zasoby materyalne, była to rzecz zbyt kosztowna, zwłaszcza, że poślubiwszy jeszcze w Neapolu Henrykę bar. Belleli [1], miał rodzinę złożoną z 2 córek i jednego syna, — narzucać się zaś nikomu z swoją ciężką i tyloletnią pracą nie chciał. Szczęście, że przynajmniej ta rodzina poszanować pracę ojca swego umiała. Po śmierci zaś jego spadkobiercy sprzedali wszystkie narzędzia astronomiczne za 17 tysięcy lirów ministerstwu oświecenia, które je umieściło częścią w obserwatoryum w Padwie, częścią zaś w wieży ponad Muzeum Kopernika w Rzymie, — pozbierawszy zaś starannie wszystkie manuskrypta i dzienniki obserwacyjne, zrobili oni z tego dar dla obserwatoryum królewskiego w Medyjolanie, który z wdzięcznością przyjęto i bezzwłocznie za nakładcą obzierać się poczęto. O znalezieniu prywatnego nakładcy, któryby na to łożył, trudno było myśleć, bo to rzecz kosztowna z powodu objętości a niepokupna, jako ściśle tylko dla astronomów przydatna, — po prostu mówiąc, potrzeba tu było koniecznie znaleść na to mecenasa, któryby nie obzierając się za zyskami, zrobił z tego wydawnictwa trwały dar dla umiejętności. I rzeczywiście znalazł on się sam bez trudu i to bardzo poważny, bo jego imię bezwątpienia jeszcze więcej wartość prac Dembowskiego podnosi, a była nim rzymska Akademia dei Lincei, która dowiedziawszy się o tym darze spadkobierców jego, powzięła natychmiast zamiar wydania go sumptem swoim czyli publicznym.

---

[1] Według wiadomości otrzymanych przez nas prywatnie z Rzymu, nie bardzo słodkiem było pożycie małżeńskie Dembowskiego, i w temto leży prawdopodobnie przyczyna zamknięcia się w sobie i usunięcia się jego od towarzystw nietylko polskich, ale i włoskich. W pracy szukał osłody życia, której w stosunkach rodzinnych nie zaznał.

Do zajęcia się tem wydawnictwem wydelegowała akademia dwóch astronomów, O. Struwego i G. V. Schiaparellego, którzy się też chlubnie z tego obowiązku względem zmarłego kolegi wywiązali. Dość łatwo im to przyszło, gdyż, jak powyżej już wspomnieliśmy, wszystko było przygotowane przez samego Dembowskiego, i wszystkie niemal obserwacye, w Gallarete zrobione, i to każdej gwiazdy, były uporządkowane i jak najdokładniej w regestra ułożone, — a potrzeba było tylko jeszcze kilka ustępów jako objaśnień do poszczególnych seryj obserwacyjnych napisać. W tento sposób prace Dembowskiego zachowane zostały na zawsze dla nauki, a zarazem i pomnik zasłużony na zawsze dla niego postawiony. Ukazały się one w dwóch wielkich tomach drukowanych w Rzymie; pierwszy z nich pt.: *Misure Micrometriche di Stelle doppie e multiple, negli anni 1852–1878 dal barone Ercole Dembowski* wyszedł już w r. 1883 (quart. maj. stron 415), z przedmową wstępną i biografią, napisaną przez Struwego i Schiaparellego, tudzież z jego wizerunkiem, drugi zaś pod tymże samym tytułem w r. 1884 (stron 619).

Dzieło to Dembowskiego, w ogóle o niem mówiąc, jest bardzo ważnem dla astronomów i dla nauki, z powodu wielkiej liczby zawartych w niem nowo odkrytych gwiazd podwójnych, i pożytków, jakie w przyszłości zeń mogą być wyciągnięte, to też nie spotka nas zarzut przesady, jeżeli na zakończenie życiorysu zasłużonego człowieka powiemy, że imię Dembowskiego znajdować się będzie zawsze między astronomami, którzy się w tym wieku bardzo zasłużyli nauce. Widzimy w nim już nie zwykłego amatora tej wzniosłej umiejętności, a który tylko przy sposobności i w wolnych chwilach poświęca część swego czasu lub mienia na jej cele i uprawę, lecz widzimy niezmordowanego pracownika, który bezinteresownie, a pełen cichej skromności, pracował całe niemal życie, aby swoją cegiełkę w jej wspaniałym gmachu ułożyć. Wdzięczność za to mu się należy i od przybranej jego ojczyzny, której się za przytułek, dany ojcu w ciężkich czasach, godnie odpłacił, — wdzięczność i od nas, że imię polskie w dziejach nauki bardzo znacząco i to obcą najprzód ręką, wypisał.

Dr. Wierzbicki.

NASZE SIOŁO.

STUDYUM ETNOGRAFICZNE[1].

„Na co się zda — pyta niejeden i dziś jeszcze — zbierać mozolnie, wydawać z niemałym nakładem czasu i pieniędzy materyały etnograficzne; podglądać i wiernie spisywać zwyczaje i obyczaje, gusła i baśnie krążące o pojedynczych okolicach, wsiach, zaściankach? Nie lepiejże już napisać „tysiąc wierszy o sadzeniu grochu“, niż napełniać całe tomy temi gadkami i bredniami, jak czyni to np. tak nawet poważna instytucya, jak krakowska Akademia Umiejętności? Zapytania to częste, częstsze niżby się może pozornie zdawało. Jedni protestują przeciw „rostkliwianiu się“ nad losem ludu, zapominając, czy nie chcąc wiedzieć, że nikt już dziś chyba zbyt sielankowo, romantycznie na nasz lud nie patrzy; drudzy patrzą na chłopa, choć może z tego teoretycznie sprawy sobie nie zdają, jakby na jakąś niższą, niemal samymi instyktami rządzącą się istotę, z którą bliżej się zapoznawać niema ani racyi, ani

[1] Skrócenia w tej pracy używane:
Z. — Zawada, wieś pod Nowym Sączem (parafia N. Sącz).
Zb. — Zabrzeź, wieś należąca do parafii Łącko, w powiecie Nowotarskim.
S. — Sosnowice, wieś należąca do parafii Pobiedr, o milę od Kalwaryi Zebrzydowskiej położona (powiat Wadowicki).
P. — Pobiedr, wieś pod Kalwaryą Zebrzydowską (powiat Wadowicki).
Wszystkie materyały etnograficzne z wyjątkiem kilku, opatrzonych odrębnemi cytatami — a więc i cały zasób śpiewek — pochodzą z mych własnych rękopisów, zebrane i zapisane wprost z ust ludu bądź przezemnie (Zawada, Sosnowice, Pobiedr), bądź przez mego przyjaciela ks Walentego Szczepaniaka, (Zabrzeź), a mnie łaskawie do użytku udzielone.

interesu; są i tacy, choć takich podobno dziś bardzo nie wiele, co utworzywszy sobie z kilku poezyi, dosnuwszy z własnej fantazyi obraz wiejskiego sioła i jego mieszkańców, nie radzi go z rzeczywistością porównywać, lękają się, by im ten obraz nie spłowiał, by jasny, miły oku koloryt nie musiał ustąpić szaremu, w posępny, czasami niemal w czarny się nie zmienił. I pierwsi i drudzy i ostatni niech odważnie wstąpią po za wrota naszej wioski, niech pochwaliwszy P. Jezusa progi niskich chat przekroczą: więcej tu nieraz spotkają poezyi, więcej zdrowego rozsądku niż mniemają z daleka, — i po krótkim czasie przyznają z pewnością: warto odchylić zasłonę, ukrywającą życie ludu, jego radości i smutki; warto się przysłuchać jego pogadankom, jego tradycyjnie podawanym opowiadaniom i śpiewom; warto zbadać co się roi w głowie jego i sercu.

Wejdźmyż do wioski, jednej z tych, co niedaleko od stóp Karpat rzucone, — a wszystkie one tutaj, przynajmniej z pierwszego wejrzenia, do siebie podobne; — spokojnie w niej, cicho, czy to w lecie, czy w zimie. Że to Polska poznałbyś już po samej tej cichości, gdyby nie po starodawnych kapotach chłopskich. W kościółku dzwonią na Anioł Pański, lud się modli; na mszę idzie, gdy dzwonek go wzywa. Kościółek drewniany, szczupły, sercu miły, z którego ścian zczerniałych mówią wieki, zastępuje cywilizacya murowanym, wspanialszym. Wierzby krzywe, spróchniałe nad wodą — Boża Męka przy drodze, chyląca się od starości i zczerniała; wąwóz czarowny, zarosły paprocią — opadlisko, gdzie z pod ziemi dźwięk dzwonów słychać w cichą pogodę; dwie siostry, przemienione w dwie skały na górze: to wszystko znamiona naszego sioła, a zarazem droga dla chłopa pamiątka. Szanować ją trzeba, bo to własność ojców przekazana w spuściznie synom, którzy ją znowu przekażą wnukom z obowiązkiem szanowania.

Sioło — to nie tylko mieszkanie ludzi z czarnemi, spracowanemi rękami, ale i kraina jakaś zaczarowana, tajemnicza, pełna duchowego życia. Iluż to duchów, istot niewidzialnych, widm, krąży po siole... Każdy kwiat i zioło ma swą tajemnicę i odrębne znaczenie, które człowiek odgadł lub przypadkiem poznał, podpatrzywszy duchy, mające w przyrodzie wpływ niemały. Przestęp (Bryo-

nia alba. L.) to ziele, które czarownicom dyabeł pokazał, aby mogły plony gruntom, lub mleko krowom odejmować na swoją lub czyjąkolwiek korzyść. Wiele znów ziół zawdzięcza swe istnienie Chrystusowi Panu, Matce Najśw. lub Świętym, którzy chodząc kiedyś po ziemi, pożyteczne po sobie ludziom pozostawili pamiątki. Ale i dziś Święci, choć mieszkają wysoko — w niebie, na sioło i na ludzi w niem mieszkających, zwracają opiekuńcze oko. Lud wierzy, że Święci raz po raz zstępują na ziemię, i kielichami jasnych, wonnych kwiatów dotykają czyste dusze. Człowiek taki zaraz umiera, a Święty bierze duszę jego w jasną swoją szatę i niesie do nieba.

Te skały podobne do ludzkich postaci, mają swoją tajemniczą historyę. Dwie skały, niby dwa kształty niewieście związane z sobą, są dwiema siostrami niegodziwemi, które umierającej matce nie podały kubka wody i poszły na muzykę do karczmy. Skamieniały w drodze z dopustu Bożego — a jak stanęły, tak i dziś jeszcze stoją.

Niedaleko opadlisko — miejsce zaklęsłe, opadłe. Tu, opowiadają miejscowi, stała niegdyś karczma, która na rozkaz Boży zapadła się w ziemię razem z bezbożnymi ludźmi. Grała muzyka, w karczmie było „pełno luda“, gwar i tany — aż tu nadjeżdża drogą ksiądz z Panem Jezusem do chorego. Skrzypek, który pierwszy zobaczył księdza przez okno, krzyknął na ludzi:

— Klękać! ksiądz jedzie z Panem Bogiem! — zeskoczył z ławy i ukląkł na jedno kolano. Ale tłum tańczących nie słuchał słów jego, a jeden nawet odezwał się pijany:

— To niech se ta jedzie!

Ksiądz podniósł wijatyk, a wtedy karczma obróciła się w kółko i pogrążyła w ziemi. Dziś w tem miejscu rośnie samotna wierzba, w którą ów skrzypek przemieniony został. (Otwinów pod Radomyślem).

Ojcowie gadali, że tam w lesie przy dodze, gdzie widać jakby place i ulice niezarośnięte drzewem ani krzewiną, istniało niegdyś duże i bogate miasto, nazwiskiem Cymborya[1]. Zapadło się w ziemię, zostawiwszy po sobie te ślady.

---

[1] Z własnych materyałów. Podanie powszechne. Podobne w Zawadziu pod Nowym Sączem.

Było to uroczyste święto. W kościele odprawiała się suma, lud pobożny modlił się, tylko jedna przekupka zasiadła z swym kramem w pobliżu świątyni, aby coś zarobić od licznie zebranej ludności. Przechodzeń jakiś zbliżył się, kupił kilka jaj, a ponieważ przekupka żądała za drogo, począł się targować. Ona wtedy rzekła z gniewem:

— Żeby się to miasto zapadło, jeżeli mnie samej więcej nie kosztuje.

Zaledwie wymówiła te słowa, dzwony jękły, i miasto skryło się w ziemi.

Później pytał się głos z pod ziemi jakiegoś człowieka, jak się to miasto nazywało a wyjdzie na wierzch, lecz ten nie wiedział, i miasto zostało pod ziemią[1], (Chotowa; par. Starzęcin, star. Pilzno).

Gdzieindziej pokaże ci chłop trzęsawisko, pod którem też zapadłe znajduje się miasto. W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, gdy młodzież poszła do kościoła, a starsi paśli bydło w pobliżu, słyszeli śpiewy obchodzącej pod ziemią procesyi i dźwięki głuche dzwonów. Powtarza się to w każde Wniebowstąpienie. (Pilzno).

Są miejsca, zwłaszcza po lasach, gdzie znajdują się ukryte skarby, których dyabeł pilnie strzeże, nie opuszczając ani na chwilę swego posterunku. Raz jednak w roku, a to w kwietnią niedzielę, porzuca dyabeł swe skarby i biegnie do kościoła na pasyą. Ktoby skorzystał z tej chwili i poszedł we wskazane miejsce, znalazłby skarb uwolniony od czartowskiej straży, i dowoli mógłby nabrać pieniędzy. Raz szła baba z dzieckiem na ręku koło lasu — właśnie podczas pasyi. Nagle uderzył jej oczy blask niezwykły, złoty, pochodzący z niezbyt głębokiej pieczary. Zajrzała do środka — kupy złotych pieniędzy leżały na dnie i nęciły do siebie. „Skończy się przecie raz nędza — pomyślała sobie — wezmę pieniędzy, ile tylko uniosę, i będę bogatą“. Wchodzi do wnętrza, kładzie dziecko na złocie i nabiera do zapaski pieniądze. Trzy razy nabierała i wynosiła przed jaskinią. Za czwartym razem chciała wziąć dziecko, biegnie więc po nie, a w tem drzwi jaskini się zatrzasły — i dziecko zostało pod ziemią. Rozpacz matki była nie do opisania. Starzy

[1] Z własnych materyałów.

doświadczeni we wsi radzili jej, żeby się poleciła Matce Najświętszej, a Ona wróci jej dziecko tym samym sposobem, którym utracone zostało. Posłuchała kobieta, a modląc się i pokutując, czekała niecierpliwie przyszłej kwietniej niedzieli. Z bijącem sercem pobiegła w znane sobie miejsce podczas pasyi. Oczom swoim nie chciała wierzyć, gdy spostrzegła jaskinię otwartą, a w niej dziecko swoje jedyne, zdrowe i rumiane, bawiące się czerwonem jabłkiem. Nie patrząc wcale na skarby, chwyciła tylko dziecię i uciekła szybko do domu [1]. (Z.)

Wśród sioła krąży i przesuwa się niezliczona ilość duchów, widm, istot nadziemskich; noc pobudza je przeważnie do życia. Są jednak i takie, które się we dnie pokazywać zwykły. Chłop je zna wszystkie dobrze, nieraz się bowiem z nimi spotka, boi się ich w ogóle, ale też ma przeciw nim dobre środki odporne: krzyż św., wodę i kredę święconą, gromnicę, święcone zioła...

Najbardziej rozbija się po siole dyabeł, w tej samej postaci, tak samo przybrany jak za dawnych czasów. Raz zjawia się niby karzeł kuso ubrany, w czarnym fraczku, modrych szarawarach i czerwonej czapeczce na głowie, to jako monstrum, zwierz-człowiek, to jako zwykły człowiek, który w jednej chwili w oczach znika lub w martwą rzecz się przemienia. Przedzierzgnie się też dyabeł w zwierzę: w psa, kota, konia, woła... Zjawia się zazwyczaj pijakom, wracającym nocą do domu z karczmy lub jarmarku, wodzi ich po manowcach, tłucze po rowach i paryjach, ciągnie do wody lub błota. Raz jednego chłopa zatrzymał nad „młaką“ i mówił do niego:

— Siadnij se tu! siadnij!

Ani rusz kroku zrobić; *młaki* obejść nie może, bo go siłą do niej ciągnie. Ale chłop mądry, na dobrą wpadł myśl, zaczął mówić „sálmę“ — i w tej chwili go opuściło [2]. (Gorzków pod Nowym Sączem).

Innego chłopa, gdy wracał z karczmy do chałupy, wodził dya-

---

[1] Z własnych materyałów. Powszechne podanie. Takie same np. w Krościenku (nad Dunajcem).

[2] Z własnych materyałów.

beł w postaci małego chłopca. Zjawił się mu w potoku, koło którego chłop przechodził, i wołał na niego:

— Tu pódź! tędy dobrze!

Chłop się rozgniewał, chwycił chłopca i „cisnął“ do potoku, ale ten się zaraz podniósł, pokazał się na drugiej stronie i znowu mówił:

— Pódź tu! tędy dobrze!

W ten sposób wodził go długo, póki chłop, poznawszy dyabła, nie uczynił znaku krzyża św.[1] (Załubincze pod Nowym Sączem).

Na złodziei też jest dyabeł dobry. Jednego chłopa, który poszedł w nocy do cudzego lasku drwa sobie urąbać, nie małego nabawił strachu. Nie baczył widocznie ów chłop na to, co powiadano o tem miejscu, że tam dyabeł „siedzi“. Urąbawszy wiązkę drzewa, położył ją przy sobie — ogląda się, a tu wiązki niema. Chwyciwszy tylko siekierę, uciekł zestraszony do domu[2]. (Kunnów pod Nowym Sączem).

Dyabeł w różnych przebywa miejscach, najbardziej lubi pustkowia i granice siół, pól i lasów. Są po siołach pustnice i łyse góry, kędy przy poświście wichru tańcują dyabły z czarownicami ze wsi. W krzaku rokity siedzi dyabeł, zwany „rokiciárz“.

„Ráz pasły pastuchy bydło w Osicu[3]. Chodáki, jak to rozbuhańce, zacały krzyceć przy bydle:

— Rokiciárz! pódź na pojedynek!

Jak tyz nie wyskocą dwa koty, jak sie nie zacną zryć i ścigać chodáków, jaz ci uciekli do domu, a bydło sie potraciuło. Wiecór, jak niebozycka Idziowa sukaa bydła, widziaa jak pod brzezinąm siedziáł stráźnik i miáł cápkę na śtyry rogi“[4]. (Zb.)

Po polach w czasie żniw lata dyabeł, zwany „Stralą“, wielki psotnik i swawolnik, który mierzwi i rozrzuca pokosy, rozwiązuje snopki, rozbija kopy siana, lub tańczy z nimi naokół. Najrozmaitsze płata ludziom figle.

„Szedł chłop garncarz z garkami na plecach. Droga była

---

[1] Z własnych materyałów.
[2] Z własnych materyałów.
[3] Miejscowość we wsi Zabrzeży, parafia Łęcko, powiat Nowotarski.
[4] Z własnych materyałów.

równa; nie było na niej nic takiego, na czemby dla ulżenia sobie ciężaru, mógł swe garki postawić. Nagle spostrzega na środku drogi wyrastający pniaczek. Ucieszony biegnie, by na nim oprzeć swój ciężar. Ale zaledwo go oparł, wszystko naraz znikło, a nieszczęśliwy człowiek, zadzierając nogi do góry, upadł plecami z całym ciężarem na gołą ziemię i potłukł swe garki. Dopieroż z miejsca, gdzie był pniaczek, wyskoczył niziutki, kusiutki, i śmiejąc się: ha! ha! ha! kręcił się w kółko swoim zwyczajem“ [1] (Modlnica).

Z dyabłem się spotkać zawsze niedobra sprawa, niebezpiecznie nawet wymówić jego imię, bo zaraz gotów się zjawić. Powiadają na wsi: Nie trza nigdy gadać „Zeby cie dyábli wzieli!“ Ráz jedna matka, kiedy jéj dziecko barz krzycało w kołysce, powiedziała: „Zeby cie dyábli wzieli!“ Tak kolybkę zaráz „coś“ porwało i niesło w powietrze, potym upuściuło, ale dziecku sie nic nie stało [2]. (Zb.)

W „bániorze“ rzecznym lub głębokim stawie siedzi topielec, duch utopionego człowieka, który o miesiączku wychodzi z wody, siada na brzegu lub na pobliskiej kopie siana i przymila się do księżyca.

„Jednemu chłopu wze coś rozwálało kopę. Co postawiuł we dnie, to w nocy znou rozwaliuło. Tak on w nocy posed sie przy strzygać, co to takiego, i siád z drągem pod kopąm. Tak wysed z wody topielec, sjął (zdjął) kosulę i zacął iskać, ale skoro miesiącek zased za chmurę, powiedziál topielec:

— Świyć mi jasno bo cie trzasnę!,

Wtedy chłop porwál drąg i prasnął go nim. Topielec myślál, ze go miesiącek prasnął, i powiedziál:

— Wolno świycić i nie świycić, ale nie wolno bić!“ [3] (Zb.)

„Ráz jedna dziywka posła zbiyrać tráwę do grochu przy wodzie. Tam uźrała żabę, a to buła topielcyná i powiedziała:

— Uciekájcie, kumosiu, bo wás okalicę!

Usło długo, jaz tu ráz przychodzi jakisi pán i gádá jéj:

— No! pódźcie sęmnąm (ze mną), kumosiu!

— Já nie jes wasa kumoska.

---

[1] Z Kolberga (Lud. krakowskie. Cz. III. Kraków 1874. — str. 44).

[2] Z własnych materyałów.

[3] Z własnych materyałów.

— A nie wiés to, jageś powiedziała mojéj babie w grochu?

Wtedy przypomniała sobie wsyćko. Posła do księdza i poradziuła go się, cy má iś, cy nie. Ksiądz jéj powiedział, zeby sła, ale żeby sobie wymówiuła, zeby ją na to miejsce pszyniós(ł), skąd ją wziął. Tak pośli. Skoro weśli we wodę, śli długo. Topielec prowadziuł ją po pod wodę bez dwa bardzok piykne pałace. Przy kózdym buła zelazná brama. Skoro przyśli do ostatniego pokoju, tam juz cekał kumotr; tak ona wziąła dziecko i znou po pod wodę ponieśli go do krztu. Skoro sie wrócili od krztu, tak ta topielcyná mówi:

— Jak kumosiu pódziecie nazád, to sie nie obziyrájcie, a nogi raznok za sobąm zbiyrájcie!

Tak ona sie nie obziyrała, ale skoro bez ostatni próg, topielec trzasnął drzwiami i uciął jéj piętę. Biyda jéj bez to buła wielgá, bo musiáła robić na służbie. Jaz jéj ráz przyniesła topielcyná za to, ze jéj dziecko do krztu trzymała, bardzok duzo piniędzy. Tak juz do śmierci zuła (żyła) dobrze“ [1]. (Zb.)

Na sapach i bagnach w równiach, w górach zaś po potokach przebywają niewieście duchy, zwane mamunami, indzie boginkami. Przy świetle księżyca piorą kijankami swe „łáchy“ (bieliznę); przedstawiają się chłopu jako brzydkie „pałuby“, wysokie, z oczami dużymi jak dwa talerze, zębami jak kły świńskie i rękami niezmiernie długiemi.

Mamuny kradną kobietom nowonarodzone dzieci, zostawiając na ich miejscu swoje ułomne, brzydkie i złe. Ażeby to uczynić, przybrawszy postać kobiet wiejskich, czyli jak lud mówi: „udawszy się za najlepsze sąsiady, kumoszki, znajomki“, idą wieczór lub w nocy pod okna chaty matki i pukają w szybę, słodkimi słowy usiłują ją na pole wywabić. Mamią ją — i dlatego nazwano je „mamunami“.

Wywabiwszy kobietę z chaty, uprowadzają ją w pola, ciągnąc i włócząc po ziemi, jedna zaś tymczasem wchodzi do izdebki i odmienia dziecko.

W ten sposób porwały mamuny jednę kobietę i „zacały ś niom uciekać, ale jedna boginka buła kulawá i ni mogła jem na-

[1] Z własnych materyałów.

starcyć. Prosiuła jik, żeby na nię pocekały, ale one nie kciały. Zgniéwała sie i zawołała:

— Połanka! (Anka) trzymáj sie (d)zwonka![1]

Bo ty kobiycie było na jimię Hanka. Tak ona zacęła grabać po ziemi i natrafiuła na zwonek, uchyciuła sie go i boginki ją puściuły“[2]. (Zb.)

Po łąkach i lasach latają nocną porą świateł k a, migając to w tę, to w ową stronę. Są to dziatki, które bez chrztu pomarły; inni mówią, że to są „mierniki“, którzy niegdyś grunta źle powymierzali i teraz za krzywdę ludzką pokutować muszą[3]. (Z.)

W granicach pól, na miedzach straszy w samo południe P r z y p o ł u d n i c a, duch w postaci czarnej, wysokiej baby. Gdy się kto położy na miedzy (w granicach pól) i tam uśnie, zbije go „Przypołudnica“ we śnie tak, że często obudziwszy się, ręką ani nogą w odrętwieniu ruszyć nie może. Nie należy się zatem nigdy kłaść spać, ani odpoczywać po robocie na miedzach, bo tam dla niezgód, kłótni i przekleństw ludzkich, dyabeł rad przedewszystkiem przebywać[4]. (Modlnica).

Po cmentarzach i koło kościołów krążą u p i o r y. Z pomiędzy nich uwagi godny jest s t r z y g o ń, duch człowieka niebierzmowanego, zjawiający się w ludzkiej postaci, strasznej jednak, o bladej jak płótno twarzy i z rękami ogromnemi w dwa rzędy. Niekiedy pokazuje się trzymając uciętą swą głowę pod pachą. Raz robiło dwóch chłopów w lesie gonty. Pod wieczór wybrał się jeden z nich do wsi, aby kupić chleba w karczmie, a drugi został, rozpalił ogień i gotował wieczerzę. Zrobiło się już dobrze ciemno, księżyc wyszedł na niebo, strawa się już gotowała, a towarzysz nie wracał. Pozostały w lesie zaczął się niecierpliwić, poszedł ku ścieżce i zawołał: hop! W głębi lasu odpowiedziało mu też „hop!“, sądził więc, że towarzysz już wraca. Ale gdy go widać nie było, poszedł znowu ku ścieżce i zawołał: hop! I tym razem odpowiedziało mu „hop!“, tylko nieco bliżej. Wrócił więc do ogniska, siadł sobie i poprawił

---

[1] Hypericum perforatum. L.

[2] Z własnych materyałów. Powiastka ta jest powszechną.

[3] Z własnych materyałów.

[4] Z Kolberga. (Lud krakowskie. Cz. III. Kraków 1874 — str. 41).

ognia. Czeka... upłynęła już taka chwila, że mógłby dawno nadejść ten, co się odzywał. Wstaje więc po raz trzeci od ogniska i woła: „hop!“, na co usłyszał odpowiedź już bardzo blisko, o kilkanaście może kroków. Staje i czeka... W tem nagle staje przed nim postać człowieka, trzymającego głowę swą pod pachą. Chłop poznał w bezgłowym strzygonia i uląkł się bardzo.

— Coś kciał odemnie, co sie mi obzywás? — zapytał ponuro strzygoń.

— Já nic nie kciał od ciebie, tylko já sie tamtemu, co do wsi posed, obzywał.

— Zebyś ty nimiał swojik kryśláków na syji, tobyś sie mi ty nie obzywál więcej — rzekł strzygoń i zniknął.

Owymi „kryślakami“ był szkaplerz, który chłop miał na szyi, więc strzygoń nie miał do niego „wáloru dojść“ [1]. (Z.).

Gdy drzewo palące się na nalepie smętnie piszczy, powiada chłop, że to w i ł się żali. Inni mówią, że to pokutująca dusza. Ale pospolicie przedstawiają sobie „wiła“ jako straszydło wysokie, w tej postaci jak piła. „Wił“ ma głowę zupełnie ludzką, twarz starca zgrzybiałego z długą, żółtą brodą. Stawa pospolicie tam przed człowiekiem zasypiać mającym, gdzie ten patrzy. Okropnością postaci swojej przeraża go tak, iż go snu pozbawia. Zresztą nic szkodliwego nie czyni. Napróżno odwraca się gospodarz zbiedzony; gdziekolwiek okiem rzuci, wił mu naprzeciwko stawa. Nic go nie odpędzi! We dnie widzi go także ten, którego na udręczenie odwiedza, rozciągnionego za belką, skąd żadne sposoby wypędzić go nie zdołają. Wiadome mu są wszystkie domowe sekreta [2].

Znają też chłopi ducha, co się nazywa W i e s z c z y. Jest to człowiek urodzony z zębami. Gdy umrze i pochowają go, wychodzi on z grobu, idzie na cmętarz kościelny, włazi na wieżę kościelną, wrzeszczy wymieniając imiona różnych ludzi, i mówią, „że jak daleko słychać jego krzyki, tak daleko ludzie umierać muszą“ [3]. (Targoszyce, Dobrzyca w W. Ks. Poznańskiem).

---

[1] Z własnych materyałów.

[2] Przyjaciel ludu, r. IV. Leszno, 1837, (nr. 40).

[3] Z Kolberga (Lud. W. Ks. Poznańskiem. Ar. VII. Kraków 1882, str. 33—34).

Nie brak także w polskiem siole pokutujących dusz. Chłop wierzy, że kto w grzechach wielkich, niepojednany z Bogiem umarł, pokutować musi po śmierci na ziemi — w tem miejscu, gdzie grzech popełnił. Zdarzy się nieraz chłopu, zwłaszcza wieczorną porą słyszeć jęk, cichy płacz lub krótkie, bolesne westchnienie — a nikogo w koło niema. Tak jakby z pod ziemi głos wyszedł. Domyślając się pokutującej duszy, pyta się pobożny człowiek do trzeciego razu:

— Czyś złe, czy dobre?

Dusza pokutująca zaraz odpowie, czego jej potrzeba, a człowiek czasem samem słowem Bożem wybawić ją może. W każdem siole opowiadają liczne podobne wydarzenia.

„Jak sie jedzie do Wielicki, to tamok nad Wielicką jest studzięnka. Przy ty studzięnce pokutówál jedęn chłop. Tak ráz jedzie sobie furmán z Wielicki i słysy, jak cosi bardzo stękά. A ten furmán to buł syn tego, co tamok pokutował. On sie przezegnál i spytál sie: — Coś ty jes? cy złe, cy dobre? i cego ządás?

— Ej synu! mój synu! já jes twój ociec. Jagem za zycia buł we Wielicce, tak ukrádek jedny przekupce kukiałkę. Tę kukiałkę zjádek tu przy ty studzięnce i napiułek sie wody i za to tu teráz pokutuję.

I prosiuł, zeby sie wróciuł do Wielicki, powiedział mu, dzie ta przekupka stáwá, zeby zapłaciuł. Tęn furmán posed do Wielicki, naláz tę przekupkę i zapłaciuł ji kukiałkę, a ona westchnęła do Boga i powiedziała:

— Niek mu ta Pán Bóg wsyćkie grzychy odpuści!

I od tego czasu przestało stękać“ [1]. (Zb.).

„Jeden „gazda“ z Czernca [2] przyorał za życia sąsiadowi do swego pola skibę gruntu, którą po śmierci za pokutę dźwigać musiał. Raz szedł chłop pijany mimo tych pól, na których owa krzywda się stała, i usłyszał pytanie:

— Gdzie mam położyć?

---

[1] Z własnych materyałów.

[2] Czerniec, wieś należąca do parafii Łącko, między Zabrzeżą a Łąckiem położona.

Pijak nie wiedząc, od kogo ten głos pochodzi, rzekł na pół z gniewem:

— Skądeś bestyja wzięła, tam połóż!

Wtedy dusza ucieszona rzuciła skibę na rolę sąsiada i rzekłszy pijakowi „Bóg zapłać“, uleciała do nieba w postaci bieluchnego gołąbka [1]. (Zb.)

Dusza pokutująca wszędzie być może, nawet pod kamieniem na drodze. Dlatego, „jak sie kto utchnie, to trza powiedzieć „wiecne odpocywanie“, bo pod tąm skałąm (kamieniem) dusa pokutuje“ [2]. (Zb.)

W polskiem siole mieszka nareszcie zwierz tajemniczy, mający w sobie coś demonicznego, nazwiskiem „bestyja“. Sam chłop opisuje go w ten sposób:

„To jes źwyrz wielgi, skaradny, taki strasny okropnie, który siedzi pod drzewem, jesce pod okropnem drzewem, pod korzeniami. Jak kto klnie i mówi „bestyja“, to mu sie zaráz pokáze „bestyja“.

„Jeden chodák pásł po leśsie i wsze klął: bestyjá! Tak jak posed na orzechy, tak naláz(ł) orzecha wielgiego basz i mówi do tego orzecha:

— O! jakaś sie ty bestyja nalazła wielgá!

Tak mu sie przekázała ta bestyja:

— Já jes, widzis, bestyja.

Stanąło przed niego, takie p(ł)omieniste bułło, co sie tak przeląk(ł), co juz nigda tego nie gádał [3]. (Z.)

W polskiem siole wszystko żyje tajemniczem jakiemś, historycznem życiem — wszystko ma swój początek, swe znaczenie, swą tajemnicę. Spytaj chłopa o drzewo, które rośnie przy drodze, lub o kamień, o który potrąci nogą. „Osika sie wsze trzęsie, bo sie na niéj Judás owiesiuł. Jak Pana Jezusa przedál za trzydzieści śrybników, a usłysál, ze Pana Jezusa ukrzyzówali, ze Pániezus (Pan Jezus) bardzo ciérpi, to rzuciuł temi piniądzmi o ziemię i posed i owiesiuł sie na osice“ [4]. (Z).

Leszczyna zaś to cudowne drzewo, w które nigdy piorun nie

[1] Z własnych materyałów.
[2] Z własnych materyałów.
[3] Z własnych materyałów.
[4] Z własnych materyałów.

uderzy, „bo pod leszczyną Najświętsza Panienka z Panem Jezusem spoczywała[1]. (Z.)

Takie to cuda posiada polskie sioło, tyle w niem tajemnic, tyle życia — a jednak patrząc na nie zdaleka lub zbliska, widzi się tylko sioło — łany pól, to bogatsze, to biedniejsze, pokryte zbożem, chaty niskie z maleńkimi okienkami, pokryte słomą, maleńkie przy nich sady i ogródki, i lud biedny, spracowany, spalony od słońca, grubo mówiący, jedzący żur i zaciórkę. Gdzie te duchy, co błąkają się po siole, z którymi chłop codziennie się spotyka? Gdzież te cuda?...

Widać, że ten lud, który nam o tem wszystkiem z naiwnością dziecięcą prawi, ten lud pracujący ciężko na życie, często głodny, szukający pociechy w wódce — musi mieć i poetyczną wyobraźnię i duży zasób szlachetnych uczuć. Co złe — to wszystko od biedy.

O dydy! o dydy!
Wszystko to od biedy,
Wszystko od niewole,
Płacą ocka moje.

W życiu codziennem przedstawia się chłop jako materyalista: z sierpem, motyką lub przy pługu w polu — z widłami w podwórzu — z krową na jarmarku — w karczmie w wyuzdanej często zabawie i z nieprzyzwoitą pieśnią na ustach... Realizm to *par excellence*, przykry, często wstrętny, zdawałoby się — wszechwładny. Nie! nie wszechwładny, nie mówiąc już o wyższych religijnych wpływach, przekonać nas o tem mogą, to poważne, narodowe pieśni, to znów żartobliwe śpiewki. (Dok. nast.)

Karol Mátyás.

[1] Z własnych materyałów.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Rządy sejmikowe w Polsce na tle stosunków województw kujawskich przedstawił *Adolf Pawiński*. Warszawa 1888.

Już przed ośmiu laty, w r. 1880, na pierwszym zjeździe historyków polskich, poświęconym pamięci Długosza, odezwały się poważne głosy z żądaniem umiejętnej i systematycznej publikacyi laudów wojewódzkich. Przewodniczący pod ten czas sekcyi historycznej, ś. p. ks. Kalinka, podniósł w wymownych słowach tę ważną kwestyę a poparł go jak najusilniej ś. p. Kazimierz Jarochowski. Żądanie to dało powód do obszernej dyskusyi, w której jednomyślnie prawie stwierdzono, że lauda wojewódzkie zawierają niezmiernie ważny i ciekawy materyał do historyi wewnętrznej Rzeczypospolitej [1], że jednak ze względu na zewnętrzne dzieje narodu pierwej do wydania dyaryuszów sejmowych przystąpić należy. Pod wrażeniem tej dyskusyi zajął się też ś. p. Jarochowski zbadaniem laudów województwa kaliskiego i poznańskiego, a owocem tych studyów sumiennych była zajmująca rozprawa o laudach tych województw za panowania Augusta II [2]; równocześnie niemal przystąpiła i Akademia Umiejętności do wydania laudów dobrzyńskich, ale publikacye te, jakkolwiek cenne, podawały zaledwie małą cząstkę tego

[1] Porów. *Pamiętnik pierwszego zjazdu hist. pols. im. Dług.* wyd. nakład Akad. Umiej. w Krakowie 1881 p. 46 i nast.

[2] Z *czasów saskich* spraw wewnętrznych, polityki i wojny przez Kaz. Jarochowskiego. Poznań 1886.

co dla wyjaśnienia wewnętrznych stosunków Rzeczypospolitej ogłosić należało. Tak jak w wielu innych wypadkach przeto, gdzie chodziło o wyjaśnienie zawiłych kwestyj prawno-politycznych, tak i tu wystąpił znany z licznych publikacyj źródłowych i gruntownych prac historycznych prof. Pawiński i obdarzył nas nietylko ogromnym zbiorem laudów i instrukcyj sejmikowych ziemi kujawskiej, lecz także monografią, która wprawdzie wyczerpującą nazwać się nie może, ale stanowi granitowy fundament do wszelkich prac zupełniejszych w tym kierunku.

Zanim do tego przyjdzie, zanim na podstawie umiejętnie wydanych laudów wojewódzkich z całego obszaru Rzeczypospolitej ułoży się obraz, odbijający jakby w zwierciedle życie wewnętrzne narodu, warto przypatrzyć się bliżej temu odłamowi wielkiej budowy, która niegdyś gwarnem wrzała życiem i na losy państwa całego potężny wpływ wywierała. Sejmik wojewódzki w gruncie rzeczy nie był w Polsce instytucyą starożytną. Wyłania on się i zarysowuje wyraźniej w połowie XV w., w chwili narodzin parlamentaryzmu polskiego, kiedy trzynastoletnia wojna z zakonem niemieckim zmusza Kazimierza Jagiellończyka do nakładania coraz nowych ciężarów na szlachtę i, co za tem idzie, do układów z narodem szlacheckim, który w zamian za prestacye rozmaitego rodzaju, zdobywa sobie coraz to rozleglejsze swobody i przywileje. Jakoż podstawą powagi sejmików jest nie co innego, jak statut nieszawski z r. 1454 i na tym statucie jak na opoce „budują sejmiki cały gmach swej opozycyi biernej za obu Zygmuntów“. Ale opozycya ta aż do końca epoki Jagiellońskiej zamyka się w granicach prawem zakreślonych; dopiero śmierć Zygmunta Augusta i następująca bezpośrednio potem wolna elekcya nadają sejmikom niebywałe dotąd znaczenie. Wbrew twierdzeniom niektórych nowszych historyków, jakoby ostatni okres historyi polskiej zaczynał się na schyłku XV w. i ciągnął się nieprzerwanie aż do trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej, każdy, co przeczytał z uwagą dzieło prof. Pawińskiego, przyznać musi, że rok 1572 otwiera w dziejach naszych nową zupełnie epokę. Podział ten wprawdzie znany był i dawniej, ale nikt nie uzasadnił go naukowo tak dobrze jak prof. Pawiński. Zdawało się bowiem, że przewaga, jaką uzyskała szlachta na schyłku XV w. za panowania Jana Olbrachta, była niejako najwyższym stopniem

politycznego jej rozwoju, zdawało się, że poza te granice zakreślone ustawami z r. 1496, żywioł szlachecki już nie wyjdzie, że zdobędzie sobie może jeszcze tę lub ową prerogatywę, w ogólności jednak nie sięgnie wpływem swoim głębiej w administracyą państwa i nie rozbije jej na atomy wojewódzkie. Zapatrywanie to, któreśmy zawsze za nieuzasadnione uważali, dziś utrzymać się nie da. Prof. Pawiński wykazał jasno i dowodnie, że od r. 1572 rozpoczyna się przewaga sejmików, która, idąc nieprzerwanie niemal w kierunku decentralizacyjnym, psuje całą machinę rządową, przywłaszcza sobie coraz to nowe atrybucye władzy naczelnej i kończy w w. XVIII politycznem bankructwem. Punktem wyjścia w tym ciekawym niezmiernie i niezmiernie smutnym dla nas rozwoju jest śmierć ostatniego Jagiellończyka, chwila, w której naród, władzcy swego pozbawiony, sam o sobie radzić poczyna.

Ze śmiercią Zygmunta Augusta ustała władza królewska, a bezkrólewie zaskoczyło naród nieprzygotowany na wypadek tego rodzaju. Kto miał objąć ster rządu, o tem różni różnie sądzili, bo prawo publiczne nic pod tym względem nie postanowiło. Byli wprawdzie obok króla najwyżsi dygnitarze koronni, był senat, ale zjazd łowicki, z senatorów złożony, nie potrafił ująć najwyższej władzy w swoje ręce, a co gorsza, obudził podejrzliwość szlachty. Nagle, w sześć tygodni po śmierci królewskiej, 21 sierpnia zebrały się sejmiki, niewiadomo przez kogo właściwie zwołane, zaprotestowały przeciw uchwałom łowickim i zawiązały konfederacyą. Krok to był stanowczo rewolucyjny, bo obalający zasadę prawną, że szlachta tylko z rozkazu królewskiego na sejmiki zbierać się może [1], i prowadził następnie do dalszych nadużyć tego rodzaju. Chodziło o utrzymanie bezpieczeństwa publicznego, o powstrzymanie gwałtów, o obwarowanie granic koronnych od najazdu niespodziewanego. Władza starostów była na to za słaba, sięgnięto więc dalej i na podstawie uchwał zjazdu radomskiego z r. 1382 ustanowiono po województwach konfederacye, kapturami zwane, które miały czuwać nad porządkiem i karać gwałtowników prawu publicznemu nieposłusznych. Było to działanie „odśrodkowe“ wprawdzie, ale w obec ogólnego

[1] Lengnich Jus. publ. Reg. Pol. II, 292.

bezrządu bądź co bądź konieczne, i niesłusznie nagania je z góry prof. Pawiński (str. 32). Prawda, że twórcy kapturu tego powołują się [1] na konfederacyą z r. 1438, która do tego wypadku żadną miarą przystósować się nie da, ale dobrze poinformowany Joachim Bielski [2] wspomina wyraźnie o uchwałach zjazdu radomskiego w r. 1382 i przyznać trzeba, że konfederacya w tym duchu pojęta miała podstawę historyczną. Nieszczęściem ci, co akt konfoderacyi układali, nie znali aktu radomskiego, chociaż znał go widocznie Bielski i Przyłuski, zamiast więc posługiwać się gotowym wzorem, stworzyli rzecz nową, która w skutek pomnożenia potwornego sędziów kapturowych musiała z biegiem czasu stracić wszelkie znaczenie (str. 320). W początkach było, co prawda, inaczej i nawet tak poważny senator jak Karnkowski, z uznaniem o sądach kapturowych się wyraża [3]. Z tem utworzeniem nadzwyczajnych sądów łączyło się inne jeszcze, o wiele szkodliwsze pojęcie o ustaniu wszelkiej władzy ze śmiercią królewską, a z niego wypływało przeświadczenie, pominięte przez prof. Pawińskiego, że bezkrólewie jest „rokiem jubileuszowym“, w którym wszelkie egzorbitancye naprawiać a gwałcenia praw i ukrzywdzenia znosić i prostować należy [4]. Podług tej zasady naród szlachecki stawał się po śmierci królewskiej panem swej woli, mógł bezkarnie „w klubę wstawiać“ to, co za niestósowne uważał, mógł „ocerklować“ władzę królewską i sobie przyznać jak największy wpływ na sprawy publiczne. Z tego zamętu i powikłania pojęć, wychodzą też rzeczywiście sejmiki wojewódzkie jako potęga, z którą odtąd i liczyć się i walczyć potrzeba. Walka trwa do r. 1648 i kończy się porażką walną władzy centralnej, ale reprezentacya wojewódzka nie zdoła pomimo tej przewagi stworzyć silnego, federacyjnego państwa, do czego w pierwszej chwili zmierzać się zdawała, i skończy zupełnem bankructwem (str. 428). Jak się ta walka toczyła i jak się rozwijała skromna do r. 1572 istytucya sejmików

[1] Kaptur z r. 1572. (Voll. II. 223).

[2] Wyd. Turow. p. 1228.

[3] List Karnk. do Kromera w wyd. kolońskiem (z r. 1589) dzieł Kromera fol. 689.

[4] Lament p. marszałka nadwor. Zborowskiego na sejmie konwokacyjnym w r. 1587. Dyaryusze sejmowe z r. 1587 (Kraków 1887) p. 21.

wojewódzkich, na to odpowiada obszernie prof. Pawiński w *Rządach sejmikowych*. Uderza go najpierw to, co ma uzasadnione rzeczywiście znaczenie, mianowicie stosunek sejmików wojewódzkich do najwyższej magistratury prawodawczej tj. do sejmu. Od r. 1572 zachodzi pod tym względem zmiana nadzwyczaj ważna, posłowie, mający dotąd jeszcze *plenam potestatem concludendi*, stają w obliczu zgromadzonych stanów Rzeczypospolitej związani instrukcyami. Instrukcye nie są wprawdzie rzeczą całkiem nową; stworzył je właściwie Zygmunt I w r. 1523, chcąc powstrzymać posłów od przekraczania zleceń, jakie im zapewnie ustnie tylko na sejmikach dawano, ale postanowienie królewskie, w najlepszej myśli wydane, stało się wśród odmiennych stosunków, źródłem największych nieszczęść dla kraju. Niedowierzanie, z jakiem szlachta występuje w obec pierwszych królów elekcyjnych, obawa, aby który z nich nie ograniczył swobód rządzącego stanu, i, na wzór zachodnich monarchów, nie sięgnął po *absolutum dominium*, nadaje instrukcyom poselskim znaczenie dla Rzeczypospolitej fatalne. Są wprawdzie te instrukcye zazwyczaj przepełnione wyrazami, z których przebija gorąca miłość ojczyzny, ale mimo to krępują samodzielność posłów i dążą do utrzymania wyłączności szlacheckiego stanu. Wyjątkowo tylko, w chwilach nader ważnych zadowalniają się sejmiki instrukcyą ogólnikową, łacińskim frazesem: *videat legatus ne quid detrimenti respublica patiatur*, jeszcze rzadziej (w r. 1629, 1683, 1773) dają posłom swoim *absolutam potestatem concludendi*, regularnie jednak stają na stanowisku zaściankowej polityki, która, nie będąc w stanie szerszych objąć horyzontów, często dobro publiczne wojewódzkim interesom poświęca.

To ograniczenie najwyższej władzy prawodawczej przez prowincyonalne zgromadzenia szlachty jest jednak dopiero początkiem mającej rychło nastąpić dalszej decentralizacyi. Objawia się ona niestety właśnie tam, gdzie jedność i sprężystość władzy jest najbardziej potrzebną, tj. w zakresie skarbowości i organizacyi wojskowej. Ustęp o skarbowości wojewódzkiej, opracowany znakomicie w książce prof. Pawińskiego, pozwala nam wglądnąć głębiej w tajniki tej ważnej gałęzi administracyjnej.

Uchwalanie poborów i obieranie poborców było do r. 1572 atrybucyą władzy sejmowej. W kilkanaście lat jednak po śmierci

Zygmunta Augusta widzimy zmianę niespodziewaną! poborców obierają sejmiki, sejmiki nakładają dodatkowo podatki i część administracyi skarbowej, przenosi się w ten sposób naturalnym rzeczy porządkiem do sejmików wojewódzkich. W połowie XVII w. powstaje już potrzeba rozciągnięcia kontroli nad poborcami, i daje powód do ustanowienia t. zw. komisyj skarbowych wojewódzkich, które przetrwały aż do r. 1717.

Czy na tej zmianie zyskała administracya skarbowa, czy skorzystała z niej szlachta, ustanawiając silną, autonomiczną władzę w województwach? Stanowczo nie. Jak bowiem z jednej strony obalono w zasadzie jedność organizacyi skarbowej przez ograniczenie władzy podskarbiego, tak z drugiej strony stworzono nieudolną w wysokim stopniu skarbowość wojewódzką, której komisye skarbowe naprawić i uratować nie zdołały, a nic nie charakteryzuje trafniej tych stosunków jak nagrobek sądom skarbowym przez Erazma Otwinowskiego położony: „*Faxint superi* (niech to sprawią bogowie), żeby się nigdy te sądy nie wracały, które zgubą fortun ludzkich były, a grzechu niektórych nabawiły, gdy sobie ręce cudzem smarowali". Nie lepiej działo się w zakresie wojskowości. Siła zbrojna Rzeczypospolitej polegała właściwie na pospolitem ruszeniu całej szlachty. Średniowieczna ta instytucya mogła wprawdzie funkcyonować wybornie wśród pewnych okoliczności, ale w w. XVI i XVII, w obec zaprowadzenia wojsk stałych i odmiennego systemu wojowania, stała się anachronizmem. Wzrastający dobrobyt materyalny budził w szlachcie wstręt do służby wojskowej i wyrabiał miękkość obyczajów, a brak ćwiczenia w obrotach wojskowych i w użyciu broni palnej odbierał pospolitemu ruszeniu to zaufanie do sił własnych i tę wyższość moralną, która niegdyś hufcom polskim na polach grunwaldzkich zapewniała wspaniałe tryumfy. Do tych wadliwości, wynikających z naturalnego rozwoju rzeczy, dołączył się w drugiej połowie XVI w. prąd jeszcze zgubniejszy, mający źródło swoje w tej nieufności, jaką królom elekcyjnym okazywano, którego wyrazem była uchwała (za panowania Stefana Batorego) o niepodzielności pospolitego ruszenia. Nic dziwnego przeto, że królowie, wobec takich stosunków, niechętnie pospolite ruszenie zwoływali i ogółem woleli się posługiwać żołnierzem zaciężnym, który pod względem ćwiczenia i karności stał o wiele wyżej od

pospolitaków. Ale szczupłe dochody nie pozwalały utrzymywać dostatecznej liczby żołnierza kwarcianego, zaciągano więc wojsko w razie niebezpieczeństwa wojennego z poborów, a w r. 1619 dodano do tego jeszcze żołnierza powiatowego, przeznaczając na jego utrzymanie $1^1/_3$ poboru łanowego. Zdawałoby się, że żołnierz powiatowy powinien podlegać tej samej władzy, ktora naczelne nad wojskiem miała dowództwo. W zasadzie było też tak istotnie, w rzeczywistości jednak umiały województwa i pod tym względem wyłamać się z pod ogólnej normy. Dając pieniądze na utrzymanie żołnierza powiatowego, uzurpowały one sobie wnet prawo wpływania na nominacyą oficerów. Początkowo przedstawiano królowi dwóch lub trzech kandydatów, z pomiędzy których król rotmistrza powiatowego mianował, gdy jednak z tego powodu rozmaite wynikały nieporozumienia, zdobyły sobie województwa w zupełności zwierzchność wojskową nad swemi chorągwiami i same mianowały rotmistrzów. I jeżeli teraz te wszystkie zmiany, dokonane w krótkim stosunkowo czasie, w najważniejszych gałęziach administracyi, rozważymy, to musimy przyznać zupełną słuszność prof. Pawińskiemu, kiedy powiada: „W ciągu dwu lat niespełna dokonała się najradykalniejsza zmiana, jaka w ogóle była możliwą, stał się przewrót tak istotny, tak głęboki, że cała poprzednia budowa runęła,i stanął gmach inny, na innych zupełnie podstawach“. Odtąd też zaczyna się przewaga właściwa sejmików, trwająca od r. 1648—1764. A jak cechą charakterystyczną tego okresu w historyi polskiej jest widoczny upadek państwa, niepowstrzymany ani blaskiem świetnych zwycięstw, ani heroicznem poświęceniem się jednostek dla dobra publicznego, tak przyczyn tego upadku trzeba szukać w znacznej części w wybujałej władzy sejmików, która sprowadza rozprzężenie państwa, rozpadanie się składowych części budowy politycznej, podkopanie podwalin jedności i siły Rzeczypospolitej. Najjaskrawiej może występuje ta destrukcyjna działalność sejmików w instrukcyach poselskich, gdzie coraz częściej i wyraźniej napotyka się żądanie, aby posłowie tamowali bieg rozpraw sejmowych tak długo, dokąd życzeniom ich zadość się nie stanie. Widocznie kąkal niecną dłonią Sicińskiego rzucony, na bujną trafił glebę i obfite wydał owoce. Anarchia i niekarność zwracają się jednak nie tylko przeciw naczelnej władzy sejmowej, lecz zadają oraz dotkliwe ciosy

autonomii wojewódzkiej. Od połowy XVII w. zaczyna się zrywanie sejmików elekcyjnych, na których urzędników wojewódzkich wybierano i w kilkadziesiąt lat później dochodzi do tego, że w województwie brzeskiem przez ćwierć wieku przeszło „ziemstwo wakowało".

Nie trzeba atoli mniemać, aby ta zaraza ogólna, od czasów Jana Kazimierza coraz to szersze warstwy społeczne obejmująca, nie natrafiała na pewną w narodzie opozycyę. Owszem, zdarza się nierzadko, że na sejmikach występują wnioski, nawołujące do zbawiennej reformy. W r. 1658 i 1759 poruszono na Kujawach sprawę uporządkowania obrad sejmowych a w instrukcyi polecono posłom wyraźnie, aby popierali wniosek utworzenia komisyi i deputatów izby senatorskiej oraz poselskiej dla obmyślenia gruntownego sposobu naprawy sejmu przez przyjęcie zasady większości oraz tajemnego głosowania (371). Ostatnim wyrazem tych bezowocnych usiłowań reformacyjnych było ustanowienie rady wojewódzkiej w r. 1711, która jednak w skutek wadliwej organizacyi swojej jeszcze w ciągu tego samego roku istnieć przestała. Dopiero sejm niemy w r. 1717, wśród najsmutniejszych okoliczności odbyty, wprowadził pewien ład w anarchiczne stosunki województw, ustanowił bowiem stałe, regularne wojsko i na zapłacenie jego stałe podatki. Odtąd też musiało ustać wdzieranie się sejmików w zakres administracyi skarbu publicznego i wojska. Stanowczy zwrot atoli ku lepszemu nastąpił dopiero od r. 1764, kiedy szczerze o reformie rządu myśleć zaczęto. Zniesiono więc najpierw skarb wojewódzki, odjęto województwom prawo nakładania podatków, czopowego i szelężnego a przez ustanowienie komisyj cywilno-wojskowych po województwach w r. 1789 położono fundament do rozwoju prawdziwej i dla kraju pożytecznej autonomii wojewódzkiej.

Taka jest w najogólniejszych zarysach treść dzieła prof. Pawińskiego. Odsłania ono nam wprawdzie na pierwszy rzut oka ponury obraz przeszłości, ale nie przemilcza i stron dodatnich, jakiemi społeczeństwo szlacheckie pomimo ogromnych błędów swoich po wszystkie czasy się odznaczało. Jestto ta niczem stłumić się nie dająca miłość ojczyzny, szlachetne porywy w chwilach groźnego niebezpieczeństwa, nierzadka bezinteresowność jednostek i przebijająca od czasu do czasu ofiarność na cele publiczne. Wszystkie te

dodatnie strony społeczeństwa przyćmiewa jednak nieszczęściem wygórowany egoizm ogółu i niepohamowana żądza zysku, która w kwestyi solnej np. doprowadza do tego, że szlachta kujawska każe sobie sól kupować z dochodów czopowych i szelężnych, czyli, że innemi słowy, zwala ten ciężar głównie na barki mieszczaństwa (str. 245).

W obec tych błędów więc, które stanowczo dodatnie strony społeczeństwa przyćmiewają, w obec wyłączności szlacheckiego stanu i wzrastającego z każdym rokiem niemal a fałszywie pojętego partykularyzmu, nie może się rozwinąć ani autonomia województwa, ani silna władza centralna, będąca nieodzownym warunkiem dobrze zorganizowanej machiny rządowej, i gmina szlachecka kończy zupełnem bankructwem. Czy ten rezultat, który autor w „Zakończeniu“ podaje, jest zupełnie prawdziwy i z rzeczywistością zgodny? Odpowiedź na to nie łatwa. Nie wątpimy wprawdzie ani na chwilę, że prof. Pawiński materyał źródłowy zużytkował i umiejętnie i sumiennie zarazem, nie myślimy też zaprzeczać, że obraz, jaki przed oczyma naszemi roztoczył, w ogólnych zarysach odpowiada prawdzie dziejowej, ale zarazem ośmielimy się powątpiewać, czy to, co w województwach kujawskich się działo, można stósować do całego obszaru Rzeczypospolitej. A aby nas nie posądzono o gołosłowne zaprzeczenie, powołujemy się na to, co ś. p. Jarochowski w laudach województwa poznańskiego i kaliskiego [1] napisał. Świadczą one wymownie, że województwa te nawet w chwilach najcięższych dla swej egzystencyi, bo w epoce „opressyi“ szwedzkiej, moskiewskiej i saskiej, obracały jednak znaczne fundusze na cele publiczne i rozwijały w zakresie autonomii wojewódzkiej właśnie taką działalność, jakiej prof. Pawiński w województwach kujawskich napróżno poszukiwał. Jeżeli więc o miedzę od Radziejowa działo się inaczej, jeżeli szlachta wielkopolska nie zupełnie zapomniała o obywatelskich obowiązkach swoich, to przypuścić trzeba, że i w innych województwach na ciemnem tle „sejmikowych rządów“ jaśniejsze znajdują się światła. Ażeby je odszukać, do tego potrzeba całego szeregu wydawnictw podobnych, jakiem nas obecnie obda-

[1] Z czasów saskich i t. d. str. 66—69.

rzył prof. Pawiński, a wtedy dopiero z tego mnóstwa drobnych cegiełek powstanie obraz zupełnie odpowiadający rzeczywistości.

August Sokołowski.

Polacy w Hiszpanii. (1808—1812) przez *Zygmunta Lucyana Sulimę.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1888. Str. 351.

„Sądzę, pisze autor w przedmowie, spowiadając się z głównej pobudki, która skłoniła go do dokładnego — o ile można — opowiedzenia „historyi najazdu narodu, który Polsce nic i nigdy nie zawinił“ — sądzę, że w czasach ogólnego rozbicia narodowego, w czasach małych pragnień i małych aspiracyj, w dobie mieszczańskiego życia, pełnego zaduchu i zgnilizny, w dobie nakoniec, gdy nawet tradycya wojenna zaginęła, przypomnienie heroicznych bojów, jakie staczali nasi ojcowie daleko od ziemi rodzinnej, nie będzie bez pożytku“. Bezwątpienia, nie bez pożytku to przypomnienie; wspaniały obraz hiszpańsko-polskich bojów, które sławę naszego oręża na sam koniec Europy zaniosły; mężne, często szlachetne czyny naszych wojowników podnoszą serca i otuchy w ciężkich przejściach dodają. Prawda, że w obrazie tym również wiele, zbyt wiele ciemnych i przykrych plam, co czasami tak gęsto jedna obok drugiej rozsiane, że zakrywają go niemal zupełnie. Autor, wierny historycznej prawdzie, wskazuje, choć z bólem serca, te plamy. Jako Polak sympatyzuje z polskimi hufcami, lecz żal mu szczery tych „straceńców“, co dla cudzej a niesłusznej sprawy przelewali krew, walcząc za własną wolność, cudzą gnębili. A dlaczego to wszystko, czy przynajmniej ze względu na dobro własnej ojczyzny? Dla miłości ojczyzny wyszli polscy żołnierze z kraju; ale obozowe życie, straszne okrucieństwa, na które codzień patrzyli, a nieraz w nich i udział brali, i dawne boje i ta zwłaszcza hiszpańska, dzika, eksterminacyjna wojna, wytępiła u zbyt wielu wszelkie szlachetniejsze pobudki i uczucia, zmieniła ich w prostych żołdaków, którzy wojnę uważali za ryzykowne, ale nieraz zyskowne, a w ogóle mówiąc przyjemne rzemiosło. Na chwałę Polaków powiedzieć można, że nie skalali się oni takiemi okrucieństwami, jak Francuzi; autor cytuje nawet parę faktów, w których Polacy uwolnili lub starali się uwolnić nieszczęśliwe ofiary, przeznaczone na rzeź. Miłe to oazy w tej świetnej zapewne, ale bardzo smutnej, krwią niewinną przesiąkniętej epopei.

Niemałą trudność przedstawiało ujęcie w jedną całość wszystkich tych pełnych chwały walk, długich oblężeń, smutnych epizodów; tem bardziej że różne polskie półki staczały jednocześnie krwawe boje w różnych prowincyach Hiszpanii. Autor podzielił swe opowiadanie na kilka epok i w każdej epoce z kolei od jednego do drugiego pułku, o ile można, w tym samym porządku nas prowadzi. Rozkład ten materyi przedstawia dla czytelnika niejedną niedogodność; przeniesiony gwałtownie z początkiem nowego rozdziału z północy na południe, ze wschodu na zachód, aby po kilkudziesięciu kartkach, znowu z zachodu na północ się dostać, nie może się odrazu jasno zoryentować, gniewa się, że opowiadanie w najciekawszem miejscu przerwane. Do zoryentowania się dopomagają wprawdzie niemało ostatnie wiersze każdego rozdziału, mające służyć za kit między dziejami rozrzuconych po całej Hiszpanii oddziałów; ale z drugiej strony kit ten, przedstawiający się w stereotypowej formułce np:

„Opuśćmy dywizyę Księstwa warszawskiego, a przenieśmy się do Legii Nadwiślańskiej“, lub przeciwnie, — nie przyczynia się do ogólnego, artystycznego wrażenia. Trudność, powtarzamy, w tym względzie była istotna i to nie mała do przezwyciężenia, jeśli w ogóle w opowiadaniu tem zupełnie można ją przezwyciężyć; ale zbyt cenimy pracę autora „Polacy w Hiszpanii“, zbyt pragniemy, aby dopiął nią w całej pełni zamierzonego celu, żebyśmy zupełnie szczerze nie mieli mu powiedzieć, co w pięknej jego książce, zmuszającej do „marzenia o dawnem życiu, o jego poetycznych, orlandowych formach“, nie dość się dla zwykłego czytelnika do ogólnej harmonii dostraja.

X.

Michał Bałucki. Szkic literacki przez *Czesława Pieniążka.* Str. 38. Poznań 1888 r.

Pisać o żyjącym nie łatwo; o żyjącym literacie powieściopisarzu może trudniej od innych; jakże dopiero trudno, jeśli ten powieściopisarz był szkolnym kolegą piszącego, a grzeczność swą posunął do wręczenia mu autobiograficznej, nie bez humoru napisanej notatki, a jeśli z drugiej strony na zasady jego i przekonania, w licznych pismach krzewione w żaden sposób zgodzić się nie można; jeźli chcąc wedle sił i niemal ponad siły bronić człowieka, trzeba jednak koniecznie ostro skrytykować pisarza, wykazać, choćby najgrzeczniej, fatalne tendencye i skutki pisarskiej jego działalności. W tem położeniu niemal bez wyjścia znalazł się autor drukowanego pierwotnie w *Kuryerze Poznańskim* szkicu o Bałuckim; a przyznać trzeba, że, o ile to było w danych warunkach możliwem, z wielką dyplomatyczną sztuką trudności omija, sprzeczne interesa ku zadowoleniu wszystkich, równie podsądnego, jak oskarżycielów i obrońców stara się pogodzić. Stara się, powtarzamy, z widocznie najlepszą wolą, zręcznie, dyplomatycznie; ale pamiętać trzeba, że bywają czasem tak zdesperowane pozycye, że i najbieglejszemu dyplomacie nie robi ujmy, jeżeli wynik podjętym usiłowaniom nie odpowiada. Polubowny wyrok, choć z nadzwyczajną pobłażliwością wydany, oburzył stronników, proszonych, czy nieproszonych przyjaciół Bałuckiego, którzy też równie w galicyjskich, jak w zakordowanych swych organach, bez żadnych dyplomatycznych względów na autora się rzucili. I nas również, wyznajemy bez ogródki, wyrok ten zadowolnić nie może. Najgłówniejszych dowodów, przytoczonych na obronę Bałuckiego, z równym prawem, zachowując naturalnie odpowiednią proporcyę, mógłby użyć obrońca np. Wiktora Hugo, może w pewnej mierze i obrońca Heinego; przecież autor zgodzi się niezawodnie, że np. Wiktor Hugo, szerząc nienawiść społeczną, podniecając niższe klasy przeciw wyższym, obniżając najświętsze ideały, głosząc niby jakąś nową religię, wysnutą z własnych marzeń, a której fundamentalną zasadą jest, że nikogo do niczego obowiązywać nie ma — chyba źle i bardzo źle ojczyźnie i społeczeństwu się zasłużył. Czy dlatego, że któryś z książąt, lub hrabiów nie dość nisko czołem przed W. Hugo uderzył, że dajmy na to, niegrzecznym i źle wychowanym względem niego się okazał; czy dlatego, że jeden lub paru księży do smaku mu nie przypadło, a choćby i zgorszyło fałszywym jakim krokiem — dostateczna racya, aby w długich a licznych tomach stawiać pod pręgierzem księży i panów, dla ulżenia trapiącej serce niechęci, szerzyć truciznę między czytającymi, a zapewniając, że się ma

miłość w sercu, poić ich jadem nienawiści? Smutne to, ale niestety! prawdziwe; dotychczasowa działalność Bałuckiego była raczej ujemną, niż dodatnią; w powieściach swych „nie podnosi i nie umoralnia“, „dozwalając anarchii — jak wyraża się sam p. Pieniążek — w rygorze religijnym, rozdzielając zamiast łączyć ogniwa społecznego łańcucha, łudzi się, jeźli mniema, że podnosi ducha wiary w Opatrzność i sprawiedliwość Boską; podkopując fundamenta moralności, dążyć nie może do rzeczywistego umoralnienia; a jeśli nawet w dobrej wierze sądzi, że uczy kochać Boga, to chyba Bogiem tym jest wytwór własnej jego wyobraźni, z odrębnemi przykazaniami, odrębną religią, równie li tylko przez bujną powieściopisarską wyobraźnię stworzoną.

P. Pieniążek kończy pięknem życzeniem, które i my oburącz, ale niestety! dotychczas tylko jako życzenie podpisujemy: „Więcej umiarkowania, mniej uprzedzeń... a Bałucki stanie tam, gdzie w literaturze stać wypadło... w pośrodku, w usłudze narodowi, by jednać waśniących się, miłością nie stronnictwa, ale naród ogarniać, a pamiętać, że ponad narodem i ponad ludzkością rozpięło się niebo“. Czy kreśląc to życzenie nie przemazał autor — nie pytamy, czy mimowoli, lub z rozmysłem — najważniejszych argumentów i wywodów, które poprzednio włożył dyplomatycznie w usta adwokata swego bohatera?

B.

Barbaryzmy i dziwolągi językowe, napisał *Józef Bliziński*. Kraków. Gebethner i Spółka 18-8.

W złote ramki należałoby się oprawić autora, za energiczną odwagę, z jaką podjął się obrony języka rodzinnego, tak niemiłosiernie kaleczonego i jakby z umysłu przy każdej sposobności obcymi wyrazami zanieczyszczanego. Że język urzędowy galicyjski — jak zając słoniną — najszpetniejszemi naszpikowany jest barbaryzmami, o tem od dawna wróble na dachach śpiewają; ale o czem głośniej jeszcze śpiewają — naigrawając się prawdopodobnie z naszej polskiej niezdarności — to że się dotąd nikt szczerze nie zajął porządnem wymieceniem tych szpetności, ujmę całemu narodowi przynoszących. Nie wolno nam będzie ani dziwić się, ani nad tem ubolewać, jeśli za jakie lat dziesięć młode nasze pokolenie nie będzie umiało pisać czystą polszczyzną skoro codziennie czytywać będzie, że „Ułani zdemolowali całą karczmę i wytłukli Szwabów“. *(Gazeta Narodowa*, 1882 r. 299–2) Że Szwabów wytłukli, to im się chwali, ale dla czegoż demolowali, skoro mogli burzyć, lub w gruzy obrócić. Albo czytając w *Gazecie Lwowskiej* (1888 roku nr. 149): „Po wyborze przez aklamacyę tych samych prezydyów, które fungowały na ostatniej sesyi“. Albo w *Czasie*, z powodu jakiegoś nowo wynalezionego balonu: „Wynalazcy skonstruowali model tego aparatu“. Oto próbki stylu poważnych dzienników. Weźmy teraz lżejsze, tym razem warszawskie pisma; np. *Wiek*, piszący, że „młodzież męska umie z taką gracyą chodzić, jak gdyby się kształciła w *Kordebalecie* (1886 r. 266); lub *Nowiny* (1882 r. 30): „I znowu mamy do zaznaczenia pikantny kawałek ze stosunków galicyjskich“. Cóż dopiero powiedzieć o angielskim wyrazie *interwiew*, zamieniony na czasownik: *interwiuwować?!* To już doprawdy o pomstę woła do Boga! A nasz powieściopisarz Kraszewski, który pisał: arjerowany umysł, niespodziana dekon-

fiturę, desynować się, egzasperować, episjerstwo i tym podobne herezye, robiące na czytelniku to samo wrażenie, co najfatalniejszy w muzyce dysonans! Gdyby p. Bliziński jedynie podawał obce te wyrazy i używanie tychże ganił, jużby miał zasługę; ma ją wszakże stokroć większą, gdyż przy każdym takim obcym wyrazie, jest właściwy wyraz polski, czasem nawet jest i kilka wymownie świadczących o bogactwie naszego języka. Kto powyższą książeczkę przeczyta — a wszyscy ją czytać powinni — ten się odtąd namyślać będzie, gdy mu się wyraz obcego pochodzenia pod pióro nawinie, a namyśliwszy się, nie będzie go śmiał użyć, i wynajdzie odpowiedni polski wyraz. Tak postąpiwszy kilka, może i kilkanaście razy, przekona się w krótkim przeciągu czasu, że „nie Święci garnki lepią“, i że można wypisać wszystko, co się ma czy w głowie, czy w sercu, nie wołając na pomoc ani łaciny, ani greki, ani nawet francuzczyzny.

A. M. L.

F. R. Bellarmin kardynał. Konferencye o rzeczach ostatecznych. Spolszczył *X.**** Warszawa 1888, w drukarni Niemiry.

Pięć nauk o rzeczach ostatecznych, wyjętych z obszerniejszego dzieła mów Bellarmina, mianych w Leodium, przetłomaczył X.*** na język polski, czem dobrze przysłużył się literaturze ascetycznej polskiej, zbogacając ją jednym więcej utworem autora znakomitego, tak świętością życia, jak głębokością nauki. Imię Bellarmina znanem jest w całym świecie; niektóre dzieła jego w wielu językach były tłumaczone, a i u nas któż nie wie o katechizmie Bellarmina? Lecz dlatego właśnie, że autor znanym jest jako głęboki teolog, niejednemu mogłoby się zdawać, że konferencye jego mniej są przystępne dla ogółu. Tymczasem Bellarmin z głębokością teologiczną złączył dziwną jasność zwłaszcza w ascetycznych pracach. W wymienionych w nagłówku *Konferencyach*, trzyma się wiernie wzoru rekolekcyj św. Ignacego Loyoli; zamieścił zatem w nich dokładną naukę o rzeczach ostatecznych; treścią uczy, formą ozdobną przynęca do czytania. Teolog znajdzie tu dowody teologiczne, a zarazem przyznać będzie musiał, że autor zostawił rozumowi w całej pełni należące mu się miejsce. Wielka ilość przykładów, porównań, zastósowań, jużto z pisma św., jużto z żywotów Świętych wyjętych, już wreszcie z klasycznych pism dawnych pogan, wywierają wpływ zarówno na rozum jak i na serce.

Inne pytanie, czy konferencye te, aczkolwiek tak pięknie i gruntownie opracowane, zastąpić mogą właściwe rekolekcye? Bezwątpienia z niemałym pożytkiem i w czasie rekolekcyj odczytywać je można, same jednak nie doprowadzą jeszcze podobno do osiągnięcia pożądanego w rekolekcyach celu; nie dają ze wszech miar dokładnego wyobrażenia o ułożonych przez św. Ignacego *Ćwiczeniach duchowych*. Bądź co bądź, pożyteczna to, a dla każdego, co się w nią uważnie wczyta, zbawienna i miła książka, tem milsza, że poprawnym językiem polskim tłumaczona.

M. C.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Apologie des Christenthums von *Paulus Schanz*. Erster Theil: Gott und die Natur. S. 354. — Zweiter Theil: Gott und die Offenberung. S. 485. — Dritter Theil: Christus und die Kirche. S. 450. Freiburg im Breisgau 1887—1888.

Każdy człowiek rozumny, zanim zabierze się do jakiejś czynności, musi zdać sam sobie wpierw sprawę, co go do tego pobudza; a czem ważniejsza jest i trudniejsza czynność, pobudka skłaniająca go do niej musi być wyższą. Tak samo rzecz się ma z aktem wiary, który, jakkolwiek jest wypływem dobrej woli człowieka, to jednak nie mały udział w nim bierze rozum, skłaniając wolę do wydania aktu wiary silnego, niczem nie zachwianego. Wierzy się Bogu dlatego, bo Bóg objawił, lecz zadośćuczynić pytaniu: czy Bóg objawił, — zadaniem jest apologetyki i apologii.

W dawniejszych czasach, kiedy świeża pamięć była cudów Chrystusa Pana i Apostołów działanych na potwierdzenie boskości objawienia chrześcijańskiego, albo kiedy przynajmniej wiara objawienia lub jego możliwość istniała w całej sile i pełni tak u Żydów, jak i u pogan, łatwiej było bronić boskości objawienia chrześcijańskiego. Dzisiaj w obec szerzącej się niewiary, co już nie tylko gałęzie pojedyńczych dogmatów ścina, ale do samych korzeni bezbożnie siekierę przykłada, jakkolwiek cel ten sam, to jednak środki do celu tego prowadzące zmienić się muszą, walka ta sama, lecz broń musi być zastósowana do broni przeciwników. Prawie nie ma dzisiaj nauki, którejby uwzględnić nie było potrzeba w obronie prawdziwości objawienia chrześcijańskiego. Historya, biblijna egzegeza i krytyka, znajomość języków wschodnich, nauki przyrodnicze, systematy filozoficzne występują do walki w imię postępu z nowym zasobem wiadomości, zebranym na polu doświadczeń, badań i odkryć. Odpowiedzieć na te wszystkie zarzuty tą samą bronią, wymaga zaiste niezwykłej pracy i erudycyi wszechstronnej: trudne to zadanie, tem większa chwała, jeśli kto, jak ks. Schanz w swej *Apologie des Christenthums* sprostać mu potrafił.

Pierwszy tom apologii: *Bóg i natura* rozpoczyna szereg dowodów, stwierdzających istnienie Boga. Autor historycznie i etnogra-

ficznie udowadnia istnienie religii u wszystkich narodów dotychczas znanych przeciw twierdzeniom Darwina, Lubbocka i Häckla, z czego słusznie wyprowadza wiarę u tych ludów w istnienie Boga od niepamiętnych czasów; co więcej, ponieważ religia łączy się z początkiem ludzkości, więc i wiara w istnienie Boga równoczesną być musi z istnieniem człowieka.

Skąd jednak wiadomość o istnieniu Boga pochodzi? Twierdzenia tradycyonalistów i ontologistów są bezpodstawne i filozoficznie mylne; wśród tych dwóch, ostatecznie nauka chrześcijańska uczy, że natura sama przemawia o istnieniu jej Stworzyciela. I tak najpierw koniecznie trzeba przyjąć pierwszą przyczynę istnienia wszechrzeczy, która przyczynę swego istnienia sama w sobie posiada. Natura jest pełna życia, a ponieważ nic nie porusza się, jeśli nie jest poruszonem od czegoś, co już jest w ruchu, tem więcej ten bezustanny ruch w naturze i życie naprowadza na poznanie pierwszego pierwiastku ruchu i życia, którego jnż nie odziedziczył od czegoś innego, ale sam w sobie posiada. Transformiści nie umieją rozwiązać przyczyn nowości w naturze wedle swych ateistycznych zapatrywań, więc uciekają się do teoryi rozwoju, która ma rozwiązać zagadkę natury.

Tak jak w powyższych kwestyach, tak i tutaj każda trudność nie wymijającą, lecz naukową odpowiedź znajduje. Stałość form zasadniczych, różnica między instynktem zwierzęcym a rozumem i wolną wolą człowieka — z których pierwsze niezmienne pozostaje — drugie od dzieciństwa począwszy rozwija się, zanim do punktu kulminacyjnego dochodzi w wieku dojrzałym, są to kwestye dziś bardzo podnoszone przez naturalistów, a gruntownie w pierwszym tym tomie przedstawione, wszechstronnie rozebrane.

Teorya monizmu na mnogie odcienie już dziś się dzieląca, ale zbyt wielu niestety! licząca zwolenników, słusznie obszerniej traktowaną być musiała. Okazuje się ona jako czcza hipoteza, nie rozwiązująca bynajmniej zagadki powstania wszechświata; umysł nią nie zaspokojony, chętniej zwraca się do przyjęcia tego, co księga Rodzaju uczy o stworzeniu. Lecz i tutaj apologia spotyka trudności i zarzuty, oparte na najnowszych badaniach paleologicznych i geognetycznych. Bezstronnie, z gruntowną znajomością tak egzegezyi i krytyki biblijnej, jak nauk przyrodniczych, wykazuje ks.

Schanz, że trudności nie są nie do przezwyciężenia, i owszem nowoczesne badania i odkrycia w zupełnej harmonii stoją z historyą księgi Rodzaju, w duchu Kościoła i jego tradycyi zrozumianą. Całą tę ważną kwestyę pragnął autor przedstawić i rozwinąć tak gruntownie, że czasem może aż za gruntowny, a mówiąc dokładniej za obszernym się staje. Tak np. obszernie rozwodzi się nad odkryciami Kopernika, porusza kwestyę Galileusza, prawa Keplera w obec decyzyi kongregacyi, której nie z równą dokładnością broni i t. d. Bezwątpienia wywody te na apologię w tych rozmiarach za szerokie, zanadto specyalistycznie traktowane; poruszyć je naturalnie trzeba było koniecznie, ale zarazem nie tracić z oka, że kto tych rzeczy nie zna, a pragnie się o nich dowiedzieć, ten do innych książek, nie do apologii w tej mierze się uda.

Z kolei zastanawia się autor nad nowszemi badaniami etnograficznemi, lingwistycznemi, historyą religii porównawczej. Jasno przedstawia na czem głównie zasadzają się wszystkie z kolei zarzuty z nauk tych czerpane, żadnego nie pomija, lecz każdy rozwiązuje łącząc postęp nauki z prawdą objawioną.

Wielu uczonych posługuje się mniej więcej dokładną, ale źle użytą znajomością nauk przyrodniczych, ażeby naturalne poznanie Boga wykluczyć; inni radzi nadprzyrodzony pierwiastek usunąć z chrześcijaństwa, i w ogóle z religii. Dlatego w drugiej części swej apologii: *Bóg i Objawienie* — przedstawia ks. Schanz historyę Objawienia i dowodzi niezbicie jego prawdziwości i istnienia. Kult Boga w rozmaitych formach, stosownie do charakteru ludów rozmaity, wskazuje jednak jedno prawdziwe Objawienie, istniejące od początku ludzkości, które spaczone u wielu narodów biegiem czasu zaledwie w słabych rysach podobne jest do pierwotnego; w całości przechowuje się w narodzie wybranym, w Izraelu. Upadek tego narodu łączy się z początkiem ostatniej ery objawienia przyniesionego nam przez Chrystusa Pana. Ważny to punkt; należałoby też nieco gruntowniej ocenić stosunek upadającej synagogi do chrześcijaństwa, i coś więcej powiedzieć o dzisiejszym stanie wyznawców talmudu, i stosunku jego do nauki objawionej; zwłaszcza że stosunkowo obszerniejsze znajdujemy ocenienie wyznań mniejszej doniosłości dla apologii chrześcijaństwa. Wśród najrozmaitszych religij w mniej lub więcej gruntownych zarysach skreślonych, w odrę-

bnem, Bożem świetle przedstawia się religia chrześcijańska, która w obec rozumu występuje zarazem jako najwznioślejsza filozofia.

Z tego stanowiska apologeci chrześcijańscy pierwszych wieków zwykli byli wychodzić, stawiając naukę Chrystusową jako antytezę filozofii pogańskiej. Droga tu utarta, dowody znane, a jednak zawsze pełne siły i wdzięku, zdolne wytrzymać najsurowszą krytykę dzisiejszych racyonalistów.

Z powstaniem chrześcijaństwa łączy się ostatnie Objawienie Boże. Możliwość jego, potrzeba, ze względu na cel nadprzyrodzony człowieka, jego istnienie są dalszym przedmiotem badań i odpowiedzi na zarzuty racyonalistów, nie mogących pojąć właściwego stosunku rozumu do wiary. Stosunek cudów i proroctw do niezmiennych praw natury, znaczenie ich w obec Objawienia, autentyczność i wiarogodność ksiąg św., w których o nich jest mowa, inspiracya Pisma św. — rozbierane są z równą gruntownością w tomie drugim; baczny czytelnik z wzrastającem interesem kartki te przegląda.

Z apologią Objawienia łączy się kwestya jego czasu. Nowe teorye o ekonomii Ducha św., mającej nastąpić po Objawieniu danem przez Chrystusa Pana, podają sposobność na początku trzeciego tomu apologii: *Chrystus i Kościół*, do wyjaśnienia i stwierdzenia nauki Kościoła o zakończeniu Objawień przez Chrystusa Pana. Głównem wszakże zadaniem trzeciego tomu jest: przedstawić czytającemu to wielkie dzieło Chrystusa, które *Kościołem* zwiemy, i to w takim świetle, w którem mógłby łatwo rozpoznać, gdzie wśród tylu wrzekomo chrześcijańskich kościołów jest prawdziwy Kościół Chrystusa? Zadanie to już sam tytuł określa *Chrystus i Kościół*. Kościół przez Chrystusa Pana założony ma pewne cechy charakterystyczne, zawarte w symbolu wiary: jedność, świętość, katolickość czyli powszechność i apostolskość są jego znamionami. Heretycy, nie widząc tych znamion w swym Kościele, uciekają się niejako koniecznością zmuszeni do twierdzenia, że Chrystus Pan niewidzialny Kościół ustanowił. Rzecz jasna, że należało widoczność Kościoła gruntownie wykazać, przedstawiając go, jako jedno społeczeństwo mające swe prawa, hierarchię, rządy. Przedstawienia tego nie znajdujemy. Życzyćby sobie również można w tym ostatnim tomie większej systematyczności. Dlaczego np. autor, mówiąc o zna-

mionach prawdziwego Kościoła, mija utartą drogę i nie podaje ich w porządku przez symbol wiary podanym? Dla czego, omówiwszy znamię „jedności“ Kościoła, nie mówi o dalszem z kolei znamieniu, lecz wtrąca rozdziały o nieomylności i konieczności należenia do prawdziwego Kościoła? Znamię jedności Kościoła Chrystusowego niedokładnie rozwinięte. Jedność Kościoła Chrystusowego przebija się w dwóch kierunkach: w wierze i ustroju. Że wiara powinna być jedną i w czystości zachowaną, tego i protestanci nie przeczą, stawiając stałe, fundamentalne, jak mówią, artykuły wiary, kontrowerzya obraca się przedewszystkiem około jedności rządów i ustroju społecznego Kościoła. Chrystus Pan, jak już wspomnieliśmy, nadał Kościołowi swojemu ustrój społeczny, całe chrześcijaństwo jest niejako jedną rodziną, której głowa niewidzialna, Chrystus Pan, rządzi przez widzialną głowę swego namiestnika na ziemi. Ta widoczna jedność hierarchiczna w każdem społeczeństwie doskonałem jest konieczną, istotną cechą. Czemuż o tej jedności ustroju Kościoła autor pobieżnie traktuje, tak że kto jej nie uznaje, albo o niej nic nie wie, z przeczytania jego książki albo nic, albo mało co się dowie, i jasnego pojęcia zrobić sobie w tym względzie nie może. Słusznie podnosi autor *jedność* wiary, lecz to nie wystarcza; jedność wiary utrzymać się nie może bez jedności społeczeństwa i zależności od najwyższej głowy, która niem rządzi i kieruje. Po przedstawieniu jedności w ustroju Kościoła Chrystusowego, łatwiej i jaśniej okazałaby się potrzeba, konieczność i istnienie prerogatywy nieomylności Kościoła.

Obejmując całość trzytomowego tego dzieła, można się o niem, pomimo pewnych usterek, tylko pochlebnie wyrazić; nie jednego z czytelników utwierdzi ono pewnie w wierze, niejednemu piękności wiary w nowem świetle ukaże. Książek w tym rodzaju i w tym duchu za wiele nigdy być nie może; to też choć nie jedna już *Apologia* w najnowszych nawet czasach się okazała, z szczerą radością witamy niniejszą pracę, jako nową zbroję i nowy oręż w walce z błędami naszych czasów.

Ks. M. C.

Giordano Bruno e i suoi tempi dal p. *Luigi Previti S J.* Prato 1887.

Zdarza się często bardzo, że wszechwładna królowa opinia wytwarza jakiej osobistości, nie zasługującej w istocie na uwagę, mir u świata, i chwałę niedościgłej wielkości — sławę — rzecz jasna — zupełnie nie zasłużoną i nie zgodną z prawdą. Ale bez porównania więcej niestety, uczyni w tej mierze, z góry powzięty zamysł, niechęć i uprzedzenie stronnictwa; jeśli imienia osoby, której się sławę zjednywa, użyć można następnie za narzędzie do niegodziwych zamachów na partyę przeciwną. Tak stało się w czasach naszych z nieznanem do niedawna, a dzisiaj niezwykle głośnem imieniem odszczepieńcy od zakonu i Kościoła, Jordana Bruno. Włoska masonerya, dziś więcej niźli kiedy rozpanoszona pod rządami ministeryum p. Crispiego, i partya antypapieska, w odpowiedzi na wyniesienie Tomasza z Akwinu do godności mistrza chrześcijańskiej filozofii, okrzykuje słońcem filozofów człowieka, który w filozofii mógł był zająć pokaźne miejsce bezsprzecznie, ale go nie zajął, bo folgując fantazyi, zamiast iść drogą utartą przez prawdziwych na tem polu geniuszów, wymyślał nowości, odpowiadające bardziej zestarzałym indyjskim pojęciom. W przeciwstawieniu do świetnego tryumfu Kościoła, zgotowanego przez świat cały z okazyi papieskiego jubileuszu, wytęża ona wszystkie swe siły, by uosobnić tryumf antikościelnej i antichrześcijańskiej idei w pomniku na Campo dei fiori — dla Giordana Bruno.

W obec tak dziwacznego, a dla Włoch zjednoczonych i dla królewskiego Rzymu wcale nie zaszczytnego pomysłu, literatura masońska a za nią i przeciw niej katolicka, zajęły się gorączkowo obroną swych interesów w tej sprawie. Od dwóch już lat niespełna, nie przeminie jeden tydzień, w którymby się nie pojawiło coś nowego, dziełko obszerniejsze, broszurka, albo chociażby artykuł o apostacie Nolańskim, z jednego albo drugiego obozu.

Ojciec Ludwik Previti S. J. nowem dziełem o Jordanie Bruno pomnożył zeszłego jeszcze roku bogatą już i tak literaturę tej nieszczęsnej sprawy, lecz wprost w przeciwnym zamiarze. To właśnie dzieło wybieramy na przedmiot niniejszego sprawozdania, bo i ono ma na celu przedewszystkiem zaznajomić czytelnika dokładniej z filozofem Nolańskim, a dzieło Ojca Previti nadaje się do tego najsnadniej, gdyż przy dokładności, jest jednem z najobszerniejszych, a w skutek tego więcej szczegółów zajmuje naszą uwagę.

Nie tyle sama osoba Giordana Bruno, ile ruch antichrześcijański włoskiej masoneryi powodował O. Previti do napisania obszernego dzieła, i tem się tłumaczy ostre wystąpienie jego w obronie interesów Kościoła. Prawda, że czasami bardzo występuje przeciwko osobie Giordana Bruno, i niejednemu może wydać się, że brak mu miłości i tolerancyi chrześcijańskiej, lecz gdzie chodzi nie o osobę tylko, lecz o obronę idei katolickich, tam musi być w prawdziwem świetle i osoba przedstawioną, którą przeciwnicy zasłaniają się w walce. Ojciec Previti dzieli pracę swoją na trzy księgi. Pierwsza *La storia* obejmuje w 22 rozdziałach streszczenie żywotu sławnego apostaty Nolańskiego oraz ocenę jego prac literackich.

Część druga podaje akta procesu, który Giordanowi wytoczono w Wenecyi, a następnie przeprowadzono dalej w samym Rzymie. Trzecia część wreszcie zawiera dokumenta spożytkowane w tym dziele. Giordano Bruno urodzony w ubóstwie graniczącem z ostateczną nędzą, przepędza dziecinne swe

lata w rodzinnem mieście Noli, w Neapolitańskiem. Tamże pobiera pierwsze nauki, a po ich ukończeniu udaje się do Neapolu, gdzie z łaski Ojców Dominikanów dostał utrzymanie bezpłatne, i znalazł przez to możność kształcenia się.

Korzystając ze sposobności, z młodzieńczym zapałem zabrał się do nauk. Umysł bystry, zdolności bardzo dobre przyczyniają się do wielkich postępów. Niestety! zapał do nauki nie łączył się u niego z miłością cnoty. Ambitny o własne wyniesienie w środkach nie przebierał; potężnych majątkiem lub znaczeniem podchlebstwy starał się zjednać dla siebie; lecz to właśnie wielu odstręczało od niego. Nie mając środków do życia, a tem mniej do dalszych nauk, prosi o przyjęcie do zakonu Dominikanów. Zakonnicy uwiedzeni jego zdolnościami, sądząc że się wyrobi i może być chlubą zakonu — przyjmują go do swego grona, poczem — wedle zwyczaju — zmieniają imię jego chrzestne Filip na Giordano, pod którem w dalszem swem życiu występuje.

Jakież było jego zakonne życie? Takie jakie i powołanie. Pokąd nie odebrał był jeszcze charakteru kapłańskiego, a uroczysta profesya ślubów zakonnych nie zapewniała mu chleba, Bruno w niepewności o siebie, trzyma złe swoje skłonności na wodzy. Ale raz po profesyi i po wyświęceniu charakter młodego Dominikanina daje się poznać niebawem. Próżno u niego szukać śladów pobożności, albo cnót zakonnych. Duch niespokojny mało się już ukrywa pod pozorami, któremi wprzód się otaczał. Nawet zamiłowanie do nauk zdaje się dość podejrzanem. Bruno kształci się niby w filozofii, ale nie dość korzysta ze znakomitych mistrzów, i owszem aż nadto przebija w nim dziwna i niedorzeczna samowolność w pojmowaniu i tłumaczeniu najpoważniejszych zagadnień. Wcale też nie oddaje się on wyłącznie temu przedmiotowi. Jako rozrywkę, dla zakonnika wcale nie odpowiednią, obrabia Bruno wśród filozoficznych studyów komedyę *Il Candelajo*. Przedmiot jej wręcz niemoralny. Przeprowadzenie pod względem artystycznym nędzne, ale tak cyniczne, że nie godzi się i nie podobna nawet podać jej w streszczeniu.

Za ten utwór młodzieńczej fantazyi, a więcej jeszcze za inne jego wystąpienia, w których dosyć otwarcie broni aryańskich błędów przeciw wierze, inkwizycya zaczyna go mieć na oku. Sprytny Dominikanin widzi, że w Neapolu nie może się nic dobrego spodziewać, wyłudza list polecający od prowincyała zakonu i zjawia się nagle w Rzymie w klasztorze Dominikańskim przy kościele Sopra Minerva. Nie czując się ani tu, ani w państwie kościelnem bezpiecznym przed wyrokiem inkwizycyi, uchodzi z niego i błąka się przez pół roku po miastach Włoch północnych. Przebiegł ich więcej niżli 12 w tym czasie. Takie błądzenie z miejsca na miejsce nie daje ani sławy ani pieniędzy. Nie pomaga mu nawet i habit zakonny, który przez czas ten cały zachował na sobie, nie z przywiązania do niego bynajmniej, ale z nikczemnego prawdziwie wyrachowania. Liczy on mianowicie na to, że będzie się mógł podawać za mnicha prześladowanego od swej władzy, za poglądy swoje na wiarę i filozofię, a reformacya otworzy zbiegłemu zakonnikowi swą kasę, bo rada będzie mieć w ręku ten dowód oczywisty zacofania i nietolerancyi kościelnej. Spieszy do Genewy, sławnej wówczas ze sporów dysydenckich. W Genewie były dwie partye, dwie równe sobie co do wartości, ale w swej treści przeciwne religie, założone od niedawna. Wyznanie kalwińskie i kościół tak zwany włoski, pragnęły zjednać Bruno dla siebie. Giordano Bruno dość był uzdolnionym, by

oba stronnictwa chciały policzyć go między swoich — ale zbyt niespokojnym i dumnym, by się do któregokolwiek przyłączył. On marzy o religii nowej, a raczej o filozofii bez żadnej religii. Tymczasem, gdy obie strony odmawiają mu naturalnie pomocy, jako korektor jednej drukarni zarabia na codzienny kawałek chleba. Długo jednak takie zajęcie bawić go nie mogło. Zaledwie dwa miesiące przepędził w Genewie, a już gorączkowa żądza włóczenia się z miejsca na miejsce, a przytem brak utrzymania, jakiegoby się spodziewał i pragnął, kierują jego kroki do Francyi.

Pielgrzymkę swoją po tym kraju rozpoczyna w Lyonie. Tu bawi miesiąc tylko, i do Tuluzy pospiesza. W Tuluzie mieniąc się doktorem teologii, którym nigdy w życiu nie był, zyskuje Bruno pozwolenie od akademickiego senatu na rozpoczęcie wykładów z filozofii. Po dwóch latach egzystencya Brunona w Tuluzie staje się wręcz niemożliwą, bo kazano mu przerwać niedorzeczne i antireligijne wykłady, więc przenosi się stąd do Paryża. Równie jak i w Tuluzie wyłudza znów pozwolenie wykładów, a tą razą w słynnej owemi czasy Sorbonie. Naprzód przez czas tylko krótki wykłada *De Triginta atributis Divinis*, przedmiot teologiczno-filozoficzny. Bruno o Bogu ma pojęcia błędne, więc i ten wykład wypada bardzo nieświetnie, tak że profesorowie Sorbony czują się wreszcie zmuszeni polecić zmianę wykładanego przedmiotu swemu nowemu koledze. Poczyna więc znowu wykłady przedmiotu, który z prawdziwą filozofią nie ma najmniejszej styczności, wykłada mnemonikę, czyli sztukę pamięci. Obok wykładów, pisze też dziełko o podobnej treści *De umbris idearum*, a w dedykacyi dla króla Henryka III tak się sam o swej pracy wyraża: Dzieło to zasługuje, by je policzyć między bardzo znakomite, jużto dla wzniosłości przedmiotu, już dla niezwykłych pomysłów, już też dla genialnego rozumowania i głębokości dowodów.

Kto czyta takie pochwały pisane przez samego autora dla siebie, niezawodnie doznać musi uczucia, któreby mógł dokładnie oddać łacińskiem przysłowiem: *Propria laus sordet.* Ale korzystniejszemi dla autora jak swoje własne pochwały są, zdaje się, panegiryki na cześć innych osób wpływowych i majętnych. Dobrze to Bruno zrozumiał, to też w dziełku wspomnianem jest hymn pochwalny dla Henryka III, pełen tak niskich i rażących pochlebstw, że dziwno, jak król francuski mógł nie obrzydzić sobie takiego człowieka. Wkrótce po okazaniu się dziełka i jego dedykacyi, Bruno opuszcza ziemię francuską, zaopatrzony polecającym listem królewskim do p. Mauvissière, ambasadora na dworze królowej angielskiej Elżbiety. W roku 1583 udaje się do stolicy Anglii, nie zebrawszy w czasie 4-letniego pobytu w Paryżu innych owoców, jak tylko te nędzne wykłady, które mu przerywać kazano, oraz kilka dziełek pomniejszych, w których prócz napaści na wiarę i Kościół, pochwał bezprzykładnych dla siebie, i podchlebstw dla możnych — nie ma nic zgoła, coby na jaką zasługiwało uwagę, albo inne mogło obudzić uczucie prócz pogardy, a czasami śmiechu.

Mauvissière otwiera w Anglii protegowanemu swego Pana wstęp na katedrę w Oxfordzie. Tu więc wykłada najpierw o nieśmiertelności duszy, i w tym wykładzie okazuje się zwolennikiem indyjskiej metampsychozy. Po trzech miesiącach znów mu prawo nauczania odbierają. I nie dziw. Przeciwników swojej teoryi nie umie Bruno nazwać inaczej jak osłami, bydlętami, głupcami. Elżbieta jest dla Brunona „niebieską i boską dziewicą, której blask

cały świat opromienia". Ludzie ubodzy, którzy nie mogli pieniędzmi i wpływem zakupić Giordanowych pochlebstw, są dla niego wszyscy bez wyjątku gorszymi od osłów, bydląt i t. p.

W r. 1585 powraca Bruno do Paryża. Tu każe Hennequinowi bronić 120 tez przez siebie ułożonych, a o tej dyspucie wiemy tylko z późniejszych notatek Brunona... że wszystkie osły sorbońskie zamilkły a Bruno... o tem wiemy już nie z notatek jego wprawdzie, ale zawsze z bardzo pewnych źródeł, że Bruno w kilka dni później umknął cichaczem z Paryża, i nagle zjawia się w Marburgu, zapisany już nie jako profesor, ale jako akademik. Nie długo tu słucha wykładów. Przelatuje do Moguncyi, Wittembergii, Pragi. Tutaj dosięga kulminacyjnego punktu jego geniusz literacki i teologiczny, i streszcza się cały w utworze godnym zaprawdę pomnika. Giordano Bruno: układa wspaniały panegiryk wedle formy na cześć i chwałę... szatana. Jestto fakt historyczny, któremu i najzaciętsi obrońcy Brunona zaprzeczyć nie mogą.

Odtąd już lotem błyskawicy przebiega inne miasta Niemiec, aż przy końcu roku 1591 znajdujemy go znowu na ziemi włoskiej, w Wenecyi. Tutaj, jak było do przewidzenia, nie długo się cieszy wolnością. 23 maja 1592 r. Mateusz d' Avanzo, kapitan św. Officyum kładzie na Brunona podejrzanego o uporczywe rozszerzanie kacerstwa, i opór duchownej władzy i inne występki, areszt w imieniu św. inkwizycyi.

Zbierzmyż raz jeszcze wszystkie jakie mamy o nim wiadomości z tego czasu, i zestawmy w formie zdań o działalności i charakterze Brunona, a przekonamy się dobitniej, czy Giordano Bruno zasługuje na pomnikowe uczczenie.

Uczynię to zestawienie własnemi słowy naszego autora z małemi zmianami. Giordano Bruno niczem się nie zasłużył swej włoskiej ojczyznie, bo całe prawie życie po za nią przepędził, a o niej źle się tylko i pogardliwie wyraża.

Giordano Bruno w miejsce cnoty i zasługi ma tylko niesłychaną próżność, nieznośną zarozumiałość i pogardę dla swych przeciwników.

Giordano Bruno gardzi ludem a możnym podchlebia, kadzi potężnym, chociażby bratobójcom i zbrodniarzom.

Giordano Bruno wyśmiewa starożytnych klasyków i filozofów, drwi z Arystotelesa, Petrarki i Danta, i całą literaturę, która mu niedogadza, w czambuł odrzuca i potępia. Giordano bluźni katolickiej wierze, a sam innej nie ma, obrzuca obelgami wszystkich, co się jej trzymają. Przewraca całą etykę, poniża ludzkiego ducha, człowieka równa z bydlętami, uczy, że ciało ma mieć przewagę nad duszą, i rozpowszechnia metampsychozę.

Giordano Bruno nienawidzi wszystkich, którzy się z nim niezgadzają, chciałby ich ogniem i mieczem wytępić. Sam w pismach swoich twierdzi, że ci, co nie idą za nim, powinni dla dobra świata spaleni być żywcem na stosie.

A jednak ten Giordano Bruno ma być od Włochów dzisiaj uczczony pomnikiem. Więc to już chyba tylko za bohaterską jego śmierć na stosie. Obaczmy, czy istotnie była ona bohaterską, chociażby tylko w tem znaczeniu, że Bruno wolał umrzeć, niż wyrzec się swoich błędów.

Że Bruno nie był niewinnie straconym, że gdyby tylko chciał szczerze wyrzec się swych błędów, byłby znalazł przebaczenie, dowodzi tego cały ciąg procesu, którego akta autor nam w drugiej księdze dzieła tego przedstawia. Lecz Bruno nie chciał korzystać z łaskawości i względów, jakie sam nawet Papież okazywał, albo raczej chciał z nich korzystać tylko w celu ucieczki.

Na tem poznali się sędziowie. A że w tej jego śmierci mało bohaterstwa, łatwo się o tem przekonać z całego procesu. Dla przykładu tylko wybieram tu i wypisuję własne Brunona słowa, powiedziane przed trybunałem w Wenecyi.

Po pokornem wyznaniu wszystkich swoich błędów rzuca się na kolana i mówi: „Przepraszam pokornie Boga i was, wielmożni panowie, za wszystkie moje błędy i gotów jestem spełnić wszystko, co w roztropności waszej uradzicie i osądzicie dla zbawienia duszy mojej. Nadto proszę raczej o sroższą karę, niżbyście mieli mnie karać publicznie, z czem mogłaby być zniesławioną święta suknia zakonna, którą nosiłem. Jeśli z łaski Bożej i waszej pozostanę przy życiu, przyrzekam odmienić znacznie me życie i przez to naprawić dane zgorszenia".

Że odwołanie to nie dowodzi prawdziwej wielkości duszy, poznać łatwo; bo o cóż głównie mu idzie? By kara nie była publiczną, i aby został przy życiu. Pokrywa to pozorem szacunku dla sukni, której nie szanował, ale nie trudno się było domyślić prawdziwej pobudki tego upokorzenia. Istotnie, odkryto później, że utrzymywał nawet w więzieniu z zagranicznymi przyjaciółmi swoimi stosunki, i miał ukartowany plan ucieczki. Że zresztą wyznanie to, ani inne podobne, które w ciągu procesu czynił, nie mogły być szczere, dowodzi to, że w innych znów chwilach, gdy go wrodzona krnąbrność i pycha uniosła, na łaskawe wezwanie sędziów odpowiada: *quod non debet nec vult resipiscere, et non habet quid resipiscat, nec habet materiam resipiscendi, et nescit super quo debet resipisci.* Jednem słowem, cały ten proces wskazuje człowieka, który, obok niepohamowanej pychy, miał duszę dość niską, umiał gardzić niższymi, ale pełza się przed potężniejszymi, i upokarza się bez przeświadczenia nawet o błędzie, jedynie aby wyłudzić przebaczenie.

Nareszcie gdy w nim nie dojrzano i śladu prawdziwej chęci poprawy, odczytano mu wyrok śmierci przez spalenie na stosie. Dotąd pewną jest historya tego apostaty. W tej chwili miał zawołać: „Więcej drżycie z bojaźni wy, coście wyrok wydali, niźli ja, na którym on ma się spełnić". Czy tak zawołał w istocie — nie wiadomo. W każdym razie jeśli tak i było, to sam Bruno dał swym sędziom jak najświetniejsze świadectwo. I czemuż oni drżeć mieli z bojaźni? Czy postąpili przeciw woli władzy, któraby ich za to karać mogła — czyż do wydania wyroku nie byli upoważnieni. Jeżeli tak było, to to drżenie wskazuje, że sędziowie byli szlachetnego serca, że nie radzi śmiercią go karzą, że boleją nad jego losem. Więc go nie skazali niesłusznie, nie potępili bez rozwagi. Czy Giordano Bruno istotnie spłonął na stosie — wątpią o tem. Są zdania za i przeciw. Kto utrzymuje, że kara istotnie była wymierzoną, ma za sobą tylko wyrok śmierci. To jednak nie zupełnie jeszcze dowodzi, gdyż mógł zostać ułaskawionym. Charakter zaś Brunona nie daje nam zresztą pewności, czy może wreszcie, przerażony bliskiem spełnieniem wyroku, nie zdobył się raz jeszcze na upokorzenie i odwołanie swych błędów. Może też później i szczerze odmienił swe życie. Dość, że za domysłem, iż Bruno na stosie nie spłonął, przemawia wielka liczba uczonych, przemawia najbardziej wymowne milczenie wszystkich dokumentów z tego czasu, a przedewszystkiem brak jego nazwiska w spisie spalonych na stosie, który przecież bardzo dokładnie i z urzędu był prowadzonym.

Niniejsze dzieło wygląda raczej na odpowiedź polemiczną dzisiejszego szału „Włoch odrodzonych" w ubóstwianiu Giordana Bruno, jak na pracę

historyczną. Jeśli to było zadanie autora, dobrze się z niego wywiązał, lecz lepiej byłoby może pisać bez żółci — z krwią zimną; książka mogłaby osiągnąć wtedy nie tylko swój skutek na dobrze usposobionych czytelnikach, ale i na tych, którzy dziś szaleją. Prawda sama przez się posiada siłę przekonywującą umysły — lecz gdy podana jest w słowach zbyt ostrych z góry potępiających stronę przeciwną, może odstręczyć czytelnika źle usposobionego.

Ks. S. K.

Le Père Bouhours par *George Doncieux*. Docteur en Lettres.

Pisząc żywot O. Bonhoursa autor zastanawia się jedynie nad jego pracami literackiemi. Postać kapłana i zakonnika nie jest tu przedstawioną; a więc żywot ten jednostronnie tylko podaje nam wiadomości o jego życiu. Zresztą już na wstępie wspomina p D., że tylko o pracy literackiej jego chce pisać, resztę pomija roztropnie, bo zdaje się, że nie jest nawet kompetentnym do głębszego ocenienia życia zakonnego. O. Bonhours, jako swojego czasu literat, jakkolwiek drugie miejsce zajmuje, nie mały wpływ dodatni wywierał na literaturę francuską; wykwintność form towarzyskich ułatwiała mu zbliżenie ze światem literackim dobrego tonu, a uprzejmością i wyrozumiałością umiał pozyskiwać sobie serca ludzi, skądinąd może obojętnych dla religii. Rzecz naturalna, skoro p. D. przedstawił żywot z tej tylko jednej strony, u zakonnika i kapłana mniej ważnej, cała postać O. Bonhoursa w mniej korzystnem świetle wypaść musiała, tak że czytający dosyć czczości doznaje, zanim do końca ową książkę przeczyta.

Ks. S. K.

Der heilige Peter Claver, Apostel der Neger und Carthagenas. Przez *Ks. Ferdynanda Höver S. J.*

Istotnie pięknym życiorysem Apostoła Murzynów obdarzył nas autor, przy okazyi wliczenia Piotra Klawera w poczet świętych. Dziełko to nie obszerne, ale układem i treścią zasługuje na poważne miejsce w hagiografii nowoczesnej. W krótkich rysach przedstawia życie i działalność świętego w sposób tak ujmujący, że raz przeczytawszy to dziełko, nie żal zabierać się jeszcze do powtórnego czytania. Uderza w życiorysie zastósowanie układu jego do wymagań, które stawiają czytelnicy zepsuci nawet nowoczesną literaturą beletrystyczną. Jest to postęp, który nam przedewszystkiem zanotować wypada, bo chcąc, by dzieła treści religijnej lub takie jak żywoty Świętych rozchodziły się w szersze warstwy, powinniśmy starać się o to, aby ich szata i forma przyciągała i nęciła.

Autorowi naszemu należy się niemałe uznanie w tej mierze. Nie idzie on za przykładem starszych pisarzy, zachowujących chronologiczny porządek w opisie życia i czynów zmarłego. Sposób ten, jakkolwiek znakomicie nadający się do dokładnego i zródłowego opracowania, zmusza często do powtarzania zdarzeń prawie identycznych, a w dłuższem zwłaszcza dziele nuży nieraz swą jednostajnością. O. H. obrał drogę o wiele odpowiedniejszą do celu, jaki zamierzył. Nie chce on zapoznawać czytelników z życiem świętego Apostoła,

a raczej z jego świętą osobą. Nie każe nam więc iść za nim krok w krok i dzień za dniem — ale przedstawia najważniejsze i zawsze efektowne strony działalności Świętego, jakby w obrazkach malowanych żywemi barwami. Same nagłówki rozdziałów tak są wyszukane, aby zaciekawiały czytelnika, któryby zechciał tylko przerzucać kartki, nie czytając całości. A z jakiem życiem i ciepłem szkicuje autor wszystkie części tej cudnej mozajki cnót świętego Apostoła! Jego synowski stosunek do świętego staruszka, Alfonsa Rodriqueza, braciszka Tow. Jez. w rozdziale: *Dwaj Święci.* Jego poświęcenie wśród prac apostolskich, podjętych pośród Murzynów i w mieście Kartaginie!

Takie rozdziały jak: *Atak do serc Murzynów, Niewolnik niewolników, Anioł miłości, Wszystkim wszystko* są, śmiało rzec można, każden dla siebie małem arcydziełem, a jednak razem tworzą harmonijną całość.

Do krótkiego życiorysu dołącza autor pod tytułem: *Głos Kościoła* dekret Benedykta XIV-go, sławiący cnoty Klawera i dekret Piusa IX, który wielkiego Apostoła policzył w poczet błogosławionych.

Wydanie w zewnętrznej swej formie zadowalnia najbardziej wyszukane życzenia. Papier biały i gładki, druk nadzwyczaj wyraźny i czysty, a nadto drobne ozdoby, inicyały i obwódki, nadają temu dziełku wygląd, którego nie powstydzi się żaden wybredny nawet pod tym względem księgozbiór. Wszystkim też, którzy dostatecznie władają językiem autora, radzibyśmy przemówić do serca, aby dziełkiem tem wzbogacili swoją bibliotekę, a umysł i serce własne — jego treścią.

Ks. S. K.

Rozmaitości.

Otrzymujemy zaproszenie do przedpłaty od księgarni katolickiej w Poznaniu na **Biblię Starego Testamentu** ilustrowaną, i NB. tylko „we wyjątkach"; a to dla tej racyi, mówi ogłoszenie: „ponieważ ksiąg tych w całości Kościół katolicki ogłaszać nie dozwala". Nie ganimy w ogóle wydania skróconego Biblii, przeznaczonego dla szerszych kół, ale o żadnym zakazie Kościoła wydawania Pisma św. „w całości", choćby w polskim przekładzie, wcale nie wiemy. Istnieje tylko zakaz czytania Pisma św. w tłumaczeniu, bez porady spowiednika, ale ten zakaz nie dotyczy jednych ksiąg raczej niż innych, a nadto różne są zdania, czy ten zakaz do dziś dnia obowiązuje. Wybór więc ksiąg świętych, który ma być objęty w tem wydaniu, nie może się opierać na żadnym nakazie

ani zakazie Kościoła, ale tylko na subjektywnem zdaniu wydawcy. Swoją drogą, jeżeli ten wybór będzie dobrze zrobiony, łatwiej spowiednicy (jeżeli ich pozwolenie jest w ogóle potrzebne) będą mogli pozwalać je czytać młodzieży i prostaczkom.

Do Nr. 21 (16 grudnia 1888 r.) **„Wieńca polskiego“**, ludowego pisma, zostającego pod redakcyą Ks. Stanisława Stojałowskiego, dołączył wydawca tegoż *Wieńca* i właściciel drukarni w Gródku koło Lwowa, Jan Czaiński: „Prospekt na dziesiąty rocznik *Biblioteki domowej* i „Prospekt nowości wydanych nakładem drukarni Jana Czaińskiego“. Raz już podobny, o ile pamiętamy, krótszy prospekt swych wydawnictw dołączył p. Czaiński do *Wieńca*, czy *Pszczółki*, pism zostających pod redakcyą kapłana katolickiego, a dążących do tego, jak czytamy w programie, „aby lud oświecać w sprawach religijnych i narodowych“. Wówczas na zapytanie, jakim sposobem tego rodzaju prospekt z pismami temi mógł się przemycić, otrzymaliśmy zapewnienie, że zaszła pomyłka, czy nadużycie ze strony p. Czaińskiego, który nie porozumiawszy się i wbrew woli Redakcyi, użył pism katolickich dla reklamy nie tylko nie katolickiej, ale wprost nie moralnej. Pomyłka ta, czy nadużycie powtarza się obecnie, a ponieważ dopuścić nie można, aby pod osłoną katolickich haseł szerzyć się miało po wsiach naszych zgorszenie, zwracamy przeto publicznie uwagę na tę smutną, gorszącą spekulacyę.

P. Czaiński chwali się w swym prospekcie, że podjął się „wydawnictwa *Biblioteki domowej*, głównie celem wyrugowania z kraju narzuconych nam przez obcokrajowców piśmideł, psujących smak i upodobanie do literatury“ — a jako lekarstwo podaje książki wydane przez siebie w ostatnim (dziewiątym) roczniku: *Tajemnice Paryża* Eug. Suego i romans: *Faworyt królowej*, o którego treści tytuł sam dosyć chyba ostrzega. Obok zapisanych na indeksie *Tajemnic Paryża*, obok całego szeregu romansów mniej głośnych, ale nie wiemy, czy mniej skandalicznych, dziwnie wygląda tytuł: *Wy-*

dawnictwo katolickie. P. Czaińskiemu widocznie wszystko jedno, jakim sposobem ma wydusić grosz, — wszak nieraz ten sam żyd, co handluje największemi bezecnościami, wystawia na sprzedaż krzyże i różańce; — ale czy *Wydawnictwo katolickie* może, czy wolno mu w takiem towarzystwie figurować; czy wolno mu być pośrednikiem w takim handlu, służyć za przynętę do trucizny dla łatwowiernych czytelników, którzy w prostocie swej sądzą może, że to Redakcya *Wieńca* i *Pszczołki Bibliotekę domową* im zaleca?

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kwestya wyjazdu papieża z Rzymu. — Protesty biskupów i wieców katolickich przeciw włoskiemu kodeksowi karnemu. — Liberalne Włochy a krucyata kardynała Lavigerie. — Głosy angielskich i niemieckich protestantów. — Wzrost katolicyzmu w Anglii. — Rozprawy w parlamencie francuskim o zniesieniu ambasady przy Watykanie. — Smutne rewelacye. — Okólniki biskupów hiszpańskich.

Od dawnego już czasu, nawet mimo coraz bardziej zaostrzającego się w ostatnich miesiącach prześladowania Kościoła we Włoszech, nie brano z żadnej strony bardziej na seryo pod rozwagę możliwości opuszczenia Rzymu przez Papieża. Raz po raz wprawdzie czerwona jakaś gazeta, popisując się przed czytelnikami z swych ultrarewolucyjnych zasad, wołała z przekąsem: „I owszem! niech Papież spróbuje z Rzymu wyjechać!“; ale wnet przywołana do porządku przez roztropniejsze towarzyszki, stygła w sztucznym zapale, nieraz przyznawała w parę dni, lub tygodni, że zaręczyć trudno, czy wyjazd Ojca św. nie stałby się iskrą, przyłożoną do zewsząd zgromadzonych palnych materyałów; że z ogniem igrać niebezpiecznie. To też poważniejsza prasa nie zwykła była brać w rachubę tego rodzaju nieszczerych życzeń i wynurzeń, notując je co najwięcej z kronikarskiego urzędu, jako smutny dowód, do jakiej ślepoty zaciekłość może doprowadzić. Takąż samą wzmianką opatrzyły już niektóre dzienniki artykuł umieszczony przed kilku tygodniami

w półurzędowej *Capitan Fracassa*, pod senzacyjnym tytułem: „A gdyby Papież wyjechał!“; gdy w ostatnich dniach listopada okazała się w *Moniteur de Rome* bardzo poważna, z wyższego naturalnie natchnienia napisana rozprawa raczej niż odpowiedź, która załatwiwszy się w kilku wierszach z organem Crispiego, zwróciła całą tę sprawę na zupełnie nowe tory; zagroziła niejako Włochom, — jak artykuł ten tłumaczą bardzo poważne głosy, — że papiestwo, ustępując konieczności, przejść będzie musiało z odpornego na zaczepne stanowisko.

Czy Papież rzeczywiście nigdy Rzymu nie opuści, pyta się *Moniteur de Rome*, jak z taką pewnością siebie twierdzą *Capitan Fracassa* i jego opiekunowie? Co do nas, nie śmielibyśmy postawić tak kategorycznie tego twierdzenia. Ktokolwiek zastanowi się nad wysoką, jedyną w swym rodzaju godnością papieża, temu dzisiejsze jego położenie wydać się musi tak wyjątkowe, w tak w wysokim stopniu anormalne, iż wyjście z niego przedstawić mu się musi jako niezbędna, absolutna konieczność. Czy jest rzeczą naturalną, aby papież, którego władza duchowna rozciąga się po same krańce świata, który traktuje jako równy z równym z wszystkimi rządami i królami, aby przedstawiciel tak potężnej, moralnej i religijnej władzy, skazany był na przepędzenie całego życia między czterema murami, w obrębie jednego pałacu?... A nie tylko osoba samego papieża i materyalne cierpienia z niewoli tej płynące są tutaj w grze; chodzi w tej kwestyi o wyższe daleko interesa, o samą instytucyę papiestwa. Papież, wedle definicyi katechizmu, jest widzialną głową Kościoła katolickiego; zadaniem więc jego nie jest pędzić w głębi pałacu, ukrywającego go przed wzrokiem kochających dzieci, samotne, tajemnicze życie tych wschodnich monarchów, których oblicze jest wieczną zagadką dla poddanych. Papiestwo, ta Boska instytucya, obejmująca i przestrzeń i czas, nie może poddaną być nieograniczenie systemowi więziennemu. Dzisiejsze położenie rzeczy zmienić się musi — ale w jaki sposób? Papież nie może przyjąć bezprawnych faktów dokonanych, nie wolno mu uznać zaboru Rzymu; bo uznanie takie byłoby sprzeniewierzeniem się prawom i interesom całego katolickiego świata. Nie może opuścić Watykanu i pokazać się na ulicach Rzymu, bo wobec systematycznych podżegań rządu przeciw papiestwu, w obec wszech-

władnego panowania loży, nie tylko godność jego, ale nawet osobiste bezpieczeństwo byłoby na szwank narażone. Jedno więc tylko wyjście pozostaje, zważając na z dnia na dzień ścieśniający się moralny i materyalny łańcuch niewoli, a tem jednem wyjściem, do którego najbliższy jaki wypadek, czy zawikłanie siłą rzeczy doprowadzić może, jest wyjazd Papieża z Rzymu. Urzędowe Włochy utrzymują, że wyjazd ten jest im zupełnie obojętnym, że może nawet chętnie pozbyłyby się tego ciągłego kłopotu, który przynosi im Papież w Watykanie. Widać, że nie znają, czy znać nie chcą historyi, bo inaczej pamiętaliby, że papieże opuszczali już nieraz Rzym, ale zawsze do niego wracali, przywołani nie tyle cudzoziemskiemi wojskami, co raczej logiką rzeczy, i tą niezmierną próżnią, którą po sobie zostawili w Rzymie i w całych Włoszech. Czemże Rzym bez Papieża? Smutną materyalną i moralną ruiną. Czem wyjazd ten dla Włoch? Zapowiedzią panowania bezwzględnego radykalizmu, strasznego peryodu wewnętrznych konwulsyj, tryumfem rewolucyi. Dla papieża droga wygnania zmnieniłaby się niebawem, jak się tyle razy już zmieniała, w tem świetniejszą drogę tryumfalną... Wyjazd papieża stanowiłby wstęp; niech urzędowe Włochy myślą o epilogu!..

Niezmiernie ważny ten artykuł, będący niejako praktycznem uzupełnieniem mowy Ojca św. do pielgrzymów neapolitańskich, okazujący, jak nieznośne musi być położenie Papieża, gdy kwestya opuszczenia Rzymu, mimo mnóstwa, pierwszorzędnej wagi niedogodności, została jednak tak stanowczo i głośno poruszoną, — wywołał w całym świecie, a na pierwszem miejscu we Włoszech, głębokie wrażenie. „Dzienniki p. Crispiego, pisze *Figaro*, roztrząsając możliwość wyjazdu Papieża, silą się napróżno na szydercze niedowierzanie, lecz w gruncie rzeczy panowie z *Consulta* o wiele są niespokojniejsi, niż chcieliby to na zewnątrz okazać. Kilka osób z otoczenia króla Humberta wypytywało się natarczywie w tych dniach paru domowników papieskich, co w tej mierze sądzić należy, a półurzędowe to śledztwo przyniosło następujący rezultat: wyjazd Papieża jest już w zasadzie postanowiony, ale nie wiedzieć jeszcze, czy Ojciec św. zaczeka na komplikacye sprowadzone wojną europejską, czy może jako powód tego tak ciężkiego w następstwa kroku, poda ogłoszenie nowego kodeksu karnego... W każdym razie krok ten,

zwłaszcza w dzisiejszych okolicznościach, zadałby straszny cios nie tylko polityce Crispiego, ale i dyplomatycznemu dziełu Bismarka; rzuciłby cały pęk światła na cele i następstwa potrójnego przymierza, w imię którego rząd włoski domaga się równie w Brukselli i Madrycie jak w Wiedniu obrony przeciw katolickim manifestacyom, kongresom i protestom; zmusiłby katolików niemieckich i austryackich do zwalczania tego przymierza. Zresztą czy dyplomacya starać się będzie, choć napróżno, przeszkodzić wyjazdowi Papieża, czy dozwoli mu bez trudności przejść bramy swego więzienia, — to zawsze w dniu, w którym Leon XIII opuści Włochy, kwestya rzymska stać się musi i stanie się kwestyą międzynarodową. Chrześcijańska Europa zbudzi się na głos dostojnego wygnańca i przyniewoli rządy do zwołania kongresu. A w samychże Włoszech, w tym kraju, w którym silne uczucia katolickie grają nawet w sercach skrajnych rewolucyonistów, czyż wyjazd Papieża nie sprowadzi upadku ministerstwa Crispiego i zupełnej zmiany dotychczasowej polityki?“ Podobnie, może jeszcze silniej wyraża się *Journal des Débats*, ostrzegając Włochy, że chociaż Papież dobrze się bezwątpienia zastanowi, zanim groźby swe wypełni, to jednak z groźbami temi nie ma co żartować, bo jeśli dla Papieża opuszczenie Rzymu będzie przykrem i niewygodnem, dla Włoch stać się ono może kwestyą życia lub śmierci. W słowach tych znajduje się już poniekąd odpowiedź na głosy tych, którzy pragnąc osłabić doznane wrażenie, nazwali z protestanckim *Journal de Génève* i wiedeńską *Neue Freie Presse* wystąpienie *Moniteura* „dyplomatyczną groźbą, politycznym manewrem, mającym li tylko na celu pobudzić stronnictwo katolickie do energiczniejszej akcyi“; zupełniejszą a pod względem jasności nic do życzenia nie pozostawiającą odpowiedź, dał tym głosom sam *Moniteur de Rome:* „Artykuł „nasz jest poprostu stwierdzeniem stanu rzeczy, którego konieczne „następstwa same w oczy biją... *Neue Freie Presse* zrozumiećby „powinna, że czas manewrów bezpowrotnie minął; obecne poło„żenie zbyt jest bolesne, aby nadawało się do igraszki z przeda„wnionemi a bezpłodnemi sztuczkami!“.

Dokąd wyjechałby, gdzie tymczasowy namiot swój rozbiłby Papież? — zapytano powszechnie. Gazety wymieniły Maltę, Trydent, Monaco; rozeszła się następnie urzędowo zaprzeczona pogłoska, że

panujący książe Liechtenstein ofiarował Papieżowi swój zamek; parę francuskich gazet, między innemi *Journal des Débats* święcie zaręczają, że w Watykanie wszystko już do drogi gotowe a nawiasowo, i choć nie bez łatwo zrozumiałej nieśmiałości, dają do poznania, że Leon XIII znaleśćby mógł we Francyi istotnie „bezpieczną i zaszczytną gościnność". Czy, z kim i jakie zawiązano już w tej mierze rokowania, o tem dziś wiedzieć niepodobna; to tylko zdaje się wątpliwości nieulegać, że „w razie potrzeby znajdzie się, jak zaręcza *Moniteur de Rome* w wyżej cytowanym artykule, „nie „jeden rząd i naród, który poczyta sobie za najwyższą chwałę oto„czyć swą opieką świętą arkę papiestwa, pewien iż przyniesie mu „szczęście, stanie się dlań obfitem źródłem ziemskich i niebieskich „błogosławieństw. Niema kraju, w którym Papież byłby cudzoziem„cem. Bezgraniczne przywiązanie wiernych jego dzieci towarzyszyć „mu będzie we wszystkich przygodach; wygnanie jego i nieszczę„ście wzbudzi tylko w sercach dobrych tych synów większą ofiar„ność, zapali czystsze, heroiczniejsze poświęcenie".

Jakby dla stwierdzenia tych słów, odzywają się i mnożą w najrozmaitszych krajach coraz głośniejsze protesty przeciw haniebnej niewoli, którą rząd włoski gotuje Papieżowi przez świeżo uchwalony kodeks karny. Biskupi angielscy we wspólnym adresie do Ojca św. nie mają dość energicznych wyrazów dla napiętnowania tego sekciarskiego dzieła:

„Co wolno katolikom rozsianym po całym świecie, w każdym „kraju wolnością się cieszącym, to w jednych Włoszech ma być „odtąd wzbronionem, a wzbronione zwłaszcza tym, których prawa „sromotnie zostały zgwałcone i zdeptane. Żyjąc w państwie, w któ„rem Kościół katolicki używa najzupełniejszej wolności, głęboko bo„lejemy i gorszymy się patrząc na niesprawiedliwość, z jaką święte „prawa głowy Kościoła zapoznane są i zgwałcone w prawdziwem „centrum i prawdziwej stolicy najwyższej jej władzy. Biskupi i ludy „katolickie do Stolicy św. po synowsku przywiązane, niemniej jak „zdrowa i wolna część opinii publicznej potępiła i potępia te „prawa. I my z naszej strony protestujemy przeciw nim wespół „z całym cywilizowanym światem i łącznie z wszystkimi katoli„kami oburzamy się i brzydzimy straszną tą niesprawiedliwością". Podobnie wyrażają się, również we wspólnym adresie do Papieża

biskupi holenderscy. „Prawa tego rodzaju, jak włoski kodeks karny, „pisze biskup ratysboński w liście pasterskim poświęconym wyłą„cznie kwestyi rzymskiej, otworzyć muszą oczy wszystkim chrze„ścijanom i przekonać ich, jak nieznośnem jest obecne położenie „Ojca św. w Rzymie, jak natarczywie domaga się ono radykalnej „zmiany. Można Papieża tytułować: Wasza Świętobliwość, można „mu oddawać honory winne panującym; wymowniejsze fakta prze„konują go, że jest panującym bez należącego do siebie terytо„ryum, bezwzględnie zależnym od dobrej woli swych wrogów". Silniej jeszcze wyraża się moguncki biskup Haffner w liście pasterskim, w którym skreśla swym dyecezanom smutne wrażenie odniesione z pielgrzymki do Rzymu, gdzie dziś „klasztory prze„mienione w koszary, umilkły modły zakonników; bezbożne szkoły „wznoszą się w tych samych miejscach, w których Papieże zało„żyli niegdyś katedry prawdy..., rząd niema siły do poskromie„nia rewolucyi, tembardziej że sam jej wszystko zawdzięcza". Z biskupimi tymi głosami złączyły się w ostatnich znów kilku tygodniach niemniej energiczne protesty katolickich wieców francuskich w Lille i Lugdunie; wiecu katolików badeńskich w Manheim; kongresu katolickich prawników francuskich zebranego w Rzymie. Jak włoskim liberałom w niesmak idą te protesty, tego oczywistym dowodem ich gniewy, przeplatane od czasu do czasu bardzo niezgrabnie udanem lekceważeniem. Tak np. jednego dnia słynny *Urbain de Châtillon* zapewnia uroczyście w *l'Italie*, że „nikt najmniejszej wagi nie przykłada do protestów biskupich i katolickich kongresów", a nazajutrz, owszem w tym samym numerze tenże sam dziennik, zazdroszcząc łatwych wawrzynów swym kolegom, rzuca się z furyą przeciw kongresom i biskupom, usiłuje podać w wątpliwość dobrą ich wiarę; poczem znowu nie waha się przedstawić cały ten wspaniały ruch katolicki jako sztuczną, w Watykanie ułożoną i wedle rozkazów wyszłych z Watykanu odgrywaną komedyę. Czemuż więc, pytają słusznie katolickie dzienniki, rząd włoski wystąpił z taką energią do walki przeciw tej „komedyi bez najmniejszego znaczenia"; czemu nie zadowolony tyrańskim k o d e k s e m k a r n y m wnosi jeszcze wprost przeciw Kościołowi wymierzone, a będące godnem uzupełnieniem kodeksu prawo: O b e z p i e c z e ń-

stwie publicznem; czy to wyprowadzenie w pole tylu nowych praw i kar tak srogich również jest tylko komedyą?

Zawiść rządu włoskiego przeciw papiestwu objawiła się nawet w przedsięwzięciu, które zdawałoby się, wszystkie cywlizowane ludy, nie myśląc o jakichbądź pobocznych względach, powinnyby popierać: w krucyacie przeciw niewolnictwu. Pierwszy Papież, jak otwarcie przyznaje *Koelnische Zeitung*, rzucił myśl zebrania się kongresu europejskich mocarstw dla ułożenia wspólnego planu działania przeciw strasznej tej pladze trapiącej ludzkość; Papieżowi też bezwątpienia przysługuje w pierwszym rzędzie zasługa podjęcia tej kwestyi; mocarstwa jednak zaprosić musiały nie Papieża, lecz króla belgijskiego do wzięcia w tej mierze urzędowej inicyatywy, gdyż, gdyby kongres odbyć się miał pod przewodnictwem Leona XIII, „Włochy odmówiłyby w nim swego udziału". Wymowne to oświadczenie, wymowniejsze jeszcze w świetle podłych artykułów, umieszczanych w dziennikach Crispiego, które od pierwszego wystąpienia afrykańskiego prymasa w kwestyi niewolnictwa aż po dziś dzień, starają sie wszelkimi sposobami przeszkodzić wielkiemu temu dziełu, dla tego jedynie, że w imię Boże, z błogosławieństwem Kościoła jest podjęte. *Riforma* nie cofnęła się przed rzuceniem osobistych obelg na kardynała; a urzędowemu temu dziennikowi godnie wtóruje, sadząc się na zwykłe sobie płaskie koncepta, *Capitan Fracassa*. „Działalność watykańskich księży, woła *Diritto*, nie „może mieć humanitarnych i cywilizacyjnych celów: biedni murzyni „zmieniliby tylko jednę niewolę na inną, na niewolę rozumów... „Niechaj sobie kardynał Lavigerie bębni i trąbi, wiele mu się po„doba, o zaprowadzeniu cywilizacyi w Afryce; Włochy propagują „innego rodzaju cywilizacyę, i nic wspólnego mieć nie chcą z wrze„komą cywilizacyą, propagowaną przez papieskich mnichów i po„pów na afrykańskim kontynencie". Oto nie do pozazdroszczenia sytuacya. Czyż to walczenie z papiestwem wtedy nawet i w tem, co tak oczywiście i wyłącznie dobro ludzkości ma na względzie, nie jest przekleństwem ciążącem i płynącem ze złego czynu; nie jest zasłużoną karą za głoszenie wrzekomo humanitarnych ideałów w przeciwstawieniu do chrześcijańskiej miłości i miłosierdzia?

Włoskie dzienniki weszły w niezaszczytne przymierze z Muzułmanami, którym cały ruch podjęty w tej chwili przeciw niewol-

nictwu również jest cierniem w oku. Tureccy misyonarze utrzymywani w Afryce z prywatnej kasy sułtańskiej głoszą jako pierwszy artykuł swej wiary, że nie sprzeciwia się ona bynajmniej sprzedaży niewolników; a artykuł ten przyczynia się nie mało do istotnie niepokojących postępów mahometanizmu w Afryce i w Azyi. Bardzo rozpowszechniony w muzułmańskim świecie dziennik *El-Kahira* zalecił, jako środek obronny przeciw krucyacie antiniewolniczej, pośpieszne formowanie nowych komitetów w Mece, które miałyby na celu gromadne wysyłanie misyonarzów mahometańskich na zagrożone stanowiska. Przeciwnie, liczni protestanci nie tają podziwu dla apostoła Afryki i energicznie dzieło jego popierają. W kilku niemieckich miastach odbyły się już, a w wielu innych mają się niebawem odbyć świetne wiece, na których katolicy z protestantami obradowali w przykładnej zgodzie nad najodpowiedniejszemi środkami do szybkiego wytępienia niewolnictwa, nie wątpiąc na chwilę, że rząd niemiecki sprawę tę gorąco weźmie do serca. Dla urzeczywistnienia tych życzeń złożył już Windthorst w imieniu *Centrum* odpowiedni wniosek w parlamencie. Pierwszy paragraf tego wniosku wyraża przekonanie, że, chcąc pozyskać Afrykę dla cywilizacyi chrześcijańskiej, należy przedewszystkiem zwalczyć niewolnictwo; drugi oświadcza, że parlament gotów jest poświęcić wszelką uwagę praktycznym propozycyom przedłożonym mu w tej mierze przez rządy skonfederowane; trzeci wreszcie domaga się, aby wszystkie interesowane mocarstwa zgodziły się za pośrednictwem rządu niemieckiego na użycie wspólnie obmyślanych środków dla pomyślnego przeprowadzenia tej chrześcijańskiej krucyaty. Książe Bismark, jak donosi *Koelnische Zeitung*, głośno miał się za tym wnioskiem oświadczyć; jeśli to prawda, a dokumenty świeżo w *Białej Księdze* ogłoszone przemawiają silnie za autentycznością tej wiadomości, w takim razie wątpić nie można, że parlament zasadniczych trudności stawiać nie będzie.

Niemieckim protestantom nie dają się wyprzedzić angielscy. W pierwszych dniach grudnia stowarzyszenie geograficzne w Manchester, złożone z samych niemal Anglikanów, zebrało się na uroczystą sesyę, na której wyłącznie zajmowano się wytępieniem niewolnictwa. W czasie tej sesyi prezydent odczytał list kardynała Lavigerie, który przepraszając, że sam osobiście mimo zaproszenia

przybyć nie może, wyrażał głęboką swą radość z coraz ogólniejszego zainteresowania się sprawą nieszczęśliwych murzynów. „I Papież, kończył kardynał swe pismo, uszczęśliwiony był, gdy mu opowiedziałem o Waszych zamiarach i staraniach i przesyła Wam swe błogosławieństwo dla pięknego tego, chrześcijańskiego dzieła". Huczne oklaski zgromadzonych przerywały kilkakrotnie czytanie tego listu; ostatnie zwłaszcza słowa wywołały prawdziwy entuzyazm, i natychmiast uchwalono jednomyślnie rezolucyę, wyrażającą Papieżowi podziękowanie za udzielone błogosławieństwo i inicyatywę w tej wielkiej sprawie, która całą ludzkość powinna jak najżywiej obchodzić. Kto przed niewielu jeszcze laty mógł się spodziewać w Anglii podobnej manifestacyi? Prawda, że Kościół katolicki zwolna wprawdzie, ale za to tem głębiej i bez przerwy zapuszcza tu swoje korzenie; że, co najważniejsza, znika z dnia na dzień coraz więcej niegdyś tak silnych, tradycyjnie przekazanych przesądów, przeciw Kościołowi. Niewielu dziś — nie mówiąc już o innych — anglikańskich biskupów, którzyby nie mieli krewnych, sióstr, braci, czasem nawet dzieci wyznających religię katolicką; a w niedawno temu ogłoszonym spisie konwertytów, spotykamy nazwiska kilku sióstr hr. Granville'a, trzech synowców Nelsona; szwagrów biskupa Oksfordzkiego i arcybiskupa Kanterburskiego, siostrzenicę Byrona i siostrzeńca Gladstona, który nadomiar przygotowuje się w tej chwili do otrzymania święceń kapłańskich. Jeżeli katolicyzm w tym samym kierunku, a z natury rzeczy z przyspieszoną szybkością i nadal w Anglii będzie się rozwijać, to kto wie, czy za niewiele lat w pewnym przynajmniej stopniu nie ziszczą się nadzieje tych, którzy dziś już prorokują, że przyszli angielscy królowie godnie odpowiedzą dawnemu swemu tytułowi: „obrońców wiary".

Nieraz już powiedziano o Rzeczypospolitej francuskiej, że przedstawia ona dzisiaj, jeśli nie chaos, to przynajmniej coś bardzo do chaosu zbliżonego; lecz w niczem może tyle sprzeczności i tak wyraźnie na jaw nie wychodzi, w niczem nie uderza tak dziwna nielogiczność i nie do wytłumaczenia chwiejność, jak w stosunku rządu do Kościoła. Kiedy w parlamencie jeden z członków skrajnej lewicy, niejaki Ferroul zażądał tradycyjnym zwyczajem zniesienia ambasady przy Watykanie, wtedy minister Goblet silnie temu się oparł, powołując się na istniejący po dziś dzień konkor-

dat, i interesa Francyi na Wschodzie. Słuchając słów dzisiejszego ministra spraw zewnętrznych, mimowoli nasuwa się czasami zapytanie, czy to ten sam czerwony Goblet, co tak niedawno jeszcze temu, póki nie zasiadł w ministeryalnym fotelu, przemawiał zupełnie odmiennie dla zyskania zbyt łatwej popularności; nasuwa się nie bezpodstawne pytanie, czy i Ferroul, dostawszy kiedy igraszką losu ministeryalną tekę, nie będzie powtarzał rzeczywiście silnych argumentów, których żadnemu rządowi, nawet ze skrajnych radykałów złożonemu, zapoznawać nie wolno.

Nikt tutaj, mówił Goblet, nie zaprzecza, że wielkiej dla nas wagi jest zostający w naszych rękach protektorat religijny na Wschodzie. Protektorat ten, jak Panowie dobrze wiecie, dozwala nam starać się o rozszerzenie naszego języka przez szkoły, które niemal wszystkie zostają w rękach zakonnych kongregacyj.

Głos z lewicy. Nie wszystkie!

Goblet. Niemal wszystkie. Wiem wprawdzie i o paru innych, i równą otaczamy je opieką; ale niemniej zaprzeczyć się nie da, że w krajach tych, w których wszystkie prawie sprawy i interesa łączą się ściśle z religią, wykonywany przez nas protektorat jest jedną z najgłówniejszych przyczyn naszego wpływu, a zarazem pełną chwały tradycyą naszej ojczyzny. Nie jest też wam zapewne nieznanem, jak bardzo rywalizujące z nami mocarstwa radeby nam protektorat ten odebrać.

Głos z prawicy. Prawda!

Goblet. I że w tej, brzemiennej w następstwa walce, którą staczać musimy, mamy za sobą najpotężniejszą powagę, powagę Papieża który tego roku dał nam bardzo cenne dowody swej przyjaźni. Sądzę, że nie odpowiednia to chwila do wyrządzenia obrazy tak pożytecznemu sprzymierzeńcowi. Pamiętam doskonale, że niektórzy z naszych kolegów, nie żądając absolutnie zniesienia tego kredytu, zadowolniliby się — jak nieraz to nam doradzał czcigodny Madier de Montjau — jego zmniejszeniem, które ambasadę naszą przemieniłoby w prostą legacyę. Bezwątpienia, legacya byle zajęta przez odpowiednią osobistość, mogłaby należycie odpowiedzieć potrzebom naszej dyplomacyi przy Stolicy św.; ale dzisiejsza chwila nad wyraz byłaby niestósowną do przeprowadzenia tej zmiany. W dzisiejszem położeniu, o którem przed chwilą mówiłem, w położeniu mrocznem i niepewnem, w którem żyje Europa, — i Papież niejedną gorycz ma do zniesienia. Czyż naszą rzeczą cierpienia jego powiększać? Im mniej Papież rozporządzać dziś może siłą i potęgą materyalną, która tak wielką rolę w świecie odgrywa, tem bardziej Rzeczpospolita francuska winna, jak mi się zdaje, własnemu swemu honorowi, aby w niczem nie okazywać mniejszej czci wysokiej powadze moralnej, którą Papież przedstawia.

Ostatnie słowa przerywano licznymi wykrzyknikami na cześć „wspaniałomyślnych Włoch, idących drogą postępu i wolności; na hańbę potęgom, co już dawno się przeżyły i nie mają prawa do

istnienia". „Niech wiedzą w Rzymie, wołał poseł Guillot, że istnieje Francya, która jest wrogiem papiestwa; że my republikanie jesteśmy nie tylko nieprzyjaciółmi władzy doczesnej, ale i władzy duchownej, tego odwiecznego wroga wolności, z którym traktujecie jak równy z równym; że nie jesteśmy tutaj, aby płakać i lamentować z Ojcem św. na barłogu świń watykańskich!". Obelgi te, gorzej niż uliczne, nie pomogły, i kredyt na ambasadę watykańską utrzymany został 307 głosami przeciw 217. Czemuż więcej głosów nie oświadczyło się przeciw wnioskowi Ferroul'a? — pytają oportuniści, a na ich czele *République Française*. „Bo szanowny minister, odpowiada ta gazeta, a znaczące to i ciekawe na jej szpaltach wyznanie, strasznie niezgrabnie wziął się do rzeczy. Powiedział, że „wedle jego zdania, będzie można dziś lub jutro ambasadę przemienić w legacyę, co znaczy, mówiąc zrozumianym dla wszystkich „językiem, że będzie można usunąć się w Watykanie z pierwszorzędnego stanowiska, któremu głównie zawdzięczamy tam naszą „siłę. Istotnie, raz wreszcie zrozumieć należy, że wpływ, jaki dziś „jeszcze mamy u Stolicy św., płynie z dawnej naszej, naczelnej po„zycyi w świecie katolickim, z naszych praw i odwiecznych przy„wilejów. Przekształcić ambasadę watykańską w legacyę znaczy„łoby to zadać cios śmiertelny korzyściom i zdobyczom, pracą „i zasługami wielu wieków wywalczonym".

Katolicy, nawiązując uwagi swe do słów Gobleta, inne, nie mniej prawdziwe, bardziej jeszcze niezaprzeczalną słusznością bijące w oczy czynią uwagi. „Minister spraw zagranicznych, pisze *Défense*, „zapytał, czy nam to przystoi powiększać cierpienia Papieża? Py„tanie to przynosi mu zaszczyt, ale gdyby p. Goblet zechciał nad „słowami swemi głębiej się zastanowić, zrozumiałby, że zawierają „one cały, a daleko sięgający program na przyszłość. Wszak cier„pienia Papieża nie wypływają tylko z europejskich zamieszek „i z niegodziwości pewnych państw; biorą one źródło w bardzo „znacznej części z prześladowania, które za podnietą rządu sroży „się w naszym kraju przeciw Kościołowi i katolikom". Prześladowanie to niestety! jakby na urągowisko oświadczeniom Gobleta i raz po raz powtarzanym zaręczeniom, że we Francyi dla wszystkich i pod każdym względem idealna wolność panuje, bynajmniej nie słabnie, lecz raczej w sile się wzmaga. *Baudry d'Asson* przy-

wiódł w parlamencie cały szereg faktów, dowodzących niesłychanej presyi, jaką wyżsi urzędnicy rzeczypospolitej wywierają na swych podwładnych, aby zmusić ich do umieszczenia swych dzieci w szkołach zlaicyzowanych. *De Lamarzelle* poddał zasłużonej krytyce ohydną gramatykę, ułożoną przez komunistę *Dacosta*, za którą tenże, nie rachując już dalszych księgarskich zysków, otrzymał od państwa 60.000 fr. Gramatyka ta, zupełnie nielegalnie do wszystkich szkół rządowych wprowadzona, na to jest obrachowaną, aby nauczyć dzieci nie języka, lecz w umysły ich wszczepić rewolucyjne, ateistyczne i materyalistyczne zasady. Smutniejszy jeszcze fakt przytoczył *Cassagnac*: z dowodami w ręku opowiadał on izbie, że między książkami, przeznaczonemi w szkołach rządowych na nagrody dla dwunastoletnich chłopców, figuruje wybór z dzieł Diderota, zawierający tak niemoralne, skandaliczne ustępy, że ani minister, ani żaden z członków najskrajniejszej lewicy nie podjąłby się odczytać przed parlamentem choćby trzech stronnic tych bezeceństw. Oto, zakończył ironicznie *Cassagnac*, co rząd, wypędziwszy ze szkół Boga, katechizm, zakonników, na ich miejsce wprowadza. Fakt to tak smutny, że sam minister Lockroy nie próbował ukryć oburzenia, tą jedynie wymówką się zasłaniając, że z jednego, czy z paru choć najskandaliczniejszych wypadków, nie wolno jeszcze wydać wyroku potępienia przeciw całej instytucyi szkół świeckich. A dlaczegóż, odpowiedziano mu, potępiliście zakony i szkoły przez nie prowadzone — czy właśnie nie na podstawie paru, nigdy w dodatku nie stwierdzonych faktów? Na to minister nie dał i dać nie mógł odpowiedzi, chyba że za uboczną odpowiedź służyć miało wypędzenie zakonników z pięciu szpitalów, w których dotychczas dozwalano im jeszcze z wielkiej łaski pielęgnować chorych.

Bardzo ważnym i charakterystycznym, ze względu na dzisiejsze stosunki w Hiszpanii, jest świeżo przez biskupa madryckiego *Sancha y Hervas*, ogłoszony dekret, zakazujący surowo duchowieństwu dyecezyi madryckiej brania czynnego udziału w politycznych agitacyach i walkach. Kto wie, z jakiem roznamiętnieniem walki te w Hiszpanii od wielu lat się toczą, jak „osłabiają działalność katolików i energię w obronie fundamentalnych interesów religii i ojczyzny“, ten zrozumie konieczność tego zakazu, który zresztą jest tylko wymownem powtórzeniem instrukcyi, udzielonej bisku-

pom przez nuncyaturę madrycką w kwietniu 1883. Za przykładem danym przez biskupa madryckiego, poszli już biskupi z Grenady i Santiago, tłumacząc swemu duchowieństwu, że obowiązkiem każdego dobrego księdza jest „stanąć jak najdalej od ostrych tych walk, w pośród których miłość ziębnie, a pycha się nadyma; że obowiązkiem naszym jest stać się wszystkiem dla wszystkich, aby dusze dla Boga zyskiwać".

Ks. Jan Badeni.

Walne zebranie episkopatu anglikańskiego (2—28 lipca 1888).

Dziwne sprzeczności cechują naszą epokę: pozornie materyalizm zgłuszył wyższe dusz aspiracye, racyonalizm odrzucił chrześcijańskie prawdy. A tymczasem kwestye religijne bardziej niż kiedykolwiek występują naprzód, narzucają się zarówno politykom i przyrodnikom jak filozofom, owszem, pewien spotęgowany ruch religijny coraz wyraźniej się znaczy, jakaś tęsknota za jednością uwydatnia się w duszach i narodach, słowem, mimo smutków i rozstroju chwili obecnej, baczniejsze oko dopatrzyć się umie nie jednego pocieszającego objawu, nie jednego zadatku lepszej a bliskiej przyszłości.

Pod tym względem Anglia na osobną zasługuje uwagę: dziwne zaiste dzieją się tam rzeczy. Powiew Ducha Bożego powoli pcha zbłąkaną nawę ku odbieżonym niegdyś wybrzeżom. Darmo się starsi załogi bronią, darmo próbują zapuszczać kotwicę i utrzymać ster okrętu. Skryte prądy przybliżają go coraz bardziej do portu jedności, bądź pojedyńczemi a wpływowemi nawróceniami, bądź też ogólną niemal tęsknotą do dawnego ojców dziedzictwa. Wiele bowiem dusz, nie zaspokojonych chłodem anglikanizmu, powoli sięga po zaniechane praktyki, po zaprzeczone prawdy, i cegiełką po cegiełce odbudowują w sobie gmach wiary, nie różniący się niemal w niczem od tej, którą ich przodkowie odbiegli, a której dziś brak już tylko skłonienia hardych skroni przed namiestnikiem Chrystusowym, aby całkiem katolicką odzyskać jedność. Wystarczy

tu przypomnieć nieustające postępy rytualizmu, o tyle niebezpieczne, że dając wystarczające zaspokojenie duszom, nie wiodą już ich dalej w progi prawdziwego Kościoła. Rozpowszechnia się praktyka spowiedzi, dym kadzidła po dawnemu w wystudzonych podnosi się świątyniach, symbol wiary, jarzące światła zdobiące ołtarze, na nowo zabłysły. Żądza artystyczna wrócenia dawnym pomnikom pierwotnej ich krasy idzie tu w parze z wewnętrznym dusz popędem. Kapituła londyńskiej katedry św. Pawła wydała świeżo milionową sumę na wystawienie wspaniałego *recedo*, czyli szafy ołtarzowej, w której znalazło się miejsce i dla krucyfiksu, i dla posągu Najświętszej Panny! Ustały dawne wycieczki przeciw mnichom, do niedawna tak modne. Owszem, przeglądy i dzienniki gorąco się upominają za podjęciem dawnego cenobitów obyczaju. „Gdziekolwiek spróbowano wspólności życia, nigdzie nie doznano zawodu", pisze organ p. Gladston'a, *Nineteenth Century*, zdając sprawę z rozwoju iście zakonnego stowarzyszenia t. zw. *Cowley Fathers*, których główny dom a raczej n o w i c y a t znajduje się w Oxfordzie, i skąd wychodzą misyonarze dla apostołowania Indyi. A więc nie tylko już żeńskie, miłosierne na łonie anglikanizmu związki, ale i męskie zakony się tam ukształcają na dawną modłę. Dzieło rekonstrukcyi duchowej tak spiesznie postępuje, że niekiedy wszystko i wszystkich porywa w swym zwycięskim prądzie. Oczywiście, ten ruch musi dosięgnąć i podwalin ustanowionego, państwowego kościoła. To też na jego łonie raz po raz nieznane, niepraktykowane budzą się objawy, a do tych należy niewątpliwie peryodyczne zwoływanie soborów biskupich, które już po raz trzeci w bieżącem nastąpiło wieku.

Pierwsza próba tego rodzaju miała miejsce w roku 1867, naśladownictwem zjazdów biskupów katolickich w Rzymie, które za panowania Piusa IX-go do tak wielkich doszły rozmiarów. Druga w 1878 roku, trzecia zaś w bieżącym roku zdają się stwierdzać ustaloną już praktykę zbierania się episkopatu anglikańskiego co lat dziesięć. Oczywiście, w obec ustroju państwowo-kościelnego Anglii, nie wypadało tym zebraniom dawać miano soborów, nuż bowiem supremacya królewska była swe dawne a nieporuszone przypomniała prawa, wkraczając w rozprawy, wnioski i postanowienia zależnych od głowy państwa biskupów! Nadano więc

zgromadzeniu skromną nazwę konferencyi, i to konferencyi z Lambeth, żeby im nie przyznać żadnego dyecezalnego tytułu. Lambeth oznacza część stolicy, w której wznosi się rezydencya arcybiskupów z Kantorbery, ilekroć bawią w Londynie. Stary ten gmach kąpie się w Tamizie, opodal Westminsterskiego pałacu ciał prawodawczych. W kaplicy naprzemian i w bibliotece tegoż *Lambeth palace* odbywały się tedy konferencye biskupie, które jednak dopiero w tym roku nabrały donioślejszego znaczenia. Dwa poprzednie zjazdy mało były uczęszczane, i nie pozostawiły po sobie innego śladu, okrom kilku oklepanych ostrzeżeń przeciw *Maryolatryi*, jak protestanci nazywać zwykli katolickie do Najświętszej Panny nabożeństwo. Dopiero w obecnym roku zjazd przybrał osobne znaczenie liczebne, i nie gniewał się bynajmniej, gdy głos publiczny nadał skromnym konferencyom poważniejszy tytuł *Pan-Anglikańskiego Synodu.* Oczywiście, trudno się zgodzić na to doniosłe miano tam, gdzie postanowienia biskupów nie posiadają żadnej zobowiązującej powagi. Nie dziw jednak, iż publiczność angielska rada upatrywała wznowienie soborów pierwotnego Kościoła w zgromadzeniu liczącem do 145 uczestników z najrozmaitszych części angielskiego świata. Liczono na 209, i tyluż dostojników anglikańskiego kościoła otrzymało zaproszenia. Szczupła zatem tylko liczba nie potrafiła stanąć w Londynie na całomiesięczne lipcowe obrady, ci zaś, którzy przybyli, dzielili się jak następuje: 46 dostarczyła Anglia, 11 Irlandya, 6 Szkokya, 29 Stany Zjednoczone, 12 Kanada i kraje sąsiednie, 12 też Indye, 4 Australia, 4 Zulusów kraina, 6 południowa Afryka, 14 zaś inne kraje jak Chiny, Japonia, Kaledonia, Środkowa Afryka. Znalazł się nawet jeden biskup Murzyn. Wyliczenie to dowodzi, jak olbrzymie dzierżawy świata wrócićby mogły do jedności, gdyby się anglikanizm zdobył na krok zwrotny a stanowczy. Tu zaś nawiasowo przypomnąć należy, iż ten poważny zastęp przedstawiał względnie szczupłą tylko cząstkę angielskiego świata, zważywszy na ilość katolickich poddanych królowej i na 170 sekt dyssydenckich, które oczywiście nie uczestniczyły w zborze czysto anglikańskim.

Tych 145 biskupów przedstawiało zatem ledwo połowę ludności mówiącej po angielsku, pasterzując wyłącznie owieczkom, które się nie wyłamały z pod jarzma państwowej religii. Zgromadzenie

tegoroczne skupiło w Lambeth zastęp ludzi niezwykłej miary. Trudno odmówić klerowi anglikańskiemu wielkiej zacności charakteru i nadzwyczajnego wykształcenia. Pod względem umysłowym kasta to prawdziwie wybrana, nie dziw tedy, że zebranie biskupów z samych niemal wyborowych urosło żywiołów. Nie jedno nazwisko z pośród nich międzynarodową zdobyło sobie sławę uczonością i kulturą, przechodzącą poziom rówieśników. Bardzo tedy poważnie wyglądałby był ów synod, gdyby nie jedna fałszywa nóta, dająca przymieszkę śmieszności kościelnemu zebraniu. Episkopat anglikański jest jedynym na świecie, który nie wymaga bezżeństwa. Wschodnie Kościoły nie pozwalają na małżeństwo swych biskupów i żądają po nich celibatu. Tymczasem uczestnicy synodu w Lambeth przywieźli z sobą żony i córki, które dopominały się żwawo osobnych względów u publiczności londyńskiej, i dość głośno po gazetach szerzyły swe pretensye do właściwych jakichś przywilejów i przynależnego uznania. Stąd swary i spory podrzędnej natury, które prasa z lubością podjęła, a które niezawodnie zaszkodziły powadze zebrania skądinąd wielce doniosłego.

Powiew katolicki, przebiegający obecnie całą Anglię, bezwiednie ogarnął i synod ostatni, przynajmniej pod względem zewnętrznej formy i porządku. Ustępuje powoli zeświecczenie anglikańskiego kościoła. Zebranie biskupów w bieżącym roku zaznaczonem zostało właściwym religijnym nastrojem i uroczystością. Zagajono je 30 czerwca w katedrze kantorberyjskiej, a prymas Anglii z krzesła pierwszego jej apostoła, mnicha Augusta, pozdrowił przybywających z kończyn ziemi braci; 2 lipca odbyło się wieczorne w Westminsterze nabożeństwo, nazajutrz zaś wszyscy uczestnicy synodu rozpoczęli obrady od uczty Pańskiej. Konferencya trwała z małemi przerwami przez cały nieledwie miesiąc, aż do 28 lipca. Przeważnie owe narady zachowały cechę poufną, i nie wiele z niej odgłosów przeszło w dziedzinę publicystyki. Nie otrzymaliśmy wtedy właściwego przebiegu poszczególnych sesyj, ale i tak plon jest dość obfity a bardzo ciekawy, zasadzając się głównie na encyklice podpisanej przez cały episkopat anglikanski, na sprawozdaniach poszczególnych sekcyj, oraz na rezolucyach powziętych wspólnie przez dostojne zgromadzenie.

Wiemy, iż synod rozdzielił się na dwanaście sekcyj czyli ko-

mitetów, obradującycych o wskazanym sobie a osobnym przedmiocie. Oto kwestye podane do opracowania i roztrząsania: pijaństwo, czystość obyczajów, rozwody, wielożeństwo, święcenie niedzieli, socyalizm, emigracya, wzajemne stosunki kościołów anglikańskich, zlanie się Anglików z dyssydentami, połączenie ich z starokatolikami i Szwedami, stosunek do wschodnich kościołów, formularze odnośne do kultu i wiary. Do tych dwunastu komitetów przydano i trzynasty, którego wyłącznem zadaniem było dostarczanie tamtym potrzebnych wiadomości i dokumentów. Niepodobna nam zdawać sprawy z raportów tych pojedyńczych sekcyj, co by nas zaprowadziło zbyt daleko po za ramy zakreślone naszemu poglądowi na religijną ewolucyę Anglii. Uderza wszelako w tytułowych zajęciach dwunastu komitetów wypuszczenie kwestyi szkolnej, która dziś tak samo w Anglii jak w innych krajach pierwszorzędne ma znaczenie i doniosłość.

We wszystkich postanowieniach i odezwach biskupiego synodu uderza przedewszystkiem pewna ogólnikowa mętność i zupełny brak doktryny. Właściwość to anglikanizmu; artykuł wiary w trzydziestu dziewięciu określeniach zawarte, wspólna książka do nabożeństwa, t. zw. *Common prayer-book*, katechizm i cała nauka w ten sposób są tam sformułowane, iż każdy je sobie dowolnie naciągać, tłumaczyć i zastósować może. Nie dziw też jeśli pod osłoną tak elastycznej doktryny najskrajniejsze religijne pojęcia znaleść się obok siebie mogą, począwszy od zupełnego racyonalizmu niemal aż do czystego katolicyzmu. Tu zaś nie będzie od rzeczy wytłumaczyć niektóre wyrażenia, oznaczające główne dziś w anglikańskim kościele kierunki. Tak zw. *Broad church*, czyli Kościół szeroki, jest po prostu racyonalizmem powleczonym cienkim pokostem chrześcijaństwa. Rytualizm, jak wiadomo, dochodzi do bram katolickiego Kościoła; *Sow Church*, czyli niski Kościół, obejmuje istotne, przekonane a fanatyczne i zawistne stronnictwo protestanckie. *High Church* zaś, czyli wysoki Kościół, pośrednie zajmuje stanowisko między rytualizmem a niskim Kościołem.

I to wszystko składa się pozornie w jeden anglikański Kościół, który czując dobrze swą niemoc doktrynalną, coraz bardziej odbiega dziedzinę nauki wiary, aby przygodniejszą swemu ustrojowi uprawiać niwę dobroczynnych przedsiębiorstw. Podczas ostatnich

konferencyj unikano też starannie kwestyi artykułów wiary i katechizmowych pewników, jakby z obawy wywołania niepotrzebnych trudności i dyskusyj, kiedy zgromadzenie miało przedewszystkiem na celu pokój, zgodę i jedność w najszerszem tego słowa znaczeniu. Ktoby się tego spodziewał? pisarz na wskróś katolicki, jeśli powiedzieć można, skrajniejszy w swych wnioskach i zasadach od samegoż Papieża, hrabia de Maistre, zabił klina w anglikanizm zdaniem, które dziś bodaj wyrosło na hasło. W swojej książce *du Pape*, myśliciel sabaudzki w przyszłości widzi Kościół anglikański pośredniczącym między Rzymem a oderwanemi przez reformacyę plemionami. Rolę tę pośrednika jedności anglikanizm zaczyna brać na seryo, ale dotąd nie zupełnie, tak jak to hrabia de Maistre prorokował. Ostatnie konferencye w Lambeth, encyklika episkopatu i prace synodalne tchną stale żądzą zbliżenia się i pojednania, z jednym atoli wyjątkiem. Stwierdzając ogólną dziś chęć jedności, biskupi angielscy podali rękę staro-katolikom, wysłali gońce zjednoczenia do jansenistów holenderskich i braci morawskich, do Szwecyi i Danii, zawiązali bratnie stosunki z prawosławiem w Rosyi, z greckim, chaldejskim, syryjskim, ormiańskim Kościołem, każdemu przekładając możliwość zlania się z sobą. Posunięto się dalej nawet: znalazł się biskup, który dla pozyskania dysydentów żądał uznania prawomocności ich hierarchii i święceń kapłańskich, co oczywiście mogłoby sprowadzić pewną jedność na łonie protestantyzmu, ale kosztem podwalin samegoż anglikanizmu, zaprzeczającego dotąd sektom udziału w Bożem pochodzeniu i misyi Kościoła. Posunięto się tedy do ostatnich granic ustępstw, kompromisów i możliwych układów, z jednym atoli wyjątkiem, a wyjątek ten wystarczał, aby udaremnić wszystkie tamte usiłowania i kroki. Główne czasopismo kościelne, *Church Times*, dobrze uczuło ów niedostatek skazujący na jałowość wszelkie mniemane dążenia do jedności: „Sprawozdanie konferencyi dotyczące połączenia wszystkich chrześcijańskich Kościołów okazało się całkiem negatywnem w głównem właśnie punkcie. Jakże bowiem mówić o jedności Kościołów, wyłączając najpotężniejszego z pośród nich? w tych warunkach, czczy to zaledwie frazes. Kto mówi o jedności Kościoła z pominięciem Rzymu, postępuje zupełnie tak samo, jak gdyby mówił o zjednoczeniu Wielkiej Brytanii z opuszczeniem Anglii“.

Cała bodaj prasa angielska oceniła w podobny sposób czczość projektów jedności, dopóki Rzym zostanie wyłączonym z rozpoczętych w tym kierunku kroków. Znalazły się nawet głosy nawołujące do spróbowania porozumienia, do udania się z zaufaniem do Papieża dla zawiązania przedwstępnych układów, a zwłaszcza do brania w rachubę katolicyzmu, ilekroć o połączeniu i zjednoczeniu będzie mowa. Jeden z najznakomitszych członków dzisiejszego episkopatu anglikańskiego, biskup z Salisbury Dr. Wardsworth, autor cenionych prac egzegetycznych, za powrotem z synodu do własnej katedry nie wahał się w niedzielnym kazaniu z 12 sierpnia następne wygłosić zdanie: „Ubolewam tylko, iż nasza konferencya nie odezwała się z większem zaufaniem do rzymskich katolików Anglii. Zapewne, nie możemy się łudzić, aby nas oni przyjęli *in corpore*, ale sądzę, iż gdybyśmy im wykazali nasze prawa do ogólnego dziedzictwa Kościoła Bożego, gdybyśmy się do nich zwrócili z zaufaniem, szczerością, prawością i prawdą, tego samego się od nich nawzajem spodziewając, wywarlibyśmy trwałe wrażenie na pojedynczych członków, jeśli nie na całość rzymskiego Kościoła". Wszyscy czują, iż prędzej czy później przyjdzie się na taki krok odważyć. Dzienniki pytają czemu, skoro tylu pomniejszym wyznaniom podano już rękę do zgody, nie wyciągnięto jej dotąd ku Rzymowi, nie przedłożono rzymskiemu biskupowi punktów możliwego zjednoczenia i miru?

Wszelako episkopat anglikański nie uznał dotychczas trwającej konieczności owego zwrotu. Owszem, w swej encyklice zaznaczył nawet z pewną goryczą rzekomą niemożliwość bliskiego porozumienia. W ustępie dotyczącym wschodnich Kościołów wspomniano, iż nie masz u nich owych rdzennych przeszkód, które rozłączają anglikanów od łacinników „bądź z powodu nieomylności Papieża, bądź dla dogmatu Niepokalanego Poczęcia, bądź nareszcie dla innych artykułów wiary, soborami zatwierdzonych". Dalej zaś znalazła się nawet podstępna insynuacya, obca zaiste i przeciwna duchowi pojednania i zamiarom zgody: „Kościół rzymski zawsze gnębił swe wschodnie siostrzyce, a dziś swoimi biskupami starodawne obsadza dyecezye i rozwija czynny prozelityzm. Kościół wschodni musi odczuwać podobne obelgi, zaczem nam anglikanom nie wypada w takowe popaść błędy". Da-

wna ślepa zawiść prześwieca w dokumencie na pozór pojednawczym. Lepiej nam się podoba raport sekcyjny, opiewający, „iż w obecnych okolicznościach daremnem byłoby roztrząsanie kwestyi połączenia się z rzymskimi współbraćmi, ale iż stąd prawdziwego doznano żalu". Żal ten może zadatkiem dalszego przybliżenia się do pożądanej jedności. Nigdy bowiem dotąd nie sformułowano go tak publicznie. Za dziesięć lat nowa w Lambeth konferencya gotowa wysłać propozycye do Rzymu i zgotować uogólniony powrót do wiary ojców i katolickiej jedności, skoro już dziś głośno ubolewa nad niemożnością wzajemnego zbliżenia i porozumienia. Brak jedności na własnem łonie, rozdartem nie tylko sektami, lecz obecnie i oskarżaniami się wzajemnemi i procesami o drobne zmiany liturgiczne, bardziej jeszcze niż doktrynalne, wskaże im jedyną drogę pokoju i prawdy. W każdym razie, owe aspiracye do pojednania, do harmonii, do jedności, które były cechą ostatniego zgromadzenia episkopatu w Lambeth, stanowią epokę w dziejach angielskiego sektaryanizmu, jak to słusznie uważa *Times*.

Zastanowiliśmy się nad samąż istotą biskupich konferencyj, które skutkiem prądów czasu, zdradzały tu i ówdzie daleko bardziej katolicki charakter, aniżeli się tego samiż uczestnicy ich domyślali. Wspomnijmy między innymi rzewny wniosek o ustanowienie osobnego w roku dnia modlitwy, dla uproszenia jedności chrześcijańskiej wśród poszczególnych wyznań i Kościołów. Istnieją już dwa związki, których usiłowania, modły i dobre uczynki innego nie mają celu, a liczą w swem łonie i katolickich członków.

Oczywiście, zjazd tak liczny nie mógł zamknąć się ściśle w obrębie murów Lambeth Palace. Zebranie biskupów promieniało i objawiało się na zewnątrz, bądź kazaniami w główniejszych świątyniach stolicy, bądź odwiedzinami sławniejszych wszechnic, które niektórych z nich doktorskim odznaczały stopniem. Nie brakło i mityngów, i zebrań poszczególnych towarzystw, zapraszających biskupów z konferencyami o krainach i plemionach, którym pasterzują. Tym sposobem urosła niemal historya misyj zagranicznych i apostolstwa anglikańskiego, żywem opowiedziana słowem, a ciekawsza pod względem etnograficznym aniżeli religijnym. Wiadomo bowiem, iż misyonarze angielscy jednocześnie rozszerzać usiłują chrześcijaństwo i handel ojczysty, do biblii dołączając zbyt często

sztuki perkalików angielskich, co odejmuje ich posłannictwu nadprzyrodzone i bezinteresowne cechy, i zbyt często nawet szlachetne wyjaławia usiłowania.

Streściliśmy w krótkich słowach dzieje ostatniego zebrania anglikańskiego episkopatu, ponieważ stanowi ono niewątpliwie wymowny znak czasu, i ciekawem jest tętnem epoki bogatej w dziwne i sprzeczne wrażenia. Anglia niezwykłą drogą powraca do jedności, bywają chwile zastoju a nawet cofania się wstecz pozornie, postęp jednak stopniowy, uciszeniem dawnych namiętności i potrzebą miru dodatnio się znaczy. Pisząc niniejsze sprawozdanie z lipcowych konferencyj w październiku, miesiącu różańcowym, nasuwa nam się myśl błoga, iż podnoszące się z całego katolickiego świata modlitwy przyspieszą ową jedność pożądaną daleko bardziej, aniżeli narady najświatlejszych mężów, i że nie darmo częściej w onych dniach powtarzamy ową najpiękniejszą prośbę z Modlitwy Pańskiej: Przyjdź królestwo Twoje!

M.

Rytuał Koptów Monofizytów.

Pan A. M. Keiley nadesłał do *New York Freeman's Journal* nader zajmujący artykuł, w którym opisuje rytuał i służbę Bożą u Koptów Monofizytów i wykazuje, iż jedno i drugie może służyć za niezbite, wiarogodne świadectwo Kościołowi świętemu. „Musi to napełnić zdziwieniem — pisze ten autor — każdego, kto tylko zwiedził Egipt, iż uczeni i badacze tak mało zwracają uwagi na historyę, zabytki starożytności i rytuał starego Kościoła Koptyckiego. Kościół ten założony przez św. Marka, różni się w wielu względach w zasadniczych swych naukach od katolickiego; i chociaż oderwał się był od jedności z Rzymem i potępiony od niego jako heretycki, to jednak przechował wiernie, z ową charakterystyczną wytrwałością wschodnią, wszelkie obrządki i ceremonie używane w pierwszych początkach chrześcijaństwa. Przedstawia on wybitny, jedyny może przykład owego odmiennego rytuału chrześcijańskiego, który możnaby nazwać obrządkiem hebrajskim, gdyż, pomimo iż

w ceremoniach swoich i wielu obrzędach kościół koptycki jest chrześcijańskim, w ceremoniale jego jednak przebija się wyraźnie wpływ dawnych obrzędów żydowskich. Koptowie przejęli od żydów obrzezanie, tak jak pierwsi chrześcijanie nawróceni z żydów w pierwszym wieku po Chr. Nie spożywają również wieprzowiny, jak żydzi. Zdejmują zawsze obówie w kościele, nigdy zaś kapeluszy, zawojów lub turbanów. Śpiewy w czasie ich nabożeństwa są nadzwyczaj piękne, zupełnie podobne do śpiewów, które się utrzymały do dziś dnia w prawowiernych synagogach. Szaty ich księży są wyraźnie zapożyczone od żydów; a w ceremoniach nabożeństwa i w urządzeniu wewnętrznem swych kościołów zatrzymali wiele rzeczy, które żywo przypominają synagogę.

Dzisiaj mamy niedzielę, 17 lipca 1887 roku, według zaś kalendarza koptyckiego jest dzisiaj 11 Abib 1603 rok — jestto w razie potrzeby jeden z niezbitych dowodów, świadczących o starożytności kościoła koptyckiego, ponieważ rachuba ta dowodzi, iż owo oderwanie się od Rzymu musiało nastąpić jeszcze przedtem, nim rok Narodzenia Jezusa Chrystusa został przyjęty za punkt zasadniczy nowej chrześcijańskiej rachuby czasu. Pierwszym dniem ery koptyckiej był 17 wrzesień 284 roku, będący datą wstąpienia na tron cesarza Dyoklecyana.

Tak więc starożytny ten Kościół, założony w czasach apostolskich, który się oderwał od Rzymu tak wcześnie i uczynił się niezależnym od niego, może w razie potrzeby złożyć niczem niezbite, wiarogodne świadectwo Kościołowi katolickiemu, zwłaszcza gdy idzie o odparcie czynionych mu zarzutów i rozstrzygnięcie kwestyj spornych, tyczących samejże wiary św. lub też obrzędów religijnych.

1. Kościół koptycki uznaje, co jest wielkiej doniosłości, siedm sakramentów i zawsze je uznawał.

2. Wymaga bezwarunkowo, by wyznawcy jego odbyli Spowiedź św. zanim przystąpią do Komunii św.

3. Laicy (świeckie osoby) przyjmują komunią św. tylko pod jedną postacią.

4. Nietylko wymaga ołtarza w celu oddania Bogu publicznej czci i nabożeństwa, ale jestem przekonany, że koptycki wyraz służący do oznaczenia ołtarza, znaczy tyle co: miejsce ofiary.

Wyraz ten m a d b a h wzięty z arabskiego, którego Koptowie używają i teraz jeszcze, powstał ze źródłosłowa oznaczającego: z a b i ć. Koptowie tak skrupulatnie przechowują to pojęcie, że nigdy nie wyrażają się, mówiąc o swym ołtarzu, jak to czynią pisarze katoliccy: *sancta mensa*. Nigdy nie uważają go za „stół".

5. Święcą wodę służącą do Chrztu św, okadzają ołtarze; używają krzyżma przy Chrzcie św.; żegnają się znakiem krzyża świętego przy rozpoczęciu Mszy św.; zadają pokutę za grzechy po odbyciu Spowiedzi; przystępują na czczo do Komunii św.; zachowują post w środy i piątki; oddają cześć relikwiom; modlą się przed obrazami świętych Pańskich; używają akolitów (kleryków) przy odprawianiu mszy św. i innych obrzędach kościelnych; obchodzą ważniejsze posty, święta i uroczystości, które obchodzi Kościół katolicki; wymagają, by księża odprawiali na czczo Mszę św.; słowem, pod wieloma względami składają wymowne świadectwo Kościołowi katolickiemu, od którego się oderwali, stwierdzając starożytność jego obrzędów od czasów apostolskich, i tym sposobem zbijają wszelkie wątpliwości i zarzuty czynione pod tym względem przez protestantyzm. Obecnie istnieje jeden tylko kościół koptycki w Kairze, lecz znajduje się on w bardzo smutnym i opłakanym stanie. Budowa jego pochodzi z nowszych czasów, kościół wewnątrz jasny, ornamentacya wyszukana, według nowszych zasad sztuki, ale z tem wszystkiem sprawia niemiłe wrażenie.

Właśnie, co tylko wróciłem z ich nabożeństwa, które rozpoczyna się zwykle o godzinie 6-ej zrana i trwa niespełna trzy godziny; odprawia się ono raz tylko na dzień, gdyż u Koptów nie wolno odprawiać więcej mszy świętych przy tym samym ołtarzu i tego samego dnia. „Ołtarz — utrzymują oni — musi być zawsze zarówno jak i ksiądz na czczo".

Wchodząc do ich kościoła uderza najprzód w oczy przegroda, rozciągająca się w poprzek całego budynku i dochodząca do połowy wysokości kościoła. Przegroda ta jest pięknie malowana i wyzłacana. W samym środku u wierzchu znajduje się obraz Ukrzyżowanego Zbawiciela naszego z napisem greckim u góry. U stóp krzyża wyobrażona jest czaszka i kości złożone na krzyż, jak to często można widzieć na obrazach średniowiecznych. Poniżej znajduje się wizerunek Najwiętszej Panny, a jeszcze niżej, na owalnej

tafli, Wieczerza Pańska. Dalej widzieć można szesnaście mniejszych tablic, po ośm z każdej strony, przedstawiających całą historyę męczeństwa w ogniu prawdopodobnie św. Marka, założyciela Kościoła egipskiego; ten święty, według podania koptyckiego, miał w ten sposób zdobyć sobie koronę męczeńską. Poniżej na czternastu większych tablicach widzimy postacie różnych świętych w naturalnej wielkości; dwie zaś większych rozmiarów tablice, które służą również za drzwi, są ozdobione obrazami świętych; na jednej był wyobrażony święty Jerzy, który znajduje się w każdym koptyckim kościele, drugiego zaś świętego nie mogłem rozpoznać, tak samo jak św. Jerzy przedstawiony jest na koniu, trzyma w każdej ręce miecz. W samym środku przegrody znajduje się zasłona, czyli kurtyna z żółtej jedwabnej materyi; skoro wszedłem, uchyloną już była i odsłaniała ołtarz, znajdujący się poza przegrodą. W odległości piętnastu może stóp wznosił się przed ową przegrodą z ciemnego drzewa pulpit, którego bok miał dwadzieścia cali kwadratowych, wysokość zaś dwie stopy, na wzniesieniu o dwóch stopniach, pulpit jest wykładany kością słoniową; między innemi jego ozdobami znajduje się na każdym z czterech boków po trzy szerokie krzyże koptyckie. Całe to urządzenie ołtarza, jako też owa zasłona i przegroda przypomina nam żywo synagogę żydowską. Posadzka przed przegrodą była zasłana dywanem na przestrzeni dwudziestu może stóp. Ławki były bardzo wysokie, każde siedzenie oddzielone poręczą od następnego, służyło tylko do oparcia i do krótkiego wypoczynku zgromadzonym, słuchającym w postawie stojącej długiego i nużącego nabożeństwa. Kobietom nie wolno przychodzić do kościoła, jedynie tylko dozwolony mają wstęp na dwie galerye zakratowane, i w tym obyczaju przebija najwidoczniejszy wpływ żydowski.

Skoro wszedłem do kościoła, ujrzałem księdza kadzącego. Każdy ze zgromadzonych Koptów wszedłszy do Kościoła zbliżał się do owego dywanu, o którym wspomniałem powyżej, zdejmował obówie, które zostawiał tamże, szedł następnie ku wejściu do owej przegrody, żegnał się znakiem krzyża świętego, klękał, bił czołem o ziemię, dotykał się czołem zasłony, całował ją, a wreszcie całował w prawą rękę księdza, który w ciągu tej ceremonii śpiewa i kadzi bez przerwy. Po ukończeniu wszystkich tych ceremonij,

wracają pobożni znów na miejsce, gdzie leży dywan, nawdziewają obówie i zajmują miejsca w owych wysokich ławkach. Po okadzeniu ołtarza i ukończeniu śpiewów, na które odpowiada kilkunastu członków zgromadzenia, ksiądz, trzymając ciągle kadzielnicę w ręku, zbliża się do każdego z obecnych wiernych i udziela mu błogosławieństwa, dotykając czoła jego końcami dwóch palców prawej ręki. Następnie zdejmuje zwierzchnią czarną suknię, zwykły ubiór tamtejszej ludności, odwiązuje turban z głowy, z pod którego ukazuje się na głowie biała, szczelnie przylegająca czapeczka, i zaczyna się ubierać w świąteczne szaty. Strój ten całkiem biały, podobny do stroju naszych księży, i zasługuje na szczegółowe poznanie. Bardzo charakterystyczną jest ich mitra, niska, ze zwieszającym się aż do stóp jedwabnym welonem. Ksiądz ma tylko pończochy na nogach, akolita przynosi mu białe pantofle, które on wdziewa na nogi stojąc przed ołtarzem, i nie zdejmuje ich przez cały czas trwania nabożeństwa. Nabożeństwo polega głównie na śpiewach, na które odpowiada chór chłopców, stojących rzędem przed przegrodą, prostopadle do niej.

Przed konsekracyą ksiądz zrzuca z głowy mitrę, która opada na plecy, i wkłada ją sobie napowrót po przyjęciu Komunii św. Sakramentalny chleb składa się z bułeczki, mającej trzy cale w przecięciu, grubej na pół cala, którą ksiądz odprawiający Mszę św. łamie na drobne kawałki, wkłada do puszki, jaką trzyma drugi ksiądz, i tenże udziela komunikującym się wiernym. Po Komunii, wychodzi znów ksiądz odprawiający Mszę z poza zasłony i obchodzi całe zgromadzenie, udzielając każdemu błogosławieństwa przez dotknięcie się jego czoła prawą ręką. Kobiety nie są przypuszczane ani za pierwszym, ani za drugim razem do błogosławieństwa. Przy owym pulpicie stało trzech czy czterech młodzieńców, śpiewających na cały głos z dwóch czy trzech ksiąg; ksiądz odprawiający nabożeństwo raz tylko zbliżył się do tego pulpitu, by odczytać Ewangelię, przypadającą na ten dzień. Podczas Ewangelii całe zgromadzenie, tak jak u nas, powstało. Ołtarz był pozbawiony wszelkich ozdób, nie posiadał nawet tabernakulum. Na każdym z czterech rogów stał wysoki srebrny świecznik z palącą się świecą, kielich i mszał dopełniał przystrojenia ołtarza. Wśród nabożeństwa obchodził ksiądz w towarzystwie dwóch akolytów ołtarz okadzając go do

okoła, i po każdorazowem obejściu stawał w otworze przegrody i okadzał zgromadzenie, kreśląc kadzielnicą znak krzyża świętego. Kazania nie było w owym dniu, ale śpiewy trwały tak długo, iż nabożeństwo ciągnęło się dwie godziny przeszło, i wtedy to uznałem ważność owych wysokich poręczy przy mem siedzeniu, gdyż zmęczony tak długiem staniem, mogłem się oprzeć na nich, jak na kulach. W innych, biedniejszych kościółkach widziałem rzeczywiste kule, których używał zarówno ksiądz, jak i wierni zmuszeni stać bardzo długo w czasie nabożeństwa, jak to jest powszechnie przyjętem u Koptów.

Takie spostrzeżenia poczyniłem o nabożeństwie koptyckiem. Słyszałem i czytałem wiele o niemoralności i zgorszeniu obrządków sekty Koptów, lecz nie przekonałem się nigdy o tem; raz tylko jedynie zdarzyło mi się usłyszeć bardzo lekkomyślne, niestósowne słowo, które się wyrwało księdzu, w czasie gdy się przeciskał przez lud, błogosławiąc go. Zgromadzenie całe zrobiło na mnie bardzo dobre wrażenie; w ogóle Koptowie zachowują się w kościele bardzo przykładnie i pobożnie. Zauważyłem tam kilku ludzi z różańcami w ręku; jeden z nich siedział właśnie obok mnie, położył swój przed sobą, tak więc mogłem się mu przyjrzeć dokładnie. Różaniec ten składał się z czterdziestu jeden paciorków (ziarn), nie podzielonych na dziesiątki, lecz stanowiący jeden nieprzerwany sznur. Nie mam pojęcia, co to ma oznaczać. Mahometanie używają różańców złożonych z dziewięćdziesięciu dziewięciu ziarn, podzielonych na trzy części, z których każda obejmuje trzydzieści trzy ziarn, co w Koranie ma oznaczać trzydzieści trzy rozmaitych nazw nadanych Allahowi; i być może, że różaniec koptycki ma oznaczać coś podobnego, ale nie mogłem się dowiedzieć o tem".

Pozytywizm a umiejętności.

Słynny pozytywista francuski zaznaczył trzy główne epoki w życiu człowieka: wiek dziecinny jest teologiczny, wiek młodzieńczy metafizyczny, wiek dojrzały jest pozytywny. Według Comte'a dziecko wierzy, w dwudziestym roku zaczyna rozu-

mować, w późniejszym zaczyna człowiek szukać zadowolnienia pozytywnego. Każdy, kto tylko zastanawiał się nad sobą i przypatrywał się innym, musi uznać ten podział za urojony. Prawdą jest, że dziecko wierzy, lecz któż nie widział w dziecinnym już wieku tak licznych wyjątków od tej reguły, jeżeli to regułą ma być! któż nie widział niedorostków na ławkach jeszcze szkolnych wyznających najskrajniejsze bezwyznaniowe zasady! a ci liczni nieletni zbrodniarze, stawający ciągle przed kratkami sądowemi w Paryżu, czyż nie są przekonywującym dowodem, iż owe epoki Comte'a są tylko barwną bańką mydlaną! Jaki to jest młodzieniec, który w dwudziestym roku życia może gruntownie znać subtelne kwestye metafizyczne i rozumować o najważniejszych zagadnieniach życia! Wreszcie nie każdy, dzięki Bogu, mąż dojrzały pozbył się wiary i metafizyki. Nie potrzebował Comte daleko od siebie szukać; wśród swych towarzyszy, z którymi zasiadał w uczonych zebraniach, widział niejednego, który zachował wiarę, był filozofem a przytem posiadał to, co przedewszystkiem Comte cenił, poważał i zalecał — posiadał umiejętności przyrodnicze. Wreszcie sam Comte na sobie miał najlepszy przykład; przez całe życie odrzucał religię i metafizykę, a gdy doszedł do pełności wieku, nabył wiedzy i doświadczenia, wówczas został religiantem i metafizykiem, jeżeli tak nazwać się godzi ubóstwienie ludzkości, jego urząd arcy-kapłański, jego obrzędy i encykliki, które do swych wiernych wydawał. Comte na starość został religijnym maniakiem, przyjaciel jego i uczeń, Littré, na łożu śmierci przyjął chrzest i umarł dobrym katolikiem.

Trzy epoki poprzednie zastósowane przez Comte'a do dziejów ludzkości nie mają również żadnej podstawy przedmiotowej. O ile dzieje nam świadczą, ludzkość była zawsze i jest religijną; z jednej strony najdawniejsze pomniki piśmienne, starsze może jeszcze kamienne, a z drugiej wiadomości etnograficzne o ludach dziś żyjących, wymownym są na to dowodem. Mędrcy greccy uprawiali metafizykę, uprawiały ją wieki średnie i późniejsze, a i dziś, pomimo śmiertelnej walki, jaką jej wydali pozytywiści, ostała się ona i rozwija, i pomiędzy swymi zwolennikami liczy poważny zastęp uczonych. Wreszcie, szkoła pozytywistyczna nie jest nowością, miała już w starożytności swych przedstawicieli, jak również miała i znakomitych przeciwników.

Comte utrzymuje, że nauki pozytywne, mianowicie zaś nauki przyrodnicze wytrzeźwiły umysł ludzki, wyrugowały z niego religię i metafizykę i objęły go w swe posiadanie. Z powyższego twierdzenia wynikałoby, iż umiejętności przyrodnicze sprzeciwiają się wierze i filozofii; utrata wiary i lekceważenie filozofii mają początek i treść swoją w naukach przyrodniczych; wreszcie iż te ostatnie zupełnie zastępują wiarę i filozofię. Draper w swem dziele *History of the conflicts between religion and science* usiłuje wykazać niezgodność wiary z nauką, Spencer w swych licznych dziełach wywodzi, że wszystkie nasze rozumowania o przestrzeni, czasie, ruchu, materyi, duszy w swych ostatecznych wynikach, doprowadzają do sprzeczności; wszyscy wreszcie pozytywiści odrzucając wszystko co nie jest umiejętnością, umiejętność jedynie uważając za dogmat nieomylny.

Przeciw tym uroszczeniom pozytywistów występowali uczeni różnych narodowości; nasze pisma polskie niejednokrotnie dały im dobrą odprawę, obecnie znajdujemy w książce niedawno wydanej znakomite ustępy filozofa nie podejrzanej wartości, z którymi chcemy czytelników naszych zaznajomić. P. Dyonizy Cochin, znany publicysta, przyrodnik i uczeń Pasteur'a w dziele: *L'évolution et la Vie*, uwieńczonem przez Akademię francuską, jasno, zwięźle i gruntownie zbija wywody pozytywistyczne. Przytoczymy tu jedynie wyjątki, odnoszące się do uprzednio wymienionych wniosków pozytywistycznych. I tak, nie jest prawdą, aby umiejętności negowały wiarę.

Umiejętność nie zasługuje ani na owe pełne zapału nadzieje, ani też na te obawy śmieszne a nawet występne, jakie jej niegdyś przypisywano. Jeżeli te nadzieje, jeżeli te obawy pochodzą z wrzekomej podpory, jaką ma udzielać umiejętność niektórym tezom filozoficznym, nadzieje i obawy są płonne. Człowiek, który utrzymuje, że umiejętność uczy go, iż ma wierzyć jedynie w materyę, że wszędzie spostrzegać się dają tylko prawa niezmienne, wśród których niema miejsca dla wolności ludzkiej, a stąd nie może być mowy o jakiej ludzkiej odpowiedzialności, człowiek ten jest oszustem *(imposteur)*; nigdy umiejętność nie naucza czegoś podobnego. Matka trwoży się widząc, iż syn jej oddaje się umiejętności, wyobraża sobie, iż z przyswojeniem nowego i niebezpiecznego światła straci wiarę, jaką miał w dziecinnym wieku: ta matka się łudzi, jeżeli jej syn utraci wiarę, nie umiejętność będzie tego powodem. Umiejętność zajmuje się spostrzeganiem objawów materyalnych i dochodzeniem warunków, w których się spełniają; nie zajmuje się przyczynami pierwszemi. Umysł jasny i szczery nie

skłania się jeszcze z tego powodu ani do wierzenia, ani do zwątpienia Umiejętność nie prowadzi go do przeczenia temu wszystkiemu, co nie jest materyą; umiejętność ścisła, umiejętność oparta na spostrzeżeniach nie da mu ufności w istnienie i nieśmiertelne losy dusz. Te różne przeświadczenia nie zależą zupełnie od umiejętności, nie wchodzą w jej zakres... Umiejętność nie daje nam żadnego pojęcia o przestrzeni, ruchu, czasie, materyi; tem mniej nie oświeca nas o naszych obowiązkach, o dobrem i sprawiedliwem, ku którym dąży nasze sumienie, o przyczynie tylu czynności, usiłowań i walk, jakie ludzie tu na ziemi podejmują... Dopóki tylko ludzie będą istnieć na ziemi, znajdziemy zawsze umysły, których więcej będzie obchodził ich początek, cel i powód bytowania, aniżeli te zabawki przejściowe, jakiemi są: przemysł, handel i polityka.

...Zapewne, umiejętność jest piękną i wzniosłą. Podziwiać podziwu godną przyrodę w jej kształtach i barwach oczami poety lub malarza; albo zgłębiać jej tajemnice, dochodzić w przybliżeniu — albowiem któż pozna ją doskonale! — jakim sposobem roślina rozwija się, jakim sposobem zielone liście karmią się węglem pływającym w powietrzu, w jaki sposób substancye mineralne łączą się z sobą i wydają nowe ciała, w jaki sposób rozwijają się i mnożą istoty żyjące: te dwa źródła dopełniają się wzajemnie i potęgują zachwyt... A jednakże któż śmiałby utrzymywać, że umiejętność, nawet najgłębsza, tłumaczy wszystkie zagadnienia, koi wszystkie niepokoje i obudza w umyśle naszym coś więcej aniżeli wzniosłą przyjemność

Cóż tedy mamy zawnioskować? Oto, że umiejętność nie zadawalnia wszystkich potrzeb naszego rozumu. Jeżeli mamy wprowadzić w rachunek wszystkie skłonności i dążenia ludzkie, wówczas należy uznać, iż każdy człowiek w różnych momentach życia swego chętnie przebywa w tym świecie wyższym, który umiejętność uznaje za nieznajomy. Filozof bardzo wytrwale poszukuje rzeczy, o których uczony przyrodnik nie myśli; a jakikolwiek wysnuje on stąd wniosek, bądź ufność w sprawiedliwość nieskończoną, bądź też fatalizm rozpaczliwy, nie na niwie umiejętności opiera on swe wnioski.

Tak, dla filozofa-przyrodnika, który przez dłuższy czas, z pomocą dociekań umiejętnych, usiłował odkryć tajemnice materyi i życia, przychodzi chwila, w której rodzi się nowe światło, nowe przedstawia się pole badań. Ten filozof wymyka się niekiedy ze swej pracowni, w której zestawiał i dumał nad oderwanemi figurami geometrycznemi, ze swego laboratorium, gdzie oczyszczał i krystalizował nieżywą materyę, z prosektoryum, w którem dokonywał na ciałach żyjących bolesnych doświadczeń, by coś uchwycić z istoty życia. Ucieka na wieś, w pole — tam owiany ożywczem tchem życiowym, jaki wydają łąki i gaje, rozmyśla o początku i końcu tego wszystkiego co widzi. Jakże się mu wydają z początku niezrozumiałemi te różne uczucia, które w nim walczą: uczucia zachwytu pełnego zapału i błogości i uczucia głębokiego smutku, tłoczy go zrozpaczony przestrach nicości, podnosi i uspokaja ufność w dobroć nieskończoną i ojcowską! Uczucia te nie są wynikiem żadnej danej opartej na doświadczeniu: są to objawy, które nie mogą pochodzić z determinizmu; a jednak poruszają one głęboko jego duszę tak, iż wszystkie wiadomości, pochodzące z umiejętności, wydają się mu igraszką raczej, aniżeli poważnym nabytkiem wiedzy. Nowy rodzaj pewności, różny całkiem od pewności mającej źródło w umiejętności, przedstawia się obecnie jego umysłowi. Tylu ludzi do-

brej woli uchyliło podwoje tego świata nieświadomego, iż wszelkie rozumowanie Spencera o niemożebności musi upaść w obec tych faktów. Wprawdzie wielu z nich spostrzegło jakieś ponure światło, przy blasku którego wyobrażali sobie, iż są pod wpływem niezmiennego fatalizmu i skazani na nieuniknioną nicość; lecz często również — skoro wychowanie, uprzedzenia, wpływy zewnętrzne nie mąciły ich duszy — dostrzegli jasne i łagodne światło, które im okazywało wśród przepychów przyrody człowieka wolnym i odpowiedzialnym, a poza tem, poza światem stworzonym, Istotą nieskończenie potężną, mądrą i dobrą!

P. Denys Cochin nie wspomina tu nic o sobie, lecz rzecz jest jasna, iż i on należał do tych przyrodników-filozofów, którzy poza laboratoryum otrzymali światło wiary. Przyrodnik francuski nie jest jeszcze chrześcijaninem, ale jest na drodze, możemy mu serdeczne przesłać życzenie: *ascende superius*. P. Cochin nie stawiał sobie pytania: jakim sposobem utraca się wiara, stąd nie daje też na nie odpowiedzi wprost, lecz to, co w wielu miejscach wyżej przytoczonego ustępu twierdzi, daje do myślenia, iż zastanawiał się nad tą kwestyą. Wychowanie, uprzedzenia i zewnętrzne wpływy, oto są przeszkody do nabycia wiary, a zarazem są przyczynami jej utracenia. Nie umiejętność, nie nauka odbierają wiarę, oszustem jest ten, który to twierdzi, (niech Renan i jemu podobni wezmą ten przydomek dla siebie), ale przewrotność serca wskutek złych uczynków. Umiejętność o rzeczach stworzonych prowadzi do Boga, złe użycie tych rzeczy od Boga odprowadza. Po wsze czasy i na wszystkich sprawdzają się słowa św. Pawła: *Bo rzeczy jego niewidzialne, od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione zrozumiane, bywają poznane: wieczna też moc jego i Bóstwo, tak iż nie mogą być wymówieni. Gdyż poznawszy Boga, nie jako Boga chwalili, i dziękowali, ale znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione jest bezrozumne serce ich.*

Druk ukończony dnia 20 grudnia 1888 r.

SZKOŁY LUDOWE W ROSYI.

Nie można zarzucać naszym czasom obojętności dla szkół ludowych. Tyle się dzisiaj o tej materyi rozprawia i pisze, tyle się nawet czyni i tak wielkie ofiary ponosi, że gdyby sama gorliwość o rezultacie stanowiła, mielibyśmy prawo liczyć na najświetniejsze plony. Zarzucić by raczej można niejednemu krajowi zbyt wielką rzutkość w zmianach i reformach, pewien aprioryzm, wyprowadzający z ogólnych i oderwanych teoryj gotowe metody i programy i narzucający je bezwzględnie, nie wiele pytając o doświadczenie przeszłości, ani o właściwe miejscowej społeczności wymagania. We wszystkich innych kierunkach nasz wiek jest empirystą, na doświadczeniu wyłącznie buduje; w pedagogice może najwięcej pokazuje się apriorystą. A jednak jeśli w jakiej sprawie, to w tej — gdzie ryzykować wcale nie można — kierować powinno doświadczenie, sumienne badanie rezultatów, jakie dawały i dają w różnych czasach i krajach używane systemy.

W tej myśli podejmujemy to przedmiotowe studyum o szkołach ludowych w Rosyi. Rosya, jako młode społeczeństwo, czyniąca od niedawna pewne wysiłki celem oświecenia ludu, przedstawia pod tym względem charakterystyczny widok. Podczas gdy na Zachodzie walczą o szkołę ludową dwie wielkie potęgi: Kościół i państwo, w Rosyi do tej walki pola niema, bo Kościół jest organem w państwie; jednakże odróżnić można w jej sprawach szkolnych wpływy i inicyatywę to rządu, to kościoła prawosławnego, to wreszcie samego społeczeństwa. Omawiając te poszczególne wpływy, do tego jedynie dążymy, żeby historycznie ich wyniki skonstatować.

I.

Pierwotne objawienie się w społeczeństwie rosyjskiem aspiracyj do samodzielności datuje się z pierwszych lat panowania cesarza Aleksandra I. Młody monarcha, wysoce wykształcony, mający w najbliższem otoczeniu swem ludzi takich, jak Adam Czartoryski i hrabia Strogonow, hołdujący angielskim poglądom konstytucyjnym, zniechęcił się do wszechwładztwa, które uważał za bezsilne do walki z nadużyciami wielkorządców, ze zdzierstwem dworaków, z uciskiem ludu przez szlachtę. Przebieg reform przez Aleksandra I. przedsięwziętych przecięty został z powodu wojen, lecz wzbudził już on był w społeczeństwie rosyjskiem poczucie samowiedzy i nadał dążeniom kierunek, z którym należało albo rachować się nadal, albo walczyć. Podobny ruch umysłowy, przejęcie się duchem postępu objawiały się po dwakroć w inteligencyi rosyjskiej i każdym razem — z inicyatywy i za przykładem samegoż rządu. Wynik ostateczny w obydwóch razach był też prawie jednostajny. W obec pierwszych wypadków zakłócenia spokoju publicznego, rząd cofał się, następowała reakcya, gdy tymczasem kierunek nadany myśli społecznej nie mógł oczywiście być zahamowany naraz, skąd wynikały używanie środków represyjnych przez rząd i pewien stan gorączkowy społeczeństwa; dopóki aspiracye owe — nie zakorzenione jeszcze głęboko, nie poparte przez jaką bądź organizacyę stanową, a wreszcie ograniczające się na nielicznej jeszcze wyznawców garstce — nie ustępowały pod naciskiem prądów wstecznych i nie zatapiały się na nowo w tymczasowej, naturalnie, wszelakoż długoletniej apatyi.

Tak było w końcu panowania Aleksandra I, toż samo, mniej więcej powtórzyło się w jakie 50 lat później. Wszelkie zachcianki reformatorskie, wszelkie oświaty krzewienie, a nadto i wszelka samoistność jakiegobądź organu władzy zastygły i zamarły wonczas w ręku żelaznym ministra wojny Arakczejewa. Narzędziem jego w działaniu osobistem na znużonego, spętanego przez iluminatów i wolnych mularzy monarchę był archimandryta Focyusz. Despotyzm militarny i bigoterya w najgrubszej formie — na tem się zakończyło panowanie tak świetnie rozpoczęte. To też sprzeczność reakcyi tak gwałtownej — ze wzbudzoną elektryczno-

ścią dodatnią w społeczeństwie spowodowała pamiętny wybuch 1825 roku.

Następne panowanie nie znało podobnego rozdzielenia na dwa okresy nawzajem sobie przeczące. Był to jeden loiczny ciąg przeprowadzenia, we wszystkich życia publicznego czynnościach, bezwzględnego systemu karności militarnej. Zazdrosny o władzę, zrazu usunął cesarz Mikołaj Arakczejewa i nigdy żadnych opiekunów, a nawet i doradców nie miewał, tylko wykonawców woli swej i łaski monarszej faworytów. Wpływom hierarchii też nie ulegał, aczkolwiek posługiwał się Kościołem dla ściślejszego przeprowadzenia i zaszczepienia w umysły — zawsze jednej i tej samej zasady — karności państwowej. Tak zniesienie unii kościelnej na Litwie odbyło się za tego panowania bynajmniej nie z inicyatywy hierarchii rosyjskiej, tylko wprost za porozumieniem się rządu z byłym biskupem unickim Siemaszką.

Miał już rząd poza sobą przykład 1825 roku i nadewszystko pilnował prawomyślności politycznej, a zatem i cerkiewnej, o ile się przeważnie ta przydać mogła do utwierdzenia pierwszej. Szczególnie zaś po wypadkach 1848 r. na zachodzie Europy, rozszerzył rząd działalność swą w tym kierunku. Na uniwersytetach cesarstwa zniesiono wykłady filozofii równie jak teoryi prawa; następnie wprowadzono na nowo wykłady logiki i psychologii w uniwersytetach, lecz powierzono je osobom duchownym. Wypracowano nowe do tych przedmiotów podręczniki, mające za cel wyłączny — udowodnienie zasad kościoła wschodniego. Dodano w uniwersytetach kursa teologii dogmatycznej i moralnej, obowiązkowe dla uczniów wszystkich wydziałów.

W tymże duchu i z tymże państwowym celem, wydano za pośrednictwem synodu surowe przepisy, ażeby duchowieństwo parafialne, w miastach i po wsiach, trudniło się nauczaniem ludu, zakładając szkółki cerkiewne i starając się głównie o wszczepienie uczniom tak zasad religijnych, jakoteż i odpowiednich uczuć dobrego poddaństwa.

Kładziemy tutaj szczególniejszy nacisk na ten rys charakterystyczny, iż wszystkie w tym kierunku usiłowania wszczęte zostały przez rząd, zaś nie wynikły one z własnej inicyatywy hierarchii, lub też duchowieństwa parafialnego; gdyż w przypuszczeniu takiej

inicyatywy dobrowolnej, musiałyby też i rezultaty być wcale odmienne, niż jakie się objawiły w rzeczy samej — i objawić się mogą nadal.

Tak atoli, jak było, chybiły one celu swego. Szkoły parafialne powstały na mocy przepisów i utrzymały się tam tylko, gdzie władza mogła dojrzeć ich przestrzegania, gdzie mogła sprawdzać, czy szkoły owe rzeczywiście są czynne — więc — po miastach głównie i przy większych, bogatszych parafiach wiejskich, przyległych do stolic archirejskich. Reszta szkół parafialnych, to jest ogromna tychże większość regestrowa istniała tylko na papierze — w doniesieniach Synodowi, po konsystorzach redagowanych, zatem i w dorocznych sprawozdaniach naczelnych prokuratorów Synodu [1]. Inaczej też być nie mogło. Pop wiejski, biedny, obarczony rodziną, wonczas jeszcze ciemny (gdyż większość ich nie przechodziła seminaryów), zmuszony własnemi rękami uprawiać rolę, kosić siano, zaledwie tyle miał czasu „wolnego“, żeby czynić zadość najelementarniejszym obowiązkom powołania kapłańskiego. Nabożeństwo w cerkwi odprawiał w niedzielę tylko, główne zaś posługi jego duchowne były — po domach, w parafii rozległej aż na 10, czasem i na 20 kilometrów w promieniu. Pełnienie obowiązków religijnych po domach było (i jest jeszcze dotąd w połowie ogółu parafij w cesarstwie), głównem źródłem jego dochodu, jakkolwiek ma własne gospodarstwo rolne.

Czyż mógł taki człowiek zajmować się chętnie i pilnie wychowaniem dzieci chłopskich, kiedy miał swoich własnych kilkoro, które wychować, a głównie nakarmić musiał, ciężko na to pracując! A skądżeby zdobył się na środki niezbędne dla prowadzenia szkoły — mieszkanie, książki, przyrządy szkolne? Własna chata — zaciasna dla swoich, o pieniądze trudno. Rząd nic nie dawał, tylko przepisywał, a za pośrednictwem zwierzchników kościelnych upominał znękanego ojca licznej rodziny, iż obowiązkiem jego, jako kapłana — dbać o pokarm umysłowy, równie jak duchowy owieczek. Tymczasem pasterzowi trudnem było wyżywienie własnych dzieci. Obywatel go nie wspierał, gdyż pomiędzy dworem a probostwem w Rosyi niema stosunków: pop wiejski osobliwie za

[1] Taki jest tytuł ministra „wyznania prawosławnego“.

owych czasów z wychowania, ze sposobu życia należał wprost do ludu. A lud w Rosyi dotąd na wiosnę zdejmuje słomę ze strzechy dla inwentarza, a sam je chleb razowy, mięszany nawpół z plewami.

To też liczby szkół cerkiewno-parafialnych podawane w sprawozdaniach urzędowych, jak o tem zgodnie świadczą wszyscy pisarze rosyjscy w tej materyi, były urojone. Pomimo to, żywiono przekonanie, iż udało się założyć trwałe podwaliny wychowania ludowego w duchu religijnym. Ministrowie oświaty ku końcowi panowania cesarza Mikołaja: książe Szyryńskij-Szychmatow i znany w literaturze z opisu podróży swej do ziemi św., Abraham Norow, byli to ludzie dziwnie amalgamujący w sobie zupełne przejęcie się duchem kościelnym, wraz z poświęceniem bezwarunkowem tegoż Kościoła na służbę biurokracyi.

Wykładanie po uniwersytetach teologii, logiki i psychologii, przez osoby stanu duchownego wprowadzone zostało za księcia Szyryńskiego. Norow zaś chlubił się przeważnie z postępów wychowania cerkiewno-ludowego. Gdy mu raz w radzie państwa zarzucano, że parochowie nie mają czasu do systematycznego prowadzenia szkół, dał on wymowną odpowiedź, którąśmy w jednym z późniejszych referatów urzędowych wyczytali. Odparł minister, iż „szkoła ludowa jestto rzecz tak święta, że nawet wpuszczać do niej żadnego nauczyciela świeckiego nie wolno, zaś na pomoc księżom w nauczaniu ludu przyjść powinni synowie ich, alumni seminaryów i szkół duchownych powiatowych, którzy siedząc w domu, oczekując parafii dla siebie, parochów w szkole cerkiewnej wyręczać muszą“. Liczbę przypuszczalną takich kandydatów na posady, trudniących się tymczasowo, a oczywiście — bezpłatnie, wychowaniem publicznem, podał Norow na kilkanaście tysięcy. Wszystko to były złudzenia wierutne. Wystarczały one jednak tej biurokracyi, która usiłuje tylko wszystko do pewnej formy sprowadzić, i tą samą formą, pozorem, najzupełniej się zadawalnia.

Tak samo — wypada nam nawiasowo nadmienić — działo się z owem wykładaniem teologii, logiki i psychologii przez duchownych w uniwersytetach. Nietylko pozostawało ono bez pożądanego na umysły młodzieży skutku, lecz działało wprost odwrotnie. Oprócz małego skutku, jaki z góry przepowiedzieć można było wykładowi teologii odosobnionej od wszelkich ćwiczeń przygoto-

wawczych i nauk pomocniczych, programata logiki i psychologii, ułożone na prędce, raziły niezgodą swą z metodą naukową; nadto, profesorowie sami wcale nie odpowiadali zadaniu. Kler grecko-rosyjski, jak wiadomo, jest stanem dziedzicznym, kastą, kształcącą się z dziada i pradziada w osobnych zakładach, przez co wiekami wyrobiły się w niej odrębne zwyczaje i nawyknienia, tak dalece, iż z wymowy nawet łatwo poznać człowieka pochodzącego z tej kasty, wychowańca szkół duchownych. Z wyjątkiem kilku gubernij południowych, gdzie przechowały się jeszcze pod tym względem dawne tradycye kijowskie, w których odzwierciadlały się poniekąd pewne cechy ustroju społecznego polskiego, nie masz w Rosyi przykładu, ażeby szlachcic, ba, nawet i mieszczanin wstąpił do stanu duchownego, chyba do klasztoru. Zaś dziedziczna kasta, z której się wyłącznie rekrutuje duchowieństwo „świeckie“, zwane tu „białem“, duchowieństwo parafialne, z pochodzenia swego, instynktów i nawyknień odziedziczonych, mało bardzo ma wspólnego z którymbądź ze stanów świeckich, a najmniej ze szlachtą, do której należała w owym czasie cała prawie młodzież uniwersytecka. Otóż, jeżeli prawdą jest, iż wiedza, tak samo jak każda siła przyrodnicza międzycząstkowa, nie inaczej udziela się i działa, jak za pomocą dobrych przewodników, to przyznać musimy, iż właśnie członkowie kasty tak odosobnionej od reszty społeczeństwa, z pochodzenia i powołania swego, najmniej warunkom „dobrych przewodników“ w danym razie odpowiadali.

Dodać musimy, iż zależność bezwarunkowa od administracyi, wypływająca najprzód z samego ustroju Kościoła, a następnie z obowiązku utrzymania rodziny, spowodowały w owym stanie bierność umysłową, nawet w pełnieniu obowiązków bezpośrednich powołaniu. Dosyć nadmienić, iż nawet słowo z ambony wypowiedziane podlega cenzurze, gdyż każde kazanie powinno być przedstawiane do rozpatrzenia starszego, nad kilkoma parafiami przełożonego parocha[1]. Owóż, na podstawie takich warunków, łatwo się przekona każdy, iż ani wprowadzenie teologii, logiki i psychologii, wykładanych przez księży grecko-rosyjskich, do uniwersytetów, ani w ogóle żadne współuczestnictwo kleru w tych warunkach postawionego, wpływu

[1] Ma on tytuł: „Błahoczynny“ i odpowiada naszemu „Dziekanowi“.

moralnego na młodzież uniwersytecką, ani na wyższe warstwy społeczne mieć nie mogły i dotąd nie mają. Wszelkie usiłowania czynione przez rząd w tym kierunku, niestety, wydają się być daremnemi; gdyż, ażeby być mogło inaczej, należałoby najsamprzód całe stanowisko Kościoła odmienić, w inne postawić stosunki sam skład i byt duchowieństwa — coby było nietylko administracyjną lecz społeczną reformą.

II.

Wstąpienie na tron cesarza Aleksandra II. wywołało w Rosyi na nowo powszechny ruch umysłowy, dążenia postępowe, uśpione w ciągu 30 letniego okresu zastoju. Dla zaznaczenia wrażenia, jakie sprawiła zmiana panowania na społeczeństwie, ustalał się w literaturze rosyjskiej ogólnik brzmiący tak: „Rosya odetchnęła swobodnie“. Nie wdając się w ściślejsze badanie całego przebiegu wrażeń i zjawisk społecznych, ograniczymy się tu na zastrzeżeniu, iż wyrazy powyższe w rzeczy samej zastósowane być mogły jedynie do nielicznej warstwy t. zw. „inteligencyi“, tj. do kilku tysięcy ludzi, mających wyższe wykształcenie. Ogół zaś społeczeństwa, reprezentowany przez klasy uprzywilejowane, dopiero z inicyatywy i za przykładem nowego rządu uznał konieczność reform wielorakich, lecz właśnie w skutek braku ustalonych w sobie pojęć i zasad, poddał się nowemu kierunkowi nie tylko natychmiast i bezwarunkowo, ale nawet z wyraźną skłonnością do przesady. Jak ciało bierne posłuszne tylko siłom, energii i ciężkości, stawiło ono równowagę i potoczyło się na pochylonej płaszczyźnie. Liberalizm posunięty jak najdalej, stał się modą, a moda, w braku przekonań osobistych, jest prawem absolutnem.

Po akcie uwłaszczenia włościan z r. 1861, głównymi owocami pracy prawodawczej nowego rządu były: „położenie ziemskie, i nowe ustawy sądowe“. Opracowanie obu tych reform prowadzone było równocześnie, a zatwierdzenie tychże nastąpiło w r. 1864, aczkolwiek wprowadzone zostały nieco później, mianowicie od r. 1866, kiedy pierwszy zamach występny na osobę monarchy już utrudnił był dalsze rządu zamiary. Uwolnienie prasy stołecznej od prewen-

cyjcej cenzury nastąpiło w 1865 r., które to rozporządzenie uzupełnionem zostało przez prawo specyalne z r. 1866.

W tym też okresie przyspieszonej działalności prawodawczej zatwierdzoną została ustawa o szkołach ludowych z r. 1864. Autorem aktu tego prawodawczego był minister oświaty Gołownin, zmarły w zeszłym listopadzie. W zakresie zarządu oświaty narodowej miały już wówczas sposobność ujawnienia się dwie nowego rządu właściwości, mianowicie — pochop szczery do zreformowania stosunków rzeczywiście niemożliwych, a obok tego — przesadna lękliwość. Rząd, jak gdyby nie przewidywał, iż każdy ruch reformacyjny, aczkolwiek wszczęty przez samąż władzę, wywołać musiał wśród społeczeństwa prądy sięgające dalej, niż inicyatorowie iść zamierzali; iż naród wchodzący w nowe warunki bytu doznaje pewnego wstrząśnienia moralnego, którego nie sposób ująć w karby przepisów na papierze. Rząd ówczesny w każdym, jakkolwiek drobiazgowym objawie aspiracyj, przekraczających własne jego rozporządzenia, dopatrywał się początków ruchu rewolucyjnego. To też, powiewając programem reformacyjnym, który ręką wszechwładną podnosił, trzymał ciągle pod pachą całą tekę środków reakcyjnych; zaledwie o dwa kroki posunąwszy się naprzód, naraz o krok jeden w tył się cofał. System podobny nie mało się też przyczynił do wzbudzenia nieufności i nieporozumienia, które później wprost zgubne wywołało skutki.

Za czasu względnie liberalnego ministra oświaty Kowalewskiego, powstały były w uniwersytecie petersburskim stowarzyszenia studenckie, zrazu wcale niewinne, lubo z konieczności zabarwione ideą polityczną, która z samychże czynów rządu zdawała się wynikać. Wobec tego faktu nastąpiła była jeszcze w r. 1861 mała reakcya: na ministra oświaty zamianowanym został admirał Putjatyn, który wydał surowe przepisy. Skutkiem nich powstały zaburzenia studenckie, w gruncie także żadnej jeszcze doniosłości nie mające, lecz zaognione przez nieroztropnie użyty środek: około 300 studentów odstawiono do fortecy, co ich podniosło do godności jakichś męczenników postępu, wobec Rosyi całej, i tak drobnej i miejscowej sprawie nadało wielkie znaczenie. W tej właśnie chwili zawiązała się w Rosyi, rzec można, pierwotna komórka organizacyi, która szerząc się stopniowo, w miarę dalszego obostrzania środków represyjnych, w końcu tak niebezpieczne wydała owoce.

Owóż, zaznaczywszy ten moment charakterystyczny i powracając specyalnie do szkół ludowych, skonstatować musimy, iż Gołownin, autor ustawy tych szkół, wydanej w r. 1864, reprezentował w osobie swojej nowy krok rządu w kierunku postępowym. Udało mu się załagodzić z pozoru sprawę uniwersytecką i miał on ręce wolne do przeprowadzenia reformy szkolnictwa ludowego w duchu postępowym. Właściwie mówiąc, zaczynać tu należało od samego początku, gdyż, jakeśmy powyżej nadmienili, szkoły ludowe cerkiewne istniały dotąd rzeczywiście tylko po większych miastach, a na wsi — chyba wyjątkowo. Przy ściślejszem zbadaniu rzeczy, pokazało się, iż „kilkanaście tysięcy“ wrzekomo czynnych szkół parafialnych istniały tylko na papierze, iż kandydaci na posady duszpasterzy wcale parochom w sprawie nauczania ludu nie pomagali, że szkoły cerkiewne, gdzie rzeczywiście istniały, prowadzone były nędznie, urywkowo, bez metody i systemu. Nie było tedy powodu uwzględniać szkół parafialnych istniejących, bo mając wszystko tworzyć na nowo, nie było racyi do rozdwajania systemu wychowania ludowego, skoro w starych panował nieład. Przeprowadził tedy Gołownin w ustawie 1864, jako główną zasadę, poddanie wszystkich szkół ludowych przez kogokolwiekbądź założonych — zwierzchnej opiece i kontroli ministerstwa oświaty narodowej.

Nie mógł też minister logicznie postąpić inaczej, w tej bowiem chwili miał wystąpić w charakterze najbardziej czynnego działacza w zakładaniu szkół ludowych, nowy zupełnie w Rosyi organ — przedstawicielstwo społecznego udziału w zarządzie miejscowym — t. zw. „Ziemstwo“. Ziemstwo w postaci zgromadzeń wyborczych powiatowych i gubernialnych miało (na podstawie „położenia“ również z 1864 r.) objąć zarząd wszelkich instytucyj dobroczynności, budownictwa, dróg bitych, miejscowych, mianowanie i opłacanie sędziów pokoju, zaopatrzanie publicznych magazynów zbożowych, i wreszcie zakładanie szkół ludowych, oraz dostarczanie im stałych środków do odpowiedniego utrzymania. W myśl owej ustawy o Ziemstwie, wskazał tedy Gołownin w ustawie szkolnej pewne warunki i ugody dla zakładania szkół ludowych tak przez ministerstwo oświaty — bezpośrednio, jakoteż przez Ziemstwo i duchowieństwo, nie czyniąc żadnego rozróżnienia pomiędzy wszystkiemi owemi szkołami co do ogólnego nadzoru, tylko poddając je wszystkie jednym

i tym samym instytucyom nadzorczym, mianowicie: miejscowym „radom szkolnym“, gubernialnym, w skład których powołani byli przedstawiciele ziemstwa. Rady te a zatem i wszystkie ludowe szkoły, niezależnie od sposobu powstania swego i środków utrzymania, postawione zostały pod zwierzchnictwo ministerstwa oświaty.

Gdy w ten sposób czynność bezpośrednia w obrębie szerzenia wśród ludu oświaty zdaną została poniekąd na Ziemstwo, państwo, w myśl Gołownina, wziąść miało na siebie — niezależnie od nadzoru — specyalny obowiązek przygotowywania umiejętnych nauczycieli dla szkół ludowych. Zgodnie z takiem rozdzieleniem czynności między ziemstwo i państwo, nakreślił Gołownin projekt założenia i utrzymania kosztem skarbu — instytutów czyli seminaryów dla nauczycieli ludowych. Lecz zanim ten ostatni projekt przyjść mógł do skutku, musiał Gołownin ustąpić ze swego stanowiska.

Tymczasem „Ziemstwo“ tj. obieralne zgromadzenia i komitety („uprawy“) dla zarządu miejscowemi sprawami, przeważnie ekonomicznemi, rozpoczęły swą czynność w każdej z 33 gubernij Rosyi środkowej, wschodniej i południowej, a także w każdym powiecie owych gubernij. Litwa, Białoruś, Wołyń i Podole, aczkolwiek należące do „cesarstwa“, zostały wyłączone od reformy „ziemskiej“, a zatem nie mogła tu również być zastósowana i szkolna ustawa z r. 1864.

Ubiegło już dziś 20-lecie od początku działalności ziemstwa i sąd o niej bezstronny nie inaczej jak na korzyść tej instytucyi wypaść musi. Zapewne nie były ziemstwu obcemi niektóre wady charakteryzujące całe społeczeństwo; objawiało się poszukiwanie urzędów, dla samej, połączonej z niemi pensyi, trafiały się niekiedy i nadużycia, w mniejszym wszakże stopniu, niż w administracyi państwowej. Lecz nierozsądnem też byłoby wymaganie, ażeby jedna instytucya społeczna lepszą była, niż ogół samego społeczeństwa.

Biorąc zaś rzeczy w całości, niewątpliwa rzecz, iż działalność ziemska wydała jak na ogół owoce dodatnie. Szpitale i zakłady dobroczynne przyjęło było ziemstwo z rąk administracyi skarbowej w prawdziwie nędznym stanie, znacznie je ulepszyło i pomnożyło; fundusze, przeznaczone na potrzeby miejscowe przechodząc w ręce ziem-

stwa szczupłe były bardzo, a trafiało się niekiedy, iż były one poprzednio całkiem wyczerpane lub roztrwonione. Natomiast potrafiło ziemstwo, pomimo słabej swej organizacyi, braku poborców własnych, a niekiedy i w skutek najniepomyślniejszych stosunków do władz koronnych, wyrobić sobie budżet roczny, wynoszący dziś przeszło 30 mil. rubli.

Co się tyczy specyalnie szkół ludowych, to wszystko niemal, co dotąd zostało zrobionem w tej sferze, zawdzięcza Rosya wyłącznie Ziemstwu. Zaraz w pierwsze lata po przeniesieniu tych szkół pod opiekę ministra oświaty, stopniała wielka papierowa liczba wrzekomo istniejących szkół parafialnych. W każdem z następujących sprawozdań dorocznych naczelnego prokuratora synodu, cyfra szkół parafialnych stopniowo obniżała się tak, iż zeszła wreszcie z 10 tys. na 4 tys. (liczba urzędownie podana za rok 1881). Czy zmniejszenie się owej liczby spowodowanem zostało — jak to twierdzą dziś zwolennicy szkoły cerkiewnej — przez sekularyzacyę tych szkół, tj. przemienienie ich na szkoły ziemskie — czy było ono skutkiem wprowadzenia kontroli ściślejszej rad szkolnych nadzorczych, wobec której trudniej już było symulować szkoły cerkiewne w takich miejscowościach, mniej odległych, gdzie mógł zawitać niespodziewanie inspektor ministeryalny, — dosyć, iż liczba przypuszczalna szkół cerkiewnych upadła do 4 tys. Tymczasem ogólna liczba szkół ludowych w całem państwie (włącznie z królestwem kongresowem) podaje się na 40 tysięcy. Z około 20 mil. rubli, dorocznego rozchodu na utrzymanie tych szkół, rząd nie daje więcej nad 2 mil. — i to przeważnie na szkoły założone na zachodnich kresach państwa w celach politycznych. Reszta zaś powyższej sumy składa się z dochodów społecznych i ziemskich, miejskich i włościańskich. Ziemstwo z budżetu swego, wynoszącego 30 mil. rs, udziela na szkoły ludowe i inne przeszło 5 mil. r. Cyfra ta wszakże bynajmniej nie reprezentuje całej doniosłości działania Ziemstwa na tem polu; rzecz bowiem prosta, iż jakkolwiek koszta utrzymania szkół ludowych przeważnie ponoszone są przez gminy włościańskie, wszelako szkoły ludowe głównie z ziemskiej powstają inicyatywy.

Otóż dotąd w Rosyi uważano poniekąd za aksyomat, iż ziemstwo najpomyślniej wywiązało się właśnie z zadania — stworzenia rzetelnej podstawy dla szerzenia wsród ludu oświaty i że

szkoły ludowe, w tym stanie jak one do dziś dnia istniały, zawdzięcza Rosya wyłącznie niemal — działalności Ziemstwa.

III.

Druga połowa panowania cesarza Aleksandra II. nie była również wolną od owej sprzeczności i kołysania się, o którycheśmy powyżej nadmienili. Co prawda, przybrały te wahania się natenczas odmienny nieco charakter. Poprzednio powodował się rząd zasadą reformatorską, przesadzając tylko niekiedy znaczenie napotykanych przezeń a nieprzewidzianych wypadków, i chwilowo cofając się w tył przed niemi. Teraz — mówimy o epoce odległej na lat 20 — rząd, odwrotnie, usposabiał się stopniowo, lecz stanowczo, w duchu reakcyi, tylko wystąpić z niej nie mógł otwarcie z tej prostej przyczyny, iż własne reformy jego teraz dopiero przechodzić zaczynały z ustaw do życia. Tak nowy ustrój sądownictwa, jak nowa (ziemska) organizacya zarządu miejscowego, a równie i nowe prawo regulujące stosunki prasy dopiero z początkiem 1866 roku wprowadzone były w czynność. Nie mógł oczywiście rząd cofnąć reform dopiero co zapowiedzianych i solennie ogłoszonych, lecz wprowadził je z widocznem zwątpieniem, skąd też wynikały sprzeczności i wahania się, objawiające się w większym jeszcze, niż dawniej stopniu, lubo dane już mające źródło.

Kwiecień r. 1866 stał się poniekąd punktem zwrotnym w dziejach owego okresu, i zmiana ta uwydatniła się wyraźnie na składzie samego gabinetu, gdyż dykasterya spraw wewnętrznych, policyi państwowej, narodowej oświaty i sprawiedliwości, jedno po drugiem i to w krótkim przeciągu czasu, nowych otrzymały zwierzchników. Nowy minister oświaty, hrabia Tołstoj nic początkowo nie zmienił w regulaminie szkół ludowych. Piastując jednocześnie urząd naczelnego prokuratora Synodu, oddał się on na wstępie wypracowaniu projektów, które miały za cel podniesienie bytu duchowieństwa. Jako człowiek myślący, musiał on wiedzieć konieczność przeprowadzenia takich reform, któreby podnieść mogły wpływ moralny kapłanów na społeczeństwo całe, a szczególnie na lud, tak jeszcze dotąd nisko stojący umysłowo i obyczajowo.

Daremnie wszakże było oczekiwać od ministra, ażeby on zmienić mógł zasady ustroju państwowego, warunkujące zupełną zależność Kościoła od państwa a w następstwie — kompletną bierność umysłową kleru. Musiał się minister ograniczyć na użyciu paljatywów. Zaznaczmy tedy nawiasowo główne rysy reform przez hr. Tołstoja w tym zakresie przeprowadzonych: ażeby położyć pewną tamę dziedzicznej kastowości „białego“ duchowieństwa, zniósł on zwyczaj oddawania probostw w posagu kandydatom, którzy się żenili z córkami zmarłych lub schorzałych już parochów; w myśl podniesienia wpływu moralnego duchowieństwa, przeprowadził w radzie państwa nowe ustawy dla duchownych akademij i seminaryów, z większem niż dotąd uwzględnieniem żywiołu świeckiego, również z zastósowaniem do tych zakładów zasad pewnej autonomii w zarządzie wewnętrznym, jakiej używały uniwersytety i gimnazya. Tyle — dla zaszczepienia w duchowieństwie ducha bardziej podniosłego i czynnego. Następnie co do ogółu duchowieństwa wiejskiego, miały reformy na celu — ulepszenie bytu parochów i postawienie ich w stosunki bardziej niezależne od gmin, wyzwolenie poniekąd popów wiejskich z konieczności poborów nadmiernych z ludu, i wypływającego stąd pewnego zniechęcenia ludu wiejskiego do popów.

Dla osiągnienia tego celu, rzecz prosta, najodpowiedniejszym środkiem byłoby wyznaczenie parochom pewnej części ze skarbu państwa. Lecz, że liczba parafij w Rosyi przechodzi 35 tysięcy, a cały stan „białego“ tylko duchowieństwa policzony być musi (włącznie z rodzinami popów, dyakonów i starszych kleryków) na pół miliona niemal dusz, więc utrzymanie tak licznej klasy kosztem państwa widocznie jest niemożliwe. Powziął tedy hr. Tołstoj myśl zasadniczą następującą: ulepszenia bytu duchowieństwa parafialnego za pomocą zmniejszenia jego liczebności. Wypracowane zostały i następnie wprowadzone rzeczywiście nowe „etaty“ parafij w cesarstwie, na mocy których najprzód znosiła się posada dyakona w każdej parafii, nie posiadającej ludności wyżej pewnie określonej cyfry, dalej zmniejszała się znacznie sama liczba parafij, wskutek czego pozamykano po wsiach znaczną ilość cerkwi. Reforma ta miała na celu po pierwsze: skupienie w większej parafii większych też

środków w ofiarach dobrowolnych[1], bez obciążenia parafian; po drugie: umożliwienie stopniowego zaopatrzenia wszystkich w państwie parochów — przy mniejszej ich liczbie — stałem wynagrodzeniem ze skarbu państwa.

Co do wychowania ludowego w guberniach rosyjskich, to nowe ministerstwo dbało głównie o wzmocnienie bezpośredniego nad szkołami nadzoru swego. W każdym „okręgu naukowym“ naznaczono specyalnych dyrektorów i inspektorów szkół ludowych, urzędników wcale niezależnych od miejscowych wydziałów czyli rad szkolnych, w których przedstawiciele ziemstwa mają udział. Bezpośrednio zakładało ministerstwo szkoły ludowe wyłącznie prawie — w guberniach zachodnich państwa, z językiem wykładowym rosyjskim. W skutek nowych objawów ducha rewolucyjnego, aczkolwiek wypadki owe zgoła nic ze szkołą ludową nie miały wspólnego, reskrypt cesarski z r. 1873 do ministra oświecenia publicznego powoływał marszałków szlachty do zaopiekowania się ludową oświatą, zapowiadając nowe rozporządzenia prawne, któreby podobnej opiece praktyczną dać mogły podstawę.

Otóż w r. 1874 wydana została nowa „ustawa szkół ludowych“, na mocy której nie tyle, co prawda, rozciągniono na te szkoły wpływ czynny marszałków, ile ograniczono, na korzyść dyrektorów i inspektorów ministeryalnych, prawa ziemstwa w rozrządzaniu szkołami przez ziemstwo założonemi. Wybór nauczycieli postawiony był w zupełną od sankcyi inspektorskiej zależność. Wreszcie poddane były w ustawie 1874 roku szkoły ludowe opiece i nadzorowi tylu stron, że wszystkie owe wpływy albo się musiały równoważyć wzajemnie, albo tylko tamować były zdolne dalszy rozwój szkół, nie przyczyniając się też i do pomnożenia liczby takowych w sensie dodatnim. Założyciele (a więc i ziemstwo tylko w tym charakterze), marszałkowie szlachty, archireje dyecezyalni, delegaci duchowni przez nich mianowani, dawne rady szkolne (w których przeważną rolę przyznano teraz inspektorom), gubernatorowie, kuratorowie okręgów naukowych, wreszcie — centralny zarząd ministerstwa — aż tyle różnych żywiołów i organów władzy,

[1] T. zw. jura stolae rozciągają się w Kościele grecko-rosyjskim do pełnienia wszelkich posług religijnych włącznie ze ŚŚ. Sakramentami.

niezgodnych z natury swej, powołano dla piastowania czynności nadzoru nad szkołami ludowemi.

Tymczasem główną albo i jedyną, wprawdzie rzeczywistą, wadą tych szkół była stosunkowo mała ich liczba i liche uposażenie. Zamiast więc wzmacniać nadzór aż do przesady, właściwiej zdawałoby się — dbać o powiększenie ich liczby. Koniec końców ustawa 1874 w rzeczy samej wzmocniła głównie zależność szkół ziemskich od dowolnych rozporządzeń inspekcyi ministeryalnej i dała początek — na razie tylko pewnym zatargom pomiędzy ziemstwem a inspekcyą z powodu szkół, w dalszym zaś ciągu spowodowała ona pewne zniechęcenia ziemstwa do całej tej sprawy, pomimo wielkiej jego w tym przedmiocie zasługi.

W nawiasie tylko chyba nadmienić tu możemy, iż hrabiemu Tołstojowi zawdzięczają zakłady naukowe średnie w Rosyi gruntowną reformę. Ustawy o gimnazyach i szkołach realnych z lat 1871 i 1872 ugruntowały cały system wykształcenia średniego na specyalizacyi, dla pierwszych — filologicznej i matematycznej, dla drugich — technicznej; uczniom szkół realnych zamknięty jest wstęp do uniwersytetów, zaś uczniom gimnazyalnym wolno wstępować do zakładów technicznych wyższych np. górniczego, budowniczego i t. d.

Zanim przejdziemy w zarysie rozwoju szkoły ludowej w Rosyi do chwili dzisiejszej, winniśmy w kilku przynajmniej słowach streścić rezultaty reform hr. Tołstoja w bycie duchowieństwa.

Otóż chybiły one, rzec można, głównych swych celów. Zwyczaj osadzania zięciów lub synów na parafiach teściów albo ojców przestał, co prawda, uchodzić za prawidło obowiązujące, ale bynajmniej zaniechanym jeszcze nie został. Wydane również przez hr. Tołstoja prawo, które znosiło stan duchowny jako stan dziedziczny państwowy, ograniczając prawa tego stanu wyłącznie do osób przyjmujących na się obowiązki duchowne, a nakazując wszystkim innym członkom rodzin „duchownych“ obranie sobie jakiego innego stanu, według uzdolnienia i powołania — prawo to wcale jeszcze nie usunęło odrębności stanu duchownego. Dopóki istnieć będzie cały system szkół wyższych i średnich męskich, a nadto i żeńskich wyłącznie dla synów i córek popów służących i z funduszów po części cerkiewnych, po części

państwowych utrzymanych, dopóty widocznie przechować się będą musiały tak pojęcia dziedzicznego „duchownego stanu“, w państwie, jak również odrębna, czysto kastowa tradycya duchowieństwa.

Zmniejszenie liczby parafij w nowych „etatach“, i w ogóle liczebności duchowieństwa „białego“ ten tylko miało skutek dodatni, iż środki przeznaczone w budżecie państwowym na uposażenie parochów coraz bardziej wzrastały, tak iż obecnie połowa już parochów w państwie pobiera gażę od rządu. Przytem zauważyć należy, iż w zachodnich guberniach państwa pobiera się dotąd od obywatelów-katolików podatek nadzwyczajny t. zw. „kontrybucyjny“, specyalnie przeznaczony na pensye parochom grecko-rosyjskim. Zresztą „skupienie środków“ kilku małych parafij w ręku jednego proboszcza w małym tylko stopniu wzbogaciło proboszczów etatowych. Natomiast zamknięcie albo wyłączenie z „etatu“ znacznej liczby cerkwi po wsiach, w większym daleko stopniu wypadło na korzyść sekciarstwa — fakt sprawdzony oficyalnie i wykazany w sprawozdaniach dzisiejszego prokuratora naczelnego synodu, radcy tajnego Pobiedonoscewa.

Otóż ten nowy zwierzchnik dykasteryi „wyznania prawosławnego“, zamianowany w r. 1880, cofnął rozporządzenia poprzednika swego a dzisiejszego kolegi w ministerstwie[1], przyzwalając na otwieranie cerkwi zamkniętych i zachęcając owszem archirejów do obsadzenia na nowo parochami parafij wiejskich zniesionych poprzednio. Tegoż roku cofnął Pobiedonoscew wydane przez hr. Tołstoja, a oparte poniekąd na zasadzie autonomistycznej statuty akademij duchownych i seminaryów, i przeprowadził w Radzie Państwa r. 1885 nowe dla tych zakładów ustawy, w których rektorom zastrzeżona została na nowo cała pełnia władzy, zaś akademie zostały podzielone na trzy wydziały, a mianowicie jeden czysto teologiczny, zaś dwa inne — przeznaczone specyalnie dla propagandy wyznaniowej wśród „różnowierców“ i wśród dysydentów wielkorosyjskich, t. zw. „odszczepieńców“ Kościoła grecko-rosyjskiego. Na tem tedy skończyła się owa próba, podjęta w celu podniesienia wpływu i znaczenia duchowieństwa.

[1] Hr. D. Tołstoj jest dzisiaj ministrem spraw wewnętrznych.

IV.

Jakeśmy powyżej zaznaczyli, ustawa szkolna z r. 1874, na mocy której działalność ziemstwa w zakresie szkół ludowych zredukowaną została prawie wyłącznie do dostarczania szkołom środków utrzymania, wywołała była w ziemstwie rodzaj zniechęcenia wobec całej tej sprawy. Niemiłe stosunki, jakie po niej zostały między administracyą a ziemstwem, załagodziły się w krótkim okresie (1880—1881) rządów hrabiego Lorys-Melikowa. Ministrowie oświaty radca tajny Saburow a następnie bar. Nikolai, nie stawiali ze swej inicyatywy żadnych kroków w kierunku wycofania ziemstwa ze sprawy ludowej oświaty.

Niepodobna, abyśmy kreślić tutaj mieli przebieg cały zmian ostatnich, jakim uległa polityka wewnętrzna w Rosyi. Wystarczy nam zaznaczyć, iż nowe prądy szkole ziemskiej nie sprzyjają, chociażby z tej już przyczyny, iż nie mają one sympatyi dla szkoły ludowej świeckiej w ogólności, bądź to ziemskiej, bądź jakiej innej, a głównie zadanie szkoły początkowej wskazują na nowo w szczepieniu pojęć religijnych. Zarząd narodowej oświaty nie jest obecnie połączony z prokuratoryą synodu w osobie jednego ministra, jak to miało miejsce w latach 1866—1880. Ministerstwo oświecenia ma dziś własnego zwierzchnika — radcę tajn. Deljanowa, naczelnym zaś prokuratorem Synodu tj. ministrem wyznania wschodniego jest dotąd rad. taj. Pobiedonoscew. Wszelakoż nie ulega wątpliwości, iż ministerstwo oświecenia w najzupełniejszej działa zgodzie z prokuratoryą synodalną, której dzisiejszy przedstawiciel jest mężem stanu o wysokim w państwie znaczeniu i wpływie.

Otóż, w ostatniem sprawozdaniu dorocznem p. Pobiedonoscewa za r. 1884[1] czytamy: „Doświadczenie uczy nas, iż szkoła początkowa wówczas tylko siłę zapładniającą posiadać może, jeśli bezwarunkowo pojęciom ludu o nauce i dusznemu jego usposobieniu odpowiada... Taka w Rosyi być może jedynie szkoła nierozdzielnie połączona z cerkwią i z nauką religii... Szkoła cerkiewno-

[1] Drukowane w październiku i listopadzie 1886 r.

parafialna powołaną jest do możliwego urzeczywistnienia owego kościelnego i wszechnarodowego ideału nauki początkowej, którego rysy, niestety, w przeciągu ubiegłego 25-ciolecia skrzywione zostały przez fałszywe i marzycielskie wyobrażenie o szkole ludowej, jako o środku krzewienia wśród ludu wiadomości realnych, za pomocą sztucznych metod wychowania z cudzoziemskiej zapożyczanych praktyki". W dalszych wierszach tegoż ustępu stawia autor sprawozdania, jako główną i niezbędną zasadę szkoły ludowej, iż musi ona dawać uczniom swym przedewszystkiem umiejętność czytania ksiąg cerkiewnych, tak iżby dzieci były w stanie czytywać w domu starszym włościanom owe książki, a nadto ministrować do nabożeństwa w cerkwi, czytając i śpiewając obrzędowe responsy, psalmy i t. d.

Należy się tu z naszej strony uwaga, iż nauka religii bynajmniej ze szkoły ziemskiej wyłączoną nie była i dotąd, a jeśli gdzie się nieco zaniedbała, to chyba właśnie dla braku czasu wolnego u parochów. Obowiązkowem nadto było też nauczanie pacierza i umiejętności czytania alfabetu cerkiewnego, t. zw. „Kirylicy". Nauczyciele i nauczycielki szkół ziemskich dokładali zazwyczaj wszelkich starań, ażeby oswoić dzieci z czytaniem książek cerkiewnych, a często pomagali parochom lub wyręczali ich w nauce religii, raz dla tego, że na te właśnie przedmioty zwracają główną swą uwagę inspektorowie przy rewizyi szkół, następnie zaś i z tego jeszcze powodu, że niemiłe stosunki z proboszczem nietylko są niedogodne, ale i niebezpieczne dla nauczyciela. Na mocy ustawy 1874 r., proboszcz jest odpowiedzialnym za „moralny kierunek" szkoły; wystarczy kilka uwag ze strony proboszcza w sprawozdaniu jego delegatowi duchownemu lub do konsystorza — w sensie nauczycielowi nieprzychylnym, ażeby ten ostatni zagrożony był utratą swej posady. Gdy więc w wyrazach wyżej przytoczonych mówi się o konieczności połączenia szkoły z cerkwią, to należy tu rozumieć chyba materyalną łączność i zależność szkoły od cerkwi, ponieważ co do przepisów Kościoła, to przestrzegały się takowe w szkołach ziemskich z całą ścisłością, a nawet i wpływowi władzy duchownej podlegały one niewątpliwie.

Bądź co bądź, nowe prądy wyraźnie popierają szkołę cerkiewno-parafialną, ziemskiej zaś nie sprzyjają. Co prawda, w uka-

zie synodu z 12/24 lipca 1884 r. do archirejów dyecezyalnych, w którym polecano duchowieństwu najczynniejszą w zakładaniu szkół cerkiewno-parafialnych troskliwość, znajdowało się zastrzeżenie, iż szkoły owe początkowo tam tylko zakładane być winne, gdzie wcale ludowe szkoły nie istnieją. W okólniku swym, niezadługo potem wydanym, minister oświaty, oddając grzeczność za grzeczność, wszelką przyrzekał sympatyę i współudział zwierzchności pedagogicznej świeckiej w ważnej sprawie zakładania szkół cerkiewnych, stawiając zgóry zasadę, iż szkoła świecka i duchowna nie tylko szkodzić sobie nawzajem nie będą, lecz odwrotnie, jednej służąc sprawie, powinny się wzajemnie popierać i działać w zupełnej zgodzie.

Wszelakoż w tej kwestyi, jak w każdej alternatywie, dwa są terminy do wyboru; zachodzi tedy najpierw pytanie praktyczne: który jest mocniej popierany? Otóż pokazało się dalej, iż duchowieństwo dyecezyalne nietylko że największą objawić musiało czynność w zakładaniu szkół cerkiewnych, pomimo braku środków, aby zadość uczynić wymaganiom energicznym swego zarządu głównego, lecz nadto zwracać się poczęło do ziemstwa w różnych guberniach, zachęcając go otwarcie do odstąpienia szkół ludowych ziemskich — naturalnie, wraz z przeznaczonemi na nie środkami pieniężnemi — w ręce duchowieństwa. Stanęła więc obecnie kwestya w ten sposób, iż duchowieństwo, nie będąc w stanie, dla braku środków, dorównać ziemstwu w tym zakresie, zagarnąćby sobie życzyło szkoły ludowe przez ziemstwo założone i z jego funduszów zaopatrzone w środki dla utrzymania.

Nowy ten peryod, trzeci z kolei w krótkich jeszcze dziejach szkoły ludowej w Rosyi, rozpoczął się od wydania w r. 1884 „ustawy szkół cerkiewno-parafialnych“, jednocześnie z ukazem o najpilniejszem, bezzwłocznem takowych zakładaniu. Ciekawy to poniekąd zbieg okoliczności, iż każda ze trzech stanowczych w życiu szkoły ludowej chwil, każde jej popchnięcie w kierunku z kolei odmiennym, następowały w dziesięć lat jedno po drugiem. Zaznaczone są owe odmiany kierunku przez trzy wzwyż wymienione ustawy: 1864 (Gołownina), 1874 (hr. Tołstoja) i 1884 (radcy tajnego Pobiedonoscewa).

Jakeśmy już podali to na wstępie, szkół cerkiewnych li-

czono w r. 1881 około 4 tysięcy. Wspólnie z innemi szkołami ludowemi znajdowały się one pod zarządem głównym ministerstwa narodowej oświaty. Lecz jak tylko dzisiejszy zwierzchnik administracyi duchownej urząd swój objął, stało się wiadomem wśród duchowieństwa, iż przy synodzie wyznaczony został osobny komitet dla organizacyi szkół cerkiewnych. Naraz zwiększyła się po dyecezyach liczba tych szkół, tak iż przed wydaniem jeszcze ustawy dla nich i odpowiedniego ukazu, liczba szkół cerkiewnych była wyższą już o 547. Skoro wyszły przepisy, czynność w tej mierze wzmogła się w przyśpieszonem tempie, tak iż w ciągu jednego tylko semestru roku 1884, tj. po 1 stycznia 1885, otwarte zostały na nowo jeszcze 1167 szkół cerkiewno-parafialnych, z 33.771 uczniami i nadto — (zostających również pod bezpośredniem kierownictwem duchowieństwa, lecz obsadzonych nauczycielami niekwalifikowanymi) 840 „szkół alfabetu“, z 15.074 uczniami. Nie biorąc pod uwagę tych ostatnich — gdyż trudno zaliczyć do kategoryi szkół prawdziwych, szkoły bez ładu prowadzone przez dymisyowanych żołnierzy i woźnych, a przenoszące się z chaty do chaty — mielibyśmy urzędową liczbę szkół cerkiewnych, wykazaną w ostatniem sprawozdaniu prokuratora synodu — 5714, z 138.921 uczniami.

Taką jest przynajmniej liczba ogólna urzędowa, oparta na doniesieniach archirejów dyecezyalnych. Sprawdzić tej cyfry, oczywiście, nie możemy, gdyż nawet liczba ogółowa szkół ziemskich nie jest nam znaną dokładnie. Zauważyć wszakże powinniśmy, iż dla utrzymania szkół prawidłowych, chociażby jednoklasowych tylko[1] niezbędnem wydaje się *minimum* wydatku rocznego w 300 rubli na jednę szkołę, a więc na blisko 6 tys. szkół potrzeba około 2 mil. rs. Tymczasem ogół środków pieniężnych, przeznaczonych na szkoły parafialne a wymienionych w sprawozdaniu, składa się ze źródeł następujących: 1) wsparcia dorocznego od synodu 55.500 rubli, (a więc po $9^1/_2$ r. na szkołę) 2) kwesty po cerkwiach na rzecz szkół w wielkie tylko święta, 3) dobrowolnych ofiar gmin wiejskich i ofiarności samegoż duchowieństwa ze „swo-

[1] Cerkiewne szkoły mają być jedno i dwu klasowe.

bodnych“ sum cerkiewnych. Jeżeli pierwsze źródło uważanem być musi chyba za procent od jakiegoś małego funduszu, przeznaczonego na szkołę, to pozostałe przedstawiają się jako zbyt nieokreślone a nawet wątpliwe. Bodaj czy nie największą zapomogę znaleść jeszcze mogą szkoły cerkiewne w zapowiedzianem zaopatrzeniu tychże w książki, z obfitych składów synodalnych.

Gdyby wszakże chodziło tylko o zakładanie szkół cerkiewnych przez duchowieństwo, chociażby nawet obok szkół ziemskich istniejących, to cała ta kwestya byłaby drugorzędną, i przedsięwzięcie całe uważaćby można za coś w rodzaju doświadczenia w zakładaniu na wielką skalę szkół najmniej kosztownych. Ponieważ jednak znanem jest usposobienie mające dziś przewagę w Rosyi a nadto udowodnionem już zostało faktycznie dążenie zarządu duchownego do zagarnięcia szkół ziemskich pod bezpośrednie kierownictwo kleru, cała więc rzecz w innem już przedstawia się świetle. Zachodzi pytanie, jaką może być najbliższa przyszłość szkoły ludowej w Rosyi — w ogólności?

Ziemstwo bądź co bądź, pomimo wszelkich przeszkód, z jakiemi musiało walczyć, udowodniło, iż jest ono rzeczywiście w stanie szerzyć wśród mnogich dziesiątków milionów ludu rosyjskiego oświatę: a nie brak szkół ziemskich, liczących kilka klas i prowadzonych wzorowo. Jeśli w przyszłości ziemstwo cofnąć się będzie musiało ze wszelkiego udziału w kierowaniu szkołą przez nie stworzoną, to cofnie ono prawdopodobnie i większą część środków materyalnych, jakich tej szkole dostarcza. Duchowieństwo zaś własnych środków na prowadzenie szkół ludowych albo nie ma wcale, albo tylko posiada niepewne i niewystarczające. Nie jesteśmy zgoła przeciwnikami udziału duchowieństwa w wychowaniu publicznem, owszem udział jego uważamy za niezbędny i w wysokim stopniu pożądany. Lecz nie przesądzając stanowczo o przyszłości, mamy wszakże przed sobą dwojakie poświadczenie o zdolności stosunkowej ziemstwa i duchowieństwa w Rosyi do osiągnienia rezultatów moralnych, do powodzenia w sprawie nauczania ludu. Mamy z jednej strony świadectwo jednogłośne całej prasy rosyjskiej o rozwoju świetnym szkolnictwa w ręku ziemstwa. Z drugiej strony mamy przed sobą świadectwo w sprawozdaniu naczelnego prokuratora synodu, które poucza nas o stosunku w jakim się po dziś dzień znajduje lud rosyjski do owej

nauki pierwotnej, nauki wiary, której szczepienie pierwszym obowiązkiem duszpasterzy, jak dotąd, tak i nadal być musi. Owóż w innem już miejscu — tam, gdzie sprawozdanie bada przyczyny tak łatwego powstawania i krzewienia się w Rosyi różnych sekt religijnych — znajdujemy dwa ustępy, które przytoczyć sobie pozwolimy dosłownie.

„Utrzymuje się i szerzy odszczepieństwo, dzięki nader niedostatecznej nauce religii wśród prawosławnych, mieszkających w sąsiedztwie raskolników, albo mających tychże w swojem łonie. Brak ten graniczy niekiedy z zupełną nieświadomością główniejszych nawet zasad wiary i obyczajów chrześcijańskich: wielu ludzi, którzy się chrześcijanami mianują, najmniejszego nie mają o Jezusie Chrystusie pojęcia, a nawet oblicza Jego nie odróżniają". Przytaczamy dalej odezwę archireja chersońskiego: „Są u nas też przepisy i prawa o nauczaniu najważniejszych prawd religijnych; jest prawo nie dawać ślubu małżeńskiego tym, którzy wiary swej nie znają; lecz ciemnota obróciła owe prawo w literę martwą... Nie dziw iż lud, pozbawiony światła nauki chrześcijańskiej, łatwo się poddaje powiewowi każdej doktryny, z ufnością każdego słucha, kto doń przychodzi w imię religii, czy to odszczepieniec, czy heretyk" [1].

Jeżeli tedy tak opłakanym jest stan znacznej części ludu pod względem nauki religijnej, pomimo iż wszyscy do cerkwi uczęszczają i mają wśród siebie kapłanów, do szerzenia jej bezpośrednio i przedewszystkiem powołanych, to czyż bylibyśmy uprawnieni do przypuszczenia, iż szkoła ludowa w ogóle, przeszedłszy z rąk ziemstwa pod wyłączne tegoż duchowieństwa kierownictwo, nie tylkoby nie upadła, lecz odwrotnie, obfitsze wydawaćby mogła owoce?

Prawdą jest, iż w skutku zmiany w okolicznościach, ziemstwo rosyjskie przechodzi obecnie stan przesilenia. Wobec trudności rozmaitego rodzaju, osłabła w niem znacznie energia i wiele ludzi najbardziej zasłużonych, najbardziej poważanych usunęło się z urzędowania ziemskiego. Objaw ten dobitniej jeszcze na tegorocznych

[1] Sprawozdanie nacz. prokuratora synodu. „Goniec urzędowy" r. 1886 Nr. 227.

(1886) wystąpił wyborach [1]. Są już przykłady, iż ziemstwo w niektórych powiatach zmniejszyć postanowiło wydatki na wychowanie, niezależne nawet od kwestyi przejścia szkół w inne ręce. Zatem przy roztrząsaniu tego ostatniego zagadnienia, z powodu czynionych ziemstwu przez zwierzchności dyecezyalne propozycyj o odstąpieniu szkół ziemskich w ręce duchowieństwa — większość ziemstw zachowywała się dotąd odpornie. Są wszakże i tu przykłady w innym rodzaju. I tak ziemstwo powiatu wolskiego (w gub. Saratowskiej) oddało zarządowi duchownemu wszystkie swe szkoły, wraz z sumą doroczną 5 tys. rubli z budżetu ziemskiego. Ziemstwo powiatu Facieżskiego (gub. Kurskiej) przesłało na zgromadzenie gubernialne wniosek o zamknięciu utrzymywanej dotąd szkoły nauczycielskiej, „gdyż, wobec prawdopodobnego przejścia szkół ludowych pod zarząd duchowny, staje się takowa niepotrzebną". Ziemstwo powiatu Wasilsurskiego (gub. Niż. Nowgrodzka) wypowiedziało w zasadzie, iż oddaje ono pierwszeństwo szkole cerkiewnej, ale w praktyce jednę tylko ze szkół swych poświęciło dotąd „na próbę".

Przeciwnie, ziemstwo kazańskie, na propozycyę władzy dyecezyalnej, uchwaliło odpowiedź odmowną, a przytem otwarcie z takiem wystąpiło zastrzeżeniem, iż skoro szkoły wyszłyby z rąk ziemstwa, to musiałoby z konieczności ustać nadal i wszelkie na nie z sum ziemskich wydatkowanie". Ziemstwa najbardziej światłe a mające poza sobą tradycyę pewnej niezależności, jak np. twerskie, moskiewskie, chersońskie, petersburskie — znalazłyby się oczywiście w szeregu ostatnich, któreby zgodzić się musiały na takie ustępstwa, jak przemianę ich szkół na cerkiewno parafialne. Powtórzmy jednak, iż o przyszłości — nawet na podstawie tych danych — przesądzać nie możemy, całe bowiem zagadnienie łatwo bardzo rozstrzygniętem być może kiedybądź w drodze prawodawczej.

A. B.

[1] Deputaci, członkowie zarządów ziemskich i sędziowie pokoju wybierają się na trzechlecie.

PROROCTWA

JAKO UWIERZYTELNIENIE BOSKIEGO OBJAWIENIA.

Fides nostra rationabile obsequium. Wiara nasza to rozumna ofiara. Wiara nie jest bynajmniej ślepem, nieugruntowanem przypuszczeniem nauki, która się jako objawiona przedstawia, lecz opiera się na ścisłem zbadaniu nie samej nauki w swojej treści, lecz wiarogodności tych, którzy w imieniu Boga naukę tę rozkrzewiali na świecie. Dlatego opowiadający wiarę boskie swoje posłannictwo stwierdzają takiemi znakami, które jedynie Bóg jest w stanie sprawić. Istotnie, jeżeli Bóg przez swoich posłów takie działa znaki, które niewątpliwie uznane być muszą jako od Niego pochodzące, to tem samem przedstawia ich światu jako swoich wysłańców, domagając się zarazem takiej wiary w ich słowa, jakiej domagałby się dla własnych słów swoich. Pierwszeństwo wśród tych znaków zajmują cuda wszechmocnej ręki Bożej, o których choć w krótkości jużeśmy mówili. Drugi znak, którym Bóg swych wysłanników jako prawdziwych Apostołów swej nauki światu przedstawia, są to objawy jego wszystkowiedzącej mądrości, czyli proroctwa.

Co to są proroctwa? Czy są one możliwe, czy można uznać je jako boskie odwieczne widzenie i przepowiednię tego, co się ma stać w przyszłości? Czy mogą służyć jako pieczęć stwierdzająca, że ten, kto pieczęcią tą się posługuje, jest Bożym posłannikiem i od Boga sobie przekazaną naukę opowiada? Oto pytania, nad któremi mamy się obecnie z kolei zastanowić.

I.

A najpierw: co to są proroctwa? Jeśli zapytujemy się pisarzy kościelnych o znaczenie tego słowa, nie jedną otrzymujemy odpowiedź. W najszerszem znaczeniu obejmuje proroctwo wszelką wiedzę, daną na korzyść człowieka przez Boskie oświecenie, w sposób nadzwyczajny i nadnaturalny dla oświecenia rozumu, już to dla skierowania woli po ścieżkach Bożych [1]. W tem znaczeniu nazywano prorokami wszystkich od Boga posłanych nauczycielów i przewodników ludu Izraelskiego. W tem również znaczeniu byli prorokami wszyscy natchnieni pisarze Pisma Świętego [2], także wszyscy nauczyciele uposażeni szczególnymi darami Ducha Bożego, chociaż nie głosili ani żadnych tajemnic wiary, ani dziejów przyszłości. Nie w innem znaczeniu sam Chrystus Pan nazywa proroctwem słowa *Izajasza*, choć nie zawierały w sobie ani żadnej tajemnicy, ani przepowiedni przyszłości: *Obłudnicy! dobrze o was prorokował Izajasz mówiąc: Ten lud czci mię wargami: ale serce ich daleko jest odemnie* [3]. Stąd pokazuje się, jak fałszywem i przeciwnem Pismu św. jest zdanie niektórych teologów protestanckich (Kopp, Baumgarten, Crusius) [4], uczących, że Pismo św. nazywa prorokami wszystkich nauczycieli ludu, chociażby nie byli oświeceni żadnem szczególniejszem światłem Bożem. Owszem, Pismo św. wspomina wyraźnie, że ta nazwa proroków tym tylko należy się, którzy nauczają pod wpływem nadnaturalnego natchnienia, *Albowiem wolą ludzką nigdy proroctwo nie jest przyniesione: ale Duchem św. natchnieni mówili ludzie święci, Boży* [5], jak uczy św. Piotr. w swym liście.

W ściślejszem znaczeniu nazywano prorokami w ogóle wszystkich, którzy przez łaskę Boskiego natchnienia *(inspiratio)* dowie-

---

[1] Porówn. *Deuzinger Religiose Erkenntniss.* Tom II, p. 150.
[2] *Eccles.* r. 47—49.
[3] *S. Mat.* r. XV. w. 7 i 8.
[4] *Biblioth. theolog.* pag. 41.
[5] List II św. Piotra Ap. r. 1 w. 21.

dzieli się o tajemnicach ukrytych i naturalną wiedzą ludzką niedościgłych, bez różnicy, czy tajemnice te odnoszą się do przeszłości, czy do przyszłości lub teraźniejszości. W tem to znaczeniu Samarytanka nazywa Pana Jezusa prorokiem, ponieważ oko Chrystusowe do najskrytszych tajników duszy jej przeniknęło. W tem znaczeniu określa proroctwo św. Tomasz z Akwinu: *Prophetia dicitur quasi procul fans vel procul videns, in quantum scilicet cognoscit et loquitur ea, quae sunt procul ab hominum sensibus*[1]. Proroctwo w tym znaczeniu, według tegoż św. Doktora, jest potrójne. „Niektóre proroctwa odnoszą się do przyszłości; inne do przeszłości... inne do teraźniejszości[2]".

W najściślejszem znaczeniu proroctwo obejmuje jedynie przewidzenie i przepowiednie rzeczy przyszłych, które nie są wiadome i nie mogą być przewidziane naturalnym rozumem ludzkim. A zatem proroctwo, wedle określenia Kassyodora, jest: *divina inspiratio rerum futura immobili veritate denuntians*, „natchnienie Boże, opowiadające rzeczy przyszłe, jako niezmiennie prawdziwe", albo wedle zwykłej definicyi teologów; „proroctwo jest przepowiedzenie rzeczy przyszłych, które nie dają się w naturalnych przyczynach przewidywać, lecz tylko przez Boskie objawienie lub natchnienie[3].

W tych dwóch ostatnich znaczeniach przyznajemy proroctwu wartość pieczęci albo kryteryum Boskiego objawienia; o tych więc dwóch rodzajach proroctwa mówić będziemy w dalszym ciągu naszych studyów.

Z powyższego określenia proroctwa wypływa, że dwie rzeczy w niem rozróżniać należy: wiadomość praw ukrytych, i ich przepowiednie; pierwsza jest czynnością rozumu, druga woli; obiedwie zaś czynności zostają pod bezpośredniem działaniem Boga, który nadprzyrodzonem oświeceniem objawia rozumowi ludzkiemu wiadomości ukryte i zarazem pobudza wolę do ich głoszenia czuwając, ażeby prorok nie inaczej przedstawił objawioną prawdę, jak On tego wymaga.

---

[1] P. III, q. 7 a. 8.
[2] P. II, II, q. 171 a. 3.
[3] Kard. *Gotti Verit. Relig.* t. IV, c. II.

Ponieważ racyonaliści przekręcają naturę tego nadnaturalnego oświecenia Bożego, należy mu się bliżej przypatrzyć.

Gdy Bóg udziela człowiekowi łaskę uczynkową *(gratiam actualem)*, oświeca jego rozum nadnaturalnem światłem, tj. pokazuje mu w nadnaturalnem świetle pewną prawdę *(gratia illustrationis)* a zarazem pobudza jego wolę siłą nadprzyrodzoną do działania, wedle prawdy rozumowi objawionej *(gratia inspirationis)*. Pytam więc, czy nie zachodzi różnica między tem oświeceniem rozumu i pobudzeniem woli przez łaskę uczynkową, a oświeceniem i pobudzeniem rozumu i woli, użyczonych przez Boga prorokowi? Bezwątpienia zachodzi różnica i to bardzo wielka. Oświecenie, które Bóg udziela razem z łaską uczynkową, należy do zwyczajnego porządku Opatrzności nadprzyrodzonej, którą Bóg do nadprzyrodzonego celu prowadzi człowieka, i ze względu na ten cel, jest ono każdemu człowiekowi koniecznie potrzebnem; dlatego to niezliczone razy w życiu codziennem udziela go każdemu człowiekowi; zwyczajnem jest ono żywiołem życia ludzkiego, i człowiek ma nawet poniekąd do niego prawo, w pewnych granicach przez Boga naznaczonych. Pomimo to nie każdy człowiek, który otrzymał te dary, jest już prorokiem, bo oświecenie rozumu i z niem połączone pobudzanie woli, potrzebne prorokowi jest zupełnie inną, nadzwyczajną łaską *(gratia gratis data)*, bynajmniej człowiekowi do zabezpieczenia sobie zbawienia nie konieczną. Nawet u tego, który tę łaskę otrzymuje, nie ma ona zadania przyczyniać się do jego cnotliwego życia, ale służy dla korzyści innym. A jak z jednej strony przedmiotem tych oświeceń proroczych nie są to prawdy już poznane, a świecące tylko chwilowo boskim światłem w duszy, aby ją do cnotliwych uczynków pobudzić, lecz są to prawdy jeszcze nieznane, ukryte czyto w głębi dusz ludzkich, czyto w skarbach Boskiej mądrości lub w nieobliczonych drogach działania sił naturalnych, prawdy przez rozum ludzki nie zbadane; tak z drugiej strony pobudzenie woli proroka do tego jedynie celu zmierza, aby prawdy objawione ogłosić innym, nie zachowując takowych tylko dla siebie przez zastósowanie do nich wyłącznie własnego życia. Oświecenie to prorocze jest darem Bożym, do którego żaden człowiek prawa nie ma; jest to dar wyjątkowy w porządku natury

i łaski, należy on do rzędu cudów, bo działanie Boga na ducha proroków w prawdziwie cudowny sposób odbywa się.

Dar proroctwa nie ma więc nic wspólnego z inspiracyami geniuszów, których przedmiot nie przechodzi granic ducha ludzkiego, jakkolwiek wzrok ludzki nie zawsze równie daleko zdolny jest sięgnąć i przedmiot jakiś ze wszech stron równie głęboko przeniknąć. Nieraz materyalna powłoka, w której duch ludzki jest zatopionym, tak staje się gęstą i nieprzejrzystą, że nie dozwala wzroku głębiej, do wnętrza rzeczy zapuścić. Aby tę zasłonę podnieść nie potrzeba żadnego cudu, lecz wystarcza szczęśliwa jakaś chwila, czy okoliczność, która uwalnia ducha z ciężkiego tego jarzma materyi. A zatem, mylą się filozofowie racyonaliści, kiedy proroctwa religijne stawiają na tym samym stopniu, co arcydzieła sztuki albo polityki; myli się np. Wegscheider, skoro proroków przedstawia jako mędrców, „którzy po nad innych uposażeni szczególnymi przymiotami, wsparci szczęśliwie rozwijającem się biegiem wypadków rzucają nasienie wiedzy, umiejętności, ludzkości i własne swe przekonania o religii, rozszerzają i ustalają swą powagą". Myli się niemniej Bretschneider, kiedy mówi: „Musimy staremu światu oddać słuszność, jeśli wszystko, co w sztuce i wiedzy jest doskonałem, wyprowadza z jakiegoś natchnienia Boskiego. Z tego też źródła wypływa cała doskonałość religii, która takie natchnienia nazywa Objawieniem". Tak samo wyrokuje szkoła panteistyczna, a w jej imieniu Strauss. „Wszelka myśl, której prawdę czuje się, a jednak „nie można przypisać jej pochodzenia od ducha własnego, wydaje „się jako Boskie natchnienie, a gwałtowny pociąg do jej wypowie„dzenia przedstawia się jako Boski rozkaz do jej ogłoszenia. W lu„dziach fizycznie lub moralnie egzaltowanych, rdzeń takiej myśli „łatwo mógł przybrać formę ekstazy i przewidzenia (wizyi) [1].

Każde proroctwo musi nosić na sobie potrójny charakter: 1°. Przepowiednia musi być z największą pewnością ogłoszona, a więc ogłoszenie to nie może być jakiemś przypuszczeniem na domysłach opartem; boska bowiem wiedza, źródło tej przepowiedni, nie opiera się na wątpliwych domniemaniach, ale równocześnie całą

[1] *Glaubenslehre* §. 7. Porów. *Spinoza* Tract. Theol.-polit. c. 1.

przestrzeń czasu, wieczności obejmuje wszystko widzącem okiem. 2⁰. Przedmiot przepowiedni musi odnosić się do przyszłości, a przytem tak ma być zakrytym, że w naturalny sposób nikt go przewidzieć nie może. Zresztą obojętną jest rzeczą w proroctwie, czy rzecz przepowiedziana zależy od postanowień wolnej woli Bożej, czy też jest czemś wypływającem z sił naturalnych, byleby tylko była nieprzewidzialną w naturalnych swoich przyczynach i nie wypływała z wolnej woli ludzkiej. 3⁰. Nie może być dwuznacznem tak dalece, aby jego znaczenie można było zastósować do każdego wypadku, jak np. dawne orzeczenia pogańskich wyroczni, które dla swej dwuznaczności dawały się zastósowywać do wprost przeciwnych wypadków.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, wypływa: że Bóg jest bezpośrednią przyczyną proroctwa, odsłaniający człowiekowi prawdy ukryte, mające dopiero w przyszłości się wypełnić i oczom ludzkim okazać. Prawdy te objawia Bóg w sposób nadzwyczajny, przechodzący wszystkie prawa natury i przewyższający siłę rozumu ludzkiego.

II.

Z tak określonego pojęcia proroctwa wypływa drugie pytanie: czy proroctwa są możebne? To znaczy, czy Bóg rzeczywiście przewiduje przyszłość, czy człowiek jest w stanie Boską wiedzę wyczytać z nieomylną dokładnością, albo czy Bóg sam może człowiekowi jej udzielić, a człowiek czy zdolnym jest udzielone sobie pojęcia Boże bez błędu objąć swojemi słowami? Wszystkie te pytania logicznie jedne z drugich nasuwają się, łącząc się razem na treść drugiego pytania o możliwości proroctwa.

W obec pierwszego pytania: czy Bóg przewiduje wszystko co jest ukrytem w przyszłości, wrzekomi myśliciele a wyznawcy racyonalizmu dzisiejszego stoją jeszcze na stanowisku dawnych pojęć pogańskich filozofów. Przyszłość, mówią, zależy w większej części od wolnych działań ludzi. Gdyby Bóg mógł przewidywać dzieła pochodzące od wolnej woli człowieka, to wtedy zniknęłaby wolność działania, albowiem to, co Bóg przewidzi, koniecznie ziścić się musi, to już nie może być wypływem wolnej woli człowieka. Wol-

ność woli w tem okazuje się, że nie działa koniecznością zmuszona, lecz może coś uczynić lub nie uczynić; jakżeby zaś mogła nie uczynić, jeżeli Bóg uczynek ten od wieków przewidział? Do tego rezultatu doszli Stoicy, tak uczyli Seneka i sam nawet Cicero [1].

Chrześcijańska filozofia od wieków powtarza decydującą odpowiedź na te dowody pogańskiego filozofa, a jednak głośny myśliciel niemiecki (Kant), nic o niej nie wiedząc, powtarza mądrość pogańską. „Wszystkie proroctwa, przepowiadające niechybny los jakiegoś narodu, na który z winy własnej a więc z własnej swej woli zasłużył, są zupełnie zbyteczne, bo losu uniknąć nie można, a nadto, są niedorzeczne przedstawiając taki mechanizm wolnej woli, który się sprzeciwia samemu jej pojęciu“ [2].

Dziwna rzecz zaprawdę, że ci uczeni mówią o Bogu, jako nieskończenie doskonałej istocie, a jednocześnie odmawiają Mu znajomości przyszłości, choć trudno, aby sądzili, że znajomość taka nie jest doskonałością. Widocznie nie pojmują oni wieczności Bożej, nie mają wyobrażenia o wiecznym Jego akcie poznawania. Wieczność Boga, to niezmierne istnienie Boga, nietylko bez początku i bez końca, ale także bez jakiejkolwiek odmiany, gdzie teraźniejszość nie następuje po przeszłości, ani przyszłość po teraźniejszości. Życie Boskie jest nieskończonem i równocześnie obecnem wszystkim odmianom naszego czasu; co dla nas jest przeszłością, przyszłością i chwilą obecną teraźniejszości, to u Boga jest jednem i temsamem niezmiennem t e r a z. Stąd filozofowie chrześcijańscy wieczne życie Boże określają jako: *interminabilis vitae tota simul et perfecta possesio* [3]. Jeżeli mówimy o Bogu,

---

[1] *Nihil est tam contrarium rationi et constantiae quam fortunae, ut mihi ne in Deum quidem cadere videatur, ut sciat quid casu et fortuito futurum sit. Si enim scit, certe eveniet. Si certe eveniet, nulla fortuna est. Est autem fortuna. Rerum igitur fortuitarum nulla est praesensio. De divinit.* l. II, c. 7. et 5.

[2] *Anthropologie* str. 103. Protestancki teolog *Wegscheider*, prawie temi samemi słowami to samo powtarza: *Quaevis praedictio divinitus patefacta, qua factum in evitabile hominis aut populi cujusdam quod ex re quadam ab ipsis perpetranda pendeat, diserte nuntiatur, ideae Dei sanctissimi et benignissimi repugnat, fatalismum fovet et libertatem hominum moralem tollit.* §. 49 str. 217.

[3] *Boëtius* de Consolat l. 5 pros. 6.

że był w dawniejszych wiekach i że będzie w późniejszych czasach, nie wyrażamy istnienia Bożego, jak samo w sobie jest, ale je mierzymy zmiennym biegiem czasu tak, jak się nam zmiennem i w czasie żyjącym przedstawia. Dla nas jest czas, który upłynął, stąd mówimy, że Bóg wtedy był; jest dla nas czas, który dopiero przyjdzie, stąd mówimy, że Bóg i wtedy będzie; jest wreszcie czas, który nazywamy chwilą obecną, lub teraźniejszością, stąd mówimy, wedle naszego sposobu myślenia, że Bóg jest; lecz w życiu Boga, słowa: b y ł, j e s t i b ę d z i e, są jednem i tem samem niezmiennem j e s t [1]. Życie Boże to wieczność, w której nic nie upływa, nic nie następuje, ale wszystko trwa obecnie. „Twoje „lata, mówi św. Augustyn, ani idą, ani nadchodzą; nasze zaś za„wsze idą i nadchodzą, aby wszystkie przeszły. Twoje lata wszy„stkie razem trwają, ponieważ trwają, ani też nadchodzące nie „usuwają idących, bo nie upływają; nasze atoli wtedy będą wszy„stkie, kiedy wszystkie być przestaną. Twoje lata są dniem jednym, „a dzień Twój nie składa się w tygodnie, ale zawsze jest dzisiaj, „a Twój dzień dzisiejszy nie ustępuje jutrzejszemu, ani po wczo„rajszym nie następuje. Dzień dzisiejszy u Ciebie jest wiecznością“ [2].

Istniejące obok Boga stworzenia wciąż podlegają coraz innym zmianom, a przechodząc z nieistnienia do istnienia i odwrotnie jedne ustępują miejsca drugim. Te, które już przeminęły, tworzą przeszłość, te które nadejść mają, tworzą przyszłość a wreszcie te, które są obecne, składają się na teraźniejszość. Ciągły ten ruch stworzeń wytwarza nasz czas. Nie są one Bogu współczesne, bo nie trwają nieustannie, ale obok Boga i wobec Boga trwają w swej istotnej zmienności. Bóg swą wiecznością ogarnia wszystkie czasy, wszystkim jest równocześnie obecny, nasze zaś czasy nie ogarniają

---

[1] Pięknie o tem mówi św. Augustyn *Quamvis enim illa natura immutabilis et ineffabilis non recipiat* ***fuit*** *et* ***erit****, sed tantum* ***est****, ipsa enim veraciter* ***est****, quia mutari non potest, et ideo illi soli convenerat dicere: Ego sum... tamen propter mutabilitatem temporum, in quibus nostra versatur mortabilitas et nostra mutabilitas, non mendaciter dicimus, et fuit et erit et est. Fuit in praeteritis saeculis, est in praesentibus, erit in futuris. Fuit quia nunquam defuit, erit quia nunquam deerit, est quia semper est. S. August.* in Joann. Tract. 99 n. 5.

[2] *Augustyn.* Wyznania ks. XI, r. 13.

całej wieczności Boga, bo upływają, a więc ich już niema; nadchodzą, a więc jeszcze ich niema. Filozofowie chrześcijańscy wyrażali tę prawdę w krótkich słowach: *Temporaria omnia coëxistunt* ***toti*** *aeternitati Dei, sed non* ***totaliter.*** Każda chwila czasu współistnieje z całą wiecznością, a nie tylko z jakąś jej cząstką, bo wieczność jest nierozdzielona, to też jest ona chwilą, ale nieustannie trwającą; chwila zaś czasu nie ogarnia swą trwałością nieskończonej chwili wieczności. Wieczność Boga ogarnia wszystkie czasy w ten sposób, że jej nieustanne i niezmienne teraz równie obecne jest wszystkim odmianom czasu: tak naszej przeszłości i przyszłości jak teraźniejszości. Rozumiemy dobrze, że tak być musi, chociaż nie jesteśmy w stanie pojąć, jak to być może.

Byt Boga, to oglądanie, to widzenie; Bóg bowiem to nie skończony duch, którego życie jest poznaniem wszelkiej prawdy, jak to pięknie św. Augustyn wyraża: *Primus ac summus intellectus, cui non est aliud vivere et aliud intelligere, sed id quod est* ***intelligere, hoc vivere, hoc esse*** *est, unum omnia* [1]. Bóg mocą swej wieczności równie jest obecnym wszelkim odmianom czasu, a więc równie obecne jest jego widzenie wszystkim tym odmianom. A zatem, Bóg widzi to, co nam jest przeszłem, ale widzi to jako obecne; widzi to, co dla nas jest przyszłem, ale widzi to nie jako przyszłe, lecz jako obecne. „Wiemy, mówi św. Grzegorz W., że wobec Boga niema przyszłości, przed okiem Jego niema przeszłości, nie przechodzą teraźniejsze rzeczy i nie przychodzą przyszłe, bo wszystko to, co dla nas było i będzie, przed okiem Jego jest obecnem, i dlatego raczej widzi wszystko, aniżeli przewiduje“ [2]. W podobny sposób, chociaż innemi słowy, przedstawia tę samą prawdę św. Augustyn, gdy mówi: „Cóż to jest przewidzenie, jeśli nie widzenie przyszłych rzeczy? Cóż jest przyszłość wobec Boga, który jest ponad wszystkie czasy? Jeśli widzenie Boga same rzeczy ogląda, to te rzeczy nie są dla Niego przyszłe, lecz obecne; i dlatego już je nie przewidzeniem, lecz widzeniem nazwać należy“ [3].

---

[1] *Augustyn.* De Trinit. l. 6, c. 10, nr. 11.

[2] Moral. l. 20, c. 23.

[3] Aug. de div. quaest. ad Simplic. l. 2, c. 2, nr. 2.

Posłuchajmy jeszcze co o tem mówi Doktór Anielski: Bóg poznaje wszystkie przypadkowe *(contingentia)* rzeczy nie tylko o ile one zawarte są w swych przyczynach, ale także, o ile każda z nich jest w swej rzeczywistości. A chociaż wszystkie przypadkowe rzeczy gdy się urzeczywistniają kolejno jedna po drugiej *(successive)*, wstępują po sobie, jednak Bóg nie poznaje je jedna po drugiej, tak jak my poznajemy, ale razem, równocześnie, bo poznawanie Jego wieczne jest, tak jak Jego byt jest wieczny; wieczność zaś cała razem będąc, ogarnia czas całkowity“ [1]. Dlatego wszystko, co w czasie istnieje, dla Boga jest obecne od wieczności; Boskie bowiem oglądanie *(intuitio)* od wieczności odnosi się do ich obecności, jaką mają u Boga [2].

Oto dogmat rozumu, na który chrześcijańska filozofia wszystkich czasów zgadza się. Stąd jako konieczne następstwo jasno wynika, że przewidzenie Boże, a zatem i przepowiedzenie przyszłych rzeczy, nie sprzeciwia się wolności człowieka. Czyż ktoś drugi z całą wolnością czegoś nie czyni, dlatego że patrzę się, co i jak czyni? Każdy odpowie przecząco. A przecież uczynek, na który się patrzę, koniecznie jest i nie może nie być. Podobnie ma się Bóg co do rzeczy przyszłych i uczynków zależnych od wolnej woli człowieka. Bóg widzi je jako obecne, a podobnie jak moje widzenie nie przeszkadza wolności, tak i Boga widzenie nic im nie przeszkadza. Zaiste, to, co Bóg widzi jako obecną rzeczywistość, jest i nie może nie być; a jeśli to, co Bóg widzi, w naszem pojęciu należy do przyszłości, to niechybnie stanie się; dlatego, to co Bóg przewiduje, musi koniecznie ziścić się. Między przewidzeniem Boga a przyszłym od wolnej woli człowieka, zależnym uczynkiem, zachodzi stosunek konieczności; ale jest to, jak filozofia chrześcijańska wyraża się k o n i e c z n o ś ć r z e c z y w i s t o ś c i *(necessitas consequens)*, jestto konieczność, która wynika z rzeczywistości, ponieważ w rzeczywistości taką będzie, i wola rzeczywiście do takiego a nie innego czynu zdecyduje się; Bóg ją przewiduje a raczej widzi, jaką ona jest, a ponieważ pochodzi od wolnej woli lu-

[1] Summa Theol. p. I q. 10, a. 2 et 4.
[2] De Veritate q. 2, a. 12.

dzkiej, przeto Bóg ją przewiduje, lub widzi, jako pochodzącą od tej wolnej woli. Nie jest to konieczność poprzedzająca *(necessitas antecedens)*, która przyprowadza do skutku samą rzeczywistość, albowiem nie dlatego, że Bóg przewiduje przyszłe czynności wolnej woli ludzkiej, one nastąpią, ale dlatego, że nastąpią, Bóg je przewiduje [1].

Rozróżnianie tej podwójnej konieczności nie jest bynajmniej subtelnością scholastyczną, ale jest w codziennem życiu bardzo często powtarzającem się wypadkiem; nie dziw przeto, że filozofia chrześcijańska znała dobrze to rozróżnienie już wtedy, kiedy o scholastyce i scholastykach mowy nawet jeszcze nie było. Posłuchajmy słów św. Augustyna: „Ponieważ Bóg przewiduje naszą wolną wolę, wolną ona będzie, bo wolną przewiduje. Lecz nie mogłaby być wolną, gdyby w jej władzy nie było możności zdecydowania się według upodobania: więc i tę władzę zdecydowania się według własnego upodobania Bóg przewiduje. A zatem Jego przewidzenie nie pozbawia wolnej woli. I owszem, tem pewniej wola zatrzymuje swą dowolną władzę zdecydowania się do tej lub owej czynności, że Bóg, który w przewidywaniach swoich się nie myli, przewiduje, że dobrowolnie wola się zdecyduje“ [2]. Św. Anzelm również to samo potwierdza: „Jeśli mówię, że to, co Bóg przewiduje, stanie się koniecznie, to mówię, że jeśli coś będzie, to z koniecznością będzie, ale ta konieczność nie przymusza mię do tego co będzie, ani przeszkadza, żeby było albo nie było“. Bóg więc przewiduje przyszłość, ale przewidzenie to najmniejszej nie stawia przeszkody uczynkom z wolnej woli człowieka zrodzonym; w niczem wolności jego nie tamuje.

Zbadawszy, o ile zbadać się da, jak Bóg przyszłość przewiduje, nasuwa się nowe pytanie: w jaki sposób wiedza Boska przechodzi do wiadomości proroka? Mówiono i pisano nieraz, że prorocy czytają prawdy Boże w księdze Boskiego przewidzenia, albo że oglądają zmienne rzeczy naszych czasów w niezmiennej prawdzie Boskiej mądrości. W niedawnych czasach ontologowie upodobali

---

[1] *Św. Anzelm* mówi. *Est ne cessitas praecedens, quae causa est, ut sit res, et est necessitas sequens quam res facit.*

[2] *Św. Aug. De liber. arbitr.* l. 3, c. 3.

sobie w takim sposobie mówienia; dawniejsi wielbiciele mistycyzmu twierdzili, że prorocy oglądają samą istotę Boga, nie o ile ona jest przedmiotem uszczęśliwiającego oglądania świętych w niebie, lecz jako *speculum aeternitatis*, zwierciadło wieczności, zawierające w sobie wszystkie obrazy rzeczy przeszłych i przyszłych, słowem obrazy jakichkolwiek rzeczy wszystkich czasów, i nie tylko czasów, ale samej wieczności nieskończonej. Stąd w Boskiej istocie widzą i przyszłe rzeczy[1]. Jest to jednak illuzya, źródło swe mająca w zamianie dwóch pojęć, tem samem słowem wyrażonych, ale w rzeczywistości nieskończenie od siebie różnych. Pierwsze pojęcie, które rodzi się w ludzkim rozumie, to pojęcie bytu, *entis*, bytu absolutnego; otóż tak dawniejsi jak nowsi ontologowie, wyobrażają sobie, że to pojęcie jest istnieniem samego Boga i jego istoty, bo Bóg, to uosobienie bytu absolutnego. Zapewne, ale nie w tem rozumieniu które podsunąćby chcieli. Bóg jest bytem absolutnym, ale absolutnym przez pełność wszystkich doskonałości, ten byt, to absolutna doskonałość; byt, którego pojęcie wschodzi pierwsze w umyśle ludzkim, to byt absolutny, ale absolutny brakiem wszelkiej doskonałości, to jestestwo oderwane, wszelkiej jakości pozbawione. Istoty Boskiej w śmiertelnym życiu nie oglądamy; jest to przywilej nieba, na ziemi zaś nikt Jej nie widział. *Teraz*, jak mówi św. Paweł (1 kor. r. XIII w. 12) *widzimy przez zwierciadło, przez podobieństwo, lecz w on czas twarzą w twarz.* Jest to zarazem dogmat wiary i dogmat rozumu. *Boga żaden nigdy nie widział: jednorodzony Syn, który jest na łonie Ojcowskiem, On opowiedział.* (Ew. św. Jana r. I. w. 18). Kiedy więc Doktorowie katoliccy wyrażają się, że prorocy czytają w księdze Boskiego przewidzenia, albo w Prawdzie niezmiennej, widzą rzeczy zmienne naszego czasu, dobrze ich zrozumieć należy, słowami bowiem temi to jedynie chcą zaznaczyć, że to, co Bóg w swej wiecznej Prawdzie posiada, tajniki przyszłości wiedzą swą przenikając, to udziela także prorokom swoim. *Principium proprium eorum, quae divino lumine prophetice manifestantur, est ipsa Veritas primâ quam Prophetae in se ipsa non vident*[2].

---

[1] Relata a S. Thoma. Summa 2.2, q. 173. a. 1.

[2] S. Thom. 2.2, q. 171. a. 4.

Prorocy nie oglądają więc Boga, aby mogli z oglądania, z tego morza prawdy, czerpać znajomość przyszłości, lecz Bóg sam swą wiedzę im udziela. Nasuwa się tu logicznie nowe pytanie: czy taka komunikacya możebna? Możnaby na to odpowiedzieć, że Bóg sam to wykonać potrafi, do czego dał człowiekowi pewną moc i zdolność. Zdolni jesteśmy nasze myśli i domysły tyczące się przyszłości innym udzielać, dla czegóżby sam Bóg nie mógł komuś udzielić swoich nieomylnych prawd? Odpowiedź ta jednak, jakkolwiek dobra, nie rozwiązałaby, lecz raczej rozerwałaby zawikłany węzeł. Dlatego, idąc śladem starszej szkoły, dokładniejszej na dane pytanie szukajmy odpowiedzi.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę, że komunikacya ta, jakkolwiek nadnaturalnym sposobem udzielona, zastósowaną jest jednak zarazem do natury rozumu ludzkiego. Udzieloną ona być musi w sposób nadprzyrodzony, o ile rozum ludzki nie przychodzi do znajomości przyszłych rzeczy drogą własnego domysłu, własnego dorozumiewania się, ani mocą swych sił naturalnych, ale znajomość ta powstaje w rozumie ludzkim jedynie przez działanie Boga, bez żadnej pracy osobistej, bez użycia sił wrodzonych. Z drugiej strony komunikacya ta musi odpowiadać naturze rozumu, bo prawda, którą Bóg prorokowi udziela, musi być przyjętą jego rozumem, musi być uznaną, zrozumianą, musi stać się własnością rozumu proroka. Co więcej, w każdem dokładnem poznaniu należy rozróżnić dwa żywioły: zrozumienie rzeczy, która ma być poznaną, czyli jej pojęcie *(acceptatio sive repraesentatio rerum)* i uznanie rozumne nie tylko istnienia i treści danego pojęcia, ale także jego prawdziwości i pochodzenia[1].

Stósownie do tych dwóch żywiołów dokonuje się poznawanie prorocze przez podwójną działalność: Boga objawiającego i proroka przyjmującego objawienie. Bóg podaje rozumowi proroka przedmiot poznania, który ma przyjąć, przez nadnaturalne jakieś wyobrażenie; Boska to mowa, objawienie Boskie *(locutio Dei, revelatio Dei)*. Temu Boskiemu działaniu odpowiada ze strony pro-

[1] Circa cognitionem humanae mentis duo considerare oportet, scilicet acceptationem sive repraesentationem rerum, et judicium de rebus repraesentatis. S. Thom. 2.2. q. 173, a. 2.

roka przyjęcie tego wyobrażenia lub tej mowy własnym żywotnym działaniem rozumu, a to przyjęcie nazywamy widzeniem, słuchaniem *(visio, auditio)*. Nadto, jeśli poznanie prorocze ma być zupełnem i doskonałem, musi prorok uznać je z pewnością, któraby nie dopuszczała żadnej wątpliwości, tak co do treści objawienia jak i jego boskiego pochodzenia i boskiej jego prawdziwości. Działanie Boskie, stwarzające to uznanie i niezachwianą pewność i świadomość w umyśle proroka, o boskiej prawdziwości otrzymanego objawienia, nazywa się światłem proroczem *lumen propheticum*. Z światłem tem łączy się natchnienie, którem Bóg skłania wolę proroka do ogłoszenia objawionej prawdy, a ze strony proroka łączy się chęć głoszenia tejże w sposób od Boga wskazany i następnie wykonanie tego pragnienia, przyczem Bóg czuwa nad prorokiem, ażeby nie mięszał z boską prawdą swoich własnych i naturalnych dorozumiewań.

Jak prorocze światło, którem prorok poznaje, że wiadomość, którą otrzymał, od Boga pochodzi, należy rzeczywiście do samej istoty proroctwa, łatwo poznać choćby z tego, że nikt jeszcze nie nazwał prorokiem Faraona, chociaż otrzymał on od Boga we śnie wiadomości odnoszące się do przyszłości, o przyszłych siedmiu latach urodzajnych i następujących po nich siedmiu latach niedostatku, ani Nabuchodonozora, który widział, w okazanym sobie posągu, całą przyszłość dziejową narodów.

Zbytecznem jest jednak, nawet w prawdziwem proroctwie, ażeby prorok w boskiem świetle poznawał całą treść, całą pełność znaczenia, zawierającego się w wyobrażeniu od Boga sobie danem. To, co prorok poznaje, jest prawdą, i świadom jest, że poznaje prawdę i to prawdę Boską, ale z tego nie wynika jeszcze, że poznał tę prawdę w całej jej pełni, że ją ze wszechstron wyczerpnął. Tyle poznaje, ile Bóg w swej mądrości chce żeby poznał i zrozumiał. Mogą zatem i dla proroka w ogłoszonej przezeń prawdzie mieścić się tajemnice i ciemności [1].

Jest to zresztą rzeczą całkiem naturalną. Boska wiedza tak

[1] *Etiam veri prophetae*, mówi św. Tomasz z Akwinu, *non omnia cognoscunt, quae in eorum visis aut verbis aut etiam factis Spiritus Sanctus intendit. S. Thom.* 2. 2. q. 173 a. 4.

nieskończenie przewyższa ludzki rozum, że jej pełność nie może mieścić się w ciasnych granicach tegoż rozumu, który nawet pod wpływem boskiego światła nieskończoności nie przybiera. „W objawieniu proroczem, Duch Boży działa na umysł proroczy, ale ten „umysł zostaje pod tem działaniem narzędziem niedosięgającem pełności sił Ducha w nim działającego“ [1]. Prawdę tę, uznawaną zawsze przez wszystkie szkoły katolickie, zupełnie przekręca teraźniejszy racyonalizm, odmawiając prorokom wszelkiej jasnej znajomości ogłoszonych prawd i wypadków przyszłych, przyznając im natomiast co najwięcej ciemne jakieś domyślanie się, lub oczekiwanie lepszej przyszłości, bez jakiegokolwiek istotnego powodu, opartego na boskiej obietnicy. Obszerniejszy rozbiór i krytykę tego sposobu zapatrywania się zostawić musimy wszakże do chwili, w której zdamy sprawę z racyonalistycznych tłumaczeń proroctw Messyańskich. (Dok. nast.)

Ks. A. Langer.

[1] *Św. Tomasz* tamże.

W SPRAWIE SĄDOWNICTWA CZERWONORUSKIEGO

przed r. 1435.

(Dokończenie).

Jako namiestnik królewski jest zatem starosta małopolski i wielkopolski najwyższym organem sądownictwa w kraju. Sąd, w którym on występuje w takim charakterze namiestnika i zastępcy panującego, nosi na sobie cechy sądu królewskiego, jest on w nim najwyższym sędzią, który sam załatwia ostatecznie sprawy wytoczone przed jego *forum*. Obecni na takim sądzie *Barones terrae* mają tylko głos doradczy, tak, że starosta wydając wyrok działa *auctoritate Capitaneatus* a tylko *de consilio Baronum terrae sententialiter diffinito*[1]. Że władza sądowa starostów tych, jako namiestników królewskich, postawiona na równi z juryzdykcyą samego panującego, wykonywaną jest tylko z upoważnienia i w zastępstwie tegoż, to zaznaczają częstokroć ówczesne dokumenta królewskie, ile razy np. król, uwalnia jaką osobę od juryzdykcyi organów krajowych, zapewnia jej równocześnie przywilejem, że takowa odtąd będzie odpowiadała tylko przed nim samym lub jego starostą, który w tym wypadku działać ma w zastępstwie panującego[2]. Fakt ten w tem się też uwydatnia, że w imieniu starosty wielkopolskiego jako namiestnika królewskiego wykonują podobnie jak w imieniu króla juryzdykcyą inni urzędnicy krajowi np. kasztelan, o którym

[1] Rzyszczewski i Muczkowski. Cod. dipl. Pol. t. II, str. 228. Kod. W. Polski nr. 1033.

[2] Kod. W. Polski nr. 1188 i 1354.

czytamy np. w dokumencie z r. 1306, że *tenet castrum nomine Capitenei*[1]. Stanowisko to starosty-namiestnika określają w podobny sposób statuta Kazimierza Wielkiego przyznające mu na polu sądownictwa miejsce zastępcy panującego, mającego tegoż wyręczać w sprawowaniu najwyższej juryzdykcyi. Ile mianowicie razy jest w nich mowa o sprawach podlegających juryzdykcyi królewskiej, zawsze dodaną jest wzmianka, że będzie ona sądzoną *coram Rege aut Capitaneo eius*[2]. Z wielu innych jeszcze względów okazuje się, że starostowie ci występujący w charakterze namiestników królewskich, zastępują króla w sprawowaniu juryzdykcyi najwyższej. I tak spostrzec można, że podobnie jak sam panujący wydają oni inhibicye, zawieszające w działalności niższe instancye sądowe[3], zatwierdzają wyroki sądów ziemskich[4], że dalej pozwy na sądy ziemskie w Wielkopolsce wychodzą w wiekach średnich a nawet jeszcze znacznie później nie w imieniu króla lecz starosty[5]. Najgłówniejszą zaś atrybucyą tej władzy starościńskiej jest uświęcona w statutach Kazimierza W. zasada, że od wyroków starosty nie ma już odwołania do wyższej instancyi, podobnie jak od wyroków samego króla[6].

W tej rozciągłości utrzymuje się władza starostów generalnych wielkopolskiego i małopolskiego przez długie czasy — uszczupla się ona tylko nieznacznie mimo silnego wpływu, jaki na instytucyę starostów w ogóle wywierało wytwarzające się w w. XIV sądownictwo ziemskie, autonomiczne, które zyskując coraz szerszy zakres działania, ścieśnia stopniowo kompetencyą władzy starościńskiej, reprezentującej w organizmie państwowym pierwiastek rządowy. Od początku XIV stulecia spotykamy już wszędzie w Polsce zorganizowane sądy ziemskie składające się z sędziego i podsędka, a ponad nimi sądy wiecowe, których sfera kompetencyi z biegiem czasu coraz bardziej się rozszerza. W ten sposób dokonuje się rozdział sądownictwa na ziemskie i grodzkie, reprezentowane

---

[1] Kod. Wielkop. nr. 897.
[2] Bandkie: Ius Polonum str. 99 i 100, 117.
[3] Hube, kilka aktów sądowych, Bibl. Warsz. 1873. IV, 223. Balzer. l. c.
[4] Cod. dipl. Minoris Poloniae I, 352.
[5] Vol. leg. I, 301. Balzer. Geneza Tryb. kor. str. 12 i 13.
[6] Balzer l. c. str. 13. Vol. leg. I, 42; Helcel: Stat. W. Polski 10.

w osobie starostów grodowych. Przez cały w. XIV toczy się zacięta walka między nową instytucyą sądów ziemskich i wiecowych, powołaną do życia pod wpływem dążności żywiołu szlacheckiego do utworzenia życia autonomicznego, a władzą starostów jako organów rządowych. Walka ta kończy się ostatecznem zwycięstwem żywiołu szlacheckiego, które znajduje swój wyraz w postanowieniach statutu wartskiego z r. 1420, ograniczającego juryzdykcyą starostów grodowych do czterech t. zw. artykułów starościńskich.

Tylko władza starostów generalnych wielkopolskiego i małopolskiego jako namiestników królewskich pozostaje, jak już wspomnieliśmy nadal silną i rozległą. Zakres ich działania o tyle się tylko uszczupla, o ile władza królewska, którą w wykonywaniu najwyższej juryzdykcyi zastępują, ulega także stopniowemu uszczupleniu na korzyść ciał autonomicznych, ktorych juryzdykcyi obecnie wiele spraw załatwianych dawniej w pierwszej i ostatniej instancyi przez króla lub tegoż bezpośrednich zastępców, przydzielono. Zawsze jednak uwydatnia się we władzy tych starostów — namiestników królewskich pewna supremacya nad sądami ziemskimi, objawiająca się w tym kierunku, że starostowie w sprawach ważniejszych wydają jako reprezentanci najwyższej władzy, polecenia do tychże sądów, oznaczają termina[1], tak że sądy te działają wówczas wprawdzie pod powagą swego urzędu, atoli z polecenia starosty. Zdarzają się też wypadki, że taki starosta-generał jako zastępca króla w wykonywaniu wyższego sądownictwa w sprawach ważniejszych, zasiada na sądach ziemskich w charakterze przewodniczącego — wówczas jednak sąd ten przestaje być zwykłym sądem ziemskim

[1] W wyroku sądu ziemskiego krakowskiego w sprawie granicznej z r. 1379 czytamy: *Nos itaque visa iustitia.... de mandato et consilio domini Sandivogii Capit. Crac. et de auctoritate nostri iudicii...: diffinivimus...* Piekosiński. Kod. małop. str. 408. W tej samej sprawie oznaczył tenże starosta w sądzie ziemskim termin do przeprowadzenia sprawy spornej i tak czytamy w tymże samym wyroku: *materia quaestionis coram nobis fuit exorta in termino vero peremptorio utrique parti per dom. Sandivogium Capit. Crac. et per nos (iudicem et subiudicem terr.) posito et assignato.* Ibid.

Tak samo w podobnej sprawie toczącej się r. 1395 był termin oznaczony: *de voluntate Ser. principis Dom. Vladislai, nec non Magnifici viri dom. Spithkonis pallatini et ipsius Regis Capit. Crac.* Kod. dypl. klaszt. mogil. str. 88.

a staje się instancyą wyższą, sądem królewskim odbywającym się pod powagą króla, reprezentowanego przez jego zastępcę. Zachodziła nieraz potrzeba tego, a to z tego względu, że instytucya sądów ziemskich w ciągu w. XIV dopiero się rozwijała w łonie organizmu państwowego, kompetencya ich nie była jeszcze tak rozległą jak później, i pozostawało zatem jeszcze wiele spraw takich, których rozstrzyganie nie należało do ich sfery działania, lecz zastrzeżone było samemu królowi. Król zaś załatwiał te sprawy przez swego zastępcę starostę — namiestnika, który w ten sposób uzupełniał działalność sądów ziemskich w sprawach leżących poza sferą ich kompetencyi.

To wyjątkowe stanowisko tych starostów zajmujących na polu sądownictwa miejsce zastępców królewskich, a w szczególności starostów wielkopolskich, którzy jako namiestnicy i zastępcy króla przewodniczyli czasem w sądzie ziemskim, dało p. Hubemu powód do tego, że porównując władzę tych starostów z władzą starostów ruskich doszedł do przekonania, iż skład sądu istniejącego na Rusi Czerwonej pod przewodnictwem starosty był taki sam, jaki spotykamy w tych czasach w Koronie a zwłaszcza w Wielkopolsce. Przeciwko temu zapatrywaniu możnaby to przytoczyć, że w Polsce w w. XIV i XV w szczególności zaś w czasie, kiedy Ruś Czerwoną przyłączono do Korony, był już ściśle przeprowadzony na polu sądownictwa rozdział na dwie kategorye sądów mianowicie ziemskich i grodzkich, z których pierwsze złożone z sędziego i podsędka, sprawowały odrębną juryzdykcyą od drugich, składających się ze starosty i sędziego grodzkiego. Organizacya ta sądów polskich jest zupełnie odmienna od organizacyi sądów ruskich, fakt ten nie da się zaprzeczyć. Nigdzie bowiem nie spotykamy w Polsce podówczas takiej organizacyi sądowej jak na Rusi, gdzie istnieje aż do czasu zaprowadzenia prawa polskiego w każdym powiecie sądowym jeden tylko sąd pod przewodnictwem starosty, który spełnia zarazem i kompetencyą grodu i ziemstwa. Wobec tego nie możnaby się żadną miarą zgodzić na zapatrywanie p. Hubego, jakoby „sąd zostający na Rusi pod kierownictwem starosty był co do składu swego takim samym sądem, jaki spotykamy w tych czasach w Koronie“. Możnaby jedynie to przypuścić, że ci starostowie w Koronie, którzy są oraz namiestnikami królewskimi

i zastępcami króla w wykonywaniu najwyższego sądownictwa, mianowicie w pierwszym rzędzie starostowie generalni poznańscy czyli wielkopolscy zajmują jako namiestnicy i zastępcy króla podobne stanowisko jak starosta lwowski czyli generalny ruski, który w krajach ruskich spełnia też jako namiestnik królewski sądownictwo wyższe w zastępstwie panującego. Natomiast władza innych starostów, spełniających w Polsce tylko juryzdykcyą grodzką, nie jest żadną miarą równa rozległej władzy starostów Rusi Czerwonej.

Wracając obecnie do sądownictwa ruskiego podnieść należy, że p. Hube w rozprawie swej we wstępie cytowanej[1] wypowiada zapatrywanie, że sądownictwo starościńskie było na Rusi dwojakiego rodzaju: obok zwykłych sądów starostów grodowych, wykonujących juryzdykcyą w grodzie i podległym mu dystrykcie istnieją jako wyższy szczebel sądownictwa krajowego też osobne sądy starosty generalnego ruskiego, który wraz z dodanym sobie do pomocy sędzią generalnym ruskim spełnia w tym sądzie juryzdykcyą nad całą ziemią ruską.

Zdaniem szan. autora odbywają się zatem na Rusi Czerwonej stale osobno roki sądowe starostów urzędujących w poszczególnych grodach, a osobno roki starosty generalnego ruskiego, którego kompetencyi podlegają wszystkie ziemie ruskie. Cóż spowodowało szan. autora do przeprowadzenia takiego rozdziału sądownictwa starostów ruskich? Oto najpierw ta okoliczność, iż spotkał na Rusi urzędnika noszącego tytuł *Capitaneus terrae Russiae generalis* i że sąd, któremu ten urzędnik przewodniczy nosi miano *iudicium generale*. Czy szczegóły te mogą podobny domysł usprawiedliwiać i o ile? Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, uważamy za stosowne zwrócić głębszą uwagę na istotę władzy starościńskiej na Rusi i jej prawne stanowisko. W tej drodze dopiero okaże się, czy uzasadnione jest przeprowadzenie takiego rozdziału ówczasnego sądownictwa. Ruś przyłączona w r. 1340 do Korony polskiej, przedstawiała dla Kazimierza W. nabytek bardzo korzystny, ale zarazem niepewny, który można było łatwo utracić. Po dokonanej inkorporacyi kraju tego do Korony rozchodziło się głównie o to, aby w nim nową władzę

[1] L. c. str. 21 i 25.

państwową jak najsilniej skonsolidować i utrwalić, przezcoby się wzmocnił węzeł łączący nową dzielnicę z całością państwa. Zaprowadzenie w niej odpowiedniej organizacyi administracyjnej i sądowej przedstawiało się zatem jako sprawa nader żywotna, mogąca wpłynąć na utrwalenie panowania polskiego na Rusi. To też Kazimierz W. przedewszystkiem w tym kierunku rozwinął swą działalność.

W interesie nowego władzcy leżało, aby władza sądowa i administracyjna w kraju świeżo nabytym spoczywała w ręku organów zupełnie jemu uległych, oddanych celom jego polityki. Do tego najbardziej nadawał się urząd starostów, którzy w tym czasie reprezentują w hierarchi urzędowej pierwiastek rządowy, są urzędnikami króla, jemu wyłącznie uległymi, spełniającymi władzę *nomine et vigore Domini Regis*. To też zaprowadzając na Rusi Czerwonej administracyą i sądownictwo odrębne od reszty państwa wyposaża Kazimierz Wielki władzę przedewszystkiem starostów, których tutaj ustanawia. Starostów takich spotykamy już wkrótce po przyłączeniu Rusi do Polski, mianowicie w r. 1351 starostę lwowskiego w osobie dworzanina królewskiego Ottona z Pilczy[1], w r. 1352 starosty sanockiego Piotra[2]. Starosta lwowski otrzymuje zarazem tytuł *Capitaneus terrae nostrae Russiae*, a to z tego powodu, że posiada oraz charakter namiestnika królewskiego, który w tym czasie nie tylko miał sprawować juryzdykcyą w grodzie lwowskim, ale prawdopodobnie oraz i w innych ziemiach ruskich, o ile takowe przechodziły pod panowanie polskie zwolna zajmowane i o ile w nich jeszcze nie ustanowiono osobnych starostów, wyposażonych juryzdykcyą w swoim grodzie. Że ten starosta lwowski czyli ruski posiada w tym czasie równocześnie charakter namiestnika królewskiego, służącego celom polityki króla i zupełnie mu uległego, dowodem tego jest częsta zmiana co do osób, którym król sprawowanie tej godności powierzał. I tak spotykamy na tej godności w r. 1351 wymienionego już Ottona z Pilczy, zaraz zaś w następnym roku Abrahama z Baranowa[3] w r. 1359 powołuje król

[1] Zubrzycki. Kronika m. Lwowa str. 35.
[2] A. g. z. VIII nr. 1.
[3] A. g. z. II nr. 1.

na tę godność znów poprzedniego Ottona z Pilczy [1], który piastuje ten urząd do r. 1370, z przerwą w r. 1368, w którym to roku król go z zajmowanego stanowiska odwołuje, powierzając sprawowanie urzędu starosty ruskiego Janowi Kmicie z Wiśnicza [2].

Zdaje się, że juryzdykcya grodowa starosty lwowskiego była za Kazimierza W. pod względem terytoryalnym rozleglejszą, aniżeli późniejsza juryzdykcya tegoż starosty, a mianowicie wówczas, kiedy sądownictwo całej Rusi Czerwonej zostało zorganizowane, gdy w grodach innych ziem ruskich ustanowiono osobnych starostow. Że zaś za rządów Kazimierza W. istnieje obok starosty lwowskiego tylko starosta w Sanoku — stądby wnosić należało, że z zajętych podówczas dzielnic Rusi Czerwonej wówczas tylko ziemia sanocka posiadała własną sądową organizacyą, reszta zaś kraju stopniowo zajmowana podlegała juryzdykcyi starosty lwowskiego, który dlatego zwie się *capitaneus generalis terrae nostrae Russiae.* W miarę atoli jak na całej Rusi Czerwonej przeprowadzono organizacyę sądową, w miarę, jak po innych grodach poosadzano starostów, wyposażając ich odpowiednią juryzdykcyą, ścieśnia się ta władza sądowa starosty lwowskiego pod względem terytoryalnym i ogranicza się następnie tylko na powiat lwowski. I tak widzimy, że już w r. 1375 istnieje starosta w Przemyślu [3], 1380 w Bełzie [4], 1396 w Busku [5], 1402 w Haliczu [6], 1411 w Trembowli [7], 1413 w Lubaczowie [8] 1422 w Samborze [9], 1424 w Koropcu [10], 1425 w Jarosławiu [11]. Starostowie ci spełniają juryzdykcyą sądową w swych powiatach. W ten sposób przeprowadzono na Rusi Czerwonej organizacyą sądownictwa w e d l e p o w i a t ó w, w skutek czego władza sądowa starosty lwowskiego pod względem terytoryalnym ulegała stopniowemu ścieśnieniu.

Starosta ten utrzymuje się jednak i nadal na wybitnem stanowisku, odróżniającem go od innych starostów Rusi Czerwonej. Wiadomo bowiem, że jest on i nadal jeszcze, nie tylko s t a r o s t ą g r o d u l w o w s k i e g o, wykonywującym juryzdykcyę starościń-

[1] Ibid. VIII nr. 3. [2] Ibid. VII nr. 1.
[3] Ibid. VIII, 9, II, 5. [4] Ibid. VIII, 18. [5] Ibid II, 23.
[6] Ibid. II, 28. [7] Ibid. IV. 24. [8] Ibid.
[9] Ibid. [10] Ibid. [11] Ibid.

ską w podległym sobie powiecie, ale oraz i namiestnikiem krajów ruskich. Jako taki namiestnik ustanowiony przez panującego, służący jego interesom, nosi np. za Władysława Opolskiego starosta lwowski Andrzej tytuł *Capitaneus Regni Russiae de gracia Illustris principis domini Ladislai ducis Opoliensis* [1], albo np. za rządów tegoż księcia urzędujący we Lwowie starosta Emeryk Bebek tytuł *Capitaneus Regni Russiae necnon Commendatarius* [2].

Z tytułu tej godności namiestnikowskiej jest urzędnik ten przedstawicielem władzy rządowej i osoby panującego. Jako taki wyposażony jest też odpowiednią władzą administracyjną i sądową, spełnianą w imieniu panującego jako swego mocodawcy. Przedewszystkiem załatwia w imieniu panującego ważniejsze czynności administracyjne, mianowicie wyręcza tegoż w kierunku urzeczywistniania najgłówniejszych zadań państwowych, przeprowadzając np. kolonizacyę krajów ruskich, udzielając zezwolenia na zakładanie miast i osad, ułatwiając przybyszom osiedlanie się w pustkowiach i t. p. Tak np. Jan Tarnowski, wojewoda sandomirski jako *Visor et Capitaneus terrae Russiae generalis, nomine et vigore Dom. Regis* daje w r. 1396 z polecenia króla Władysława Jagiełły niejakiemu Maciejowi zezwolenie na założenie miasta Szczerca [3].

Na polu sądownictwa jest starosta lwowski jako namiestnik ustanowiony przez panującego zastępcą tegoż w wykonywaniu juryzdykcyi najwyższej. Nie jest on wprawdzie tak nieograniczonym pełnomocnikiem, upoważnionym do zastępowania panującego w tej rozciągłości, co starostowie małopolski i wielkopolski, których władza była prawie tak rozległą jak królewska — zawsze jednak przypada mu w udziele spełnianie w zastępstwie panującego całego szeregu spraw, należących właściwie do zakresu działania władcy. Panujący, którego władzy podlegały niektóre ważniejsze sprawy sądowe, znajdował się nieraz w tem położeniu, że nie mógł osobiście spełniać juryzdykcyi sobie

[1] A. gr. z. VI, nr. 1.
[2] A. g. z. II. nr. 12.
[3] A. gr. z. IX, nr. 6.

zastrzeżonej i wówczas to delegował do wykonywania takowej swego namiestnika w osobie starosty lwowskiego. Zakres ten spraw należących do sądownictwa wyższego nie był jednak stale przydzielony władzy starosty lwowskiego, tylko w razie potrzeby upoważniał panujący rzeczonego namiestnika swego do załatwienia takowych, ustanawiając go pełnomocnikiem swoim *ad hoc* upoważnionym do rozstrzygania poszczególnych sporów w swojem imieniu i zastępstwie. Że tak było w istocie, tego dowodem ówczesne dokumenta. Tak np. król Kazimierz W. uwalniając przywilejem swym z r. 1364 Wacława Gołuchowskiego od juryzdykcyi sądów krajowych, oświadcza, że tenże *respondebit coram nullo nisi coram nobis aut nostro Capitaneo, qui protunc fuerit loco nostri* [1]. Szczególny jest wymownym dowodem tego, że starosta lwowski jako namiestnik ustanowiony przez panującego, był tylko chwilowym zastępcą tegoż w sprawowaniu juryzdykcyi, że zatem panujący mógł w każdej chwili cofnąć udzielone mu upoważnienie do sądzenia spraw sobie zastrzeżonych i sam zająć się tą czynnością.

Za rządów Władysława Jagiełły odbywają się te czynności sądowe w zastępstwie panującego pod formą sądów komisarskich. Wytwarza się mianowicie na Rusi Czerwonej praktyka powstała w Polsce, że w razie potrzeby, gdy rozchodziło się o rozstrzygnięcie sprawy zastrzeżonej juryzdykcyi panującego, który sam takowej spełniać nie mógł, składał tenże panujący sądy komisarskie z ustanowionych *ad hoc* delegatów, którym poruczał rozsądzenie danej sprawy. Najczęściej zdarzało się, że przewodnictwo w tym sądzie komisarskim otrzymywał starosta lwowski, spełniający w tym wypadku jedynie *mandatum et commissum Dom. Regis*, urzędujący jako *specialiter ad hanc causam deputatus*. Sąd taki pod przewodnictwem tego starosty się odbywający rozstrzyga przekazane sobie ważniejsze spory [2], dokonywa czynności rozgraniczania dóbr [3] i załatwia inne tego rodzaju sprawy jedynie w wykonaniu

[1] A. gr. z. II, nr. 2.

[2] Np. r. 1424 ogłasza Spytko z Tarnowa, starosta ruski, wyrok w sprawie Eliasza, władyki przemyskiego, przeciw Januszowi Nasangniewowiczowi o grunt we wsi Komarnicach *de mandato speciali Ser. Principis*. A. g. z. VII, nr. 33.

[3] Ibid IV, nr. 37.

woli królewskiej. Niekoniecznie też musiał panujący powoływać do spełniania tego rodzaju czynności starostę lwowskiego, mógł też podobną sprawę zlecić równie dobrze innemu staroście [1].

Z tego wszystkiego wynika, że władza starosty lwowskiego czyli ruskiego jako namiestnika i zastępcy panującego w spełnianiu wyższego sądownictwa nie była własną tylko zleconą, że dalej w ogóle juryzdykcya, którą on z tego tytułu wykonywał nie była stałą, tylko zawisłą od udzielonego w razie potrzeby umocowania ze strony panującego.

Nie da się zatem zaprzeczyć, że władza starosty lwowskiego przedstawiała się nieraz jako rozleglejsza niż władza innych starostów, a to w skutek woli panującego, który mu nieraz obok zwykłych czynności starosty grodowego poruczał jeszcze nadzwyczajne sprawy do rozstrzygnienia. I to też pewne, że urzędnik ten z tego właśnie powodu jako namiestnik królewski zajmuje wybitne stanowisko w ówczesnej hierarchii urzędniczej tak dalece, że nawet taki starosta Piotr Włodkowicz z Charbinowiec w dokumencie wystawionym przez siebie w r. 1426 nie waha się naśladować formę dokumentów królewskich, umieszczając przy końcu wzmiankę *datum per manus notarii nostri sincere nobis dilecti* [2]. Szczegóły te jednak nie uprawniają nas żadną miarą do czynienia takiej różnicy między juryzdykcyą starosty generalnego ruskiego, a juryzdykcyą starostów grodowych, jak to czyni w swej pracy p. Hube [3]. Trudno bowiem uzasadnić przypuszczenie, aby na Rusi Czerwonej istniały osobno stałe i odrębne sądy starosty generalnego ruskiego jako wyższy stopień sądownictwa, którego kompetencya obejmowała rzekomo kraj cały, obok zwykłych sądów starostów grodowych, których juryzdykcyi podlegał gród z przynależnym do niego okręgiem.

Przedewszystkiem nie możnaby takiego podziału usprawiedliwić zastanawiając się nad stosunkiem, jakiby w razie przypuszcze-

---

[1] Włodek, starosta samborski, przeprowadza rozgraniczenie monasteru P. Maryi i Starego Sambora wraz z wsią Tereszwą *iuxta precepta Dom. Regis*. A. g. z. VI, nr. 14.

[2] A. g. z. IV nr. 101.

[3] L. c. str. 21—23.

nia takiego rozdziału sądownictwa zachodził między owym rzekomo odrębnym sądem starosty generalnego ruskiego a zwykłym sądem starosty lwowskiego. Miałżeby starosta generalny ruski być osobistością inną niż starosta lwowski? To trudno przypuścić. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że godność starosty lwowskiego jest najzupełniej identyczną z godnością starosty generalnego ziem ruskich. Starosta lwowski nosi jako namiestnik królewski na Rusi równocześnie tytuł starosty generalnego ziem ruskich. Fakt ten nie potrzebuje dowodu, znanem jest bowiem, że jedna i ta sama osobistość tytułuje się raz starostą lwowskim, drugi raz starostą ruskim; tak np. Jan z Tarnowa, wojewoda sandomirski, zwie się raz *Capitaneus Russiae* [1], drugi raz *Capitaneus Leopoliensis* [2], tak samo Floryan z Korytnicy nosi raz tytuł *Capitaneus Lemburgiensis* [3], na innem zaś miejscu *Capitaneus Terrae Russiae* [4] i t. p. Jeżeli zaś przyjmiemy jako pewnik ów niewątpliwy fakt, że starosta generalny ruski i starosta lwowski to jedna osoba, podobnie jak nikt nie wątpi, że starosta krakowski jest osobistością identyczną ze starostą małopolskim, zaś starosta poznański ze starostą wielkopolskim, to trudno przypuścić, aby jeden i ten sam urzędnik jako organ sądownictwa krajowego występował równocześnie w dwu charakterach, raz jako starosta lwowski spełniający juryzdykcyę w grodzie lwowskim, a drugi raz znowu jako stały sędzia wyższej instancyi, spełniający juryzdykcyę obejmującą cały obszar ziem ruskich.

Przytoczone przez p. Hubego fakta na poparcie podobnego twierdzenia nie mogą nas o tem przekonać. Bo, że Jan Tarnowski, starosta ruski, jakto przytacza p. Hube [5], *nomine et vigore Dom. Regis iurisque Capitanealis facultate* nadaje komuś wójtostwo, to przecież nie może być dowodem tego, że on spełnia przezto odrębną juryzdykcyą i tylko może świadczyć za tem, że urzędnik ten występuje w tym specyalnym wypadku jako pełnomocnik królewski w imieniu i zastępstwie króla. Zresztą nie spełnia on w tym

[1] A. g. z. IX nr. 6.
[2] Ibid. II. nr. 23.
[3] Ibid. III. nr. 16, 19.
[4] Ibid. nr. 23.
[5] Hube l. c. 21. A. g. z. V nr. 49.

razie żadnej czynności sądowej. Tak samo i ten fakt, że star. gener. ruski Jan Mężyk oświadcza że: *demandatum est nobis iudicare sicut capitaneo* [1] nie dowodzi, że mowa tu jest o spełnianiu odrębnej juryzdykcyi starosty generalnego ruskiego, owszem domyślaćby się raczej należało, że on otrzymał polecenie sądzenia jako starosta lwowski, z charakterem komisarza królewskiego w sądzie komisarskim. Również i przytoczony argument, że starosta ruski Iwo wyraża się w swym dokumencie, że *iura reddendo poscentibus praesidebat judicio* nie świadczy przeciw temu, jakoby i w tym wypadku nie była mowa o zwykłym sądzie starosty lwowskiego. Nawet i to, że w dokumencie z r. 1380 mówi starosta ruski Jan o swoim „sądzie generalnym“ [2] nie zmienia postaci rzeczy, wiadomo bowiem, że i inni starostowie tak w Polsce jak i w innych dzielnicach Rusi częstokroć nadawali swym sądom szumny tytuł „sądów generalnych, z czego przecież nie wynika, aby z tego powodu spełniać mieli wyższą władzę od zwykłej juryzdykcyi starościńskiej. W obec tego nie jest dziwnem, że starosta lwowski noszący szumny tytuł starosty generalnego ruskiego, nazywa zwykły sąd swój starościński sądem generalnym, który nie jest niczem innem jak zwykłym sądem starościńskim. Wreszcie przemawia przeciw twierdzeniu p. Hubego także i ta okoliczność, że Piotr Charbinowicz wojewoda generalny ruski w dokumencie swym z r. 1425 przytoczonym przez autora na poparcie odrębności i wyższości sądu star. gen. wyraźnie nazywa swój sąd *iudicium nostrum Leopoliense* [3], co przecież nie może wskazywać na nic innego, jak na zwykły sąd starościński we Lwowie się odbywający. Że asesorami w sądach starosty ruskiego są jak przytacza p. Hube [4] różni dostojnicy a między innemi też starostowie grodzcy i woje wodowie, to także postaci rzeczy nie zmienia, boć assesorowie ci, mianowicie starosta jarosławski i samborski, przytoczeni w dokumencie

[1] Hube ibid A. g. z. VII 33.
[2] Hube l. c. str. 216 A. g. z. III. nr. 33.
[3] A. g. z. IV nr. 71.
[4] L. c. str. 22.

z r. 1425 [1], w którym Piotr z Charbinowic, starosta ruski, poświadcza, że strona zadość uczyniła według postanowienia sądu polubowego za zadane rany, przedstawiają się może raczej jako przypadkowo na roczku obecni — nie potrzebując bynajmniej wchodzić stale w skład tego rzekomego wyższego sądu starosty generalnego ruskiego. Zapiski ksiąg sądowych sanockich [2] są dowodem, że w sądzie sanockim spotykać można też częstokroć między assesorami innych dostojników i starostów, którzy przypadkowo podówczas w sądzie się znaleźli, a mimo to stąd wcale nie możnaby wysnuć wniosku, że sąd sanocki z tego powodu w tym wypadku jest sądem wyższym aniżeli wtedy, gdy tych dostojników nie ma na roczku obecnych. Również i przytoczony przez autora zakres spraw oznaczonych jako „ważniejsze", które podlegają juryzdykcyi owego mniemanego wyższego sądu starostów generalnych ruskich, wcale istnienia takiego odrębnego sądu nie usprawiedliwia. Bo przecież takie sprawy, jak wyliczone przez autora spory o prawo własności dóbr, o przyległości, dwory, działy majątków i inne tak zwane *causae haereditariae* toczą się nieraz w sądzie sanockim, jak tego dowodem są wydane w XI t. aktów gr. z. zapiski sądu sanockiego [3]. Że dalej ów rzekomy sąd miał rozpatrywać sprawy karne, to już z pewnością nie stanowi dowodu wyższości sądu starosty ruskiego, boć sprawy karne należały zarówno jak i cywilne podówczas do juryzdykcyi wszystkich starostów Rusi Czerwonej.

Że wreszcie ów starosta generalny ruski stwierdzał też rezygnacye dóbr sprzedanych, darowanych, lub zamienionych [4], to także nie mogło być wyłącznym jego atrybutem. Księga sanocka dostarcza nam bowiem dowodów, że czynności takie oznaczone były tak dobrze przed sądem starosty sanockiego [5], jak przed owym rzekomo odrębnie urzędującym starostą generalnym ruskim, który spełniając podobne czynności, wykonywał tylko zwykłą juryzdykcyę starościń-

[1] A. g. z. IV, 71.

[2] Np. A. g. z. XI. ur. DCCCXLII.

[3] A. g. z. XI nr. 90, 165, 484. Zresztą w przytoczonym przez autora dokumencie z r. 1398 rozstrzyga spór o własność nieruchomości między Dymitrem Wieczerzą z Leśniowic i rządcą kościoła św. Jana we Lwowie — Jan z Tarnowa wyraźnie w charakterze starosty l w o w s k i e g o. A. g. z. II nr. 23.

[4] Hube l. c. 24.

[5] Np. A. g. z. XI z. 215.

ską. Celem bowiem takich zeznań uczynionych przed sądem starosty nie było nic innego, jak nadanie aktowi sprzedaży lub darowizny mocy prawnej i skuteczności przez wystawienie w formie uroczystej dokumentu wiarogodnego[1], czynność zaś tę mógł spełniać każdy starosta, nie potrzeba było do tego wyższej instancyi owego mniemanego sądu generalnego.

Przytoczone przez p. Hubego argumenta, że władza innych „starostów grodowych", będąca niższym szczeblem sądownictwa w porównaniu do „sądownictwa starostów generalnych", odnosiła się tylko do spraw mniej ważnych w stosunku do tych, które rozstrzygał starosta generalny ruski, nie są również przekonywujące. Trudno bowiem uważać za taką mniej ważną sprawę tę, którą w przytoczonym przez p. Hubego[2] wyroku z r. 1396 rozstrzyga Jan Tarnowski, występujący tutaj, zdaniem autora, jako „zwykły starosta grodowy lwowski". Sprawa ta bowiem, w której wyrok zapadł, dotyczy własności dobr nieruchomych, przysądzonych przez tegoż starostę kościołowi świętego Jana we Lwowie, a przecież sam autor określa podobną sprawę, jako *causam haereditariam* t. j. „rzecz wielkiej wagi", należącą do kompetencyi owej rzekomej wyższej instancyi starosty generalnego. Również i przedmiot powołanego w drugim wypadku wyroku z r. 1401 wydanego przez starostę halickiego Pietrasza, mianowicie spór o granice, nie może się żadną miarą zaliczać do spraw mniejszej wagi, wiadomo bowiem, że sprawy takie zazwyczaj załatwiane bywały w sądzie wyższym, mianowicie komisarskim. A już żadną miarą nie może wydany w r. 1416 akt starosty s a n d e c k i e g o, którego przecież trudno zaliczać do starostów Rusi Czerwonej, stanowić dowodu rozciągłości, w jakiej, zdaniem autora, „starostowie grodowi ruscy" spełniali juryzdykcyę kryminalną.

Z wywodów niniejszych wynika zatem, że starosta lwowski, noszący tytuł starosty generalnego ruskiego, posiada jako taki w czasie,

---

[1] Czynność tę starostów charakteryzuje dokument z r. 1378 trafnie w ten sposób: *cum omnes venditiones emptiones, resignationes per se nullum robur firmitatis valeant obtinere, nisi sint solempni litterarum titulo sagaciter fide dignorum testimonio roboratae...* Piekosiński Kod. Małop. str. 406.

[2] L. c. str. 25.

kiedy na Rusi przeprowadzono już organizacyę sądownictwa we wszystkich dzielnicach, zawsze władzę zupełnie równorzędną, z władzą innych starostów i tylko wówczas wykonuje juryzdykcyę wyższą, gdy występuje jako bezpośredni zastępca króla, lub z woli tegoż zostanie powołany w skład sądu komisarskiego, którego jedynie kompetencya mogła się rozciągać na całą ziemię ruską.

Że obok tego wykonywania najwyższej juryzdykcyi przez organa działające w zastępstwie panującego, z jego upoważnienia, spełniał też król w tej epoce osobiście funkcye najwyższego sądownictwa, to także nie ulega wątpliwości. W ziemi sanockiej da się fakt ten na pewne skonstatować. Niesłusznie zatem utrzymuje p. Hube[1], że „samego króla sądzącego w ziemi ruskiej nie spotykamy“, i że „dawny sąd książęcy zastąpiony został przez sąd starosty generalnego“. Nie rzadko bowiem zdarza się, że król osobiście zjeżdża do ziemi sanockiej i jako najwyższy sędzia w państwie rozstrzyga sprawy, które wytoczono przed jego forum, bądź w drodze apelacyi[2], bądź za obopólną zgodą obu stron sporujących[3], bądź wreszcie w przypadku inhibicyi ze strony panującego, który pewne sprawy sobie do osądzenia zastrzegał[4]. Zdaje się, że podobny stosunek w tym względzie jak w ziemi sanockiej zachodził i w innych dzielnicach Rusi. Wyjątkowy w tej mierze stan panował, tylko za czasów Władysława Opolczyka, który w czasie swej nieobecności na Rusi, ustanowił do spełniania najwyższego sądownictwa stałego zastępcę jako swego sędziego nadwornego w osobie Piotra Bruna noszącego tytuł *Iudex provincialis terrae Russiae*[5].

A czy istniały sądy wiecowe?

---

[1] L. c. str. 28 i 30.

[2] *Desuper Capitaneus respondit, se appellando ad Dom. Regem coram ipso procedendum.* A. g. z. XI, z. 278.

[3] *Quare nos Capitaneus pro tunc ex consensu partium utrarumque ipsis dedimus ipsa die post felicem ingressum dom. Regis in Sanog ad procedendum in causa coram dom. Rege.* Ibid. z. 418, 515.

[4] *Quare diffinitio iuris per litteram Regiae Maiestatis est arrestata ad felicem adventum dom. Regis in Sanog.* A. g. z. XI, nr. 252.

[5] A. g. z. VII nr 9, II, nr. 4, 6, V, nr. 10, VII, nr. 12.

P. Hube zauważył [1], że wiece pojawiają się na Rusi nader rzadko. Otóż i w tym względzie możnaby stwierdzić, że w ziemi sanockiej w w. XV odbywają się one wcale nie rzadko. Spotykamy bowiem w zapiskach sądu sanockiego dość częste wypadki, że szlachta zbierała się *ad colloquium alias na wyecze* [2], bądź w charakterze organu prawodawczego, bądź celem wymiaru sprawiedliwości w wyższej instancyi. Znajdujemy np., że na wiecu takim, który się odbył w Sanoku r. 1430, uchwalili *unanimiter* ziemianie zgromadzeni *in conventione omnium terrigenarum laudum* w sprawie zbiegłych złoczyńców [3]. Nie brak też wypadków, że miejscowy sąd starościński, nie mogąc rozstrzygnąć jakiejś sprawy *propter defectum et paucitatem terrigenarum* odracza sprawę do wiecu *ad pluritatem terrigenarum, quosque plures fiant nobiles* [4]. W ten sposób przedstawia się nam w ziemi sanockiej w w. XV przed r. 1435 tok instancyj sądowych następująco: na pierwszem miejscu były sądy starościńskie, spełniające sądownictwo miejscowe zarówno cywilne, jak kryminalne, ponad tymi sądami były sądy wiecowe, a najwyższą instancyę stanowił sąd królewski, który w danym razie mógł przybierać formę sądu komisarskiego lub odbywać się pod przewodnictwem starosty lwowskiego jako namiestnika królewskiego, zastępującego osobę panującego. Że na wzór sądu sanockiego istniały też po dokonaniu podziału Rusi na powiaty — w każdym powiecie zorganizowane sądy starościńskie, to zdaje się być rzeczą pewną — musiały też istnieć w innych dzielnicach ruskich, dwie inne kategorye sądów wyższych.

Pytanie jak ten sąd starościński przed r. 1435 był zorganizowany, rozstrzygnął bardzo trafnie prof. Liske jak to już na wstępie niniejszej pracy zauważyliśmy. Pierwsze i najważniejsze miejsce w tym sądzie zajmował starosta, który jako główny sędzia słusznie nosi w Sanoku tytuł *Judex iuris provincialis terrigenarum supremus* [5]. W jego ręku właściwie spoczywa cała juryzdykcya powiatowa, zarówno cywilna jak kryminalna, on był tym, o którym

[1] L. c. str. 29.
[2] A. g. z. XI, nr. 694.
[3] Ibid. nr. 398.
[4] Ibid. nr. 25, 435.
[5] A. g. z. VII, nr. 23.

można było powiedzieć, że w swym powiecie *praesidebat iudicio, iura reddendo cuilibet poscenti* [1].

Inne czynniki wchodzące w skład tego sądu starościńskiego zajmowały stanowisko zupełnie podrzędne. Że taki stosunek zachodził w tej mierze co do wojewody, to już na innem miejscu wykazaliśmy. Podobne stanowisko przypada w udziele i sędziemu. Obaj ci urzędnicy są tylko organami dodanymi staroście do pomocy, którymi się starosta w razie potrzeby wyręczał, sami jednak nie sprawowali oni żadnej juryzdykcyi własnej. Stanowisko sędziego w tym sądzie starościńskim nie podobna określić w ten sposób, jak to uczynił p. Hube [2], który utrzymuje, że w sądzie tym przewodniczył starosta, a sędzia kierował całym przewodem. Czyż to jest możebnem, aby, jak chce, szan. autor, w jednym i tym samym sądzie było dwu przewodniczących, boć tylko w ten sposób oba te wyrażenia można pojmować.

Że stanowisko sędziego w sądzie starościńskim było całkiem podrzędne, dowodów tego dostarczają nam zapiski sądu sanockiego. Pominąwszy już okoliczność, że starosta nie rzadko wyrokując w sądzie obchodzi się bez sędziego [3], ciekawą pod względem ocenienia stosunku, jaki zajmuje sędzia w ziemi sanockiej, jest też podana przez prof. Liskego okoliczność [4], że istnienie stałego sędziego w sądzie starościńskim nie było nawet konieczne, że starosta mógł tymczasowo sprawowanie tego urzędu poruczyć każdej innej osobie. I tak po śmierci urzędującego w sądzie sanockim sędziego Mikołaja Czeszyka z Tyrawy, starosta sanocki Janusz z Kobylan przez dwa lata nie mianuje stałego sędziego, tylko powołuje w skład sądu różne osobistości, noszące tytuł: *iudex protunc iudex tunc deputatus, protunc viceiudex, iudicis tunc vicesgerens* [5].

---

[1] Ibid. IV, nr. 39. [2] L. c. str. 29.

[3] A. g. z. XI, nr. XCIII, CXXXV. [4] L. c. str. VII.

[5] I tak w r. 1428 jest takim sędzią tymczasowym najpierw Klimaszko, potem Fryderyk z Jacimierza, następnie Przecław z Wzdowa, potem Piotr wójt sanocki, dalej znów ten sam, co poprzednio Klimaszko, następnie jeszcze Niebielec Zygmunt ze Srogowa i dopiero w drugiej połowie r. 1429 zostaje stałym sędzią „ziemskim sanockim“ Klimaszko A. g. z. XI z. LXXVII, LXXXVII, LXXXVIII, XC, XCI, XCIV, XCVI, XCVIII, C, CXV, CXLIX, CLIV.

Stanowisko to wszystkich sędziów we wszystkich sądach starościńskich było jednakie i równorzędne. W obec tego trudno się zgodzić na to, co utrzymuje p. Hube[1], aby oprócz sędziów istniejących w poszczególnych grodach obok starosty, istniała obszerniejszą władzą wyposażona godność sędziego generalnego dla całej Rusi, który rzekomo urzędował obok starosty generalnego ruskiego, w jego sądzie generalnym. Domysł ten podsuwa autorowi fakt, że Stanisław Dawidowski występuje w r. 1431 jako *iudex terrae Russiae generalis*[2]. Ależ sędzia ten jest tąż samą osobistością, co urzędnik występujący w r. 1430 pod tytułem *iudex districtus Leopoliensis*[3], zaś w r. 1433 pod nazwą *iudex terrae Leopoliensis*[4]. Czyż podobna przypuścić, aby jeden i ten sam urzędnik, będąc sędzią powiatu lwowskiego, występował równocześnie w dwu charakterach, raz jako sędzia powiatu, a drugi raz jako sędzia generalny całej ziemi ruskiej? Że wymieniony Stanisław Dawidowski w przytoczonym przez p. Hubego wypadku przybiera szumny tytuł sędziego generalnego ziemi ruskiej, fakt ten zgoła jeszcze nie dowodzi, jakoby on spełniał w tym razie juryzdykcyą obszerniejszą od tej, którą zwykle spełniał jako sędzia powiatu lwowskiego. Szczegół ten jest zupełnie usprawiedliwiony. Cóż bowiem dziwnego, że sędzia urzędujący obok starosty lwowskiego, tytułującego się starostą generalnym ziem ruskich, naśladując tegoż ostatniego, przybiera również szumny tytuł sędziego generalnego ziem ruskich?

Tyle na poparcie twierdzenia, że wydany przez p. Hubego „Wyrok lwowski r. 1421“, który w cennej pracy szanownego autora, stał się powodem do postawienia hipotezy o istnieniu na Rusi odrębnego sądu starosty generalnego ruskiego, od takiego sądu, który wcale nie istnieje, nie pochodzi.

Władysław Margasz.

[1] L. c. 28. [2] L. c. 28. [3] A. g. z. V, nr. 46. [4] Ibid. nr. 56.

NASZE SIOŁO.

STUDYUM ETNOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Z książek nauczyli się chłopi, i teraz śpiewają jak swoje następujące pieśni: „Oj! płynie, Wisła płynie po polskiej krainie....“ „Patrz! Maryacka wieża stoi....“, „Na Wawel! na Wawel“ i t. p.

Ale i własnych patryotycznych utworów im nie brak. Oto niektóre:

S tamte strony Wisły jes kościół w Krakowie,
Jes święty Stanisław i polscy królowie. (Zb.)

Polacy! Polacy! coście porobili,
coście wy Prusáka do Polski puścili!
Jak my go puścili, tak go wyzenemy,
tylko sobie Boga na pomoc weznemy.
Weznemy se Boga i świętą Maryję,
wyzenemy Prusa, szelmę, kanaliję. (Zb.)

Świyci sie Warsawa, świyci sie i Kraków,
dy to nie lá Miemców, ale lá Poláków. (Zb.)

W Krakowie na szali Miemcy tańcówali,
Polák wąsem rusuł, Miemcy zuciekali. (Z.)

Uciekájcie Rusi, Brusi (Prusi), bo to dobrá sprawa,
bo to s nami Polákami jes ładná zabawa. (S.)

W historycznych pieśniach ludowych przechowała się najbardziej pamięć Podola i wojen tam toczonych.

Pod Kamieniem pod podolskiem batalijá pirsá,
tam Moskáli sto tysięcy na Poláków wysło,
az Polacy dobrze bili, dobrze atakują,
kanonami kanoniery cola dotrzymują.
Jak sie bili od soboty do samego wtorku,
ale Moskál wytrębuje, zeby robić pokój.
Choć ta Moskál wytrębuje, ale Polák nie kce:
Wydejmy se bataliją na trzy lata jesce!
Ty rozumiés, Moskál durny! ze to s Turkiem sprawa,
ale z nami s Polákami jes miłá zabawa. (Z.)

1. Za Krakowem na Podolu[1]
biją się zołmirze w polu,
biją sie ta pałasami,
krew sie leje struminiami.
Jeden wołá: chleba! soli!
po kolana we krwi stoji.
Drugi wołá: szabelecki!
nie ustąpie wojenecki.
Trzeci woła: Siostro kónia!
bo pojadę do Turonia (v. Toronia).
Starsá siostra kónia dała,
a młodsá go osiodłała.
„Jedze (jedźże) bracie prec do pola!
nie bedzie cie rok, pótora".

2. Nie wysło jak rok, pótora,
juz zołmirze jadą s pola[2].
Wysła siostra, przywitała
i o brata sie spytała.
„Widzielimy brata twego
we Francyji zabitego.
Kóniś jego wele niego,
grzebie nozką, załuje go.
I wygrzebál po kolana,
tam pochował swego pana.
„Kiedy mój pán na mnie siádál,
to já goy owies jádál,
teráz ni mám wiązki słomy,
ozniesą mie kruki, wrony". (S.)

1. Juz jes wojna wydaná
od samego cysarza.
„Kogoz já na wojne dám,
zádnego syna ni mám;
tylko já mám dwie córy,
jedne młodsa, drugą starsą.
Córuś starsá chodź do mnie,
pódzies na wojne za mnie!"
„Já, mój ojce, nie póde,
já wojówać nie bede,
jam jes serca miękiego,
nie zabije nikogo".
„Córuś młodsá pódź do mnie,

2. pódzies na wojne za mnie!"
„Já, mój ojce, já póde,
já wojówać, já bede,
jam jes serca twardego,
já zabije kázdego".
Gdy ji włosy szczygali (strzygli),
wszyscy nad nią płakali.
Gdy na konia siadała,
z wszystkiemi sie żegnała.
Gdy na wojne przybyła,
trzysta Turków zabiuła.
Sám sie cysárz dziwówál,
co za usar wojówál. (Z.)

Hola moja! hola! po skońcony wojnie,
podarówál cysárz ludziom Polske dobrowolnie. (Z.)

---

[1] *Var.* Co sie dzieje na Podolu.
[2] Zbroja *Var.*

Chłopcy z Galicyje wstáwcie sie za nami!
jak Polskę wygrámy, bedemy panami. (S.)

Usłyszeć też można od chłopa historyczne „przypowiadki“ (powszechnie zresztą znane) np.: „Za króla Sobka nie było w stodole ani snopka“, albo: „Za króla Sasa jédz, pij i popuscaj pasa!“

Mimo to patryotą-Polakiem, w pełnem tego słowa znaczeniu chłop nasz nie jest — czemu się wcale dziwić nie można — więcej jest on Słowianinem, słowiańskość zaś jego objawia się szczególnie w miłości wszystkiego, co swojskie, i w niechęci ku obcym.

I wiara i pobożność dawna zachowała się w polskiem siole. Jakże budującą, naśladowania godną jest cześć, jaką oddają nowo narodzonemu Chrystusowi w żłóbku. Czczą go tradycyjnie szopką i pieśnią. Z niekłamaną serdeczną radością śpiewają Mu na miłą nutę:

Pastérze bieżeli,
gdy głos usłyszeli,
śpiewania anielskiego...

Zdaje się wtedy w kościółku i cieplej i jaśniej.

Wstąpisz do chaty — czy do dymnej niskiej i zgarbionej, czy do białej i jasnej, z kominem wystającym z kalenicy — ujrzysz na ścianach obrazy pobożne — nie światowe. Choć Chrystus rozpięty na krzyżu i Matka Boska Kalwaryjska, Częstochowska lub Gidelska być musi. Ubogo, ale z Bogiem.

Wstępujący do chaty lub spotykający się na drodze, wita słowem Bożem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! I jak przed wiekami tak dziś brzmi odpowiedź: Na wieki wieków, amen.

Ostatnimi czasy miastowe: „Dzień dobry!“ „dobry wieczór!“ i t. p. weszło gdzieniegdzie w modę, ale starsi, przestrzegający tradycyi, krzywo na to patrzą.

Praca znajduje szacunek w polskiem siole, z Bogiem ją zaczynają, z Bogiem kończą. Życzenie: „Dej Boże szczęście!“ i odpowiedź: „Panie Boże dej!“ słyszeć tu można równo z szumem drzew i śpiewem ptaków.

Dzieci biegają po wsi, często opuszczone, bose, z gołą głową, nieuczesane, w podartej ledwie koszulinie, z której wygląda brzu-

szek wydęty jak kapelusz, opalone od słońca jak miedziaki, ale umieją „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“.

Razem z ptakami w siole śpiewają pastuchy. I przy żniwie przyjdzie ochota dziewkom coś zanucić, ale rzadko.

Powiadają, że dawniej śpiewano więcej, że przy robocie w polu, u pastuchów przy bydle, na przyśbie chat — wszędzie słychać było śpiewy. Wtedy rzeczywiście ludzie w siole wtórowali ptakom. Dziś najskorsi są pasterze do śpiewu, gdyż najwięcej są pozostawieni sobie i naturze. Wszystkie te pieśni i piosnki, czyli, jak je lud nazywa, „śpiewki“, urodzone w polskiem siole, rzeczywistymi są jego dziećmi, i tak je dobrze malują, że nieraz wystarczy przytoczyć śpiewkę, aby przedstawić jakiś charakterystyczny szczegół.

Zacznę od iście pasterskich piosnek. Objawia się w nich, jak w ogóle we wszystkich ludowych utworach prostota, świeżość, a nadto przywiązanie do trzody i zajęcie się przyrodą.

Moje bydełecko nie narobi skody,
pódzie do studzienki[1], napije sie wody. (Z.)

Bydło moje, bydło,
posło na bawidło,
Z bawidła na bagno,
tam mi sie najadło. (Zb.)

Moje bydełecko, drobnego nasieniá,
bedzie za(l)ówało mojego pasieniá,
bedzie zaówało, bedzie sie pytało:
Dzie sie to podziało, co mie to pásało? (Z.)

Nie bój sie, owcárzu! choć cie wojną strásą,
kiej ci sie owiecki po ubocy pasą. (Zb)

Owiecki! owiecki! wtoregoście pana?
syroko idziecie, nie wasá polana. (Zb.)

Póki já se, póki, bydełko pásała,
moja dolinecka wesolá bywała;
skoro já se terás bydełka nie pásám,
moja dolinecka zeby makiem zasiáł. (Z.)

Nie bede já pasła, nie bede zganiała,
bo mi gospodyni juzyny nie dała;
jak mi gospodyni juzyne wyniesie,
bede opuscała bydełko po leśsie. (Z.)

[1] Do bajorka (stojąca woda). (Zb.)

Nie lyj, dyscu! nie lyj, bo ci nie kázali,
bo bidnych pastuchów na pole wygnali,
wygnali, wygnali, juzyny nie dali:
Náświentsá Panienko! jak to bedzie dali?
Wygnali, wygnali,
juzyny nie dali
ani wcora, ani dziś,
ale jutro musi być.
A jak jutro nie bedzie,
gospodyni sama paś bedzie.
Gospodyni wygnała,
krowie ogon urwała,
zawiesiła na ścianie:
Takie moje pasienie! (Z.)

Oj słońce! słońce takie jarzące!
Pasła dziewcyna wołki na łące.
Przysed ci do ni(éj) nijaki ślachcic,
zacął ji wołki po łące strasyć.
„Ej Jasiu! Jasiu! nie strás mi wołków!
„uwiję wiánek z drobnych fijołków,
„uwiję wiánek z rozmajeronu,
„nie gojń mi, Jasiu, wołków do domu! (Z.)

Młodzież wiejską, parobków i dziewki doskonale charakteryzują ich własne piosnki. Miłość, junactwo i przechwałki są treścią parobskich śpiewek. Konik, jako godło dziarskiego chłopca, występuje w nich często.

1. S tamte strony wody zieleni sie rutka,
za chopáka sto tysięcy, a za panne dudka[1]. (Z.)
2. Nie bedzie, nie bedzie u cysarza zgody,
pokil nie zajedzie (Záwadziácek) młody. (Z.)
3. Chłopcy (Gosnowianie) káźcie sobie zagrać!
ino se nie dájcie cuprynecki targać!
— Nie dámy! nie dámy! krótkie włosy mámy,
a tem (Paskowianom[2]) dobrze wytargámy. (S.)
4. Chopiec ci já, chopiec, nie boję sie bitki,
choćby mi stargali kosulkę do nitki. (Z.)
5. Já se chopák gibki,
nie boję sie bitki,
kto sie bitki boji,
to za drzwiami stoji. (Z.)

[1] Dwa centy.
[2] Wieś Paszkówka (par. Pobiedr, pow. Wadowicki).

6. Któż to tu tańcuje? sami (Záwadzianie),
jus se powisali cápecki na ścianie.
Jak se powisali, tak se pozdymują,
nie pódą do domu, jaś sie wytáńcują. (Z.)

7. Wolę ci já, wolę w kosu wodę nosić,
niźli ojca, matki o córeckę prosić. (Z. S.)

8. Kochálem dziewcyne, miálem sie z niom zenić,
nimiała majątku, musiálem odmienić. (Z.)

9. O moja dziewcyno! zálno mi cie, zálno,
bo cie ocka moje nie widziały dáwno,
ocka nie widziały, uska nie słysały,
o moja dziewcyno! zál mi cie niemały. (Zb.)

10. Sikireckom zaciął, trzáska odleciała,
powidz mi dziewcyno! cy mie bedzies kciała.
Cy mie kces, cy nie kces, to na twoji woli,
krzywo na mnie nie patrz! bo mie serce boli. (Z.)

11. Ty mi sie, dziewcyno, nie zalycáj!
bo mi cie tacicek nie obiecál,
mám ci já za Wisłom
dziwcynę nájmilsą,
to ją bedę kciál. (S.)

12. Moje dziwcę! radebyś mi,
já do ciebie nimám myśli,
ani myśli, ni ochoty,
boś ladace do roboty. (Zb.)

W dziewczęcych śpiewkach odbija się jak w zwierciedle serce to kochającej, to rozżalonej zawodem dziewczyny. W niektórych miłość rodzinna, mianowicie przywiązanie do „matusi“ występuje na jaw. Sieroce i służebne śpiewki zasługują także na szczególną uwagę.

1. Dana moja! dana! já se jesce panna,
mój wiánecek kwitnie, jak na morzu piana. (Z.)

2. Dana moja! dana! nimám ci já wiana,
jino rącki, nozki, zarobię se sama. (Z.)

3. Chociej já nieładná, nieładnego rodu,
ale poćciwego, kwała Panu Bogu! (Zb.)

4. Ubogám sirotka, ubogiego stánu,
ale mie matusia nie dá lada komu. (S.)

5. Ubogám sirotka, ubogo sie nosę,
zádny (Sosnowiánki) o sena nie prosę,
nie prosę, nie prosę, prosiła nie bende,
zádny (Sosnowiánce) senową nie bende. (S.)

6. Záden tego nie wié, ani nie odgadnie,
Za wtorym chodákiem serce moje pragnie. (Zb.)

7. Zeby já wiedziała, ze pódę za pana,
uwiłabym wiánek ze samego siana,
z siana zielonego, z siana zielonego,
zeby já wiedziała, ze pódę za niego. (Z.)

8. Pódę do kościoła, zmówię janiół Pański,
zeby sie mi dostál parobek plebański. (Zb.)

9. Nie pódę za gdowca,
choć má korzec owsa,
wolę za parobka,
choć nimá ni snopka. (Zb.)

10. O Boże! mój Boże! któz to w polu orze?
póno mój chodácek, dopomóz mu Boże! (Z.)

11. Jedzies chodák, jedzies — jedzies, nie jadący,
a mnie ocka bolą, na cie patrzający. (Z.)

12. U matusie w sieni stokroć sie zieleni,
co mi po stokroci, kiej mi Jasia wzięni! (Zb.)

13. I tak mi pedziała rodzoná matusia,
jize zagrodzoná dróga do Wojtusia,
cirniami, cirniami, samymi ostami,
bardzi zagrodzoná ludzkimi mowami. (Zb.)

14. Tak my sie kochali, jak gołąbki w párze,
a wto nás rozłącuł, niek go Pan Bóg skárze. (Zb.)

15. Widziáłeś mie przódy przez dziesiątą ścianę,
teráz mie nie widzis, choć przy tobie stanę. (Z.)

16. Powiedziáleś ze mie weźmies,
jaze sobie zytko zerznies,
a tyś zytko zezął wszytko,
teráz na mnie patrzys brzydko. (Z.)

17. Zdradziułeś mie, zradziuł,
kogoześ sie radziuł?
— Gwiázdecek na niebie,
kiedyk sed do ciebie. (Zb.)

18. Ody jino! ody! niedaleko gody,
pódę do matusie, jak rybka do wody.
Jak rybka do wody, kieby jiś(ć)! kieby jiś(ć)!
oj! já do matusie, kieby dziś! kieby dziś! (S.)

19. Matusiu! matusiu! wy w grobie lezycie,
já sie poniewiérám, wy o tem nie wiécie.
Matusiu! matusiu! ty złoty korálu!
jak ciebie nie widzę, to mdleję od zálu.

Matusiu! matusiu! ty rózowy kwiecie!
juz já cie nie uźrę, jaz na tamtem świecie. (Z.)

20. Siyrota, siyrota, já siyrotkąm buła,
bodej sie siyrocie ziemia otworzuła!
Ziemia otworzuła, niebo przychyluło,
bodej tyk siyrotek na świecie nie buło! (Zb.)

21. O Boze! mój Boze z wysokiego nieba!
nie dájze mi! nie dáj służebnego chleba!
ani służebnego, ani zebrackiego,
dájze mi sie Boze dorobić swojego!
Służebny jes dobry,
ale jes wymowny,
dá ci go ráz w tydzień,
wymówi kázdy dzień.
Dozże go ukroji, jak bukowy listek,
jesce go opatrzy, czyli ci dać (w)systek. (Zb.)

Rozmowy, przekomarzania się lub żarty zwykłe, codzienne, między osobami obojętnymi, kochankami, chłopem i babą, matką i córką, i t. p., odbiły się też w śpiewkach.

1. Chłopácy! chłopácy! chłopácy kasubi![1]
zádná wás teráz dziwcyna nie lubi.
Jagze wás má lubieć takich kasubiáków,
bili sie za górą o sześci zimniáków. (S.)

2. Jaką ześ mi tę chusteckę dała,
co mi sie w kraju ozerwała!
— A jakieześ mi to buciki kupił,
co mi sie zaráz obcasik wylupił! (S.)

3. Zebyś ty, Marysiu, gorzálki nie piuła,
za toby sie ś ciebie lelijá robiuła.
— Zebyś ty, Jasieńku, gorzálki nie pijál,
za toby sie ś ciebie majerán rozwijál. (Z.)

4. Była ci já, była, po kolana w niebie,
alem sie wróciła, chłopáku, do ciebie.
— Po coś sie wracała, kiej ci dobrze było?
— Do ciebie, chłopáku, bo mi cie zál było. (S.)

5. Leciała, krzycała gąsecka siodłatá,
oj! zeniułbym sie s tobom, aleś nie bogatá.
Kiebyś była bogatá, miała śrybło, złoto,
oj! zeniułbym sie s tobom z nájwiększą ochotą. (S.)

[1] Sive łajdáki.

6. Widziałaś, dziewcyno, ten kamień nad wodą,
zeli on popłynie, ozenie sie s tobą.
— Widziałeś ty, chłopce, zeby kamień płyjwał,
nimiałeś sie zenić, po coś u mnie bywał? (Z.)

7. Nie kcę cie, dziewcyno, bo brzydkie nogi más.
— I já ciebie nie kcę, bo gorzálkę pijás.
Já pódę do wody, umyję se nogi,
ty wszystko przepijes i bedzies ubogi. (S.)

8. Ozeniułem ci sie na biéde, na biéde,
pono cie, Marysiu, odyde, odyde.
— Odydze! odydze! mój Jasieńku odydź!
kie tobie sie nie kce se mną na chlyb robić. (S.)

9. Jageś sie zalycál, widziáłeś sie dobry;
jageś sie ozeniuł, do wilkaś podobny. (Z.)

10. Siadła mucha na kónopiu, odrzepała kwiát,
cemuześ mi stara babo zawiązała świat?
— A já tobie nie wiązała, tylko ty mnie,
já do ciebie nie chodziuła, tylko ty do mnie. (Z.)

11. Choćbys mie, matusiu, w skrzyni zamykała,
to mie nie upatrzys, jak já bedę kciała. (Zb.)

12. A moja matusiu! wydejze mie za mąz,
ino mi koráli całą syję nawiąz!
Jak nimás koráli, nawiąz(z)e mi róze,
będą chłopcy myśleć, ze korále duze.
— Já jedne wydała,
koralim nie dała,
to ji ciebie wydám,
choć koráli nimám. (Z.)

13. Dałaś mie, matusiu, dałaś mie w niewolą,
robic mi kazują, a mnie roncki bolą.
Weźze mie, matusiu, weźze mie z niewole,
bo on mie zaprzęgá s kónisiem do role. (S.)

14. Daliście mie, dali, za kogoście kcieli,
teráz mie płacecie, mili przyjaciele! (Zb.)

Nie jedna z przytoczonych śpiewek, przedstawiających myśli codzienne i codzienne zdarzenia, tchnie satyrą, która w ogóle w polskich pieśniach gminnych dominującym jest pierwiastkiem. Satyra to oryginalna — cechami jej są: prostota, często nawet rubaszność, śmiałość, dosadność, bezżółciowość.

1. Od Krakowa jadę, na Zielony[1] grają,
wszystkie selmy dziwki, co kulcyki mają. (S.)

[1] Karczma.

2. Po odpustach chodzę, kościoły odwidzám,
wydać sie nimogę, choć mie chłopcy widzom. (S.)

3. Chanusia s Kasieńkom pobóźnicki były,
posły do kościoła, do karcmy wstompiły. (S.)

4. Marysiu ubogá!
trzymej sie chędogo!
a choc godu przymirás,
piknie sie ubirás. (Z.)

5. Ładneś dziywcę, ładne, boś ładnego rodu,
za śtyry niedziele to umrzes od godu. (Zb.)

6. Dziewcyno kochanie!
kto ci sie dostanie?
cy cysàrz? cy pisárz?
cy jaki konwisárz? (S.)

7. Dziewcyna konała, jesce sie pytała,
cy na tamtem świecie bedzie tańcowała.

8. Chopácy filuty!
s kutasami buty;
skoro przydzie zima
obcasika nima. (Z.)

9. Mám párę bucików od wielgiego święta,
zaledwo obuję, juz wyłazi pięta.
Mám ci já chusteckę s pręcianego worka,
jesce mi to bierze za wódkę synkárka. (Z.)

10. Jesce tak nie było, jak terás nastaje,
co matka za córkom kusą krowe daje,
kusą krowe daje, świnie opáloną,
królika ślepego, kure wyscyrzoną. (S.)

Najznaczniejszą może cechą pieśni naszych gminnych jest zwięzłość ich myśli i szybkość akcyi. Jednostrofowa śpiewka jest częstokroć udatnym obrazem, przedstawiającym jakąś scenę życia; kilkostrofowa powieścią całą.

1. Serce moje, serce,
wesołe być nie kce,
ino sie trzepoce,
jak rybka w potoce. (Z.)

2. Hojze jino! hojze dana!
nie takiego bede miała,
wysokiego tajak dombek (dąbek),
a ładnego jak jarzombek. (S.)

3. Matko moja! matko! chowejze mie gładko,
od niedziele do niedziele, jak cyrwone jabko! (Z.)

4. Ładnyś, Jasiu, ładny, zeby karafijál,
kochałaby já cie, zebyś mie nie bijál. (S.)

5. Kochálek sie w tobie, jak rybka w kamieniu,
a terás cie nimám w zadnym pomyśleniu. (Zb.)

6. A nima to, nima, jako powroźnikom,
idą jem piniązki, jako woda rzykom. (Z.)

7. Cięsko kamieniowi, co pod wodąm máchá,
temu jesce cięzy, coto sie w kim rozkochá. (Zb.)

8. Śpiwájze słowicku w zielonem gájicku!
Powródze [1] sie! powróć, pirsy zálotnicku!
Choćby ten słowicek prześpiwál gájicek,
jus sie nie powróci pirsy zálotnicek. (S.)

9. Idzie woda, idzie, po kamieniach hucy.
kto robić nie umié, bida go naucy. (Z.)

10. Za wodąm, za wodąm, za syrokąm baniąm,
jak bedzies robiuła, takąm bedzies paniąm. (Zb.)

11. Zachodzi słonecko za wysokie dęby,
a tem (Záwadziánkom) wyleciały zęby.
Kiej jem wyleciały, niek se dorádzają,
są kobyle zęby, niek se powprawiają [2]. (Z.)

Niejedna śpiewka wyrwała się z chłopskiego serca jako fala uczuć, dlatego w dziwny sposób odbiły się w niej wszystkie cechy chłopskiej natury: prostota, zmysłowość, wesołość i trochę tęsknoty. Inna powstała wprawdzie więcej pod wpływem refleksyi, jednak nie mniej jest całym wyrazem uczuć, jakie w danej chwili owładnęły sercem, słabszym chyba tylko, ale zawsze prawdziwym i wiernym. Sceny miłosne choć widocznie na prędce, jakby od niechcenia są w pieśniach odmalowane, z dziwną wiernością i dosadnością. Zbyt dobrą są często fotografią, aby je można powtarzać. Są jednak piosnki, w których, bez ujmy naturalności i wierności, skrystalizowała się sama poezya, samo piękno.

1. S tamte strony jeziora
stoji lipka zielona,
a na ty lipce, na ty zielony, siedzieli tam ptáskowie.
Nie byli ci to ptáskowie,
jino kawalyrowie,
i radzili se o piekny pannie, któremu sie dostanie.

---

[1] Powróćże.

[2] Powszechnie.

Jeden mówi: to moja!
Drugi mówi: jak Bóg dá!
A trzeci: Hola! serduniu moja! cemuześ mi tak smutná?
„Jakze nimám smutną być,
„za starego kázą jiś(ć)!
„Jezeli stary,
„biercie na mary,
„zeby rana nie dockál!
„Jezeli m(l)ody,
„piękny urody,
„niek mu Pámbóg (Pan Bóg) zdrowie dá! (Z.)

2. Choćby já jeździł we dnie i w nocy,
choćbym wyjeździł kóniowi ocy,
przecies ty musis mojom być
i wolą moją ucenić.
To já sie stanę dzikiem kácorem,
bedę góniła lasem i borem,
przecie já nie kcę twojom być
ji woli twoji ucenić.
Są ci leśnicy, mają topory,
co wyrębują lasy i bory,
przecies ty musis mojom być i t. d.
To já sie stanę dziką ptásyną,
bedę góniła gęstą krzewiną,
przecie já nie kcę twojom być i t. d.
Som ci strzelcowie, mają strzelbecki,
co wyszczylają małe ptásecki,
przecies ty musis mojom być i t. d.
To já sie stane małą rybecką,
bedę góniła bystrą wodecką,
przecie já nie kcę twojom być i t. d.
Som ci rybacy, mają siátecki,
co wychytują małe rybecki,
przecies ty musis mojom być i t. d.
To já sie stane gwiázdą na niebie,
bedę świéciła ludziom w potrzebie,
przecie já nie kcę twojom być i t. d.
Som ci ubodzy nad ubogiemi,
co dościągają gwiázdy ku ziemi,
przecies ty musis mojom być i t. d. (S.)
Juz terás widzę Boskie urzędy,
gdzie sie obrócę, musis być wszędy,
juz terás musę twoją być
i wolą twoją ucenić[1].

[1] Ostatniej tej zwrotki nie słyszałem w Sosnowicach.

3. W zielonym gájiku ptáskowie śpiéwają,
mojego Jasieńka na wojnę wołają.
Wołają, wołają, juz kóń osiodłany:
„Komuz mie ostawis, Jasieńku kochany?“
„Ostawię cie ludziom i Bogu na niebie,
a za rocek, za dwa, powrócę do ciebie“.
„Juz to trzeci rocek, jak sie wojna tocy:
Mojego Jasieńka nie widać na ocy“.
Wysła do ogrodu, a ułani jadą:
„Mojego Jasieńka konika prowadzą;
prowadzą, prowadzą, załobąm nadkryty,
ize mój Jánicek na wojnie zabity“.
„Nie płac, Kasiu! nie płac! nie załuj jednego!
Jes nás tuták tysiąc, wybierz se jinnego!“
„A choćby wás bulo, jak tráwy na ziemi,
nimás ji nie bedzie, jak mój Jaś kochany“. (Zb.)

(Dok. nast.)

Karol Mátyás.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Kandydatów takich można było bardzo łatwo wyszukać między nadzwyczajnymi fakultetu teologicznego profesorami, którzy dotychczas na wydziale tym jeszcze tylko jako bakałarze św. teologii wykładali, a stopni doktorskich jeszcze nie mieli. Bakałarzy też takich w chwili nagłego św. p. Stawiszyńczyka zgonu było aż kilku, niektórzy nawet wcale dla Uniwersytetu Jagiellońskiego zasłużeni, a w szczególności:

Uczony astronom i matematyk, małomieszczanin ks. Mikołaj Procopiades ze Szadka, z początkiem r. 1512 promowowany na mgra filozofii[1]. Czynny na wydziale artystycznym jako extraneus, a potem collega minor i major od wiosny r. 1512 do Wielkanocy r. 1535[2], pełnił równocześnie obowiązki urzędowego astrologa uniwersyteckiego, i jako taki układaniem i ogłaszaniem w językach łacińskim, polskim, czeskim i niemieckim, od r. 1517 począwszy, licznych ściennych i książkowych kalendarzy p. t. „Ephemerides“,

[1] Muczkowski, Liber promot., str. 153.
[2] Liber dilig., str. 476 i n.

„Prognostica“, „Judicia astrologica“ i t. p.[1], wielkie według wyobrażeń ówczesnych dla chwały Uniwersytetu Jagiellońskiego położył był zasługi. Święconym kapłanem był już od dawna, studya na fakultecie teologicznym miał już także dawno pokończone, a nawet poszczycić się już mógł był tytułem bakałarza św. teologii[2], dlaczego też, w nagrodę niejako wieloletnich zasług swoich, już od dobrych kilku lat kanonikiem był kolegiackim[3]. Co robił od wiosny r. 1535 do jesieni r. 1537, nie jest wiadomo, w tym roku wszakże, dnia 1 października, powołał go fakultet teologiczny do wykładu Piotra Lombarda „Sententiarum libros“[4], a wkrótce potem, jak się zdaje, już w kwietniu r. 1538, zaraz po śmierci ks. Burcardiniego, mianowany został ekonomem czyli prokuratorem dóbr św. Floryańskich[5].

Za kandydatów do opróżnionego miejsca uchodzić mogli w danym razie także bakałarze św. teologii:

Kmiecego rodu ks. Stanisław Grodziskanus z Grodziska, uczony kilku kalendarzy autor[6], od początku stycznia r. 1516 mgr. filozofii[7], od wiosny r. 1516 do jesieni r. 1535 extraneus, a potem collega minor i major na wydziale artystycznym[8], odtąd zaś prawdopodobnie jako bakałarz św. teologii czynny na wydziale teologicznym. A dalej: małomieszczanin a może, co jednak rzeczą bardzo wątpliwą, podupadłego jakiego szlachcica syn, ks. Jan Prosiński z Piotrkowa, od Trzech króli r. 1518 mgr. filozofii[9], od wiosny

---

[1] Żebrawski, Bibliografia matematyki i fizyki, str. 89 i nn.; Katalog rękopisów bibl. Jag., I 184 i n. nr. 582, II 582 nr. 2422; Przewodnik bibliogr., X 40.

[2] Liber dilig., l. c., już w półroczu zimowem z r. 1534 na 1535 nazywa go „s. theologiae baccalaureus“.

[3] Według Acta rect., I 1192, już w czerwcu r. 1531.

[4] Zapiska w Ephemerides Gaurici a. 1537: „1 Octobris mgr. Nicolaus Shadek presentatus est ad Sentencias legendas et debet incipere tercium librum“.

[5] Pauli, Codex, IV 171: „Nic. de Shadek, canonicus et procurator capituli ecclesiae collegiatae s. Floriani in Clepars“.

[6] Żebrawski, Bibliografia, str. 105; Katalog rękopisów bibl. Jag., I 183 i 191 nry 579 i 608.

[7] Muczkowski, Liber promot., str. 162.

[8] Liber dilig., str. 415.

[9] Muczkowski, Liber promot., str. 165: „Ioannes de Pyotrkow“ z dopiskiem późniejszym: „canonicus s. Annae et Clepardiensis“.

r. t. do wiosny r. 1537 extraneus a potem collega minor i major na wydziale artystycznym [1], przytem od r. 1529 kaznodzieja uniwersytecki w kościele katedralnym [2], od października r. 1535, t. j. od chwili przemienienia kościoła św. Anny na kolegiatę, jako bakałarz św. teologii pierwszy tego kościoła kolegiackiego dziekan [3], a razem także kanonik św. Floryański i nadzwyczajny na wydziale teologicznym profesor. Podobnież: kmiecego rodu ubogiego sołtysa syn, uczony ks. Antoni Napachańczyk z Napachania [4], od pierwszych dni r. 1519 mgr. filozofii [5], od Wielkanocy r. t. do jesieni r. 1539 extraneus, a potem collega minor i major na wydziale artystycznym [6], od tego czasu zaś prawdopodobnie jako bakałarz św. teologii już kanonik kolegiacki i nadzwyczajny fakultetu teologicznego profesor. Toż nakoniec: najmłodszy z nich, miejskiego pochodzenia ks. Stanisław Cieśla alias Carpentarius albo Cieślak z Krakowa [7], od Trzech króli r. 1525 mgr. filozofii [8], od wiosny zaś r. 1527 do wiosny r. 1541 extraneus a potem collega minor i major na wydziale artystycznym [9], a równocześnie, widocznie już od roku lub dłużej nawet, jako bakałarz św. teologii i kanonik św. Floryański, nadzwyczajny fakultetu teologicznego profesor.

W ogólności — jak się pokazuje — w chwili nagłej dotychczasowego kustosza kolegiackiego śmierci, w maju r. 1540, był teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego wydział co do liczby czynnych na nim w zwyczajnym i nadzwyczajnym charakterze św. teologii doktorów i bakałarzy, po części księży świeckich [10], w części

---

[1] Liber dilig., str. 478.

[2] Katalog rękopisów bibl. Jag., II 705 i n. nry 3209—3214.

[3] Pauli, Codex, IV 162.

[4] Już w r. 1523 wydał był u Unglera w Krakowie dziełko p. t. „Donati, grammatici illustris, barbarismus“. Wiszniewski, Historya liter., VI 130.

[5] Muczkowski, Liber promot., str. 167.

[6] Liber dilig., str. 457 i n.

[7] Cieślakiem nazywają go Anniversaria in ecclesia s. Floriani, str. 47: „Stan. Cracouita Czieslak“.

[8] Muczkowski, Liber promot., str. 179: „Stan. de Cracouia Ciesla“, z dopiskiem późniejszym „canonicus s. Floriani, baccalaureus s. theologiae, cito mortuus“.

[9] Liber dilig., str. 392 i n.

[10] Należał do nich także żyjący jeszcze ks. dr. Biem z Olkusza, od końca r. 1526 — jak wiadomo — proboszcz u św. Mikołaja.

zaś mnichów, wcale nie źle zastąpiony [1]. A i liczba wykładających z katedr jego w tym czasie docentów prywatnych także mniej więcej odpowiednią była i dostateczną. I tak, niemając jeszcze ani stopnia doktorskiego, ani licencyatury lub bakałarstwa teologicznego, czytali w tych latach w charakterze docentów prywatnych czyli cursorów przydzielone sobie przedmioty teologiczne:

Miejskiego pochodzenia ks. Marcin Garbarz alias Cerdo lub Cerdonius z przedmieścia krakowskiego Garbary, od Trzech króli r. 1511 mgr. filozofii [2], od wiosny zaś t. r. aż do jesieni r. 1552, w ciągu nieprzerwanym przez lat 42 extraneus, a potem collega minor i major na wydziale artystycznym [3]. Na początku r. 1535 a może i trochę przedtem już, gdy otrzymawszy święcenia kapłańskie pokończył już był studya teologiczne i zdawało się, że pomału do egzaminów i promocyj doktorskich sposobić się będzie, został

---

[1] Liczba nadzwyczajnych fakultetu teologicznego profesorów była nawet w tym czasie większą, dwóch jednakowoż bakałarzy św. teologii zmarło mniej więcej równocześnie ze Stawiszczyńskiem, mianowicie: 1. kmiecego rodu ks. Marcin Ciężkowita a Ciężkowice, według Muczkowskiego Liber promot., str. 163 i 195, według Liber dilig, str. 393 i n., i według Paulego in Codice, IV 162, od początku r. 1517 mgr., od wiosny r. 1517 do wiosny r. 1538 extraneus, collega minor i major na wydziale artystycznym, od października r. 1535, t. j. od przemiany parafialnego kościoła św. Anny na kolegiatę, drugi jej kanonik i niebawem potem jako bakałarz św. teologii kanonik św. Floryański, 15 października r. 1537, według zapiski w Ephemerides Gaurici a. 1537, „presentatus ad cursum legendum“ na wydziale teologicznym, niestety już „a. 1539 mortuus“; i 2. małomieszczanin ks. Jakub Sieprcius ze Sieprca, według Muczkowskiego Liber promot., str. 160 i 194, według Liber dilig., str. 491 i n., i według Paulego in Codice, IV 162, od pierwszych dni stycznia r. 1515 mgr., od Wielkanocy r. 1515 do Wielkanocy r. 1538 extraneus, collega minor i major na wydziale artystycznym, od października r. 1535 pierwszy kolegiaty św. Anny kanonik, według zapiski w Ephemerides Gaurici a. 1537, dnia 6 lipca t. r. „presentatus ad cursum legendum“ na wydziale teologicznym, niestety także, równocześnie prawie z ks. Stawiszyńczykiem, według zapiski w rękopisie biblioteki Jag. pod nrem 616, w Katalogu rękop. I 194, jako „s. Floriani in Cleparz canonicus a. d. 1540 in mense Maio mortuus, cuius animam Deus suscipiat“. Inna współczesna zapiska, w Ephemerides Gaurici a. 1540, kładzie dzień jego śmierci na 4 czerwca: „Quarta die huius mensis (Junii) mgr. Iacobus de Sijeprcz, maioris Collegii collegiatus, canonicus s. Ffloriani, mortuus est et in ecclesia s. Floriani sepultus“.

[2] Muczkowski, Liber promot., str. 151.

[3] Liber dilig., str. 406 i n.

kanonikiem św. Floryańskim [1] i jako docent prywatny przydzielone sobie kursy teologiczne czytywał. Wprawdzie — jak się niżej okaże — zawiódł później położone w nim przedwcześnie zaufanie, i podobnie jak na wydziale filozoficznym wcale niedbale wykładając [2], nawet do bakałarstwa teologicznego doprowadzić nie zdołał, ale w tych jeszcze latach, od czasu do czasu przynajmniej, to i owo czytywał i za docenta uchodził prywatnego. Drugim obok niego był kmiecego rodu ks. Jan Mstowita ze Mstowa, promowowany na mgra filozofii w pierwszych dniach r. 1520 [3], od jesieni zaś r. 1522 do lata r. 1541 extraneus, collega minor i major na wydziale artystycznym [4], przytem od października r. 1535, gdy kościół św. Anny na kolegiatę tego nazwiska przemieniony został, piąty z rzędu jej kanonik [5]. W przypuszczeniu, że jako ukończony słuchacz wydziału teologicznego pomału do doktoratu sposobić się będzie, otrzymał także wkrótce potem kanonią św. Floryańską i jako docent fakultetu teologicznego wykłady rozpoczął [6].

Jako prywatni docenci czytali tu wreście w tym czasie od niedawna dwaj młodzi i zdolni Bożogrobcy z Miechowa: małomieszczanin o. Stanisław Bieda z Łowicza [7] i szlacheckiego pochodzenia o. Leonard h. Kościesza Słonczewski z Wyszogrodu, obyczajem w. XVI inaczej także Altipolitą zwany. Pierwszy z nich od stycznia r. 1535 mgr. filozofii [8], od wiosny zaś t. r. do jesieni r. 1536

---

[1] Acta rect., I 1252 i nn., już w marcu r. 1535 nazywają go „canonicus s. Floriani".

[2] Dziekani wydziału artystycznego przed r. 1540 zarzucają mu w Liber dilig., l. c, że „raro integram horam legebat" i że podczas dysput sobotnich „aliquoties exibat et moram extra faciebat".

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 170.

[4] Liber dilig., str. 455.

[5] Pauli, Codex, IV 162.

[6] Conclusiones Collegii maj., str. 86.

[7] Jestto już — jak z poprzedzającego wiadomo — równocześnie żyjący trzeci Stanisław Łowiczanin. Jeden St. Łowicius de Łowicz był już od lat kilku drem medycyny, ale zawsze jeszcze, dla braku miejsca na wydziale lekarskim, jako collega major czynny był do wiosny r. 1541 na wydziale artystycznym; drugi jako dr. św. teologii siedział już od r. 1530 na probostwie w Pajęcznie; trzeci nakoniec Stan. Łowicius z Łowicza, po ojcu zwany Bieda, występuje właśnie dopiero teraz.

[8] Muczkowski, Liber promot., str. 191.

przez trzy półrocza czynny jako extraneus na wydziale artystycznym[1], wydał był właśnie w r. 1538 i 1539 w Krakowie dwa dziełka treści teologicznej[2], czem wielce, jak się spodziewać można było, nie tylko profesorom fakultetu teologicznego ale i całemu zaimponował Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Drugi, od Trzech króli r. 1539 mgr. filozofii[3] i zaraz od Wielkanocy w półroczu letniem r. t. extraneus na wydziale artystycznym[4], już tem samem, że szlachcicem był z rodu, nadzwyczajne jakieś w owych czasach między miejskiego i kmiecego pochodzenia magistrami i profesorami krakowskimi stanowił zjawisko, a choć mnich w szacie zakonnej, niemniej od kolegi i towarzysza swego wszystkim także nielada imponować musiał. Jakoż ponieważ obydwaj w dodatku niezwykłe już złożyli byli znajomości spraw i rzeczy teologicznych dowody[5] i studya teologiczne mieli widocznie już także pokończone[6], otrzymali dnia 1 września r. 1539 formalne wezwanie, ażeby w charakterze docentów prywatnych wykłady na wydziale teologicznym rozpoczęli[7].

Wśród takich też stosunków i przy takim składzie czynnych na wydziale teologicznym profesorów nadzwyczajnych i docentów prywatnych, przyszło po nagłej, 18 maja r. 1540, śmierci kustosza św. Floryańskiego, ks. dra Stawiszyńczyka, do wyboru jego następcy. Jako uprawnieni do posady i godności tej kandydaci, obok ks. Wisneczanina, który, niestety, jak dotąd, był tylko mgrem filozofii,

---

[1] Liber dilig., str. 382.

[2] W oficynie Unglera r. 1538 „De V. Mariae immaculata conceptione", u Wietora zaś r. 1539 „Regulae vitae monasticae". Jocher, Obraz bibliogr.-histor., nry 3712 i 6159, II 298 i 579, III 61.

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 196.

[4] Liber dilig., str. 495.

[5] Według uwagi L. Sobolewskiego w Jocherze, l. c. II 579, należałoby dziełko z r. 1538 „De V. Mariae immac. concept." uważać poniekąd za wspólną Biedy i Altipolity pracę.

[6] Jako zakonnicy mogli już byli przedtem, niemając jeszcze stopni mgrów filozofii, jako zwykli fakultetu teologicznego słuchacze uczęszczać na wykłady teologiczne.

[7] Zapiska w Ephemerides Gaurici a. 1539: „1 Septembris presentaui (sc. ego Biem, prof. s. theologiae et vicecancellarius Universitatis, ob. niżej) ad cursum in s. theologia legendum mgros Stanislaum de Lovycz et Leonardum de Vijschogrod, religiosos de Mijechov".

stanęli teraz w naczelnym rzędzie drowie św. teologii: pierwszy w ogólności kaznodzieja polski w maryackim kościele krakowskim, mieszczanin Stanisław Aurifaber alias Lubart z Krakowa, syn kmiecy Stanisław Wielopolczyk z Wielopola, i małomieszczanin Maciej-Mateusz z Kościana Kościańczyk. Tuż za nimi w drugim rzędzie stali bakałarze św. teologii: małomieszczanin Mikołaj Procopiades ze Szadka, syn kmiecy Stanisław Grodziskanus z Grodziska, małomieszczanin Jan Prosiński z Piotrkowa, syn kmiecy Antoni Napachańczyk z Napachania, i mieszczanin Stanisław Cieśla alias Cieślak z Krakowa. W trzecim wreście rzędzie, gdyby tego okazała się była potrzeba, mogli byli stanąć docenci prywatni: mieszczanin Marcin Garbarz z Krakowa, i syn kmiecy Jan Mstowita z Mstowa. Bożogrobców, o. Biedę i Altipolitę-Słonczewskiego, jak zwykle, jako zakonników w rachubę niebrano.

Ku wielkiemu wszakże, jak się spodziewać można było, niezadowoleniu ze strony wieloletniego już proboszcza olkuskiego i kantora kolegiackiego także i obecnie znowu w przekonaniu kolegów-wyborców górę wzięła zasada, że kustoszem św. Floryańskim nie należy wybierać kandydata, który, jak dotąd, był tylko mgrem filozofii. Jakoż z ponownem ks. Wisneczanina pominięciem i nie bez wielkiej dla niego przykrości wyszedł teraz z urny wyborczej najgodniejszy ze wszystkich współubiegających się i najstarszy z nich latami czynnej bez przerwy w murach uniwersyteckich służby, dr. i profesor św. teologii, ks. Stanisław Aurifaber, a wybór jego przyszedł widocznie nawet bez znaczniejszej walki wyborczej do skutku i wnet po przedwczesnej śmierci powszechnie żałowanego Stawiszyńczyka, już bowiem w kilkanaście dni później, w ciągu miesiąca czerwca, znajdujemy go na wpływowem tem kustosza kolegiackiego stanowisku [1].

I teraz zatem, a więc już po raz czwarty, odejść musiał niemający doktoratu, ani nawet choćby bakałarstwa teologicznego, ks.

---

[1] W Anniversaria in eccl. s. Floriani, str. 34, występują już „a. d. 1540 diebus Iunij Venerabiles et Egregij dni Iacobus a Cleparz (Fridel), decanus, et Stanislaus de Cracouia (Aurifaber), custos ecclesie s. Floriani, ss. literarum dres", jako „executores testamenti olim mgri Andree Burchat de Cracouia, s. theologie dris et canonici memorate ecclesie".

Leonard z niczem, co nawet niewątpliwie tem dotkliwiej odczuł, że obecnie tym szczęśliwszym od niego kandydatem, który go w otrzymaniu tak wpływowej i intratnej posady ubiec zdołał, był o dobrych cztery lat od niego młodszy magister. Wszak — jak już wiemy [1] — Aurifaber dobił się był stopnia mgra filozofii dopiero w pierwszych dniach stycznia r. 1508, gdy Wisneczanin był nim już od Trzech króli r. 1504! Ale czy nowa ta przykrość a razem bądź co bądź i upokorzenie już niemałe wobec całego Uniwersytetu wpłynąć wreście zdołały na postanowienie z jego strony, żeby ostatecznie o doktorat św. teologii, którego brak tylokrotnie dał mu się już był we znaki, raz przecież się postarał, wobec niedostateczności współczesnych zapisek źródłowych trudno orzec stanowczo. W każdym razie, jak się zdaje, nie pozostał wybór Aurifabra bez wyraźniejszego na ks. Wisneczanina wpływu, zwłaszcza że nowe w ustroju uniwersyteckim i kolegiackim gotowały się zmiany osobiste, a wyliczeni wyżej bakałarze św. teologii, niezasypiając gruszek w popiele, sposobili się otwarcie do egzaminów i promocyj doktorskich, żeby w danym razie z tem większą śmiałością i pewnością siebie o intratniejsze i poważniejsze dobijać się mogli w hierarchii uniwersyteckiej stanowiska.

A niemałej wagi były to dla ówczesnych docentów i nadzwyczajnych fakultetu teologicznego profesorów zmiany osobiste, na które się właśnie w najbliższym zanosiło czasie, chodziło bowiem aż o dwie posady wyższe, które lada chwilę opróżnić się mogły, a o które przedewszystkiem — jak się zdawało — należący do wydziału teologicznego ubodzy magistrowie krakowscy, o ile już posiadali doktorat św. teologii, ubiegać się mogli i powinni byli. Posadami zaś tymi były: bogate św. Mikołaja probostwo za murami miasta i niemniej bogata i dla profesorów i drów św. teologii przeznaczona katedralna kanonia krakowska.

Na probostwie św. Mikołajskiem [2] siedział już od końca r. 1526, od śmierci dra i prof. prawa, ks. biskupa Przyjaciela, zasłużony dla chwały i dobra Uniwersytetu i nauki b. astrolog uniwersytecki

[1] Ob. wyżej.

[2] O czem już także wyżej przy sposobności była mowa.

a potem dr. i prof. św. teologii, ks. Marcin Biem z Olkusza, przed r. 1520 — jak wiadomo — przez lat kilka kantor św. Floryański i proboszcz olkuski. Obecnie, w chwili nagłego ks. Stawiszyńczyka zgonu i w czasie wyboru następcy jego, ks. Aurifabra, w maju i czerwcu r. 1540, liczył Biem już sporo lat życia[1], ale choć do niedawna jeszcze mąż krzepki, w zimie n. p. z r. 1535 na 1536 pełnił jeszcze po raz już dziewiąty wysokie i zaszczytne rektora Uniwersytetu obowiązki[2], teraz właśnie, zdaje się nawet skutkiem przerażenia, jakiego doznał na wiadomość o nagłej Stawiszyńczyka śmierci, zaniemógł mocno[3], a możliwość powołania go w najbliższym czasie za wolą Opatrzności do życia lepszego nie była wykluczoną. Wprawdzie wówczas probostwo św. Mikołaja stale do fakultetu teologicznego przywiązane nie było, otrzymywali je bowiem czasami, jeżeli się tak stosunki składały, drowie i profesorowie prawa, jakim był właśnie poprzednik na tem stanowisku Biema, ks. Amicinus, a na-

---

[1] Bakałarzem nauk wyzwolonych został jeszcze r. 1488, mgrem filozofii zaś w r. 1491. Muczkowski, Liber promot., str. 102 i 108.

[2] Pauli, Codex, IV 186.

[3] Przemawiają za tem zachowane dotąd w bibliotece Jag. drukowane Ephemerides Gaurici, z których wyżej wiele współczesnych poznaliśmy zapisek. Otóż exemplarz ten Efemeryd był niegdyś własnością Biema, i z bardzo nieznacznym wyjątkiem prawie wszystkie znajdujące się w nim zapiski uskutecznił swego czasu sam Biem własnoręcznie. Aż do dnia też śmierci Stawiszyńczyka zapiski te, treści najrozmaitszej, są wcale gęste i częste, wyraźnym i grubym rzucone charakterem; odtąd zaś aż do września r. 1540 jawią się tylko nader rzadko, pisane ręką chwiejną, drżącą i niepewną, choć tym samym charakterem. Trzy też tylko z nich zaledwie są trochę dłuższe, podana wyżej z 4 czerwca o śmierci ks. Jakuba Sieprczyka, i dwie inne z 21 lipca i 18 sierpnia: 1. „21 huius mensis (Julii) Ioannes, rex Hvngarie, diem clausit extremum, relicto filio nuper nato, quem genuit ex Isabella regina, filia Sigismundi, Polonie regis“; i 2. „18 huius mensis (Augusti) circa horam 20 Catharina Mlinarka se importauit ad me, quam non solum pro coctrice, verum eciam pro hospita suscepi“. Wszystkie zaś inne jego zapiski, od 18 maja t. r. począwszy, i nader rzadkie są i w bardzo skąpych rzucone wyrazach i wyłącznie tylko meteorologiczne, jak że dzień był „clarus“, albo że dnia tego lub owego była „pluuia magna“, „pluuia continua“, „pluuia lenta et in nocte“, „pluuia in nocte copiosa“ i t. p. Od 13 września t. r. ustają wreście i te skąpe Biema zapiski, widocznie stan jego zdrowia, niepewny bardzo od połowy maja, w tym czasie właśnie pogorszył się był już znacznie i żadnego dla przyjaciół i znajomych nie obiecywał polepszenia.

wet niekiedy drowie i profesorowie „ss. medicinae“ [1]; ale bądź co bądź i niemający jeszcze lepszego zaopatrzenia młodsi stanowiskiem docenci i nadzwyczajni św. teologii profesorowie, o ile wszelkie po temu posiadali warunki, mogli byli w danym razie także o plebanią tę wyciągnąć rękę. Wakans zatem niepospolity otwierała dla nich teraz smutna wieść o chorobie, w jaką popadł był pochylony już wiekiem proboszcz św. Mikołajski.

O wiele pewniejsze otwierała dla nich widoki także nadzieja rychłego, jak według zwykłej rachuby ludzkiej przypuszczać można było, opróżnienia jednej z katedralnych kanonij krakowskich, tej mianowicie, na której od dawna już siedział ks. Stanisław Biel z Nowego miasta. W latach — jak już wiemy — 1507 do 1519 kustosz a potem dziekan św. Floryański, był Biel już od grudnia r. 1519 kanonikiem katedralnym, obecnie zaś w chwili nagłej ks. Stawiszyńczyka śmierci, liczył już 82 lat życia i dla późnej starości, albo jak się współczesne o nim źródło wyraża [2], „ob senium viribus destitus“, od dawna już czynnego w sprawach uniwersyteckich nie brał udziału. Stosownie do zwyczaju, jaki się dawniej w tej mierze był ustalił, a który już wyżej poznaliśmy dostatecznie, po spodziewanem jego zejściu powinien był na opróżnioną po nim kanonią katedralną posunąć się dotychczasowy dziekan kolegiacki, ks. Fridel Kleparzanin, opróżnione znowu po nim miejsce powinien był zająć świeżo obrany kustosz św. Floryański, ks. Aurifaber, o opróżnioną zaś w ten sposób po nim kustodyą kolegiacką wolno było ponownie młodszym stanowiskiem ubiegać się docentom czyli cursorom i nadzwyczajnym św. teologii profesorom.

Aż dwa zatem dla wszystkich bakałarzy św. teologii otwierały się równocześnie wcale intratne wakanse, probostwo św. Mikołajskie i ewentualnie kustodya św. Floryańska, a bodźca do tem prędszego uporania się z doktoratem i ostatecznymi promocyami doktorskimi, mimo niezwykłych taks i opłat, jakie za sobą akty te pociągały, dodawała im prawdopodobnie i ta jeszcze niemniej ważna okoliczność, że równocześnie z wyborem na kustosza ks.

[1] Do r. 1466 był przez czas dłuższy proboszczem u św. Mikołaja dr. i prof. medycyny, miejskiego pochodzenia ks. Andrzej Grzymała z Poznania. Katalog rękop. bibl. Jag., I 123 nr. 369.

[2] Regestrum supellectilis, str. 60.

Aurifabra, dwaj inni jego współzawodnicy, którzy w pierwszym z nim o kustodyą kolegiacką dobijali się rzędzie, księża i drowie Wielopolczyk i Kościańczyk, od dalszego życia uniwersyteckiego albo całkiem się usunęli, albo w pewnem oddaleniu od spraw uniwersyteckich stanąwszy, tem samem także dalszej i właściwej na tej drodze zrzekali się promocyi.

Co mianowicie stało się z drem Wielopolczykiem, czy przypadkowo usuwając się od ruchliwego życia miejskiego, nie przyjął ofiarowanego gdzie sobie w jakiem ustroniu probostwa wiejskiego, czy też może niebawem po ks. Stawiszyńczyku nie przeniósł się także do życia lepszego, nie jest wiadomo; to tylko pewna, że od tej chwili w dochowanych szczęśliwie, choć skąpych z tego okresu rękopiśmiennych źródłach uniwersyteckich, wszelki o nim ślad ginie [1].

W inny natomiast, choć tylko połowiczy sposób, usunął się równocześnie od dalszego życia uniwersyteckiego ks. dr. Kościańczyk. Dosyć — jak widzimy — zgniłe i niezdrowe na ówczesnym wydziale teologicznym stosunki, gdzie dobijający się wyższych posad kandydaci już nie pod szczytnem hasłem „propter Jesum“ lecz pod całkiem pospolitą dywizą „propter esum“ naprzód kroczyli, gdzie nie rzeczywiste dla kościoła i nauki położone zasługi, na które się nawet nie oglądano, o ich rozstrzygały promocyi, lecz liczba strawionych przez nich lat na katedrach fakultetu artystycznego a potem teologicznego, i byle jako, jużci po uiszczeniu wygórowanych taks i opłat, przepchane przez nich egzamina doktorskie, nie mogły stanowić właściwego pola popisu, na któremby wśród wzajemnej emulacyi wyższe inteligencyą umysły potykać się były mogły. Nie było więc pola takiego i dla Kościańczyka, który choć zdolniejszy od innych i choć już od kilku lub kilkunastu miesięcy

[1] Ephemerides Gaurici milczą o nim. Jeżeli umarł był w tym czasie, widocznie zgon jego przed chorym Biemem zatajono, dlaczego też wcale o nim nie wspomina. Milczą jednak o nim także Regestrum supellectilis i Anniversaria in eccl. s. Floriani, co znowu tej okoliczności przypisać należy, że ani Uniwersytetowi krakowskiemu, ani kolegiacie św. Floryańskiej nic się po śmierci ks. Wielopolczyka nie dostało; obydwa te źródła bowiem zawierają krótsze lub dłuższe wzmianki o takich tylko magistrach i profesorach, którzy umierając, Uniwersytetowi lub kolegiacie albo gotowe zapisali byli pieniądze, albo srebrne jakie lub złote kosztowności zostawili im w spuściźnie.

dr. św. teologii, nie miał jeszcze za sobą liczniejszych lat służby, i dlatego też nie mógł być pewnym, czy przy pierwszej lepszej sposobności który ze starszych latami magistrów, uzyskawszy stopień doktorski, nie przeskoczy go w promocyi na wyższe stanowisko. Wszak na wydziale artystycznym i to jako extraneus czynnym był tylko przez lat 10, a względnie przez 13, członkiem kolegium mniejszego i większego, jak inni ówcześni magistrowie, nigdy nie był, do fakultetu zaś teologicznego, po uzyskaniu na wydziale tym bakałarstwa, jako profesor jego nadzwyczajny, dopiero zaledwie od lat kilku należał. Skorzystał zatem ochoczo z nadarzonej sposobności szczęśliwej, przyjął rad ofiarowane sobie właśnie w tym czasie przez ówczesnego biskupa krakowskiego, a razem prymasa i arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Piotra Gamrata, penitencyarstwo katedralne krakowskie i stanowisko nadwornego przy boku arcybiskupim kapelana [1], co mu i znaczenie większe i świetniejsze na przyszłość widoki zapewniało, a zatrzymując równocześnie skromną w kościółku św. Piotra i Pawła na przedmieściu Garbary prebendę uniwersytecką [2], stanął tym sposobem jakby na uboczu od właściwego życia uniwersyteckiego. Odtąd też, o ile z prymasem obecnym był w Krakowie i o ile mu czas na to pozwalał, brał wprawdzie niekiedy, na wezwanie arcybiskupa [3] lub rektora Uniwersytetu [4], czyny w sprawach uniwersyteckich udział, ale lekcyj już nie czytywał, i jako profesor właściwego już na spraw tych przebieg i rozwój wpływu nie wywierał. Wśród innych wszakże postawiony teraz warunków i w innem zobaczywszy się otoczeniu, znalazł łatwo sposobność wrodzonym pofolgować zdolnościom, i zasłynął nieba-

[1] Jocher, Obraz, III 276 i 466, nry 7249 i 8728.

[2] Altaryą w parafialnym św. Anny kościele, którą w styczniu r. 1535 posiadał, widocznie już w październiku r. t., przy zamianie parafii tej na kolegiatę był postradał; nie znajdujemy go przynajmniej w rzędzie pierwszych nowej tej kolegiaty kanoników, jak ich nam ogłoszony przez Paulego in Codice, IV 140 i nn., akt erekcyjny z 27 października r. 1535 podaje. Starsi magistrowie i drowie krakowscy już wtenczas — jak widać — z ukosa na młodszych i zdolniejszych od siebie patrzyli kolegów, którym niechęć swoję przy sposobności w dotkliwy dawali uczuć sposób.

[3] Pauli, Codex, IV 179, akt z 10 grudnia r. 1544.

[4] Conclusiones Universitatis, str. 177, posiedzenie z 16 sierpnia r. 1544; Acta rect., II 124, 161 i nn. z r. 1542 i nn.

wem jako „insignis theologus“ [1] i jako autor dwóch w r. 1542 i 1543 wydanych dziełek teologicznych [2], czem niestety ówcześni krakowskiego fakultetu teologicznego profesorowie, nienawykli bynajmniej naukowych prac swoich z zakresu św. teologii ogłaszać drukiem, pochlubić się nie mogli.

Usunięcie się zatem dobrowolne czy też przypadkowe, całkowite czy też połowicze tylko od dalszego życia uniwersyteckiego dwóch doktorów, ks. Wielopolczyka i Kościańczyka, którzy dotychczas w pierwszym do promocyi stanąć mogli byli rzędzie, wobec widoków bliskiego opróżnienia się aż dwóch wyższych w hierarchii uniwersyteckiej posad tem większego tylko młodszym bakałarzom św. teologii dodać powinno było bodźca i tem bardziej ich zachęcić do czem rychlejszego, mimo wygórowane taxy i opłaty promocyjne, uporania się z egzaminami doktorskimi. Czy w ich liczbie był już w tej chwili, w maju i czerwcu r. 1540, tyloletni już kantor kolegiacki, mgr. Leonard z Wisnki, który już po kilkakroć skutki braku doktoratu teologicznego w smutny na sobie doświadczył był sposób, na pewno rozsądzić się nie da. W każdym razie przewidywane i nieprzewidywane wypadki tak jego zachody, jeżeli już wtenczas jakie z jego strony były, jak i zabiegi szczęśliwszych od niego o tyle współzawodników, że mieli już od dłuższego czasu bakałarstwo teologiczne, prędzej, niż się spodziewać można było, wyprzedzać zaczęły, i szybszym, niż im to na rękę być mogło, postępować naprzód krokiem. Żaden z nich bowiem nie był jeszcze z egzaminami i promocyami uporał się doktorskimi, gdy dnia 8 listopada r. 1540 smutna po mieście rozeszła się wiadomość, że syt trudów i zasług ziemskich, chory już od maja r. t., sędziwy proboszcz św. Mikołajski i vicekanclerz Uniwersytetu, ks. dr. Biem

---

[1] Acta historica, IV 191 i n. nr. 196.

[2] W Krakowie u Wietora: 1. w lutym i sierpniu r. 1542 p. t. „Examen spirituum et visionum cum paranesi ad agendam poenitentiam“; 2. zaś w styczniu i marcu r. 1543 p. n. „Cohortatio sarmaticarum ecclesiarum ad antiquae et avitae religionis observationem“. W ostatniej zachował nam zresztą „jeden z najważniejszych z w. XVI tekstów“ pieśni Bogarodzica. Jocher, Obraz, l. c.; Pilat, Pieśń Bogarodzica, str. 6 i n.

z Olkusza, „senio confectus et laboribus“, do innego po wieczną nagrodę przeniósł się żywota [1].

Pytanie więc, komu teraz osierocone po nim dostanie się probostwo bogate, choć wszyscy już od kilku miesięcy na bliski zgon jego byli przygotowani, żywo wszystkich interesowanych zajęło umysły, i tem większego wielu z nich nabawiało niepokoju, ponieważ widoczną było rzeczą, że tym razem, może nawet na dłuższy przeciąg czasu, intratna plebania wymknie się z rąk fakultetowi teologicznemu, do którego zmarły jako jego dr. i profesor należał i którego niemałą przez lat wiele był ozdobą. Żądać od dziekana i kustosza św. Floryańskiego, od drów Fridla i Aurifabra, żeby się o posadę tę pokusili, nie zdało się rzeczą właściwą, obydwaj bowiem, jako wyżsi prałaci kolegiaccy i w znaczeniu i co do dochodów w niczem proboszczowi św. Mikołajskiemu nie ustępowali, obydwaj zresztą mieli bliskie do awansu widoki, pierwszy z nich bowiem liczyć mógł na to, że niebawem dostanie mu się kanonia katedralna krakowska, drugi zaś, że na jego miejsce na dziekana posunie się św. Floryańskiego. A co do innych fakultetu tego profesorów, choć na ich liczbę w owym czasie wcale uskarżać się nie można było, z tych tylko owych kilku wyżej nazwanych mnichów miało doktorat św. teologii, ale ci, jak zwykle, jako zakonnicy o beneficya nie ubiegali się uniwersyteckie, inni zaś z nich, jak dotąd, byli tylko bakałarzami św. teologii, albo i tego stopnia jeszcze nie posiadali. Choć spodziewany zaskoczył zatem zgon św. p. Biema nadzwyczajnych wydziału teologicznego profesorów i docentów trochę za wcześnie, jakoż gdy już w kilka dni później, 17 listopada, przyszło do wyboru nowego dla kościoła św. Mikołaja proboszcza, został nim dr. i prof. prawa, dotychczasowy penitencyaryusz katedralny krakowski, archidyakon poznański i proboszcz w Niedźwiedziu, ks. Grzegorz Szamotulczyk z Szamotuł [2], a bogata ta plebania w rzeczy samej na czas pewien fakultetowi wymknęła się teologicznemu.

Ale poczyniwszy raz kroki w celu uzyskania stopni doktor-

[1] Regestrum supellectilis, str. 52; Pauli, Codex, IV 186.

[2] Muczkowski, Liber promot., str. 142; Beneficia eccl. s. Nicolai, w archiwum senatu Uniw. Jag., nr. 11 367.

skich, nie cofnęli się już nasi bakałarze od dalszych na tej drodze starań, z początkiem też r. 1541, w drugiej połowie stycznia lub w pierwszych dniach lutego t. r., aż czterech z nich tyle upragniony doktorat ten osiągnęło: Procopiades ze Szadka, Grodziskanus, Prosiński z Piotrkowa i Napachańczyk[1]. Jakby w samę też porę wedle zwyczaju żądane „patribus conscriptis“ uiścili taksy i opłaty i wszelkim ścisłych egzaminów zadosyć uczynili wymaganiom, już dnia 10 lutego bowiem, czego przedtem nikt ani nie przewidywał, po krótkiej słabości „ex pleuresi acuta, vix transacta etate virili, 54 etatis sue anno“ — jak współczesne źródło uniwersyteckie powiada[2] — umarł obrany zaledwie przed ośmiu miesiącami kustosz kolegiacki, ks. Aurifaber.

Po raz piąty zatem od czasu, gdy ks. Wisneczanin jako kantor kolegiacki stale na probostwie siedział olkuskiem, weszedł nagle i niespodziewanie na zwykły spraw uniwersyteckich porządek dzienny wybór nowego kustosza św. Floryańskiego, lecz i obecnie niestety nie zastał go jeszcze odpowiednio do objęcia tej godności przygotowanym. I teraz bowiem znowu koledzy-wyborcy ani słyszeć o tem nie chcieli, żeby wysoki ten w kolegiacie urząd dostał się kandydatowi, który zawsze jeszcze był tylko mgrem filozofii. Niedługo nawet wobec tego ważyć się mógł wybór, po krótkiej też walce w ostatnich dniach lutego lub zaraz 1 lub 2 marca wyszedł z urny jako nowy kustosz kolegiacki, potwierdzony w tej godności przez biskupa zaraz 7 t. m., ks. Mikołaj Procopiades ze Szadka, od początku r. 1512 mgr. filozofii, od dobrych kilku lat jako bakałarz św. teologii nadzwyczajny fakultetu teologicznego profesor, od kilku zaś tygodni lub dni już dr. św. teologii[3].

Że wynik taki do żywego wreście dotknąć musiał niefortun-

[1] Rękopis bibl. Jag. nr. 2579, k. 28 v., i Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21 i n.: „Nicolaus a Sadek, Stanislaus a Grodzisko, Ioannes a Piotrkow, Antonius a Napachanije“. Z ówczesnych bakałarzy św. teologii i kanoników św. Floryańskich jeden więc tylko Cieśla do egzaminów nie zgłosił się doktorskich, co widocznie niepomyślny stan zdrowia jego spowodował, był bowiem „valetudinis imbecillis, studio eneruatus assiduo ac intenso“; † też wkrótce potem, w 37 roku życia, dnia 29 stycznia r. 1542. Anniversaria in eccl. s. Floriani, str. 47; Regestrum supellectilis, str. 61.

[2] Regestrum supellectilis, str. 59.

[3] Beneficia eccl. s. Floriani, nr. 9939.

nego naszego ks. Leonarda, niema przyczyny wątpić: przed ośmiu miesiącami, narażając go na niemałe wobec całego Uniwersytetu upokorzenie, przyznali byli pierwszeństwo przed nim koledzy kandydatowi, który o lat 4 później od niego został był magistrem, obecnie zaś podobną oddali palmę pierwszeństwa kandydatowi, który aż w 8 lat po nim stopnia mgra filozofii był się dobił. Niewymowną to już napełnić go musiało goryczą, ale zarazem stanowczem dla niego było upomnieniem i wskazówką, że wobec panującej między kolègami opinii bez doktoratu teologicznego do wyższego w kolegiacie nie dojdzie stanowiska, i że go znowu przy pierwszej lepszej sposobności w spodziewanej ubiegną promocyi świeżo tytułem doktorów św. teologii zaszczyceni Grodziskanus, Prosiński z Piotrkowa lub Napachańczyk.

Rad nierad zatem, choć już miał lat 60 życia dawno skończonych, zgłosił się nakoniec ks. Wisneczanin z początkiem następującego półrocza letniego, po Wielkanocy r. 1541 [1], do ścisłych egzaminów doktorskich, do których już około r. 1520, będąc jeszcze collegiatus Collegii majoris, pewne — jak wiemy — poczynił był przygotowania, zakupiwszy w tym czasie właśnie po zmarłym ks. drze Szydłowicie paliusz doktorski, lecz które potem, prowadząc około r. 1530 hulaszcze w Olkuszu życie, na bok był odłożył, dlaczego mu też kustodyą św. Floryańską kolejno jakby z przed nosa zabierali zrazu koledzy szkolni, Fridel i Stawiszyńczyk, a gdy takich zabrakło, nawet młodsi od niego magistrowie, Aurifaber i Procopiades ze Szadka.

Starzec 60-letni, który już od lat tylu od nauki odwykł był szkolnej i dawno już z żadnymi egzaminami nie miał nic do czynienia, zasiadł więc — jak się obecnie wyrażać zwykliśmy — do rygorozów doktorskich! Widok to wprawdzie dla dzisiejszych pokoleń, nienawykłych w Uniwersytetach czasów naszych na promocye doktorskie w tak późnych patrzyć latach, trochę i dziwny i pocieszny, przed trzema wiekami jednak nie należał bynajmniej do nadzwyczajnych w Uniwersytecie Jagiellońskim wypadków. Wówczas i owszem kandydaci, jak znani nam z poprzedzających uwag Paterek, Bederman i Kościańczyk, którzy stosunkowo dosyć wcześnie

[1] Wielkanoc r. 1541 była 17 kwietnia.

na wydziale teologicznym laurów dobili się byli doktorskich, wypadki stanowili wyjątkowe, zazwyczaj zaś magistrowie egzaminom poddawali się ścisłym w dosyć już późnym wieku. Zmarły n. p. r. 1535 w 60 roku życia ks. Leopolita, owa — jak go współcześni nazywali — „columna Universitatis“, gdy r. 1528 został drem św. teologii, liczył już lat 51, zmarły zaś przed kilku tygodniami w 54 roku życia ks. Aurifaber, gdy r. 1536 otrzymał doktorat teologiczny, liczył już także lat 46! Toż i o obranym świeżo kustoszu św. Floryańskim, ks. Procopiadesie ze Szadka, wiemy skądinąd, że przed kilkoma tygodniami, w styczniu lub lutym r. 1541, gdy został drem św. teologii, już dobrych sobie lat 52 liczył![1]

Bądź co bądź wszakże mimo to wszystko fakt, że niefortunny po tylekroć kantor kolegiacki jako 60-letni starzec przecież raz do egzaminów zgłosił się doktorskich, był i na owe czasy trochę niezwykły, i niemałe też w sferach uniwersyteckich między młodszymi magistrami wywołać musiał zdziwienie. Ale ks. Wisneczaninowi widocznie sprzykrzył się już był na dobre pobyt w Olkuszu, a ciągłe pomijanie jego kandydatury przy wyborach kustoszów kolegiackich na piękne mu już w gardle stanęło było, i na każdy wypadek do Krakowa na stałe mieszkanie przenieść się pragnął. Miał zresztą w tej chwili przynajmniej to moralne zadowolenie, że równocześnie z nim czterech innych jeszcze, i to wcale poważnych, do doktoratu teologicznego zgłosiło się kandydatów, mianowicie: 1. nienależący dotąd do Uniwersytetu przeor oo. Dominikanów krakowskich, małomieszczanin ks. Wit Albanus de Biała; 2. również nienależący dotąd jeszcze do Uniwersytetu Bernardyn klasztoru świdnickiego, niemieckiego pochodzenia ks. Michał Hillebrant; i 3. i 4. magistrowie krakowscy, małomieszczanin Benedykt z Wielkiego Koźmina Koźmińczyk i Jan syn Pawła Kaufman, inaczej także Paulkofman nazywany. Ostatni, wyjątkowo syn dosyć zamożnych mieszczan krakowskich, promowowany na mgra po Trzech królach r. 1525[2], jako extraneus a potem collega minor i major czynny był na wydziale artystycznym od lata r. 1525 aż do tej chwili[3],

[1] Wynika to z własnoręcznej jego zapiski w Liber dilig., str. 357, gdzie o sobie powiada, że r. 1564 liczył lat 75.

[2] Muczkowski, Liber promot. str. 179.

[3] Liber dilig., str. 423 i n.

obecnie zaś jako mgr. starszy, po uzyskaniu stopnia doktorskiego, także już wyższego jakiego w hierarchii uniwersyteckiej stanowiska pragnął. A życzenia takie żywił niewątpliwie i kolega jego Koźmińczyk, z nim razem po Trzech królach r. 1525 promowowany na mgra[1] i z nim razem od lata t. r. aż dotąd jako extraneus a potem collega minor i major czynny na wydziale filozoficznym[2].

Jak im w ogólności szła sprawa z tymi egzaminami, w szczegółach naturalnie bliżej roztoczyć się nie da. W każdym razie nie byli się jeszcze z nimi uporali, gdy nie tylko ich, lecz i innych magistrów i doktorów krakowskich wieść zaskoczyła smutna, że obrany przed ośmiu miesiącami po śmierci Biema proboszczem św. Mikołajskim, dr. i prof. prawa, ks. Szamotulczyk, 11 lipca w Poznaniu życie zakończył[3]. Następcą jego został tym razem dr. i prof. wydziału teologicznego, ks. Stanisław Grodziskanus z Grodziska[4],

[1] Muczkowski, Liber promot., str. 179.

[2] Liber dilig., str. 429 i n.

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 142; Pauli, Codex, IV 186.

[4] Dowód na to pozytywny, że po Szamotulczyku, w lipcu r. 1541, probostwo św. Mikołajskie otrzymał dr. Grodziskanus, nie zachował się wprawdzie, wypływa to jednak skądinąd. W cytowanym wyżej zbiorze „Beneficia eccl. s. Nicolai" zawiera nr. 11·367 z 17 listopada r. 1540 potwierdzenie Szamotulczyka na tem probostwie, następujący zaś nr. 11·368 zawiera podobny akt zatwierdzenia z 4 września r. 1554, mocą którego jako następca po zmarłym 27 sierpnia r. 1554 drze prawa, ks. Janie Sanoczaninie z Sanoka, uznany przez biskupa został prof. teologii i kanonik św. Floryański, ks. Tomasz Paulinus z Krakowa. Owoż Sanoczanin, według Aktów rektorskich, II 113, w r. 1541 tylko „peniteciarius eccl. cathedr. Crac. ac. Collegii dnorum canonistarum collegiatus" występuje w tych samych Aktach, II 124, po raz pierwszy dopiero 16 września roku 1542 jako „praepositus ecclesiae s. Nicolai extra muros Cracov.", przedtem zaś, w drugiej połowie r. 1542, według luźnej zapiski w zbiorze „Beneficia eccl. s. Floriani" nr. 10·036, co także Acta rect., II 162 i nn., potwierdzają, był proboszczem w Luborzycy. Od lipca zatem r. 1541, t. j. od śmierci Szamotulczyka, do jesieni roku 1542 musiał być ktoś inny jeszcze proboszczem św. Mikołajskim, a prawdopodobnie był nim ks. Grodziskanus, gdyż na niego właśnie przychodziła kolej awansu. Wynika to i dla innych jeszcze względów. Na początku w. XVII uchwalił Uniwersytet Jagielloński, że probostwo św. Mikołaja kolejno otrzymywać powinni drowie i prof. prawa i teologii, a jeżeli to być może, także medycyny; uchwała ta nie była jednak żadną nowością, zwyczaj ten bowiem, zwłaszcza co do prawników i teologów, już w ciągu w. XVI sam się ustalał. Jeżeli też zgodzimy się na to, że po Szamotulczyku proboszczem św. Mikołajskim został dr. Grodziskanus, to poczet ich w czasie, który rozpatrujemy, takby się przed-

co dla ks. Wisneczanina o tyle nawet mogło być pożądanem, ponieważ mógł już teraz liczyć na pewno, że na wypadek spodziewanego bliskiego ks. Biela zgonu, gdy nową o kustodyą św. Floryańską przyjdzie mu stoczyć walkę, zamiast z trzema, mieć będzie sprawę już tylko z dwoma współzawodnikami, kanonikami kolegiackimi i drami Prosińskim i Napachańczykiem.

Ostatecznie ówcześni Uniwersytetu Jagiellońskiego na wydziale teologicznym „patres conscripti“ — a byli nimi w lecie r. 1541: kolega szkolny naszego Wisneczanina, dziekan św. Floryański Fridel, kustosz kolegiacki Procopiades, drowie i profesorowie Kościańczyk [1], Grodziskanus, Prosiński i Napachańczyk, Augustynianin o. Poznanita [2], Benedyktyn o. Opocznianin, Karmelita o. Kazimierczyk [3] i zakonu św. Dominika o. Ryczywolanin, którym jako świadkowie, bez prawa wszakże głosowania, towarzyszyć obowiązani byli: bakałarz św. teologii Cieśla [4], jako też docenci prywatni, Bożogrobcy oo. Altipolita i Bieda i kanonicy św. Floryańscy Garbarz i Mstowita [5] — otrzymawszy od pragnących na fakultecie teologicznym stopnia akademickiego kandydatów prawem i zwyczajem przepisane taksy i opłaty, wszystkim pod koniec półrocza, mniej więcej w kilka tygodni po śmierci Szamotulczyka, tyle przez nich pożądane laury, choć nie w całej przyznali pełni. Przeor Dominikanów krakowskich, o. Wit Albanus, uznany więc przez nich został za zasługującego na godność i tytuł licencyata św. teologii, czterem innym zaś, Bernardynowi o. Hillebrantowi i mgrom Kaufmanowi,

---

stawiał: prawnik Amicinus z Krakowa (?—1526), teolog Biem z Olkusza (1526—1540), prawnik Szamotulczyk (1540—1541), teolog Grodziskanus (1541—1542), prawnik Sanoczanin (1542—1554), teolog Paulinus z Krakowa (1554—?). Potwierdzać to nakoniec zdaje się także Regestrum supellectilis, str. 66, według którego zmarły 27 sierpnia r. 1554 dr. Sanoczanin „ecclesie s. Nicolai xy annis preerat“, a nie 13.

[1] O ile przy boku prymasa Gamrata obecny był w Krakowie.

[2] Jeżeli żył jeszcze.

[3] Również z zastrzeżeniem, jeżeli jeszcze był przy życiu.

[4] O ile na to stan zdrowia jego pozwalał.

[5] Razem więc 15, między którymi 9 księży świeckich i 6 zakonników, z tych 10 drów, 1 bakałarz i 4 cursorów, a co do pochodzenia 5 mieszczan, 4 małomieszczan, 5 rodu kmiecego, i 1 jedyny szlachcic, Słonczewski z Wyszogrodu alias Altipolita.

Koźminczykowi i Wisneczaninowi, tylko tytuł bakałarzy wydziału teologicznego przyznali [1].

Ale dla tyloletniego kantora kolegiackiego, któremu koledzy-wyborcy po kilkakroć już, i to w sposób niewymownie dotkliwy, dali byli uczuć, że tylko magistrem był filozofii, i uzyskanie tytułu bakałarza św. teologii wielką już było zdobyczą. Każdy fakultetu teologicznego bakałarz — co już z poprzedzających uwag wiadomo — już eo ipso nadzwyczajnym wydziału tego stawał się profesorem, i w charakterze nadzwyczajnym wykłady teologiczne mógł rozpoczynać. Tytuł też ten profesorski przybrał więc teraz niezwłocznie i proboszcz olkuski, a gdy za wolą Opatrzności już 27 sierpnia r. 1541 wiekiem bardzo a bardzo pochylony kanonik katedralny krakowski a przedtem kustosz i dziekan św. Floryański, ks. dr. Biel z Nowego miasta, w 83 roku życia, niechorowawszy nawet wcale, choć już od kilku lat żadnego w sprawach uniwersyteckich udziału nie brał i światu się nie udzielał, spokojnie „manu capiti supposita, non morbo aliquo sed tempore resolutus senij — jak brzmi o nim współczesna urzędowa zapiska uniwersytecka — obdormiuit in Domino“ [2], w całej rozciągłości jako bakałarz św. teologii z nowymi do opróżnionej ewentualnie posady kustosza kolegiackiego wystąpił pretensyami.

Niedługo zresztą, choć nie bez gorętszej walki wyborczej, rozgrywała się teraz znowu sprawa opróżnionych przez śmierć św. p.

[1] Że nastąpiło to pod koniec półrocza w miesiącu sierpniu, wynika stąd, że już we wrześniu t. r, o czem zaraz niżej, występuje ks. Leonard w Wisnki jako „s. theologiae baccalaureus et professor“. Poświadcza to zresztą i inna jeszcze okoliczność. Jakikolwiek stopień uniwersytecki na którymkolwiek wydziale otrzymać mógł tylko kandydat należący do Uniwersytetu, t. zw. „incorporatus Universitati“; nienależący zaś do Uniwersytetu musieli się niezwłocznie do Metryki wpisać, jeżeli uzyskany przez nich stopień nie miał stracić znaczenia. Owóż w położeniu takiem znaleźli się teraz Albanus i Hillebrant, dlaczego też zaraz z początkiem następującego półrocza, które się dnia 17 października rozpoczęło, w następujący sposób do Metryki się wpisali: „Vittus, fr. ordinis d. Dominici de obseruancia de monasterio Cracouiensi s. Trinitatis prior et licenciatus in theologia, soluit totum“, i „fr. Michael Hilebrant ordinis Minorum de obseruancia de conuentu Schwijdnicensi, baccalarius s. theologie formatus, soluit totum“. Metrica studiosorum, II 192.

[2] Regestrum supellectilis, str. 60. — W zapisce powiedziano między innymi także o nim, że „mgr. existens Romam adyt, studia generalia Colonie, Lipsie, Francfordie et alia invisit, ac felix redyt“.

Biela uniwersyteckich wakansów. Jako kanonik katedralny krakowski posunął się więc zaraz na jego miejsce, bo taki już przedtem w tej mierze wyrobił się był zwyczaj, dotychczasowy dziekan św. Floryański, Kleparzanin ks. Fridel [1], opróżnione zaś po nim stanowisko wysokie, jako nowy dziekan kolegiacki, objął za zgodą kolegów-wyborców dotychczasowy, od 7 marca r. 1541, kustosz ks. Procopiades ze Szadka, potwierdzony w nowej tej godności przez biskupa już 12 września t. r. [2].

Chodziło jeszcze teraz o obsadzenie opróżnionej w ten sposób posady kustosza. Koledzy, przynajmniej niektórzy, za czem uwagi, które niżej poznamy, dosyć wyraźnie przemawiać będą, byli widocznie także obecnie jeszcze tego zdania, że kustoszem obrać należy tylko kandydata, który już był drem św. teologii, a więc w tym wypadku ks. Prosińskiego z Piotrkowa, na którego właśnie kolej awansu była przyszła. Ale żadną miarą nie mógł dopuścić do tego mający już tytuł bakałarza i nadzwyczajnego św. teologii profesora ks. Wisneczanin, zwłaszcza że stopień doktorski, jeżeliby nowych taks i opłat „patribus conscriptis“ nie pożałował, dodatkowo w najbliższych mógł był uzyskać miesiącach lub tygodniach. Czasy zresztą od r. 1530, kiedy to z kancelaryi biskupiej gromy na jego spadały osobę, wcale już na jego korzyść zmieniły się były. Ówczesny biskup Tomicki już dawno legł był w grobie [3], usunęli się dawno do lepszego życia i dwaj jego następcy, biskupi Latalski i Chojeński, a na katedralnym stolcu wawelskim siedział właśnie już od lat trzech ówczesny prymas i arcybiskup gnieźnieński, ks. Piotr Gamrat, za którego rządów w kancelaryi biskupiej wiele rzeczy, dawniej za grube poczytywanych zdrożności, uważano teraz za zwykłe słabostki ludzkie i przez palce na nie patrzano.

U niego też i w otoczeniu jego najbliższem znalazł teraz kantor kolegiacki i proboszcz olkuski skuteczne dla swoich zachodów poparcie. Pouczono go tam w szczególności, że Uniwersytet wprawdzie słusznie sobie dotąd postępował, jeżeli kustoszem św. Floryańskim obierać nie chciał mgra filozofii, ale postąpiłby sobie nie-

[1] Lętowski, Katalog biskupów i kanoników krak., III 128 i n.
[2] Beneficia eccl. s. Floriani, nr. 9907 z 12 września r. 1541.
[3] † r. 1535.

legalnie, gdyby zasadę tę obecnie także do bakałarza św. teologii chciał zastosować; wydarzyło się bowiem już raz było przed 55 laty, mianowicie w 1486, że na kustodyi kolegiackiej siedział wyjątkowo i chwilowo nie doktor, lecz bakałarz św. teologii, miejskiego rodu ks. Mikołaj Cracovita[1]. W tym duchu wyszedł widocznie także pewny nacisk z kancelaryi biskupiej na doktorów i magistrów krakowskich, zaczem więc ostatecznie, choć nie bez niechęci, ks. Wisneczanina kustoszem św. Floryańskim obrali. Biskup Gamrat potwierdził też niezwłocznie już 16 września wybór jego w formie następującej[2]:

„Petrus, Dei gratia s. ecclesiae metropolitanae Gnesnensis „archiepiscopus, Sedis apostolicae legatus natus et primas regni ac „Cracoviensis episcopus. Honorabilibus viris, vicariis ecclesiae col„legiatae s. Floriani in Kleparz, illique vel illis, ad quem vel ad „quos receptio praelatorum custodisque in eadem ecclesia colle„giata spectat et pertinet, salutem in Domino. Quia ad custodiam „dictae ecclesiae s. Floriani, nuper per cessionem Venerabilis ac „Egregii viri, Nicolai a Schadek[3], s. theologiae dris, ejusdem cu„stodiae ultimi et immediati possesoris, in manibus nostris factam, „ad praesens vacantem, Venerabilem dnum Leonardum a Visnka, „artium mgrum, s. theologiae professorem, ad praesentationem Ve„nerabilium ac Egregiorum dnorum, rectoris[4] doctorumque et ma„gistrorum Universitatis studii generalis Cracoviensis, ejusdem cu„stodiae collatorum, in contumaciam omnium et singulorum citato„rum, in termino cridae ab auditorio nostro legitime emanatorum „debiteque, ut apparebat, executorum, minime comparentium, per „manus nostrae capiti ejus impositionem instituimus et investimus „per praesentes, curam, administrationem spiritualium et tempora„lium ejusdem sibi committentes. Quare vobis supradictis executo„ribus in virtute s. obedientiae et sub poena excommunicatonis man„damus, quatenus, postquam per praefatum mgrum Leonardum „a Visnka, s. theologiae baccalaureum, vigore praesentium fueritis

[1] Pauli, Codex, III 124. — Według Statutów i metryk w wydaniu Szujskiego str. 19, był nim, jak się zdaje: „Nicolaus Ortulani de Cracovia".

[2] Beneficia eccl. s. Floriani, nr. 9931, urzędowa z w. XVIII kopia.

[3] Procopiades paterno nomine nuncupati.

[4] Joannis Sanocensis. Pauli, Codex, IV 186.

„requisiti, ipsum in et ad realem, corporalem et actualem dictae „custodiae omniumque et singulorum suorum censuum, reddituum, „proventuum ac omnium jurium possessionem ponatis et inducatis, „stallum in choro, locum et vocem in capitulo sibi assignantes, re- „cepto tamen ab eo prius de observantia Statutorum et consuetu- „dinibus praedictae ecclesiae solito corporali juramento, in custo- „dem et confratrem vestrum ipsum recipiatis, facientes sibi et no- „strum alteri de omnibus et singulis censibus, redditibus, proven- „tibus et universis obventionibus, ad dictos[1] custodiam et praelaturam „quomodolibet spectantibus, per eos, ad quos pertinet, plenarie et „integraliter responderi. In cujus rei testimonium sigillum nostrum „praesentibus est subappensum. Datum Cracoviae, die 16 Septem- „bris a. d. 1541. Praesentibus ibidem Venerabilibus et Honorabi- „libus dnis, Bartholomaeo Gątkowski, canonico Cracoviensi, Posna- „niensi et curiae nostrae cancellario, Sigismundo de Stężyca, decre- „torum dre, auditore causarum[2], Paulo Makolni, altarista Gnesnensi, „Bartholomaeo de Rawa in Racławice, Bartholomaeo Siekierzecki „in Wilcznia, plebanis, Petro Radwanowski, notariis curiae, te- „stibus". (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

[1] „ad dictos", tak!

[2] Zygmunt Stężyczanin ze Stężycy, promowowany na mgra filozofii w pierwszych dniach r. 1520, extraneus na wydziale artystycznym od wiosny t. r. do wiosny r. 1522, „vir pius et eleemosinarius maximus", był już od r. 1532 drem i profesorem prawa, a obecnie jako „auditor causarum" miał już nadzieję otrzymać niebawem należącą do fakultetu jurydycznego kanonią katedralną krakowską, † r. 1582. Muczkowski, Liber promot., str. 169; Liber dilig., str. 500; Pauli, Codex, IV 111 i 187; Łętowski, Katalog IV 91.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Kwartalnik Historyczny. Rocznik II. Lwów 1888.

Mamy przed sobą rocznik drugi *Kwartalnika Historycznego*, organu Towarzystwa historycznego polskiego we Lwowie. Aczkolwiek liczba członków Towarzystwa w drugim roku istnienia nieco się zwiększyła (z 206 na 221) a redakcya *Kwartalnika* pozyskała nowych współpracowników (w r. 1887 liczyła 56, w r. 1888^{m} — 63), to jednak z żalem wyznać należy, że ani Towarzystwo nie rozwija się w tym stopniu, jakby sobie życzyć należało, ani o rozszerzeniu ram *Kwartalnika* przy obecnym stanie funduszów mowy być nie może. Wprawdzie, zdaniem naszem, rozprawy i recenzye w drugim roczniku pod względem jakości i wartości przedstawiają się o wiele lepiej, ale jego rozmiary zmalały z 49 arkuszy druku na 45, a liczba recenzyj i sprawozdań o publikacyach, dotyczących dziejów Polski, spadła z 264 na 203. Również i ofiarność publiczna przedstawia uderzającą różnicę w porównaniu z rokiem ubiegłym: w pierwszym roku istnienia wynosiła 577 złr. 64 ct., a w drugim tylko 36 złr. 54 ct.! Towarzystwo musiało zatem opędzać wszystkie wydatki i koszta nakładu wyłącznie prawie wkładkami swych członków. Jeżeli tak dalej pójdzie, to nie o zapowiadany i tak wielce pożądany rozwój Towarzystwa i jego organu, lecz raczej troszczyć się wypadnie o utrzymanie go w dotychczasowych rozmiarach.

Jestto niewątpliwie bardzo smutne świadectwo dla naszego ogółu. Jeżeli czasopismo, poświęcone historyi, która ze wszystkich

gałęzi wiedzy ludzkiej liczy u nas stosunkowo najwięcej adeptów i miłośników, może po dwóch latach istnienia pochlubić się tak skromnym rezultatem, to jakąż to będzie zachętą dla podobnych usiłowań na innych polach naukowych? W Niemczech, gdzie każda większa prowincya ma swe lokalne towarzystwo historyczne i swój organ, liczą jednak one członków na tysiące. U nas jedyne dotąd towarzystwo tego rodzaju, w miodowych latach swego istnienia, zdobyło nieco więcej nad dwie setki współuczestników. Zaprawdę, wobec swoich i obcych daliśmy jaskrawy wyraz grzesznej obojętności dla tej nauki, która i przeszłość nam przypomina i najsilniej się łączy ze wszystkiemi zagadnieniami chwili bieżącej.

Że w tym względzie wina nie ciąży ani na wydziale Towarzystwa, ani na redakcyi *Kwartalnika*, możemy najlepiej się przekonać po przejrzeniu, chociażby tylko najpobieżniejszem, treści obu roczników. Pomiędzy ośmiu rozprawami drugiego rocznika (w pierwszym było ich 5) znajdujemy tak cenną, jak dra Wojciechowskiego: „O powtórnej elekcyi Stanisława Leszczyńskiego“, znaną już niezbyt licznemu kołu słuchaczy z odczytu, mianego na publicznem posiedzeniu Akademii umiejętności w dniu 26 maja 1888 roku, który wydrukowano w *Kwartalniku* z małemi tylko zmianami. Rozprawa ta gruntownego badacza przeszłości naszej rzuca całkiem nowe światło na przebieg elekcyi, którą dotąd wszyscy nasi historycy, nawet najbardziej przejęci duchem krytycyzmu, uważali za objaw jakiegoś politycznego odrodzenia narodu, przynajmniej w najwybitniejszych jego przedstawicielach. Sympatye zaś nasze były najzupełniej po stronie kandydatury Stanisława Leszczyńskiego, który, jak mniemaliśmy, zdołałby przeprowadzić niejednę korzystną zmianę w ustroju rzeczypospolitej, a silny sojuszem z Francyą mógłby stawić czoło zachciankom zaborczym lub mieszaniu się w jej sprawy wewnętrzne ze strony sąsiednich potencyj. Tymczasem po odczytaniu rozprawki dra Wojciechowskiego znika urok, którym otaczano dotąd głównych sprawców wyboru króla-Piasta. Wbrew zaś naszym dotychczasowym poglądom, wbrew tradycyjnej niechęci do obu królów Sasów, stawia autor pytanie: azali sam zamiar wybrania Leszczyńskiego nie był błędem politycznym? Z odpowiedzi na nie dowiadujemy się rzeczy ciekawych: że August II o rozbiorze Polski nigdy na seryo nie myślał; że propozycya tego rodzaju,

jak słusznie mniemał minister pruski, była raczej manewrem, obliczonym na poróżnienie wrogiego naszej niepodległości „związku czarnych orłów“; że go po śmierci żałowano, jako pana wspaniałego i niemściwego, narażającego nieraz w czasie wojny szwedzkiej życie swe w obronie przybranej ojczyzny, i jako pierwszego króla, który nie sprzedawał starostw i urzędów. Jeżeli August bywał niekiedy Polsce niechętnym, to łatwo da się to wytłumaczyć co najmniej nielojalnem zachowaniem się Polaków względem niego (bitwa pod Kliszowem). Dr. Wojciechowski sądzi, że „jeżeli miało być jeszcze danem Polsce podnieść się przez dziedziczność tronu i reformę wewnętrznego nieładu, to jedyna ku temu sposobność była — przy pomocy domu saskiego“. Najlepszą miarą tych korzyści, jakieby Polsce przynieść mogło utrzymanie się na jej tronie dynastyi saskiej, jest obawa domu prusko-brandenburskiego przed tą ewentualnością. Już wielki elektor przewidywał w rosnącej potędze saskiej szkodę dla Hohenzollernów, a w sukcesyi saskiej po śmierci Augusta II widział obrót rzeczy dla Prus tak niepomyślny, iż zrównoważyć go nie byłoby w stanie nawet uzyskanie od Polski całej Warmii i Pomorza z Gdańskiem i Malborgiem. Charakterystycznemi zaś pozostaną słowa, wyrzeczone z tegoż powodu przez Fryderyka Wilhelma I. w ciężkiej chorobie: „Już teraz przepadnie w Polsce republika, będzie królestwo dziedziczne, a my nie zyskaliśmy przytem nic; siedzą Prusy jak papuga w klatce; zostawcie lepiej w Polsce Stanisława, albo sam wyruszę atakować Saksonią“. Na przezorność i instynkt samozachowawczy pruski w tym razie najzupełniej spuścić się można. Nie zbywało też Polsce na radach i przestrogach ze strony życzliwej. Dwór rzymski, który „rozumiał interesa polskie“, polecał królewicza Augusta w listach, rozpisanych do prymasa, biskupów i senatorów.

Stało się jednak inaczej: ogromna większość narodu nie poszła za głosem dobrze zrozumianego interesu politycznego, dała się obałamucić wpływom oligarchii. Pięknym i głęboko pomyślanym w pracy dra Wojciechowskiego jest ustęp, w którym charakteryzuje politykę naszej oligarchii. O ile sobie zdołamy przypomnieć, jestto, aczkolwiek krótka, ale najwymowniejsza jej charakterystyka. Od czasów Jana Kazimierza, zdaniem autora, dzieje Polski obracają się około emulacyi czterech rodzin możnowładczych: Radzi-

wiłłów, Sapiehów, Potockich i Czartoryskich. Dążenia i politykę naszych oligarchów trafnie porównuje autor ze stanowiskiem książąt w rzeszy niemieckiej. Elekcya króla Stanisława była tylko środkiem ugruntowania supremacyi domu Potockich w rzeczypospolitej; to rzecz główna — osoba Leszczyńskiego miała podrzędne znaczenie. W pomoc tym usiłowaniom przyszła władza rządzenia, przyznana prymasowi podczas bezkrólewia, będąca „anachronizmem średniowiecznym“. Zdobycie 30.000 głosów na elekcyi na rzecz Stanisława można wytłumaczyć li tylko połączeniem wpływów *prymasa interrexa* z wpływami głowy domu Potockich, uzdolnionego w tej chwili więcej niż kiedykolwiek do zajęcia naczelnego stanowiska w państwie. Środkiem zaś w jego rękach było rozbudzenie fanatyzmu republikańskiego — przeciwko domowi saskiemu, religijnego — przeciwko dysydentom i Sasom, narodowego — przeciwko Niemcom-Sasom.

Więcej rozumu stanu i bezinteresownej miłości ojczyzny znajduje autor w sprawcach elekcyi Augustowej, w trzech dostojnikach kościelnych: Hozyuszu, biskupie poznańskim, Lipskim, biskupie krakowskim, i Adamie Grabowskim, późniejszym biskupie warmińskim. W ostatnich chwilach życia Augusta II kandydatura królewicza miała za sobą silne stronnictwo w izbie poselskiej i senacie. W kilka tygodni po śmierci tegoż stał jeszcze po stronie królewicza cały prawie episkopat (z wyjątkiem prymasa i dwóch lub trzech biskupów) i 25 senatorów świeckich. Zważywszy na łatwość, z jaką inni senatorowie duchowni i świeccy odstępowali królewicza Augusta, pomimo najświętszych zobowiązań i obietnic, wierność i konsekwencya obu biskupów, Hozyusza i Lipskiego, zasługują na wszelkie uznanie i szacunek. To też nie odmawia go poseł cesarski, nazywając Lipskiego jedynym z całego senatu „bezinteresownym patryotą“ nawet wówczas, gdy dwór wiedeński był jeszcze przeciwnym kandydaturze saskiej na tron polski; zarzut zaś uczyniony Lipskiemu przez posła rosyjskiego, hr. Löwenwolda, iż „nie zna prawdziwych interesów swojej ojczyzny“, występując przeciwko dalszemu rozwojowi swobód republikańskich, — staje się w oczach naszych najpochlebniejszem dlań świadectwem. Rozumie się samo przez się, że i w obozie Augustowców, poza wyżej wymienionymi

przywódzcami, znajdowali sie ludzie, powodowani bądź ambicyą, bądź prywatą.

Elekcyi dodatkowej Augusta III przyznaje dr. Wojciechowski wpływ dobroczynny, ochronny pod względem politycznym. Gdyby po rozgromie stronników Stanisława nie było innej elekcyi, albo jakaś rozbijająca się około kilku kandydatów — Piastów, wówczas do akcyi rosyjskiej przystąpiłby niechybnie król pruski z gotowym zawsze, a wielce zaostrzonym apetytem do jakiejś aneksyi, coby nie było zbyt trudnem do urzeczywistnienia wobec wojny sukcesyjnej polskiej, zaprzątającej siły Austryi i Francyi.

Oto główny wynik pracy dra Wojciechowskiego. Dyskusya nad poruszonemi przezeń kwestyami będzie możebną dopiero wtenczas, gdy wyjdzie obiecany przedruk tej rozprawy, zaopatrzony w cały aparat cytatowy. Do wielu rozczarowań w poglądach na przeszłość naszą przybyło zatem jeszcze jedno. Do niedawna przeszłość ta przedstawiała się nam, jako piękny krajobraz, pociągający ku sobie miłą harmonią jasnych i łagodnych tonów, a ozłocony słońcem wolności i bohaterstwa, co nawet „mieczem świat ewanieliczy“. Od czasu powstania u nas szkoły krytycznej zdaje się, jakby po tym pięknym krajobrazie przesunęła się burza niszcząca z gromami i błyskawicami, odsłaniającemi niejedno, czegośmy przedtem nie widzieli lub przynajmniej widzieć nie chcieli. Małodusznie obawiać się krytycyzmu w badaniu przeszłości dziejowej wcale jednak nie potrzebujemy, pomni na motto, położone na I tomie historyi polskiej dra Ryszarda Roeppla: *Veritas vos liberabit.* Przy najsurowszem stosowaniu krytyki historycznej jeszcze w przeszłości naszej suma stron dodatnich przeważać będzie nad ujemnemi — jeszcze pozostanie nam nieco z dorobku cywilizacyjnego na niepewną przyszłość.

Zdawało nam się, że w badaniu przyczyn naszego upadku, tego zstąpienia „w porozbiorowej doliny otchłanie“, w kołach poważnych naukowych już się nie odezwą głosy natchnione tendencyą; że inkwizytorskie poszukiwania programu politycznego w gruntownych pracach naukowych będzie nadal rzeczą tylko „fałszywej historyi, jako mistrzyni fałszywej polityki“. Niestety! na tem spodziewanem spoważnieniu pracowników w dziedzinie wiedzy historycznej zawiedliśmy się nieco. Ukazała się znowu, jak wąż morski,

ta tendencyjna krytyka (poszukująca w pracach t. zw. szkoły historycznej krakowskiej zaparcia się ideałów narodowych czy też praw historycznych) w ostatnim zeszycie *Kwartalnika historycznego*, w artykule p. Waliszewskiego pod tytułem: „Historyografia polska przed krytyką rosyjską“, na który nastąpiła ostra replika w październikowym zeszycie *Przeglądu polskiego* (r. 1888) ze strony dotkniętego głównie dra Bobrzyńskiego.

Chociaż redakcya *Kwartalnika*, drukując artykuł p. Waliszewskiego, nie zrobiła od siebie wyraźnego zastrzeżenia, to jednak w recenzyi dra Balzera, umieszczonej w tymże zeszycie z powodu innej pracy p. Waliszewskiego („Polityczne i społeczne obyczaje XVIII wieku w Polsce i Anglii“. Ateneum. R. 1888. T. I), wypowiedziano wszystko, coby można i — zdaniem naszem — należało w tym wypadku powiedzieć. To też odczytanie tej recenzyi możemy polecić czytelnikom *Przeglądu powszechnego*. P. Waliszewski radby historyografię naszą cofnąć wstecz, w czasy, kiedyśmy w błogiem przeświadczeniu o swej niewinności wyszukiwali w swem najbliższem sąsiedztwie „sprośnych gwałtów wzory“, gromadząc nawet „wokół naszych cieni“ jak najwięcej blasków. Z dumą wyznać możemy, że t. zw. „nowa szkoła historyczna“ wywiodła nas z tej ciasnej jednostronności i powrót do niej u poważniejszych pracowników na niwie dziejowej uczyniła niemożebnym. Jeżeliby ktoś drzwi i okna swego domu zostawił otworem, to niewątpliwie znajdzie się amator cudzej własności. Nie usprawiedliwiając ani rozgrzeszając bynajmniej tego ostatniego, w pierwszym rzędzie winić zawsze będziemy nieopatrznego i lekkomyślnego gospodarza.

Na zakończenie niniejszego sprawozdania chcemy wyrazić niektóre dezyderata, pochodzące nietyle od nas samych, jak raczej od najpoważniejszych miłośników wiedzy historycznej i przyjaciół *Kwartalnika*. Pragnęlibyśmy przedewszystkiem, aby pomiędzy rozprawami znajdowały się prace, traktujące o rozwoju historyografii u innych narodów ze szczególnem uwzględnieniem jej stosunku do naszej przeszłości. Oczywiście, że na wyczerpanie tego przedmiotu potrzeba byłoby całego szeregu artykułów. Również zbyt mało u nas wiadomo o najnowszych prądach i kierunkach historyozoficznych, o czem ogół inteligentny, nie mający sposobności korzystania z wydawnictw czasowych obcych, dowiaduje się kiedy niekiedy

bądź z artykułów pobieżnych, nie czerpanych bezpośrednio u źródła, bądź z tendencyjnych. Pożądanem byłoby także, abyśmy mogli znachodzić w *Kwartalniku* obraz całorocznej naszej pracy w dziedzinie historycznej, rodzaj obrachunku z jej rozwoju i postępu w każdej dzielnicy, bo recenzye, chociaż najobfitsze, są raczej inwentarzem naukowym, jak zwierciadłem całości. Gwałtowną potrzebą dla pracowników na polu dziejowem było i jest dotąd posiadanie polskiej historycznej bibliografii. Byliśmy zawsze tego przekonania, że Towarzystwo historyczne powinno wziąść inicyatywę w wykonaniu tej żmudnej, lecz doniosłej pracy. Dowiadujemy się obecnie, że powszechnie odczuwanej potrzebie stanie się zadosyć. Wprawdzie nie Towarzystwo, jako takie, ale dwaj członkowie Towarzystwa historycznego i redakcyi *Kwartalnika*, pp. L. Finkel i H. Sawczyński, posiadają tak obfity materyał, iż druk bibliografii historycznej polskiej będzie mógł rozpocząć się już w maju roku bieżącego, najprawdopodobniej kosztem krakowskiej Akademii umiejętności.

Idąc za wzorem *Historische Zeitschrift* H. Sybla położono w *Kwartalniku* nacisk na dwie główne rubryki: rozprawy i recenzye. Obok nich znajdujemy jeszcze spis recenzyj umieszczanych w innych czasopismach i bibliografią literatury zagranicznej. Czyby nie było pożądanem rozszerzenie tej ostatniej lub nawet utworzenie nowej rubryki — rozmaitości bio- i bibliograficznych z dziedziny historyi powszechnej i polskiej, gdzieby dało się umieścić to wszystko, coby mogło interesować i historyków-miłośników i historyków-fachowców? Byłby to może niezły środek ściągnięcia większej liczby prenumeratorów. Przeważna część czytelników t. zw. inteligentnych lubi czerpać swą wiedzę bez wielkiego trudu z podobnych „wiadomości bieżących“. Tego rodzaju rubrykę (obficie wypełnioną) znajdujemy w miesięczniku rosyjskim *Istoriczeskij Wiestnik*, który, jak to powszechnie wiadomo, bardzo dobrze spełnia zadanie — budzenia wśród swego społeczeństwa zamiłowania do tej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Aloizy Szarłowski.

O majątku kościelnym i tegoż alienacyi w stosunku do Papieża. Napisał *Dr. Józef Brzeziński.* Kraków 1888 r. 8-vo. Str. 101.

Kwestya, kto jest właścicielem majątku kościelnego, jest do dziś w prawie kościelnem otwartą, i istnieją pod tym względem różne teorye, które szanowny autor rzeczonej rozprawy podnosi na str. 11—12 i 25—35, ale też zarazem wykazuje słabe ich strony. Najbardziej prawdopodobną wydawałaby się teorya t. zw. *instytutowa*, uznająca poszczególne instytucye w kościele za właścicieli majątku do nich przyłączonego, ona też ma poważnych zwolennikow, ale autor przemawia za teoryą powszechno-kościelną, zwaną przez niemieckich kanonistów: *Gesammte Kirchentheorie* dlatego, że uznaje za podmiot majątku kościelnego Kościół powszechny jako taki. Dowody, jakie przytacza na udowodnienie swojej teoryi na str. 9–10, 12—25 i 45—72 stanowią jedną ważną część tej pracy, usprawiedliwiającą początek tytułu dzieła. Argumentuje w następujący sposób: Majątkiem zowie się to wszystko, co jakaś osoba fizyczna lub moralna posiada jako do niej należące, stąd najważniejszym znamieniem majątku jest jego przynależność do właściciela, wykluczająca przynależność do jakiejkolwiek innej osoby. Wynikiem tej przynależności jest prawo pobierania pożytków z majątku i prawo rozporządzania nim. Jako zaś istnienie jakiejś osoby nie zależy od czyjegoś uznania lub nie uznania, tylko ona istnieje dlatego że jest, przeto naturalnym wynikiem jej istnienia jest i jej prawo do posiadania majątku.

Kościół katolicki uważany jako ściśle organiczna całość zawdzięcza swe istnienie woli Bożej, jest instytucyą niezależną, mającą jasno określony swój cel istnienia i środki dojścia do niego, stąd ma charakter osoby moralnej i niezaprzeczone prawo istnienia, ponieważ zaś działa wśród ludzi, musi się obracać wśród stosunków potrącających o rzeczy mające wartość ekonomiczną, a zatem ma naturalne prawo *aprehensyi* i posiadania majątku. Sam on zaś jest istotą stanowiącą najściślejszą jedność, stąd wszystko, czego używają w zakresie majątkowym istniejące w nim instytucye np. biskupstwa, parafie, kapituły, zakony, jest właściwie jego własnością. Tu autor sprzeciwia się teoryi instytutowej, i na dowód swego twierdzenia przytacza fakt, że pojedyńcze instytucye nie wykonują wszystkich praw, jakie właściciel majątku względem takowego posiada, nietylko bowiem mają często ograniczone prawo używalności, ale nie mogą majątkiem do nich przyłączonym rozporządzać, to bowiem należy do powszechnego Kościoła, który reprezuntują jego wyżsi zwierzchnicy, a niekiedy sam Papież. Zamyka tę część swej pracy twierdzeniem, że poszczególne instytucye, czyli ich reprezentanci są w pierwszym rzędzie przedstawicielami majątku tych instytucyj, w wyższym zaś względzie i przedstawicielem ogółu majątków jest Papież imieniem właściwego ich pana, powszechnego Kościoła.

Ta teorya, zdaniem autora, uwydatnia się najlepiej w stosunku, jaki zajmuje Stolica apostolska względem alienacyi majątku kościelnego w moc ustaw kanonicznych. Papież, powiada on, jako przedstawiciel powszechnego Kościoła jest najdoskonalszym a często jedynym organem, w którym uwydatnia się na zewnątrz własność powszechnego Kościoła w chwili najważniejszej, tj. kiedy rzecz jakaś wychodzi z kompleksu własności Kościoła czyli przy alienacyi. Wykazuje to opierając się na konstutucyi Grzegorza X wydanej na soborze lugduńskim II (cfr. c. 2 lib. III tit. 9 in VI,) oraz na konstytucyi Pawła II

z roku 1468, (Cfr. c. unum lib. III tit. 4 Extr. com.,) które żądają przyzwolenia papieża na alienacyą nieruchomości lub rzeczy ruchomych większej wartości pod warunkiem nieważności. Nasuwającą się tu teoryę papalną, utrzymującą, jakoby papież był podmiotem majątku kościelnego, zbija autor na str. 81 i 82 przez to, że przytacza kanon z Gracyana c. 20 l. XII qu. 2., mocą którego i papież sam jest ograniczony w prawie alienowania, a zatem nie posiadając pełni praw właściciela występuje chyba tylko jako przedstawiciel istotnego właściciela tj. Kościoła powszechnego. To stanowi treść drugiej głównej części pracy autora.

Nie przesądzając w niczem tej istotnie sumiennej pracy mielibyśmy z naszej strony kilka uwag do wypowiedzenia.

Pragnęlibyśmy przedewszystkiem, ażeby szanowny autor wyraził się jaśniej, aniżeli to czyni na str. 12, gdzie powiada, że cel Kościoła wraz ze środkami zewnętrznymi, służącymi do jego urzeczywistnienia stanowi istotę Kościoła. Istotę Kościoła, jak wiadomo, stanowi zgromadzenie, czyli stowarzyszenie wiernych, w celu doprowadzenia ich do zbawienia przez środki wskazane przez Chrystusa Pana, a zatem cel i środki nie stanowią jeszcze istoty Kościoła, podobnie jak cel człowieka i środki wiodące do niego nie stanowią jeszcze istoty człowieka. Zapewne, szanowny autor rozumiał, że stowarzyszenie wiernych jest jednym z najwalniejszych środków wiodących do urzeczywistnienia celu Kościoła, i dlatego istotę Kościoła uważa za jeden ze środków dojścia do celu Kościołowi zakreślonego, w tem niezawodnie ma słuszność, ale trzeba to było jaśniej wyrazić.

Za teoryą, której autor broni, zdaje się przemawiać i ten argument, że skoro sekularyzowany zakonnik otrzyma *beneficium*, jest on w myśl równobrzmiących orzeczeń kongregacyi *episcoporum et regularium* tylko administratorem majątku przyłączonego do rzeczonego *beneficium* w imieniu Stolicy apostolskiej, która naturalnie występuje tu jako przedstawicielka powszechnego Kościoła[1]. Natomiast co dotyczy opłat, jakie rozmaite instytucye Kościoła uiszczały niegdyś na rzecz Stolicy apostolskiej, a które autor przytacza na udowodnienie swej teoryi[2], sądzimy, że nie przemawiają one koniecznie za nią raz że ich istnienie usprawiedliwiał zawsze jakiś szczególny tytuł a powtóre że wszelka głowa Kościoła ma prawo podobnie jak rząd w państwie nakładania opłat na poszczególne instytucye. Szanowny autor powiada na str 73, że wspomniane konstytucye Grzegorza X i Pawła II stanowią pod względem formalnym nowe prawo, z czem się zupełnie zgadzamy; mimo to chce znaleść dla niego podstawę w dawniejszych rozporządzeniach papieskich, zobowiązujących niektórych biskupów do przyrzeczeń, iż nie będą pozbywali majątku kościelnego. Naszem zdaniem, nie tu należy szukać uzasadnienia tego prawa, lecz tkwiło ono jakby w kolebce w instytucyi prymatu, który przedewszystkiem istnieje w Kościele w celu utrzymania jedności nietylko pod względem dogmatu i etyki, ale pod każdym innym względem, a uwydatnienie jego w większych lub mniejszych rozmiarach miewało miejsce pod wpływem po-

[1] Cfr. Acta ex iis decerpta, quae apud S Sedem geruntur. Volum. IV p. 388.

[2] Cfr. str. 65 sqq.

trzeb. Ustawa rzeczona przeto jest całkiem logicznym i jakoby koniecznym wypływem pojmowania Kościoła jako jedności.

Podane tu uwagi nastręcza nam treść pracy Dr. Brzezińskiego. Pod względem formy byłaby ona wiele zyskała, gdyby szanowny autor używał zdań krótszych aniżeli np. na str. 44 lub 82; czyby też nie było lepiej pierwszy rozdział mający tytuł: *O prawno-kościelnem znaczeniu alienacyi* połączyć z ostatnim, w którym jest mowa o prawach papieża w kwestyi alienacyjnej; zdaje się że zyskałaby przez to ciągłość w opowiadaniu.

Samą pracę w ogóle należy oceniać pod względem literackim i naukowym. Pod pierwszym względem zasłużył się autor przez to, że zaznajomił czytelników z rozmaitemi teoryami o podmiocie majątku kościelnego, a w ogóle że dzieło swe ogłosił w polskim języku, tak ubogim w prace z zakresu kanonistyki. W drugim względzie ma wielką zasługę przez to, że zebrał sumiennie dowody, przemawiające za teoryą powszechnie-kościelną, oraz, o ile nam wiadomo, pierwszy wyzyskał ustawy alienacyjne celem udowodnienia tej teoryi, a stąd w nauce posunął się o krok naprzód i z nowego punktu widzenia rzucił światło na kwestyę dziś bardzo aktualną. Przez nadzwyczaj trafną myśl, że prawo własności względem jakiejś rzeczy jest nie podzielna w ten sposób, żeby jedna osoba miała niższe prawo posiadania, a druga wyższe, szanowny autor usuwa z pod nóg podstawy dla teoryi instytutowej, a zarazem bardzo dobrze broni własności Kościoła przeciw zaborczości państwa, okazując na str. 22 i 24, że t. zw. *dominium eminens* państwa względem majątku Kościoła jest fikcyą. Podobnie wykazuje, że *jus amortisationis* jest bezprawiem, tak jak i sekularyzacya, która jest krzywdą, jakiej się nie może państwo dopuszczać w obec żadnej osoby fizycznej.

Ze względu przeto na treść, opracowanie — a dodajmy — i uczciwą tendencyę, przebijającą w niniejszem dziele, wyrażamy szanownemu autorowi rzetelne i usprawiedliwione uznanie.

Ks. Tadeusz Gromnicki.

O lekturze domowej uczniów. Referat *Ks. Zoellera*, odczytany na zjeździe nauczycieli szkół wyższych w Krakowie 20 maja 1888.

Dzielny katecheta gymnazyum Brodzkiego miał szczęśliwą myśl, że wydał osobno ten referat, poprzednio w *Muzeum* ogłoszony. Istotnie jest to bardzo cenna rzecz, nie tylko dla pedagogów, ale i więcej jeszcze dla rodziców, którzy dbają o duchową strawę, jaką się karmią ich dzieci. Ks. Z., wytykając delikatnie niedostatki gimnazyalnego wychowania, jak np. kształcenie umysłu „w szerz, a nie w głąb", powiada, że lektura domowa powinna te luki wypełnić. W gruncie, jeśli się nie mylę, powinnoby być odwrotnie: lektura prywatna miałaby sferę wiadomości swobodnie rozszerzać, a nauka szkolna ją pogłębiać. Ale skoro ten stan rzeczy w szkole istnieje, to niema wątpliwości, że czytania domowe powinne, ile możności, jego braki uzupełniać. Oby to zawsze być mogło!

Jakaż więc powinna być treść lektury młodego ucznia? Przedewszystkiem dowodzi autor, że powinna mieć charakter religijny i narodowy, a wszystko, co tym dwom uczuciom szkodzić może, powinno być stale uchylane. Czytanie powieści sprowadza on bardzo słusznie do minimalnej dozy. Sprawiedli-

wie też przestrzega przeciw nudnym morałom, przeciw wybujałej fantastyczności i robinsonadom (do których, może niesłusznie, zalicza poczciwego Vern'a); najsprawiedliwiej zaś przestrzega przeciwko temu krytycyzmowi, na który nasz wiek choruje, a który bądź co bądź nie jest dla młodych dusz: „Książki przeto o krytycznym sposobie traktowania nie przydają się dla młodzieży, której potrzeba pozytywnej wiedzy, pozytywnego poglądu". To zaś prawidło rozciąga osobliwie autor do historyi narodowej. Dojrzałym ludziom trzeba nieraz robić rachunek sumienia, młodzieży szkodzić tylko może to wszystko, co jej odbiera cześć i miłość przeszłości.

Uwagi ze wszechmiar trafne i słuszne, znać w nich głębszą znajomość i miłość dziecka — a na tem dwojgu cała pedagogika zależy. Przychodzi tylko na myśl: *sed quis est hic? et laudabimus eum:* gdzież są książki polskie, któreby tym wszystkim warunkom odpowiadały? Znamy ich bardzo mało. — Cóż stąd za wniosek? Nie ten oczywiście, żeby od wskazanych warunków odstąpić, ale żeby więcej i lepiej dla młodzieży pisać I jeszcze jeden nasuwa się wniosek: żeby szan. autor uzupełnił swą cenną pracę, podając jakiś spis książek, które uważa za całkiem odpowiedne dla młodzieży gimnazyalnej. Spis taki, powoli uzupełniany przez niego samego i przez innych równej powagi i doświadczenia ludzi, stałby się nieocenioną skazówką dla wychowawców i dla rodzin chrześcijańskich.

X. M. Morawski.

Szkoła ludowa a Kościół w Austryi i trzy najnowsze wnioski szkolne. Napisał *Ks. Tadeusz Gromnicki.* Poznań 1889.

Wielka sprawa szkoły wyznaniowej idzie strasznie w odwłokę!. . jednak, Bogu dzięki, nie zeszła z porządku dziennego, nie wypadła z pamięci dzielnym mężom, którzy ją podjęli i jest nadzieja, że wkrótce zaprzątnie znowu ciała prawodawcze — bo jest potrzebą żywotną społeczeństwa w Austryi. W tych warunkach nie małą oddał nam przysługę ks. Dr. G. profesor prawa kan. na Uniw. Jagiel. podając w krótkiej stosunkowo pracy cały rozwój tej kwestyi o ustawodawstwie austryackiem, począwszy od Maryi Teresy, i zbierając w historycznym porządku wszystkie antecedencya prawnicze, które tę sprawę obchodzą. Nakoniec wyłuszcza autor znany wniosek ks. Liechtensteina, któryśmy kiedy indziej w *Przeglądzie* omówili, oraz dwa inne wnioski Lienbachera i Herolda, które zaraz potem wniesione zostały: wszystkie za szkołą wyznaniową, ale z różnemi zabarwieniami Ks. G. czyni wszystkiem trzem wnioskiom, z punktu prawniczego pewne zarzuty, o których możnaby dyskutować; ale są to tylko podrzędne szczegóły; całość jest bezwarunkowo cennym substratem dla każdego, który chce się tą ważną i piekącą kwestyą zająć.

Ks. M. M.

Jak żywić niemowlęta i dzieci. Napisał *Dr. Józef Koszutski.* Poznań r. 1888.

Zacny, wielce zasłużony Dr. Józef Koszutski, powyższe dziełko „troskliwym matkom poświęca". Zawiera ono racyonalny, a praktyczny traktat hygieny dla niemowląt i dla dzieci do lat siedmiu; „ułatwia i wskazuje polskim matkom, jak one owo młode pokolenie, stanowiące całą nadzieję i naj-

droższy skarb rodziny i kraju, żywić mają, aby im wyrosło kiedyś na zdrowych, jędrnych i umiejętnych członków społeczeństwa". Nie wdając się w żadne, zwykle dla profanów niezrozumiałe — naukowe dysertacye, stanowczy zwolennik karmienia niemowląt piersią matki, Dr. K. widzi w tem główny filar przyszłych sił dziecka, oraz przyszłego moralnego rozwoju tegoż dziecka. Posługiwanie się zaś mamką — z wyjątkiem ciężkiej choroby matki, nieuzdalniającej jej do wypełnienia świętego tego obowiązku — uważa sumienny nasz lekarz za „opuszczenie dwojga dzieci przez własne matki", co statystycznemi cyframi stwierdzone, stanowi główny powód śmiertelności niemowląt. „Przyczynić się do położenia skutecznej tamy systemowi zgubnemu i dobru społeczeństwa szkodliwemu", oto cel książeczki, który nie można dość wymownie, dość gorąco polecić wszystkim matkom d o b r y m, by ich utwierdzić i oświecić; o b o j ę t n y m, by im wykazać fatalne skutki niesumiennego ich postępowania. Świetnie wywiązawszy się z pierwszej części pracy, zawierającej rady dla karmiących matek, w drugiej części podaje Dr. K., oparty na długoletniej, pełnej miłości dla dzieci praktyki, rozliczne rady i wskazówki, j a k i c z e m należy żywić dzieci po ich odłączeniu, po kilkakroć polecając matkom, aby zbyt często dzieciom pożywienia nie podawały, zostawiając żołądkowi czas potrzebny do strawienia spożytych pokarmów. Oby dziełko Dr. K. we wszystkich znajdowało się — dziatwą obdarzonych — domach, ku niemałej fizycznej, umysłowej i moralnej korzyści dzieci, matek i całego polskiego społeczeństwa.

A. M. L.

Marnotrawni przez autora *Biedy naszej*. Kraków. Nakład i własność wydawnictw J. K. Gadomskiego. 1888.

Kto ci marnotrawni? Niestety! odpowiada autor, nie kto inny, jedno my wszyscy niemal, cały nasz naród z rzadkimi wyjątkami, co „sterczą w nim ponad powodzią marnotrawstwa, jak drogoskazy może dla następnych pokoleń, które z pod tej powodzi wyrosną". Dawniej marnotrawilimy krew własną, wielkie czyny, zwycięstwa; dziś marnotrawimy ziemię, język, duchową samodzielność. Jakże przerażająca i smutna ta z gryzącą ironią, ale z życia odrysowana galerya marnotrawców, z których niejeden tak dobrze podobno nam znany. Któż z nas nie widział tego Jędrzeja, co nie chciał pójść z listem na Bielany za 40 centów, bo „któżby się ta tłókł tyle światy za takie pieniądze", a nieznalazłszy innego zarobku przepił tylko z nudów 20 centów; albo tego p. Władysława, co we wszystkiem sobie oszczędza, wciąż na złe czasy lamentuje, ale trzyma na malutkim majątczeku ekonoma, leśniczego i huk służby, a cały swój czas dzieli między lamentacye i preferansa; albo tych panów Kasprów, co straciwszy na najniepotrzebniejsze zbytki kilkaset guldenów, starają się „stratę odbić na nieznacznem podniesieniu cen towaru, ale zawodzą się, tracą klientelę i narzekają potem, że publiczność towar sprowadza z Wiednia lub kupuje na Kaźmierzu".

Takich z życia, a z życiem i humorem, choć bez karykaturalnej przesady nakreślonych sylwetek, napotykamy cały szereg; warto im się przypatrzyć a w danym razie nie gniewać się na autora, że zbyt blisko i nie umiejące pochlebiać zwierciadło podsunął, lecz z pokorą i postanowieniem poprawy

w piersi się uderzyć. Niemniej warto przyjrzeć się tym dodatnim, niestety! z zagranicy zapożyczonym postaciom, które służyć mają za przykład, jak nie marnować czasu, pieniędzy i zdolności. Czemu „bieda nasza“ tak wielka? — Bo „marnotrawnych“ tak wielu. Oto sens moralny z dwóch tych broszurek prawdziwie obywatelskim duchem natchnionych; tym samym biegłem i wytrawnem piórem nakreślonych. *Bieda nasza* w mnóstwie egzemplarzy po Polsce podobno się rozeszła; *Marnotrawni* — gorzkie może, ale p o ż y t e c z n e a daj Boże! s k u t e c z n e lekarstwo, w większej jeszcze liczbie rozejśćby się powinno.

B.

Trzeci zakon św. Franciszka przez *ks. Ségur*. Przełożył z oryginału *Wł. M.* Wydanie trzecie. Str. 221. Kraków 1888.

Nowenna najskuteczniejsza do Matki Boskiej nieustającej pomocy. Przez *O. Saint-Omer* Redemptorystę ułożona, a przez *O. Bernarda Łubieńskiego* przetłumaczona. Wydanie drugie. Str. 174. Kraków 1888.

Nabożeństwo pięciu niedziel na cześć blizn św. Franciszka. Str. 28. Kraków 1888.

Czcicielom Matki Boskiej i coraz u nas liczniejszym czcicielom św. Franciszka z Assyżu miło będzie dowiedzieć się o powtórnem wydaniu wdzięcznych, ze szczerą pobożnością skreślonych książeczek ks. Ségur i O. Saint Omer. Nazwiska obu tych autorów ascetycznych zbyt są znane, abyśmy mieli potrzebę rozszerzać się nad pochwałami ich prac. Trzecia z rzędu w nagłówku wymieniona książeczka, po raz pierwszy obecnie wydana, zawiera wyjęte z „Roczników franciszkańskich“ rozmyślania o cnotach św. Franciszka: ubóstwie, umartwieniu, pokorze, miłości współcierpiącej z Boskim Zbawicielem i współukrzyżowaniu z Nim. Wszystkie trzy te książeczki na szczere polecenie zasługują, tem bardziej że i tłumaczenie zupełnie jest poprawne. Mniej za to poprawny a na niektórych stronnicach, zwłaszcza w dziełku ks. Ségura wprost rażący jest sam druk, przechodzący całą skalę kolorów od lekko popielatego aż do hebanowego. Nie wątpimy, że energiczny wydawca potrafi znaglić drukarnię do wyuczenia swego maszynisty, jak ma się z farbą drukarską obchodzić, a zarazem do zmienienia całego szeregu nadpsutych czcionek, których znaczenia tylko z kontekstu można się domyśleć: leży to zresztą bardziej może jeszcze w interesie drukarni, niż wydawcy.

Z literatury kalendarzowej.

Jak tradycyjnie od wielu lat, tak i w roku bieżącym wśród powodzi kalendarzów, zalewających wszystkie dzielnice polskie, górują ponad innemi i korzystnie odszczególniają się równie treścią literacką, jak obfitemi i dokładnemi informacyami dwa w Krakowie wydawane kalendarze: *Katolicki* i *Czecha*. Pierwszy, wydawany od dziewięciu już lat nakładem księgarni katolickiej Dr. Miłkowskiego, nie ustępuje w niczem swym poprzednikom, a dla tych, co mieli w ręku i korzystali z ostatniego np. kalendarza na r 1888, pochwała ta wystarczy. Po chronologii Papieżów, znajdujemy dokładne wyliczenie żyjących dziś kardynałów z krótką notatką o miejscu urodzenia, roku nominacyi i pia-

stowanych urzędach; spis św. kongregacyj, nuncyatur i t. d. Następnie ważny i miły dla nas, bez względu na porozbiorowe stosunki podany spis archidyecezyj i dyecezyj na wszystkich ziemiach polskich, i ich pasterzów i kapituł: spis profesorów na wydziale teologicznym w Krakowie i we Lwowie i profesorów wykładających w Akademii duchownej w Petersburgu; spis Polaków i Rusinów zaszczyconych godnościami papieskimi i t. d. Z praktycznie ułożonym działem informacyjnym walczy o lepsze część literacka, nosząca na sobie również wybitną katolicką i polską cechę.

Krótkie, udatnymi wizerunkami opatrzone życiorysy bł. Hoffbauera, O. Jana Bosco, zasłużonego pisarza a bardziej jeszcze zasłużonego opiekuna głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie: ks. Teofila Jagodzińskiego; zmarłego niedawno ks. Ignacego Polkowskiego; O. Bernarda Szymańskiego — słusznie nazwanego przez p. Zarewicza „typem polskiego ascety — zostawiają w pamięci nie przelotne tylko wrażenie, świecą niby wzniosłe drogoskazy w ciężkiej wędrówce życia. Inna kartka: „Z wycieczki do Dobromila i Chyrowa", skreślone świetnem, poetycznem piórem hr. Dębickiego, przedstawia dwa klasztory, obok siebie niemal stojące: dobromilski nowicyat Bazylianów, chyrowski konwikt Jezuitów: dwie, daj Boże! — jak się autor spodziewa — ścisłem przymierzem ze sobą złączone twierdze w walce przeciw złemu, przeciw społecznemu rozstrojowi, przeciw nieszczęsnym waśniom między mieszkańcami tego samego kraju. Ważny dla historyka „wykaz zniesionych kościołów, kaplic i klasztorów w Krakowie"; miłe, piękną ryciną opatrzone studyum o różnych zwyczajach, któremi mieszkańcy różnych krajów uprzyjemniają sobie i uświetniają tradycyjnie święta Bożego narodzenia; pieśni kilka, z których jedna p. t. *Boże Narodzenie* podpisana znanemi inicyałami *ks. Z. S. F.*, uzupełniają literacką treść *Kalendarza katolickiego;* treść, jak widzimy, bogatą, powiedziećby można „nie kalendarzową", ale natomiast w całem słowa tego znaczeniu „katolicką". Mieszkańcy Krakowa wdzięczni szczególnie muszą być wydawcy za dokładnie podany podział miasta Krakowa na parafie i oznaczenie urzędowych godzin parafialnych. Zwracamy wszakże uwagę, że zdanie „tylko proboszczowi właściwej parafii lub za jego pozwoleniem innym kapłanów wolno udzielać ostatnich Sakramentów" w całej swej ogólności nie zupełnie jest dokładnem, gdyż do ostatnich Sakramentów zaliczają zazwyczaj wierni i spowiedź, której jednak chory nie ma wcale obowiązku odbyć przed swym proboszczem lub o pozwolenie jego się pytać, jeśli chce się spowiadać przed innym kapłanem. W wielu razach bardzo praktyczna to może być kwestya, zwłaszcza gdy kto niebezpiecznie chory, a proboszcz zajęty, lub nieobecny.

Kalendarz Czecha dobrze w szerokich kołach i z dawnych czasów już znany, boć liczy sobie pięćdziesiąty ósmy rok życia, przyniósł również prócz zwykłych, starannie dobranych informacyj, cały szereg zajmujących i pouczających artykułów. *Pogadanki o kometach i kometamancyi; Przechadzka kronikarza po rynku krakowskim; Skałka z kościołem ŚŚ. Michała i Stanisława w Krakowie* (źródłowo opracował L. Zarewicz); *Zakład św. Józefa dla osieroconych chłopców w Krakowie*; bardzo ciekawa i z widocznem zamiłowaniem przedmiotu spisana *Kronika krakowska z r. 1888 i Kronika żałobna*, zawierająca treściwe życiorysy wybitniejszych osób zmarłych w roku zeszłym: oto tytuły tych artykułów, które same już pokazują, gdyby treść ich lepiej jeszcze nie wykazywała, że i *Kalendarz Czecha* nosi na sobie wybitną polską i kato-

licką barwę, wszystkim katolikom i Polakom może być szczerze polecony. Zdobiące kalendarz wizerunki, np. Ambrożego Grabowskiego; kościoła i klasztoru na Skałce; widoku Skałki w XVII w.; widoku krypty; dziedzińca gimnazyum św. Anny i t. d. wybornie są wykonane; a równie wizerunki te, jak i tekst, gustownie wytłoczony nowemi, mile w oko wpadającemi czcionkami do uznania mimowoli skłaniając dla drukarni *Czasu* najlepszą dla niej bezwątpienia z wiedzą czy bez wiedzy wydawców, stanowi reklamę. *B.*

Józef Ignacy Kraszewski, jego życie i zasługi, skreślił *Aleksander Borucki*. Z portretem. Cieszyn. 1888. Nakładem Edwarda Feitzingera. Str. 143.

Niniejsza książeczka na zewnątrz bardzo przyzwoicie się przedstawiająca, drukowana porządnie, ozdobiona udatnym portretem Kraszewskiego, stanowi 32 i 33 tomik, wychodzącej w Cieszynie „Biblioteki tanich książeczek dla ludu i młodzieży". *Biblioteka* ta, z pierwszych sądząc tomików, nie budziła zbyt świetnych nadziei; przeciwnie, dała powód i to najzupełniej usprawiedliwiony do stanowczego wystąpienia przeciwko sobie wszystkich, którym dobro ludu i młodzieży rzeczywiście leżało na sercu. *Piękna Meluzyna, Trzy piękne młynareczki w rękach krwawego rabusia, Zamurowana dziewczyna, Abelino straszny bandyta; Straszny niewiastobójca Hugo Schenk i jego wspólnicy:* oto parę tytułów, które same z siebie dość chyba są wymowne, dość jasno pokazują, jakim instynktom schlebiała i zyski z nich ciągnęła ta, nawiasem mówiąc, wcale n i e t a n i a Biblioteka. Od skandalicznych tych piśmideł mile odbijają tytuły kilku w ostatnim czasie wydanych książeczek, zwłaszcza skreślonych przez Al. Boruckiego: *Echo z Afryki, Nasze góry, Szkice z życia zwierzęcego;* sądząc po tych tytułach wydawca w pewnej przynajmniej mierze zrozumiał, jaką nieobliczoną szkodę ludowi i młodzieży przynosi swemi wydawnictwami, i cofnął się z fatalnie obranej drogi. Ostatnia w tytule wymieniona książeczka o J. I. Kraszewskim jest nowym dowodem poznania obywatelskich i czysto ludzkich — że zamilczymy już o chrześcijańskich — obowiązków, i dla tego z przyjemnością uwagę na nią zwracamy, pragnąc szczerze, aby się hojnie nakładcy opłaciła, a tak aby w braku innych pobudek, choć sam dobrze zrozumiany interes odstręczył go od podawania trucizny zamiast zdrowego, jeśli już nie wykwintnego pokarmu.

Szczerze się cieszymy, że w ostatniej książeczce, którą mamy pod ręką, spotykamy już nie potworne wizerunki Schenków czy Abelinów, ale życie i zasługi męża, który nie zawsze równie zbawienny, ale bądź co bądź niezmierny wpływ wywarł na naszą literaturę. W niektórych wprawdzie szczegółach, w niejednem zdaniu i poglądzie trudno nam się z autorem zgodzić. Kraszewski był zdolnym i bardzo pracowitym pisarzem, talentu nikt mu nie odmawia; ale czy był g e n i u s z e m, jak autor do przesytu na każdej stronnicy powtarza, jakby się lękał, że czytelnicy nie uwierzą mu na pierwsze słowo? Gdzie wyczytał p. Borucki, że spór jeszcze o to zachodzi, komu oddać pierwszeństwo między polskimi kaznodziejami: Woroniczowi czy Skardze? (str. 57). Przeciw szumnym pochwałom we wstępie, przeciw śmieszno-panegirycznemu tonowi, w który raz po raz życiorys ten wpada, najenergiczniej zaprotestowałby podobno sam Kraszewski, który za wiele miał dobrego smaku, aby ścierpieć tego rodzaju

pochwały, rzekłbyś żywcem wyrwane z jakiegoś panegiryku XVII w. Co pomyślałby Kraszewski, gdyby gdzie wyczytał, że życie jego to „wielka księga, z której jak z świętego Pisma uczyć się i czerpać mądrość będą i najpóźniejsze pokolenia polskie; to taka wielka świątynia myśli, w której od dziecka do starca, od żebraka do księcia wszyscy znajdą pomieszczenie i wszyscy się w niej pokrzepią". Pomyślałby naturalnie, że pisarz taki sobie z niego żartuje, a podejrzenie to przemieniłoby się w moralną pewność, gdyby zaglądając na ostatnią stronnicę, odczytał następną apostrofę dlatego tylko nie bluźnierczą, że zanadto jest śmieszną: „Naśladuj go (Kraszewskiego) Polaku; zapatruj się jak w barwną tęczę w jego wzniosłe, czyste, szlachetne a pracowite życie — abyś mógł czerpać z niego sił do własnych prac i zamiarów. Obraz jego niech będzie w twem sercu wyryty na wieki — a z nim idąc w świat będziesz mężnym, jak on był mężnym; będziesz czystym, jak on był czystym i choć cząstkę otrzymasz od Boga tych sił i pragnienia do pracy, którą on tłumy zadziwiał". Sądzimy, że autor nie żartował ani z czytelników, ani z Kraszewskiego pisząc powyższe słowa; widocznie jednak zapomniał, że i w uwielbieniach i w pochwałach *sunt certi denique fines*, poza któremi śmieszność wszechwładnie panuje.

Dwa jeszcze słowa do nakładcy. Jeżeli p. Feitzinger życzy sobie poparcia dla swego wydawnictwa, natenczas musi bądź co bądź usunąć z niego książki, których same tytuły są skandalem. Jak może szanująca się prasa polska polecić *Życie i zasługi Kraszewskiego*, jeśli z książeczką tą dostać się mają do szerokich kół ogłoszenia najszkaradniejszych, wstrętnych piśmideł? Nie wystarczy też wydrukować, jak to uczynił nakładca w jednym ze swych prospektów: *Książeczki pod nr. 1, 9, 10, 11... są tylko dla dorosłych*; bo co złe i brzydkie dla nikogo nie jest odpowiedniem, a tego rodzaju ogłoszenie, — jak dobrze prawdopodobnie naszemu przedsiębiorcy wiadomo — ciekawą młodzież nie odstrasza, ale raczej do kupowania przynęca. Nie bardzo też rozumiemy i dlatego prosimy o wyjaśnienie następnego zdania umieszczonego w litografowanej odezwie, którą otrzymaliśmy wespół z książeczką o Kraszewskim: „Zastrzegamy sobie po n a s t ą p i o n e j (*sic!* — w ogóle cała ta odezwa nie przez Polaka redagowana) ocenie niniejszego dziełka przesłanie dalszych dziełek do oceny". Czy nakładca sądzi może, że na ten zbyt widoczny a bądź co bądź niedelikatny lep zwabić potrafi jakie szanujące się pismo? Co nas dziwi, to chyba to tylko, że rzeczywiście znalazła się jedna i to poważna gazeta, której powyższe słowa nie wystarczyły za ostrzeżenie, aby przed pochwaleniem cieszyńskiego wydawnictwa, bliżej zbadać treść jego i ducha.

Ksiądz Nykoła. Z opowiadania dyaczka spisała *Walerya Solecka*. Kraków 1888.

Pierwszy niewielki utwór młodej autorki, ale wyróżniający się korzystnie od tego mnóstwa powieści i nowelek, jakie nam codziennie przynoszą odcinki gazet i załączniki do pism peryodycznych, i zdradzający odrazu niezwykły talent pisarski. Śliczna ta cerkiew i to nabożeństwo ruskie i ten sędziwy kochany proboszcz, śliczne jego stosunki z ludem; z rozkoszą słucha się dyaczka opowiadającego o tem wszystkiem z prostotą i barwnością stylu. Jest w tem realizm w najlepszym guście. Ale jedno rzecz pozwolę sobie zarzucić.

Zdarzyło się to, co się młodym autorom zwykle zdarza — a i dojrzałym nie rzadko: w dramatyczności przebrało się miarę. Ten zacny ks. Nykoła miał grzech młodości: w 48-ym r., podżegał lud przeciw szlachcie. Strasznie już wówczas został ukarany: własna jego żona, którą nad życie kochał, zamordowaną została przez tych samych chłopów, których on podjudzał. Później przez długie lata za ten grzech pokutował, zadośćczynił nieustannem dla swych owieczek poświęceniem; a gdy w starości doczekał się wybudowania prześlicznej cerkwi, na którą przez całe życie pracował, wtedy piorun wszystko pali — i starzec wśród pożaru umiera z rozdartą duszą, z poczuciem, że Bóg odrzucił ofiarę z jego grzesznych rąk, bez żadnej pociechy, ani promyka miłosierdzia Bożego, któryby choć ostatnią chwilę oświecił. To zanadto: Bóg nie jest tak srogim dla szczerze pokutujących; i ta m i a r a, którą mamy w duszy i na którą każda sztuka oglądać się powinna, bo w niej jest sekret piękna, ta miara, mówię, jest przekroczona, w sposób, który nam sprawia niezadowolenie. Kładę nacisk na tę może subtelną uwagę właśnie dlatego, że skądinąd talent autorki wiele obiecuje.

Ks. M. M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Commentarius in Isajam Prophetam. *F. Knabenbauer S. J.* Parisiis 1887 pag. 1154. 2 vol.

Już w latach 1878 i 1879 widzieliśmy z pojedyńczych opracowań autora, pomieszczanych w czasopismie teologicznem wychodzącym w Innsbrucku, jak pilnie, jak badawczo zajmował się największym z Proroków. Następnie, w r. 1881 wydał O. Knabenbauer obszerny komentarz w języku niemieckim (718 str.); obecne dzieło jest tegoż przerobieniem, a nie tylko samym przekładem; liczne zmiany i dodatki wskazują, że autor nie ustawał w studyach nad Izajaszem.

Ważna bardzo zasługa wykładu Pisma św. (jakim jest obecne dzieło) na tem polega, że stare katolickie wykłady wszędzie są uwzględnione, i wiele rzeczy, które uchodziły za nowe odkrycia protestanckich egzegetów, okazuje się od dawna w posiadaniu literatury duchownej katolickiej, a przez to samo część ta dzieła zyskuje daleko wyższą wartość nad wszystkie o Izajaszu prace protestantów. Aczkolwiek dzieło *Geseniusza* doczekało się już czwartego wydania, *Delitscha* trzeciego, jednakże dzieło Ks.

Knabenbauera, gdyby nawet nie miało doczekać się tylu wydań, pierwsze i nierównie wyższe zajmuje miejsce między wymienionemi; a lubo w opracowaniu góruje treść sama, strona rzeczowa, niemniej jednak starał się autor, trzymając się tekstu *Masory*, również i o piękność formy.

Proroctwa, które tłumaczy, pojmuje autor jako pojedyńcze i całkowite dzieło samego Izajasza; jedność tę udowadnia dokładniej niżeli dotąd zdołano, i tem sobie szczególną zdobywa zasługę. Podaje krótki pogląd na zarzuty krytyki (podług Delitsch'a) wykazując jej fałszywość, która gdyby raz przyjętą została, nietylko podałaby w wątpliwość wszystkie księgi Proroków, jako proroctwa, lecz obalałaby cały Stary Testament. Skoro zaś owa krytyka uderza teraz na różnicę wielką, między pierwszą a drugą częścią (której początek O. Knabenbauer zaznacza na dobrej podstawie od 38 rozdziału), tedy autor, odnosząc się do ustępów, które zwykle przy poruszeniu takiej kwestyi bywają przytaczane, odsyła do całego szeregu uwag, badań i roztrząsań zrobionych już nad temi ustępami. Idąc za uwagą dawniej już zrobioną przez Schäfera, przeciwstawia obiedwie części, i pięknie je łączy w jedną całość.

Wymienimy tu pokrótce przytoczone dla części drugiej dowody zasadnicze. Opierają się one w części na podanych przez *Kaulen'a*, w części postępują dalej, co stanowi zadanie całego komentarza *(Cornely S. J., Introd. in V. T. I. 1. pag. 250)*. Cały układ tych proroctw wskazuje, iż poczytywać je należy za dzieło poprzedzające czasy wygnania. Siedmkroć wyraża sam Prorok, że przepowiada przyszłość, i że jeden tylko Bóg prawdziwy może onę objawić. Że Prorok mieszkał w Palestynie, widocznem jest z XL,2.9, gdzie mu zlecono było pocieszyć Jerozolimę, równie z XLI,27, a szczególnie z LXII,6. Na toż wskazuje i XLI,8.9, gdzie z pewnością w inny sposób mówiłby o Abrahamie, gdyby sam przebywał w Chaldei, gdyż *Ur* (Magheir) „Powołanie" leży na południe Babilonu. Judeę też oznacza miejscem pobytu swego (LII,5); przeciwnie zaś mówi wcale inaczej o Babilonie (LII,11). Czas poprzedzający uprowadzenie w niewolę lepiej jest opisany w dalszym ciągu, w miejscach tych gdzie Bóg oznajmia, że karać będzie grzechy ludu i poda go w moc poganom (LVI,9.LVII,11.12.13). Tam to położenie i okoliczności Izraela są tak opisane, iż słusznie

przywodzą na myśl czasy króla Manassesa. Wszystko zaś stwierdza się tem, iż proroctwa rzeczone odnajdują się jako znane i naśladowane u Jeremiasza, Sofoniasza, Ezechiela, Nahuma i Habakuka. Do tych argumentów wewnętrznych, przyłącza się i poważne świadectwo starożytności, którego wartość w stosunku do dowodów i podstaw przyjętych od przeciwnego obozu, bardzo dobrze jest przez naszego autora roztrząśniętą. Za przykład, w jaki sposób O. Knabenbauer wykłada związek rzeczy, służyć może rozdz. 28—37, czwarty rząd proroctw. Odnosi się on do czasów króla Ezechiasza. Sześć mów, z których każda zaczyna się od wyrazu: „Biada“, zawierają wszystkie naganę zaufania w ludzką pomoc, i wykazują, skąd prawdziwej pomocy oczekiwać należy (rozdz. 28—33). Dwie inne mowy malują koniec złego i koniec dobrego w mistrzowskiem zestawieniu. (Rozdz. 34—35). Dopiero rozdział 37-my okazuje, jaki owoc te mowy przyniosły. Owe „biada“ kończą się wreszcie obietnicą zbawienia: Jeruzalem ma być zbawione przez sąd.

Rozważmy dalej przebieg myśli w części drugiej, jak się on przedstawia w opracowaniu O. Knabenbauera. Jakkolwiek rozdziały 38-my i 39-ty należą już do tej drugiej części, jednak dopiero XL,3—11 daje wstęp właściwy do tego co następuje. Główny podział części drugiej wysnuwa autor jako i *Hahn*, z Izajasza XL,2.: „Odpuszczona jest nieprawość jego (Jeruzalem). Wzięło z ręki Pańskiej dwojako za wszystkie grzechy swoje“.

„Skończyła się złość jego“ (Jeruzalem).

Przedmiotem pierwszego poddziału XL,3.—XLVIII,22. jest zdziałane mocą i mądrością Bożą wyzwolenie z niewoli. W dramatycznym obrazie występuje tu Cyrus, obok niego zaś drugi, pewniejszy Wybawiciel, Mesyasz; dalej rozwija opowiadanie o pierwszem wyzwoleniu, podczas gdy drugie wyzwolenie pozostawia do podziału drugiego, w którym mowa jest o Zbawicielu. (Rozdz. 49—57.) Trzeci podział opiewa chwałę Mesyańskiego Syonu, zgotowanego dla zbawionych z Izraela. Treść, pojedyńczo opracowanego związku rzeczy, wyłożona jest pokrótce na czele każdego podziału, co bardzo przyczynia się do wytłumaczenia szczegółów. W wielu miejscach nawet wznosi się O. Knabenhauer do wysokiego stopnia namaszczenia. Jako to: w rozdziale II-gim, gdzie mówi o Teokracyi uniwersalnej w. 2—4 (sześć stronnic;) szczególnie zaś przy słyn-

nym owym ustępie o Emanuelu (Rozdz. LIII). Samemu tylko wierszowi 14-mu rozdziału VII-go poświęcił autor 20 stronnic. Wyjaśnienie *Haalmah* jest tak dobre jak tylko żądać można; oraz tylekroć opracowany tekst Przypow. XXX,19, roztrząsany jest tak starannie, jak w żadnym podobnym komentarzu.

Jak trudno jest odróżnić w proroctwach stronę idealną od rzeczywistości, znanem to jest dostatecznie z mniejszych proroków. O. Knabenbauer zdaje się przezwyciężać szczęśliwie te trudności, podobnie jak w swoim komentarzu do proroków mniejszych, tak i w obecnym. Za przykład wybierzemy rozdz. XI, 6—8 (cf. LXV. 20,59). Autor nazywa przenośnię, podobieństwo *(Gleichniss)* symbolem: „Si dico symbolum, jam limites assignavi, qui in ipsa ex„plicatione transiliendi non sunt. Ad symboli enim veritatem mi„nime requiritur, ut omnia eo modo, quo in symbolo repraesentantur, „re et opere exprimantur. Verbalem igitur ac liberalem impletionem „excludimus jure merito, eamque eo ullo capite asseri posse nega„mus". O rozdziale X zaś mówi: „Hic quoque applicari oportet „quod saepius erit monendum, visione prophetica, ea quae tempore „et loco disjuncta sunt, uno conspectu et una imagine exhiberi, „atque in ea eventum certa ac definita ratione quae ex ipsa pro„phetia colligi debeat, quasi circumscribi ac repraesentari. Unde „ipsa imagine menti prophetae proposita, singula quidem quae re„vera vel per se, vel per symbola exprimuntur, vera sunt; at ca„vendum est, ne singula eadem ratione qua visa sint, in rerum „eventu, exprimi debere censeamus... Propheta, non quidem iter „illud exhibet quo exercitus maxima pars sit ingressa, at vastatio„nem et horrorem illum deseribit, quo totam urbis viciniam imple„verunt, idque describit modo poetico".

Wspomnijmy jeszcze na zakończenie o jednym ustępie historycznym, który był przedmiotem wielu sporów, rozdz. XXXVI, w. 8, który należy porównać z rozdz. XXXIX, w. 2—6. Byłoby do życzenia, aby O. Knabenbauer wyrazów tych: „pewnem jest, iż choroba „Ezechiasza przypada przed pokonaniem Asyryjczyków", nie był powtarzał, jak przedtem w komentarzu niemieckim (str. 431). Jakkolwiek bowiem autor może tu przytoczyć mówiące za nim powagi takie, jak: *Cornelius à Lapide, Mald. Gord. Tirin., Calmet, Schegg, Neteler, Rohling, Danko Trochon;* to *Petavius* staje tu

przeciw niemu (Doctr. temp. IX, 62), a do tego z autorów nowych przyłącza się szczególnie *Schäfer*, przytem więc pogląd O. Knabenbauera pozostaje już tylko hypotezą. Są nawet podstawy wewnętrzne, pozwalające w pewnym stopniu przeciwnikom tej hipotezy do robienia zarzutów, a jednak O. Knabenbauer stawi własny pogląd niekiedy zbyt absolutnie, i to daje się spostrzegać w niektórych innych miejscach dzieła.

Cośmy powiedzieli o komentarzu, wykazuje jak wysoką wartość mu przyznajemy. Należy też podziękowanie i wydawcy za piękne, staranne wydanie, przy cenie stosunkowo umiarkowanej. Nakoniec obu jak autorowi tak wydawcy wyrażamy wdzięczność za to, że druk następujących tomów postępować ma odtąd bez przerwy, co ziszcza naszą nadzieję, że dzieło to, którego dedykacyę Jego Świątobliwość Papież przyjąć raczył, ujrzemy wkrótce ukończonem.

Ks. Augustyn Arndt.

Le Rêve. Par *E. Zola*. Paris, Charpentier 1888.

Po ogłoszonem przez najprzedniejszych krytyków francuskich bankructwie naturalizmu, w ostatecznem błocie *Ziemi (la Terre)* ugrzęzłego, można było mniemać, iż p. Zola, zdrażniony przegraną, albo skrajniej jeszcze na obranym torze wystąpi, albo też zamilknie na czas dłuższy. Tymczasem stało się inaczej. Oto zstępuje w szranki z idyllą tak senną, tak lotną i niemateryalną, że nietylko w niej naturalizmu dopatrzeć się trudno, lecz zarazem i natury i naturalności zabrakło, a sztuczność budowy i stylu domyślać się każe sztuczki tylko pióra. Ale jakiej? Czy to tylko dotrzymanie zakładu udowodnienia giętkości talentu przerzucającego się z ziemi do nieba, i z błota w eter błękitu? Francuscy pisarze lubują się niekiedy w takich popisach, probują sił na nowych polach, czasem z umysłu obierają przedmiot obcy lub utrudniony, aby go tem świetniej zwalczyć i święcić tryumf niezwykły. Pailleron niedawno napisał komedyę, której główną osią jest skład *dramatis personae*, obejmujący same żeńskie role z jednym tylko jedynym wśród nich mężczyzną. Ale tu chyba nie chodziło p. Zoli o dokazanie tylko sztuki i pokazanie co umie i co potrafi. Mimo niesmacznej napaści Daudeta, tytuł „nieśmiertelnego“ zachował swój dawny powab i znaczenie, i każdy pisarz francuski prędzej czy później zaczyna marzyć o palmach akademickich i o przygodnem dla siebie miejscu wśród senatu umysłowości francuskiej, zasiadającym pod kopułą pałacu kardynała Mazarin. Ponieważ nie każdy z nich prostą kroczył drogą ku tej przystani wykwintnego smaku i piękna, wybija nieraz godzina zwrotu, okupująca dawne zboczenia, byle prędzej zawinąć do portu, i otworzyć sobie oporne bramy Akademii francuskiej. Znany to manewr, nieraz powodzeniem uwieńczony. Francuzi krótką mają pamięć, a wrażliwość wielką. Wystarczy przypomnieć, iż zapomniano panu Halévy jego niekonie-

cznie budującą i zaszczytną z Offenbachem spółkę, gdy okupem za libretta do *Orfeusza* i *Pięknej Heleny* złożył kilka delikatnie osnutych powiastek w rodzaju *L'abbé Constantin*, i drgające patryotyzmem kartki z ostatniej wojny zatytułowane *l'Invasion*.. Zręczność semicka p. Halévy otworzyła mu na oścież zawarte dotąd progi gmachu Akademii. Czemużby Zola nie miał spróbować, azali i jemu nie uda się wcisnąć w szeregi bardzo znakomitego, ale niezawodnie po trochu dziś zmieszanego towarzystwa. Ten tedy nowy przyczynek do jego powieściowej produkcyi ma być po prostu kluczem do podwoi, któreby nie chętnie się otworzyły dla autora *Nany*, a jednak nie skąpią nigdy uznania dla rzetelnego talentu.

W każdym razie, niniejsza książka jest próbą, zobaczmy czy szczęśliwą. Treść rozszerzona do objętości zwykłego tomu trzystostronnicowego, w kilku da się streścić słowach. Bezdzietna para hafciarzy przyborów kościelnych przygarnia sierotę, rozbitka ulicznego, nawiązanego pochodzeniem do tej strasznej dynastyi Rougon-Macquartów, których Zola spisuje roczniki, a która atawizmem dziedzicznym przekazuje najdalszym swym potomkom chorobę wieku, newrozę, bądź skłonnością do złego i zepsucia, bądź chorobliwym rozstrojem. W maleńkiej Anielce pokutują oba pierwiastki, ale cisza i cnota nowego otoczenia powoli przekształcają ją w aniołka. Jedno jej tylko dziedzictwo zostaje, spotęgowana czytaniem legendy złotej — exaltacya. To dziecię, rosnące w cieniu starej katedry, rozczytujące się w żywotach Świętych, nawyka uważać cuda za rzecz całkiem powszednią i bynajmniej nie nadzwyczajną. Gdy tedy nadchodzi dla niej samej pora marzeń młodości, roi sobie śmiało s e n czarowny, nie wątpiąc o jego spełnieniu. Jak w baśniach i legendach, spodziewa się nadejścia zaklętego królewicza, który też oczywiście niebawem się pojawia. Jest nim Felicyan, piękny młodzieniec z wysokiego rodu. Ojciec jego po roku miłości i szczęścia utracił namiętnie kochaną małżonkę, i został księdzem, aby ból swój ziemski nadprzyrodzonem ukoić poświęceniem. Synowi, jako przyczynie śmierci matki, długo darować nie mógł. Teraz, po wielu latach, zostawszy biskupem w Beaumont, przywołuje młodzieńca. Ten poznaje się z piękną hafciarką, która w nim widzi uosobienie swego s n u i urzeczywistnienie najcudowniejszych fantazyj. Ale z marzycielskich wyżyn rozbudza zakochanych twarda wola ojcowska. Dumnemu Hautecoeur nie wypada poślubiać bezimienną sierotę, inne czekają go związki, inną jest wola rodzica. Darmo Felicyan i Aniela próbują złamać opór nieubłaganego księcia Kościoła. Odpowiada on stale: N i g d y! Słowo to zadaje cios śmiertelny Anielce. Próbuje pracą stłumić i zmódz ból wewnętrzny. Daremnie, wątły organizm łamie się i więdnie. Na wiadomość, że ukochana jego syna umiera, wychodzi biskup z pałacu swego, spieszy do konającej, mięknie na widok podciętego kwiatka, a udzieliwszy jej ostatniego Pomazania, wzywa cudownej łaski i siły, nagrodą za wielkie cnoty i zasługi utrwalone w jego rodzie, aby wrócić zdrowie i życie martwej już niemal dzieweczce. Wstaje ona i budzi się, ale zaledwie na krótko. Za zezwoleniem przybranych jej rodziców i ojca Felicyana, dzień ślubu przyspieszonym zostaje, odbywa się z świetną okazałością, ale w chwili gdy marzenia szczęścia zamieniają się w rzeczywistość, nasycona duszyczka sennej dzieweczki ulatuje w pierwszym zachwycie osiągniętej szczęśliwości. Taką jest treść powiastki, która dałaby się ścieśnić w ramę jednorozdziałowej nowelki. Ale p. Zola chciał jej nadać szersze rozmiary i doniosłość manifestu, chciał mianowicie

udowodnić, że zna równie dobrze mieszkańców nieba, jak klientów *Assommoir'u*, że równie swobodnie obracać się zdoła wśród Świętych Pańskich, jak wśród bandytów rynsztokowych. A więc znalazły się tu długie, nieskończone kartki wyrwane z złotej legendy, w przygodnym romansopisarza nieładzie, a dodajmy, i uzmysłowieniu. Stworzył on rzekomo czysty utwór, lecz, jak to słusznie powiedziano, zapomniał, że czystość i skromność dziewicza ma swój właściwy język, a tego chyba p. Zola nigdy się nie nauczy, nawet gdy charaktery i sytuacye spróbuje przykroić na jakąś sztucznie idealną modłę. Zresztą to jego popisywanie się z hagiograficzną erudycyą przykre tylko i wstrętne sprawia wrażenie, jakoby jakiego świętokradztwa. Uczucie to potęguje się przy szczegółowym opisie udzielania ostatnich Sakramentów umierającej Anielce. Niby żadnego bezbożnego niema tu słowa, wierność opisu liturgii pilnie przestrzegana, a wciąż jednak przemaga tylko oburzenie na autora, który skalanemi rękoma śmiał się dotknąć tych świętości, zwłaszcza gdy w metodzie zastósowania cudownej Hautecoeurów siły, zatajony i zamaskowany Zola odsłania przyłbicę i wstrętniejszym się okazuje nierównie, aniżeli kiedy otwarcie tarza się wśród błota i kału. Co chwila zresztą, w ciągu przedłużonej z umysłu opowieści, zdybać można zdradzające się pióro i skłonności autora, aczkolwiek usiłuje on trzymać je na wodzy. Zanadto przesiąkł naturalizmem, aby się od razu potrafił otrząsnąć z niego i odpowiedni sobie styl ukształcić.

Ta zaś znajomość legendy świętych chyba nikomu zaimponować nie zdoła. Znany to proceder szkoły Balzaka, w której za mistrzem i uczniowie celują. Nie trudno zebrać plon specyalnych wiadomości z tego lub owego przedmiotu, i z pedantyczną próżnością popisywać się niemi. Przed napisaniem niniejszej powieści, Zola zajrzał do legendy Złotej i zaszedł do mistrzów haftu, aby się poznajomić z terminologią przeróżnych ściegów i rzemiosła. Tak samo sposobił się do każdego z swych romansów, a bliżsi rzeczy znawcy utrzymują, iż ogólnie i powierzchownie nabyte wiadomości bywają bardzo niedokładne, ograniczają się na dowolnie przykrojonych formułkach, nieraz mylnych i wadliwych. W *Germinal* mianowicie, zbyt krótki pobyt w kołach górniczych i kopalniach naraził autora na cały szereg bąków, podkopujących wiarę w jego wszechstronną erudycyę, z wniosków za jej pomocą wysnutych. I tutaj, dałoby się w jego niekończących się waryantach na motyw legendy Złotej nie jedną wykazać pomyłkę, okrom niesmacznego a uogólnionego kierunku uzmysławiania historyi świętych Pańskich.

Niesmak! oto przemagające wrażenie, z którem niniejszą zamyka się książkę. A teraz należałoby i artystycznie ją ocenić. Alboż niezaprzeczony talent zupełnie znikł w przygodnie i okolicznościowo przywdzianej szacie? Że osłabł, tego nikt nie przeczy, choć z innej strony kto wie, azali nie braliśmy naiwnie w innych utworach p. Zoli za siłę to, co było tylko brutalnością, i czy nas nie omylała bezwzględność języka, w której mniemaliśmy, że tkwi jakaś osobliwa jędrność i prawda!... Tu styl zmiękł i rozwodnił się w obcej sobie formie, a obawa przed realizmem długo uprawianem odjęła wszelką realność postaciom i charakterom. Unikając materyalizmu autor stworzył zupełnie nie materyalne, nie ludzkie istoty, chińskie cienie, poruszające się automatycznie, którym duszy i życia dać nie potrafił. Przesadzona idealność pozbawiła aktorów tej krótkiej powieści cechy prawdy. Manieryzm ogarnął całość, kusząc się o odwzorowanie miniatur zdobiących stare kancyonały.

A jednak razporaz spętany tą manierą talent wybucha po swojemu, zwłaszcza w malowniczych i głęboko odczutych opisach. Przypomnijmy sobie pyszne, choć do znużenia powtarzające się opisy Paryża w *Une page d' amour*, lub jaskrawe przedstawienia poszczególnych wystaw bielizny w *Au bonheur des dames*. Oczywiście, zmiana rodzaju nie mogła zupełnie pozbawić mistrza barwności właściwej jego palecie. I tu także znajdują się piękne obrazy, a *Leit motiv* tej symfonii wciąż nas odprowadza ku starej katedrze, na której tle a raczej w której cieniu rozgrywa się fabuła niniejszej powieści. Możnaby myśleć, iż genialność przyrodzona dała p. Zoli pewne jasnowidzenie znaczenia starych kościołów w ustroju miast średniowiecznych. Nikt piękniej nie zrozumiał ich charakteru jak chrześcijański Ozanam. Porównywując dwie epoki wskazywał ich różnicę: „Starożytni budowali ciasne świątynie, lecz olbrzymie cyrki, szerokie portyki, wspaniałe łaźnie, niekończące się kolumnady. Przeciwnie, miasto chrześcijańskie skupia się kornie w około katedry na jaką się wysiliło. Jeżeli się jeszcze na co obok kościoła zdobędzie, to chyba na szkołę, szpital lub gmach radny. Starożytni budowali dla używania i rozkoszy, w czem im chyba żadne późniejsze nie dorówna pokolenie. Nasze miasta zbudowane są dla modlitwy, pracy i cierpienia, a wiekuista wyższość chrześcijańskiej społeczności właśnie się na tem zasadza, iż umie ona modlić się, pracować i cierpieć.

Ale nawet komu drga w pamięci przypomnienie słów Ozanama, pięknem się wyda opis katedry górującej nad Beaumont i nad całym *Snem* p. Zoli: wprawdzie kładzie on nacisk na zacofanie miast kościelnych, które od kilkuset lat żyją jakoby skamieniałą przodków tradycyą i spuścizną, ale „katedra wszystko tłumaczy, wszystko stworzyła i wszystko też utrzymuje. Matką ona, królową, olbrzymią wśród mnóstwa drobnych budowli, podobnych do piskląt, przytulonych pod jej kamiennemi skrzydły. Niby serce, bije ona w środku miasta przewodniem tętnem, każda ulica wybiegająca żyłą, całe miasto jej tylko ożywione tchnieniem. Stąd zachowało dawną duszę swoją, zasklepiło się pobożnie w przeszłości, wionie dotąd niezwietrzałą wonią pokoju i wiary". Następuje opis wnętrza kościoła i zewnętrznych onego murów odmłodzonych bujną roślinnością. Czar stylu chwilami tak bywa wielkim, iż wszystkie ogarnia zmysły, zdaje ci się słyszeć daleki jęk organów, przyrównany do wzdychania wygnanej duszy, widzisz pomrok bocznych naw romańskiej świątyni, falę światła bijącą od wielkiego ołtarza, który płonie niby krzak gorejący ogniem dusz pobożnych, woń kadzidła podnosi się z kartek książki, dalekie pienia echem płyną, rozwija się procesya uroczystym pochodem... Niestety! raz po raz fałszywa nóta przerywa czar, budzi z zachwytu, przyzywa do rzeczywistości niby zgrzytem żelaza po szkle. Ten artysta malarz, czuły na zewnętrzne strony piękna chrześcijańskich obrządków, nie ma najmniejszego pojęcia o chrześcijańskiem życiu. Ten jego dumny biskup, walczący na przemian z przypomnieniami własnej przeszłości oraz pychą swego rodu, który gotów własnego syna poświęcić, w końcu ukojony i uspokojony, wraca... czy do dalszych prac apostolskich, do nowych walk wewnętrznych, do innych dzieł swego arcykapłańskiego zawodu?... Bynajmniej. Pogrąża się tylko w Bożem znicestwieniu, po chwili wzburzenia, oporu i ustępstwa, po epizodzie, który dostarczył treści nowemu romansowi p. Zoli, biskup ten, wedle własnych słów autora, *retourne au néant divin!* Takich frazesów w niniejszej książce znaleść można bez liku. A prócz frazesów jest jeszcze jeden

rdzenny i zasadniczy błąd, który całe wrażenie estetyczne podkopuje. Zola chciał swej powieści nadać naiwność starej legendy i miniaturową drobiazgowość dawnych mistrzów. Zmodernizował jednak spłowiały koloryt jedną całkiem nowoczesną barwą. Słusznie zauważono, iż przed Balzakiem żaden powieściopisarz nie wprowadzał pieniędzy w tok swego opowiadania, nie przyznawał im znaczenia ważnego czynnika w życiu ludzkiem. Ucznie i naśladownicy poszli dalej niż mistrz, i wzięli odwet za długie poniewieranie lub pomijanie mamony. I oto, nawet w tej sennej idylli Zola pochwycił i zachował rys epoce właściwy. Wykarmiona złotą legendą Anielka, nie darmo złotem haftowała na kosztownych materyach i złotogłowiach. Śni jej się królewicz dobry, piękny, ale i bogaty. Wśród najczulszych jej zaklęć i wyznań, zawsze pobrzmiewa ta strona doczesnego używania dostatków, nie bardzo idąca w parze z rozmiłowaniem dziewczęcia w dziejach świętych patronek. Przyzywa ona bowiem przedewszystkiem cudu, aby opływać we wszystkie ziemskie dobra i skarby, któremi święte pańskie wzgardziły.

Takich tedy sprzeczności i rozstroju nie brak w sztucznej tkance, która chyba nie starczy, aby wprowadzić autora w poważne nieśmiertelnych koło. Stworzył rzecz słabą i mało znaczącą, ciekawą tylko jako symptomat ewolucyi w mistrzu szkoły pornograficznej. Albo zwrot to stanowczy, początek nawrócenia ku wyżynom? nie mniemamy. Dzisiejsi pisarze, a zwłaszcza powieściopisarze nad wszystko baczą na interes. Zola miał sposobność przekonania się o stopniowaniu dochodów z swych pojedyńczych powieści, w miarę ich nieprzyzwoitości. Im więcej brudu i błota, tem więcej zysku i złota. Nie zaszczytne to dla czytającej publiczności doświadczenie zapewne rozstrzygnie o dalszej piśmienniczej p. Zoli działalności i kierunku. Chociaż bowiem na egzemplarzu *le Rêve*, jaki mamy przed sobą, już 29-ty tysiąc błyska, wątpliwem aby krociowe cyfry *Nany* i *Potbouilli* powtórzyć się miały dla ostatniej powieści. Będzie to tedy pod każdym względem zły interes i dla kieszeni autora i dla niedoszłych jego aspiracyj akademickich, i dla sławy literackiej, która nie urośnie bynajmniej skutkiem ostatniej publikacyi i płodu. Nie winą to zachowanej przyzwoitości, ale dalszy objaw dekadencyi, którą krytyka najmniej uprzedzona zaznaczyła już i w *l'Oeuvre* i w *la Terre*.

M.

Portraits littéraires. Par *Edmond Biré*. Lyon, Vitte et Perrussel 1888.

Krytyka literacka za dni naszych we Francyi dostarczyła najlepszych wzorów. Dość wspomnieć w pierwszym rzędzie: Sainte Beuve'a i Armanda de Pontmartin. Jeden lśniącemi i wykwintnemi pogadankami poniedziałkowemi, drugi sobotniemi gawędkami o czystym i szlachetnym kierunku, długo trzymali berło ocen, sądów lub potępień, ktorych skutku odwołać nie było podobnem, tyle zazwyczaj mieściło się trafności i sumienności w luźnym odcinku dziennikarskim. Dziś Sainte Beuve'a już niema, a ostatnie lata bezbożności i dworactwa podkopały pamięć jego talentu i zaufanie do jego pióra. Pontmartin żyje jeszcze, ale zestarzał się i dowcip rodzimy zbyt często zastępuje kalemburem. Czy dla tego niema już książąt krytyki we Francyi? Uchowaj Boże! Żyje ich niezgorszy zastęp, wśród którego rej wodzi Brunetière, nadworny Arystarch Bulosów, poważny i myślący pisarz, acz nieco skłonny do

przerafinowania zawisłej myśli, nie znającej błysków Sainte Beue'a i uśmiechów Pontmartina. Przystępniejszym, pewniejszym i poczytniejszym jest autor wizerunków, których tytuł wypisaliśmy powyżej. Pod względem talentu wprzężonego w służbę prawdy, p. Biré nie ma dziś bodaj sobie równego krytyka. Już przed kilkoma laty dał się poznać wyborną e k s e k u c y ą Wiktora Hugo, którego legendę naumyślnie przez wieszcza rozpowszechnioną, rozwiał niepowrotnie, wskazując za pomocą dokumentów, podrobienie familijnych papierów, tradycyi i stosunków poety, oraz onego liczne przeniewierstwa i sprzeczności. Tak samo opracował i Legendę Żyrondystów, dziś zaś pióro mu służy za taran rozbijający fałszywych bogów, i fałszywe wieku sławy literackie. Dostało się przedewszystkiem About'owi, dostało i p. Cuvillier Fleury, i Prosperowi Merim'u i wielu innym z epoki drugiego cesarstwa, które posiadało osobny talent poniżania i obniżania i serc, i głów, i piór, i charakterów spółczesnych. Zręczny krytyk własnemi ich słowy najbardziej umie kompromitować przedmioty swych moralnych sekcyj. I tak wolteryanin About, przedstawia nam się nie tylko jako towarzysz i pochlebca księcia Napoleona, lecz występuje tu z całym plonem zdań świadczących i o jego zaślepieniu politycznem i o braku rozumnego patryotyzmu. Już w r. 1860 zawodzi hymn pochwalny na cześć Niemiec, ciesząc się z upadku władzy świeckiej Papieża i z rozrostu protestanckich Prus, naprzeciw katolickiej Austryi. Straszno dziś czytać takie np. frazesy: „Niechże się Niemcy jednoczą, Francya bodaj nie ma gorętszego życzenia... Niech się zbiją w jedno, tak aby im nikt już poradzić nie zdolał". W pełnej dowcipu broszurze z r. 1861, szkicując nową kartę Europy, nawoływał Prusy do anneksyi, do rozszerzenia się, radził Rejentowi, późniejszemu zwycięzcy z pod Sedanu, aby dodawał Prusom ciała i znaczenia, n a u s z c z ę ś l i w i e n i e ś w i a t a i n o w y c h p r u s k i c h p o d d a n y c h. Wierne to echo pochlebstw słanych przez Woltera Fryderykowi II. Snadź uczeń godzien był mistrza.

Tak tedy owa zgubna polityka drugiego cesarstwa, która sprowadziła onego zwalenie się i upadek Francyi, znalazła w About'cie przesłańca i krzewiciela. Ów demokrata przedzierzgnięty w imperyalistę, z kolei na republikanizm nawrócony, doczekał się tu mistrzowskiego portretu. Nie jest pięknym, ale za to podobnym, jak i dalsze tej galeryi wizerunki. A jak autor bezstronnym być umie, dowodzi najlepiej studyum poświęcone księciu de Broglie, któremu przyznaje wielką wyższość, ubolewając tylko, iż do końca w nim tkwiły uprzedzenia i przesądy zaczerpnięte w młodości. Do lepszych rozdziałów należy ocena akademika, p. Cuvillier Fleury, mentora jednego z synów Ludwika Filipa, który rychło zapomniał dobrodziejstwa, jakiemi go obsypywała monarchia Lipcowa. Neofita republikanizmu próbował stwierdzić przybrane przekonania żarliwością kampanii prowadzonej przeciw wolności nauczania a następnie i przeciw Jezuitom, którym między innymi rzucił w oczy pamiętne słowa, odtąd wyrosłe na hasło ich zaciekłych przeciwników: „I cóż mi po waszych cnotach, jeśli z sobą niesiecie morową zarazę?" Biré znakomicie nicuje miłostki i nikczemne namiętności i podłe przychlebianie się pospólstwu piór zaprzedanych ulicy i goniących za popularnością. A tymczasem on sam ożywia te karty zapałem dla wszystkiego co piękne i dobre, i stale wskazuje, skąd dla Francyi, dla umysłów i serc zaświta zorza odrodzenia. Kto chce mieć dokładne wyobrażenie o przewodnich naszej epoki pisarzach francuskich, niech zawierzy

trafności określeń p. Biré, bo z wyjątkiem przesady w ocenie Fevala, któremu przyznaje więcej talentu, aniżeli go posiadał, rzadko znaleść tyle światłej nieomylności w krytyce, a tyle ciepła w śmiało wyznawanych chrześcijańskich zasadach.

Lucyan Siemieński darzy nas *Portretami literackimi*, które wskazują, czem takie wizerunki stać się mogą dla oryentowania sądu i zdania o piśmiennictwie i pisarzach. Księgarnia która wydała świeżo książkę p. Biré, gromadzi wciąż zasługi niepośledniego rodzaju. Jej to zawdzięczamy cenne wydawnictwo korespondencyi dr. De Maistre.

M.

Fréderic III. Par *Rennel Rood*. Paris. Ollendorf.

Książka opatrzona wstępem dostojnej wdowy szlachetnego cesarza, nie mogła z lepszem wyjść poleceniem. Tymczasem, prócz gorącego listu cesarzowej Wiktoryi, czytelnik nie znajdzie w tych kartach nic nowego, ani szczegółowego. Tytuł szkicu jak wraz przystoi do suchej biografii, złożonej z dat i faktów, niby pobieżny nekrolog na razie spisany i wydany. Po tyle zajmujących urywkach pamiętnikowych Fryderyka III, niniejsza książka podwójne przynosi rozczarowanie i bladością opowiadania prawdziwy sprawia zawód. Panegiryczny nastrój przemaga od początku do końca, osobny nacisk położony na przystąpienie zgasłego monarchy do masonów i pamiętną mowę wygłoszoną z tej okazyi przez sędziwego cesarza Wilhelma, wielkiego zwolennika tyle „wpływowego zakonu". Ludzkość dzielnego księcia Fryderyka podczas wojny francuskiej znajduje tu dosadne zatwierdzenie. Z pośród nie licznych rysów i przywiedzionych anegdot, jedna nas uderzyła. Kiedy po bitwie pod Reichshoffen książe objeżdżał pole walki zasłane trupami, z głębokiem w sercu życzeniem, aby już drugiej nie doczekać wojny, prosty żołnierz bawarski, do którego swoim zwyczajem uprzejmie zagadał, porwany zapałem zwycięstwa i uwielbieniem dla swego wodza z takim się wybrał komplementem: „Ach! żebyśmy to byli mieli nad sobą w 1866 r. Waszą Cesarską Wysokość, dopierożby to przeklęte Prusactwo byłoby od nas dostało w skórę!". W r. 1853 po zapaleniu płuc, które może rzuciło w męski organizm zaród późniejszej choroby, młody książe po raz pierwszy odwiedził miasto wieczne i zachował niezatarte a pełne uroku wspomnienie z swego pobytu w Rzymie; nie jednokrotnie przez Piusa IX przyjmowany, uległ czarowi tej niezrównanej postaci, a nawzajem i papież wyróżniał zawsze osobną sympatyą przyszłego władzcę Prus. O chorobie i śmierci cesarza Fryderyka znalazł się tu ustęp równie blady i jałowy jak cała ta książka, istna jednodniówka większą otoczona reklamą, aniżeli na to zasługuje.

M.

Fillion. Biblia Sacra juxta Vulgatae exemplaria Romana, divisionibus logicis analisique continua sensum illustrantibus.

Jeden z profesorów uniwersytetu Würzburskiego ks. H. Kilber T. J. wydał w zeszłem stuleciu bardzo dokładny rozbiór Pisma św.; lecz ta dokładność właśnie znacznie utrudniała ogólny pogląd i praktyczne korzystanie

z niegoż. Fillion wpadł na daleko szczęśliwszą myśl zaopatrzenia Pisma św. w znacznie krótszą i dokładną analizę, i według niej sam tekst podzielił. Zatrzymał wprawdzie podział na rozdziały i wiersze, ale w taki sposób, że ten jego podział chybił w zupełności celu. Prócz tego podzielił Fillion cały tekst na sekcye, rozdziały i ustępy, które służą dla ułatwienia poglądu na całość. Umieszczone na marginesie stronnic tytuły wskazują główną treść ustępów.

Pomimo, że wszelki podział, ściśle rzecz biorąc, jest tylko podmiotowym, jak to wskazują np. nasze rozdziały, możnaby jednak zarzucić Fillionowi, czemu dane miejsce tak a nie inaczej podzielił, chociaż z drugiej strony słusznie przyznać mu należy, że poszedł za przykładem pierwszorzędnych autorów, jakimi są: Drach, Kaulen, Knabenbauer, Rohling, Schanz, Schegg. Vigouroux i inni.

Miejsca paralelne oznaczył na dole stronnicy, a sam tekst wykonany jest według wydania Vercellońskiego. Na polu egzegezy używa Fillion, i całkiem słusznie, wielkiej sławy, którą zawdzięcza najpr. ód swoim „wykładom Ewangelii“, a potem i przedewszystkiem mapom do Pisma św. Niemniej i ta ostatnia jego praca zasługuje, aby ją szczerze i wszystkim polecić.

A. A.

Z pism czasowych.

Historisch-Politische Blätter o katolikach austryackich.

W ciężkiej dobie, jaką dziś Kościół przebywa, niema bardziej pocieszającego i piękniejszego widoku, jak te stronnictwa katolickie, broniące z nieugiętą stanowczością zasad kościelnych i wszystkiego, co się z temi zasadami wiąże. Nie wszędzie niestety! jednaką katolicy okazują stanowczość. Oto dziś niemieccy katolicy w swoim znakomitym organie *Historisch-Politische Blätter* dają twardą naukę swej braci austryackiej, z okazyi wniosku szkolnego księcia Liechtensteina.

Rząd Taafego, zdaniem *(Histor. p. B.)*, swojem zachowaniem się względem tego wniosku powinien był otworzyć oczy katolikom, w jakim znaczeniu on jest konserwatywny i w jakim stopniu Kościołowi przychylny. „Rząd dał przez to cenną wskazówkę stronnictwu „(katolickiemu), jednakowoż w tym wypadku nie bardzo poli„tycznie postąpił. Nie powinien on był dawać tej wskazówki sam „przez się, lecz raczej wywołać ją poza swoją sferą. Jeżeli mniemał, „że wniosek postawiony bez poparcia, sam się rozpłynie, to się

„bardzo pomylił. Stronnictwo nie mogło zezwolić, aby mu go z rąk „wydarto, jeśli nie chciało popełnić samobójstwa, a rząd przy ze- „braniu się rady państwa napotka na tę samą trudność, którą udało „mu się na krótki czas usunąć. Gdyby rząd zezwolił był na dysku- „syę nad wnioskiem zaraz po jego postawieniu, miałby daleko po- „myślniejsze szanse, aniżeli obecnie, ponieważ stronnictwo wówczas „wierzyło jeszcze ministerstwu Taafego i było przygotowane czynić „ustępstwa do ostatnich granic. Wiara ta od tego czasu albo za- „chwiała się, albo u niewielu tylko pozostała, opozycya się wzmo- „gła, chęć do układów zmalała".

Otóż, jeśli kiedy to teraz powinni katolicy z całą energią wystąpić w obronie własnych interesów, a ocucić się z ospalstwa i nie dopuszczać podobnych zdarzeń i bezkarnych zamachów przeciw katolicyzmowi, jakie się raz po raz ponawiają. Faktów takich wymieniają *Hist. Polit. B.* cały szereg. Między innymi zwraca uwagę i na sposób, w jaki z Schönererem postąpiono. „Jerzy Schönerer „wielce bezwątpienia chybił, i zarówno niesłusznie jak nieroztropnie „postąpił. Nie możemy mu przebaczyć tego oglądania się przez au- „stryacką granicę na Berlin, ani jego ubóstwiania Bismarka i nie- „mieckiego cesarza, ani wreszcie wrogiego dla Kościoła sposobu „myślenia, musimy jednak to zauważyć, że wielu ludzi słowa i pióra „miało udział w tej winie, nie doświadczając tej samej srogości „prawa. Musimy to otwarcie powiedzieć, że sędziowie wprawdzie „doskonale według ustawy orzekli, ale zaiste nie w równej mierze „z tem, co rzymskie prawodawstwo przez wyraz *aequitas* wyrażało; „rachowano się jak to dawniej w Austryi było w użyciu. Musimy „również do tego dodać, że policya w swoich środkach bezpieczeń- „stwa, które zarządziła przeciw wydarzyć się mogącym nieporząd- „kom, ten tak zwany *modus in rebus* i *certi denique fines* bardzo „przekroczyła, i w taki sposób je wydała, że w tem powinna była „się pohamować". A głębiej na rzecz patrząc, widzimy tu działanie rasy semickiej, która głównego swego przeciwnika chciała upokorzyć myśląc, że po strąceniu głowy, cały antysemityzm z widnokręgu zniknie. Tymczasem bardzo się mylą ci, którzy się przyczynili do tego surowego wyroku. Podstawy wzburzenia ogólnego są głębsze, aby je usunięcie jednego, wprawdzie z najzaciętszych przywódców, przytłumić mogło. Judaizm tak się dał we znaki wszystkim

swą prasą kłamliwą, panowaniem bankierskiem i zuchwałością, że na miejscu Schönerera setki innych się znajdzie przywódców antysemickich.

„Źli to Austryacy, dodaje powyżej przytoczone czasopismo, „którzy zbawienia monarchii gdzieindziej szukają, aniżeli powinni „i gdzie ono rzeczywiście znajduje się; i będzie tak na przyszłość, „jeżeli też oni mądrzej wezmą się do dzieła, w ten sposób będą ojczy„źnie jeszcze o wiele niebezpieczniejszymi. W oczach antisemitów zo„stał Schönerer prawie męczennikiem prawdy i swego świętego „przekonania. Przez to nic nie osiągnięto. Sprawa Schönerera nie „dorzuciła żadnej nowej gałązki wawrzynu do wieńca sławy naszej „polityki rządowej, a posłużyła tylko do tego, aby narazić rząd, „parlament i sąd, wbrew wszelkiemu prawu, na szkodliwe potwarze „i haniebne podejrzenie".

Ale cięższy jeszcze zarzut podnosi autor tego artykułu w sprawie Uniwersytetu Salzburskiego. Komitet mającego budować się Uniwersytetu starał się o pozwolenie na loteryę, z której dochód miał być obróconym na budowę. Prośbę odrazu odrzucono, podczas gdy równocześnie żydom w Gracu na podobną loteryę w celu wybudowania synagogi pozwolono. „Salzburg nic nowego nie żąda „ani nie życzy sobie, jak tylko przywrócenia uniwersytetu założo„nego i utrzymywanego przez swoich arcybiskupów i książąt. Hi„storya uczy nas, że kraje i ludy, które na drodze pokojowej, przez „układ lub spadek przeszły w ręce innych panów, spodziewały się „zawsze dobrego i przyjaznego obchodzenia się, a historya specya„lna domu austryackiego dowodzi dalej, że w Austryi uwzględnia„nie tego rodzaju było w zwyczaju. Sądzimy, że i w obecnym wy„padku monarchia powinna pozostać wierną dawnej austryackiej „tradycyi, tak samo jak ludność salzburska tronowi austryackiemu „zawsze wierną pozostała; uważamy to jako moralny, jeżeli już nie „jako prawy, obowiązek rządu, małemu krajowi dopomódz do odzy„skania jego dawnej sławy i utraconego klejnotu. Z mniejszą jeszcze „goryczą przyjęliby katolicy tę odmowę, gdyby nie udzielono takiego „pozwolenia żydom. Fakt ten okazuje się katolickim petentom, jakby „kamień probierczy tego poważania, jakiem się cieszy żydostwo, a ma„łych sympatyj, jakie w pewnych wysokich sferach za katolikami prze„mawiają. Prawdopodobnie jednak potomkowie Sema wybrali sobie

„rzeczywiście lepszą cząstkę w stolicy styryjskiej, wybierając sobie „orędownika, który bliższym jest serca ludzi wpływowych aniżeli salz- „burscy mężowie zaufania. W przeszłości styryjski namiestnik „obracał się niezaprzeczenie w sferze liberalnej, a dowodów jego „liberalnego sposobu myślenia wcale nie brak. Niema też nic na- „turalniejszego i zrozumialszego nad to, że się wyznawców swych „zasad chętniej i więcej słucha, aniżeli ludu przeciwnego zdania, „i wierzymy, że ministeryum, gdyby się rzecz tak miała, nie po- „trzebuje żadnego uniewinnienia. Zawsze jednak jest to godnem „pożałowania, protegowanie bowiem jednych ze szkodą drugich po- „ciąga za sobą rozdrażnienie".

Ale co się tu skarżyć na wysokie sfery, kiedy sami katolicy tak mało rozumieją swoje obowiązki. Dowodem tego jest nieprawdopodobny, a jednak rzeczywisty wybór Suess'a na rektora uniwersytetu wiedeńskiego.

„Znanym jest Suess z częstych napaści na Kościół katolicki „i fałszowania historyi, aby odstępstwo Juliana cesarza i jego prze- „śladowanie chrześcian w korzystnem świetle przedstawić. Prawie „na każdej sesyi parlamentu napadał on na przewódców Ko- „ścioła lub jego sprawy. A jednak taki to człowiek okazał się go- „dnym zaufania, aby rządy uniwersytetu sprawował, tego uniwer- „sytetu, którego kiedyś profesorowie powinni byli składać przed „objęciem katedry wyznanie wiary katolickiej i bronić dogmatu „Niepokalanego Poczęcia N. M. P. Dziś protestant Suess nie tylko „jako profesor tego uniwersytetu występuje, lecz już na kiero- wnika całej tej szkoły wybranym zostaje. Smutny to obraz ducha tego uniwersytetu, skoro, wstyd powiedzieć, a jednak jest prawdą, profesorowie teologicznego wydziału głosy swe dali na rektora przeciwnikowi katolickiej wiary.

„W tym wyborze rząd nie brał udziału, z bolem tylko może „potwierdził dzieło wyborców. Tak więc im to podziękować można, „że zakład rodziny Habsburskiej, dzieło pobożnych książąt, o które „Ojciec św. tak bardzo się starał, dziś traci swój charakter kato- „licki i rządom niewiernych się oddaje". Tacy to są obrońcy, przed- stawiciele i nauczyciele prawd wiary katolickiej na uniwersytecie wiedeńskim, którzy dopomagają do wyboru na rektora uniwersy- tetu najzaciętszego wroga Kościoła katolickiego. Jeżeli coś podo-

bnego dzieje się na zielonem drzewie kapłańskiem, czegóż oczekiwać możemy od obojętnych, liberalnych, lub potęgi żydowskiej?

Po omówieniu sprawy ks. biskupa Strossmayera, którego postępowania bynajmniej nie pochwala, lecz tłumaczy tem, że był to wyraz ciemiężonego narodu w swych uczuciach narodowych i religijnych przez ministra Molivina, kończy słowami: „Ministerstwo „Taafego tak długo tylko dotychczasowy kierunek polityczny „zachować zdoła, dopóki mu nie będzie inny narzuconym. Koalicyi „wszystkich konserwatywnych żywiołów zachodniej połowy monar„chii nie będzie się mogła oprzeć i nie będzie chciało. Fakta prze„mawiają najdokładniej, że czas kompromisów i uległości przemi„nął. Naszym to jest obowiązkiem, abyśmy się okazali godnymi „poważania, abyśmy rząd moralnie zmusili, aby nie wzmacniał i nie „zasilał szkoły bezwyznaniowej; podczas, gdy my zmierzamy do „przywrócenia chrześcijaństwa w nauce ludu, aby rząd nie zachowy„wał się w ten sposób jakby nic nie wiedział o konserwatywnych „i religijnych dążeniach katolickich przedstawicieli ludności. Nie „ganimy rządu, że patrząc na rozdwojenie i dziwną usłużność kon„serwatystów, zechciał ponad niemi swojemi drogami chodzić. Na„szą winą było już od początku, że zostawiono doradzcom korony „możność wyboru, że większość przed mniejszością uchyliła głowę „i swoje przekonania jak przemycony towar troskliwie chowała „przed obcem obliczem. Ta polityka doprowadziła nas do tego pun„ktu, na którym po 10 latach usilnej parlamentarnej pracy stoimy“. Kiedy to *Hist. polit. Bl.* pisały, jeszcze nie wiedziały o nieudanym kongresie katolickim w Wiedniu.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zakończenie jubileuszu papieskiego. — Encyklika „Exeunte jam anno“. — Mowa Ojca św. do kollegium kardynalskiego. — Okólnik Crispiego o kwestyi rzymskiej. — Telegramy Fazzariego. — Głosy włoskich liberałów o konieczności pogodzenia się z Papiestwem. — Antireligijne manifestacye. — Dwie krucyaty: przeciw handlowi białymi niewolnikami w Ameryce i handlowi murzynami w Afryce.

Jubileusz Ojca św., który okazał tak jawnie i wspaniale, jak ścisłymi, nierozerwalnymi węzłami złączony jest Kościół cały z widomą swą głową na ziemi, zakończył się, podobnie jak rok temu się rozpoczął, uroczystem nabożeństwem w bazylice św. Piotra. Około 60,000 wiernych wzięło udział w tej uroczystości, odmawiając wspólnie różaniec, łącząc swe modlitwy z zaintonowanym przez samego Papieża *Te Deum laudamus*. Zebrane tłumy, które nie mogąc się pomieścić w bazylice, zapełniły plac św. Piotra, a zapał między nimi panujący tak był wielki, tak żywo się objawiał, że najnieprzyjaźniejsze nawet głosy nie odważyły tym razem odezwać się z wątpliwościami, nie próbowały, czy nie uda się zmniejszyć i osłabić doznanego wrażenia. „Za zjawieniem się Papieża, pisze *Opinione*, cała świątynia zabrzmiała oklaskami i okrzykami“. „Wyniosła postać Leona XIII, ciągnie ten opis *Popolo Romano*, przejąć musiała czcią nawet profanów“. „Cała uroczystość odbyła się świetnie, stwierdza *L'Italie*, tem bardziej, że nigdy jeszcze Waty-

kańczycy nie potrafili utrzymać tak znakomicie porządku, jak tym razem". „Pod koniec uroczystości, notuje *Tribuna*, marzeniem i staraniem wszystkich zebranych było ujrzeć raz jeszcze Papieża, a gdy orszak ruszył z miejsca, rozległ się jednocześnie ze wszech stron przeciągły okrzyk: „Niech żyje Papież!".

U bram św. Piotra rozdawano wychodzącym przetłumaczoną na język włoski encyklikę Leona XIII: *exeunte jam anno*, wydaną z powodu zakończenia roku jubileuszowego. Czem stał się ten jubileusz pięćdziesięcioletniej naszej służby kapłańskiej, pyta Ojciec św.; jubileusz zrodzony z wypadku, który, o ile nas samych osobiście dotyczy, nie jest ani czem wielkiem, ani nawet zbyt nadzwyczajnem? Stał się znakiem i dowodem, że wszędzie serca i umysły ku Namiestnikowi Chrystusowemu są zwrócone; że ludzie, wśród tylu nieszczęść do koła cisnących, spoglądają z ufnością na Stolicę Apostolską, jako na stale płynące, niczem nie zamącone źródło zbawienia... W powszechnem tem usposobieniu serc radujących się, że mają sposobność uczcić w szczególny sposób rzymskiego Papieża, dopatrujemy się słusznie miłosiernego zrządzenia Opatrzności Bożej, która często zwykła, a sama jedna może posługiwać się małemi rzeczami dla zdziałania wielkich. Chciała podobno Opatrzność wzmocnić wiarę, rozpalić miłość cnoty między chrześcijańskimi ludami; bo wtedy dopiero cześć dla Stolicy Apostolskiej zupełną będzie i ze wszech miar doskonałą, jeśli połączywszy się z wykonywaniem cnót chrześcijańskich poprowadzi dusze do zbawienia. Jako ojciec dzieci swe z całego serca miłujący, tak my dzisiaj do wszystkich chrześcijan przemawiamy; tak prostemi słowami napomnieć każdego z nich pragniemy, aby poczciwie, świętobliwie żył. A jeśli kiedy, to dziś obowiązkiem naszym napomnienia te powtarzać, gdy ze wszech stron rosną pokusy, mnożą się zachęty do grzechu: niecne, rozpustą przesiąknięte teatra; książki i gazety w obronie występku pisane; sztuki przemienione w doradczynie i służebnice namiętności. W szkołach publicznych władzy kościelnej odezwać się nie wolno. Racyonalistyczne, materyalistyczne, ateistyczne nauki zrodziły socyalizm, komunizm, nihilizm. Coraz silniejsze wichry i burze społeczeństwem miotają, a burze te nie uciszą się, tylko w imię Chrystusa; narody do siły i chwały nie wrócą, dokąd w prostocie, z wielką miłością nie wrócą do

ewangelii. Módlmy się o to, bo wszystko sobie modlitwą szczerą, gorącą, pełną ufności możemy wyprosić. Przedewszystkiem niechaj się modlą i pracują nad wykorzenieniem błędów kapłani, aby pamiętając na olbrzymie zadanie, które Chrystus im zlecił, stali się rzeczywiście solą ziemi, światłem świata. ...W roku ubiegłym, z okazyi jubileuszu naszego wiele okazało się znaków odradzającej się wiary. Daj Boże! aby iskra ta w wielki płomień się zmieniła, który, spaliwszy same korzenie występków, utworzyłby drogę do zmiany obyczajów, do cnót zbawiennych. „Co się nas tyczy, stojąc „wśród tak strasznej burzy u steru mistycznej łódki Kościoła, umysł „i serce podnosimy do Boskiego Sternika, który, choć niewidzialny, „sam łódką kieruje. Widzisz Panie, iż zewsząd powstały wichry, „morze się burzy, bałwany się pienią. Rozkaż, błagamy, bo sam „jeden rozkazać możesz i wichrom i morzu. Wróć rodzajowi ludz- „kiemu prawdziwy pokój, którego świat dać nie może... Przyjdź „królestwo Twoje, a niechaj i ci, którzy prawdy i zbawienia zda- „leka od Ciebie, z wielkim trudem napróżno szukają, zrozumieją „nakoniec, iż poddać Ci się i służyć Ci powinni“...

Rzewną tę, prawdziwie „z ojcowskiego serca“ płynącą encyklikę, najprostsze, dla wszystkich niezbędne prawdy przypominającą „słowami prostemi“, podpisał Ojciec św. w sam dzień Narodzenia Pańskiego, „w stajence u żłóbka — jak prawdziwie się wyrażano, — natchnienie czerpiąc“. Tegoż samego dnia w mowie wypowiedzianej do kolegium kardynalskiego nakreślił Papież smutny obraz coraz cięższych, Kalwaryę żywo przypominających czasów, wymierzonych przeciw Kościołowi i Stolicy św. „W tej chwili bar- „dziej niż kiedykolwiek toczy się systematyczna walka przeciw „wszystkiemu, co jest i nosi na sobie katolicką cechę. Niema ani „jednej instytucyi tego rodzaju, z którą nie wystąpionoby do walki „bądź z prawodawczym, bądź administracyjnym orężem. Nawet po- „bożne fundacye przeznaczone na rozszerzanie w dalekich krajach „dobrodziejstw wiary wespół ze sławą włoskiego imienia, ostać się „nie mogą; napróżno chronią się pod opiekę najświętszych praw, „uznanych przez najwyższe trybunały; bo w tejże chwili nowo „uchwalone prawo, zwycięstwo w klęskę zamienia. Nawet przed- „sięwzięcia zasługujące na wszelkie poparcie, choćby dla samego „honoru ludzkości i cywilizacyi, jak np. wojna wypowiedziana nie-

„wolnictwu i sprzedaży murzynów, spotykają się z podejrzeniami „i niechęcią, dla tego jedynie, że Kościół i Papież je popiera. „... A skąd i dlaczego to wszystko? Prawdziwą przyczyną jest „nienawiść sekt dla Kościoła katolickiego, boskiego jego posłanni- „ctwa i duchownej władzy jego głowy. Wielu z naszych wrogów „jasno i przy niejednej sposobności wyznało tę prawdę; chytrzejsi „jednak, pragnąc ukrywać jeszcze bezbożne swe plany, przywodzą „wciąż jako powód niecnych swych czynów, konieczność bronienia „państwa przeciw Papieżowi, którego przedstawiają jako wroga „Włoch. ... Próżnem byłoby staraniem chcieć przekonać ludzi wie- „dzących, że się mylą, a chcących się mylić. I wrogowie nasi ro- „zumieją dobrze, jakie pragnienia i uczucia we Włoszech przewa- „żają; rozumieją i przeto składaniem z urzędów, groźbami, wszel- „kiego rodzaju jawnemi i tajnemi przeszkodami, nowemi wreszcie „umyślnie w tym celu ułożonemi prawami, do tego jedynie dążą, „aby przytłumić głos katolików włoskich, aby na przyszłość prze- „szkodzić wszelkiej manifestacyi z ich strony za sprawą papieską. „Ale wbrew temu wszystkiemu, katolicy włoscy, — pewni tego „jesteśmy — sprawy tej nie opuszczą. Choć wrogowie nasi po- „tężni, choć zdawaćby się mogło, że bieg wypadków planom ich „sprzyja, — nie należy tracić ufności i chrześcijańskiej odwagi. Przy- „szłość spoczywa w ręku Bożem..."

Na silne te, „potężne" słowa, jak sam nawet *Popolo Romano* przyznać musiał, „wielką miłością dla Włoch ożywione", jak przy- znała znowu *Opinione*, urzędowa prasa włoska odpowiedziała obel- gami. „Świat już przyzwyczaił się do tych jeremijad", woła *Tri- buna*, a *Riforma* wtóruje jej w grubiańskich wyrazach natrząsając się „ze zwykłych reklamacyj na temat władzy doczesnej". — „Kwe- stya rzymska nie istnieje", powtarzać zaczęły starą piosnkę organa Crispiego; usiłując znowu piosnką tą, na wszystkie tony od tylu lat bezskutecznie powtarzaną, przygłuszyć wrażenie, wywarte mową papieską, a zarazem uciszyć nie bezpodstawną podobno pogłoskę o okólniku Crispiego do ambasadorów włoskich u mocarstw zagra- nicznych, w której prezydent włoskiego ministeryum żalić się miał na coraz liczniejsze manifestacye za władzą doczesną, domagać od zaprzyjaźnionych rządów, aby manifestacyom tym choć w pewnej mierze położyły tamę. *Riforma* za przeczyła wprawdzie tej pogłosce,

o której szeroko zwłaszcza rozpisały się najpoważniejsze pisma francuskie ale zaprzeczenie to w długich a niejasnych frazesach sformułowane nikogo nie przekonało. „Rząd włoski, pisała *Riforma*, nie zwykł zajmować się polityką obcych państw; niech sobie zagraniczni klerykali mówią i uchwalają, co im się podoba"; — a skądże jednak, zapytano powszechnie, zrodziły się przeszkody postawione kongresowi katolików austryackich; dla czego niespodzianie rząd hiszpański zajął się tak żywo dawno już zapowiedzianym wiecem katolików w Madrycie, i w takim tylko podobno razie obiecał wiec ten tolerować, jeżeli „kwestya rzymska" wykluczoną zostanie z obrad; skąd i dlaczego belgijski minister spraw zagranicznych, książe de Chimay, wystąpić miał nagle, wobec włoskiego ambasadora, — jak z tryumfem donosi *l'Italie* — z przeprosinami za zbyt żywe przeciw kwirynałowi wymierzone mowy na zgromadzeniu katolików w Liège? „P. Crispi, odpowiada *Temps* nie bez „ironii, kazał kilkakrotnie już zaprzeczyć wysłania przez siebie „okólnika o kwestyi rzymskiej; ale pomimo tego zaprzeczenia, bar„dzo wiele dzienników upiera się przy swem twierdzeniu, zape„wniając, że okólnik taki istnieje, nosi datę pierwszego grudnia „i dzieli się na dwie części... W pierwszej prezes włoskiego mi„nisteryum rozwodzi się nad prądem powstałym za władzą do„czesną Stolicy św., a stwierdzając siłę tego prądu, nakazuje swym „przedstawicielom, aby dali do zrozumienia gabinetom zagranicz„nym, że rząd włoski szanuje prawa gwarancyjne, ale dozwolić nie „może na poruszanie pytania tego rodzaju. W drugiej części p. „Crispi omawia kwestyę ewentualnego wyjazdu Papieża i daje po„znać, jak bardzo chciałby się dowiedzieć, czy i jakie sekretne „układy toczą się w tym względzie między Watykanem a dworami „zagranicznymi".

Rządowy dziennik francuski, pisząc powyższe słowa, miał widocznie przed oczami okólnik Crispiego i cieszył się, że niemiłemu sobie ministrowi spłatać może figla. Zresztą brutalność, z którą Crispi wystąpił i występuje przeciw papiestwu, jemu samemu najcięższe ciosy zadaje, budząc nietylko za granicą, nietylko między włoskimi katolikami, ale i w szeregach włoskich liberałów, bardziej swój kraj niż sektę miłujących, aż zbyt usprawiedliwioną niechęć; zmuszając do stawienia pytania: Dokąd zajdziemy idąc dalej tą drogą? Py-

tanie to jasno i bez ogródek postawił w Medyolanie w obec licznego zgromadzenia wyborców deputowany *Colombo*, a w izbie poselskiej z bezprzykładną dotąd śmiałością w dziejach włoskiego parlamentaryzmu deputowany *Bonfadini*, który otwarcie wyznał, że „nieistniejąca“ kwestya rzymska jest tą wciąż jątrzącą się raną, która siły państwowego organizmu pożera, prowadzi politykę na najniebezpieczniejsze tory, zmusza do ciągłego używania rujnujących lekarstw, coraz kosztowniejszych a żywotne siły wyciągających plastrów. „Od chwili wejścia do Rzymu, jeden tylko mieć musie„liśmy jasno postawiony cel zagranicznej naszej polityki: stać po „stronie mocarstw, które absolutnie nie mogły zmienić kwestyi „rzymskiej w kwestyę europejską. Takiej polityki trzymał się *Vi„sconti-Venosta* i *de Robillant*. Jak Niemcy spoglądają wciąż na „Ren, Austrya na Dunaj, tak Włochy spoglądają na Tyber“.

Lecz jeśli to rana, myśleć należy o jej uleczeniu. Oczywistą tę prawdę przypomina raz po raz swym ziomkom, głośny *Fazzari*, który mimo wszelkich przeciwnych oznak nie przestał wierzyć w możliwość zgody między Watykanem, a Włochami, a dopomożenie do przeprowadzenia tej zgody położył sobie za cel życia. Z okazyi Nowego Roku wysłał Fazzari następne telegramy z życzeniami dla króla Humberta i Papieża:

Do J. Eminencyi kardynała *Rampolli* — w Rzymie.

Proszę W. Eminencyę wyrazić J. Świątobliwości Papieżowi Leonowi XIII wespół z najpoddańszemi życzeniami noworocznemi, silne moje przekonanie, że największa część ludności tak bardzo przezeń ukochanych Włoch oczekuje od niego, jako od męża powołanego przez Opatrzność do rządzenia sumieniami katolickiego świata, ostatniego słowa pokoju, którego nieobrachowanych dobrodziejstw nie mogłyby w takim razie w żaden sposób na długo zatamować nieszczęsne usiłowania drobnej garstki sekciarzów.

Achilles Fazzari.

Do J. E. Generała *Passi*, generała adjutanta J. Królewskiej Mości — w Rzymie.

Proszę W. Ekscellencyę wyrazić J. Król. Mości wespół z najpoddańszemi życzeniami noworocznemi i to życzenie, ażeby w bieżącym roku dla dobra Włoch i nieśmiertelnej chwały Humberta I, udało się przeprowadzić pojednanie pomiędzy państwem a Kościołem, które, jak mniemam, pożądanem jest przez największą część wiernych jego poddanych.

Achilles Fazzari.

Leon XIII odpowiedział za pośrednictwem kardynała Rampolli następującym telegramem: „Ojciec św. przyjął do wiadomości

uczucia w telegramie twym wyrażone i przysyła ci szczególne swe błogosławieństwo". „Czy to nie sprzeczność, zapytała *Fanfulla;* jakże Leon XIII domagać się może zwrotu władzy doczesnej a jednocześnie obdarzać błogosławieństwem swem tego, który możliwości tego zwrotu nie przypuszcza. Nie — to nie sprzeczność odparł Fazzari, w komentarzu, na który każdy katolik bez wahania się podpisać może: „Pragnę, aby Papież pobłogosławił Włochom „zjednoczonym, ale nie prędzej, aż otrzyma to, co uważa za konie„czne dla zupełnego a wolnego wykonywania swego najwyższego po„słannictwa. Dopiero kiedy Papiestwo w takich znajdzie się warun„kach, wtedy dopiero będzie w stanie użyczyć monarchii niezbędnej „pomocy do otrząśnięcia się z pod pływów, które, zdaniem mojem, „nie mogą wyjść na korzyść ostatecznemu zjednoczeniu się ojczy„zny, a nadto przeszkadzają jej do osiągnięcia możliwego skądinąd „stopnia pomyślności. Oto, czego pragnę i nad czem nie przestanę „pracować dla wielkości i sławy naszego kraju". Ale w jakiż sposób, zapytała znów od siebie *Fanfulla,* da się załatwić nieszczęsny ten, zgubny spór między Włochami a Stolicą św.; a na pytanie to odpowiada sama prawdziwie rozumnie i patryotycznie:

„Nie naszą rzeczą rozwiązywać to zagadnienie. Polityczna mądrość i zaznajomienie się z dyplomacyą, które pouczyły Rosyę, jakich użyć środków do porozumienia się z Kościołem katolickim, powinnyby i naszym mężom stanu podać odpowiednie środki do dopięcia tego samego celu. A niechaj nikt nie mówi, że nie mamy racyi zważać na to, co się dzieje, jakie myśli, zamiary, plany krzyżują się i zwyciężają w Watykanie. Jeśli potężniejsi od nas tem się niepokoją, to znak dla nas, że i my musimy się mieć na baczności, bo jeżeli zagraniczne państwa starają się o przyjaźń papiestwa ze względu na swoją korzyść, lub naszą szkodę, to my powinniśmy poruszyć wszystkie sprężyny, aby pozyskać sobie w Papiestwie sprzymierzeńca dla dzieła pokoju i wielkości Włoch zjednoczonych.

W inny sposób z nietajoną wcale niechęcią dla samejże instytucyi Papiestwa, ale dążąc w gruncie do tego samego praktycznego celu załagodzenia, jeżeli już nie radykalnego usunięcia coraz bardziej zajątrzającego się sporu, między Włochami a Papiestwem, wystąpił *w Nuova Antologia* głośny Rafael de *Cesare,* znany pod przybranem nazwiskiem *Simmaco.* „Niech rząd włoski ma się na baczności, ostrzega i błaga liberalny pisarz, bo radykalizm go zalewa i pędzi przeciw własnej jego woli i interesowi, i tak daleko i w tak niebezpieczne wiry już zapędził, że nie wiedzieć

czy i jaką siłą potrafi się powstrzymać w tym szalonym, zawrotnym pędzie. Spodziewać się należy, że Papież Rzymu nie opuści, ale jeśli opuści? Najżywsza nawet wyobraźnia nie zdolna dziś wysnuć wszystkich następstw, które fakt ten, pierwszorzędnej wagi w historyi świata, musiałby za sobą sprowadzić... Wszak dziś już rząd włoski zebrać musiał wszystkie swe siły, użyć wszystkich środków, aby stawić czoło rosnącej w Europie i w Ameryce papistowskiej fali; siłą wypadków wciągnięty został w decydującą walkę, której ostatecznych rezultatów nie łatwo przewidzieć. Ostatni już czas do zatrzymania się na tej drodze, wiodącej równie Włochy, jak i papiestwo, do przepaści, na której dnie, nikt nie wie, co się ukrywa".

Istotnie, każdy patryota włoski, którego namiętność nie oślepiła, z przestrachem patrzyć musi na coraz bardziej pod rządami dawnego Garybaldczyka wzmagający się, szeroką bramę najsmutniejszym nadużyciom otwierający radykalizm. Minister oświaty *Boselli* zadekretował w pierwszych dniach grudnia, nie odniósłszy się nawet do parlamentu, lecz prostym tylko ministeryalnym reskryptem, iż odtąd nie wolno wybierać księży na inspektorów szkół municypalnych, i że księża nie powinni na przyszłość obecnymi być przy egzaminach z religii w szkołach elementarnych. *Crispi* nie chcąc ustąpić swemu koledze w okazywaniu nienawiści do wiary, pragnąc jako „dobry mason, — jak wyraża się liberalna „*Gazzetta Nazionale*, nietylko usunąć wszelki wpływ klerykalny „na instytucye świeckie, ale zarazem zgnieść Kościół, a jeśliby się „udało, wykorzenić religię" — dozwolił mimo licznych protestów na przedstawienie w teatrze *Manzoni*, ohydnej sztuki *Goveana* „Jezus Chrystus", w której Zbawiciel świata przedstawiony jest jako niecny szalbierz. Jakże później się dziwić, że młodzież pozbawiona systematycznie religii, a nienawiścią dla niej po teatrach i gazetach karmiona, dopuszcza się figlów i ekscesów, które prawdopodobnie i Crispiemu nawet nie bardzo są na rękę. Tak na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia podłożono w kościele Najśl. Serca, św. Augustyna i w *Gesu* papierowe bomby i petardy, które wybuchając przeraziły nagromadzone tłumy, a łatwo stać się mogły przyczyną niejednej choroby i śmierci. Ostatnie to podobno było echo manifestacyj wyprawionych w połowie grudnia na cześć Crispiego, na hańbę Watykanowi, z powodu uchwały rzymskiej

rady miejskiej, która w nowym swym składzie zebranym za bezwzględnem poparciem rządowym, uchwaliła nakoniec wystawić pomnik wskrzeszonemu w sekciarskich celach z tylu wiekowego zapomnienia apostacie: *Giordanowi Bruno*. Zaledwie ówczesny prosyndyk, margrabia *Guiccioli* oznajmił wynik głosowania, cała sala rozbrzmiała okrzykami licznie zgromadzonych studentów: „Niech żyje liberalna rada miejska! Niech żyje Giordano Bruno! Precz z księżmi! Precz z klerykałami!“ Nie łatwo było opróżnić salę; poczem manifestanci udali się w zbitych szeregach na *Campo dei Fiori* zatrzymując się po drodze przed kościołem *Gesù*, propagandą, austryacką ambasadą, wołając ile sił starczyło: „Precz z Watykanem, precz z Austryą, śmierć Jezuitom!“ Restaurator *Pierotti* wygłosił piorunującą mowę: „Na tem miejscu, na którem Papieżekaci spalili żywcem *Giordana Bruno*, nolańskiego męczennika, odkryjmy głowy nasze, bo to miejsce święte. Schylmy ze czcią czoła przed ziemią przesiąkniętą krwią (!) wielkiego męczennika, który stał się zorzą ery wolnej myśli“. Mowa wywarła pożądany skutek; między słuchaczami odezwały się głosy: „Na Watykan!“ szczęściem ktoś rozsądniejszy prawdopodobnie z ramienia rządu nasłany, powstrzymał zbytni zapał, tłumacząc: „Jeszcze czas nie przyszedł, pójdziemy tam później!“ a zebrani uspokojeni tem zapewnieniem, rozeszli się wśród okrzyków przeciw „dzikim bestyom“ watykańskim, — „w wzorowym porządku“, jak zupełnie na seryo pisały organa rządowe.

Kiedy tak fakta, od wszelkich skarg wymowniejsze, głośno stwierdzają prawdziwość słów papieskich: na wszystkich polach toczy się we Włoszech systematyczna, w środkach nie przebierająca walka przeciw Kościołowi i widomej głowie Kościoła“; to jednocześnie cały szereg niemniej wymownych faktów świadczy, jak z głębi serca i przekonania Papież przemawia, gdy raz po raz wyraża głęboką swą miłość dla rodzinnego swego kraju, jak w oczy bijącą jest prawdą, że najlepszym przyjacielem, największym dobroczyńcą Włoch, jak zawsze był, tak jest obecnie Kościół i papiestwo. Stara ta prawda, którą Ojciec św. i w dawniejszych i w nowszych swych encyklikach z taką zawsze siłą podnosił, okazała się w nowem świetle jak w błogosławieństwie przesłanem *Fazzari'emu*, tak zwłaszcza w ojcowskiem zajęciu się setkami ty-

sięcy nieszczęśliwych emigrantów włoskich, szukających w Ameryce chleba, a znajdujących — podobnie jak nasi polscy wychodźcy — zbyt często nędzę materyalną, a niemal zawsze moralną.

Kiedy w r. 1876 wyjechało do Ameryki równie południowej jak i północnej 19.610 włoskich wychodźców, to w r. 1885 cyfra ta wzrosła do 72.490, a w roku ostatnim o wiele przekroczyła 100.000. W jednem tylko *Buenos-Ayres* osiedliło się około 150.000 Włochów, wypędzonych z ojczyzny coraz cięższymi podatkami, przywabionych obietnicami ajentów emigracyjnych, którzy, ograbiwszy bez litości swe ofiary, zostawiać je zwykli następnie na pastwę losowi. Cóż mówić dopiero o nieszczęśliwych, rozrzuconych w najopłakańszych warunkach, bez nadziei pomocy po puszczach Meksyku, Brazylii, Peru, Chili? Biskup z Piacenzyi, *Scalabrini*, który wzruszony tą straszną niedolą tylu tysięcy swych ziomków, rzucił przed rokiem głośny okrzyk: „Ratujcie cierpiących braci!“ opowiada w broszurze swej „Emigracya włoska w Ameryce“ przerażające szczegóły, zbyt żywo niestety! przypominające smutne dzieje tylu naszych polskich, równie zwiedzionych, z głodu nieraz przymierających „białych niewolników“. „Jesteśmy tu jak zwierzęta, pisze jeden z tych biedaków, bez księdza, bez doktora, ...we Włoszech żyłbym szczęśliwiej w chlewie“. „Powiedziano nam, opowiada drugi, że znajdziemy tu wszystkie dary trzech królów; a natomiast wpadliśmy do prawdziwego piekła; nie wolno nam wyjść z lasu, pełnego jadowitych węży i jaszczurek; groziliśmy i odwoływaliśmy się do naszego konsula, ale nie mamy sposobu do niego się dostać“. „Dwóch z naszych próbowało się oprzeć dyrektorowi; za karę dyrektor zarzucił im sznur na szyję, przywiązał do nóg swego konia, a pobudzając go biczem do szybkiego biegu, zmusił ich do biegnięcia za sobą przez wiele mil z rzędu“. Bardziej jeszcze wymownym jest sam tytuł prawa, uchwalonego trzy lata temu przez waszyngtoński parlament: „Prawo zapobiegające dostarczaniu Włochów lub innych niewolników i robotników zabranych i siłą w służbie zatrzymywanych w amerykańskich Stanach Zjednoczonych“. — Jak chronić ziomków naszych, pyta *Scalabrini*, od takiej sromotnej niewoli, jak ratować ciało i duszę, co już w niewoli jęczą? Założeniem *Opiekuńczego Stowarzyszenia*, które, będąc zarazem religijnem i świeckiem, przychodziłoby w po-

moc duchownym i materyalnym interesom wychodźców, przeszkadzałoby energicznie handlowi białymi niewolnikami; budowałoby kościoły w odpowiednich miejscowościach i sprowadzało żarliwych kapłanów, którzy uszlachetniając serca, kształcąc umysły, broniąc w potrzebie tych biedaków, stali by się dla nich pod każdym względem Aniołami Stróżami.

Na głos *Scalabriniego* opinia publiczna we Włoszech poruszyła się. Rząd nie taił wprawdzie swej niechęci, że tak żywotną a doniosłą kwestyę podjął biskup katolicki, ale ustępując prądowi dozwolił poruszyć ją w parlamencie, i zgodził się na uchwalenie pewnych ostrożności przeciw agentom emigracyjnym. Natomiast Kościół zajął się po ojcowsku całem sercem, wielką tą, w najlepszem słowa znaczeniu „humanitarną sprawą". Pod protekcyą Ojca św. i biskupów i za ich pomocą założono w Piacenzyi osobne seminaryum, którego wychowańcy poświęcić się obiecują wyłącznie niesieniu duchownej pomocy „zaatlantyckim wygnańcom"; kongregacya *de Propaganda Fide* zwróciła szczególną uwagę i zajęła się zakładaniem komitetów, mających opiekować się tymi emigrantami, których istotnie nędza zmusza do opuszczenia ojczyzny; wreszcie Leon XIII, wieńcząc niejako to prawdziwie chrześcijańskie dzieło, wydał pod datą 10 grudnia 1888 prześliczną encyklikę do arcybiskupów i biskupów amerykańskich, w której gorącemi słowami poleca im włoskich emigrantów; zastanawia się i domaga się rady i wskazówek, co jeszcze dla polepszenia ich losu, co zwłaszcza dla dobra ich duszy możnaby uczynić; oddaje ojcowskiej ich opiece włoskich kapłanów, których na pomoc wychodźcom wysyła, i nadal w możliwie największej liczbie pragnie wysyłać. Encyklika ta tak gorącą miłością wiary i ojczyzny jest natchniona, że ci nawet, którzy odważyli się wystąpić przeciw krucyacie kardynała Lavigerie, wstrzymali się tym razem od zwykłych obelg, ubocznie zaledwie kilku dwuznacznymi frazesami podając intencye Papieża w podejrzenie; przestrzegając, że w Watykanie zamierzono „uformować" z włoskich wychodźców katolickie falangi pod dowództwem księży, pod moralnym ich kierunkiem". „Nie podobna zaprzeczyć, wyznaje *Riforma*, a ze słów jej widać, jak ją to wyznanie kosztuje, — że Leon XIII listem swym i pragnieniami w nim wyrażonemi dopełnił aktu płynącego z samej istoty apostolskiego swego urzędu...

Nie przeczymy również, że religia stać się może źródłem pewnego rodzaju pociech dla naszych wychodźców, i nie dziwimy się, że Papież głównie brakowi tych właśnie pociech chciałby zapobiedz; jego to rola, choć ona naszą stać się naturalnie nie może; bo naszą rzeczą jest wyłącznie utrzymać hufce włoskich emigrantów zjednoczone w imię ojczyzny, wolności, materyalnego dobrobytu i moralnego postępu... Bądź co bądź uczyć się nam należy od Watykanu rozumnej organizacyi i karności. Przyznajemy chętnie, że pod tym względem papiestwo służyć może za wzór bardzo wielu innym instytucyom, i życzyć sobie trzeba, aby wszyscy, którzy dążą do jakiegobądź humanitarnego czy patryotycznego celu, nauczyli się korzystać z dawanego przezeń przykładu". Bez żadnych zastrzeżeń, nie tając podziwu dla odezwy papieskiej ważność jej i piękność należycie tłumacząc, odezwała się *Fanfulla:*

Kwestya emigracyjna natchnęła już wielu mowców i w parlamencie i po za parlamentem prawdziwą wymową. Słyszeliśmy słowa płynące z dobrze zrozumianej filantropii, i przyznać trzeba, że świat gorszą ma jeszcze reputacyę, niż na to zasługuje. Ale najprawdziwsze i najświętsze słowo wypowiedział ten, który w człowieku prócz znikomej powłoki starego Adama, widzi nieśmiertelnego ducha, iskrę błyszczeć mającą przez wieczność całą: rzecz prosta, mam na myśli głowę i wodza katolicyzmu. W ostatniej chwili parlamentarnej dyskusyi, właśnie dnia 10 grudnia, w której izba załatwiła projekt o emigracyi, Leon XIII wziął udział w rozprawach, aby sprowadzić je do szlachetniejszych, nad samą ludzkość wyższych celów, i napisał list do arcybiskupów i biskupów amerykańskich, wzywając ich do udzielenia materyalnej i moralnej pomocy biednym wychodźcom. Ojciec św. pragnie, aby synowie chrześcijaństwa znaleźli na nowym kontynencie pociechy miłości i wiary, tj. chleb dla ciała i dla duszy. Napróżno sceptycyzmem się popisywać, napróżno zaprzeczać wyrywaniu się duszy po za granice fizyologicznego życia; faktem jest, że ilekroć widzieliśmy wychodźców mniej smutnych i zniechęconych, tylekroć jechali w towarzystwie swych kapłanów, tych samych może, z których ręki chrzest otrzymali.

Ogłoszona przez *Scalabriniego* krucyata przeciw handlowi „białymi niewolnikami" w Ameryce, godnie odpowiada słynnej krucyacie kardynała *Lavigerie* przeciw niewolnictwu w Afryce, choć nie jest i nie potrzebowała być na tak wielkie rozmiary obmyśloną. Żarliwy kardynał, nie dozwalając sobie chwili wypoczynku, przebiegł w ostatnich tygodniach Neapol, Rzym, Medyolan, odkrywając w każdem z tych miast w obec tysięcy słuchaczów coraz nowe i straszniejsze tajemnice z dziejów afrykańskiego niewolnictwa, zmu-

szając do jednomyślnego okrzyku, popartego hojnemi ofiarami: Bóg chce końca tych okrucieństw! W Rzymie urządził kardynał osobną konferencyę dla pań, w której odmalował im w prostych, do łez wzruszających wyrazach straszny los afrykańskich niewolnic. „Arcybiskup neapolitański, kardynał *Sanfelice*, opowiada sam kar„dynał *Lavigerie* w liście wysłanym do *Corriere di Napoli*, otrzy„mał od swego ludu po ustąpieniu strasznej cholery, pamiątkę, „która wiem to dobrze, nad wszystkie inne była mu drogą. Pamiątką „to był pektorał wysadzany drogimi kamieniami, zawieszony na „złotym łańcuchu. Kardynał przysłał mi obecnie za pośrednictwem „mgr. *Pacifico* ten właśnie pektorał wespół z biletem wizytowym, „na którym nakreślone były następne słowa: „Kardynał *Sanfelice*, „chełpiąc się, że nie ma pieniędzy, i nie wstydząc się długów przez „siebie zaciągniętych dla najdroższego sobie Kościoła neapolitań„skiego, posyła W. Eminencyi dar, którym obdarzyli go moi Nea„politańczycy: złoty łańcuch i krzyż bogato drogimi kamieniami „wysadzany, z prośbą o sprzedanie tych przedmiotów na korzyść „niewolników afrykańskich". Czytając te słowa, przypomniałem so„bie ze wzruszeniem dzieje pierwszych lat Kościoła, kiedy św. Cy„pryan, którego jestem niegodnym następcą na stolicy kartagińskiej, „rozkazał sprzedać święte naczynia ze swych kościołów, a pienią„dze obrócił na wykupienie afrykańskich niewolników, i ucałowałem „ze czcią przysłany sobie krzyż i nazwisko tego, który krzyż ten „tak wspaniałomyślnie ofiarował dla naszych Murzynów".

Lecz nie tylko we Włoszech krucyata przeciw niewolnictwu wzbudza łatwy do pojęcia, w czyny płodny entuzyazm; i w innych krajach rzucone przez kardynała nasiona w piękny kwiat się rozwijają. W Brukseli, Londynie, Wiedniu funkcyonują już samoistne komitety „antiniewolnicze"; we Wiedniu i w Liège odbyły się w ostatnich tygodniach wielkie wiece, na których postanowiono jednomyślnie użyć wszelkich możliwych środków dla wytępienia niewolnictwa, „tej najstraszniejszej plagi, dręczącej dzisiaj ludzkość". Bolesne wieści dochodzące świeżo z Afryki o nowych mordach i pożogach, będących owocem podstępnych knowań handlarzów niewolnikami, wzmogą jeszcze z pewnością szlachetny zapał i do większej ofiarności pobudzą. Nie można też wątpić, że i państwa europejskie przyłączą się urzędowo i to w niedługim czasie, do wielkiej

tej cywilizacyjnej, chrześcijańskiej akcyi; przyjęcie wniosku *Windthorsta* w parlamencie niemieckim głosami wszystkich stronnictw, z wyjątkiem socyalistycznego i postępowego, dobrą jest w tej mierze wróżbą i przykładem.

Ks. Jan Badeni.

Ogrzewalnia miejska pod opieką Tercyarzy św. Franciszka.

Nie potrzeba jechać do Paryża, ażeby oglądać śliczne rzeczy, jakie Maxime du Camp o miłosierdziu chrześcijańskiem opisywał. Ja tylko o jednej, na którą w Krakowie patrzę, opowiem.

Proszę sobie wystawić w odludnym zakątku Kaźmierza (Piekarska 21) wielką, źle oświeconą, wstrętną od brudu i zaduchy izbę: na środku żelazny piec, dokoła pod ścianami niski pochyły tapczan. To schronisko nocne dla nędzarzy i włóczęgów, ogrzewalnia, jakich wiele bywa po większych miastach. Goście tego schroniska jeszcze niepocześniej wyglądają od samej gospody: siedzą na ziemi lub leżą na tapczanie, niektórzy stoją dla braku miejsca, bo do tej jednej izby zbiega się z obawy przed mrozem lub policyą do stu kilkudziesięciu biedaków. Łachmany szkaradne od brudu i dziur ledwo nie ledwo pokrywają ciała. Wszystkie twarze ponure, zwiędłe od głodu, niektóre dzikie, zezwierzęcone. Są to rozbitki z najrozmaitszych stanów; jedni, wysłużeni pensionarze więzień, dotąd jeszcze przez cały dzień oddają się włóczęgostwu, a w nocy tu się chronią; drudzy, luzując niejako poprzednich, nocami wychodzą na kradzież a dniami tu sypiają; policya ich wszystkich zna i co kilka dni aresztuje, ale po paru dniach wypuszczeni, znowu do swego zarobku wracają. Są tu i biedacy niezdolni do roboty, których właściwe miejsce byłoby w szpitalu; są i poczciwe ludziska, których fatalne okoliczności pozbawiły utrzymania; kilku uciekając przed obcych rządów prześladowaniem nie znalazło na razie miejsca ni chleba w biednej Galicyi i oparło się aż o to nędzne schronisko. Jest w tej ogrzewalni i skończony prawnik, jest i kucharz z wielkiej traktyerni zagranicznej, jest niemało młodzieży — widziałem i dzieciaków!... A jakie pożycie w tak dobranem towa-

rzystwie! Jeden drugiemu wydziera wyżebrany chleba ogryzek; co chwila ktoś narzeka, że mu drudzy ostatni grosz lub łachman wykradli: kłótnie, bójki, złorzeczenia, przekleństwa, niechlujstwo nie do opisania — zarażają się jedni od drugich zgnilizną moralną, brudem i robactwem. Żadnej oczywiście władzy ni karności nad nimi; któżby do tej nory zajrzał? Tylko pachołek od magistratu płatny przychodzi tam zapalić w piecu; a kiedy niekiedy wpadnie policyant, szukając delikwenta, i obchodzi się z nimi, jak się obchodzą żandarmi z pojmanymi złodziejami.

Czyjaż w tem wina? czy magistratu? Nie; magistrat dobrodziejstwo czyni tym nędzarzom dając im dach i opał w zimie. Ale utrzymać między nimi karność, ale wpłynąć na nich moralnie, obudzić w nich iskierkę człowieczą, tego żaden urząd zrobić nie może, to tylko miłosierdzie chrześcijańskie potrafi. I w rzeczy samej miłosierdzie chrześcijańskie stanęło przy tym sobie należnym posterunku. Nie potrzebuję dodawać, że z powodzeniem spełnia swe trudne zadanie: bo prawdziwemu miłosierdziu rzadko kiedy się nie powodzi.

Obchodzi temi dniami po ulicach Krakowa wózek ze skrzynią do zbierania jałmużn dla ogrzewalni; na koźle siedzi brat trzeciego zakonu św. Franciszka, w popielatym habicie; przed każdym domem wózek staje, i brat Albert obchodzi wszystkie piętra, do każdych drzwi puka, wyciągając rękę dla ubogich schroniska. Ten brat Albert, to pan Piotr Chmielowski, znany i ceniony malarz, który ma jeszcze większy pociąg do miłosierdza dla bliźnich, niż do malarstwa. Zrozumiał on dobrze, że chcąc przemówić do duszy tych nędzarzów, trzeba przedewszystkiem zaspokoić ich głód i okryć ich nagość. I dla tego od drzwi do drzwi zbiera dla nich resztki żywności i starą odzież. Z początku myślał nie przyjmować pieniędzy, ale przekonawszy się, że wielu najchętniej w pieniądzach daje jałmużnę, i te przyjmuje. Uzbierawszy w ten sposób 8—10 reńskich dziennie, spieszy wyżywić niemi przeszło stu głodnych. Obok wielkiej izby, o której wspomniałem, przybudowane są dwa maleńkie pokoiki, o kilku metrach kwadratowych. W jednym jest schludnie utrzymana kuchenka, gdzie wspomniany wyżej „restaurator“, jeden z mieszkańców ogrzewalni, gotuje smaczną, gęstą zupę, w której się mieszczą wszelkiego rodzaju uzbierane warzywa, a nie-

kiedy i mięsiwa. Śniadanie dostają wszyscy, którzy nocowali w schronisku — i od tego czasu uważają Siostry Miłosierdzia, że mniej chorych z tej klasy do św. Łazarza przychodzi. Obiad i kolacyę daje brat Albert tylko słabym i innym, którzy gdzie indziej wyżywienia otrzymać lub zarobić nie mogą. W drugiej maleńkiej izdebce równie schludnie utrzymanej, jest skład wszelkich ukwestowanych zapasów, łachmanów, kartofli, marchwi, chleba i t. d. A jest to zarazem miejsce spoczynku dla brata Tercyarza, który jest dyżurnym przy ogrzewalni. Albowiem prócz p. Chmielowskiego, dwóch innych tercyarzy poświęciło się temu dziełu i ten sam popielaty habit przywdziało. Jeden z trzech po kolei zawsze pilnuje ogrzewalni, drugi po mieście zbiera jałmużnę.

Jakoż wyżywienie tych biedaków jest jeszcze najłatwiejszą częścią zadania braci. Daleko trudniejszą jest podniesienie ich moralne, i z tego również wywiązują się tak, jak tylko miłosierdzie chrześcijańskie umie. Podstawą ich wpływu jest to, że czynią im dobrze z zaparciem siebie, żyją ciągle między nimi, jedzą toż samo co oni, z tego samego wspólnego kotła, śpią po kolei w tem samem miejscu, wśród tak ciężkiego zaduchu, że okna, mimo mrozu, trzeba przez całą noc zostawić otwarte.

Brat Albert trzyma się tej zasady, że nikomu nie odmawia, czego kto prawdziwie potrzebuje, licząc na Bożą Opatrzność. Komenderuje on stanowczo, ale bez żadnego twardego lub dotkliwego słowa. Policyę, która, jak wprzódy powiedziałem, często nawiedzała ogrzewalnię i surowo się z biedakami obchodziła, uprosił, żeby na niego tę opiekę zdała. Tym, którzy przez dzień w ogrzewalni zostają, dostarcza on nawet wedle możności roboty i zarobku. Umiejących cokolwiek szyć używa do łatania starej odzieży, drugich do naprawiania butów zaprzęga, innym kupuje materyał na słomianki, a potem zapłaciwszy im robotę, opatruje nią najbardziej obdartych. Niektórym każe uczyć czytać dzieci, których zawsze pewna garstka w ogrzewalni przebywa. Chorych sam bada termometrem, a gdy znajduje, że mają wysoką gorączkę, odwozi ich, swoim wózkiem od kwesty, do miejskiego szpitala. Wreszcie — najlepszy dowód taktu i praktyczności — strzeże się tego, żeby ich nie zanadto sam przez się dozorować, i mianował jednego z pomiędzy nich, dawnego żuawa papieskiego, nadzorcą z dwoma pomocnikami dla utrzy-

mywania porządku zewnętrznego. Przytem jednak częstą obecnością swoją stara się na nich wpływ moralny wywierać. A jak gorliwie się o to stara, fakt następujący świadczy. Brat Albert, jak wiadomo, jest kulawy, nogę stracił w powstaniu. Otóż pewnego dnia, znużony tem chodzeniem z piętra na piętro, przewrócił się i ugodził tak ciężko w chorą nogę, że mu to przyszło kilka dni odchorować; ale zamiast do swego mieszkania, kazał się zanieść do ogrzewalni, i tam wśród tych wyziewów i zaduchu kilka dni w gorączce przeleżał, żeby swoich biedaków nie stracić z oczu. Mówił mi też, że myśli postawić w ogrzewalni swoje sztalugi i wybić odpowiednie okno, żeby módz wśród nich malować. Nie brakłoby mu Rembrandowskich modeli.

Pod taką opieką nic dziwnego, że się wszystko w ogrzewalni zmieniło: twarze swobodniejsze, bójek i przekleństw nie słychać; od przyjścia brata Alberta żaden z pensionarzy ogrzewalni nie został przez policyę aresztowany. Te stare dzieci są mu posłuszne, boją się go i kochają jak ojca. Chętnie go słuchają, gdy im o Panu Bogu mówi. Co wieczór uczy ich katechizmu, śpiewają wspólnie kolendy i inne pieśni, odmawia się wspólny pacierz przed oświetlonym obrazem; i brat Albert jest hojnie wynagradzany widząc moralne skutki swej pracy. Razu jednego np. przyszedł i biedny żyd do ogrzewalni; drudzy zmówiwszy się wyrzucili żyda. Po chwili wchodzi brat Albert i dowiaduje się co się stało. Przemawia do nich o miłości bliźniego, a oni tak się skruszyli, że sami z własnego popędu poszli po tego żyda i sprowadzili do ogrzewalni napowrót. Innego razu ów były żołnierz papieski, którego brat Albert mianował nadzorcą, upił się i brewerye wyprawiał. Zgromiony surowo przez brata, obraził się i ogrzewalnię porzucił. Ale po paru dniach powrócił skruszony, oświadczając publicznie, że się wyspowiadał i wódki na zawsze odrzekł, a teraz znów swój urząd wzorowo sprawuje.

Bóg więc błogosławi dziełu, dla jego miłości podjętemu.

Piszę to wszystko, oczywiście bez wiedzy brata Alberta, ale w nadziei, że mi tę niedyskrecyę wybaczy; bo najprzód, czemuż się nie mamy podzielić wszyscy tą pociechą, i patrząc na zbożny uczynek, chwalić Ojca, który jest w niebiesiech? a po drugie, może i biedni mieszkańcy ogrzewalni skorzystają z rozpowszechnienia

tych wiadomości. Nie można się w ogóle skarżyć na brak życzliwości miasta dla tej sprawy. Ludzie wszelkich stronnictw pochwalają i popierają jednakowo poświęcenie trzech braci Tercyarzy. Książe Biskup pierwszy całą sprawę pobłogosławił. Magistrat okazuje się bardzo chętnym, już wiele zrobił i pragnie jeszcze dalszym życzeniom brata Alberta zadość uczynić. Ale jeszcze niejedno do zrobienia pozostaje: przy większych środkach możnaby ogrzewalnię i przyległe dwie izdebki rozszerzyć, by ciasnocie zapobiedz, możnaby pracę tych biedaków lepiej zorganizować. Trzebaby zwłaszcza rozciągnąć taką samą opiekę nad ogrzewalnią dla kobiet na Kaźmierzu, podobno jeszcze bardziej potrzebującą opieki niż męska — czego brat Albert podjąć się nie może, póki się nie czuje w możności zaopatrzenia materyalnych potrzeb tych kobiet.

W końcu, dobroczynności u nas, Bogu dzięki, nie brak, tylko niestety, część tej dobroczynności, bez organizacyi, idzie na marne, nie trafia do prawdziwych potrzeb, część znowu tonie w organizacyach nie mających dosyć chrześcijańskiego ducha i życia. Miło więc widzieć w tym okazie, jak się chrześcijańska miłość w żywotny sposób organizuje i grosza nie traci bez rzeczywistego ciała i dusz pożytku. Takich okazów mamy jeszcze pewien poczet, ale z każdego warto się cieszyć i uczyć.

Ks. M. Morawski.

Kolej zakaspijska.

Przed kilku miesiącami, a mianowicie 27 maja z. r. w rocznicę koronacyi cesarza rosyjskiego, otworzono dla ruchu nową linię kolei zwanej zakaspijską. Jak sama nazwa wskazuje, rozciąga się ta droga żelazna od morza Kaspijskiego, dochodzi zaś do Samarkandy, dawnej Tamerlana stolicy, u podnóża gór Hindu-kusz; a jest przedłużeniem linii zakaukaskiej. Dziś więc można już wprost się dostać z Kaukazu przez Batum-poti, Baku, Uzum-ada aż do Samarkandy, a cała podróż trwa tylko dni cztery, nie jak pierwej kilka miesięcy.

Aby mieć pojęcie o całym ogromie pracy, jaką tu Rosya podjęła, dość zważyć, że sama różnica czasu między ostatecznymi krańcami świeżoukończonej kolei wynosi godzinę i dziesięć minut, to znaczy, że długość jej wynosi dokładnie 1.450 kilometrów. Zbudować drogę tak kolosalną wśród pustyni piaszczystej, bezwodnej i bezludnej, gdzie człowiek co krok staczać musiał walkę z przyrodą, to praca przypominająca mimowoli wznoszenie obelisków i piramid na piaskach libijskich.

Uzun-ada, miasteczko portowe, skąd się nową koleją wyjeżdża, okalają góry ruchomego piasku, który po każdym niemal podmuchu zmienia swe położenie i kształt. Dobry kawał drogi przebywszy jarem wśród podobnego otoczenia wjeżdża się znowu w step piaszczysty, w którym gdzieniegdzie spotykają się tylko osty. Wśród takiego to pustkowia, wśród skwarnego azyatyckiego lata, budowano kolej; ogromna różnica temperatury dnia i nocy na wiele chorób narażała robotników, wiatry unoszące masy piasku niszczyły robotę, brak wszelkiego materyału do budowy i wszelkich środków pożywienia potęgował trudności. Aby ustalić jako tako ruchome piaski stepów należało zlewać je gliną rozwodnioną, lub wodą, nadto trzeba było wzdłuż drogi zasadzać wikliny, a wszystkie te artykuły dowozić z daleka. Brak opału i wody, niezbędnych czynników poruszania machin parowych, nie mało się dał we znaki. Zapobieżono wprawdzie pierwszemu budując lokomotywy naftą opalane, której nie brak w nadkaspijskich kopalniach; ale z wodą nie łatwo poszła sprawa. Kopano tedy studnie, tam gdzie było można, gdzieniegdzie prowadzono wodę kanałami, wreszcie sprowadzano wagonami wodę morską. Nie obeszło się też bez trudności technicznych. Należało przebyć szeroką rzekę Amu-Daryi, starożytny Oxus. Na razie zamierzano promem przewozić pociągi z jednego brzegu na drugi, ciągła jednak zmiana poziomu wód na ten projekt nie pozwoliła. Nie pozostawało zatem nic innego, jak zabrać się do budowy mostu wedle planu inżyniera Balińskiego, na belkach sprowadzonych z nad Wołgi. Cała budowa trwała od września 1887 r., do stycznia r. z. Most składa się z 4 części, na tyle bowiem odnóg dzieli się rzeka w tem miejscu; wysokość jest taka, że statki mogą wygodnie przepływać, a cała długość wynosi 1807 metrów. W stepie nie było żadnych ludzkich mieszkań, nie było

zatem żadnego schronienia dla służby kolejowej i robotników, zbudowano zatem ruchome koszary. Pociąg mieszkalny składał się z 35 wagonów dwupiątrowych, wygodny do pomieszczenia nie tylko całego batalionu kolejowego — żołnierze bowiem przeważnie zajmowali się robotą — składów żywności i broni, lecz także mieściło się tam i bióro budowy, szpital z apteką, warsztaty a nawet łazienki.

Koszta tak olbrzymiego przedsiębiorstwa stosunkowo były nie wielkie. *Revue universelle des mines* oblicza jeden kilometr budowy przeciętnie na 75.000 franków tylko; lecz należy zauważyć, że o wywłaszczaniu gruntów nikt tu nie myślał, a robotnik azyatycki nie stawiał wygórowanych warunków. Tor nie zbacza zupełnie od linii. prostej, a posiada szerokość normalną kolei rosyjskich, to też nic tu nie przeszkadza chyżości pociągów, która już dziś miejscami do 70 kilometrów na godzinę dochodzi. Cała linia liczy 61 stacyj, z tych każda zaopatrzona w składy opału i wody, na 12 pociągów dziennie. Dziś tylko dwa przechodzą, ale już i to dużo na te pustkowia.

Wytrwałość czteroletnia pokonała wszelkie przeszkody, pustkowie ożywia się i zaludnia. Nędzna osada Kiził-arwat podniosła się ogromnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy i stała się jedną z główniejszych stacyi. Wiele się tu rodzin przenosi, a między niemi wielu tu znajduje się Polaków, doktór, inżynierowie i posługacze kolejowi. Samo już zaludnienie pustych okolic ludźmi posiadającymi wyższy stopień kultury nie może pozostać bez wpływu na podniesienie oświaty i cywilizacyi dzikiej dotąd i prawie niedostępnej dla europejczyka w Azyi. Wpływ ten zwiększyłby się bez wątpienia, gdyby, jak to generał Anjenkow zamierza, udało się połączyć nową linię z siecią kolei indyjskich z jednej strony, a z drugiej przedłużyć ją aż do oceanu Spokojnego. Po zrealizowaniu tak genialnego projektu, gdy z Londynu wprost możnaby jechać aż do Kalkuty a z Paryża lub Wiednia w dniach kilku znaleść się nad brzegami Spokojnego oceanu, Europa wdarłaby się zupełnie w głąb Azyi, a oświata i przemysł najcywilizowańszych narodów miałyby otwartą drogę do plemion Środkowej Azyi.

Kościół syryjsko-unicki [1].

Kościół syryjsko-unicki wywodzi swój początek od sekty syryjskiej monofizytów, zwanych *Jakobitami*; sekta ta powstała przy końcu V wieku, w patryarchacie Antyocheńskim i w przyległych mu dyecezyach z powodu nieuznania Soboru Chalcedońskiego, a w szczególności słynnego określenia danego na tym soborze o istnieniu dwóch natur w Jezusie Chrystusie. Sekta ta, odłączywszy się od Kościoła katolickiego, zatrzymała język i liturgią ówczesnego patryarchatu Antyocheńskiego i ważną przez długi czas grała rolę w historyi, w której wiele kartek zajętych jest opowiadaniem o patryarchach, jej biskupach, mnichach, szkołach synodach, uczonych i t. d. Kilkakrotnie sekta *Jakobitów* syryjskich próbowała połączyć się z Kościołem rzymskim; wszakże Kościół syryjsko-unicki powstał ostatecznie dopiero na początku XVIII wieku.

Unicki Kościół syryjski ma zupełną hierarchię złożoną z jednego patryarchy, z biskupów i z duchowieństwa niższych stopni. Patryarcha nosi tytuł patryarchy Antyochii Syryjskiej dla odróżnienia od patryarchów Melchickich i Maronickich, którzy także nazywają się patryarchami Antyocheńskimi. Żaden zresztą z tych patryarchów nie rezyduje w tem mieście, które od wieków jest tylko mieściną małego znaczenia.

Kanoniczną rezydencyę mają patryarchowie syryjscy w Mardin, drugorzędnem mieście w Mezopotamii, gdzie także rezyduje patryarcha Jakobitów. Teraźniejszy jednak patryarcha syryjsko-unicki ma przywilej rezydowania w Alepo, sławnem mieście Syryi, w którem, zanim został patryarchą, sprawował urząd biskupi.

Dyecezye syryjskie przed odszczepieństwem bardzo liczne, obejmowały cały Wschód starożytnych Rzymian; dziś zeszły do dwunastu, jako to: Mardin, Alepo, Mossul, Damaszek, Bagdad, Dżarbekir, Homs, Beyrut, Orfa, Nisibe, Gezira i Tripolis. Osta-

[1] Ciekawe te, nieznane w szerszych kołach wiadomości o Kościele syryjsko-unickim wyjmujemy ze sprawozdania ułożonego przez arcybiskupa Damaszku Klemensa *Dawida*. Sprawozdanie to zostało ogłoszone w jednym z ostatnich numerów *Revue de l'Eglise Grecque-Unie*.

tnie cztery biskupstwa obecnie wakują. Liczba księży syryjsko-unickich jest około stu. Ludność można obliczać na 50.000.

Zakony nie bardzo jeszcze kwitną w Kościele syryjsko-unickim. Obecnie istnieją trzy klasztory męskie, z trzydziestu zakonnikami. W trzech seminaryach pobiera naukę trzydziestu uczniów, jedno z nich jest pod kierunkiem misyonarzów dominikańskich.

Obrządkowym językiem jest język syryjski, dyalekt aramejskiego, zwanego także chaldejskim, którym mówiono w Palestynie za czasów Jezusa Chrystusa. Język syryjski, jak i wszystkie języki uprawiane w starożytności, zawiera dużo słów greckich; prócz tego są w obrządku syryjskim dwie lub trzy formułki liturgiczne czysto greckie, z których najczęściej powtarza się *Kyrie elejson.*

Niektóre wszakże części nabożeństwa, nawet liturgii mszalnej, mogą być odmawiane w języku arabskim, najwięcej rozpowszechnionym u większej części Syryjczyków. Używanie tego języka ludowego w obrządkach istnieje od kilku wieków, i zawdzięcza swój początek schyzmatyckim Jakobitom. Części obrządku, które mogą być odmawiane w języku ludowym, są zawsze i wyłącznie napisane prozą; — a ponieważ wiersze w liturgii znacznie przemagają, stąd język ludowy nie wielką w niej odgrywa rolę.

Co się tyczy pochodzenia tego obrządku, to istniał on w Antyochii w V wieku, w epoce, w której Jakobici oderwali się od reszty chrześcijan Wchodu; następnie został on uzupełniony przez uczonych tej sekty. W VII wieku obrządek syryjski przyjął ostatecznie formę obecną. Do wydoskonalenia tego obrządku najwięcej się przyczynił Jakób słynny biskup *Edessy.* Autorowie tych części, z ktorych się składają nabożeństwa Kościoła syryjskiego należą przeważnie do IV w., pomiędzy tymi najsławniejszy jest św. Efrem, dyakon z Edessy. W IX wieku wprowadzono do obrządku syryjskiego wielką część kanonów greckich św. Jana Damasceńskiego, przełożonych na język syryjski.

Ważne znaczenie w liturgii syryjskiej ma śpiew. Ośm w nim jest tonów, tak jak u Greków. Charakter tych tonów taki sam niemal jak syryjski, nie przechodzi zwykle sześciu tonów; w ogóle jest poważny; cudzoziemcom, którzy go słyszą poraz pierwszy, wy-

daje się monotonnym i melancholijnym. Trudnych reguł rytmu trzymają się Syryjczycy w śpiewie z wielką akuratnością.

Brewiarz składa się jak u Greków z siedmiu godzinek, które w znacznej części noszą i te same nazwy. Dzień liturgiczny zaczyna się u Syryjczyków wieczorem; to też Nieszpory rozpoczynają każdodzienny brewiarz. Brewiarz nocny składa się u Syryjczyków z trzech nokturnów, tak jak w obrządku łacińskim.

Pierwotnie obowiązani do brewiarza odmawiali cały psałterz co dwa dni, połowę jednego, połowę drugiego dnia, w niektórych miejscowościach co tydzień. Ale od wieków już Syryjczycy odmawiają, a raczej śpiewają tylko około 20 psalmów, które powtarzają codziennie. Psałterze rękopiśmienne nawet najnowsze, zachowują wszystkie dawne podziały podobnie jak psałterze liturgiczne u Greków; znajduje się w nich prawie zawsze słynny psalm CLI. Psałterz syryjski ma właściwości, które go odróżniają od wszystkich innych obrządków — cały podzielony na dwuwiersze; pierwszy wiersz kończy się zawsze przez „alleluja".

Syryjczycy odczytują w brewiarzu z Pisma św. dwie lekcye z ewangelii, w czasie Nieszpór i Prymy. We Mszy czytają oprócz ewangelii trzy lekcye ze starego a dwie z nowego Testamentu, z wyjątkiem Wielkiego Tygodnia, w którym lekcye te umieszczone są w różnych godzinkach.

U Syryjczyków ewangelię czyta zawsze kapłan, lub nawet biskup, dyakon nie czyta jej nigdy. Dyakon czyta tylko epistołę; lekcyę z dziejów apostolskich czyta archidyakon. Inne lekcye czytają lektorzy.

Wiadomo, że Pismo św., którem się posługuje Kościół syryjski, zwane *Pshitta*, jest jedynym dawniejszym przekładem, który odnośnie do starego Testamentu nie był uskuteczniony według tekstu greckiego *Septuaginta*, lecz bezpośrednio podług tekstu oryginalnego.

Mszę odprawiają Syryjczycy wedle liturgii św. Jakóba, pochodzącej z Jerozolimy, której to używał Kościół melchicko-syryjski zanim przyjął w X w. liturgię z Konstantynopola, zwaną liturgią św. Jana Złotoustego. Liturgia syryjska św. Jakóba mało się różni od liturgii greckiej tego samego imienia, które istnieje do dziś dnia. Jakobici syryjscy jednakże, niezadowolnieni z tej li-

turgii właściwej sobie a tak czcigodnej, utworzyli mnóstwo innych liturgij dłuższych lub krótszych, a mających tę samą formę i porządek co liturgia św. Jakóba. Używają ich dowolnie prócz dwóch, które są stale przeznaczone na niektóre uroczystości roku. Unici syryjscy zatrzymali siedm z tych liturgij. Poniżej można się przekonać o różnicy zachodzącej między mszą grecką a syryjską.

Z wyjątkiem Ormian, ludy wchodnie, a pomiędzy niemi i Syryjczycy, mają w gruncie rzeczy te same posty i obchodzą te same święta Pana Jezusa i Matki Boskiej, co i Grecy.

Wielki post u Syryjczyków zaczyna się w poniedziałek przed środą popielcową katolików rzymskich. Równie posty jak wstrzymywanie się od mięsa przestrzegane są w ten sposób jak i u Greków. Jednakże syryjscy unici jedzą codzień ryby, odprawiają nawet codziennie Mszę św.; jedyny tylko dzień, w którym właściwej Mszy nie odprawiają, podobnie jak u łacinników — wielki piątek. W wielką sobotę i wilię Bożego Narodzenia odprawiają Mszę św. wieczorem. Unici syryjscy ograniczyli wszystkie posty. Post przed Bożym Narodzeniem trwa 9 dni, przed św. Apostołami 4 dni, przed Wniebowzięciem Matki Boskiej 8 dni. Syryjscy Jakobici do dziś dnia obserwują posty prawie w tej samej rozciągłości, co Grecy dysunici. Dziś jednakże te trzy posty przeszły na całym Wschodzie w zwyczajne wstrzymywanie się od mięsa. Syryjczycy poszczą podczas wielkiego postu tylko pierwsze pięć dni każdego tygodnia i w wielką sobotę. Prócz tego zachowują tak jak wszyscy chrześcijanie na Wschodzie z wyjątkiem Melchitów, trzy dni ścisłego postu wespół z wstrzymaniem się od mięsa w tygodniu poprzedzającym niedzielę starozapustną u łacinników. Post w środy i piątki poza wielkim postem, jest prostem wstrzymywaniem się od mięsa u wszystkich ludów wschodnich. Istnieje wszelako ogólna dyspensa na święta Pana Jezusa i Matki Boskiej. Unici jedzą z nabiałem przez te dwa dni, przez większą część roku.

Najważniejsze święta doroczne obchodzone są w te same dni u Syryjczyków, co i u Greków. Oto najważniejsze z nich: pierwsza sobota wielkiego postu, dzień św. Efrema, pierwszy piątek po Zielonych Świątkach, dzień św. Apostołów Piotra i Pawła, 15 stycznia uroczystość Matki Boskiej, 15 maja taż sama uroczystość. Unici syryjscy przyjęli kilka świąt łacińskich: Niepokalanego Po-

częcia Najświętszej Panny, św. Józefa, Boże Ciało i święto Serca Pana Jezusa.

Od lat mniej więcej 44 Kościół syryjsko-unicki przyjął kalendarz Gregoryański.

Wiele jest punktów, w których obrządek syryjski zgadza się z greckim. W ogóle takie zachodzi podobieństwo pomiędzy różnemi obrządkami wschodniemi Grekow, Syryjczyków, Maronitów, Chaldejczyków, Ormian, Koptów, że słusznie połączono je pod wspólne miano obrządku wschodniego. Ale nazwa obrządku greckiego, dawana czasem ogółowi obrządków wschodnich, nie jest zupełnie dokładną; bo pomiędzy tymi obrządkami jeden tylko jest greckim z pochodzenia i z języka, przeciwnie trzy są pochodzenia i języka syryjskiego tj. syryjski, chaldejski i maronicki.

Oto spis głównych punktów, w których obrządki wschodnie w ogóle, a syryjski w szczególności zgadzają się z obrządkiem greckim, najwięcej rozpowszechnionym i znanym z obrządków wschodnich:

1) Nie mają kanoników przy kościołach katedralnych, jak łacinnicy. 2) Udzielają Sakramentu Bierzmowania równocześnie z Chrztem. 3) Ksiądz a nie biskup zazwyczaj bierzmuje. 4) Biskupi zaczęli nosić pierścienie i krzyże na piersiach dopiero od czasu połączenia z Kościołem rzymskim. 5) Święcą wodę w święto Trzech Króli. 6) Chrzestu udziela kapłan wodą w tym samym czasie przez siebie poświęconą. 7) Mają odrębną ceremonią adoracyi w dzień Zielonych Świąt. 8) Dyakoni i księża mogą mieć żony. 9) We Mszy św. wzywają Ducha św. zaraz po konsekracyi. 10) Zaczynają wielki post od poniedziałku. 11) Wstrzymują się od mięsa w każdą środę. 12) Zakazują postów w soboty, oprócz Wielkiej Soboty. 13) Mają oprócz wielkiego postu jeszcze inne dłuższe posty. 14) Zakazują jeść ryby w czasie wielkiego postu wyjąwszy w dzień Zwiastowania Najświętszej Panny i Niedzielę Palmową. 15) Subdyakonat liczy się do święceń niższych. 16) Mają tylko trzy święcenia niższe, te same u wszystkich. 17) Nie używają namaszczenia przy święceniach. 18) Księża i mnisi muszą nosić brody. 19) Stan zakonny opiera się na pewnego rodzaju instytucyi, a nie na ślubach wyraźnych. 20) Małżeństwa zawierają się przez ceremonię zwaną „koronacyą“. Są to główne punkty, w których

obrządki wschodnie zgadzają się między sobą, odróżniając się od obrządku łacińskiego.

W innych znów wielu punktach obrządek grecki różni się od wszystkich innych obrządków, nawet wschodnich. Słusznie obrządek grecki stoi na czele wszystkich innych obrządków wschodnich ze względu na sławę swą i rozległość krajów, w których panuje; lecz byłoby niesłusznością uważać za typ i wzór wszystkich obrządków wschodnich. Obrządek grecki nie zachowuje bynajmniej starożytnego wschodniego obrządku w najzupełniejszej pierwotnej czystości; gdyż w czasach późniejszych, wprowadzono doń nowości, które go mniej lub więcej oddaliły od czystego obrządku wschodnieniego. Powyżej wyliczyliśmy główne punkty, stanowiące różnicę pomiędzy obrządkami wschodniemi wziętemi zbiorowo, a obrządkiem łacińskim; obecnie wskażemy główne punkty właściwe obrządkowi greckiemu, w przeciwieństwie do innych obrządków wschodnich.

1) Biskup grecki dając błogosławieństwo trzyma w ręku *dikerion* lub *trikerion*. 2) Kapłan grecki używa we mszy św. noża i lancy. 3) Ofiaruje wielki chleb, który dzieli liturgicznie na kilka części, dając każdej z nich osobną nazwę. 4) Wlewa ciepłą wodę do kielicha po konsekracyi. 5) Nosi kapę zapiętą z przodu. 6) Kilku księży greckich łączy się, aby wspólnie jedną mszę odprawić. 7) *Petra sacra* w ołtarzu musi być z materyi poświęconej. 8) Używają liturgicznie chleba i wina w nabożeństwie kanonicznie przepisanem. 9) Grecy wstrzymują się od mięsa cały tydzień przed wielkim postem. 10) Poszczą w dzień św. Krzyża i w dzień Ścięcia św. Jana. 11) Prócz balsamu dodają do olejów świętych zioła aromatyczne (większa część kościołów wschodnich naśladowała później w tym punkcie i w następnym Greków). 12) Patryarcha zastrzegł sobie wyłącznie prawo poświęcania Olejów świętych. 13) Kapłani święcą oliwę katechumenów podczas ceremonii chrztu. 14) Biskupi noszą okrągłą mitrę. 15) Kapłani noszą długie włosy. 16) Używają liturgicznie obrazów św. tak we mszy św. jak w innych nabożeństwach. 17) Zachowują św. Eucharystyę z wielkiego czwartku na cały rok. 18) Suszą w wilją Bożego Narodzenia i Trzech Króli. 19) Robiąc znak krzyża św. podnoszą rękę najpierw do prawego ramienia, potem do lewego. 20) Biskupi noszą welon na czapkach. 21) Grecy robią w brewiarzu wzmiankę o zmar-

twychwstaniu P. Jezusa w każdą niedzielę, wyjąwszy Palmowej. 22) Nie mają obrządku adoracyi Krzyża św. w wielki piątek.

Wszystkie te zwyczaje są właściwe wyłącznie obrządkowi greckiemu, i żaden z nich nie znajduje się w innych obrządkach wschodnich. Stąd wynika, że zwyczaje te nie mogą bez zastrzeżenia rościć sobie prawa do nazwy wschodnich.

Jak obrządek grecki ma swoje liczne właściwości, tak też ma je obrządek syryjski. Wymieniliśmy już kilka, nadto zasługują na wzmiankę: 1) W obrządku syryjskim kładą prócz soli trochę oliwy do hostyj. 2) Lekcye w tym obrządku czyta kapłan. 3) Biskupi powinni przez całe życie wstrzymywać się od mięsa i wina. 4) Obrządek syryjski zaczyna dzień liturgiczny od wieczora. 5) Boże Narodzenie poprzedza rodzaj Adwentu, który trwa prawie tak długo jak Adwent łaciński. 6) Niedziele otrzymują nazwy od świąt, bezpośrednio poprzedzających. 7) W nabożeństwach pokutnych i żałobnych wykluczoną jest wzmianka o Matce Boskiej i Świętych.

Rzeczą jest pewną, że praktyki, właściwe dzisiaj obrządkowi syryjskiemu, były także wspólne Melchitom w Syryi, zanim przyjęli obrządek grecki z Konstantynopola. W każdym razie pewnem jest, że w liturgii używali języka syryjskiego, bo przyjąwszy obrządek Konstantynopolitański, natychmiast przetłumaczyli liturgię na język syryjski i w tym języku ją odprawiali, jak tego dowodzą liczne manuskrypty Melchitów syryjskich.

Skądinąd właściwości obrządku syryjskiego, które tu wyliczyliśmy, są wspólne innym istniejącym po dziś dzień obrządkom patryarchatów syryjskich, które do liturgii używają języka syryjskiego, jak obrządkowi Maronitów i Chaldejczyków.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujący list:

Szanowna Redakcyo!

Zajmujące wzmianki o fabrykach na katolickich zasadach urządzonych, znajduję w *Przeglądzie* umieszczone — co to za szkoda, że to tylko wzmianki i że właśnie ci, których to bezpośrednio dotyczy, tych wierszy nie czytali. Dziękujemy serdecznie za to, cośmy otrzymali, ale prosimy o więcej — prosimy o wyczerpującą detaliczną rozprawkę, którąby nas dokładnie pouczyła, w jaki to sposób miłość chrześcijańska zdołała sprzeczne dotąd interesa kapitału i robotnika z obopólną korzyścią pogodzić, — a rozprawka taka rozszerzona między przemysłowców i rzemieślników znajdzie może człowieka dobrej woli, który pójdzie wskazaną drogą i drugich za sobą pociągnie, szerząc i na polskiej ziemi królestwo Boże z błogosławieństwem jego.

Czytelnik Przeglądu.

Odpowiedź Redakcyi: Będziemy się starali zadość uczynić wedle możności.

Druk ukończony dnia 25 stycznia 1889 r.

KILKA SŁÓW O GENEZIE PEDAGOGII.

„Muzeum“, organ Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, ogłosiło świeżo w zeszycie XI i XII 1888, rozprawę dra Fr. Konecznego pod napisem: „Geneza pedagogii“. Wobec znanej dążności umysłów w naszym czasie do szczegółowego badania wewnętrznego tętna najdrobniejszych zdobyczy duchowych, możnaby przewidywać, że artykuł zapowiadający wyjaśnienie powstania pedagogii, obudzi żywe zainteresowanie się u czytelników. Pedagogia jest przecież jednym z najważniejszych czynników w rozwoju ducha ludzkiego; a do podniesienia interesu nie mało przyczynił się jeszcze sam autor zapewnieniem, że „zastanowienie się nad genezą „pedagogii... prowadzi do podziału jej dziejów, odmiennego całkiem od utartych szablonów, które raczej zaciemniały i gmatwały, „niż rozświecały sprawę“.

Sama ważność sprawy tłumaczy już potrzebę dyskusyi, bliżej rzecz wyjaśniającej. To też szanowny autor nie weźmie mi zapewne za złe, że oddając wszelkie uznanie naukowej jego pracy i dobrym chęciom, omówię punkta, w których rozprawa jego rozminęła się z ogólnem wyobrażeniem genezy pedagogii. Najpierw zaznaczyć wypada, że dwa dzieła Raumera i Schmidta, choćby najcenniejsze, nie mogą stanowić jedynej podstawy rozprawki na temat: „Geneza pedagogii, według badań Raumera i Schmidta“, nigdy zaś do skreślenia rzeczywistej genezy pedagogii w ogóle. Chcąc się zabrać do takiej pracy, trzebaby przejść wszystkie historye pedagogii, a zwłaszcza przestudyować same źródła, rękopisy i oryginalne prace pe-

dagogów wszystkich wieków. Byłaby to praca nader pożyteczna, ale i olbrzymia, i może poniekąd przedwczesna ze względu na to, że historyczny materyał jeszcze nie jest dostatecznie obrobiony. Nie chcąc też popaść w błąd, który wytykam, oświadczam z góry, że nie myślę pisać historyi genezy pedagogii, lecz pragnę tylko uzupełnić niektóre braki wymienionej rozprawy.

Autor zaczyna: „Średnie wieki miały dydaktykę, ale nie miały pedagogii". Czyż dopiero od średnich wieków zaczyna się geneza pedagogii? Wszak bez pomocy wychowania żadne niemowlę nie zdoła się rozwinąć, ani nawet utrzymać przy życiu, a więc wychowanie samo jest tak dawnem, jak dawny rodzaj ludzki. Nie podobna zaś przypuścić, aby dopiero po pięciu tysiącach lat mieli wychowawcy pomyśleć o celu, do którego wychowanie zmierzać powinno, o zasadach, do których się ono ma stósować i o najodpowiedniejszych środkach wychowawczych. A skoro tylko wychowanie przestało być bezładnem, zaczęło się liczyć z owemi zasadami, zaczęło zmierzać świadomie do celu, to stało się już pedagogią praktyczną, chociaż owe zasady nie były jeszcze ujęte we formy teoryi. Nie tylko w wiekach średnich, jak mówi autor, ale w ogóle i wszędzie pedagogia praktyczna uprzedziła pedagogię teoretyczną i jest podziśdzień tak matką, jak i najlepszym próbierzem tej ostatniej. I nie ilość dzieł pedagogicznych, ale jakość pedagogii praktycznej stanowi o wartości wychowania w tym lub owym okresie czasu. Mieli też swoją pedagogię Chińczycy, Hindusi i Persowie, mieli ją Rzymianie i Grecy, mieli ją Żydzi, miał ją zwłaszcza chrystyanizm w samym swym zawiązku; nie brakło i pism okolicznościowo lub nawet fachowo zajmujących się wychowaniem. Uwzględnia to każda historya pedagogii; czyż więc geneza pedagogii może te wieki ignorować?

Sama tylko zwięzłość rozprawy mogłaby nieco tłumaczyć ów brak, i z tego względu, zmieniwszy odpowiednio tytuł, możnaby się zgodzić na przemilczenie pedagogii przedchrześcijańskiej; żadną miarą jednak, zdaniem naszem, nie można przystać na pominięcie początków pedagogii chrystyanizmu. Jakżeż można wieki średnie zrozumieć i oceniać, nie zbadawszy pierwszej istoty duchowego ich źródła, którym jest chrystyanizm. Chcemy cokolwiek ten niedostatek uzupełnić.

Chrystyanizm występuje na świat w czasach zupełnego wszechwładztwa państwowego. Indywiduum jako takie u starożytnych nie mogło sobie rościć żadnych praw, żyło ono dla państwa, i o tyle tylko miało wartość, o ile pracowało dla państwa. Warunki te stworzyły pedagogię despotyczną, wychowanie na żołnierzy i na retorów państwa, systemy Lykurga, Platona, Kwintyliana, w obec których niknęły szlachetne wysiłki Pytagoresa, Sokratesa, Plutarcha. Chrystus Pan dopiero przynosi na świat nową i zasadniczo doskonałą naukę wychowania. Nie tylko prostuje pojęcia o naturze ludzkiej, wskazuje jej prawdziwy cel i drogę celu, co nowe rzuca światło na całą sprawę wychowania, — ale też bezpośrednio zajmuje się dziećmi, nakazuje najwyższy dla nich szacunek: *Patrzcież, abyście nie wzgardzali jednem z tych małych*[1] — stawia dzieci starszym na wzór do naśladowania[2], uczy je kochać, garnąc je do siebie[3], grozi strasznem „biada“ tym, którzyby im krzywdę na duszy uczynili[4]. Wreszcie pracę wychowawców do godności miłości swojej podnosi: *Ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje*[5].

Tak więc Chrystus zaczął sam przez się spełniać to dzieło wychowania, które następnie zlecił Kościołowi, albo raczej które On przez Kościół spełnia w ludzkości, aż do końca wieków. Na to dał Kościołowi Sakramenta św. i inne środki wychowawcze, obejmujące wszystkie fazy życia ludzkiego, na to go wyposażył trojakim urzędem: nauczycielskim, kapłańskim i pasterskim.

Kościół od zawiązku swego spełnia to zadanie lepiej i skuteczniej, niżby je spełnić mogły najuczeńsze pisma pedagogiczne. Kościół wie lepiej niż ktokolwiek, bo z boskiej powagi, do jakiego celu trzeba dziecko i człowieka prowadzić, wie gdzie tkwi źródło złego, które się wcześnie w dziecku objawia — tj. w grzechu pierworodnym. Kościół posiada skarbiec nauki moralnej bez skazy, posiada też środki umoralnienia w Sakramentach, które dają łaskę, w przykładach Chrystusa i świętych, które szlachetne dają pobudki, w bojaźni bożej, która najzbawienniejszem jest wędzidłem. Przechował on te wszystkie skarby wśród burzy prześladowań, wychowy-

[1] Mat. 18, 10. [2] Mat. 18, 3, 4. [3] Mat. 19, 14.
[4] Mat. 18, 6. [5] Mat. 17, 5.

wał czysty kwiat ludzkości wśród zepsucia poganizmu, i mimo przewrotnych usiłowań takich pogańskich pedagogów, jak Julian Odstępca. A z góry już można było przewidzieć, że gdy nadejdą wieki spokojniejsze, nie omieszkają teolodzy katoliccy uwydatniać naukowo całej cywilizacyjnej doniosłości Objawienia i jego naukowej wartości, tak ze względu na misterny, wewnętrzny związek dogmatów, jak w stosunku do wiedzy nabytej przez samodzielne badania ducha ludzkiego — co miało być przewodnią myślą wszystkich pism wielkich Ojców Kościoła. Z drugiej strony również przewidzieć było można, że pasterze duchowni nie omieszkają ustanowić prawa i do życia powołać instytucye, które ustalą na najszerszych podstawach wychowanie ludzkości podług tych nauk, i zwłaszcza wzrastające pokolenia wdrażać będą w chrześcijański żywot.

I w rzeczy samej historya pokazuje, że Kościół spełnił, ile tylko spółczesne warunki pozwalały, swe misye wychowawcze przez swe nauczycielstwo, pasterstwo i kapłaństwo. Ale żeby sobie z tego zdać sprawę, żeby ocenić działanie Kościoła w historyi, trzeba przedewszystkiem rozumieć co to jest Kościół, wiedzieć co jest ten trojaki jego urząd. Kto tych rzeczy zasadniczych, już w katechizmie wyłożonych, wcale nie zna i nie rozumie, ten nie powinien wcale o Kościele pisać — jeśli ma pretensyę pisać objektywnie.

Twarde to są słowa i wolałbym, aby w nich nie było przytyku do dra Konecznego, którego cenię, jako zamiłowanego pracownika na polu historyi i pedagogii; oświadczam też z góry, że daleką jest odemnie wszelka myśl ubliżenia mu osobiście, ale miłość prawdy kazała mi tych słów nie pominąć. Czyż np. nie świadczy o nieznajomości istoty i zadań Kościoła, o nieznajomości elementarnych prawd katechizmowych, gdy autor twierdzi, że z góry orzeczono, (gdzie?) że wierzyć w dogmata jest jedynym celem człowieka; skoro to osiągnął, spełnił swoje zadanie i obojętną było rzeczą, co w nim samym podczas tej pracy umysłowej się dzieje; (?) — albo gdy odmawia zupełnie Kościołowi prawa nauczania i kierowania nauką w szkołach, jak gdyby pouczenie o najistotniejszych zagadnieniach człowieka nie było bożą misyą i obowiązkiem Kościoła! — albo gdy sądzi, że mistyka z natury swojej wrogą była dogmatom, jak gdyby mistyka nie była kwiatem na

gruncie dogmatu rosnącym i jak gdyby Kościół nie liczył tylu wielkich i świętych mistyków w poczcie prawowiernych synów swoich!

Czyż to nie jest sprzecznością, gdy autor z jednej strony przyznaje, że dogmatyzujący Kościół po dokładnem zbadaniu sprawy zatwierdził Gerhardytów czyli Hieronimitów, a mimo to zapewnia, że ich powstanie jest „wyswobodzeniem osobistości z pod niwelującego wszystko urzędowego szablonu na polu tak religijnem, jak polityczno-stanowem i naukowem?“.

Co więcej. Czyż to nie przekracza już granic i nie zakrawa na złą wolę, gdy autor np. powtarza, że Kościół starał się o „monopol szkolny?“. Wszak historya wykazuje i stwierdzają to decyzye soborów, że Kościół starał się zawsze wciągnąć we współkierownictwo i współopiekę nad szkołami, tak panujących jak i rodziny, bo takie współwychowanie wynika już z istoty chrystyanizmu. Prawda, że zrazu nie wielu Alfredów i Karolów znalazło się między panującymi, że przez długi czas niewiele rodzin pojmowało potrzebę szkoły, bo dzikie szczepy, przybyłe z wędrówkami narodów, nie tak prędko dały się na wskróś ucywilizować; czyż to jednak ma być winą Kościoła, przywłaszczeniem sobie monopolu, że o ile mógł uzupełniał zaniedbanie tamtych współczynników wychowawczych i o własnych zasobach zakładał i utrzymywał szkoły? Albo czyż to można nazwać walką o monopol, gdy później Kościół bronić się musi przed drugą ostatecznością tj. przed zupełnem wykluczeniem siebie ze współopieki nad szkołami i przeciw oddaniu szkół na monopol gmin lub państwa? Nie Kościół wynalazł monopol szkolny; wynalazł go jeszcze w starożytności absolutyzm państwa, później zaś adoptował go duch rewolucyi, posługujący się szkołą, jako narzędziem politycznem. Przeciw takiemu z gruntu niechrześcijańskiemu monopolowi Kościół walczyć musi, bo nigdy, ani w katakumbach nie zrzekł się misyi swojej od Boga sobie danej.

Autor też wypadki, w których gminy w myśl Kościoła współdziałały z nim w opiekowaniu się szkołami, uważa bez podstawy za walkę gmin przeciw Kościołowi o prawo nauczania, i dlatego ignorować musi fakt, że w szkołach miejskich uczyli przeważnie zakonnicy, i nie może wytłumaczyć inaczej jak przebiegłością Ko-

ścioła innego faktu: że nauczyciel świecki „liche dochody uzupełniał dochodami z kościoła jako organista, śpiewak kościelny i pogrzebowy!“. Czyż nie zakrawa na złą wolę podobne podsuwanie złych zamiarów tam, gdzie już faktu zaprzeczyć, ani ignorować nie można? Pomijając indywidualne zboczenia tego lub owego kapłana, lub klasztoru, karconych przez sobory i biskupów, powiedzieć można w ogólności, że tam tylko Kościół ścierał się z gminami, gdzie te ignorowały jego prawa do współopieki nad szkołą, i ze względów oszczędności lub z innych powodów najmowały nauczycieli takich, którzy byli całkiem nie odpowiedni do dobrego nauczania, do moralnego prowadzenia dzieci. A jakżeż sobie wytłumaczyć okoliczność, że autor nauczycielom wędrownym, z reguły szumowinom ówczesnego społeczeństwa, przyznaje „w dziejach padagogii wielką zasługę“ dlatego tylko, że mieli się usuwać z pod współnadzoru Kościoła, i walczyć przeciw niemu? Niewiadomo także, czy na seryo sformułował autor zarzut, że Kościół dopiero wtenczas wystąpił z teoryą „o monopolu szkolnym“, (gdzie?) gdy go zaczepiać poczęto. Czyż można żądać, aby ktoś bronił się pierwej, nim go zaczepią? Poprzednio sam duch chrystyanizmu aż nadto wyjaśniał prawa i obowiązki Kościoła w tym względzie.

W ciągu niniejszej pracy będziemy musieli potrącić jeszcze o niejedne twierdzenie autora, świadczące o nieznajomości Kościoła i istoty chrystyanizmu, a nawet o pozorach złośliwości. Z umysłu używamy tego wyrazu: „pozory złośliwości“, bo zaznaczyć chcemy, że bynajmniej nie myślimy samego autora posądzać o złośliwość; leży ona nie w nim, ale w źródłach, z których czerpał. Z radością podnosimy okoliczność, że sumienność, z jaką szanowny autor wymienia dzieła Raumera i Schmidta, jako wyłączne źródła swej pracy, uwalnia go od tak ubliżającego oskarżenia, a pozwala mu jedynie zarzucić brak naukowej krytyczności. Źródła jego cenione w świecie pedagogicznym, z powodu wydobycia na jaw i zestawienia mnóstwa faktów, tę mają jednak radykalną wadę, że tchną duchem tendencyjno-protestanckim, i dlatego w kwestyi pedagogii czasów na wskróś katolickich nie mają żadnej wartości przedmiotowej. Ignorowanie systematyczne faktów, świadczących korzystnie o działalności Kościoła, naciąganie innych faktów na niekorzyść katolicyzmu jest wybitną cechą znacznej większości historyków

i uczonych protestanckich. Dodajmy do tego zupełną nieznajomość istoty i zadań Kościoła katolickiego, niedbalstwo niepozwalające zaglądnąć choćby do elementarnego katechizmu katolickiego i pouczyć się o właściwej nauce, a ocenimy, ile można polegać na historykach protestanckich w kwestyach odnoszących się do Kościoła katolickiego. Nawet taki *Ranke*, jak to uwydatnia Janssen [1], nie próbował np. przekonać się, jak Kościół rozumie pojęcie prawne *irregularitas*, i twierdzi [2], że Dominikanie paryscy oświadczyli, jakoby zabicie tyrana ze strony księdza nie było wcale grzechem śmiertelnym, lecz tylko „nieprawidłowością".

Głośni Centuryatorzy magdeburscy, których dzieło: *Ecclesiastica historia integram ecclesiae Christi ideam... complectens* służy za podstawę licznych prac historycznych, zostali nawet wobec protestantów zdemaskowani przez protestanckiego krytyka *Baura*. „Centurye magdeburskie, pisze on, są najwierniejszym okazem staro-protestanckich zapatrywań, wynikających już z zasadniczej dążności reformacyi. W mniemaniu autorów cały rozwój Kościoła chrześcijańskiego prowadzi tylko do coraz większego zaciemniania. Papiestwo jest środkowym punktem coraz dalej rozpościerających się ciemności. Jak sami reformatorzy byli stanowczo o tem przeświadczeni, że papież jest antychrystem, tak i centuryatorzy widzieli w Kościele, o ile tenże od rzymskiego biskupa zawisł, jedynie tylko królestwo antychrysta, i najusilniej do tego jedynie dążyli, aby to królestwo antychrysta z całą surowością piętnować od jego początków i w jego powolnym wzroście, aż do szczytu, na którym je zastał protestantyzm". Następnie, wykazawszy złośliwość i bezpodstawność znanej bajeczki o Joannie papieżycy, tak dalej określa dążność Centuryatorów: „Wszystko, co kiedykolwiek papieże pomyśleli i zdziałali, stanowi razem tylko jedno niezmierne pasmo iście szatańskich zamysłów i dążeń. We wszystkich sporach, jakie mieli papieże z cesarzami i z królami, z biskupami i klerem, stają zawsze Centuryatorzy po stronie ich przeciwników, i kto tylko stawił czoło papieżom, kto tylko śmiało i wytrwale z nimi się spierał,

---

[1] An meine Kritiker. Freiburg 1882. Str. 70, 71.

[2] Französische Geschichte. 3-cie wydanie. Stuttgard 1877, t. I, str. 409.

ten już z góry staje w szeregu obrońców prawa i prawdy. Znać nawet, że pochwały udzielane przeciwnikom, wymierzane bywają jedynie w miarę oporu papieżom stawianego". A poparłszy to twierdzenie faktami tak kończy Baur. „Nie potrzeba nawet wykazywać, jak małe pretensye do prawdziwości historycznej może mieć takie pojmowanie i przedstawianie rzeczy. Gdzie jak tutaj ogólny pogląd nie bywa abstrahowanym z faktycznych danych, ale idea z góry powzięta jest normą oceniania wszystkich szczegółów, tam z góry nie można marzyć o przedmiotowości historycznego sądu"[1]... Słynny Schlosser[2] stawia szlachetnego biskupa Michała Sailera, pierwszorzędnego umiejętnego pedagoga, na równi z komedyantami, *(sic)* dlatego tylko, że był ex-jezuitą i wierzył w siłę modlitwy.

Niepodobieństwem byłoby wyliczać wszystkie błędy i fałsze historyczne zawarte w dziejach koryfeuszów historyografii protestanckiej, a więc w dziełach służących zazwyczaj za jedyne tło wszystkich drobniejszych podręczników historycznych. Poprzestajemy na podaniu ogólnej ich oceny ze strony niepodejrzanej o stronniczość, bo ze strony trzeźwiej myślących protestantów. I tak, Böhmer[3] wytyka: „Pisarze protestanccy są pełni niedorzecznych uprzedzeń... Ponieważ ja nie uważam papieża za antychrysta, a Rzymu za babilońską nierządnicę, pomawiają mię o brak patryotyzmu niemieckiego. Ów jednak *soi-disant* germanizm wydaje mi się raczej głupią nienawiścią katolików i serwilizmem wobec władzy świeckiej, którejby chcieli wolny Kościół oddać w poddaństwo. Nic zabawniejszego, jak uważać, w jaki sposób wszyscy ci sprytni i poczciwi ludzie stają się naraz głupimi i złośliwymi, gdy się poruszy coś o katolicyźmie".

W obec takich faktów i zeznań, pojmiemy doniosłość słów de Maistra, że „od trzech wieków historya jest tylko wielkiem sprzysiężeniem przeciw prawdzie"; pojmiemy ogromne znaczenie faktu, że Leon XIII otworzył archiwum watykańskie dla badaczy

---

[1] J. Chr. Bauer. Die Epochen der kirchlichen Geschichtsshreibung, Tübingen 1852, str. 46–61.

[2] Schlosser. Geschichte des 18. Jahrhunderts. III 288.

[3] Jenssen: John Fr. Böhmers Leben, Briefe u. kleine Schriften. 1868, II 447, 491. III 145.

historyi. Ale to nam również pozwala ocenić wartość przedmiotową rozprawy, która sądzi o Kościele i jego działalności jedynie na podstawie dwóch tendencyjnych protestanckich źródeł, nie zaczerpnąwszy informacyi nawet w katechiźmie katolickim. Autora złudziła śnać naukowa powaga, jakiej te dzieła zażywają; zapomniał, że tylko Panu Bogu bezwzględnie się wierzy, w stosunkach zaś ludzkich zawsze liczyć się trzeba z namiętnościami i ich wpływem na zdania. Zresztą i autor zaznacza w jednem miejscu, że Luter i reformacya wywarły na pedagogię wpływ ujemny, co się wręcz sprzeciwia zapatrywaniom Raumera i Schmidta. Widać więc, że sam uznał tendencyjność owych pism; czemuż niestety tak rzadko zastósował ów zmysł krytyczny? Żywimy nadzieję, że w przyszłych pracach szanowny autor będzie szczęśliwszym i przyniesie rzetelny pożytek dla badań naukowych.

Ale wróćmy już do naszego założenia i patrzmy, jak Kościół w życie wprowadza swe zasady wychowawcze. Kościół nie zaczął, — jak tylu nowatorów — od burzenia wszystkiego co było przed nim. Jakkolwiek brzydził się pogaństwem, jednak skorzystał z jego wiekowych doświadczeń i zdobyczy, odróżniając troskliwie dobre od złego. *Omnia probate, quod bonum est tenete*[1] — oto zasada, przez którą chrystyanizm wcielił w siebie i uszlachetnił wszystko, co było dobrego u starożytnych, a więc i to wszystko, co było dobrego pod względem wychowania u myślicieli pogańskich — zasada z której Kościół szeroki robi pożytek we wszystkich wiekach, i narodach, chroniąc przez to indywidualizm ludów i bogacąc się niezliczonemi doświadczeniami, — zasada, przez którą Kościół staje zawsze na szczycie cywilizacyi, unikając jej każdoczesnych zboczeń przez normę prawd i zadań objawionych.

Z pierwszych wieków chrześcijaństwa podaje nam historya liczne objawy bohaterskiej stałości i najwznioślejszych cnót, jakiemi odznaczają się nowochrzczeni członkowie zgniłego na wskróś społeczeństwa. Jestto fakt niezaprzeczony, stwierdzony krwią kroci tysięcy męczenników, który budzi podziw, tembardziej, im dokładniej zważy się jego ogólność i trwałość. Dzieje męczeńskie wymieniają

---

[1] „Wszystkiego doświadczając, co dobre jest, dzierżcie. I. Tess. 5, 21.

niejednokrotnie nawet dzieci wprawiające katów w osłupienie swą roztropnością i stałością. Na tę stanowczą poprawę życia, jako na główny dowód prawdziwości religii chrześcijańskiej powołuje się publicznie już św. Justyn (w pierwszej połowie II wieku) w apologii[1] wręczonej imperatorowi Antoninowi i jego dwom synom adoptowanym, a zaciągniętej w akta publiczne senatu. Tamże wykazuje św. Justyn wyższość chrystyanizmu nad pogaństwem i w tem, że religia chrześcijańska nie pozwala wyrzucać dzieci na skały, ale się niemi opiekować każe.

Jakim cudem dokonał Kościół tak stanowczej przemiany moralnej? Uwydatniła się tu najlepiej niepojęta siła Sakramentów św. i innych środków nadnaturalnych, które odradzają nawet tam, gdzie zabiegi ludzkie są bezsilnemi.

Kościół jednak i środków naturalnych nie zaniedbał. Zaprowadził on katechumenat i w nim przygotowywał pogan do przyjęcia Sakramentów, w nim nauczał prawd objawionych, w nim zwłaszcza odzwyczajał pogan od wkorzenionych narowów, a zaprawiał do cnót chrześcijańskich. Katechumenat był instytucyą głęboką, wychowawczą i w miarę indywidualizmu katechumena trwał przez dwa, trzy i więcej lat. O św. Marcinie biskupie turońskim np. czytamy, że przez 8 lat był katechumenem! Tam wychowywał Kościół rodziców, a przez rodziców dzieci. Tam to uczyli się rodzice na samych sobie należnego zużytkowania wszystkich pomocniczych, a niezawodnych środków umoralnienia. Tam uczyli się oni praktycznej pedagogii skuteczniej niż z najlepszych dzieł. Stamtąd wzięła początek owa tradycya wychowawcza chrystyanizmu żyjąca w każdej rodzinie chrześcijańskiej, stwierdzana i wzbogacana codziennem doświadczeniem, ożywiana i prostowana kazaniami, Sakramentami św. i innemi środkami Kościoła, owa tradycya wychowania, dążąca świadomie do celu i uwieńczona tak świetnemi rezultatami. Uwydatnienie wychowania rodzinnego, wychowania otaczającego dziecię ciepłem macierzyńskiem i powagą ojcowską, a zarazem nie zbaczającego na bezdroża, ale kierowanego przez Kościół, jest wybitną cechą praktycznej pedagogii Chrystyanizmu.

---

[1] Apolog. n. 14, 27—29.

Aby zaś żadne dziecię nie było pozbawionem dobrodziejstw takiego wychowania, Kościół ustanowił jeszcze instytucyę chrzestnych rodziców, stwarza pokrewieństwa duchowe, przez co sieroty znalazły drugich rodziców, których świętym obowiązkowem było wychować je po chrześcijańsku, i względem których miały wszelkie prawo powtórzyć błogie nazwy ojca, matki, syna, córki. Któż obliczy dobrodziejstwa, jakie z tej instytucyi spłynęło na biedne, osierociałe dzieci. Zdarzało się jednak, że i rodzice chrzestni ginęli śmiercią męczeńską; w tym razie Kościół uciekał się już do miłosierdzia wiernych i starał się, aby dziecko przyjęto za swoje w jakiej uczciwej rodzinie.

Skoro zaś tylko w IV wieku chrystyanizm otrzymał swobodę publicznego rozwijania się, zaraz powstaje zakon Bazylianów, któremu reguła każe także przyjmować na wychowanie sieroty bez różnicy płci. Sieroty te miały znaleść w zakonie życie rodzinne i mogły zostać albo zakonnikami, albo tylko wyćwiczyć się w ówczesnych umiejętnościach lub rzemiosłach. Duch całej instytucyi widnieje najlepiej z reguły zakonnej napisanej przez samego św. Bazylego, arcybiskupa Cezarei. „Ponieważ Pan mówi: *Dozwólcie maluczkim przyjść do mnie*, a Apostoł chwali tego, który *z dziecińśtwa umie Pismo św*, i poleca wychowywać dzieci w karności i grozie Pańskiej, sądzimy, że godzi się przyjmować i tych, co się w latach dziecinnych zgłaszają. Nie mających rodziców przyjmujmy ochoczo, abyśmy się stali na wzór Joba ojcami sierót; tych zaś, którzy mają rodziców, przyjmujmy w obec licznych świadków dopiero wtenczas, gdy ich sami rodzice przyprowadzą... Mają być wychowani we wszelkiej pobożności i z życzliwością, jakby wspólne dzieci zakonników. Oprócz tego wszystkie dzieci, czy to są chłopcy, czy dziewczęta, mają mieszkać w osobnych domach i mieć oddzielne pożywienie“ [1].

Między rokiem 330 a 337 powstaje pierwszy dom sierót *(orphanotrophium)* w Konstantynopolu, którego pierwszym kierownikiem jest Zoticus, a po nim Nicon i Gampson. W Rzymie zakładał św. Grzegorz Wielki w r. 590 szkołę śpiewaków, która była

[1] Regulae tractat. int. XV. Wydania zupełnego tom II, str. 496. W Paryżu u braci Gaume 1839.

zarazem zakładem sierót i wysyłał na całe Włochy legatów, aby w jego imieniu zajęli się sierotami. A gdy i te starania nie wystarczały, zakładano jeszcze *Xenodochia*, gospody dla obcych, w których opiekowano się sierotami, ubogimi i obcymi wędrowcami. Cesarze Leo (457) i Aufemius (467) uwalniają te gospody od wszelkich opłat sądowych. Kapitularze kościelne powierzają wyraźnie pieczę nad sierotami duchownym i rozróżniają już domy sierót od domów podrzutków [1].

Że zaś głównem niebezpieczeństwem dla młodzieży chrześcijańskiej musiało być uczęszczanie do szkół pogańskich, wcześnie Kościół, bo jeszcze przed uzyskaniem swobody, w przerwach między prześladowaniami, postarał się o zakładanie szkół czysto chrześcijańskich. Akademie, które w starożytnym świecie były głównemi nauki siedliskami, zwróciły się w II w. po Chr. do neoplatonizmu, z wyraźną tendencyą zwalczania chrześcijańskich pojęć. Kościół więc, chcąc zaradzić zgubnemu wpływowi, jaki te akademie wywierały na młodych chrześcijan, wpływowi, którego szkodliwość najlepiej ocenić można w życiu św. Augustyna, postarał się już w II wieku o założenie podobnych akademij chrześcijańskich. Uczniowie mieli się nauczyć języka klasyków i mieć sposobność wykształcenia się we wszystkich znanych wówczas umiejętnościach, a uchronić się przed wyssaniem zasad staro i nowo-pogańskich i zaznajomić się naukowo z duchem chrystyanizmu. Tak powstała w Aleksandryi tak zwana szkoła katechetów i wnet nabrała światowego rozgłosu. Jak świadczy św. Grzegorz Cudotwórca w pochwalnej mowie na cześć mistrza swego Oryginesa, męża dziwnej uczoności i żelaznej pracy, uczono tam najpierw dyalektyki i historyi naturalnej, następnie geometryi, astronomii, potem etyki chrześcijańskiej, przy której czytano klasyków, wyłączając ustępy ziejące bezbożnością i zaznajamiano ucznia ze wszystkiemi systematami filozoficznemi. W końcu podawano wykład Pisma św. W III wieku podobnie słynna szkoła powstała w Antyochii, a w IV w Edessie. Nad czystością nauki w tych szkołach czuwał miejscowy biskup.

Zabezpieczywszy w ten sposób wiernych przed niebezpieczeństwami ze strony szkół pogańskich, zaczął Kościół rozwijać ideę

[1] Zob. Real-Enc. d. Erziehungswesens Ralfosa i Pfistera. IV, 763.

oświecenia wszystkich ludzi przez elementarne nauczanie prawd religii, oraz wszystkiego, co pomocnem być mogło do lepszego zużytkowania darów przez Boga każdemu człowiekowi udzielonych, a więc przez nauczanie czytania, pisania i śpiewania psalmów. Już z drugiej połowy II wieku wiemy o takiej szkole elementarnej założonej przez kapłana Protagenesa w Edessie; brak źródeł z owych czasów nie pozwala jednak sądzić o liczbie owych szkół. Jak świadczy Apologia publiczna Tertuliana w III wieku, chrześcijanie kartagińscy przewyższali znacznie pogan w nauce. To pewna, a uwydatnia to zwłaszcza działalność św. Augustyna, że w miarę tego, jak chrystyanizm otrzymywał większą swobodę czynów, zakładali biskupi w swych stolicach szkoły dla kształcenia kapłanów, a ci za ich przykładem gromadzili koło siebie dziatwę celem elementarnej nauki.

Ów rozwój wychowania i szkół napotkał znów na przeszkody, sądząc po ludzku niepodobne do zwalczenia ze strony wędrówek narodów oraz przez prześladowanie kleru ze strony ówczesnych heretyków. Długie wieki krwawych wywrotów usunęły z widowni świat starożytny, a napełniły Europę narodami nawpół dzikimi, gardzącymi oświatą podbitych i ufającymi jedynie w przemoc brutalną. Kościół pomny swej misyi nie zraża się trudnościami, ale po dejmuje się nawrócenia i przerobienia moralnego owych dzikich synów natury. Znów płynie krew męczenników, ale siła duchowa bierze górę nad brutalną. Kościół wreszcie pociąga owe narody na łono chrystyanizmu i uwzględniając ich zwyczaje, pracuje bez wytchnienia przez całe wieki nad ich zupełnem przerobieniem moralnem. Któraż pedagogia przebyła tyle ogniowych prób, co pedagogia chrystyanizmu? Kto genezę pedagogii rozpoczyna dopiero od ustalonych stosunków społecznych w połowie średniowiecza, ten opuszcza moment najwybitniejszy, najwięcej pouczający pod względem pedagogicznym, bo historyę wychowania i ucywilizowania całych narodów. Gdybyśmy obfitsze mieli źródła historyczne z onych czasów, widzielibyśmy niewątpliwe owe nieodzowne szkółki klasztorne i parafialne, to ginące pod falą nowego najazdu, to odrastające wnet po przejściu fali. W każdym razie synody urządzane w czasach chwilowego ułożenia się stosunków, — przypominają obowiązek zakładania takich szkółek wszędzie, gdzie

się tylko ostał duszpasterz. I tak, sobór powszechny konstantynopolski w r. 681 (n. 5) każe duszpasterzom *per villas et vicos*, gdzie tylko kościół się znajduje zakładać i utrzymywać takie szkoły. To samo stanowią synody w Toledo, w Vaiton (w Anglii) r. 443, w Orange i w Valence r. 529.

Równocześnie zwracają biskupi coraz pilniejszą uwagę na odpowiedne wykształcenie kleru. Benedyktynom, zakonowi, który wówczas największe Kościołowi oddawał przysługi, przepisuje reguła, by w każdym klasztorze utrzymywano szkołę dla kształcenia przyszłych braci, do których to szkół praktyka wnet dodała szkoły zewnętrzne, dla kształcenia dzieci bez różnicy stanu. Od panujących i od gmin nie miał w tym czasie Kościół pomocy; jakkolwiek nie omieszkiwał ich do tego nawoływać. Chwilę, kiedy panujący stają się posłuszni temu głosowi i szczerze popierają szkolnictwo, uważać można za epokę w historyi pedagogii, jakkolwiek chwila to istotnie ze względu na genezę rzeczy powiedzieć trzeba, nie rozszerzyła bynajmniej treści pedagogii chrześcijańskiej, pozwoliła jednak ocenić jej wartość. A z drugiej strony jeszcze więcej uzasadnił tę wartość, niewzruszoność zasad chrystyanizmu i ich wartość wychowawczą, zawisłą ściśle od nieodrzucania ani jednej prawdy objawionej, wykazał dosadnie fakt zaskorupienia w czczym formalizmie, w jaki popadło ucywilizowane już poniekąd społeczeństwo bizantyńskie przez to, że odrzuciło niektóre zasady religii katolickiej, zwłaszcza że uległo wszechwładztwu państwa.

Wypada wreszcie oglądnąć się za śladami literatury pedagogicznej z owych czasów. Niewiele ich zdołało się ostać wśród kilkuwiekowej zawieruchy wojennej, ale i te, które się do nas przedostały, świadczą dobitnie o nader ożywionym ruchu umysłów w sprawie wychowania i nauczania. Zabytki te są teoretycznem zestawieniem zasad pedagogicznych głoszonych przez chrystyanizm i wyjaśniają z reguły te prawdy, które sofisterya pogan lub heretyków zaciemniała, albo też uwydatniają zasady, których ścisłe przestrzeganie stało się podwójnie ważnem ze względu na panujące wady czasu. Zabytki te zwane krótko literaturą Ojców Kościoła, są więcej treści pedagogicznej niż dydaktycznej, i przeważna ich część odnosi się do momentu religijnego; nie brak jednak i wskazówek dydaktycznych, czerpanych z doświadczenia. Nie możemy

tu oczywiście podawać szczegółowych sprawozdań ze wszystkich pism, musimy poprzestać na krótkiej o niej wzmiance, a streścimy tylko zasady przedstawicieli pewnych wytycznych kierunków; o ich wartości zaś niech da wyobrażenie ocena, jaką one zdobyły sobie nawet u słynnego protestanckiego teologa Palmera [1]. Pisze on: „W pierwszych wiekach Kościoła widzimy ślady, że pedagogiczna siła chrystyanizmu uwydatnia się także w samowiedzy tem jaśniej, im dłużej działa. Choć niezwykle to brzmi w ustach protestanta mówić o pedagogice Ojców Kościoła, przecież przyznać trzeba, że istnieje pedagogika tego rodzaju i że jest ona bogatszą, niż sobie wielu marzy". Wspomina też z uznaniem o dziele Klemensa Aleksandryjskiego p. t. *Paedagogus*, następnie mówi o konstytucyach apostolskich, o dziełach św. Chryzostoma, Bazylego, Augustyna, Grzegorza Wielkiego a zwłaszcza Hieronima. Dodajmy do tego dzieła św. Cypryana, Cyryla Jerozolimskiego, Grzegorza Nysseńskiego, św. Ambrożego, Grzegorza Nazyaneńskiego, Eunodyna, Boecyusza, Kassyodora, dodajmy liczne uwagi porozrzucane w pismach innych jeszcze Ojców Kościoła, a jeśli nadto zwrócimy uwagę, że wiele cennych może pism zaginęło wśród zaburzeń wojennych, a łatwo poznamy, jak mylnem jest rozpoczynanie genezy pedagogii dopiero od połowy średniowiecza. Wszak sami pedagogowie średniowieczni bardzo często powołują się na Ojców Kościoła i z nich czerpią najcenniejsze zasady! I w rzeczy samej, już te pisma Ojców, które do rąk naszych doszły, nie pomijają milczeniem żadnego ważniejszego działu pedagogii. Pomijamy zupełnie upominania do sumiennego wychowania dzieci w rodzinach, które napotykamy już u Hermesa [2], wskazówki spisane z czasów apostolskich, u św. Polikarpa [3] i u tylu innych Ojców Kościoła, wystarczy przyjrzeć się dziełu Klemensa Aleksandryjskiego p. t. *Paedagogus* napisanym z końcem II wieku. Dzieło to nie mówi bezpośrednio o wychowaniu dzieci, ale określa jasno w części pierwszej

---

[1] Evangelische Paedagogik. Prologomena, (w Real-Encyclopädie des Erziehungs u. Unterrichtswesens, Rolfusa i Pfistera, t. III, str. 31. Moguncya r. 1874).

[2] W dziele p. t. „Pastor".

[3] W liście do Filipensów.

cel wychowania chrześcijańskiego i zestawia przewodnie idee wychowania na wzorze wychowania ludzkości przez Słowo Boże. W części II uczy o obowiązkach chrześcijan co do ciała, a w części III o różnych środkach i sposobach wychowania duchowego z uwzględnieniem stosunków ówczesnych. Dzieło to, jako dedukcya z prawd objawionych, służy za podstawę późniejszym pracom pedagogicznym i przez ścisłe zestawienie istotnych podstaw wychowania wprowadza z góry związek wewnętrzny w szczegółowe uwagi wielu Ojców Kościoła. Apostolskie konstytucye, napisane w III lub IV wieku, są wypływem życia praktycznego, uświęconego już przez religią chrześcijańską. Liczą się one widocznie z faktem, że wychowanie fizyczne zwyczajem odziedziczonym od starożytnych kwitnęło w całej pełni, a natomiast zaniedbanem było całkiem wychowanie moralne, i dlatego uwydatniają szczególniej potrzebę tego ostatniego i grożą sądem Bożym rodzicom niedbałym. Karność i pouczanie, zwłaszcza religijne, oraz wyrabianie przyzwyczajenia „biegłości w cnotach, oto naturalne środki wychowania".

Św. Cypryan w III wieku kładzie nacisk na przyzwyczajanie młodzieży do chrześcijańskiego posłuszeństwa i podaje definicyą wychowania, w której zawiera się zadanie pedagogii chrześcijańskiej. Wychowanie jest u niego stróżem nadziei, dźwignią wiary, zbawiennym przewodnikiem na drodze życia, krzewicielem szlachetnych zdolności, nauczycielem cnoty sprawiającym, że trwamy przy Chrystusie Panu, słuchamy Boga i czynimy się godnymi obietnic Boga, jakie się nam dostały w udziale.

Współczesny św. Cypryanowi Dyonizy Aleksandryjski w liście *de gymnasio*, przestrzega chrześcijan przed niebezpieczeństwem moralnem, grożącem młodzieży z pogańskich ćwiczeń fizycznych obrażających wstydliwość.

Św. Bazyli w IV wieku w regule nadanej zakonowi przez siebie założonemu uwzględnia już wyraźnie wychowanie tak moralne i intelektualne, jak fizyczne. Przy wychowaniu moralnem uwydatnia siłę przykładu tak dalece, że każe sierotom mieszkać osobno od zakonników, i tak tłumaczy owo zarządzenie: „Dzieci mają mieszkać w osobnych domach i mieć osobne pożywienie, aby... z okazyi kar nakładanych zakonnikowi za zaniedbanie obowiązków, (gdyby takie zaniedbanie miało się zdarzyć) nie nabyły pochopności do

grzeszenia, lub nie wzbiły się w próżność, widząc starszych uchybiających w tem, w czem one dobrze postępują".

Kładzie on wielką wagę na ćwiczenia dzieci praktyczne i ćwiczenia te, o ile się odnoszą do pobożności, każe odbywać wspólnie z bracią zakonną, bo „dzieci zwykły się kruszyć przykładem starszych, starszym zaś obecność dzieci niemałą będzie w modlitwie pomocą". Każe dzieciom ściśle czas rozdzielić. Przestrzega przed zbytniem spoufaleniem się z dziećmi, ale też zabrania zbytniej surowości. „Kierownictwo nad dziećmi musi być powierzone komuś starszemu, górującemu doświadczeniem ponad wszystkimi, a zarazem znanemu z cierpliwości, aby łagodnością ojcowską i trafnem przedstawieniem poprawiał zboczenia młodzieży i podawał szczegółowe środki zaradcze na każdą wadę". Nagrody i kary zaleca nie sztuczne, lecz naturalne, wypływające wprost z postępków ucznia i wprost przeciwne jego wadom tak, aby zarazem i grzech był karcony i dusza doznała ćwiczenia w tem, co do jej spokoju i równowagi prowadzi. „Np. zgniewał się ktoś na swego rówieśnika, „niech go przeprosi i niech usłuży w czemś stósownie do przekro„czenia! Albowiem przyzwyczajenie do pokory gasi niejako gniew „duszy, przeciwnie zaś wzbicie ducha w próżność, zazwyczaj gniewby „sprowadziło. Jadł ktoś potrawy poza czasem przepisanym — niech „pości przez znaczną część dnia! Jadł ktoś nad miarę lub w nie„przyzwoity sposób, niech nie je w czasie wspólnego posiłku, ale „niech się przypatrzy tym, którzy jedzą przyzwoicie! Tak bowiem „i we wstrzemięźliwości się wyćwiczy. Powiedział kto coś niepo„trzebnego, obelgę, kłamstwo, albo w ogóle coś zakazanego, niech „będzie ukarany postem i milczeniem"!

Czyż takie uwzględnianie ustawicznego zajęcia, oraz uczuć uszanowania i miłości, a wreszcie ambicyi, nie świadczy najdobitniej o głębokiem wniknięciu w naturę duszy dziecięcej? Kwestyę uczenia się klasyków św. Bazyli, — mąż pod względem klasycznym nader wysoko wykształcony, tak rozwiązuje, iż nie znajdował podówczas równych sobie, chociaż ją już w drugim wieku postawiła i rozwiązała „szkoła katechetów" w Aleksandryi. Czego nauczać? aby przyswoić uczniom sposób wyrażania się klasyków a ustrzedz ich przed jadem błędów, ukrytych w ich dziełach? Szkoły katechetów mając do czynienia z ludźmi dorosłymi, rozwiązały tę kwestyę

na korzyść klasyków, tj. kazały zapoznawać z ich filozofią i czytywać ich dzieła, tylko przy czytaniu opuszczać ustępy więcej niemoralne. Światły arcybiskup, jakkolwiek nie bardzo był za tem, ażeby bracia zakonni zwłaszcza młodsi oddawali się studyom klasycznym, to jednak w ogólności bardzo był za tem, ażeby świecka młodzież na klasykach starożytnych greckich kształciła się, jak to okazuje się z niezrównanej jego mowy: Πρὸς τοὺς νεους· ὅπας ἄν ἐξ 'Ελληνικῶν ὠφελοῖντο λόγων, w której dowodzi, że te studya, wyrabiając wszechstronnie człowieka, uzdolniają go, by i w wyższej sferze stał się łaski Bożej narzędziem, oraz pokazywał, że w tej choć pogańskiej literaturze, nie brak i dla serca idealnego pokarmu.

Pod względem metody nauczania i rozwoju formalnego władz poznania, takie podaje przepisy: „Trzeba wyznaczać nagrody za zapamiętanie tak nazw, jak rzeczy, aby uczniowie osiągali cel nauki wesoło i niejako wśród rozrywki umysłowej, bez żadnego trudu, bez uciążliwego przymusu. Dobrze prowadzeni łatwo nawykną do uwagi umysłu i do unikania roztargnień, jeżeli nauczyciele będą ich ustawicznie zapytywać o zdanie sprawy z tego, o czem myślą". Rozstrzyga także kwestyę, kiedy trzeba rozpoczynać wychowanie duchowe, moralne i intelektualne i podporządkuje podane dotąd wskazówki pod ogólne środki wychowawcze. A mianowicie nakazuje: „Od początku zaraz potrzeba ducha wprawiać do wszystkiego dobrego, dopóki jeszcze da się snadnie urabiać, dopóki jest delikatny i na kształt miękkiego wosku przyjmuje na się bez żadnego trudu formy rzeczy sobie przedstawionych. Gdy rozum na jaw wystąpi i połączy się z nawyknieniem osądzania wszystkiego, wówczas z rzuconych na początku zasad i przekazanych form pobożności zacznie się rozwój właściwy, przyczem rozum będzie poddawał to, co jest pożytecznem, a przyzwyczajenie spowoduje łatwość dobrego wykonania [1].

---

[1] Słowa te są tak ważne, że podajemy je w oryginalnem brzmieniu: „Εὔπλαστον οὖν ἔτι οὖσαν καὶ ἁπαλὴν τὴν ψυχὴν καὶ ὡς κηρὸν εὔεικτον, ταῖς τῶν ἐπιβαλλομένων μορφαῖς ῥᾳδίως ἐκτυπουμένην, πρὸς πᾶσαν ἀγαθῶν ἄσκησιν εὐθὺς καὶ ἐξ ἀρχῆς ἐνάγεσθαι χρὴ ὥστε τοῦ λόγου

Zastanowiwszy się nieco nad zwięzłym a głębokim sposobem wyrażania się św. Bazylego spostrzeżemy, że wymienia on w ogóle dwa naturalne środki wychowania: rozwijanie rozumu i przyzwyczajenia. Środki te w stosunku do rozwoju duszy ludzkiej każe rozważać w dwóch epokach: 1) w wychowaniu elementarnem, gdzie rozwój rozumu ogranicza się na podaniu głównych zasad, a przyzwyczajenie moralne występuje przeważnie jako przyzwyczajenie do pobożności, 2) we wychowaniu, że tak powiem młodocianem, którego główną cechą ma być samodzielny rozwój, ułatwiany przez kształcenie rozumu i wyrabianie sądu krytycznego, oraz przez nieprzerwane przyzwyczajanie do dobrego. Jak zacząć kształcenie rozumu wskazywały przepisy o nauczaniu, jak rozumieć i przeprowadzić przyzwyczajenie, wskazują przepisy szczegółowe o wyzyskaniu siły przykładu, zajęcia, ambicyi i głównych uczuć dziecięcych: uszanowania i miłości. W streszczeniu tu podanem nie zestawialiśmy urywków według dzisiejszego sposobu zapatrywania się naukowego, ale podaliśmy je tak, jak przedstawiają się w oryginale. Tuż po tych zasadach dodaje św. Bazyli polecenie, aby sieroty okazujące odpowiedne zdolności uczono rzemiosł; nie pomija więc i wychowania fizycznego. Dodatkowo [1] określa jeszcze św. Bazyli sposób, jak się mają z uczniami obchodzić nauczyciele rękodzieł lub sztuk pięknych. Przepisuje on: „Gdyby uczniowie uchybili w zakresie rękodzieła, to powinni nauczyciele owych rękodzieł prywatnie zganić błąd i poprawić złą robotę. Wszystkie zaś winy świadczące o zepsuciu obyczajów, jak upór, złośliwość, lenistwo w pracy, niepotrzebne mowy, kłamstwo i t. p. rzeczy, zakazane pobożnym, mają opowiedzieć wspólnemu kierownikowi dziatwy, aby on osądził, w jakim stopniu i w jaki sposób grzech leczyć potrzeba. Skoro bowiem kara jest lekarstwem duszy, to nie ktokolwiek ma karać, równie jak leczyć, lecz kierownik i ten, któremuby to kierownik po dokładnem zbadaniu powierzył“.

προσγενομένου, καὶ τῆς διὰ κριτικῆς ἕξεως προσελθούσης, δρόμον ὑπάρχειν ἐκ τῶν ἐξ ἀρχῆς στοιχείων, καὶ τῶν παραδοθέντων τῆς εὐσεβείας τύπων, τοῦ μὲν λόγου τὸ χρήσιμον ὑποβάλλοντος, τοῦ δὲ ἔθους εὐμάρειαν πρὸς τὸ κατορθοῦν ἐμποιοῦντος.

[1] Tamże int. 53, str. 556.

W innem dziele[1] pozwala nawet św. Bazyli na przyjęcie nauczyciela świeckiego, gdyby nie było kierownika stosownego między zakonnikami lubo to czyni niechętnie ze względu na nadwątlenie dyscypliny zakonnej. Świadczy to najwymowniej, do czego był gotów w trosce o dobre wychowanie.

Zaiste! podziw musi budzić to nader zwięzłe, a przecież nie tylko w głównych zarysach, ale i w tylu szczegółach wykończona teorya pedagogii i praktycznej dydaktyki. Wysnuta z jądra chrystyanizmu świadczy ona zarazem o tak głębokiem wniknięciu w rozwój duszy dziecięcej, że z wieku IV zdaje się nas przenosić w wiek XIX! Zważmy zarazem, że była to nie teorya prywatnego jakiegoś filozofa, przebrzmiewająca bez śladu w ciasnem kółku słuchaczy, ale nauka księcia Kościoła posiadającego nadzwyczajne znaczenie w całym świecie katolickim, imponującego nawet aryańskim cesarzom w Konstantynopolu, a więc niezaprzeczenie wywierającego silny wpływ na stosunki chrześcijan; zważmy przedewszystkiem, że jestto reguła zakonna, służąca przez długie wieki za nieprzekraczalną normę działania dla tysięcy braci, a zyskamy znów jeden promyk tłumaczący świetne owoce pedagogii chrystyanizmu.

(C. d. n.)

Ks. Gadowski.

[1] Regulae brevius tractatae int. 292, II 740.

NASZE SIOŁO.

STUDYUM ETNOGRAFICZNE.

(Dokończenie).

Z doli swojej widać chłop dość jest zadowolniony, skoro w żartobliwej piosnce tak ją określił:

A nima to, nima, jako chłopu na wsi,
urznie psu ogona, kapuste omaści[1]. (Z.)

A w innej znowu mówi:

W poniedziáłek zimiáki,
a we wtorek buráki,
ani mięsa nie jádám,
ale dobrze wyglądám. (S.)

Gdy bieda dopieka, niema jak gorzałki wypić:

Nie trać fantazyje! choć cie bida bije,
napij sie gorzálki! wszystko cie ominie. (Z.)

Gorzálecka tronek,
dobrá na frasonek,
kto gorzálkę pije,
to sie nie frasuje. (S.)

Do czego chłopa gorzałka doprowadza, to nie tylko z życia ale i z pieśni widać:

Dobrá gorzálecka u zyda, u zyda,
skoro przydzie płacić, to biéda, to biéda. (Zb.)

[1] Powszechne.

Inna znów śpiewka zaczyna się od słów:

„Gorzáłecke piulbym a fajke kurzyłbym...“

I jeszcze inna:

Kielisek bracisek, kwatyrecka siostra,
ręka przyjaciółka do gęby zaniesła. (Z.)

Piják ci já, piják, wielgá pijanica,
przepiułek konika swojego rodzica. (Zb.)

Jak ci já se umrę, schowajciez mie w mieście!
śtyry becki gorzálecki nademną powieście!
A já sobie wstanę,
baryłki dostanę,
baryłke rozbiję,
gorzałke wypiję. (S.)

Wódka jest ważnym czynnikiem w życiu chłopa, bez niej żadna ważniejsza sprawa się nie obejdzie. Ona wszczyna zwady, spory i bitki lub je łagodzi, w zalotach i swatach niepoślednią gra rolę; przy każdej uroczystości i zabawie pierwszorzędną gra rolę. I śpiewać bez niej trudno:

Kázali mi śpiéwać,
já nimoge ziwać,
boli garło,
śpiwać darmo,
trzeba go zalywać. (Z.)

Obok pociągu do wódki i zamiłowania w śpiewie, objawia się w usposobieniu chłopa silny pociąg do tańca. Śpiewa on z entuzyazmem:

Choćby mi zagrali,
nigdy nie ustali,
toby já se táńcuł,
nigdybym nie skończuł. (Z.)

W innej piosnce apoteoza tańca i muzyki wszelkie już możliwe granice przechodzi.

Kto pije, táńcuje, na muzycki daje,
ten sie ze świentemi do nieba dostaje. (S.)

Niech tylko skrzypki utną w karczmie, to ledwo serce parobkom i dziewkom nie wyskoczy z piersi. Zaraz Jasiek lub Wicek staje ze swoją „tanecznicą“ przed muzyką i rzuciwszy do basów pieniądz „takiego“ każe grać skrzypkowi:

1. O grájciez mi! grájcie wsystkie śtyry strony!
niek já sie uciesę, pokil nimám zony. (Zb.)

2. Ach! odmień, Jasiu! odmień! bo mie nozki bolą.
— A já se nie odmienie, bo mám taką wolą. (Z.)

Za tancerzem pierwszym tańczą te pary, które on do tańca poprosił. Im więcej zapłacił, tem mu dłużej skrzypki grają — zdarza się, że i pół godziny trwa jeden taniec i wciąż jedne i te same pary tańczą bez odpoczynku.

W karczmie tłum, gwar — przy szynkfasie ciżba, Jekiel czy Mośko nalewa i nalewa, i to bierze pieniądze, to kredą dług pisze.

Przy muzyce czasem powstanie zwada o taniec między parobkami — kto pierwej zapłacił? Niekiedy biedny skrzypek w niemałych opałach a i na szturchańce musi być gotowy. Pocóż się opiera następnej grzecznej prośbie:

Zagrájze mi! zagráj, mój skrzypecku, ładnie!
bo já ci zapłacę, jas ci cápka spadnie. (S.)

Jesień to czas muzyki, tańca, wesel — czas odpoczynku po skończonej pracy gospodarskiej, po „zbiórkach". Chłop wtedy ma co jeść, ma pieniądze za sprzedane zboże — może się bawić.

Skoro przyjdzie jesień,
włoze ręce w kieseń,
a jak przyjdzie zima,
juz mie w doma nima. (Z.)

Gdy liście z drzew opadają i ziemia szarą jesienną barwę przybiera, w siole robi się gwarniej. Najpiękniejsza to pora w polskiej wsi. Przez sioło wtedy na konikach jedzie dwóch drużbów strojnych w bukiety za kapeluszami, wywijają siekierkami, u których brzęczą mosiężne witki i chusteczka powiewa z kolorowym krajem i śpiewając weselną śpiewkę:

Jak pojedzies bez wieś, zdym se magiereckę,
pokłoń sie matusi dostanies córeckę.
Nie wiécie chłopácy, jak dziewcyny dostać,
matusi obłapić, po gorzáłkę posłać;
matusie obłapić obiemi rąckami,
po gorzáłkę posłać ze dwiema flaskami[1]. (S.)

Jadą na wesele prosić gości. A z chat ciekawe wychylają się głowy.

[1] Powszechna

Za kilka dni — wieczorną porą — ruch i gwar powstaje w siole. „Obigrávka idzie!“ — mówią wszyscy. „Teráz są jesce w karcmie“. Więc z karczmy, która jest miejscem zbornem, wychodzą drużbowie z muzyką otoczeni wiejską zgrają. Skrzypki tną od ucha, bas buczy, nad nimi góruje klarnet — a drużbowie idą przodem w pląsach i z śpiewaniem. Słyszeć wtedy można starą obigrawkową pieśń, która już ginie w pamięci:

Ej! z góry, z góry,
jadą Mazury...

Drużbowie idą pod okna chat „odgrávać na dobránoc“ zaproszonym na wesele gościom, a więc starostom, starościnom i druszczkom (druhnom).

I pani młodej (młodusze) „odgrávają“, śpiewając jej wdzięczną i udatną pieśń, w różnych stronach różną.

Dobra nocka! dobra!
Dziewcyno nadobna,
bodajześ zdrowo spała!
Da! wybřałaś ci se
we trzech sokolikach,
jakiegoś same chciała. (Krakowskie).

Dzieje się to w przeddzień wesela.

Następny dzień jeszcze gwarniejszy, jeszcze weselszy, mimo, że mgły jesienne snują się po polach i siole. Cała drużyna weselna idzie lub jedzie do ślubu według tego, czy kościół jest w miejscu, czy w innej wsi. Drużyna śpiewa bez wytchnienia, a muzyka tnie od ucha, aby nie dać się smucić pannie młodej:

A grajciez mi! grajcie, trębace! gráwace!
niekse ta Marysia do ślubu nie płace! (Z)

Ale ona mimo to się smuci, myśląc o swej przyszłej doli: czy ten Jasiek będzie taki dobry, jak się teraz zdaje? czy mnie nie będzie bił? Przyjdzie jej taka myśl i wśród pełnego wesela; zdarzy się, że i zapłacze. A wtedy głos jakiś wyrwie się z śpiewką smutną, stworzoną już kiedyś w takiej i dla takiej chwili.

Wesele, wesele, wy sie wyselicie!
Pani młodá płace, jakie bedzie zycie... (Z.)

Bo wszystkie weselne pieśni poszły z życia, będąc tworami bądź refleksyi, bądź uczucia, dlatego dla badacza podwójne mają

znaczenie: naprzód malują nam dobrze niejedną obrzędową scenę, dla której przeznaczone zostały, powtóre odsłaniają nam myśli i uczucia, sięgające nieraz głęboko w jego życie. Posłuchajmy kilka weselnych, obrzędowych piosnek rzewną, głębszą nieraz poezyą natchnionych:

Pieśń śpiewana (w Krakowskiem) przez druchny pannie młodej (młodusze) przy czesaniu jej włosów:

Cesała włosy, cesała,
kiedy do ślubu iś(ć) miała,
cesała włosy rozkosne,
mówiła słowa żałośne:
Mój warkocyku plecisty!
wyrosłeś ty mi rzęsisty,
wyrosłeś ty mi, gdyby gáj,
na mojej matki ciężki zál.

Jadąc do ślubu:

Cieście sie druzecki! i wy tejz druzbowie!
bo sie wám ta świci wiánecek na głowie. (Z)

Od ślubu:

A ciesy sie, ciesy moja rodzinecka,
ze já se odesła w kościele wiánecka.
Bom go nie odesła nika na ulicy,
inom go odesła w kościele przy świcy.
Widział ksiądz, widział ksiądz, widział organista,
ze já we wiánecku do kościoła przysła. (S.)

Po ślubie:

Sanujze mie! sanuj
za wiánecek za mój!
za mój za rumiany (r. ruciany),
Jasiu mój kochany! (Z.)

Płujwál ci já, płujwál, jak rybka po wodzie,
oj! skorom sie ozeniuł, juz mi tak nie bedzie. (Z.)

Dwa serca związane, kluc rzucony w morze;
nic nas nie rozłący, tylko Ty, mój Boże (Z.

Małżeństwo zapala nowe ognisko domowe, daje początek nowej rodzinie. W prosty, lecz piękny sposób wyraża tę myśl weselna pieśń gminna:

A na ty łącce, na ty zielony,
lezy tam Jasieniek bardzok zrantony.

Przysła do niego matusia jego
i pytá sie go: „Co ci takiego?“
„Matusiu moja idź prec odemnie,
bo moje serce umira we mnie!“
Przysła do niego babónia jego
i pytá sie go: „Co ci takiego?“
Babóniu moja idź prec odemnie,
bo moje serce umierá we mnie!“
Przysed do niego braciszek jego
i pyta sie go: „Co ci takiego?“
„Braciszku mój idź precz odemnie,
bo moje serce umirá we mnie!“
Przysed do niego tatuś jego
i pyta sie go: „Co ci takiego?“
Tatusiu mój! i t. d.
Przysła do niego Marysia jego
i pytá sie go: „Co ci takiego?“
„Marysiu moja przytul sie do mnie,
to moje serce ozyje we mnie!“ (Z.)

Inaczej usposobiona dziewczyna, idąc za mąż; kocha męża, ale do matuli tęskni:

Miałaś mie, matusiu, zeby ogórecek,
pocoześ mie dała w bystry pegorecek! (Z.)

Po akcie ślubnym najważniejszą chwilą wśród wesela jest obrzęd „czepin“, powszechny u naszego ludu. Jest to ceremonia świecka, nie mniej ważna w pojęciu ludu od kościelnej, należąca już nie do „Boskiego piastuna“, lecz do ludzi we wsi. Dziewczyna idąc za mąż, staje się babą, gospodynią, wstępuje między baby — musi więc na znak tej zmiany poświęcić swe kosy dziewicze, które jej starościny nielitościwie ucinają, wkładając na głowę babską chustę, „czepiec“. Czy jej nie będzie żal tego warkocza „plecistego“, „rzęsistego“?

Pieśni gminne czepinowe starają się stłumić w niej ten żal a wzbudzić dumę z przyszłej powagi, z tego, że z „dziewczyny“ zmienić się ma w „babę“.

A moja Marysiu nie záłuj wiánecka!
ciś wiánek pod gánek, odziéj sie chusteckom! (Z.)

A wdziáli mi, wdziáli, na głowisie sici,
nie bede widziała, ka słonecko świci.
A wdziáli mi, wdziali na głowisie sacek,
nie bede wiedziała, ka bedzie jarmacek.

A wdziáli mi, wdziáli na głowe homento,
nie bede widziała, kiedy bedzie świento. (S).

Po czepinach:

Wyleciała z pod nálepy żabka,
zrobiuła sie s pani młody babka. (Z.)

Rzewne jest pożegnanie panny młodej z rodziną i chatą — najczulsze z matką: Naprzód dziękuje ona matce i ojcu:

Dziękuję ci, tobie matko!
ześ mie wychowała gładko.
Dziękuję ci, tobie ojce!
ześ mi świciuł jak słońce[1].

Dziękuje następnie siostrze i bratu. Wreszcie:

Dziękujciez mi stoły! ławy!
i ty piecku pobielany!
Któz cie bilił bedzie,
jak mie tu nie bedzie?
Podziękuj mi, moja rutko,
bo mie tu juz niedługutko!
Któz cie sadziuł bedzie,
jak mie tu nie bedzie? (Z.) (S.)

[1] Powszechna.

Matko moja! matko! przezegnáj mie na krzyz!
bo juz ostatni ráz na mój wiánek patrzys.
Przezegnáj mie matko do trzeciego razu,
bo mie juz nie uźryś we wiánecku razu!
Przezegnáj mie matko na ostatnią drógę,
bo já we wiánecku chodzić juz nimogę. (S.)

Ale choć jej żal matki, ojca, domowych progów, w sercu zwycięża miłość:

Na wysokiéj górze,
na zielonem snurze,
dwoje drzewa stanęło.
Jedno jaworowe,
drugie kalinowe,
a oboje zielone.
Siadáj Maryś na wóz!
warkocki se załóz!
bom po ciebie przyjechał.

[1] Waryant tej strofki uwzględnia pewnie przeciwieństwo:

„Dziękuje ci, tobie ojce,
ześ wyscyrzał na mnie kielce. (Sosnowice pod Kalwaryą Z.)

Cy ci mi po woli?
cy cie głowa boli?
cy ci ojca, matki żál?
— Nie zâl ci mi taty,
ani pani mamy,
ani żádnéj rodziny;
tobiem ślubowała,
tobiem rącke dała,
mój Jasieniu jedyny! (S.)

Zapomniałam matki, zapomniałam ojca,
o tobie chodáku ni mogę do końca! (Z.)

Matka mężowska, powinna jej teraz gospodarstwa ustąpić, „klucze oddać“, jak gminna pieśń weselna każe; ale rzadko się to zdarza, bywa częściej, że synowa idzie pod rządy teściowej, nieraz bardzo przykre i surowe. Przeczucie takich surowych rządów odbiło się też w weselnej śpiewce:

Rodzina! rodzina! rodzina kochaná!
Wy sie weselicie, a já opłakaná;
wy sie weselicie mojego wiánecka,
a mnie opłakaná kázdá godzinecka. (Z.)

Już u wstępu w nowe progi, określa pieśń obrzędowa stosunek synowej do teściowej:

Siedzi pani matka na śliwie,
wyglądá sénowy scęśliwie.
Połóż pani matko kluce na stole,
bo juz gospodarstwo nie twoje!
Kciałaś pani matko senowy,
wybiráj sie terás s kumory!
Wychodź pani matko przed progi!
chyci cie senowá za nogi. (S.)

Nie ta to matusia, co mie wychowała,
ino ta matusia, co mi Jasia dała. (S.)

Rodzina kochana po trzykroć powtarza pieśń, ale myliłby się, ktoby w stosunkach rodzinnych po wsiach naszych szukał tego tak miłego, serdecznego ciepła, które wyklucza samolubne względy w smutnej doli, w zgryzotach, w nieszczęśliwym wypadku, najlepszą jest pociechą, kojącą maścią na ranę. Zbyt często ciepłą tę miłość rodzinną wysusza za ścisłe liczenie się z twardymi, materyalnymi warunkami życia. Rodzice mało się troskają, gdy im umrze małe dziecię; matka zawodzi wprawdzie i lamentuje, ale dziwnie jakoś prędko głośne te lamenty ustają, w jednej nieraz chwili,

przy kubeczku „pocieszycielki — wódki“ w głośny śmiech zmienione.

Po śmierci dorosłego chłopaka, czy dziewczyny bardziej narzekają; tylko w narzekaniach tych trzeba dokładnie dwa pierwiastki rozróżnić: jeden szczerego żalu za dzieckiem, drugi żalu za dwoma zdrowemi, silnemi rękami, co już nadal w pracy pomagać nie będą. Często więcej „jankoru“ (żalu) w chacie, gdy bydle padnie, niż gdy dziecko trzeba do trumienki złożyć.

Najcieplejszy jest jeszcze stosunek matki i córki. Syn szanuje potąd ojca, póki mu nie odda gospodarstwa; potem nie bardzo się czasem troska, choćby ojciec poszedł z kijem żebraczym. Macocha taką samą ma tu opinię, jak i gdzieindziej. Teściową odmalowały gminne śpiewki:

Idzie woda, idzie, na dół sie roschodzi,
zádná to sénowá matce nie wygodzi,
bo choćby sénowá od północy wstała,
to ji matka powié, zaś do rana spała.
A wstájze sénowá, podój sobie krowy,
coś jik tu nawiedła do moji obory!
— Wiedziałaś ty, matko, ze já krów ni miała,
pocóześ ty do mnie séna przysilała[1]. (S.)

Bodej to nikt dobry za macoche (teściowe) nie sed,
bo macocha kole, jak kolący oset.
Já kolący oset z daleka ominę,
na macochę płacę w káździutką godzinę.
Nieráz mi sie drzymie, casem sie mi spać chce,
macocha nie powie: Synowo ułóz sie! (S.)

Małżeństwa kojarzą się po największej części dla majątku; zapewnienie bytu na pierwszym stoi planie. Dlatego bardzo często spotkać można starą babę, mającą za męża młodzieniaszka.

Chłopu głównie chodzi o dobrą pracowitą i rządną gospodynię. Znajduje to wyraz w piosnce:

Hojze moja! hojze! jak sama rozumiés,
choćby já cie pojął, ty robić nie umiés;
choćby já cie pojął na tę całą rolą,
tobyś narzykała, ze cie nozki bolą. (Z.)

[1] Przysyłała.

Sama uroda u żony nie jest dla chłopa wystarczająca — „uroda się opatrzy“, “kochanie się przeje“:

Ty moja matusiu dejze mi córusię!
nie stoję o wiano, ino o gębusię.
Juś sie mi, juś sie mi gębusia przejadła;
— Dawaj matko wiano, zebyś djábła zjadła! (Z.)

W małżeństwie czeka dziewkę praca ciężka i gorzki nieraz kawałek chleba. Przypomina jej to niejednokrotnie pieśń weselna: (Wyprowadzki).

Uwázze se! uwáz! moja Maryś, uwáz!
jak to przydzie robić w ty (Záwadzie) u nás.
W ty (Záwadzie) u nás kto raniuśko nie wstaje,
a u tego (Borka [1]) to kijem dostaje. (Z.)

Nie bedzies ty Maryś u mnie wody nosić,
bo je (jéj) bedzies miała pod ockami dosyć. (S.)

W stosunkach między sobą, są chłopi chłodni. Bogaty gospodarz jest gorszym od angielskiego lorda arystokratą, do którego proszący komornik biedny z uszanowaniem się zbliża, całując go w rękę lub kolano. Bliższe stosunki zawiązują się przez kumy. Kumotrowie zwykli się już częściej odwiedzać i radzić sobie i w biedzie się wspomagać.

W pracy rolniczej lud nie robi żadnych postępów. Trzyma się starych gospodarskich praktyk, i z tem mu idzie nie bardzo pomyślnie. Ale boi się, może nie bez pewnej słuszności, aby zrzekłszy się swego konserwatyzmu, jeszcze gorzej się miał. Niezaradnością i niedbalstwem wiele grzeszy.

Zasiálem se owiesek,
ale on mi nie wesed.
Zasiálem se u granic,
przysła woda, nima nic.
Na górecce wywiáło,
bo sie kiepsko zasiáło.
Na dolinie wymokło,
bo sie kiepsko zawlekło [2]. (Z. S.)

Powaga księdza i Kościoła wielka. Powiadają starzy:

[1] Nazwisko np. chłopa w Zawadzie.
[2] Powszechna.

„Grzych źle gádać nawet o sukni księdzowy, i o trzewiczku księdzowym, a nie dopiéro o księdzu!“

Szkoła jeszcze się dobrze nie przyjęła, ale już zapuszcza korzenie i da Bóg! wyda może kiedyś dobre owoce. Młodsze pokolenie, umiejące czytać, pisać, rachować, ma już to przekonanie, że nauczyć się tego jest rzeczą bardzo potrzebną. Ale jest jeszcze pewna niechęć w siole do posyłania dzieci do szkoły, nie dlatego żeby istniał wstręt do nauki, lecz dlatego, że ubywa chałupie pasterz lub pasterka do bydła, że za naukę trzeba płacić.

Kościół i szkoła rugują zwolna tradycyą gdzieś z pogańskich jeszcze czasów przekazane, później w kolei wieków nieraz do niepoznania przekształcone czary, gusła, zabobony. Dziś nie zniknęły one, ale nieraz ukryły się; wielu w nie wierzy w skrytości serca, ale nie wielu z tą wiarą głośno ośmieli się odezwać. Stąd trudności w zbieraniu dokładnych materyałów w tej mierze; bo o wyprowadzeniu odpowiednich, poważnych, a jak zdawaćby się mogło, ciekawych wniosków, dziś w obec niedostatku materyałów, nawet mowy na seryo być nie może.

Przytoczmy dla dokładniejszego scharakteryzowania podkarpackiej wsi naszej, parę przykładów, z tej tajemniczością swą nęcącej umysł chłopa dziedziny przesądów i czarów:

Zadna gospodyni nie da, nie sprzeda mleka po zachodzie słońca, bo mówi, krowy straciłyby zaraz mleko.

Wto groch surowy na czco jé, to prędko urzece drugiego. (Zb.)

Zeby cego nie urzyc, to trza powiedzieć: „Na psa uroki, na kota suchoty!“ (Zb.)

Wto na psa pluje, to bedzie miał suchoty. (Zb.)

Nie trza oblywać kota, boby zimnica biuła. (Zb.)

Jak sie wypali na noc, to trza piyknie przygarnąć ogień popiołem i powiedzieć:

— Święty janiołecku!
siedzse na stołecku
pszy tym ogięnecku! (Zb.)

Nie trza ognia zalywać pomyjami, bo to grzyk. (Zb.)

Nie trza bić ziemie kijęm; ani kopać, bo to grzyk, bo ona nás nosi. (Zb.)

Nie trzeba bić kijem w ziemię, boby buł wiatr. (Zb.)

Nie trza tráwy skubać, boby buł dysc. (Zb.)

Nie trza koniowi urzynać ogona, boby sek (sechł). (Zb.)

Nie trza zaziyrać bez okno do chałpy, boby głowa bolała [1]. (Zb.)

Nie trza przedawać bydlęcia s powrozem, na wtorym stáło, boby sie nie darzuło [2]. (Zb.)

Nie trza puscać obcego clowieka do stajnie, boby sie bydło nie darzuło [3]. (Zb.)

Jak sie wyniesie trunę (trumnę), to trza polać wodąm, zeby krowy mlyka nie straciuły. (Zb.)

Jak wto umarty w domu lezy, to nie trza syć, boby go kłóło; ani orać, ani gnoja zwozić, boby sie nie darzuło w polu. (Zb.)

Nie trza bić bydła tym kijęm, wtórym sie gadę zabije, bo jak sie nim bije, to bydło schnie. (Zb.)

Jak sie gadę zabije, to trza zakryć ją ziemią abo kamieniami, zeby słonko na nię nie swiyciuło, bo jakby swiyciuło, toby sie ćmiuło [4]. (Zb.)

Takich przesądów posiada każde sioło niezliczoną ilość.

Powszechną jest także wiara w czary i czarownice. Niejedna kobieta we wsi jest czarownicą — niejedno złe, np. słabość, nieszczęście, przypisują czarom. Działanie czarownic i czarowników polega głównie na nadprzyrodzonym jakimś a ujemnym wpływie nie tylko na sprawy codzienne, domowe, gospodarskie, lecz i na warunki istnienia w przyrodzie. Wpływ ich niezmierny — bojaźń przed nimi wielka; słabnie już jednak dzięki Kościołowi i nauce.

Dawniej byli czarnoksiężnicy, stokroć jeszcze potężniejsi. Powiadają o nich:

„Taki cárnoksiężnik to ziemię przeźrál i widziál wszystkie skarby. Ale pono matcynego mlyka nie kostuwál, jacy na psim mlyku buł wychowany. Wsystko, co kciál, to zrobiuł". (Zb.)

Dzisiejsi czarownicy i czarownice, choć djabła mają zawsze na swoje usługi, nie mają już takiej potęgi, ale dużo jeszcze potrafią:

---

[1] Także Zawada.

[2] Powszechnie.

[3] Powszechnie.

[4] Powszechnie.

Jechał furman z ciężarem pod górę. Góra była bardzo bystra i każdy jadący musiał brać przyprzążkę od chłopa, który miał chałupę u tej góry, wynagradzając go za to. Furman się uparł, że sam wyjedzie, ale konie mimo największego wysiłku nie mogły ruszyć z miejsca. Nie pomogło wcale okładanie batem. A chłop, który sobie właśnie dach poszywał, śmiał się:

— Wyjedzies ta bezemnie! wyjedzies!

— A wyjadę!

I na nowo zaczął okładać konie batem, ale konie ani nie ruszyły z miejsca.

A chłop z kalenicy wołał:

— Jedze, skoroś taki mąder!

Furman widział, że to czary i zgniewał się okropnie. Będąc sam czarownikiem, znalazł na to sposób. Odwiązał od batóga bat, poskładał go w kilka części, wyjął kozik z za pasa i przerznął.

W tej chwili chłop spadł martwy z kalenicy, bo mu wnętrze przerznęło — a furman jechał bez trudu. (Z.)

Najpospolitszem działaniem czarownic na wsi, jest psucie lub odejmowanie krowom mleka. Są znaki, po których można czarownicę poznać, i środki, którymi przeciwdziałać jej czarow, lub za nie zemścić się można. Są one różne, ale wszędzie mniej więcej jednakie.

„Carownicę po tym mozná poznać, ze we wielgą niedzielę rano podcás procesyji nie obejdzie trzy razy koło kościoła". (Zb).

„W świętą Łucyją odkładá sie w kázdy dzień rano abo w południe drzewo po jednem drewienku, takie co sie osmędzi, jaz do Bozego Narodzeniá. W Boze Narodzenie má sie zapálić w południe wszyćkie te drzewa na obiád, to má przyjść w te casy carownica do tego domu, bo ją ten ogień piece. To ona sie załgá, co pożycyć, a kto mądry, to ją má wybić i wyglądać, zeby co nie porwała. Jak ji záden nic nie pożycy, to ona takiego sposobu suká, zeby duśnie (koniecznie) co wzięła, bele co, abo trzaske, abo polepę, abo kawálcek słomy, abo kawálek gnoju s tego domu, bo ją w te casy przestanie piéc. A jak w to mądry, co ji nic nie dá wziąś, to ona tak krzycy, sf(w)ijá sie". (Z.)

„Jak caruje krowy, to kupią nowy gárcek i nie trza sie targówać, wiela kto chce, to tyle dać, i śpilek tyz trza kupić, zeby

bulo za dwa centy. Te śpilki sie nabije do powązki, do te, co sie to cedzi mlyko, włozy sie powązke do tego gárcka nowego i dopiero sie gotuje, misá sie, to ona tyz przydzie wtedy, bo ją te śpilki kolą okropnie". (Z.)

Z guzeł dla oryginalności swojej, zasługują dwa następujące (powszechne) na szczególną uwagę.

„Jak wto drugiemu kradnie, dejmy na to, zeby zimiáki w polu podbirál, to jak zrobi ślad w ziemi z buta abo nogi, to nie trza w tem miejscu chodzić, tylko trza kupić drozdzy i świderek i wziąś wywiercieć w samym środku nogi w ziemi dziurę, nalać do te dziury drozdzy; więc te drozdze tak burzą w górę i temu złodziejowi noga ciece, obira sie, i nigdy sie i nigdy sie nie wygoji jaz do same śmierci, bo mu te drozdze wciąż w górę burzą. Wtedy käzdy cłowiek pozná tego złodzieja po nodze, bo kulá. A samemu cłowiekowi nie trza tam w to miejsce nogi kłaś, boby sam sobie tak zrobiuł, zeby chorówál". (Z.)

„Abo jak nie, to gdzie złodzieje kradną, to dostać takich kotów małych, co jesce nie widzą na ocy, i zakopać w tem polu, dzie złodzieje najbardziej krádną. To ten złodziej, który kradnie na tem polu, ociemnieje, bo go te koty oślepią. Nie bedzie widziál, jak te koty, które są zakopane ciemne. Ale to trza w ten sám dzień zrobić, kiedy ten złodziéj ukrád". (Z.)

Prawdziwy dowcip i bystrość ludu, objawia się w jego przysłowiach, zagadkach, łamigłówkach. Przysłowia wyraz chłopskiej mądrości, której niktby się znaleść nie spodziewał patrząc na naiwne gusła i czary, przeszły w największej cześci na własność całego narodu; powtarzać więc ich nie ma tu potrzeby. Łamigłówki i zagadki odnoszące się do przedmiotów otaczających chłopa, z życia wzięte, nieraz dowcipnie są obmyślane:

1. Stoi chłop na dachu,
   kurzy packe tabaku. (Komin). (P.)
2. W lesie było, liście miało,
   do wsi przyszło — zabucało. (Bas). (P.)
3. Rycy wół, na sto gór go słychać. (Grzmot). (P. S. Z).
4. Stoji panna na górze,
   opásaná w pácirze. (Beczka). (P.)
5. Nimá rąk, ani nóg,
   idzie do wody, opije sie jak bąk. (Konewka wody). (P.)

6. Kiedy najwięcy dziurek do nieba?
(W sierpniu, bo sie rznie zboże). (P. S. Z.)

7. Wisi pierzyna nieuwiązaná.
(Dem ciepły jes, jes w górze a nie uwiązany na nicem). (S.)

8. Rośnie bez wody, kwitnie bez kwiatu,
daje uzytek całemu światu. (Sól). (S.)

9. Stoi drzewo na środku wsi,
do kázde chálpy gałązka wisi[1]. (Słońce). (Z. S.)

10. Cerwony korál, winny w niem smak,
serce s kamienia — cegos to tak? (Wiśnia). (S.)

11. Pełny chliwicek biáłyk cielicek,
a pomiendzy niemi cerwony bycek.
(Usta z zębami i językiem). (S.)

Wreszcie podania, legendy, powiastki, baśnie. Typ pierwszych i drugich zawisł przedewszystkiem od miejscowych warunków; co do powiastek i klechd, to ich znamieniem charakterystycznem jest fantastyczna treść. Są to opowiadania: o czarnoksiężnikach, zaczarowanych zamkach, zaklętych ludziach i skarbach, djabłach, rycerzach powietrznych, zbójach i t. d. Odsłaniają one jakiś nieznany, tajemniczy, zaczarowany świat, lub wprowadzają w odległe jakieś czasy, niepodobne całkiem do dzisiejszych, i bawią cudownością przedstawionych faktów. Bujna wyobraźnia gminu, złożyła w nich dowód swej niepośledniej twórczości; nieokiełzana, zbyt często po tworne potworzyła obrazy. A jak tych klechd, baśni po wsiach słuchają; z jaką uwagą, aby ani jednego słowa nie uronić, następnym pokoleniom znowu je podać...!

Trzeba posłuchać samemu z ust gminu tych gminnych podań, żeby zrozumieć, czem jest dla ludu ta odrębna jego, — „powieściowa“ rzekłbyś literatura, w której podobnie jak w pieśni złożył „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“.

* * *

Wychodzimy z sioła; ostatnie odgłosy swojskiej pieśni zmieszane z dźwiękiem kościelnego dzwonu zamierają w oddali; zdala rysują się niewyraźne postacie schylone ciężką pracą ku ziemi, tak

[1] Powszechnie.

zajęte krwawą troską o kawałek powszedniego chleba, tak nią zajęte, tak skąpo nieraz tego chleba mające, że zdawaćby się mogło, że ledwie wiedzą, że zapominają o wszystkiem innem, co nie odnosi się do ochrony przed głodem i chłodem. Tak zdaleka się wydaje. Przystąp bliżej, a usłyszysz i wesołą i pobożną pieśń i śmiech rubaszny, ale szczery; może i modlitwę prawdziwie z serca płynącą posłyszysz. Prawda, że kiedy później zupełnie się zbliżysz, kiedy zupełnie rozchylisz zasłonę wieśniaczego życia, ze smutkiem się przekonasz, że jeśli pierwsze wrażenie było za smutne, to drugie podobno za wesołe, za idealne. Przyczynić się do odtworzenia takiego wiernego obrazu wsi naszej, tak nam wszystkim bliskiej, a tak wielu nie dość jeszcze znanej, jedynym było celem tych luźnych z ust i z życia ludu wziętych notatek.

Karol Mátyás.

POGROBOWIEC SICZY ZAPOROZKIEJ.

(LOSY OSTATNIEGO ATAMANA KOSZOWEGO).

FRAGMENT HISTORYCZNY [1].

Sicz Zaporozka po dwustu kilkudziesięciu latach bytu swego, w czerwcu 1775 r., podczas dni Zielonych Świątek st. st., pod naciskiem obcego oręża, istnieć przestała.

Upadek Siczy nastąpił nagle, spadł niby grom na przestworza dolnego Dniepru, na ciche siedziby siczowników, na futory wśród stepów rozsiane, w cieniu lasów samarskich ukryte, zieleniejące się i kwitnące wiszniowemi sadami na porzeczach Dniepru, Samary, lub Wołczy, na futory i tak zwane „zimowniki", biegnące ku wschodowi tak daleko, jak daleko sięgały wyżyny, które oddzielają lewe dopływy dnieprowe od tych, co zmierzają ku falom Donu. Tak, dla większości siczowników katastrofa ta była niespodzianką, ale nie dla wszystkich. Bystrzejsze umysły od wielu lat ją przewidywały, i w ich piersiach ogień przeczuć bolesnych płonął oddawna. Szczególniej władze siczowe dalekiemi były od złudzeń. Lecz i dla tych umysłów wyższych, przewidujących, zdających sobie sprawę z tego, co się około nich działo — umiejących wytwarzać wnioski trafne, ostateczna katastrofa, w chwili gdy nadeszła, najmniej była spodziewaną.

Spadając nagle jak grom na głowy siczowników, ostateczna ich zagłada nosiła wszystkie znamiona pożogi stepowej, która wszy-

[1] Z odczytów publicz, mianych w Krakowie, w „Muzeum Techniczno-Przemysłowem", w styczniu 1889 r.

stko niszczy tam, gdzie płomień sięgnie: po przejściu fali ognia już nic nie zostaje. Toż samo miało miejsce z katastrofą, która przecięła nić istnienia Siczy. Wszystko tam poszło na zagładę gwałtowną a zupełną, wszystko zostało zatraconem z dziwną szybkością i bezpowrotnie... Nowy porządek rzeczy usuwał wszystko, co przypominać mogło przeszłość, aby tem łatwiej na gruncie, który oblicze przeszłości zatracił, wznieść budowę nowego porządku społecznego. Przeszłość głębokiemi bruzdy została przeorana pod zasiew innego społecznego ustroju.

Przygotowania do zniszczenia Siczy oddawna były czynione. Systematycznie, wytrwale, ale z cicha, bez rozgłosu, dążono do celu, pokolenia na to się składały: praca to przypominająca minerów, którzy wśród trudnych warunków, w podziemiach, posuwają się z młotem i kagańcem w uznojonej dłoni, trwała dziesiątki lat. Gdy pierwsze kroki podkopu polityka ościennego silnego mocarstwa postawiła pod terenem siczowego bytu, nie domyślano się podstępu. A czasy to dawne, bardzo dawne... Rozpoczęły się one wnet, a przynajmniej w lat niewiele, po poddaniu się Chmielnickiego Aleksemu Michałowiczowi.

Już w wieku XVII godzono na niezależność siczową, poddając zaporozką cerkiew ówczesnemu patryarchatowi moskiewskiemu. Z oburzeniem Sicz usuwała owo pierwsze pokuszenie się obcej dłoni, dążącej do gospodarstwa w zakresie jej stosunków domowych. Walka, chociaż nierówna i cicha, trwała przecież wciąż. Sicz marzyła zawsze o niezależności, i zdawało się jej, że zachowa swe prawa autonomiczne, chociaż protektorat spoczywał w ręku potężnego mocarstwa, dążącego nieustannie do zaokrąglenia granic, nieznoszącego nietylko w obrębie swych posiadłości, ale nawet w zakresie wpływu swego żadnych autonomicznych prowincyj, a tem bardziej urządzeń tak wybitnie demokratycznych, jakiemi były instytucye Zaporoża.

Za rządów Piotra I rzeczy szły tąż samą koleją, stosunek Zaporożców do państwa posiadającego protektorat nad Siczą nie zmieniał się; owszem, jeśli były zmiany to na gorsze, stosunek wielekroć stanowczo się zaostrzał. Bezwzględne usposobienie i postępowanie Piotra nie przyczyniały się do zmiany owego stosunku na lepsze, ale coraz bardziej zaostrzały. Jeśli Zaporoże niechętne było

poddaniu swej cerkwi pod władzę patryarchatu moskiewskiego, to tembardziej nie pragnęło ono poddać cerkwi niżowych pod władzę bezpośrednią Piotra, który ogłosił się głową Kościoła. Dalsze wypadki polityczne za rządów Piotra I wytworzyły stosunek nieprzyjazny między Siczą a monarchią Piotrową. Sprzymierzenie się Zaporożców z Karolem XII wywołało najście wojsk Piotra na Sicz i takowej zburzenie. Pod Półtawą w szeregach szwedzkich walczyli Niżowcy, pod dowództwem swego atamana koszowego Horodeńskiego (nazywanego w Siczy *Hordyjenko)*. Udział jego w walce rozstrzygał o losie Siczy. Zanim nadszedł dzień pamiętnego w dziejach boju pod Półtawą, przedsiębrał Piotr wszelkie środki dążące do zatrzymania Niżowców pod swym sztandarem, lub przynajmniej pragnął otrzymać zapewnienie ich neutralności. Zabiegi nie powiodły się. Sicz skłaniana przez Mazepę do sojuszu ze Szwedami, w nich jedynie widziała rękojmię wydobycia się z pod wpływu potężnego mocarstwa północnego. Bój półtawski zdruzgotał te nadzieje.

Na czele Siczy stał wówczas, jak często się zdarzało, człowiek, który z Polski ród swój wiódł, który pochodził z polskiego szlacheckiego gniazda, kędyś na Wołyniu, który zerwał wprawdzie od dawna z owem gniazdem, z tradycyą ojców, rzucił się w wir przygód niżowych, zaciągnął się pod sztandar zaporozkiego bractwa, zmienił swe rodowe nazwisko Horodeńskich na siczowe przezwisko *Hordyjeńko,* ale znać nie zatracił w swej piersi instynktów zwracających się raczej ku zachodniej cywilizacyi, ku swej kolebce, którą pragnął mieć protektorką Siczy. Niż ówczesny stanął jawnie we wrogim stosunku w obec Piotra I. Napróżno szły do Siczy poselstwa od Piotra, które niosły dary i wiozły listy od kijowskiego metropolity. Zaporożcy nie odpowiedzieli w sposób tak przyjazny jak do nich pisano; posłowie byli znieważeni, odgrażano się, iż głową przypłacą swe poselswo, nie wahano się nawet nazywać je wywiadywaniem, a samych posłów mieniono szpiegami. Działo się to w jesieni 1708 r. Poselstwo, o którem mówimy, składało się z zadnieprzańskiego kozaka Sawicza i z mnicha Żurachowskiego, opata Miedzogórskiego klasztoru w okolicach Kijowa. Urzędowa relacya rosyjska jedynem jest znanem dotąd świadectwem owych chwil. Mówi ona, iż Zaporożcy, mieniąc posłów „szpiegami", chcieli Sawicza utopić, a mnichowi grożono, iż go spalą w smolnej be-

czce... Z tłumem zdziczałym, przy usposobieniach nieprzyjaznych, rokowania nie posunęły się wcale. Posłowie wrócili z niczem. Gniew Piotra wzmógł się znacznie. Posłał on do Siczy wojska, pod dowództwem Jakowlewa i Gałagana, z rozkazem doszczętnego zburzenia Siczy, aby kamień na kamieniu nie pozostał, jak mówi owoczesna relacya. Rozkaz wykonano z całą ścisłością. Murów tam wprawdzie nie było, ale wszystko co zniszczonem być mogło — znikło z powierzchni ziemi. Było to pierwsze, lecz nie ostatnie Siczy zburzenie.

Zanim nadeszły krwawe dni Półtawy, Sicz została obaloną — z ziemią zrównaną. Twierdza siczowa stała się zgliszczem, ale instytucya siczowa przetrwała klęskę i po niej jeszcze sześćdziesiąt sześć lat istniała. Obalenie Siczy przez wojska Piotrowe, dokonane w maju 1709 r., spotkało opór Zaporożców. Część ich walczyła wprawdzie w obozie Karola XII, ale ci, co pozostali w Siczy, postanowili pod wodzą Bogusza stawić czoło nieprzyjacielowi. Relacya urzędowa rosyjska mówi nam nieco o boju, który zawrzał u warowni Niżowego wojska. W pierwszym szturmie szeregi Piotrowe straciły kilkuset żołnierzy i półkownika, który ich wiódł do szturmu. Artylerya liczna raziła mocno nieprzyjaciela. Zdawało się, iż obrona skuteczną się stanie, przyniesie owoce; iż niedość, że odpartym będzie nieprzyjaciel oblegający, lecz porażka odbierze mu ochotę do dalszych na Sicz napadów. Stało się wszakże wbrew oczekiwaniom. Moc Przedwiecznego, która, dla celów wiadomych tylko Opatrzności, piastowała i przysparzała wzrost monarchii Piotrowej, która usuwuła przeszkody ze ścieżek jej rozwoju, nie wsparła usiłowań Niżowców. Sicz, na której wałach nigdy przedtem nie powiewał zwycięzki obcy sztandar, a nieprzyjaciel nie wchodził w tryumfie do jej obwarowań — stała się zdobyczą i łupem nieprzyjaciela. Dzień ów pamiętny — to 14 maja 1709 r. Zwycięzca srogo i bezwzględnie korzystał ze swego tryumfu. Więcej niż sto dział było jego łupem, archiwum Niżowego wojska przewieziono w znacznej części do Moskwy, a Sicz zburzono, wały jej rozkopano, częstokoły obalono i spalono; zgliszcza, popiół i rumowiska zaległy miejsce, gdzie się wznosiły obwarowania, gdzie istniała stolica Niżowego wojska. Przedniejszą budową w Siczy była cerkiew, obfitująca w cenne ofiary, kosztowności. Żołdacy zwycięzcy wpadli do

owej cerkwi, burzyli ją, profanowali tak zwany „ikonostas“ i „carskie wrota“ siekierami rąbali, a to co było kosztowniejszego uniesiono i doszczętnie świątynię zburzono. Obrońcy siczowi, walczący pod dowództwem Bogusza, Nakaźnego atamana, jedni dali gardło w odpornej walce, inni w ucieczce szukali ocalenia, i na stepach Tatarskich goili swe rany, a wśród siedzib Tatarzyna nową Sicz zakładali; lecz ci co wpadli do rąk nieprzyjaciela, okrutną śmierć ponieśli. Wieszano ich na tratwach, i tak powieszonych puszczano z biegiem fal dnieprowych [1].

Krwawe zdobycie Siczy rzuciło postrach na cały Niż. Ze drżeniem i uczuciem zgrozy przysłuchywano się opowieści o czynach zwycięzców, przysłuchywano się nie tylko w obozie Karola XII, gdzie osiem tysięcy Zaporożców zbrojnie stało w szwedzkich szeregach, i z uczuciem bólu otrzymało wieść o zburzeniu swej starej siedziby...

Wrażenie zgrozy z powodu zburzenia cerkwi przechowywało się znać długo wśród „futorów“ i „zimowników“ Zaporoża. Wrażenie to upamiętniło się w legendzie, która do dziś na Niżu w ustach starszych pokoleń spotyka się. Legendę tę, ubraną w szatę fantastyczną, odszukał na Niżu i wniósł do swych etnograficzno-historycznych notatek badacz rosyjski, nam współczesny p. Ewarnickij [2]. Legenda mówi, iż cerkiew odbiegała od dłoni nieprzyjaciela ilekroć ta zbliżała się. Owe zamachy dłoni wroga i cofanie się cerkwi kilkakrotnie powtarzały się — jak chce legenda — nim padły zręby świątyni, nim jej popiół nie rozwiały wiatry stepowe [3].

Zwycięztwo Piotra I pod Półtawą położyło kres aspiracyom śmiałym koszowego Hordyjenki, zburzyło wszelkie marzenia o niezależności siczowej, o otrząśnięciu się z protektoratu. Pewna wprawdzie liczba — i to znaczna — wojska Niżowego schroniła się na terytoryum turecko-tatarskie i tam nieciła nowe ognisko życia siczowego, wprawdzie Sicz, wznowiona pod protektoratem Krymskiego

---

[1] *D. J. Ewarnickij. Zaporożie...* (wyd. 1888, Petersburg) T. III, str. 91 i in. (Dzieło ross.)

[2] Porów. dzieło *D. J. Ewarnickiego: Zaporożie* (po ros. wyd. w Petersburgu, 1888), 2 tomy.

[3] L. c. T. II, str. 91. — Legenda chociaż mówi o epoce Piotra, zawadza niewłaściwie o czasy Katarzyny II, która występuje w tej tradycyi.

hana dwadzieścia siedem lat istniała — byt to jednak był anormalny, wzdychano w ciągu więcej niż ćwierci wieku do starych siedzib.

Marzenia co do powrotu na dawne, spopielałe ognisko siczowe urzeczywistniły się w dziesięć lat po zgonie Piotra; wojsko Niżowe wraca do swych dawnych siedzib — staje „kosz“ nowy, nad którym protektorat obejmuje znowu Rosya.

Od owej chwili (1734) protektorat jawnie nie okazywał ani wrogich usposobień dla Siczy, ani też nie czynił widocznych zamachów na jej nietykalność. Korzystano z gotowości bojowej Zaporożców, z ich męztwa i doświadczeń w wojskowem rzemiośle, brano od nich wielką daninę krwi w walkach z Tatarami, podczas wypraw, co torowały drogę do zajęcia Krymu, ale, powtarzam, jawnie nie czyniono zamachów na ich niepodległość.

Tak rzeczy stały w połowie XVIII wieku, i w latach rozpoczynających jego drugą połowę... Schłopiałe, zdziczałe nieco niżowe bractwo orężne nie rzucało zbyt szeroko okiem dokoła, nie przewidywało bliskiego upadku swego, nie wchodziło na drogę przewidywań dyplomatycznych. Lata upływały jeśli nie w spokoju, to w każdym razie nie przynosiły wypadków, któreby mienić się mogły jawną zapowiedzią upadku Siczy, zburzenia prastarej instytucyi niżowej.

W tym jednak ostatnim okresie istnienia Siczy (1734—1775) posuwała się cicha, wytrwała praca na polu podkopywania ekonomicznego bytu Zaporozkiego państewka. Monarchia, dzierżąca w swej dłoni protektorat nad wojskiem Niżowem, rozpoczęła systematyczną kolonizacyę ziem instytucyi siczowej. Rozpoczynano ją na prawym brzegu Dniepru, od granic południowych Rzpltej polskiej, w kierunku południowym, i od granic tak zwanej „Hetmańszczyzny“, na Zadnieprzu, w tymże kierunku, co, samo przez się rozumie, coraz to bardziej osaczało siedziby ziem Zaporozkich. Żyzne pola nad Orelą (na Zadnieprzu) lub stepy, pastwiska ościenne okolicom „Czarnego lasu“ odpadały rokrocznie coraz to szerzej, coraz to szybciej. Osadnikami byli różni wychodzcy słowiańscy z posiadłości tureckich, Serbowie przeważnie, którym Rosya nadawała te ziemie jako własność niczyją — własność Bożą... Mieniono obszary te krainą pustkowiem stojącą, krainą wydartą zdziczeniu

i stadom tatarskich koczowników, krainą bez władzcy, do której nikt nie posiadał ściśle określonych praw. Obejmując ją przeto w posiadanie, niby ziemię nowoodkrytą na morzach dalekich, mienili się protektorowie Siczy najzupełniej w swem prawie: używali, wedle ich pojęć znanego prawa *jus primae occupationis*. Protektorat czynił, wedle własnego sposobu widzenia, dwie dobre rzeczy naraz: uszczęśliwiał wychodźców słowiańskich z pod jarzma tureckiego uciekających, darowując im wielkie żyzne obszary, i zdobywał tytuł do miana cywilizatora, gdyż wydzierał owe ziemie zdziczeniu. Było i trzecie następstwo tego rodzaju gospodarki państwowej, ale o niem nie mówiono. Osaczono i ścieśniano coraz bardziej role i pastwiska Zaporożców, parto ich od Północy ku Południowi, ku pastwiskom krymskim; podcinano latorośl ich dobrobytu, ogładzano ich stada, główne zródło bogactwa gospodarstw siczowych i zniewalano w ten sposób siczowników do stawiania oporu, często zbrojnego, do waśni drobnych o miedzę, o pastwiska, do skarg, wyrzekań i zajazdów zbrojną ręką.

Siczownicy nierychło się opatrzyli, jaką obławę na ich dobrobyt rozpoczęto prowadzić, nierychło przyszli do zupełnej samowiedzy, co im zagraża. Ale gdy rozpatrzyli się w ciężkich warunkach swej pozycyi, wystąpili z protestami, z obroną swych praw, z obroną legalną u źródła władzy. Poselstwa biegły wciąż z Siczy ku Północy, do dalekiej stolicy potężnej monarchini, wioząc protesta, błagania, kopie przywilejów królów polskich, na których prawa swe opierano.

Z nieśmiałością Zaporożcy twierdzili w tym wielkim procesie ze swym protektorem, iż obdarowywanie, i uszczęśliwianie temsamem, wychodźców słowiańskich dzieje się ich własnym kosztem, z uszczerbkiem posiadłości wojska Niżowego, iż Sicz jedynie ma prawo do owych ziem, iż przyszła do nich drogą nadań króla Stefana Batorego, którego następcy kolejno potwierdzali te przywileje, iż wreszcie swą krwią zapracowawszy na te nadania, tąż samą krwią ochraniali je od pohańców, własną pracą szerzyli tam rolnictwo. Procesa, skargi nie przynosiły owoców pożądanych dla pokrzywdzonej Siczy, a wywoływały tysiące drobnych, nieraz krwawych epizodów, drobnych zajść, które podnosząc do wielkiego znaczenia

odpowiadano swemi skargami i zarzutami skarżącym się Zaporożcom.

Żadna ze skarg w rzeczach zasadniczych, w sprawach orzekających o przyszłości Zaporoża, nie otrzymywała zadośćuczynienia. Na skargi skargą i groźbą odpowiadano.

Za rządów Elżbiety stosunek już był takim, jak tu wskazujemy, ale Zaporoże na stopniach tronu monarchini miało przyjaznego sobie rzecznika, Aleksego Razumowskiego, który z pochodzenia był Rusinem — wieśniak to z Zadnieprza, łaską losu wyniesiony na ulubieńca monarchini; nie zapomniał on o swem pochodzeniu, umiarkowanie używał darów fortuny, nie wdzierał się do zakresu spraw państwowego znaczenia, które dla jego umysłowego rozwoju, przy braku wykształcenia, mogłyby być niedostępnemi, zdala się więc trzymał od polityki, ale nie zaniedbywał być pomocnym tam, gdzie jego pomoc mogła się przydać. Współplemienni mu Zaporożcy liczyli na takową zawsze, i nie zawodzili się na niej.

Po wstąpieniu na tron ces. Katarzyny II rzeczy się zmieniły — na gorsze.

Od r. 1764 w ciągu lat jedenastu coraz to wyraziściej zarysowuje się stosunek drażliwy między rządem protektoratu a władzami Zaporozkiemi, lecz wszystko to rozwija się w zakresie spraw na pozór drobnych. Posuwanie się kolonizacyi w głąb siedzib siczowych nie ustaje, prowokacyom drobnym niema końca, skargi Zaporożców trwają i nie otrzymują zadośćuczynienia, poselstwa ich z przywilejami i darami jeżdżą na północ, i wciąż z niczem wracają.

Do dawnych zarzutów, jakie rząd opiekuńczego mocarstwa czynił władzom siczowym, przybył jeden, nie nowy wprawdzie, lecz wzięty nie ze sfery uprzedzeń, z rzeczywistości, i stawiany nader groźnie. Zarzut zaciążyć mógł i w istocie wielce zaciążył na szali losów Zaporoża. Był to zarzut, iż dawano opiekę, przytułek zbiegom, iż wieśniak-niewolnik z Zadnieprza drogą zbiegostwa na Niż usamowalniał się.

Prawo poddaństwa, prawo zupełnej, najbezwzględniejszej niewoli ludu, za rządów Katarzyny II, doszło w Rosyi do szczytu rozwoju. Twarda niewola ludu, w krajach oderwanych od Rzpltej w XVII w., na całem Zadnieprzu, istniała i była określona prze-

pisami prawnemi, nikt nie mógł samowolnie otrząść się z tego jarzma. Wieśniak nietylko podlegał tam wówczas prawu przywiązania do ziemi, *glebae adscriptio*, lecz był własnością swego pana, który mocen był sprzedać go na rynku, jako towar, darować komu chciał, ciągnął z osoby jego zyski, był wszechwładnym jego władcą. Zaporoże dla wieśniaka państw ościennych było zatem ucieczką wśród ciężkich warunków bytu. Skoro wieśniak stanął wśród stepów siczowych już mógł być bezpiecznym; żadna ręka sprawiedliwości, ręka stróżów i wykonawców prawa dosięgnąć go nie mogła. Na stepach Zaporoża mógł być pewnym, iż nikt go nie zapyta, skąd i jakim prawem stanął na ziemi Niżowego wojska. Owszem, mógł być pewnym, iż wesprą go nawet, obdarzą rolą, łąką i pługiem; powiedzą mu: siedź i pracuj; uprawiaj ową dziewiczą ziemię, a ona bez wielkich wysiłków wyżywi cię, a jeżeli błogosławieństwo niebios spocznie nad głową twą i ominą cię zwykłe klęski gospodarstw niżowych — szarańcza, posucha — rychło zamożnym się staniesz, a wolność zupełną jużeś posiadł, skoroś stanął na ziemi siczowej... Tym ponętom nie mógł się oprzeć wieśniak, obarczony jarzmem poddaństwa na Zadnieprzu: uciekał lud przeto tłumnie z tak zwanej „Hetmańszczyzny“ na Zaporoże, osiadał w ziemiach siczowych i w ten sposób wyjarzmiał się. Władze ówczesne na Zadnieprzu patrzeć na to obojętnie nie mogły i nie patrzały: domagano się groźnie od Siczy, by nie przyjmowała i wydawała zbiegów: wołania te jednak były dzwonem na głuchych. Posiadłości Zaporoża tworzyły rodzaj państewka o demokratycznej podstawie, nie mogły więc wprowadzać u siebie środków i rygorów, które w zasadniczej sprzeczności były z ich obyczajem i przeszłością.

Zaporoże z biegiem czasu, acz zdziczałe i schłopiałe, tracić zaczęło coraz bardziej swą cechę instytucyi ściśle wojskowej, które posiadało tylko uprawne pola i wypasy dla wyżywienia się — stawało się państewkiem, dążącem do zupełnej odrębności społecznej i politycznej; stawało się w obec opiekuńczego mocarstwa odrębną całością polityczną, stawało się państwem w państwie. Na to pozwolić nie chciano, nie pozwolono, obalono zbrojną dłonią instytucyę całą wojska Niżowego, a tem samem nie dość iż uprzątnięto sobie drogę do Krymu, którego zajęcie i wcielenie było już tylko

kwestyą czasu, ale zniszczono siedlisko idei wręcz przeciwnej monarchii i wypleniono wszelkie zawiązki, gdyby jakie istniały lub mogły powstać, separatyzmu plemienno-politycznego na Zadnieprzu. Niszcząc ostatecznie Sicz, usunięto teren do rozwoju aspiracyj do niepodległości rusińskiej.

W chwili, gdy cesarz. Katarzyna II wysyłała po raz ostatni swe wojska do Siczy z generałem Tekelim, w celu rozwiązania instytucyi orężnej na Niżu, na czele owej instytucyi, jako ataman koszowy stał Piotr (syn Jana) Kalniszewski. Ostatni to był ataman Siczy, ostatni przedstawiciel rycerskiego prastarego bractwa, ostatni stróż wolności siczowych, które ongi, przed wiekami, zaszczepione polską dłonią miały wówczas utonąć. Kalniszewski przeżył byt Siczy, stał się jej „pogrobowcem"; przeżył epokę wolności zaporozkiej, świadkiem był zupełnego zgaśnięcia owych wolności, odegrał pewną, ale uczciwą rolę w chwili zgonu niepodległości Niżowców, i dla tego zdobył imię na karcie dziejowej.

Stanowisko wodza upadłej sprawy, stanowisko naczelnika państwa, które się staje łupem nieprzyjaciela i zamyka dni bytu swego, nader trudnem było po wsze czasy. Ludzie, którzy umieli w dniach pogodnych dźwigać insygnia władzy, nie zdołali z godnością stanąć w obec klęsk, rzadko, bardzo rzadko w sposób właściwy a podniosły zachowywali się w nieszczęściu, gdy los kruszył w ich dłoni godła władzy, gdy z wyżyn strąciła ich na niziny ręka przeznaczeń...

Ostatni ataman siczowy, Piotr Kalniszewski, który przeżył upadek wolności i niepodległości Zaporoża, chlubnym tu jest wyjątkiem. Człowiek ten, acz niewielkiego ukształcenia i wśród tłumu o wieśniaczym obyczaju życie strawił, umiał sprostać ciężkiemu, trudnemu zadaniu, nie ugiął karku w obec powodzi klęsk, nie dał ucha podszeptom nieprzyjaciół, nie pozwolił wprowadzić siebie na stromą, niebezpieczną ścieżkę pokus, ale z godnością, z prostotą, z pewnego rodzaju ewangeliczną pokorą poddał swą siwą, steraną w boju głowę pod jarzmo złych losów; z godnością a cnotą prawdziwie wzniosłą stawił bierny, stateczny opór pogróżkom i pokusom, padł pod przewagą niedoli, nie ugiął wszakże czoła, nie stracił ani na chwilę hartu woli, mocy charakteru i wypił czarę tak wielkiej niedoli, po upadku Siczy, jaką tylko ludzie o niezwykłej organizacyi fizycznej mogli do dna wychylić.

Losy dziejowe mieć chciały, iż jak przed wiekami pierwsi założyciele instytucyi bractwa orężnego na Niżu byli ludźmi naszego pochodzenia, naszej cywilizacyi, naszego języka, tak niemniej ostatni przedstawiciel niepodległości tego bractwa orężnego był polskiego pochodzenia. Mówią nam o tem akta urzędowe rosyjskie, gdzie on, w ostatnich latach życia, jako więzień stanu, zapisany z tym dodatkiem — „szlachcic z Podola“ *(podolskij szlachticz)* [1]. Mówi toż samo tradycya niżowa, ale silniejszym argumentem w tej kwestyi, bardziej uzasadnionem świadectwem, świadectwem wysokiej dziejowej doniosłości, jest własne zeznanie samego Kalniszewskiego. Wówczas, gdy Sicz zajęły wojska ces. Katarzyny II, i cała władza ówczesna Kosza poszła w pęta niewoli, ostatni koszowy był badany, i z zeznań indagacyjnych mamy własne jego świadectwo o pochodzeniu. Pochodził z województwa Podolskiego, ale skąd mianowicie, bliższych nie posiadamy szczegółów. Wychowanie domowe, otoczenie lat jego pacholęcych musiało być zacnem, uczciwem, opartem na gruncie religijnym, gdyż urosł zeń mąż o niepospolitym harcie woli, o energii ducha, o głębokiej wierze, która dla niego przez całe pasmo bardzo długiego życia była puklerzem i mocą w uciskach. Wyznawcą był greckiej cerkwi, czy tak i w dzieciństwie było — wskazówek nie posiadamy. Na tych rubieżach cywilizacyi pojęcia religijne dziwnie bywały niejasne, a nieraz splątane.

Przykłady jego religijnych usposobień wielekroć spotykają się w wspomnieniach i tradycyi, jakie o nim przechowano. Dary cerkwiom ofiarowane w kilku miejscowościach po nim pozostały. Jeden z tych darów, który możemy oglądać w Nikopolu, w cerkwi, jest zarazem portretem Kalniszewskiego.

W czasach bezpośrednio poprzedzających upadek Siczy, przewidując bliską klęskę, a nie widząc znikąd ratunku, orężne bractwo siczowe w modlitwie szukało wsparcia; wówczas to, jak chce tradycya, był wymalowany i oddany do cerkwi obraz, o którym wyżej wspominamy. Widzimy na nim Matkę Zbawiciela, spieszącą z duchową odsieczą. Jest to obraz Opieki Bogarodzicy. W obłokach Bogarodzica, po obu jej stronach święci — Michał i Miko-

[1] *Zupełny zbiór praw pań. ros.* T. XXVI, str. 784.

łaj — u dołu dwie grupy Zaporożców, w kontuszach, żupanach, przepasanych zielonemi pasami, z podgolonemi głowami, w postaci kornej; postać stojąca na czele grupy z prawej strony ma być — jak tradycya mówi — Kalniszewskim. Wzniósł on błagalnie ku górze ręce, z ust zaś jego płynie modlitwa, którą malarz wyraził za pomocą napisu, słowiańskiemi głoskami. Tak więc, jeśli mamy ufać tradycyi, a niema powodów poważnych do niewierzenia jej, posiadamy konterfekt ostatniego siczowego. Postać to średniego wzrostu, barczysta, w tymże samym polskim stroju, używanym przez Zaporożców, jak i inni w tej grupie, pas tylko bardziej wzorzysty, odświętny i karabela u boku. U dołu, wśród rzeczonych dwóch grup, widzimy sztandary i armaturę przypominającą, iż ta grupa modlących się — to zbrojne rycerstwo.

Modlitwy nie zdołały odwrócić ciosu, który zawisł nad Siczą. Kalniszewski przeżył upadek niepodległości Zaporoża, i najcięższe brzemię losu spadło na jego głowę, już wówczas osiwiałą, dźwigającą ciężar bardzo wielu lat przeżytych.

Dwakroć obierano go Atamanem koszowym, pierwszy raz w r. 1762; po paru latach przerwy znowu widzimy go tymże Koszowym (w r. 1765), i już odtąd wciąż piastuje godność przewodniczącego w Koszu aż do chwili rozwiązania tej orężnej instytucyi. Fakt piastowania bez przerwy w ciągu lat dziesięciu najwyższej godności siczowej, fakt świadczący napozór, iż Kalniszewski taką cieszył się miłością bractwa orężnego, że chciano wciąż go mieć u steru spraw siczowych, ma swe źródło w stosunkach ówczesnych, wytworzonych przez państwo opiekuńcze. Miłość i zaufanie współbraci bez zaprzeczenia otaczały Kalniszewskiego — pospolicie *Kałnyszem* nazywanego — lecz to jego ciągłe stanie u steru w latach kończących istnienie Siczy, wypływało z woli protektoratu, i bez tej woli nie miałoby miejsca. Mieć do czynienia z jedną znaną osobistością dogodniejszem było i pożądańszem dla państwa opiekuńczego, które na dnie już liczyło istnienie Siczy, niż z coraz to innym Koszowym: Kalniszewskiego zatem nie usuwano, nie kuszono się o inną dłoń młodszą, by dzierżyła ład w szeregach orężnego bractwa. On zdawał się najdogodniejszym.

Drugi okres rządów Kalniszewskiego był przeto długi; trwał dziesięć lat. Państwo opiekuńcze znać zeń było zadowolone, a przy-

najmniej liczono na jego powolność zupełną, gdy go starano się utrzymać u władzy. Takich powolnych woli swej narzędzi posiadało państwo opiekuńcze dwóch, a obaj stali u steru rządu w sąsiednich państwach. Jednym był Szahin Giraj, han krymski, drugim Stanisław August — w Polsce. Han Szahin Giraj, który uznał nad sobą protektorat ces. Katarzyny, jawnie manifestował swe uczucia, schlebiające protektorom. Działo się to po obaleniu Siczy, która w pewnym stopniu stawała się zawalidrogą na gościńcu do Krymu wiodącym. Szahin Giraj ukazywał się w owej dobie swemu dworowi w Bakczyseraju, w mundurze rosyjskiej gwardyi, z orderem św. Anny na szyi. Kalniszewski nie był dla niego przykładem. Ostatni Koszowy nie stawił wprawdzie zbrojnego oporu, nie występował jawnie z rokoszniczą opozycyą wobec wroga, chociaż widział, do czego dąży protektorat, nie sięgał po kord, ale wytrwale stał na stanowisku biernego oporu. Dwie ostateczności wstrętnemi były dla tego człowieka, o wielkim harcie woli a miłującym swe stepy i ich niepodległość, swe bractwo orężne i całość, nietykalność jego prastarych instytucyj. Schlebianie i rokosz zbrojny były temi ostatecznościami: od obu myśl jego była daleką. Gdy jednak nadeszły dni ostatnie, nie zapomniano Kalniszewskiemu jego postawy pełnej godności, nie zapomniano, iż myśl jego odtrącała wszelkie schlebiania, i nie sięgała po pakta, któreby jednostkom przyniosły obfite żniwo chwilowych korzyści, a rzecz publiczną naraziły na szybszy upadek. Nigdy mu tego nie zapomniano; pewien niesmak zawiedzionej nadziei pozostał, i jego bierna postawa przebłagać losów nie zdołała. Losy to były o niezwyczajnie ciężkiem brzemieniu.

Wyżej już mówiliśmy, iż ziemie siczowe, obszerne przestworza stepowe, za pomocą kolonizacyi, okrawywano systematycznie, z cicha, bez rozgłosu, z planem od wielu lat osnutym, z wszelkiemi nawet pozorami, iż się czyni rzecz legalną, a nawet pożyteczną dla ogólnego dobra, dla rozwoju cywilizacyjnego tych ziem. Opór bierny, protesta legalne, jak się wyżej rzekło, szły wciąż ku Północy, i w tym długotrwałym, uporczywym procesie imię Kalniszewskiego spotykamy. Nie schodzi ta sprawa kolonizacyi ziem siczowych ani na chwilę z porządku dziennego podczas rządów w Siczy Kalniszewskiego. Poświęcanie krwi i trudów bojowych, których nie żałowali Siczownicy na rzecz swego protektora, podczas walki z Tur-

cyą zakończonej traktatem w Kuczuk-Kajnardżi, nie wstrzymały ciosów wiszących nad Zaporożem. Korzystano z poświęceń, z męstwa, z ofiar, z krwi, ale po zawarciu korzystnego pokoju Sicz nawet roku nie istniała. Pokój ten pamiętny, strącający Turcyę ze stanowiska pierwszorzędnego mocarstwa, torujący Rosyi drogę do wpływu wśród ludów chrześcijańskich pod panowaniem tureckiem, do przewagi na południu, znaglał ją niejako do korzystania ze zdobytego stanowiska, do ustalania się w pozycyi nowej i wyciągnięcia z niej wszystkich owoców. Ujścia Dniepru, Kinburn, forteczka broniąca owych ujść, wreszcie zaś droga do wód czarnomorskich z Azowskiego morza — Kercz i Jenikale — stały się posiadłościami rosyjskiemi. Dobra, roztropna polityka nie pozwalała, by wyżej ujść Dnieprowych gospodarzyła inna państwowa potęga — a taką właśnie siłą obcą organizacyjną była Sicz. Polityka, idąca systematycznie, z samowiedzą celów, w jednym raz wytkniętym kierunku, nakazywała zniesienie wszelkiej tamy do panowania nad całym biegiem Dniepru. To więc, co od dawna przygotowywano w cichości, co wytworzyło blokadę niejako naokoło granic Zaporoża, zostaje pchniętem ku spieszniejszemu rozwiązaniu. W lipcu 1774 r. stanął pokój w Kuczuk-Kajnardżi, a w jedenaście miesięcy później nie było już Siczy.

Do ostatniej chwili na Zaporożu łudzono się, iż zguba acz bliska, nie jest tak dalece bliską, jak przyszłość wskazała. Kalniszewski z wszelkim spokojem prowadził gospodarkę stepową, którą miał obszerną i wybornie rentującą się. Wiemy, iż w ostatnim roku swego urzędowania sprzedał do Krymu 14 000 owiec i otrzymał za nie 28.000 rubli — przynajmniej takie relacye otrzymywał Potemkin — inni, jeżeli posiadali futory, gospodarzyli również gorliwie, z pasterstwa otrzymując znaczne dochody, co przy nadzwyczajnie małych wymaganiach i potrzebach dawało możność zbierania znacznych kapitałów. Wśród owej ciszy wyselano poselstwa do stolicy ze skargami na kolonizacyę nieprawną i tak bardzo szkodliwą gospodarstwom Zaporożców [1].

Poselstwa, jak wiemy, z niczem wracały. Ostatnie poselstwo, które strawiło w stolicy całą wiosnę 1775 r., tj. ostatnią wiosnę

[1] Porów. u A. Skalkowskiego *(Hist. Now. Siczy.* T. III. str. 164 i in.).

niepodległości siczowej, przysyłało nader ciekawe relacye ze swych rokowań ze znakomitościami stolicy opiekuńczego mocarstwa. Z tych sprawozdań szczegółowych widzimy, iż w ogóle niewiele mieli nadziei tryumfu w swych procesach, niewiele nadziei, iż ich prawa będą nadal zabezpieczone; lecz niekiedy posłowie ci łudzili się w sposób dziwnie naiwny, acz podejrzliwie dokoła się rozglądali — wszakże za dobrą monetę brali niekiedy blichtr grzeczności, któremi ich w stolicy często hojnie obsypywano. Dowcipy tych synów stepów południa obiegały pałace nad Newą, wywołując śmiech wesoły w kołach możnych a decydujących. Śmiano się długo, szczerze, dobrodusznie — biedne poselstwo również się śmiało, nie przypuszczając, o ile się zdaje, iż nawet w chwili śmiechu nie zapomniano w stolicy o celach swej wielkopaństwowej polityki [1].

Zdarzało się, że na tle napozór pogodnych stosunków, ukazywała się chmurka mała, lecz groźna i wcale niespodziana. Oto Potemkin, wszechwładny w sprawach tyczących się południowych kończyn państwa, rzuca poselstwu, uskarżającemu się na swą biedę, na zachwiany swój byt ekonomiczny, rzuca oschłą uwagę, iż „jego wielmożność“ koszowy ma ogromne dochody, iż sprzedaje po kilka tysięcy owiec naraz, iż urządza u siebie wspaniałe apartamenta [2]. Uwagi te mroziły słowo skargi na ustach posłów, paraliżowały ich rokowania. Dlatego też ostatnia ich relacya ze stolicy pisana na dni kilka zaledwie przed zupełnym upadkiem Siczy brzmi dość smutnie. Są też i inne świadectwa (listy do Potemkina ze stycz. 1775 r.), w których brzmi smutna nuta przeczuć złowieszczych dla siczowników.

Widząc wszelki opór nieużytecznym, jeden z członków władzy siczowej przedstawiał Potemkinowi memoryał, w którym rzucał myśl, aby bractwo orężne niżowe zamienić na instytucyę państwową rosyjską, poddać je władzy administracyjno-wojskowej, ręcząc, że Zaporożcy wiernymi będą tronowi. Lecz Potemkin usunął projekt bez dyskusyi nawet, jednym wyrazem: „niepotrzebni jesteście“.

Był to bez zaprzeczenia wyrok śmierci dla niżowego rycerstwa — wyrok wykonano z całym pośpiechem.

---

[1] L. c.

[2] *Sprawozdanie poselstwa zaporoz.* przesłane do Kosza, w wyjątkach u A. Skalkowskiego: *Historya Now. Siczy,* wyd. nowe, t. III, rozdz. V.

Sicz otoczona wojskiem nie zużyła ani jednego ładunku na swą obronę. Poddała się bez szemrania losom, ufając widocznie wspaniałomyślności tryumfatorów.

Pierwsze dni kilkanaście przeszły w spokoju. Wojska generała Tekelego zajęły posterunki, prochownię, kancelaryę i stanęły u otwartych bram Siczy, lecz gdy nadeszły rozkazy nowe ze stolicy, zwycięzki wódz Tekeli wezwał do siebie Koszowego — Kalniszewskiego — a z nim dwóch innych dygnitarzy (sędziego Pawła Hołowatego i pisarza Iwana Hłobę), którzy z obozu generała już nigdy do Kosza nie wrócili.

Generał Tekeli uwięził ich i odesłał do stolicy. Losy tych dygnitarzy siczowych w stolicy miały się rozstrzygnąć. Przeżyli oni istnienie Siczy i zdawało się, że jedynie smutek po stracie niepodległości niżowych instytucyj będzie okrywał żałobą ich sędziwe już wówczas lata, że inne smutki nie powiększą ich cierpień moralnych. Stało się jednak inaczej: cierpienia moralne i fizyczne owych „pogrobowców Siczy“ urosły z czasem do wielkich, rzadko spotykanych rozmiarów.

O kolejach dalszych Hołowatego i Hłoby wiedziano, o Atamanie zaś koszowym, Kalniszewskim, wieść nawet nie dobiegła do stepów, kędy mu upłynęły młodzieńcze, męzkie i sędziwe lata — ujęto go bowiem starcem — i w ciągu stu lat nie umiał nikt wskazać: gdzie i w jakich warunkach upłynęły ostatnie lata jego życia, gdzie zamknął swe znużone powieki, i gdzie wreszcie kości jego spoczęły...

Dopiero przed kilku laty przypadek zrządził, iż dalsze koleje życia tego „pogrobowca“ Siczy stały się znanemi.

Hołowaty i Hłoba byli wysłani na Syberyę. Pierwszy z nich jako 60-letni starzec został osadzony w Tobolsku, w Znameńskim monasterze, gdzie w ciągu dwudziestu lat przebywał pod podwójną strażą żołdaków i mnichów. Więzienie było ścisłe i rygor więzienny bardzo zaostrzony. Niewolno mu było nawet do cerkwi chodzić, położonej tuż przy monasterze, a gdy prosił o pozwolenie uczęszczania do cerkwi, po wielu latach otrzymał to pozwolenie pod warunkiem, iż żołnierz go będzie wciąż pilnował, i niewolno mu było ani „oglądać się, ani rozmawiać w cerkwi, ani też stać obok innych“ modlących się.

Tak odcięty od świata, mając 80 lat życia, spoczął Hołowaty w mroźnej ziemi Tobolska.

Hłoba znacznie dalej był wysłany. Turuchańsk, u ujść Jenisseja, miejscowość sąsiadująca z Lodowatym oceanem, pozbawiona wszelkich warunków znośnego istnienia, w ciągu lat 15 była wygnańczą siedzibą Hłoby. Tam biedny ostatni pisarz niżowego wojska dni swe smutne zakończył. Już na początku XIX w. rodzina jego upominała się o jakieś nędzne ruchomości, które po nim pozostały, i władze miały jej oddać.

Ta ostatnia okoliczność i inne wskazują, że los Hłoby, zarówno jak Hołowatego, był znanym. O Kalniszewskiego losach nawet ptak nie przyniósł żadnej wieści na stepy niżowe. Krążyła jakaś pieśń, mówiąca, że ostatni koszowy gdzieś nad Donem, skąd „czarna kawka“ miała o nim wiadomość przynosić.

Pieśń jednak miała wiadomość mylną... Kalniszewskiego los był najbardziej tragiczny — mąż to znać o najtwardszej woli, o wyższej od innych samowiedzy obowiązków, gdyż brzemię losu zgotowano mu najcięższe i dziwnem przeznaczeniem najdłużej, z prawdziwym stoicyzmem, z poddaniem się chrześcijańskiem on je dźwigał.

Wyrok, na mocy którego trzej przedniejsi przedstawiciele Siczy poszli do otchłani mąk długich, zanim ich od nich śmierć nie wyzwoliła, podpisała ces. Katarzyna II d. 10 czerwca 1776 r., a zatem w rok po upadku Siczy. Rok ten przesiedzieli zapewne wszyscy trzej w murach twierdzy Piotra i Pawła w Petersburgu, bądź też w murach Szlisselburga.

Piotra Kalniszewskiego, na mocy rzeczonego wyroku, wysłano do Sołowieckiego monasteru, na wyspę położoną wśród fal Białego morza. Wygnanie to połączone być miało — i było — z najsroższem więzieniem. Koszowego wieziono w wielkiej tajemnicy, pod strażą nawet zbyt liczną, zważywszy, iż miano do czynienia ze starcem już w dość późnych latach, a przytem znękanym całorocznem więzieniem. Straż składała się z majora, podoficera i pięciu żołnierzy. Więzień był pozbawiony nazwiska i imienia, a natomiast oznaczono go jakąś liczbą; jechano przez Moskwę i Archangielsk; podróż szła szybko; już 29 lipca wylądowano na wyspie sołowieckiej i zakołatano do bram monasteru, który miał być więzieniem i grobem

Koszowego. Wnet po przybyciu stawiono więźnia przed obliczem miejscowego przełożonego [1].

Przełożony, a był nim wówczas o. Dosyfej, powinien był spełniać obowiązek dozorcy więzienia. Tradycya, którą zebrały poszukiwania dwóch rosyjskich badaczy [2], mówi, iż Koszowy, gdy go przywieziono do monasteru, był człowiekiem dość dobrze wyglądającym, wzrostu średniego, budowy silnej — słowem, opis ów przypomina nam portret Koszowego, o którym wyżej wspomniałem. Widziano go w pierwszych chwilach jego pobytu w Sołowieckim monasterze w czerwonym żupanie. Zapewne tak wybrał się Koszowy na wizytę do Tekelego, i w tym stroju galowym porwany, w tymże samym po upływie roku, stanął u wrót Sołowieckiego więzienia. Po pewnym przeciągu czasu, powtarzamy tu znów słowa tradycyi, widywano go zgrzybiałym, bardzo szczupłym, o siwej brodzie, w surducie z kitajki szafirowym, z małemi ołowianemi guziczkami we dwa rzędy. Mówił zaś po rosyjsku nie zbyt biegle [3].

Kalniszewskiego umieszczono w jednej z ośmiu wież monasteru, w izbie sklepionej bez okna, które zastępowała wąziutka strzelnica o kilku zaledwie calach wysokości. W ogóle urządzenie celi jest takie, iż promień słońca nie tylko nie dochodził do jej wnętrza, ale nawet i jej mury zewnętrzne, grubości kilka metrów, ponieważ mają przed swym frontem budynek wysoki, nigdy promieni słonecznych nie widziały. Izba pieca nie posiadała, a prowadziły do niej drzwi podwójne, jedne żelazne, drugie zewnętrzne drewniane, które zamykano olbrzymią kłódką o bajecznej wadze. Drzwi te, w ciągu pierwszych dwunastu lat pobytu, nigdy nie odmykano... Rzućmy zasłonę na wnętrze owego grobu dla żyjących, gdzie „Pogrobowiec Siczy“ przebył dwanaście lat... Syn stepowych rozłogów nie miał tam ani powietrza, ani promieni słonecznych... wieści od świata, głos ludzki do niego nie dobiegały. W dusznej, zabójczej atmosferze oczy zachodziły mu wiekuistą pomroką; gasł powoli starzec, który stracił rachubę dni i lat swej męki, a nie mógł już później doliczyć się dziesiątków lat własnego życia.

---

[1] *Russkaja* Starina, 1878 r. i *D. J. Ewarnickij. Zaporożie*, t. II, str. 179.
[2] P. S. *Jefimenko* i *D. J. Ewarnickij.*
[3] *Zaporożie.* T. II, str. 180.

Po dwunastu latach powolnego konania w tym grobie dla żyjących, przeniesiono Kalniszewskiego do jednej z celi mniszych, w której urządzono mu więzienie, gdzie powietrze mniej było zabójcze, promienie światła wprawdzie dochodziły, lecz oczy więźnia gasły nazawsze; organizm jego, niegdyś zadziwiający swą mocą kamienną, chylił się ku upadkowi. A jednak nieszczęsny starzec wciąż był pilnie strzeżony; rygor więzienny nie zmniejszał się ani na chwilę. Pod strażą zbrojnych żołdaków wodzono go niekiedy do cerkwi, pod strażą chodził do spowiedzi — czego ściśle wymagały przepisy więzienne — lecz nie mniej przestrzegano, by nikt obcy nie rzekł do niego ani wyrazu, by dźwięk jego słowa nie wpadł do czyjego ucha...

Przy całej srogości więzienia, Piotr Kalniszewski rozporządzał znaczną, jak na jego warunki życia i potrzeby, kwotą pieniężną. Przeznaczano na jego utrzymanie z dochodów majątku, który po nim pozostał, a nie był skonfiskowany, rubla dziennie. Starzec całą prawie tę summę rozdawał na ofiary dla miejscowej cerkwi, których to ofiar (jak np. krzyż srebrny pozłacany, wysoki na metr) wiele do dziś, nader nawet kosztownych, pozostało po nim w cerkwi Sołowieckiego monasteru.

Tak płynęły dnie i lata nieszczęsnego starca... tak upłynęło ćwierć wieku... Nikt nie ośmielił się zmieniać lub osłabiać rygorów więziennych... Tradycya pozostała, że pielgrzymi odwiedzający klasztor widzieli raz więźnia przychodzącego pod strażą trzech żołnierzy do mnichów, było to już w ostatnim roku niewoli Koszowego... Nie pozwolono wszakże więźniowi mówić z pielgrzymami, którym chciwie rzucił kilka pytań: „Kto obecnie na tronie, i jaka teraz pomyślność państwa?“... Ale wnet go skarcono, a również i pielgrzymów, mówiąc, iż gdy nadejdzie „archimandryta“ gniewać się będzie na pielgrzymów, gdyż „z tym człowiekiem mówić niewolno“... Archimandryta rzeczywiście nadszedł i więzień podszedł do jego błogosławiącej dłoni. „Stary jesteś, trącisz już ziemią“ — rzekł przełożony... I rzeczywiście, dodaje tradycya, był on bardzo zgrzybiałym.

Gdyby można było polegać na wskazówce, jaką daje nam napis na mogile Kalniszewskiego, gdzie czytamy, iż żył „112 lat“, to w roku, do którego stosuje się wyżej przytoczona tradycya, po-

winien był liczyć sto dziesiąty rok życia. Przesadną jest bezwątpienia liczba lat zapisana na jego grobie, w 53 lat po zgonie, a oparta na tradycyi klasztornej, w takim bowiem razie potrzeba byłoby przypuszczać, iż obejmował swą godność Koszowego, mając lat 74, i stał jeszcze u steru orężnych siczowników w 84-tym roku życia, co zdaje się nieprawdopodobnem. W każdym razie dożył Kalniszewski bardzo późnego wieku.

Po wstąpieniu na tron ces. Aleksandra I., pełnego wówczas uczuć humanitarnych, wydany został manifest, uwalniający licznych więźniów, skazanych od lat wielu na zatracenie — Kalniszewski był w liczbie uwolnionych[1]... Uwolniono go po dwudziestu pięciu latach mąk fizycznych i moralnych, po cierpieniach, które mu wreszcie, w ostatnich dniach niewoli, wzrok zabrały... Było to w jesieni 1801 roku, gdy na archipelag Białego morza nadbiegła wieść o jego uwolnieniu. Wiadomość wstrząsnęła całem jestestwem gasnącego starca, łzy radości popłynęły z zagasłych oczu, żywo stanęły mu w myśli pola stepowej ojczyzny, a kto wie, czy nie odżyły wspomnienia lat dziecinnych, wspomnienia owego Podola, które było jego kolebką, gdzie go hartowano na bój z losem, gdzie posiew usposobień religijnych zaszczepiono w jego młodocianej duszy. Posiew urósł z czasem na plon obfity. W modlitwie szukał ukojenia, i znalazł je. Modlitwa wytworzyła wielką rezygnacyę, całkowite poddanie się woli Przedwiecznego...

Po swem uwolnieniu starzec, który przeżył wszystko i wszystkich, dla którego promienie słońca już na wieki zniknęły, a godzina śmierci szybko się zbliżała, nie opuścił murów klasztornych, gasł i zgasł w nich po dwóch latach owej tak późno wróconej wolności. Kamienny organizm tego człowieka w proch się rozsypał... Dzień sobotni 31 października (st. st.) 1803 r. ostatnim był kresem jego życia...

Pamięć o Kalniszewskim nie zaginęła na stepach Niżu, wspomnienie owej wybitnej postaci zachowano w pieśni; pieśń szuka śladu jego stóp i znaleść nie może; przeczuwa, iż wśród stepowych przestworzy nad Donem gdzieś on przebywa; może ukryty w ustron-

[1] D. F. Ewarnickij czytał ów edykt, w kopii urzędowej przechowywany do dziś, w archiwum Sołowieckiego monasteru.

nym futorze, w cieniu wierzb, samotny dobiega kresu żywota. Fantazya ludowa nie przypuszczała, iż żywcem go zagrzebano, iż dni jego życia przekroczyły o wiele kres bytu Siczy, iż on żył, ale w warunkach najtwardszej doli; że mu poskąpiono powietrza, słońca i dźwięku mowy ludzkiej.

Lecz i poza Niżem, po zgonie już, umiano uczcić pamięć nieszczęsnego starca. Bogobojne, ciche dni jego, ofiary hojne i liczne dla cerkwi wytworzyły wreszcie wśród mnichów życzliwe dlań uczucia. Grzebią go tuż obok cerkwi na najprzedniejszem miejscu i w kilkadziesiąt lat po zgonie (w r. 1856) przełożony ówczesny monasteru Aleksander (późniejszy archirej Półtawski) stawia mu nagrobek, na którym w streszczeniu czytamy przebieg żywota tego „pogrobowca zaporozkiej Siczy". Człowiek, który uczcił kamieniem i napisem pamięć Kalniszewskiego pochodził i sam zapewne z ziem naddnieprzańskich. Świadczy o tem jego nazwisko (Pawłowicz), świadczą głoski napisu, które są słowiańskie, a nie piotrowy alfabet, świadczy i treść napisu, mówiąca ze czcią o ostatnim Koszowym, nazywająca Sicz „groźną". Słowa Pisma św. „Błogosławieni, którzy umierają w Panu" — zamykają ów krótki, a jedyny nekrolog ostatniego Koszowego, na kamieniu wyryty.

To, co poczęte było kiedyś przed wiekami na progach Dnieprowych, dłonią, myślą polską, co tchnienie zachodnio-chrześcijańskiej cywilizacyi powołało do życia — ruiną legło jednocześnie z państwową starej Rzeczypltej budową. Z Siczy i jej przeszłości stosunkowo niewiele pozostało zabytków w obrazach i studyach dziejowych sumiennie opracowanych. Kamień grobowy na wyspie Białego morza, z napisem słowiańskiemi głoski, to jeden z cenniejszych pomników dziejowego życia Siczy zaporozkiej — ostatnia wymowna a chlubna kartka jej historyi[1]...

Maryan Dubiecki.

[1] Rusin z Zadnieprza, p. *P. S. Jefimenko*, burzą losów zaniesiony w r. 1860 na wschód i północ Europejskiej Rosyi, pierwszy około 1870 spotkał ślady pobytu i zgonu ostatniego Koszowego, Kalniszewskiego, na Sołowieckiej wyspie i napisał o swem odkryciu studyum ciekawe, umieszczone w r. 1878 w ros. czasopiśmie *Russkaja Starina*. *D. F. Ewarnickij*, badacz ros., chcąc rzeczone poszukiwania uzupełnić, umyślnie przedsiębrał, w r. 1887, podróż z Charkowa na ową daleką wyspę, na Białem morzu, gdzie złożone prochy „pogrobowca Siczy".

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Wieloletnie zatem zabiegi ze strony dobrze już siwym włosem oprószonego kantora św. Floryańskiego i plebana olkuskiego, i tak liczne i dotkliwe, jakich doznawał, zawody, ostatecznie, choć w sposób nie ze wszystkiem prawidłowy i tylko dzięki jakiemuś naciskowi ubocznemu, pomyślnym dla niego uwieńczone zostały skutkiem: ruchliwy i obrotny kmiecego rodu Wawrzków syn z kolegiackiej Wisnki, przy końcu w. XV do r. 1504 jako podrostek przez całe prawie dziesięciolecie ubogi ze szkoły św. Floryana żak żebrzący, a potem przez dwadzieścia i kilka lat extraneus, collega minor i major na wydziale artystycznym, zanim przed Wielkanocą r. 1527 przeniósł się był do Olkusza, obecnie, o czem prawdopodobnie nieraz w młodości był zamarzył i do czego z upragnieniem wzdychał, dobił się wreście we wrześniu r. 1541 w całem znaczeniu w ówczesnym społeczeństwa naszego ustroju poważnego i intratnego stanowiska, i choć z biedą niemałą i wśród ciężkich bolów porodowych wyszedł jako bakałarz św. teologii na jednego z luminarzy i potentatów Uniwersytetu krakowskiego, za jakiego w XVI w. bez przesady każdorazowy kustosz kolegiacki wszelkie miał dane uchodzić i za jakiego go też powszechnie uważano.

Ale choć wielką, co łatwo pojąć, nie mogła przecież radość jego z tak pomyślnego dla siebie wyniku całkowitą być i pełną,

nie mógł bowiem nie widzieć tego i nie czuć, że pewna część kolegów-wyborców, według której najstarszy z rzędu dr. św. teologii, ks. Prosiński z Piotrkowa [1], powinien był teraz posunąć się na kustosza św. Floryańskiego, do ostatka wcale przeciwną mu była i tylko niechętnie, ulegając jakiemuś wyższemu parciu zewnętrznemu, odstąpiła od przestrzeganej przez tyle lat zasady, żeby kustoszem kolegiackim wybierać kandydata, który nie tylko zasługami licznych lat służby, strawionych w murach i na katedrach uniwersyteckich wykazać się był zdolny, ale i doktorat już miał teologiczny. A i myśl, że po prawdzie przez opieszałość swoję i własne lenistwo sam był sprawcą przykrych zawodów swoich, także nie pomału chwilową radość jego uszczuplać musiała. Wszak gdyby około r. 1530, zamiast hulaszcze na plebanii olkuskiej prowadzić życie, uporał się był z egzaminami i promocyami doktorskiemi, a na wygórowane taksy i opłaty dochody probostwa wystarczyć mu przecież powinny były, już w r. 1532 i 1534 zamiast szkolnych kolegów swoich, Fridla i Stawiszyńczyka, mógł był zostać kustoszem św. Floryańskim, a już z wszelką pewnością w r. 1540 lub w marcu r. 1541 zamiast o wiele młodszych od siebie magistrów, Aurifabra i Procopiadesa. Zanadto jednak, przenosząc się do Olkusza, zaufał był zastrzeżeniu swemu ze stycznia r. 1527 do możliwych w kolegiacie awansów, do czego bez doktoratu teologicznego, jak się pokazało, koledzy-wyborcy niewiele przywiązywali wagi, odłożył więc w swoim czasie dalsze nad książkami ślęczenie na bok, to też teraz, choć kontent, że przecież raz tyle upragnioną dla siebie zdobył kustodyą, nie bez pewnej goryczy utajonej patrzyć musiał, że młodszy od niego o 8 lat magister, ale już dr. św. teologii, ks. Procopiades, wyższe przed nim i ważniejsze, i to w szczególniejszy sposób, zajął dziekana kolegiackiego stanowisko. Toć przecież, jak żaden przedtem kustosz, był nim zaledwie kilka miesięcy, od 7 marca, a już po upływie półrocza, 12 września t. r., na wyższy w hierarchii kolegiackiej i uniwersyteckiej posunął się szczebel.

---

[1] Pauli in Codice, IV 11, 162, 186 i n., na podstawie późniejszej z w. XVII kopii, pisze go „Johannes Pr*uschy*ński a Piotrków"; współczesna wszakże, zaraz po jego śmierci uskuteczniona zapiska w Regestrum supellectilis, str. 66, nazywa go „Iohannes Pros*i*nsky a Piotrkow".

Jakkolwiekbądź wszakże mniejszą o wiele i tylko czasową nowy kustosz, ks. Wisneczanin, żywić mógł niechęć do szczęśliwszego od siebie nowego dziekana, o wiele natomiast więcej, jak to czuł dobrze, obawiać mu się należało ks. Prosińskiego i tych kolegów, co się za nim przy wyborze oświadczali, a którzy teraz przy pierwszej lepszej sposobności, czyto w kolegiacie, czy na całego Uniwersytetu lub fakultetu teologicznego posiedzeniach, wytykać mu mogli: Mości kustoszu i profesorze, tyś nie dr. św. teologii, a jedno bakałarz!

Lecz czas naglił, niedozwalając głębszym na ten temat oddać się na razie rozmyślaniom, już w kilka tygodni bowiem później, 7 października t. r. [1], obrany został nowym kantorem kolegiackim i proboszczem w Olkuszu dotychczasowy cursor czyli nadzwyczajny na wydziale teologicznym docent, miejskiego pochodzenia ks. Jan Mstowita z Mstowa. Ustąpić więc przedewszystkiem należało teraz ks. Wisneczaninowi z zajmowanego dotąd miejsca nowemu następcy swojemu, i z Olkusza, gdzie prawie lat 15 przebywał, przenieść się, jak sam tego do niedawna gorąco pragnął, na stałe do Krakowa mieszkanie. Nastąpiło to prawdopodobnie już w ciągu jesieni t. r., i nie odbyło się bez pewnych zmian ważniejszych w najbliższem jego kole rodzinnem; razem z nim bowiem przenieśli się teraz na stały do gwarnej Jagiellonów stolicy pobyt jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy jego po ojcu Wawrzyńcu najbliżsi powinowaci i krewni, kumotry i swaki, co go r. 1527 i później rojno na plebanii w Olkuszu obsiedli byli. I do drugiej jeszcze zmiany niezwłocznie przyjść musiało. Ustąpić mianowicie musiał równocześnie z zajmowanego dotychczas w kolegiacie św. Floryańskiej stanowiska, z ramienia ks. Leonarda w r. 1527 zastępcą jego czyli wicekantorem mianowany bliski krewniak jego, ks. Stanisław Wisneczanin [2], nowy bowiem kantor kolegiacki i proboszcz olkuski, ks. Mstowita, z ramienia swojego, do czego, jak

[1] Beneficia eccl. colleg. s. Floriani, nr. 10·016; Conclusiones Collegii maj., str. 86 i n.

[2] Naturalnie z zastrzeżeniem, jeżeli żył jeszcze.

każdemu kantorowi, pełne służyło mu prawo, kogo innego jako zastępcę swego w kolegiacie naznaczył [1].

Ale i w łonie samej kapituły św. Floryańskiej i na wydziale teologicznym, skutkiem ostatnich wypadków, za jego do Krakowa na stałe mieszkanie powrotem albo pewne już dokonały się były zmiany, albo niebawem nastąpić miały.

I tak przedewszystkiem nowy św. teologii bakałarz a tem samem już jako taki nadzwyczajny fakultetu teologicznego profesor, ks. Koźmińczyk, od 27 października r. 1535, gdy parafialny św. Anny kościół na kolegiatę tego nazwiska zamieniony został, czwarty z rzędu jej kanonik [2], został teraz dziekanem od św. Anny [3], a wkrótce potem także kanonikiem św. Floryańskim [4] i kaznodzieją katedralnym krakowskim [5], na któremto stanowisku w kilka lat później jako Uniwersytetu Jagiellońskiego znakomity zasłynął „theologus“ [6].

A jeszcze lepiej od niego wyszedł zaraz w jesieni r. t. i drugi nowy św. teologii bakałarz, ks. Kaufman, przedtem już jako collega minor i major na wydziale artystycznym, kanonik sandomierski [7] i u Wszystkich św. w Krakowie kolegiacki [8]. I ten posunął się niebawem potem na kanonika św. Floryańskiego [9], a ponieważ wyjątkowo jako syn patrycyuszów krakowskich za dosyć uchodził zamożnego i dla nikogo tajemnicą nie było, że z chwalebną nosi

---

[1] W Aktach rektorskich, II 245, występuje w czerwcu r. 1548 jakiś „Honorabilis Albertus, vicecantor eccl. colleg. s. Floriani“.

[2] Pauli, Codex, IV 162.

[3] Acta rect. z 5 listopada 1541, II. 119: „Bened. Cosminius, artium mgr., s. theologię baccalaureus, decanus eccl. s. Annę“. — Kiedy i przy jakiej sposobności z dziekaństwa tego ustąpił był ks. Prosiński, pierwszy w ogólności — jak to już z poprzedzających uwag znane — od 27 października r. 1535 kolegiacki św. Anny dziekan, nie jest wiadomo; prawdopodobnie w chwili, gdy został kanonikiem św. Floryańskim.

[4] Acta historica, IV 208 i n., w nrze 216 z kwietnia r. 1546, nazywają go: „artium mgr. et s. theol. prof., apud s. Florianum in Clepardia canonicus“.

[5] Acta hist., I. 284 i nn., nry 564 i nn., nazywają go jeszcze w r. 1550 i 1551: „prof. Univ. Cracov., s. Annae decanus et concionator cathedralis“.

[6] Acta hist., I. 475 nr. 842.

[7] Katalog rękopisów bibl. Jag., I. 183 nr. 579.

[8] Muczkowski, Liber promot., str. 173.

[9] Acta rect. z marca r. 1543, II. 154: „Ioan. Kauchman (tak!), canonicus eccl. s. Floriani“.

się myślą uczynienia jakiego dla Uniwersytetu zapisu, nadała mu Alma mater 27 lipca r. 1543 opróżnione właśnie w kościele św. Anny probostwo [1], jedyną w tej kolegiacie posadę, którą do lepszych i intratniejszych zaliczano. Nowo mianowany, z rzędu już trzeci od św. Anny proboszcz kolegiacki [2], ustanowił też w rzeczy samej zaraz potem i z funduszów swoich uposażył nowy w kościele św. Floryana na rzecz ubogich Uniwersytetu uczniów i magistrów ołtarz p. t. Wniebowzięcia N. P. Maryi, z którego czysty dochód w sumie $11^1/_2$ marek rocznych, w dwóch trzecich prawie, gdyż aż do wysokości $8^1/_2$, na wspólne iść miał kolegiaty potrzeby, o wiele zaś mniejszą jego resztę w ilości 3 marek pobierać miał za odprawiane przy ołtarzu tym mszy tygodniowe każdorazowy stały jego altarzysta ubogi [3]. Niestety, już w dwa niespełna miesięcy potem, 22 września t. r., bakałarz św. teologii, ks. Kaufman, na grasującą właśnie w Krakowie zarazę życie zakończył [4].

Na takie więc przemiany, w części już dokonane, w części zaś dopiero w toku będące lub zamierzone, natrafił b. kantor kolegiacki i pleban olkuski a obecnie już kustosz św. Floryański, ks. Wisneczanin, za swoim w późnej jesieni r. 1541 na stałe do Krakowa mieszkanie powrotem. A jak mu się teraz tu powodzić zaczęło i jaki w ogólności dalej wśród nowych stosunków, całkiem już prawie od r. 1527 zmienionych, aż do połowy lipca r. 1552, gdyż tak długo jeszcze za wolą Opatrzności dozwolone mu było po tym plątać się świecie, prowadził tu żywot?

Jakby wyjątkowym sposobem i z grzechem pierworodnym, bez doktoratu św. teologii, dzięki ubocznemu jakiemuś naciskowi, wkręcił się na wyższe i wpływowe w kolegiacie stanowisko i na

---

[1] Pauli Codex, IV 177: „Investitura Joannis Kaffman de Cracovia, bacc. s. theol., canonici Sandom., ad praeposituram eccl. colleg. s. Annae".

[2] Pierwszym, od października r. 1535, św. Anny kolegiackim proboszczem był ks. Mikołaj Crabus z Krakowa, († 24 stycznia r. 1538), drugim zaś zmarły właśnie r. 1543 ks. Erazm Wonsam z Krakowa. Pauli. l. c., IV 162 i 186; Regestrum supellectilis, str. 28.

[3] Pauli, Codex, IV 179 i nn.

[4] Regestrum supellectilis, str. 62: „Anno 1543 die 22 Septembris, seuiente tunc peste atrocissima, Venerabilis mgr. Iohannes Coffman, Cracouiensis patricius, canonicus Sandomiriensis, altarista et mansionarius s. Barbare in Cracouia ac ante 2 menses prepositus ecclesie s. Anne, de canonicatu s. Floriani electus et investitus, infectus morbo pestifero, extinctus est...".

wyższą w Uniwersytecie katedrę teologiczną, grzech też ten pierworodny wobec nieprzyjaźnie dla osoby jego usposobionych ks. Prosińskiego z Piotrkowa i stronników jego jakby przekleństwem jakiem zaciężył teraz na nim, niedozwalając mu przez czas dłuższy swobodniej i wolniej się poruszać. Że najlepszym i jedynym może dla niego sposobem wyjścia z tak przykrego dla siebie położenia mogło być tylko poddanie się i to zaraz w najbliższym czasie ponownym egzaminom doktorskim i przeforsowanie aktu promocyjnego[1], ażeby obosieczną z rąk przeciwników broń wytrącić, rozumiał to zapewne sam ks. Leonard bardzo dobrze. Ale jak tu wobec takiego położenia do nowych zgłaszać się egzaminów? Od lat tylu odwykł był już od nauki szkolnej, a choć przed kilkoma miesiącami jako 60-letni starzec to i owo sobie przypomniał i bakałarstwo teologiczne dla siebie wywalczył, nie czuł się jednak dosyć mocnym na siłach, żeby ponownie wszelkim ścisłych rygorozów warunkom zadosyć uczynić, zwłaszcza wobec wrogich mu kolegów, którzy korzystając ze sposobności i mszcząc się za krzywdę dra Prosińskiego, bez wielkich zachodów łatwo mogli go byli przy egzaminach — jak to powiadają — spalić i na tem większe tylko wobec wszystkich narazić wstyd i upokorzenie!

Droga ta zatem, choć fundusze na nowe i wygórowane dla „patres conscripti“ taksy i opłaty byłyby się znalazły, nie zdała mu się samemu w tej chwili dobrą i na pewno do celu wiodącą, a ponieważ w pierwszych tygodniach a może i miesiącach żadna inna nie nasuwała mu się lepsza, odłożył ją dlatego czasowo na bok, ażeby zaś tem bardziej jeszcze nie narażać się i tak już niechętnym sobie i w kolegiacie i w Uniwersytecie starszym i młodszym kolegom, usunął się więc o tyle od właściwego życia uniwersyteckiego i kolegiackiego, że ani na kapitulnych ani na sesyach uniwersyteckich i fakultetu teologicznego, do czego jako kustosz i profesor św. teologii był obowiązany, pod różnymi pozorami udziału nie

[1] Po upływie jakiego czasu wolno było bakałarzom św. teologii zgłaszać się do ponownych egzaminów doktorskich, przepisów na to wyraźniejszych nie było, a te, co się dochowały, nadzwyczaj bałamutne są i niejasne. W praktyce zresztą — jak widzimy —różnie się działo, można nawet było osiągnąć doktorat teologiczny, niebędąc wcale przedtem ani licencyatem ani bakałarzem św. teologii.

brał [1]. Czas — pomyślał sobie — wszystko pomału łagodzi i wyrównywa, dalszemu też biegowi wypadków dosyć przykrą poruczył sprawę swoję, a tymczasem rozglądnąwszy się po kilku tygodniach przenikliwem z boku okiem po bieżących św. Floryańskich i uniwersyteckich sprawach, postanowił zbliżyć się do tych przynajmniej w kolegiacie i na wydziale teologicznym kolegów, do których zbliżenie się i koniecznem i możliwem było dla niego, i wyjść mu w najbliższej przyszłości mogło na dobre.

Do nielicznych jeżeli nie przyjaciół osobistych, to przynajmniej dobrych i życzliwych sobie znajomych, mógł i powinien był, jak mu się zdawało i w czem się nie mylił, zaliczać przedewszystkiem swojego kolegę szkolnego, ks. Fridla, z którym po Trzech królach r. 1504, a więc już temu lat 38, otrzymał był stopień mgra filozofii i z którym potem przez lat tyle na wydziale artystycznym jako extraneus a później collega minor i major wspólnie filozoficzne czytywał lekcye. Kleparska dziecina, ks. dr. Fridel, został był właśnie już dobrze przed rokiem, jeszcze jako dziekan św. Floryański, po śmierci proboszcza św. Mikołajskiego, ks. Biema, wicekanclerzem Uniwersytetu [2] a otrzymawszy obecnie, zaraz po zgonie ks. Biela, kanonią katedralną krakowską, urósł był już do wysokości, do jakiej w ogóle w ówczesnych stosunkach i czasach ubogim miejskiego i kmiecego rodu magistrom naszym wznieść się tylko można było. I czegoż teraz mógł był jeszcze za życia pragnąć mieszczuk krakowski? Chyba jako człek starszy, wyrozumiały i spokojny i jako zastępca kanclerza uniwersyteckiego baczyć pilnie na to, żeby w łonie Almae matris, a w szczególności jej fakultetu teologicznego, do którego należał, niczem niezamącone między wszystkimi profesorami mir i zgoda zapanować mogły! Kwasy zatem i gorszące nieporozumienia, jakie się skutkiem wyboru ks. Wisneczanina na kustosza kolegiackiego wyrodziły były, żadną miarą na rękę mu być nie mogły, i rad był w duszy, zwłaszcza że tu o kolegę chodziło szkolnego, w jakikolwiek przyczynić się do tego spo-

[1] Po raz pierwszy — o czem niżej — zdybiemy się z ks. drem Wisneczaninem na posiedzeniu Uniwersytetu dopiero w marcu r. 1544, na posiedzeniu zaś kapituły św. Floryańskiej dopiero w kwietniu t. r.

[2] Muczkowski, Liber promot., str. 198.

sób, żeby nieprzyjemności te i sprzeczności zwolna i pomału wyrównać i usunąć. Do niego też przedewszystkiem zbliżył się teraz nasz ks. Leonard, i z pewnością nieprzechylnego nie doznał przyjęcia.

Rad mu był w duszy także, choć z innych zupełnie względów i choć nie ze wszystkiem mu może i nie tak bardzo zresztą życzliwy, ks. dr. Kościańczyk. Jako nadworny prymasa Gamrata kapelan i teolog, stanąwszy już od lat kilku jakby na uboczu od właściwego życia uniwersyteckiego [1], nie miał wprawdzie powodu ze zmiany położenia swego być niezadowolonym, ale żal pewny czuć zawsze musiał do Uniwersytetu i starszych jego doktorów i magistrów. Bo i dlaczegoż, choć zdolniejszy od innych i choć od dawna już dr. św. teologii, tak połowicze wobec nich teraz zajął stanowisko i był niby i nie był Almae matris profesorem? Wszak nie z innej przyczyny, tylko dlatego, że jako młodszy latami służby magister i doktor, nie miał przed sobą prędszych do awansu widoków i z goryczą tylko patrzyć na to musiał, jak przy tych awansach właśnie nie zdolności kandydatów i zasługi ich rozstrzygały naukowe, lecz w pierwszej mierze spora liczba lat służby, w drugiej zaś choćby byle jako przepchany doktorat teologiczny. Do przyjaciół też i stronników ks. Prosińskiego, którzy go jako najstarszego z rzędu latami doktora na kustodyą pchali św. Floryańską, z pewnością nie należał, a choć nie miał także powodu do szczególniejszych jakichś dla ks. Wisneczanina poczuwać się obowiązków, robić mu mimo to i właśnie dlatego zwykłą mogło przyjemność ludzką, gdy mu się dobra nadarzyła sposobność pięknem odpłacić się za nadobne fakultetowi teologicznemu [2]. A tem zręczniej i gładziej mu to nawet pójść powinno było, gdy niefortunny potylekroć kantor kolegiacki w końcu przecież dla pretensyi swoich gdzieś aż u boku samego prymasa i w kancelaryi biskupiej [3] poparcie znaleść

[1] Nadwornym arcybiskupa Gamrata teologiem był już dawno przed wrześniem r. 1541, jak to z przedmowy jego do prymasa na czele dziełka „Examen spirituum“, datowanej w lutym r. 1542, wypływa.

[2] Podczas wyborów w pierwszej połowie września r. 1541 bawił Kościańczyk w rzeczy samej przy boku Gamrata w Krakowie, czego dowodem przytoczone wyżej w całości potwierdzenie biskupie z 16 t. m. i r.

[3] A jakiemi ścieżkami za własnymi sprawami chodzić należało po kancelaryi biskupiej, znał to i praktykował ks. Wisneczanin już w dawniejszych latach, jeszcze jako extraneus, collega minor i major.

zdołał. Jakoż rad skorzystał teraz z okoliczności, żeby na prędce porządne uniwersyteckim kolegom swoim uszyć buty, popierającym więc z kancelaryi biskupiej kandydaturę ks. Wisneczanina ochoczo i rączo podbijał benbenka i z skuteczną im w pomoc przyszedł zachętą. Toć przecież zawsze tego byli zdania, że wysokie i wpływowe dziekana i kustosza kolegiackiego stanowiska bezwarunkowo starsi tylko latami zasług zajmować powinni kandydaci, niech więc raz na odmianę zajmie tę posadę kantor św. Floryański, który Uniwersytetowi już od r. 1504 służy, czasu bowiem strawionego przez niego na probostwie w Olkuszu, wobec zastrzeżenia jego ze stycznia r. 1527, za przerwę w służbie uważać nie można. A że nie jest jeszcze drem św. teologii, tylko bakałarzem, niema to nic do rzeczy i ważnej przeszkody stanowić nie powinno, żaden Statut bowiem ani nie wymagał tego nigdy, ani nie wymaga, żeby kustoszem nieodzownie musiał być aż doktor fakultetu teologicznego. Dlaczegoż miałby obecnie zostać kustoszem właśnie dr. Prosiński, o wiele od niego latami młodszy magister[1].

Wobec też tego, tem bardziej że i na posiedzeniach całego Uniwersytetu wyborczych ks. Kościańczyk niechybnie kandydaturę ks. Leonarda otwarcie popierać się nie wahał, nie dziw, że i do niego obecnie nowy kustosz, zamieszkawszy już stale w Krakowie a od wielu odpychany, zbliżyć się usiłował. Przyboczny Gamrata teolog nic naturalnie przeciw temu mieć nie mógł, rękę z przyjemnością nowemu podał dygnitarzowi św. Floryańskiemu, ale po za to wątpić, żeby się do dalszych jakich dla niego zobowiązań dał był nakłonić, n. p. do przyrzeczenia, że wobec niechęci reszty kolegów, w najbliższym już czasie sprawę doktoratu ułatwić mu starać się będzie. I owszem, jemu to właśnie wcale nietajoną sprawiało przyjemność, że kolegiacie na wyższe stanowisko dostał się tym razem tylko bakałarz. Sit eis!

Dla innych wreście powodów zdołał z czasem, choć o wiele już później, nowy kustosz zbliżyć się także do starszego od siebie w godności dziekana, ks. dra Procopiadesa, i serdeczniejsze zawiązać z nim stosunki. Przy pierwszem, naturalnie, w kolegiacie

---

[1] Był nim — jak już wiadomo — dopiero od Trzech króli r. 1518.

spotkaniu, co łatwo pojąć, ks. Leonard z obowiązku winny oddając ukłon wyższemu od siebie prałatowi, nie mógł niezauważyć chłodu i pokrywającej obawę obojętności, z jaką mu ks. dziekan prawicę podał swoję. Jakoż w pierwszych tygodniach i miesiącach, a nawet i dłużej nieco, inaczej być nie mogło wobec wszystkim jawnej i dobrze wiadomej rzeczy, że właśnie dr. Procopiades do najżarliwszych ks. Wisneczanina i w czasie ostatnich wyborów i przedtem już [1] należał przeciwników, co z dwóch czynił względów, raz dla zasady, a powtóre z przyczyny, której nie każdy na razie mógł był dostrzec i należytej sobie z niej zdać sprawy. Względy zasadnicze kazały mu bezwarunkowo do ostatka opierać się wyborowi kandydata, który nie był jeszcze drem św. teologii, sam przecież tą drogą idąc, aż na dziekana wyrósł kolegiackiego, dlaczegoż więc bez ważniejszych powodów a z krzywdą drugich, w tym przypadku zaś z krzywdą ks. Prosińskiego z Piotrkowa i tuż za nim idącego dra Napachańczyka, ustaloną tę od tylu już dziesięcioleci zasadę zwyczajową łamać? Niema jeszcze doktoratu kantor kolegiacki, niech więc sam sobie winę tylokrotnych zawodów swoich przypisze i spokojnie sobie i nadal w Olkuszu żywot wiedzie gospodarski!

Ale i inna jeszcze, wprawdzie osobista, niemniej jednak głęboka i ważna była przyczyna, dla której żadną miarą ks. Procopiades życzyć tego sobie nie mógł, żeby mu jako kustosz pod sam bok w kolegiacie wlazł właśnie tyloletni pleban olkuski. Każdy inny, byle nie ks. Wisneczanin!

Nowy, od 12 września r. 1541, kolegiaty dziekan, a były jej od marca t. r. kustosz, należąc już przedtem jako bakałarz św. teologii i kanonik do kapituły św. Floryańskiej, został był — jak sobie przypominamy [2] — już w kwietniu r. 1538, albo zaraz po śmierci ks. Burcardiniego, albo wkrótce potem, prokuratorem czyli ekonomem dóbr kolegiackich. Dotąd w dosyć stosunkowo licznych i rozległych posiadłościach swoich prowadziła zawsze kolegiata gospodarstwo we własnym — jak dzisiaj mawiać się zwykło — za-

[1] Przy końcu maja lub w pierwszych dniach czerwca r. 1540, po śmierci ówczesnego kustosza, ks. Stawiszyńczyka.

[2] Były o tem po dwakroć już poprzednio wzmianki.

rządzie[1]. Od czasu też do czasu, zazwyczaj raz lub dwa razy do roku, objeżdżał każdorazowy ks. prokurator, zawsze jeden z pośród niższych kanoników, wszystkie kolegiackie dobra, lustrował je, wglądał w ich stan i porządki, wydawał potrzebne rozkazy i polecenia, sprzedawał zboże, bydło i co się dawało, ściągał dziesięciny, należytości i inne daniny, wracając zaś do domu, na czas nieobecności swojej, jako zastępcę swego we włości z tytułem „włodarza“[2], zostawiał jednego z poważniejszych i starszych kmieci miejscowych, jakim n. p. w rodzinnej naszego ks. Leonarda Wisnce, w r. 1530 i w latach nn., jak to już z zapisek ówczesnego proboszcza pajęckiego, ks. dra Łowiczanina, dostatecznie wiadomo, był kmieć tamtejszy, sędziwy Baran[3].

Owóż niewiadomo, dla jakich właściwie względów, o co jednak mniejsza, zdołał ks. Procopiades, objąwszy w zarząd wszystkie w ogólności posiadłości i św. Floryańskie dochody, przekonać już w ciągu r. 1538 kolegów w kapitule, że tego rodzaju gospodarka odpowiednych kolegiacie nie przynosi korzyści, że kolegiata lepiej daleko wychodzić na tem będzie, jeżeli włości swoje, a przynajmniej te z nich, które jużto większe były, już w większem od Krakowa leżały oddaleniu, jak[4] Wisnka w Sieradzkiem, Czaple i Krępa w Miechowskiem, Igołomia i Książnice pod Pacanowem, jako też położone u podnóża Karpat w Bieckiem pod Jasłem Łubieńko, wydzierżawiać będzie. Kapituła św. Floryańska, a jak już wiemy, stali właśnie na jej czele jako dziekan ks. Fridel, jako kustosz zaś św. p. Stawiszyńczyk, zgodziła się też po pewnem wahaniu na ten nowego prokuratora swego projekt, ale tylko w pewnej mierze, pozwalając mu początkowo i tylko na próbę jednę z tych wiosek, według własnego uznania, wypuścić w dzierżawę. Procopiades

---

[1] Z wyjątkiem pomniejszych dziesięcin w najrozmaitszych, bliżej i dalej położonych wsiach i miasteczkach, które na mocy różnych fundacyj dawniejszych do kolegiaty należały św. Floryańskiej; te już nawet w ciągu w. XV sprzedawali prokuratorowie różnym osobom sąsiednim ryczałtowo co lat kilka.

[2] „villicus“.

[3] „vilicus Baran“. Percepta eccl. parochialis in Pajęczno.

[4] Długosz, Liber benef., I 481 i nn.; Beneficia temporalia ecclesię s. Floriani, pertinentia ad mgros, prelatos et canonicos eiusdem ecclesię, rękopis pergam. z początku w. XVI, późniejszymi uzupełniony dodatkami, własność archiwum dzisiejszego probostwa św. Floryańskiego, str. 20 i nn.

wybrał więc oddaloną o całą dobę jazdy od Krakowa Wisnkę, dzisiaj już Wistką zwaną, i w pierwszych dniach stycznia r. 1539 imieniem kolegiaty wypuścił ją na dwa lata, do końca r. 1540, w arendę mieszkającemu w położonej niedaleko od Wisnki i Pajęczna Brzeźnicy burgrabiemu tamtejszemu, przedsiębiorczemu i obrotnemu szlachcicowi, Janowi Sosze [1], głośnemu na całą okolicę handlarzowi zboża, które w wielkiej skupując ilości, Pilicą i Wisłą spławiał do Gdańska, skąd znowu, w zamian niejako, nie tylko grosz gotowy, lecz między innymi także bardzo w owych czasach drogi pieprz i inne zamorskie sprowadzał korzenie [2].

Pomysł więc wydzierżawiania dóbr. św. Floryańskich, zamiast jak to dotychczas było, prowadzenia w nich na własną rękę gospodarki, w rzeczy samej niepospolitej na przyszłość mógł być dla kolegiaty doniosłości, a jej prałatom i kanonikom ówczesnym zdawało się, że do wprowadzenia zwolna planów tych w życie nikt może z pośród nich do tego stopnia ani nie był uzdolniony, ani powołany, co właśnie ich autor i twórca, były astrolog uniwersytecki i wydawca licznych kalendarzy, obecnie zaś nadzwyczajny św. teologii profesor, w wysokim stopniu biegły w zestawianiu i kombinowaniu w najrozmaitszy sposób liczb większych i mniejszych, słowem, co się zowie znakomity astrolog, rachmistrz i matematyk! Tymi też powodowani względami, choć żaden z nich,

[1] „Nobili dno, Iohanni Socha, burgrabio in Brzeznycza, a. d. 1539 post festum Regum (= 6 stycznia) facta arendacio ville et predij Visnka cum decimis". Conclusiones et rationes antiquae capituli s. Floriani, rękopis bibl. Jag., nr. 3968 (177), str. 173.

[2] Kupował także w większej ilości zboże, młócone i w brożkach, od proboszcza pajęckiego, ks. Łowiczanina, płacąc za nie jużto gotówką, już pieprzem, sarnami i zającami. „Isto anno — notuje n. p. pod r. 1538 dr. Łowicius w swoich Percepta eccl. in Pajęczno, str. 69 — vendidi dno Ioanni Socha, burgrabio Brzesznicensi, centum choros tritici et centum choros avene, pro viginti quinque marcis". Toż i zaraz niżej, str. 71, pisze: „Anno dni 1539 vendidi Nobili Ioanni Socha, burgrabio Brzesznicensi, centum choros tritici et centum choros avene, septem acervos, tres in domo mea, vnum siliginis annone et alterum siliginis bladij (tak!), et 3ium avene, item in Byala vnum cum medio, in Gawlov similiter, et in Dworyszevicze vnum, pro quiquaginta quatuor marcis, duobus talentis piperis, pro duabus dorcis, pro 4 leporibus, ipso die s. Ieronimi (= 30 września), et iam soluit xv marcas ipso die ss. Gereonis et sociorum" (= 10 października).

w ruchliwej od dawna mieszkając stolicy, o potrzebach i zadaniach większego gospodarstwa wiejskiego należytego wyobrażenia mieć nie mógł, gdy dwulecie upłynęło próbne, pozwolili ks. Procopiadesowi, jak tego sobie życzył — a kustoszem kolegiackim po śmierci Stawiszyńczyka był już wtenczas dr. Aurifaber — wypuszczać odtąd Wisnkę także nadal szlachcicowi Sosze, a zarazem upoważnili go, żeby zwolna ale zawsze z wiedzą kolegiaty, o ileby na to stosunki i okoliczności dozwalały, ekonomiczno-finansowe plany swoje w życie wprowadzał i pomału także i inne większe i dalsze posiadłości kolegiackie w dzierżawę wypuszczał. Wisnka dostała się więc znowu w pierwszych dniach stycznia r. 1541 burgrabiemu brzeźnickiemu na przeciąg lat trzech, do końca r. 1543[1], stanu zaś tego nie zmieniła bynajmniej śmierć ks. Aurifabra, która, co już wiadomo, 10 lutego t. r. nastąpiła. Kolegiata przekonana widocznie o rzetelnej wartości pomysłów swego prokuratora, gdy Procopiades na zebraniu całego Uniwersytetu wyborczem zaraz w pierwszych dniach marca, jako najstarszy z rzędu św. teologii dr., kustoszem został św. Floryańskim, uprosić go nie omieszkała, żeby obok nowego dostojeństwa także dotychczasowy prokuratora urząd zatrzymać zechciał, a gdy zaraz potem znowu, już w pierwszych dniach września t. r., na dziekana posunął się kolegiackiego, prośbę swoję o zatrzymanie także nadal prokuratorstwa nie bez skutku ponowiła.

Tym sposobem tedy nie tylko dziekanem św. Floryańskim

---

[1] Beneficia eccl. colleg. s. Floriani zawierają pod nrami 9601 i 9602 rachunki Procopiadesa prokuratorskie z lat 1538/39 i 1548/52, niestety o tyle niedokładne, że niemasz między nimi ani pierwotnych w dosłownem brzmieniu kontraktów dzierżawczych co do Wisnki z szlachcicem Sochą, ani też wyrozumieć z nich niepodobna, ile właściwie czynszu w pierwszych latach burgrabia brzeźnicki za Wisnkę mógł płacić. Wynika z nich tylko tyle, że początkowo wziął był tę wioskę Socha na dwa lata w arendę, później zaś o nią co trzy lata z kolegiatą odnawiał umowę. Wypływa z nich również, że oprócz Wisnki, którą dzierżawił, zakupywał także od kolegiaty należące do niej w Sieradzkiem koło Brzeźnicy („in cancellaria Siradiensi circa Brzeznicza") dziesięciny w miejscowościach: Gajęcice, Dworszowice, Kruplin, Dupice, Chorzów, Siedlice i Szczyty, a później także w Niwisce, Trębaczowie i Siemkowicach. Za pierwsze siedem zapłacił n. p. w r. 1539 razem grzywien 53: „Hec 7 decime (Gaiączicze, Dworzisevicze, Cruplin, Dupicze, Chorzow, Sziedlecz, Szczithi) vendite Iohanni Socha, vicecapitaneo Brzezniczensi, pro 53 marcis, soluit primum xv marcas, deinde 20 marcas, deinde 18 marcas residuas".

ale i prokuratorem dóbr i dochodów kolegiackich w jednej osobie został zasadniczy, jak się zdawało, niemający jeszcze doktoratu ks. Leonard miejskiego pochodzenia zawołany astrolog, znakomity rachmistrz a obecnie już także zwyczajny św. teologii profesor, i wiele mu na tem a nawet bardzo wiele zależeć musiało i powinno było, kto teraz jako kustosz obok niego i z nim razem dalszymi kolegiaty losami, dla której w tej chwili kwestyą stało się żywotną powolne w życie wprowadzenie ekonomicznych planów jego, kierować będzie. Od dawna już bowiem zwyczaj taki, zgodny zresztą z ustawami kolegiackimi, był się ustalił, że o znaczniejszych i ważniejszych św. Floryańskich sprawach, na wniosek dziekana i kustosza swego, na posiedzeniach kapitulnych gremialnie stanowiła kolegiata, całkiem drobne rzeczy załatwiał sam dziekan, nieco ważniejsze zaś wspólnie z kustoszem [1]. Razem w dwójkę przygotowywali także wszelkie wnioski i sprawozdania na gremialne kapituły posiedzenia, a nowy dziekan już podczas wyborów w pierwszych dniach września, choć się z tem nie wynurzał przed nikim i choć wybory odbywały się pod hasłem „doktor nie bakałarz!“, całą wagę czuł przykrych następstw i skutków, tak dla siebie jak i dla przyjętych już w zasadzie przez kapitułę planów swoich, jeżeli zwycięsko z wyborów tych tyle dla niego i dla innych niemiły wyjdzie pleban olkuski. Inaczej też być nie mogło.

Miejskiego bowiem rodu Procopiades ze Szadka należał do żarliwych w całem znaczeniu wielbicieli i zwolenników średniowiecznego astrologa arabskiego, Alkabiciusa, wielkiej od kilku już stuleci powagi i wyroczni dla wszelkiej kategoryi astronomów-astrologów, matematyków-fantastów, medyków-szarlatanów a nawet gospodarzy-teoretyków [2]. Nie naszego zresztą profesora św. teologii osobistą było to zasługą lub winą, Alkabicius zażywał już od po-

---

[1] Proboszczowie kolegiaccy, mianowani przez króla, zadowoleni pobieranymi z kolegiaty dochodami, żadnego już zgoła w tym czasie — jak wiemy — na jej losy nie wywierali wpływu. Proboszczem tym zresztą w tym okresie był już, jak się zdaje, dr. medycyny, Włoch „Joannes Andreas de Valentinis Mutinensis, supremus physicus Sigismundi I regis, praepositus s. Floriani Clepardiensis“. Acta histor., IV 190, nr. 195 z 10 lipca r. 1545.

[2] Inaczej Alcabicius lub Alchabicius pisany żył według jednych w X, według innych zaś w XII w.

czątków istnienia Uniwersytetu Jagiellońskiego wielkiej nadzwyczaj na katedrach jego wziętości [1], a i sam Procopiades przed laty jako extraneus, collega minor i major i jako urzędowy astrolog uniwersytecki, wykładając astronomią, astrologią i naukę o horoskopach [2] na wydziale artystycznym, głównie za uczonym tym szedł arabskim, a nawet za wzór go i wielką doskonałość swoim stawiał uczniom [3]. Odbiło się to silnie także i w licznych jego łacińskich i polskich, czeskich i niemieckich, ściennych i książkowych kalendarzach i kalendarzykach, w których wedle „aspektu planet i nauki gwiazdecznej [4]“ szerokie społeczeństwa przez lat tyle pouczał warstwy [5] nie tylko o „dniach wybornych ku wypuszczeniu krwie i baniek“ stawianiu, nie tylko o dniach, w których „łaźnia i purgacya przez piluły“ dobra i w których „ogień na alchemicki skutek zapalać“

[1] Podług Haina Reportorium bibliographicum, I nry 615 i nn., Alkabiciusa „Liber isagogicus de planetarum conjunctionibus seu introductorium astrologiae“ pojawił się w druku już w r. 1473, często odtąd w przedrukach ponawiany. Biblioteka Jagiellońska posiada dotąd w dziale ksiąg drukowanych aż cztery różne dzieła jego wydania weneckie z lat 1491, 1502, 1503 i 1521, przywiezione widocznie z Włoch przez medyków krakowskich, a niemniej interesująco przedstawia się pod tym względem także dział jej rękopiśmienny, w którym dotychczas aż 10, wyraźnie dziesięć, dochowało się jego z w. XIV, XV i XVI odpisów. Najciekawszy z nich pod nrem 805, w Katalogu rękop. I 238, był początkowo własnością proboszcza św. Mikołajskiego, profesora i dra medycyny, ks. Andrzeja Grzymały z Poznania, później zaś dostał się bibliotece po kustoszu św. Floryańskim, Janie Sakranie z Oświęcimia, tym samym, przed którym w kwietniu r. 1494 jako przed rektorem Uniwersytetu nasz Wisneczanin pierwszą w życiu wykonywał przysięgę. Do dzisiaj też na starożytnej rękopiśmiennego kodeksu tego oprawie dochowała się dawna bardzo zapiska: „Legatus per mgrum Iohannem de Oszwyanczym, professorem s. theologie et custodem s. Floriani, pro libraria artistarum maioris domus eorundem“. — Araba Alkabiciusa „Praecepta astrologica“ niezwykłego zresztą doznawały poszanowania u magistrów krakowskich nawet jeszcze na początku w. XVII. Żebrawski, Bibliografia, str. 240 nr. 817.

[2] Nativitatum tractatum, w lecie r. 1525.

[3] Liber dilig., str. 360 i 476.

[4] = astrologii. — Pierwsi, o ile wiadomo, wyrażenia tego na oznaczenie astrologii i astronomii, co na jedno zresztą wówczas wychodziło, użyli w r. 1534, już nawet na karcie tytułowej, wydawcy t. zw. Zielnika Falimierza. Rostafiński, Porównanie Zielników, str. 2.

[5] Mikołaja ze Szadka Naznamionowanie dzienne miesiąców lata od narodzenia Jezu Krysta 1525, w wydaniu prof. Przyborowskiego z r. 1887, i inne Procopiadesa kalendarze i kalendarzyki owoczesne.

trzeba, ale także kiedy, pod którym „karakterem niebieskim“, pod Bykiem, Kozorożcem, Lwem, Niedźwiadkiem, Rybami i Skopem, czy też pod Bliźniętami, Wodnikiem, Panną i Strzelcem lub Wagą „ziemię kopać, siać i drzewa szczepić“ należało, kiedy „najwięcej z włodarzami poczynać“, kiedy ogrody „zakładać, zboże, konie, byki i zwierzęta kupować“, a nawet które „dni oraczom przyjemne“ być mogły, i w których „sługi i dziewki służebne dobrze jednać“, w których zaś „sług nienajmować, ani żadnych skutków poczynać“ nie należało. Jako taki mógł też dlatego pod pewnym względem, jak każdy astrolog ówczesny, uważać siebie poniekąd także za znawcę w teoryi życia wiejskiego i gospodarstwa rolnego, jego spraw, potrzeb i przychodów, jakie nieść mogło. Do tego stopnia jednak ograniczonym być nie mógł, żeby nie rozumiał, że teorya a praktyka to dwie różne rzeczy, i dlatego przez skórę niejako przeczuwał, choć nie dawał tego po sobie do poznania, że nielada w osobie nowego kustosza uróść mu może pod bokiem w kolegiacie wcale niechętny i stanowczy a niebezpieczny przeciwnik. Wszak przez całych lat 15 gospodarował na roli w Olkuszu, orał, siał i zbierał, kupował i sprzedawał, i już przez to samo, jak żaden ze starszych ówczesnych magistrów i doktorów krakowskich, zapoznawszy się z cenami bydła, zboża i innych artykułów wiejskich, wiedział, skąd, gdzie, co i jak na wsi poczynać. Bruździć mi też gotów — nie bez słuszności pomyślał sobie — i uwagami swoimi podkopywać pomału i krzyżować świeżo przez kolegiatę w zasadzie uchwalone a na wielki kamień w teoryi obmyślane i obliczone plany. (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

RYBACY.

KĄCIK POLSKIEJ ZIEMI NAD BAŁTYKIEM.

Nie darmo Wincenty Pol przed laty cudną wygrał pobudkę, nawołującą do lepszego, dokładniejszego poznania ziemi polskiej, ziemi naszej. Ustał odtąd po części ruch odśrodkowy, wiodący przeważnie zagranicę łaknących wrażeń podróżników. Przekonano się, iż i u nas takowych nie braknie, że można znużoną myśl pokrzepić wśród własnych gór niebotycznych, chore ciało uzdrowić rodzinnemi źródłami; posypały się mnogie studya, badania, opisy. A jednak wiele jeszcze niedostatków na tem polu zaznaczyć należy. Owszem, dziwną u Polaków sprzecznością pozostaje rzadkie ich wykształcenie pod względem ogólniejszej geografii, przy częstej nieznajomości własnych stosunków i granic. Pojawiają się nieraz szumne frazesa o Polsce od morza do morza, takiej jaką była, a więc i być musi, a tymczasem zagadnięci bodaj potrafiliby określić, które to wybrzeża tak hardo reklamują, i na jakiej podstawie historycznej lub etnograficznej opierają swe pretensye. Przypomina nam to anegdotę o pewnym szlachcicu galicyjskim, który wydając u siebie polowanie i urządzając nagonki, w ciągłej bywał wątpliwości, azali się na cudzym nie znajduje gruncie, ponieważ granic swoich włości sam dokładnie nie znał. Oczywiście stan jego interesów odpowiadał w sam raz tej charakterystycznej, leniwej nieświadomości. A czyż nam zbiorowo godzi się rzucać kamieniem na tego wiejskiego szlachcica? Kto pierwszy się poczuje bez winy, ten chyba na to się zdobędzie. Ale wieluż znajdzie się między nami

takich, którzyby dokładnie znali wszystkie zakątki ojczyste, dawne rozgraniczenia lub dzisiejsze, wysunięte posterunki?

Drobna książeczka, świeżo ogłoszona w biskupim Pelplinie przynosi nam jakoby rewelacyę o takiej ducha polskiego i mowy polskiej kresowej widecie, o której u nas ogół prawdopodobnie najmniejszego nie ma pojęcia. Elementarne wiadomości geograficzne uczą nas wprawdzie o półwyspie *Heli*, wąskim cyplem ciągnącej się w morzu Bałtyckiem, ubezpieczając zdala Gdańską zatokę. Ale któż z nas wie, że ten nadmorski kącik okazał się pewną przystanią dla ludności szczero polskiej i szczero katolickiej, która wytrzymała tu i przetrzymała nawałę luterskiej germanizacyi. Prostaczkowie tam osiedli, zachowali tradycyę przodków, skarb mowy ojców, dawną pobożność, dawne też miana. Dla nich niema półwyspu *Heli*, są tylko „Rybaki“, tak nazwane od głównego bo jedynego nawet miejscowych osadników zajęcia. Niema też zgermanizowanych nazw miejscowości, darmo urzędowa geografia kładzie tu miana *Heisternestów*, mieszkańcy półwyspu po dawnemu nazywają swe osady *Chałupami*, *Kusfeldem*, *Borem* i *Jastarnią*.

Tej to *Jastarni* wieloletni pleban, zróslszy się sercem z powierzonym swej pieczy zagonem winnicy Pańskiej, postanowił dać ją poznać rodakom, i nie domyślając się może, jak miłą przyniósł im daninę, jak przedziwną zrobił niespodziankę, złożył z odcinków pierwotnie drukowanych w wybornie redagowanym czasopiśmie ziemi Chełmińskiej, *Pielgrzymie*, sympatyczną książeczkę noszącą skromny tytuł *Obrazków rybackich*, nakreślonych przez „księdza ongi rybackiego“, Hieronima Gołębiewskiego. Z tych to kartek zaczerpniemy bliższych wiadomości o naszej morskiej strażnicy, uzupełniając je opowiadaniami znających owe strony ziomków. Oni to między innymi, popierając jeszcze przez to powagę świadectwa czcigodnego autora *Obrazków rybackich*, opowiadali nam, iż przywilejem tego cichego zakątka, i osobną nad nim łaską Bożą, mieszkańcy półwyspu otrzymują zawsze co najlepszych pasterzy, mężów prawdziwie apostolskiej gorliwości i cnoty. Kto pragnie wygodnego życia lub dochody niosącego beneficyum, nie odważy się na to wygnanie. Nigdy też niema niemieckiego kandydata na skromne probostwo w Jastarni, a ludek rybacki otrzymuje stale polskich, wybranych pasterzy, z których niejeden równą ich zapewne ukochał

miłością, jak ten przeszło czternastoletni rybackich dusz opiekun i ojciec, ks. Gołębiewski.

Trudno nam przyjdzie streścić samą z siebie treściwą i krótką książeczkę. Daje nam ona poznać obyczaje i zajęcia tych rozbitków dawnej Polski „od morza do morza“ zachowanych opodal zniemczonego Gdańska. Za dawnych bo czasów, znaczący to był punkt obronny. Tu wzniesiono z kolei dwie warownie mające upewnić bezpieczeństwo małej polskiej floty koło Pucka stojącej. Warownie te powstały za panowania Władysława IV i Jana Kazimierza, i dlatego otrzymały nazwę *Władysławowa* i *Kazimirowa*. Dziś ani śladu po nich nie zostało, musiały zatem słabo być budowane, aczkolwiek nadawały się wybornie do obrony i opanowania *wiku* czyli małego morza znajdującego się po wewnętrznej stronie półwyspu. Ale rolni i rycerscy Polacy dziwnie pozostawali obojętnymi na rozwój swej morskiej żeglugi. Gdyby tak jaki genialny monarcha, w miejsce narożnego Krakowa lub nieobronnej ani środkowej Warszawy, stworzył był w Gdańsku nadmorską na kształt Petersburga stolicę, inny podobno obrót byłyby wzięły wypadki, innym torem byłyby postąpiły dzieje Polski...

Półwysep helski powstał, jak wszystkie tych stron Nierzeje, z niesionego rzekami polskiego piasku. Twórczynią *Heli* była nasza Wisła rodzona, nie dziw też, iż na tym gruncie żadną miarą germanizacya przyjąć się nie chce. Wyjątek jedyny stanowi miasteczko *Hel*, jakby dla stwierdzenia odwiecznego węzła, łączącego polskość z katolicyzmem. Podczas bowiem, gdy na całym półwyspie niema ani jednego Niemca, ani jednego innowiercy, Hel oddawna zlutrzony, zupełnie niemiecką jest osadą. Przemiana ta nastąpiła już w samym początku XVI wieku, skutkiem jakichś nieporozumień dotyczących zastępstwa zmarłego proboszcza. Helanie chcieli jednego pasterza, starosta pucki gwałtem im próbował narzucić własnego sekretarza. Nie mogąc przyjść do ugody sprowadzili sobie Helanie niejakiego Henryka z Gdańska, który ich szybko zlutrzył i założył podwaliny następnego zniemczenia.

Natomiast cztery inne osady półwyspu zachowały się zupełnie polskiemi, i z niemi też spróbujemy zapoznać naszych czytelników. Poczciwy to naród, lechowe z krwi i kości plemię, nadmorscy bracia kmieci wielkopolskich. Nie brakło tu rysów swoj-

skich i rodzinnych, owianych tylko morskiem powietrzem. Mowa czysta, czystsza nawet od sąsiednich *Kaszubów*, bo dzieci wolniejsze od zajęć rolnych i pasania, pilniej też uczęszczały do szkoły, gdzie wykład był polskim, aż do początku kulturkampfu. Dziś zaś rodzice pilnie uczą polskiego czytania po domach, i odpór stawiany germanizacyi nie słabnie ani ustaje. Oczywiście, miejscowa gwara ma swoje odmiany, kaszubskie lub żeglarskie, na przemian. Każda tu wieś osobne nawet miewa akcentowanie i znów wspólne a właściwe wyrazy. Żona tam „białką", przezwisko „urągadłem", bóty „skórzniami". Skrócenia liczne, połykają samogłoski, a więc mówią rachu*nk*, po*ł*dnie, skowrc*nk*. A co to, na „Rybakach" brzmi *aczto*, do czego to, *doczto*. Końcówki męskie się zmieniają, a więc trochę dziwnie, nie mówią tam: „z Bogiem", z „mlekiem", z „cukrem", lecz z „Bogą", z „cukrą" z „mleką". Nazwiska, sielskim obyczajem jednostajne, co dowodzi pochodzenia od kilku zaledwie pierwotnych osadników. Najwięcej tu *Kąkolów*, podobnie jak *Gąsieniców* w Tatrach. A znów imiona do niedawna ograniczały się u mężczyzn na *Józefach* i *Janach*, u kobiet na *Annach* i *Maryannach*, tak jak w Dobrzynie sami bywali *Macieje* i *Bartłomieje* lub *Kachny* i *Maryny*. A i na Rybakach jak na dalekiej Litwie „by rozeznać się wśród takiej mięszaniny", utrwalają się przydomki, ten *okrętnikiem*, bo wiele po morzach wędrował, tamten *Marcin* od żony *Maryki* ten *Górowy*, tamten *Mądry* i t. d. Wyrazy żeglarskie są międzynarodowe, a stąd pełno obcych lecz ustalonych ogólnem używaniem słów i określeń. Kierunek wiatru zwie się *Nordem*, *Ostem* lub *Westem*, wybrzeża nazwane *Strąndem*, nawiania piaskowe *dynami (dunes)*, związki marynarskie z holenderska *matszoperyami*. Łódź tu *batem*, ale nim po morzu nie płyną, lecz „bieżą". Nie skończylibyśmy, chcąc przypomnieć różne ciekawe odmiany polskiej na „rybakach" mowy.

Jak wszędzie i zawsze, sąsiedztwo morza, pasowanie się z żywiołami, ustalone niebezpieczeństwa, dziwnie hartują lud rybacki. Przerasta on moralnie i fizycznie mieszkańców *kraju*, jak tam zwykle stały ląd nazywają. Olbrzymieją wzrostem i siłą, a nie rzadko i duchem; wielka poczciwość idzie w parze z ową siłą i zdrowiem. Wspólność pracy i zarobku, równość stosunków a więc i biedy, wyrabia wśród tej ludności ściślejszy węzeł braterstwa, wzajemną

pomoc i zgodę. Dobry pasterz, wyrozumiały na ludzkie ułomności, oddaje swej rybackiej trzodzie świadectwo wstrzemięźliwości i dobrych obyczajów. Wszyscy niemal należą do bractwa wstrzemięźliwości, wszyscy odznaczają się tkliwą pobożnością i przywiązaniem do swego nadmorskiego kościółka. Zdaleka ku niemu bieżą, długo przeciągają nabożeństwa, folgują przyrodzonej ochocie do śpiewu, a innych prócz nabożnych pieśni nie znają. Czy przy wiązaniu sieci, czy płynąc na morzu, czy w domu, czy w kościele, pieśni te polskie, święte, spuściznę wiary i poezyi przodków, zawodzą na właściwą nótę i rytm kołyszący jak falujące bałwany. Organy nie zdolne pochwycić tego tempa, zaczem na gregoryańską modłę to *unisono*, to w *polifonicznym* chórze rozbrzmiewa się ten śpiew wspaniały i rzewny, który dziwnie porusza i porywa serca. Zapas śpiewanych tu pieśni jest wprost nieprzeliczonym; stanowią one główny skarb duchowy mieszkańców. Trudno bez rozrzewnienia słuchać płynących po dalekim Bałtyku słów Kochanowskiego do Dawidowych psalmów, gdy rybak poleca się opiece Pana swego, lub wzywa w najstósowniejszem otoczeniu „Gwiazdy morza, która Pana mlekiem swojem karmiła“... Swojskie te dźwięki, jednakie jak Polska długa i szeroka, stanowią zaiste spójnię nierozerwalną, niezależną od żadnych podziałów. Pieśń i słowo węzłem jedności; płyną wspólną prośbą i skargą w niebiosy, niby pacierz przez jedną rodzinę razem odmawiany...

Kościoła własnego długo pobożni „rybacy“ nie mieli. Zakrzątała się dopiero około ich duchownego niedostatku Urszula Przebendowska, starościna Pucka, i w ubiegłym wieku postawiła w *Jastarni* kaplicę, dziś na parafialną świątynię rozszerzoną. Pan nachylając się do ubogich prostaczków, nie chciał mieć innego mieszkania; kościół podobnie jak domki tych siół, postawiony jest z drzewa grubo ciosanego i czarno na zewnątrz osmolonego. Wewnątrz odnajdujemy po trochu kształty pierwotnych bazylik, miejsca dostatek, bo parafia dochodzi do 1.200 dusz. Przemaga w ozdobie domu Bożego kolor niebieski, ulubiona rybaków barwa. Czy w własnym stroju, czy w izdebce rybackiej, kolor nieba i morza wyłącznie niemal tu bywa używanym, tą instynktową harmonią barw, którą przeczuwają nawet najprostsze umysły. W tym to kościółku biedni rybacy modlitwą i śpiewem dopraszają się zbawie-

nia dusz swoich i błogosławieństwa dla swych doczesnych zabiegów. Odbija się to i w suplikacyach, które tu mają osobne wezwania jak: „Abyś nam powietrza potrzebnego użyczyć raczył! ażebyś nam na naszych niewodach błogosławić raczył!“ Właściwe też nadbrzeżnym mieszkańcom nabożeństwo za dusze zmarłe i tutaj rzewne wydaje pobożności kwiaty. Wobec rozhukanego żywiołu, który się nie liczy z życiem ludzkiem i wciąż mnogie pochłania ofiary, potęguje się chęć niesienia miłym swoim i umiłowanym zagrobowej pomocy. Pamięć o umarłych stwierdza się tu ciągłą o nich troskliwością. A i doczesna korzyść ku temu rybaków zniewala. Mniemają bowiem, iż wybawione za ich przyczyną z czyscu duszyczki wyproszą im osobne błogosławieństwo dla rybaczego rzemiosła i obfitszy zapewnią im połów. Cokolwiekbądź liczniejsze niż gdziekolwiek modły wznoszą się tu za umarłych, a miejsce ich wiecznego spoczynku osobną tu naznaczone poezyą i otoczone pieczą. Morze podmywa cmętarz i kiedyś może pochłonie szczątki tych, którzy się niegdyś tyle na jego wodach napracowali. Mogiłek tu niema, bo by je wiatr od morza dmący rozwiał i porozrywał, po złożeniu nieboszczyka w piasku, zarównuwują ziemię, stawiając nad nią krzyż, na którym prócz imienia i nazwiska umieszczony bywa *merk* czyli znak rybacki, niby herb pracowitych rybaków. Każdy z nich posiada osobne godło z kilku kresek złożone, którym oznacza bat swój czyli łódkę, oraz wszystkie rybackie przyrządy, wiosła i t. d. Dziwnie rozpoznają oni między sobą niedościgłe zdawałoby się w tych *merkach* różnice, a w końcu i na krzyżu cmętarnym kładą znak przybrany podczas pielgrzymki życia. O rybaku, woła autor tej przemiłej książeczki, a więc i krzyż ten należał do rzemiosł twoich, którym jakoby narzędziem obyś był sobie zapracował na niebo!...

Rzecz szczególna, ani św. Piotr ani żaden z jego towarzyszów nie jest patronem rybaków. Nie przybrali też sobie na opiekuna żadnego z własnych, polskich świętych, ale osobnem nabożeństwem czczą św. Antoniego, i w każdej też wzywają go potrzebie. Włoski cudotwórca, który niegdyś rybki wywoływał z morza, aby im opowiadać słowo Boże w miejsce opornych ludzi, roztacza swą opiekę nad północnymi żeglarzami. Czy może powodem tego nabożeństwa jest znana pomoc św. Antoniego w odzyskiwaniu zgubio-

nych rzeczy? Zatopione w morzu przedmioty niesione falą na wybrzeże stanowią rybackie żniwo „bytę“, jak mówią na półwyspie. Żniwo to przynosi deski, beczki, maszty rozbitych okrętów, i inne rzeczy, ktore „bytownicy“ nie mało sobie cenią. Z drzewa wyrzuconego bałwanami budują sobie domki, których opis przenosi nas żywcem do tych nadbrzeżnych osad. Owe domki po części z osmolonych stawiane belek, składają się z kilku komórek i sieni, mieszczącej w sobie kuchnię, oraz z jednej wielkiej izby, gdzie rybak z rodziną przepędza cały czas wolny od rybołostwa. Podłoga i posowa tu drewniane, ostatnia modro pomalowana; z sprzętów półka do misek i talerzy, łóżko w jednym narożniku z przystawioną skrzynią, na której o zmroku przespać się można po pracy, stół, ławeczka, drugie łóżko za piecem będącym nieraz ozdobą mieszkania, z powodu pstrych i dziwacznie malowanych kafli. Polskim obyczajem niema końca rozwieszonym na ścianie świętym obrazom, jest i zegar, czasem znajdzie się jaki przedmiot chiński lub japoński z dalekiej przywieziony żeglugi. Inną jeszcze ozdobą ścian rybackich bywają talerze misternie pozawieszane na ścianach, a nieraz wcale ładnie malowane i aż z Anglii sprowadzane.

Serce to i jądro domu i rodzinnego życia, bardzo w tych stronach przykładnego. Owszem, chyba nadto miłości w tych się domkach znajduje, bo rodzice, zaślepieni w dziatkach, w których upatrują podporę własnej starości, nie dość karnie swe potomstwo chowają. Ale grunt musi być zdrowy i poczciwy, skoro nawet owi *niekarańcy* po nieco szumiącej młodości, rychło do ustatkowania się przychodzą, i pilno im własne założyć ognisko. Zaledwie też wrócą od „maryny“ czyli marynarki i trochę grosza zarobią, wnet lepią z gliny i rozbitego drzewa gniazdko, i dobierają sobie towarzyszkę życia, bynajmniej się za jej posagiem nie oglądając. Prawda, że pościel i kołowrotek już tu dostateczne przedstawia wiano. Przy weselnych obchodach niema żadnych bardziej charakterystycznych zwyczajów, jak w ogóle, prócz Sobótek i palenia ogni w wilię św. Jana, oraz kilku rybackich zabaw, niemasz tu tradycyjnych świeckich obchodów. Życie mieszkańców upływa pracowicie i jednostajnie, bez innych zmian krom rozmaitości połowu na przeróżne ryby Bałtyku. Niemal dwutysięczna ludność utrzymuje się wyłącznie z rybołowstwa, nie znając żadnego innego rzemiosła

ani zajęcia. Główne połowy są na łososie, stornie i węgorze, pomniejsze na bretlingi, szczupaki, okonie i zielinty. Rybacy dzielą się na związki czyli matszoperye, i rozgraniczają pomiędzy siebie morskie przestrzenie i kawałki *strądu* czyli wybrzeża, dla uniknięcia możliwych sprzeczek. Śliczny bywa ich powrót z wyprawy na łososie, gdy wszyscy, nie wyłączając kobiet i dzieci, zaprzęgają się do liny, aby wyciągnąć niewód wraz z zatajonemi w nim skarbami. Co za niepewność i gorączka, dopóki sieć nie wyda tajemnicy. Niekiedy jedną i dwie kopy łososi odrazu pochwycić się uda; wyrzucono na *strąd* dwudziestofuntowe ryby, które natychmiast idą do Gdańska na targ. . Najgłówniejsza to chwila w roku rybackim, a trwa krótko, bo zaledwie piętnaście dni rozrzuconych w przeciągu trzech miesięcy; rybacy zapuszczają niewód, licząc się z przeciwnymi prądami i wiatrami. Pomimo tego tak są pobożni, że choćby wszystkie warunki połowu znajdowały się w niedzielę, nigdy nie zgwałcą odpoczynku dnia świętego. Co więcej, i wdowy i chorzy bywają przypuszczeni do zbiorowego zarobku, acz nie mogą w trudzie brać udziału osobistego. Stąd niema ubogich na wyspie, bo wszyscy się wszystkiem dzielą.

Ta pora łososiowego przeciągu jest tak ważną w życiu rybaków, iż podobnie jak gdzieindziej rozpuszczają szkoły w czasie wybierania kartofli, tutaj bywają wakacye łososiowe. Ale względnie łatwy to połów w obec trudu łowienia storni. *Stornie,* znane u nas z francuska jako *sole,* lub z niemiecka, gdy uwędzone, jako *flondry,* idą morzem w ciągu lata, i tylko nocną porą pochwycić się dają. To też rybacy dzień w dzień wyjeżdżają przed zachodem słońca na morze, aby wrócić dopiero nazajutrz około południa, i naprawiwszy sieci, zaraz ponownie nawracać, z niemałem umęczeniem i niewczasem. Łatwiejszym nierównie bywa połów węgorzy w zakładanych na mieliznach bębenkach, a jesienne to żniwo tak bywa obfitem, że niekiedy uda się pojedyńczym związkom rybackim ułowić do dziesięciu kóp węgorzy dziennie. Bałtyckie *breitlingi* różne a pożyczane w handlu noszą miana, zaprawione solą uchodzą za *Anchovie,* marynowane nazywają się *sardynkami ruskiemi,* a wędzone przekształcają się w kielskie *sielawy.* Tu i owdzie poławiają się też śledzie oraz inne ryby, zimową zaś porą, polowanie na morskie cielęta czyli zielinty, łowienie ryb w przerębiach mor-

skich, oraz wiązanie sieci zajmuje ludność rybacką. A jednak mimo szczęśliwych połowów i obfitego zarybienia Bałtyku, rybacy się nie bogacą nigdy: zanadto im rzeczy koniecznych do życia gotowym groszem przychodzi opłacać, samo zaś źródło zarobku nadto niestałe i nierówne. Lata bywają różne, a i na morzu nie trudno o rok nieurodzaju, o porę przeciwną i przeszkody rozliczne. Stąd tedy wystarcza zaledwie rybakom na najprostsze życie, którego główną podstawą są oczywiście ryby, a do nich *krepy* (krupy), *bulwy* (ziemniaki), śliwki lub groch. Wszystko musi być dobrze solone; słodkie czyli „miodne“ potrawy nie mają tam powodzenia. Z mięsa od czasu do czasu pojawia się kawałek słoniny lub peklowiny wieprzowej. Ulubionym zaś przysmakiem rybaków bywają *wrony*, chwytane na sidła zręcznie w piasku nadmorskim ukryte. Wódki nie pijają wcale, natomiast chętnie się racząc piwem, zwanym *bajerszem*, wino rybackie, osobliwa mikstura octu, eteru, cukru i t. d., pojawia się tylko w wielkie uroczystości, i słabszym jak rybackie głowom odrazu zaszkodzić gotowe.

Ludzie w tych warunkach żyją do późnej starości, umierając w miejscu, gdzie się urodzili i w jednych trwając trudach aż do śmierci. Trudy te nietylko rozwijają ciało, lecz i ducha kształcą, potrzebą ciągłej baczności i uwagi. „Rybka mądra, a więc rybak jeszcze mędrszym być musi, jeśli pragnie ją ułowić“. Zwykle poczucie siły wyrabia u ludzi pewną zaczepność, ale tu jedne bez drugich obyć się nie mogą, zjednoczonych potrzeba rąk, aby zapewnić sobie utrzymanie, więc też żyją w zgodzie, a choć czasem zajdzie jaki spór chwilowy, ogranicza się na słowach, nie wyradzając w bijatykę, a pojednanie następuje wcześniej, aniżeli się było można spodziewać, najczęściej tej samej godziny.

Niestety! i tu już zaciera się strój charakterystyczny, miejscowy, zwłaszcza u niewiast. Znikają dawne złotogłowia, czyli czepce złotem szyte, do niedawna w całej Wielkopolsce szeroko też rozpowszechnione. Częściej jeszcze widać t. z. rembowane muce, czarne czapeczki naszyte koronką lub jedwabiem, z spadającemi na ramiona fałdami i pstrą na czole wstążką. Strój męski nosi cechy marynarskiej we wszystkich nadmorskich okolicach odzieży, i wcale ładnie przy święcie wygląda na dorodnych rybackich postawach. Pewne odosobnienie od świata, oddalenie od miast i odgraniczenie

własnej siedziby, chroni poczciwych rybaków od szerzącego się dziś ogólnie zepsucia. Nie dotarły tu zarazy społeczne, a jeśli niektórych skusił szał wędrówek do Ameryki, niepomyślny obrót emigracyi wcześnie rozczarował pozostałych w domu, zwłaszcza gdy posłyszeli, iż ci tylko, którzy się na jeziorze Michigan chwycili rybaczego rzemiosła, jakiekolwiek za morzem osiągnęli powodzenie. Nie warto tedy było domowe opuszczać zagrody, aby hen daleko te same spotęgowane tęsknotą podejmować trudy.

Zresztą rodzinny półwysep wcale nie jest wydziedziczonym ziemi zakątkiem. Owszem, klimat tu łagodniejszy aniżeli w „kraju“, mróz przeciętnie nie przechodzi dziesięciu stopni, kiedy na stałym lądzie bywa ich dwadzieścia. Letnie wygrzanie morza parującego dymiącemi chmurami, ociepla powietrze i osłania półwysep. Skądinąd wichry, acz silne, nie posiadają tam owego rwącego szału, z jakim się rozbijają wśród lądowych przeszkód i zapór. Nie mając co niszczyć po drodze, wiatr każdy wieje — i przewieje dalej nieszkodliwie, chyba tylko przenosząc góry piasku czyli dyny — *(dunes)*. Od tego ludzka przemyślność, aby ocalić ten szczupły kawałek ziemi, której rybakom zaledwie starczy tyle, aby na niej swój domek postawić. Z jednej strony małe morze po trochu urywa co rok nieco wybrzeża, z drugiej nawiany piasek zmienia kształt strądu, latające tworząc góry, o których ustalenie chodzi. Dużo się dało zrobić wytrwałem zakładaniem lasków, więcej jeszcze zdziałało obsadzaniem dynów charszczem czyli owsem nadbrzeżnym. A tu patrzeć nam przychodzi na cudowną roślinnego świata celowość i życie. Na tem charszczu zatrzymuje się piasek morski, roślinka aby się utrzymać, musi piąć się wyżej, usiłując się na powierzchnię wydobyć, pnie się tedy i wygrzebuje, a piasek ją goni, i oto w tej ucieczce i pogoni, same z siebie rosną oszańcowane góry, broniące fali przystępu do ludzkich osad. I tak np. gdzie przed siedmdziesięciu laty był niski brzeg spłukany bałwanami, dziś wznosi się pagórek na dwadzieścia pięć stóp wysoki, którego już wicher nie rozerwie ani zmiecie.

Autor „Obrazków rybackich“ kilkakrotnie powtarza, iż nie jest poetą. A jednak taka wrażliwość na wyższe wrażenia, taka przedziwna w ich opisywaniu prostota, chyba prawdziwą jest poezyą i darem. Wspomnijmy np. pozostały nam w pamięci „obrazek“

jadącego łódką do chorego kapłana. Jak ongi na jeziorze Genezaret i morzu Tyberyady. Pan Jezus wodą płynie ku cierpiącym i smutnym, aby ich pokrzepić i uzdrowić. Spotykane „baty“ oglądają się ciekawie, ktoby takowy jechał, aż tu na odgłos dzwonka rybacy poznają Pana nad Pany, klękają z uszanowaniem, ale zanim krótkiej domówili modlitwy, już się łodzie rozminęły i każda w swoją popędziła stronę. Otrzymujemy i jaskrawy opis burzy, i rozbicie okrętu, i ratowanie załogi za pomocą lin zręcznie rakietami przerzucanych. Tak to żywo i barwnie przedstawione, iż czytelnikowi zdaje się, że dzieli odważny zapał poczciwych rybaków, usiłujących wydrzeć morzu przysposobione ofiary. Słychać ryk fali, poświst wiatru, wrzawę panującą wśród nadbrzeżnej ludności, i upojenie zwycięstwa, gdy ostatecznie ludzkie poświęcenie odnosi tryumf nad rozhukanym żywiołem i bliźnim ocala życie. Pogodniejszym jest obraz wycieczki do Gdańska na rybackiej łodzi, żartko mknącej ku Maryackiej wieży, będącej zdala kompasem sternika. Przejażdżka ta w pomyślnych warunkach trwa trzy godziny, w niepomyślnych do czternastu. Przez całą drogę rybacy śpiewają prawie bez przerwy pieśni pobożne; choć ich w szkole uczą niemieckich dziś śpiewów, nie przyjmują się one, ani zrastają z ich pamięcią. W rok lub dwa wszystkie zapomną, aby po dawnemu swoje tylko i przodków nucić pieśni. Polskość tej garstki rybaczej jest tak uporną, że nawet w Gdańsku te tylko nawiedzają sklepy, gdzie właściciel lub kupczyk jest Polakiem: a w ogóle żadnych stosunków w mieście nie zawierają, czemprędzej nawracając do domu po załatwieniu licznych sprawunków.

Usiłowaliśmy zgromadzić główne rysy przywiedzione przez „rybackiego księdza“, aby dać poznać czytelnikom naszym owe polskie czaty, na dalekim Bałtyku. Straciliśmy porty nasze, byt kraju i dostatki handlowe, nawała germanizacyi zewsząd nam grozi i na nas naciera. Otuchą wśród ciemni dzisiejszej próby napełnia wytrzymałość tych ubogich rybaków, wiernych i wierzących, którzy się ani zlutrzyć, ani zniemczyć nie dali. Rosną oni w liczbę, utrwalając prawa polskie do Bałtyku, a na widok ich stałości, ich wierności tradycyi przodków, nasuwają się porównania zaczerpnięte z Ewangelii, a ukrzepiające w dobrej nadziei. Wszakże rybacy ongi zdobyli świat Prawdzie, czemużby rybacy nie mieli zachować

dla polskiej mowy i ducha nadbałtyckich wybrzeży? Z ziarnka gorczycznego wielkie wyrasta drzewo: kto wie, jakiem jeszcze będzie przeznaczenie tej rybackiej drużyny, sprawującej kresowe czaty naprzeciw ujścia koronnej Wisły, na wąskiem pasmie ziemi, czysto polskiej jak ich dusze, urosłe z piasku Mazowsza, niesionego wiślaną falą aż daleko w morze ku ostatnim warowniom dawnej Rzpltej. W miejsce zniknionych fortów, może silniejszą jeszcze strażą okażą się być te proste serca, zarówno wierne przeszłości jak wieczności. Zapuścili oni polską kotwicę w polskiem niegdyś morzu, a to godło nadziei dobrych w nich znalazło strażników.

Z pośród mnóstwa powieści stanowiących główny plon bieżącego piśmiennictwa, żadna może większego w ostatnich latach nie zjednała sobie poklasku i powodzenia, jak pełne poezyi opowiadanie Piotra Loti p. t. *Pêcheur d' Islande.* Udramatyzowane stosunki bretońskich rybaków do żywego poruszały czytelników całego świata. Rozczulając się nad ich losem, poczciwością i trudami, nie domyślaliśmy się iż posiadamy bliżej siebie rodzoną i rodzimą ludność rybacką, o pokrewnych i nie mniej pociągających rysach obyczajów i zajęć powszednich. Niechby goszczący nieraz podczas lata w niedalekich Copotach Henryk Sienkiewicz zwiedził *Jastarnię*, i wysnuł nam powieść rybacką, godną stanąć obok arcydzieła Loti'ego, a stokroć milszą sercom polskim. Na tem życzeniu zamykamy krótką wiadomość o kąciku polskiej ziemi nad Bałtykiem.

M.

PROROCTWA

JAKO UWIERZYTELNIENIE BOSKIEGO OBJAWIENIA.

(Dokończenie).

II.

Mając przed oczyma ogólną w poprzednim zeszycie podaną naukę [1], nasuwa się pytanie: w jaki to sposób przedstawia się rozumowi przedmiot objawienia, w jaki sposób wytwarza się w umyśle pojęcie tegoż przedmiotu? Teologowie katoliccy zaznaczają w tej mierze trzy odmienne sposoby. Bóg może przedstawić umysłowi jakiś przedmiot, używając słów ludzkich, bezpośrednio wpływając na organ słuchu. Może też Bóg, udzielając pewnych prawd prorokowi, przybrać kształty podpadające pod zmysły, i w takiej postaci poruszać powietrze, tak aby do ucha dostawały się dźwięki, sprawiające to samo wrażenie, które sprawia słowo ludzkie i podobnie może Bóg działać na zmysł wzroku, przedstawiając obrazy tych przedmiotów, które chce aby umysł zrozumiał i pojęcie o nich sobie wytworzył. Nikt i tej możebności zaprzeczyć nie może. Tego rodzaju objawienia nazywają teologowie *revelatio corporalis*, objawienie zmysłowe, cielesne. Może Bóg wreszcie w samej wyobraźni, bez zewnętrznego na zmysły działania, stworzyć obrazy, przedstawiające dzieje przyszłości, tak, jak gdyby w rzeczywistości oczom się przedstawiały. Ten sposób mówienia Boga do człowieka nazy-

[1] *Przegląd powszechny*. Luty 1889.

wają teologowie imaginacyjnym; rzecz prosta, że Bóg, jako wszechmocny, od którego dusza ludzka w zupełnej i ciągłej jest zależności, może, jeśli chce, w ten sposób do niej przemawiać.

Jest jeszcze trzeci rodzaj działania Bożego na rozum ludzki, który nazywają „rozumowym“ *intellectualis*, trudniejszy dla nas do zrozumienia. Działanie to na tem polega, że Bóg bezpośrednio wpływa na sam rozum proroka, wlewając weń pojęcia prawd, których chce prorokowi udzielić przez tak zwane obrazy intellektualne *(species intelligibiles)*. Doświadczenie wprawdzie życia codziennego uczy nas, że człowiek bez pomocy obrazów przez wyobraźnię podanych rozumować nie może, a nawet ani jednej utworzyć myśli; wszakże jest i być musi możliwem porozumiewanie się wzajemne duchów, a więc musi być możliwem i działanie Boga, który jest duchem najczystszym, wprost na ducha człowieka. Ktoby temu zaprzeczał, musiałby tem samem zaprzeczyć albo istnienie czystych duchów, albo możliwość wzajemnego porozumiewania się ich z Bogiem; musiałby zaprzeczyć porządkowi nadprzyrodzonemu, w którym łaska działa zwyczajnie na duszę oświecając rozum. Istotnie uznając nadprzyrodzone światło oświecające rozum, które niczem innem nie jest, jak wlaniem w duszę naszą myśli Bożej, musimy konsekwentnie uznać możebność działania Bożego wprost na umysł proroka [1].

Pierwszy to żywioł poznawania proroczego. Prawda, że wiele tajemnic w sobie zawiera, lecz któż temu dziwić się może, skoro całe działanie Boże tak pełne najwyższych tajemnic; niezbadane, jak samo nieskończone Boże jestestwo. A we własnej naszej mowie, gdy pojęcia prawdy zrozumianej przez nas samych wlewamy w umysł słuchającego, udzielając mu zrozumienie jej i pojęcie: czy to działanie nie jest tajemniczem? Fakt to widoczny, niezaprzeczalny, ale nikt jeszcze nie zgłębił psychologicznej drogi, którą myśli mówiącego do rozumu słuchającej osoby przechodzą.

W tem miejscu zastanawiać się zwykli pisarze teologiczni, czy samodzielna czynność umysłu proroka ustaje pod działaniem Bożem? Jakkolwiek kwestya ta sama w sobie nie wpływa na rozwiązanie pytania (możliwość) objawienia, to przecież warto nad nią

[1] S. Tomasz IIa. IIae, q. 173. a. 2.

choć w paru słowach zastanowić się, i wyłuszczyć w tej mierze zasady filozofii katolickiej, ażeby zapobiedz możliwym trudnościom tyczącym się samego objawienia. Samodzielna czynność proroka może być podwójną; podwójną też być musi odpowiedź na daną kwestyę. A najpierw na pytanie: czy pod działaniem Bożem ustaje samodzielna czynność samego rozumu, należy dać bez żadnej wątpliwości odpowiedź przeczącą. Prorok bowiem musi z jednej strony zrozumieć treść prawdy, z drugiej mieć pewność o jej Boskiem pochodzeniu, jednem słowem: musi wiedzieć, *że Bóg do niego mówił i co do niego mówił.* Świadomość zaś ta wypływa i musi wypływać z żywotnego samodzielnego działania rozumu proroka, pod wpływem nadprzyrodzonym Boga.

Na drugie pytanie: czy ustaje czynność zmysłów pod wpływem Boskiej mowy, odpowiadamy, że to zależy od sposobu, w jakim Bóg przemawia do proroka. Jeżeli odzywa się słowami ludzkiemi, działającemi na zmysł słuchu, albo obrazami działającemi na zmysł wzroku, jak np. gdy okazał owe sławne słowa: *Mane — Thekel — Phares,* to w takim wypadku czynność zmysłów ustać nie może, bo Bóg bezpośrednio na zmysły działa, które naturalnym psychologicznym działaniem wrażenia swe udzielają rozumowi. Podobnie pozostaje także działanie zmysłów, gdy prorok otrzymuje objawienie drogą czysto duchową, tj. gdy Bóg bezpośrednio wlewa w rozum znajomość prawd swoich przez obrazy intellektualne *(species intelligibiles),* ponieważ zmysły w takim wypadku nie przeszkadzają działaniu rozumu. Skoro jednak objawienie prorocze odbywa się przez obrazy samej wyobraźni udzielone, natenczas czynność zewnętrzna zmysłów ustać musi, aby nie wprowadziła w błąd proroka, który łatwo mógłby wyobrażenie zewnętrznych obrazów przypisać zewnętrznym przyczynom. Zawieszenie czynności zmysłów w tych okolicznościach konieczne, nie łączy się z żadnym uszkodzeniem natury, lecz następuje przez jakąś naturalną przyczynę np. przez sen, gdy Bóg objawił znaczenie małżeństwa albo przez nadprzyrodzone widzenie duchowe np. gdy Piotr św. ujrzał z nieba zstępujące naczynie, jakby wielkie prześcieradło, w którem znajdowały się rozmaite zwierzęta czyste i nieczyste; albo kiedy ta wizya mocą Boską tak umysł zajmuje żywo i całkowicie, że dusza niczego już innego przyjąć i widzieć nie może, jak to dzieje

się w nadnaturalnym zachwycie (ekstazie), co Pismo św. zwykło wyrażać słowami *i stała się tam nad nim ręka Pańska. (Ezech.* R. I. w. 3) [1].

Nie może również powstać poważna wątpliwość co do możliwości drugiego żywiołu poznawania proroczego a mianowicie, że prorok pod działaniem Bożem pojmuje prawdziwe znaczenie objawionej prawdy, i posiada nieomylną pewność o Boskiem jej pochodzeniu. Niezgłębiona mądrość Boża i wszechmocność Boża musi znać i posiadać środki, za pomocą których rozum proroka pojąćby mógł bez najmniejszego błędu tę prawdę, którą Bóg chce światu objawić; musi mieć w swej mocy sposób przekonania proroka, że to nie illuzya, lecz że On, Bóg sam do niego przemawia. Zbytecznem byłoby tutaj dowodzić, że Bóg może skłonić proroka do głoszenia tego, czego sam chce; wystarczy przypatrzyć się w tej mierze historyi proroka Jonasza. Niemniej i to jest samo przez się jasnem, że Bóg może czuwać nad prorokiem, ażeby głosząc słowo Jego, bez błędu, bez żadnych ludzkich dodatków, bez uszczerbku potomności je przekazał. Wszelkie dowody zbytecznymi tu są dla wszystkich, którzy są przekonani o nieskończonej doskonałości Bożej.

Ale czy człowiek jest w stanie słowami swojemi objąć całą treść myśli Bożej; czy dla tego zawsze jakaś niedokładność a więc pewien błąd nie wkrada się w proroctwa? W zarzucie tym różnie bardzo wręcz odrębne rzeczy ze sobą są zmięszane. W ogóle mówiąc, miałby ten zarzut pewne większe znaczenie, gdyby chodziło o objawienie samej istoty Bożej, która dla swej nieskończonej treści przekracza ciasne granice naszego rozumu; lecz tutaj o to nie chodzi. Pan Bóg zwyczajnie objawia prorokom przyszłe dzieje świata, zależne jużto od wolnej woli ludzkiej, jużto od Jego Opatrzności, lub wreszcie od niewiadomych sił natury i zawiłych jej działań, czasami od tych przyczyn razem złączonych, lecz to wszystko nie przekracza jeszcze bynajmniej sił rozumu ludzkiego. Wprawdzie rozum nie posiada w swej mocy środka, ażeby przeniknąć tajemnice przyszłości i jej dzieje wyczytać, ale gdy są już raz objawione, to niema trudności, aby je pojąć, a pojęte od-

[1] *Św. Tomasz* 2.2 q. 173. a. 3.

powiedniemi słowami wyrazić. A chociażby nawet te prawdy dla swej wzniosłości przewyższały skromne siły rozumu, to jednak i wtedy umysł poznając je nie błądzi, bo Bóg, objawiając prawdy wyższego rzędu, zastosowuje się do naszych pojęć i tak je przedstawia, że dobrze możemy je zrozumieć, chociaż całej ich treści nie możemy wyczerpnąć. Analogiczne pojęcia nie zawierają żadnego błędu lub fałszu, lecz nie dosięgają tylko tej pełności, jaką mają w Boskim umyśle. Pojęcia nasze możemy wyrazić dokładnie słowami; a chociaż one nie zawsze wyrażają Boską prawdę w całej jej pełności, to jednak fałszywie i mylnie jej nie przedstawiają.

Już z powyższego roztrząsania wynika, że niema ani jednej nierozwiązalnej trudności, któraby przeciw możebności proroctwa zwycięsko do walki mogła wystąpić. Zatem przyjąć musimy, że proroctwa są możliwe.

III.

Logicznie nowe teraz, ważniejsze nasuwa się pytanie: czy można poznać prawdziwe Boskie proroctwo, i odróżnić go dobrze od ludzkich domysłów lub podstępnych fałszowań?

W badaniach o proroctwach, jako pieczęci Boskiego objawienia, zauważyć należy, że nie idzie o to, czy o każdem słowie, które ktoś o przyszłości wypowiedział, z pewnością możemy wyrokować, czy jest ono Boskiem proroctwem, lecz przedewszystkiem i jedynie o to chodzi, czy o pewnych przepowiedniach tyczących się wiary objawionej, a które w biegu czasów już się wypełniły, możemy nieomylnie twierdzić: to prawdziwe Boskie proroctwa.

Bezwątpienia proroctwa, jeszcze przed swem spełnieniem, mogą mieć wartość pieczęci dla objawionej nauki, ale wtedy tylko, kiedy są jeszcze inne znaki, po których można poznać Boski charakter danej przepowiedni, jak np. kiedy Bóg uwierzytelnia proroka cudami jako swojego wysłańca, lub gdy daje mu poznać jasno tajemnice serc ludzkich, ich najskrytszych myśli i uczuć. Lecz któż nie widzi, że to *cordi-ognosis*, cudem jest Boskim. *Bo któż z ludzi wie co jest człowieczego* (myśli i uczucia) *jedno duch człowieczy,*

który w nim jest[1]? Niekiedy także z osobistego charakteru człowieka, lub z treści samej przepowiedni, można rozpoznać Boskie jej pochodzenie. We wszystkich jednak tych wypadkach, nie tyle proroctwo samo z siebie, ile raczej towarzyszące mu kryterya są dowodem, że nauka stwierdzona tą pieczęcią jest nauką objawioną.

Niewątpliwie przepowiednie i przed swem wypełnieniem wywierały wpływ moralny na tych, którzy o nich słyszeli. I tak, najpierw okazywały one opatrzność Bożą nad ludami, która ciągle nad nimi czuwa i prowadzi swem potężnem ramieniem do ostatecznego celu. Pokrzepiały nadto ufnością lud wybrany i dodawały sił w znoszeniu wszelkich dolegliwości, powoływały błądzących do pokuty, aby nią odwrócić od siebie karzącą rękę sprawiedliwości Bożej. I w tych wypadkach Bóg wysłańców swoich uwierzytelniał szczególnemi znakami. Przedewszystkiem jednak wypełniona już przepowiednia chociażby nie miała innych kryteryów, posiada sama w sobie siłę dowodu najsilniejszego w obec prawdy, z którą w ścisłym stoi stosunku.

Chcąc rozpoznać, kiedy i która przepowiednia zasługuje na nazwę „proroctwa“, wystarczy zbadać odnośny fakt historyczny: w czasie samej przepowiedni i po jej wypełnieniu. Jeżeli przepowiednia ze wszystkimi historycznemi szczegółami zgadza się zupełnie z biegiem dziejów czasów późniejszych, a nadto jeśli okaże się niemożliwem, ani, że niemożliwą było rzeczą domyślić się przebiegu przyszłych faktów ani z naturalnych przyczyn, ani z jakichś obecnem położeniem rzeczy usprawiedliwionych przypuszczeń, natenczas niema wątpliwości, że taka przepowiednia ma prawdziwe cechy proroctwa. Zbadanie odnośnych wypadków, odpowiedzenie sobie na pytanie, czy wypadki te można było przewidzieć w naturalnych przyczynach lub politycznych konjekturach, przedstawiać nie może dla władz umysłowych szczególnej jakiejś trudności. Tak np. można przewidzieć i przepowiedzieć zaćmienie słońca z największą pewnością kilka wieków naprzód. Skoro zaś przyczyna zapowiedzianego zdarzenia nie działa koniecznie według praw stałych, lecz zależną jest zupełnie od wolnej woli człowieka, a bardziej jeszcze, jeśli główną przyczyną jakiegoś zdarzenia jest nieskończona

[1] *Św. Paweł.* 1 Kor. r. II. w. 11.

wolność Boża, natenczas żaden rozum ludzki nie jest zdolnym obliczyć wypadków od takiej woli zależnych i od niej postanowionych. Wolna przecież wola człowieka nie daje się zbadać i obliczyć w wyborze środków do jakiegoś celu poszczególnego, mniej jeszcze w wyborze zmiennych kolejno po sobie następujących celów zależnych od wielu okoliczności; a jakże moglibyśmy zbadać i obliczyć tajemne cele Boże i środki, które wybierze z bezdennej skarbnicy swojej mądrości i nieskończonej potęgi, aby osiągnąć swe zamiary? Z pokorą wyznać musimy, że drogi Boskiej opatrzności nie są nam znane ani w ogólności, ani w poszczególnych wypadkach. I przyszłe zdarzenia zależne od stworzeń, ulegają kierownictwu Najwyższego Pana i Boga; więc i tego rodzaju faktów nie można obliczyć z absolutną pewnością w stałych swych przyczynach, równie jak nie można z nieomylną pewnością nakreślić naprzód biegu natury, która pomimo stałych sił i prawideł ulega dowolnemu kierunkowi Boga. W tym ostatnim wypadku często Bóg w cudowny sposób coś przeprowadza albo przeszkadza w spełnieniu tego, co według zwyczajnego trybu przyczynowości naturalnej nie miało albo miało nastąpić. Częściej to jeszcze zdarza się w dziedzinie dowolnej działalności ludzkiej Chociażby coś miało nastąpić najprawdopodobniej, dla zwyczajnego sposobu działania, dla praw psychologicznych i moralnych, dla zbiegu okoliczności, to jednak: *Jako rozdziały wód, tak serce królewskie w ręce Pańskiej: kędy jedno chce nachyli go*[1], łask swoich *udzielając z osobna każdemu jako chce*[2], bo *są nieograniczone sądy Jego, i niedościgłe drogi Jego*[3], może serce i wolę człowieka nagiąć do tego, czego ani mądrość ludzka, ani anielska nie mogłaby się domyślać. Przypuśćmy, że możemy wnioskować o przyszłych uczynkach ludzi i całych narodów z analogicznych zdarzeń przeszłości w dziedzinie historyi, moralności i psychologii, a jednak czy możemy być pewnymi, żeśmy się w naszych rachubach nie pomylili, i że nie nastąpią inne, zupełnie nie oczekiwane wypadki? Ta niepewność w naszych obliczeniach jest oznaką, że nie uwzględniliśmy czynnika najważniejszego, że zapo-

[1] *Ks. Przypowieści.* Roz. XXI w. 1.
[2] *I. Do Korynt.* Roz. XII w. 11.
[3] *Do Rzymian.* Roz. XI w. 33.

mnieliśmy o Bogu, który jest Panem życia i śmierci nie tylko ciała lecz i duszy, wszystkiem rządzi według najświętszego swego upodobania. Gdybyśmy zaś chcieli wciągnąć go w naszą rachubę, trudność nie tylko nie zmniejszyłaby się, aleby się znacznie powiększyła, ponieważ najzupełniej nie znamy planów i dróg Jego opatrzności, która będąc odwieczną, wciąż przecież z niezgłębionej mądrości nowe myśli czerpie. Jutrzejszy dzień ze swą historyą, z wszystkiemi swemi zdarzeniami uchodzi przed bystrym umysłem ludzkim, o ile bardziej daleka przyszłość.

Patrząc nawet na naturę okiem zupełnie materyalistycznem, jakby nie zostawała pod kierownictwem Opatrzności Boskiej i działała jedynie wedle praw stałych, przyznać jednak i naówczas wypadłoby, że widnokrąg naszych możliwych przewidzeń w bardzo ciasnych granicach jest zamkniętym. Zapewne, możemy coś przewidzieć, przepowiedzieć, bez obawy omylenia się w dziedzinie materyalnej działania natury. Tak np. możemy obliczyć zmienny bieg ciał niebieskich, ujęty w stałe formułki matematyczne; możemy przewidzieć działanie sił naturalnych w przyszłości, np. że lwica nie wyda na świat owcy, ani jabłoń czereśni. Wszelkie inne przyszłe działanie natury daje się obliczyć tylko z jakimś prawdopodobieństwem i to odnośnie do bliskiej tylko przyszłości. Któż np. zdoła z wszelką pewnością obliczyć trzęsienie ziemi, mające nastąpić w bardzo odległej przyszłości; kto dokładnie potrafi powiedzieć, które okolice trzęsieniu temu ulegną, które miasta w gruzy przez nie rozpadną się? Tych i tym podobnych wypadków nie możemy przewidzieć, nie możemy ich obliczyć, bo nie znamy wszystkich przyczyn, które razem spotkać się, złożyć i wzajemnie wpłynąć mogą na nieoczekiwane zdarzenia. Któż może bez szczególniejszego objawienia Bożego własną śmierć przewidzieć, jak, gdzie, i kiedy tę ziemię opuści? A więc sama natura tajemniczą jest książką; można dzisiejszą jej kartę przeczytać, ale co jutrzejsza, co następne powiedzą: nikt dojść nie zdoła.

Jeżeli taka niepewność panuje odnośnie do materyalnej natury, która działa z żelazną koniecznością; czyż nie głębszą jeszcze tajemnicą osłoniętą będzie przyszłość przed naszemi oczami w kwestyach odnoszących się do życia człowieka, historyi narodów i całego rodu ludzkiego; historyi, która po Boskiej opatrzności, zależy

prawie wyłącznie od wolnego zdania i postępowania ludzi? Na co kto zdecyduje się w roku przyszłym, tego sam dziś jeszcze wiedzieć nie może, a tem mniej wiedzieć tego nie może kto inny; dawne postanowienia nieraz może potrzeba będzie zmienić dla niespodziewanych okoliczności. Co więcej, sama przeszłość, z której przyszłość wypływa, często niedokładnie nam znana; tyle ukrytych przyczyn i sprężyn składało się na wypadki dziejowe, o których mało, albo nic nie wiemy; i jakżeż tu budować pewne wnioski tyczące się przyszłości?

Lecz może wśród tych gęstych ciemności pospieszy z pomocą, ze zbawczem światłem przeczucie, jasnowidzenie, magnetyzm lub spirytyzm.

Przeczucie, jasnowidzenie, i jakimkolwiek wyrazem nazwiemy ów stan, w którym dusza zwolnioną jest od ciężaru materyi swojego ciała, nie daleko sięga swym wzrokiem, bo jakkolwiek jaśniej poznaje naturalne przyczyny, i zdolną jest z większym prawdopodobieństwem przeniknąć skutki w nich zawarte i przygotowane, lecz to tylko w niedalekiej przyszłości, nie obejmując nigdy dowolnych ludzkich postanowień, a tem mniej dowolnych zamiarów Boskiej mądrości. Nie potrzebuję tu walki toczyć z różnymi systematami Gnostyków i Theosofów średniego wieku. Wystarcza je odczytać z uwagą, aby się przekonać, że w sobie nic już nie prawdziwego, ale prawdopodobnego nie zawierają. Jeśli np. *Cornelius Agrippa* przypisuje władzę przewidywania przyszłości *humori melancholico* — trudno się nie roześmiać. A jak wstrzymać się od ironicznego uśmiechu, czytając, że humor melancholijny całą swą siłą wprowadza duszę w wyobraźnię, która staje się wtedy mieszkaniem niższych demonów, udzielających jej rozmaitych wiadomości o rzemiosłach, sztukach pięknych i zmianach elementów, uczących kiedy i z której strony zawieje wiatr, spadnie deszcz, nastąpi trzęsienie ziemi i t. p. Skoro zaś ten humor zaprowadza duszę w rozum *(ratio)*, to pozostaje pod wpływem wyższych demonów; ci udzielają jej wyższej nauki: o dziejach ludzkości, o naturze człowieka i jego ciała, zupełnie podobną do tej, którą mają filozofowie, lekarze, mowcy. W końcu, gdy siłą humoru melancholijnego dusza wleje się w umysł *(mens)*, staje się siedzibą najwyższych demonów, od których uczy się tajemnic Boskiej mądrości,

praw Bożych i tego wszystkiego, co do najwyższego rzędu poznania należy, a więc odkrywają się przed nią i wszystkie drogi Boskiej Opatrzności aż do najdalszej przyszłości [1]. A cóż powiedzieć na zdanie *Zorzi'ego*, że duch przewidzeń wstępuje w duszę ludzką przez wpływ gwiazd [2], albo jak chce Hieronim *Cardanus*, płynie z gwiazdy *Wenus* w czasie jej panowania. W jaki sposób, zapytasz, gwiazdy na niebie uczyć nas mogą, skoro same są bez świadomości własnego istnienia? I gwiazdy, odpowiada nasz filozof, posiadają zmysł, znający wszystkie zdarzenia, zawarte w swych przyczynach [3]. Przykłady te, sądzimy, zupełnie wystarczają do oceny teoryi naturalnego przewidzenia przyszłości [4].

Protestancki racyonalizm może iść w parze co do tłumaczenia przepowiedni z wyżej przytoczonemi naturalistycznemi utopiami. *Schleiermacher* utrzymuje, że proroctwo ma swe źródło w przyrodzonym darze natury, za którego pomocą człowiek umie z dzisiejszych dziejów, faktów, stosunków snuć sobie przyszłość, a pomaga do tego uczucie potrzeby, spotęgowane nadzieją; nadzieja zaś żywa i silna już widzi to, czego oczekuje [5]. *Twesten* w proroctwie nie widzi nic innego prócz domysłu opartego na wyższem zrozumieniu Boskich zamiarów, dzieła szczęśliwego przypadku [6]. Podobnie *Rothe* twierdzi, że proroctwo to czysto ludzkie wydanie sądu o rzeczach, które wedle znanych zamiarów Boskich nastąpić mogą albo muszą; o nadprzyrodzonym jakimś żywiole mowy tu być nie może; jeżeli wypadek odpowiada poprzednim domysłom, domysłom tym nadajemy nazwę „proroctwa".

Jasną jest rzeczą, że takie tłumaczenie racyonalistów odejmuje zupełnie proroctwu właściwe jego znaczenie; proroctwo w tem tłumaczeniu to już nie jest pewne przewidzenie i przepowiednia przyszłości, lecz mniej lub więcej prawdopodobny domysł, który może się sprawdzić lub nie sprawdzić; w pierwszym razie będzie proroctwem; w drugim razie czystą illuzyą.

---

[1] *De occulta philosophia.* Ks. I. r. 59, 60.
[2] *In Cant.* 3. tom. 1 r. 8 i 10.
[3] *De rerum varietate* ks. I r. 42.
[4] *Denzinger* Relig. Erkenntniss t. II, str. 412 i następne.
[5] *Reden über Religion* 1, 2, 5.
[6] Dogmat. I str. 351.

A czyż lepiej przysłużyć się może spirytyzm i magnetyzm do naturalnego a przytem prawdziwego i pewnego odkrycia zasłony z tajemnic przyszłości? I na to pytanie przeczącą odpowiedź dać musimy. Jeżeli i kiedy magnetyczne i spirytystyczne zjawiska nie są kłamstwem i oszustwem, pochodzić one mogą w części od samej duszy człowieka, w szczególniejszy sposób zwolnionej od ciężkości zmysłów, gdy przynajmniej bez porównania więcej aniżeli w stanie zwyczajnym wolną jest i samodzielną, w części mogą być skutkiem działania innych duchów. W pierwszym wypadku dusza czerpie ową subtelniejszą wiedzę od osoby, z którą pozostaje w jakimś stosunku, przynajmniej przez dotknięcie się rzeczy do niej należących. W skutek działania magnetycznego przeniknąć może swym wzrokiem niektóre czynności i przymioty osoby magnetyzowanej, i z nich wyprowadzić wnioski tyczące się jej bliskiej przyszłości, i to takie tylko, które już są jakby w nasieniu zawarte, lecz bynajmniej nie może z pewnością dowiedzieć się o wolnych jej postanowieniach, zwłaszcza o tych, które poweźmie w dalekiej przyszłości, bo te w obecnej chwili nawet w zarodzie nie są określone. Podobnie dzieje się i w drugim wypadku, gdy duchy mające wpływ na pewną jakąś osobę, udzielają jej przez siebie posiadanych wiadomości. Duchy bez szczególniejszego światła Bożego nie mogą zbadać, do czego człowiek w przyszłości się zdecyduje, albo co Bóg w przyszłości postanowił czynić. W iluż to wypadkach należy wyznać, że *mentita est iniquitas sibi*[1].

Mamy absolutną pewność, że nikt naturalną wiedzą ludzką nie jest w stanie zbadać przyszłości zależnej tak od wolnej woli człowieka jak od woli Boga samego. Z samej więc natury przepowiedni można odrazu rozpoznać, czy źródłem jej były naturalne siły przenikliwego umysłu ludzkiego, lub też czy jedynie wypłynąć ona mogła z objawienia Bożego. Dlatego, jeżeli z jednej strony istnieje przepowiednia, z drugiej fakt historyczny przepowiednię sprawdzający, a nadto jeżeli jest pewnem, że fakt historyczny nie wyprzedził przepowiedni i w naturalny sposób nie mógł być przewidzianym, natenczas wątpić nie możemy, że taka przepowiednia

[1] *Św. Tomasz* 2. 2. q. 172. a. 1. ad 5-um.

jest Boskiem proroctwem. Kościół dowodząc boskości jakiej nauki i prawdziwości objawienia, nie posługuje się żadnymi innymi proroctwami, jak tylko takiemi, o których prawdziwości jest przekonanym.

Już z dotąd podanych wywodów płynie jasna, wystarczająca odpowiedź na pytanie: czy proroctwa mogą służyć za dowód i pieczęć Boskiego pochodzenia nauki przez wiarę podanej. Na inne zarzuty przeciwko proroctwom odpowiemy później, gdy zastanawiać się będziemy nad tem, że na proroctwach opiera się przekonanie nasze o Boskości chrześcijańskiego objawienia.

IV.

Poznaliśmy na czem polega prawdziwe proroctwo, przekonaliśmy się, że takie prawdziwe proroctwa są możebne i że za możebne musimy je uważać; pozostaje jeszcze zastanowić się w jaki to sposób proroctwa stają się i są dowodem, że Bóg jakąś religię objawił.

Wyobraźmy sobie, że zjawia się przed nami człowiek jakiś i w imieniu Bożem nową naukę ogłasza; mieni się wysłańcem Boga, który go przysłał z poleceniem głoszenia prawd wiary. Zaraz na wstępie samym spytalibyśmy bezwątpienia takiego wysłańca „coś zacz“, jakie przynosisz dowody; wierzyć ci bowiem lekkomyślnie nie możemy; okaż swe Boskie posłannictwo jakimś znakiem nadzwyczajnym. Listy uwierzetelniające, któremi, że tak się wyrazimy, wysłaniec taki wykazać się nam musi, muszą być podpisane palcem Bożym i to tak wyraźnie, aby nikt nie mógł podpisu tego sfałszować. Taką legitymacyą są cuda, są nią również proroctwa. Jeśli ten kto przedstawia się jako wysłannik Boży, a w dawnych bardzo dawnych czasach już był znanym, bo obiecany był proroctwami, opisane w nich najdrobniejsze szczegóły jego życia i śmierci, z oznaczeniem czasu, w którym miał przyjść, kraju, w którym miał się po raz pierwszy okazać, rodziców z których miał się zrodzić, jednem słowem, jeśli obraz jego przed wiekami w najdelikatniejszych rysach wykończony w proroctwach, naj-

dokładniej i w nikim innym, tylko w tym jednym człowieku się spełnia, to takiemu wierzyć koniecznie należy. Należy zaś wierzyć tembardziej, że sam powołuje się na ów dawno w proroctwach wymalowany obraz i wskazuje na siebie: Jam jest tym zapowiedzianym wysłannikiem, o którym mówili prorocy; każde ich słowo do mnie się stosuje. Na wypełnienie tych proroctw pracują po większej części jego nieprzyjaciele, złość i nienawiść mimowolnie składa się na świadectwo prawdziwości słów jego. Wypełnienie zatem odnoszących się doń proroctw nie jest chytrą jakąś sztuczką jego, ale wypływa ze zbiegu tysiącznych okoliczności, zależnych od wolnej woli, która również podlega tysiącznym zmianom, mnóstwem przyczyn, dziejami całego narodu spowodowanym, przygotowanym od wielu wieków. A jeżeli dodamy do tego, że na całym świecie nie było innego człowieka, na którymby takie proroctwa sprawdziły się, jakie się sprawdziły w najdrobniejszych szczegółach na tym wysłanniku Bożym, który powołuje się na nie stanowczo, któż jego słowom nie uwierzy? Tembardziej zaś każdy uwierzyć musi, kiedy człowiek ów, na proroctwa te powołując się, domaga się wiary w swe słowa, a niewierzącym grozi karą wieczną, utratą Boga i jego królestwa. Uczniowie jego opisując życie swego Mistrza przy każdej sposobności wskazują zgodność faktów z proroctwami: *to stało się ażeby się wypełniło co powiedziano jest przez proroków.* Wypełnienie proroctw na osobie Chrystusa służy uczniom jego za dowód jego Boskiego poselstwa. *Albowiem oznajmiliśmy wam moc i obecność Pana naszego, nie uwiedzeni baśniami misternymi: ale przypatrzywszy się sami wielmożności jego. Bo wziął od Boga Ojca cześć i chwałę, gdy do niego szedł głos takowy od wielmożnej chwały: Ten jest Syn mój, w którym sobie ulubił, jego słuchajcie. A głos ten myśmy słyszeli z nieba przyniesiony, będąc z Nim na górze świętej.* A jeśliby to świadectwo o Boskiej powadze Mistrza swojego jeszcze nie wystarczało, drugi dowód Piotr św. podaje: *I mamy mocniejszą mowę prorocką, której się dzierżąc jako świece w ciemnym miejscu świecącej, dobrze czynicie, ażby dzień oświtnął, a jutrzenka weszła w sercach waszych. To naprzód rozumiejąc, iż każde proroctwo pisma (Scripturae) nie dzieje się wykładem własnym. Albowiem wolą ludzką nigdy proroctwo nie jest*

przyniesione, ale Duchem Św. natchnieni mówili ludzie Święci Boży [1].

Zapytajmyż się teraz sami siebie, czy ta zgodność w najdrobniejszych szczegółach wszystkiego co prorocy przepowiedzieli z tem co wypełniło się na osobie tego, który się przedstawia za wysłańca Bożego, aby lud nauczał prawdy; jest przypadkową lub sztuczną, czy też umyślnie przez Boga spowodowaną? Przypadek rozciągaćby się nie mógł do najmniejszych szczegółów życia, śmierci i zdarzeń po śmierci ciągnących się przez wiele wieków. W każdym razie, to co zwykliśmy nazywać przypadkiem, zależy od opatrzności Bożej; a czy można przypuścić, ażeby opatrzność Boża pozwalała na tak cudowny przypadek, którego jak doskonale rozumie w najwyższej swej Mądrości, tak łatwo mógłby ktoś nadużyć w celu szerzenia fałszywej religii, na zgubę duchową i wieczną tylu milionów ludzi. Czy można przypuszczać, aby Bóg, uosobiona Prawda i Miłość dopuszczał, aby tylu ludzi zostało zwiedzionych; ludzi, którzy w najlepszej wierze przyjmują religię, i jedynie szukają chwały Bożej często ze stratą nie tylko dóbr ziemskich, ale nawet samego życia doczesnego, nie z lekkomyślnością ale z rozwagą i roztropnością, i to jedynie dlatego, że widzą zupełną zgodność całego życia owego wysłańca z tem, co prorocy o nim mówili? Ktoby coś podobnego przypuścił, zaprzeczyłby tem samem pełnej miłości opatrzności Bożej nad rodzajem ludzkim. A czy może ta zgodność późniejszych faktów z dawnemi proroctwami jest sztuczną, tj. wyrobioną umyślnie, przekręceniem i misternem a nie prawdziwem tłumaczeniem, i stósowaniem proroctw, tak w sobie ciemnych? Prawda, że proroctwa odnośnie do całej swej treści czasami są ciemne, podobnie jak światełka świecące w ciemnem miejscu; że brane w całej pełni często są niezrozumiałe tak dalece, że dopiero po spełnieniu ich dochodzimy do zupełnego zrozumienia tego, co w sobie zawierały; to wszystko prawda; ale z drugiej strony jest rzeczą pewną, że w każdym proroctwie są pewne szczegóły, które jasno można zrozumieć i ocenić ich wartość. Nie każde proroctwo podaje wszystkie szczegóły; nie każde rzuca na nie samo

[1] *List II Św. Piotra* r. I w. 16—21.

w sobie wystarczające światło; ale jedno proroctwo uwydatnia szczegóły, drugie proroctwo kładzie nacisk na inne, tak kolejno każde z nich rzuca światło pewne na przyszłość, a razem w jedną całość zebrane harmonijnie łączą się, składając się na wierny obraz w ogólnych konturach wykończony, chociaż jeszcze obraz ten nie posiada należytego kolorytu. Obraz taki zupełnie wystarcza, ażeby módz w kartach historyi szukać i odnaleść jego prototyp; a patrząc na tenże, nie trudno wykończyć zarysowany przed wiekami obraz. Nie potrzeba więc żadnego naciągania, żadnego sztucznego tłumaczenia słów proroczych.

Zgodność między życiem tego, który się za wysłańca Bożego podaje a proroctwami, które przed wielu latami wyraźny i jasny obraz wysłańca tego odmalowały, musi być zatem dziełem Boga, dziełem Tego, który jedynie mógł przewidzieć i przeznaczyć przyszłość. Bóg nie wybiera szalbierza na swego posłańca, ani może fałszerza znakami cudownymi uwierzytelniać u ludu; a więc także nie może odmalować pędzlem swej wszechwiedzy portret fałszerza, przedstawiając go jako posłańca swego, którego ma słuchać świat cały po wszystkie wieki! Inaczej, Bóg sam byłby twórcą błędu w najważniejszej sprawie, bo w religii.

Proroctwa są więc rzeczywiście legitymacyą dla posłańca Bożego, a dlatego także i pieczęcią Boską dla nauki przezeń w imieniu Boga głoszonej.

Powyższy dowód z niemniejszą siłą wystąpi na jaw, jeżeli zastanowimy się, że osoba, przedstawiająca się za wysłańca Bożego, obdarzoną jest duchem prawdziwie proroczym. Kto zna historyę Nowego Testamentu, łatwo może się przekonać, że Chrystus Pan przepowiada jasno nie tylko rzeczy przyszłe, odnoszące się do jego osoby, szczegóły śmierci i to co się po niej z Nim stanie, ale również przyszłe losy nauki, którą głosił, różne koleje instytucyi, ktorą założył, walki i zwycięstwa swych zwolenników w bliższych i późniejszych wiekach. Nadto jasnem jest, że rozumem ludzkim nie można było tego obliczyć, że żadna mądrość ludzka tego wykombinować ani nawet spodziewać się nie mogła; owszem naturalny rozum do wprost przeciwnych wyników prowadził, zupełnie inne kombinacye i konjektury na przyszłość snuć musiał. Pomimo to

wszystko, co P. Jezus przepowiedział, spełniło się jak najdokładniej; musimy więc przyjść do przekonania, że Chrystus Pan był oświecony światłem Boskiej Mądrości, dla której przyszłość nie ma zasłony. Mądrość i Prawda uosobiona nie może swego światła udzielać szalbierzowi, ażeby zamiast głosić prawdy Boże, pieczęcią Boską czcze bajki potwierdził, bajki pozbawiające Boga należnej czci i chwały w milionach serc ludzkich. Gdzie duch proroctwa, tam Duch Boży, a gdzie Duch Boży, tam prawda!

Ks. A. Langer.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

P. Mahrburg *contra* celowość.

Teorya celowości ze stanowiska naukowego, studyum filozoficzne przez Adama Mahrburga. Kraków 1888, nakładem Akademii Umiejętności.
Celowość w przyrodoznawstwie przez Adama Mahrburga. *Kraj* r. 1888 nn. 44, 45 i 46.

Kiedym się dowiedział z kilkakrotnych wzmianek w *Kraju*, że p. Mahrburg pisze przeciw mojej książce o celowości, ucieszyłem się w nadziei, że probierz przedmiotowej krytyki — nie mówię rozstrzygnie tę kwestyę, bo ona od dawna jest rozstrzygniętą — ale wyświeci sposób jej traktowania, odkryje słabsze i mocniejsze strony głównych celowości dowodów, okaże pod jakimś nowym kątem stanowisko i racye przeciwników. Kiedym się następnie dowiedział, że praca p. M., napisana pierwotnie w formie prostej krytyki mej książki, przybrała postać książki „o Teoryi celowości", spodziewałem się, że będzie dziełem literackiem, że przedstawi nam system natury bezcelowej w jakiejś organicznej jedności, w której się oko duszy łatwo i z przyjemnością rozglądnie. — Tymczasem z tych wszystkich nadziei, jedna tylko się sprawdziła. Książka pana M. odkrywa dobrze kąt widzenia, pod jakim pewna klasa ludzi oddających się nauce patrzy na ważną kwestyę celowości w przyrodzie; uczy ona, jak się w obecnej chwili wiele umysłów w obec celowości nastraja — i pod tym względem ta książka wydaje mi się ciekawą i ważną.

Co do strony literackiej, radbym pochwalił pana M. Zwyczajem recenzentów, jak się ma wiele do zganienia w treści, to się chwali formę. Ale tym razem doprawdy nie mogę! O stylu korzystnie się wyraził recenzent *Przeglądu polskiego*, niekorzystnie recenzent *Ateneum*. Mnie się zdaje, że ten ostatni ma słuszność — ale to może pogląd subjektywny — niechże więc będzie racya przy pierwszym. Ważniejsza jest kwestya układu, wątku — a tu bardzo wiele brakuje. Jest wprawdzie szereg rozdziałów, który w „spisie rzeczy“ wydaje się jako tako związany, ale w samej książce zarzuty, twierdzenia, dowody i przypuszczenia tak się plączą i kołują, że dopiero po trzeciem przeczytaniu książki potrafiłem się w tym materyale zoryentować. Ażeby rzecz łatwiejszą czytelnikowi uczynić, postąpimy w ten sposób: zobaczymy najprzód jak p. M. zapatruje się na celowość w naturze; po drugie, jak zwalcza pogląd przeciwników, tj. dowody celowości rzeczowej; po trzecie jak sam dowodzi własnego poglądu. Na samym końcu zobaczymy w kilku słowach, jak się obchodzi z moją książką — co mniej ważne ale nie mniej zabawne.

I.

Zaczyna się książka od długich prolegomenów o pojęciach przyczyny i celowości. Dowodzi się tam rzecz wszystkim wiadoma, że na przyczyny (sprawcze) w przyrodzie składa się mnóstwo warunków. Jest też plastyczny kawałek psychologii, *à la* Wundt *prima maniera*, mający objaśnić pojęcie celowości: Wyobrażenia (których naturalnie p. M. nie odróżnia od pojęć) same jakoś tańczą w mózgu, walczą o byt między sobą — aż jedno, przypadkiem mocniejsze od drugich, spycha je, zdobywa główne miejsce w świadomości — i na tem nie poprzestając, dąży do jak największego uświadomienia się; a że realne używanie przedmiotu przez zmysły jest wyższem uświadomieniem, niż obraz jego w wyobraźni, więc to wyobrażenie prze podmiot do użycia środków ku realnemu posiadaniu przedmiotu. I to wyobrażenie zwycięskie nazywa się celem. — Nie potrzebuję się rozwodzić nad powierzchownością tego psychologicznego poglądu, w którym nasze „ja“

żadnej nie gra roli i od którego już sam Wundt nie mało się oddalił. Ale wytknąć muszę pomyłkę, jaką popełnia autor, nazywając celem samo wyobrażenie celu — bo na tej pomyłce wiele on w dalszym ciągu buduje. Gdy czyta w mojej książce, że „przyszłość panuje nad teraźniejszością“ zarówno w naturze jak w dziełach ludzkich — odpowiada, że nawet w dziełach ludzkich tego odwrócenia przyczynowości niema, bo cel jest tylko wyobrażeniem, należącym w danym razie do tego mnóztwa warunków czyli przyczyn sprawczych przed skutkiem istniejących. Otóż jest to błąd psychologiczny i logiczny zarazem.

Wyobrażenie, a raczej pojęcie rzeczy chcianej, nie jest wcale celem, ale aktem, którym cel poznajemy. Celem jest to, czego pragniemy, do czego dążymy, co nas pociąga i p o w o d u j e — pojęcie celu jest tem, co nas kieruje w tem dążeniu. Gdy chcę dom zbudować, to nie wyobrażenie domu, ale sam dom realny, acz jeszcze nie istniejący, co jest celem moich żądz i powodem mych zachodów. P o j ę c i e celu fizycznie istnieje przed celem i należy natenczas, jak słusznie mówi p. M., do kompletu warunków składających przyczynę sprawczą; dom atoli, który jest przedmiotem pojęcia i chcenia, choć fizycznie nie istnieje, powoduje przecież idealnie — coby długo tłumaczyć trzeba komuś, co nic nie uznaje oprócz „wyobrażeń“; poprzestanę więc tylko na porównaniu. Kiedy pan gotujesz przyjęcie dla przyjaciela mającego z podróży powrócić, pobudką do tych zachodów jest miłość przyjaciela, a przedmiotem tej miłości jest sama przyjaciela osoba. Innemi słowy, przygotowania te czynisz dla przyjaciela, nie dla swego wyobrażenia o przyjacielu. Wyobrażenie to przyświeca tylko pracom i zachodom. Otóż podobnie jak przyjaciel, choć nieobecny w miejscu, może być przedmiotem miłości i celem zachodów, tak też przedmiot jakikolwiek, choć nieobecny w czasie, ale dopiero przyszły może być przedmiotem chcenia i działania, czyli celem. I to właśnie nazywam wpływem idealnym przyszłości na teraźniejszość. Prawda, że ten wpływ suponuje w teraźniejszości ideę, za pośrednictwem której przyszłość wpływać może; ale co do dzieł ludzkich, ta idea w umyśle istnieje; a co do natury, nie tak trzeba rozumować, jak czyni p. M.: niema w naturze idei, więc niema żadnego wpływu przyszłości, ale odwrotnie: jeśli się objawia w na-

turze wpływ przyszłości na teraźniejszość, to jest gdzieś idea; bo z objawów trzeba sądzić o przyczynach; sądzić zaś odwrotnie jest to a p r i o r y z m, z zasadami, do których się p. M. przyznaje, wcale nie zgodny [1].

Okrom tej poprawki, zgadzamy się w tem zupełnie z p. M. że „pojęcie przyczynowości celowej posiada umysł ludzki z własnego sposobu działania [2]". Chodzi teraz o to czy to pojęcie stosuje się i do natury? czy i ona dla celów działa, jak się powszechnie ludziom wydaje? — P. M. odpowiada przecząco. Podług niego celowość, jaką w naturze upatrujemy, jest tylko „złudzeniem"; do działania celowego trzebaby myślenia, a myślenia poza mózgiem ludzkim i zwierzęcym niema żadnego i być nie może. Żadnych więc niema w przyrodzie celów, żadnych dążności do czegoś oznaczonego, żadnego ustrojenia środków do osiągnienia pewnych skutków; organa nie są dla funkcyj, ani funkcye dla bytu jednostki lub gatunku — są litylko rezultaty, wypadki bezwiednego toku przyczynowości. Raz wprawdzie p. M. odstępuje od tego stanowiska, powiada, że nie jest ani teleologiem (zwolennikiem celowości) ani antiteleologiem, tylko ateleologiem: co, zdaje mi się, innego sensu mieć nie może, jak tylko, że ani twierdzi, ani przeczy celowości, jeno od niej abstrahuje. Wszelako tę małą sprzeczność uważać musimy jedynie za koncesyę zrobioną zasadom pozytywizmu; cała bowiem książka jest stanowczem i bezwarunkowem zaprzeczeniem celowości w naturze.

---

[1] Niesłuszna też i powierzchowna jest zaczepka autora przeciw Arystotelesowi i jego klasycznej definicyi przyczyn, jakoby Aryst. nie zdawał sobie sprawy, że pojęcie celu jest pierwotnie przedmiotowe. Istotnie ta definicya przyczyny, jaką p. M. podstawia, jest jednostronna i powierzchowna, bo wyłącznie z zjawisk przedsobnych wzięta; Arystoteles zaś wylicza wszystkie rodzaje przyczyn, o jakich pojęcie mamy, i wie dobrze, że pojęcie celu jest wzięte z podmiotu, czego dowodzą przykłady, jakie tamże przytacza. Ale głębsza analiza pojęć byłaby panu M. wykazała, że i pojęcie przyczyny sprawczej i w ogóle wszelkiej działalności jest zarówno z podmiotu wzięte. Należało więc najprzód wszystkie pojęcia przyczyn zestawić i określić, jak to czyni Arystoteles, a potem dochodzić, które z nich iszczą się w przedmiocie; a nie z góry orzekać, że przyczynowość celowa w przedmiocie być nie może, dlatego że jest w podmiocie. Co do metodyczności przynajmniej, nie łatwo przyjdzie panu M. dawać lekcye Stagirycie.

[2] Tych samych słów użyłem w książce *Celowość w nat.* str. 19.

Skądże tedy powstaje, wedle p. M., to ogromne „złudzenie teleologiczne“, które po wsze czasy narzucało się zarówno najbystrzejszym jak najprostszym umysłom ludzkości? Czy to może jakaś forma *a priori*, w guście kantowskim, która nas zmusza do widzenia rzeczy inaczej jak są? Nie, podług pana M., nie jestto nic więcej tylko prosta pomyłka, niebaczne odwrócenie porządku rzeczy. Pierwotny człowiek zapatruje się na naturę utylitarnie, używa jej do swoich celów, a pod wpływem tego nawyknienia, przyucza się brać końcowy rezultat w naturze za punkt wyjścia, nazywa go celem, a przyczyny jego nazywa środkami, przypisując w ten sposób naturze swoje własne psychiczne czynności. Jestto „antropomorficzny pogląd na naturę“, „naiwny realizm pierwotny“.

Zapomina oczywiście p. M., pisząc takie rzeczy, że nie wtedy kwitła doktryna celowości, kiedy ludzie jeszcze ogony nosili, ale dopiero gdy nauka znaczne uczyniła postępy, wtedy teorya celowości na dobre się rozwinęła i uzasadniła — a liczyła w poczcie swych stronników największe illustracye nowożytnej nauki. — Ale ta okoliczność, że byli i są przecież uczeni, którzy celowości natury bronią, wcale uwagi p. M. nie zwraca. U niego ten tylko stoi na „stanowisku nauki“ kto przeczy celowości, „ten pogląd jedyny był płodny w nauce“ (str. 94), temu jedynie kierunkowi zawdzięczają się wszystkie odkrycia, wszystkie postępy — kto zaś przypuszcza celowość, ten oczywiście jest *ipso facto* poza nauką; wszystkie niemal błędy, jakie popełniono kiedykolwiek w przyrodoznawstwie, z tego kąta widzenia pochodzą, a żadnej zgoła korzyści ten pogląd nauce nie przyniósł. To ostatnie jest zwrotką tryumfalną, którą p. M. co kilka stron powtarza: „Teleologiczne wyjaśnienie zjawisk przyrody, mówi on na str. 136, nie ma żadnej naukowej wartości“. — „Wiedza nasza, mówi znowu na str. 39, nic na tem nie wygrała“. — „Jak zawsze, powtarza on dalej (str. 156), spekulacye te i po dziś dzień zostały jałowemi dla nauki“. — Inną razą śmiejąc się z prac teleologów na polu nauki, mówi, że „jestto pociecha muchy, co siedząc na jarzmie wołu, wyobraża sobie, że razem z nim orze“ (str. 134) i t. p.

To wszystko, jak widać, jest bardzo czelnie powiedziane, ale pod tą czelnością jest wielka nielogiczność i wielkie zapoznanie faktów, historyi nauki. Nielogiczność leży w samym sposobie, jakim

p. M. przypisuje samemu odrzucaniu celowości wszystkie odkrycia naukowe. Skądże, pytam, stanowisko czysto negatywne może być płodnem? Stąd oczywiście, podług pana M., że odrzucenie celowości jest uznaniem przyczynowości sprawczej, a badanie tej ostatniej daje dopiero naukowe rezultaty. Ale czy ten, co przypuszcza celowość, odrzuca tem samem przyczynowość? Czy nie może on badać tej ostatniej równie dobrze, jeśli nie lepiej, jak ten co o celach nic nie wie? Przecież potrzeba przyczyn sprawczych tkwi w samem pojęciu celowości. Sam p. M. na kilku miejscach uznaje, że zwolennicy celowości wcale przyczynowości nie wykluczają, że te dwa porządki przyczynowości są odwracalne, że się pokrywają. I jakżeżby miało być inaczej? Któż wątpi, że i maszyna przez człowieka zbudowana, ten typ celowego utworu, podlega wszystkim prawom natury, i koniecznie potrzebuje, tak do powstania jak i do funkcyonowania, wszystkich warunków przyczynowości sprawczej? W obec tego, jakżeż sobie wytłumaczyć, że ten sam p. M. w tylu innych miejscach swej książki wciąż s u p o n u j e, że celowość i przyczynowość się wykluczają, że „odrzucenie doktryny celowości jest teoryą praw stałych przyrody“ (str. 92)? że „państwo przyczyn celowych zaczyna się tam, gdzie się kończy państwo poznanych przyczyn sprawczych“ (str. 90), że „specyalna reżyserya“ przyczyn celowych, jaką wprowadzają w świat zwolennicy tej doktryny, jest niepotrzebna, bo „świat nie jest chaosem niespojonych „i niezależnych od siebie szeregów zjawisk, któreby dopiero trzeba „p o m i m o k o n i e c z n y c h p r a w p r z y r o d y, wiązać, naginać, „sprowadzać razem i kombinować“! — Przecież p. M. wie doskonale, że rzecz się ma dyametralnie przeciwnie, że zwolennicy celowości nietylko żadnego naginania praw nie przypuszczają, ale właśnie stąd, że świat nie jest chaosem, lecz kosmosem, że wszystkie jego prawa są stałe i harmonijne, że „przyczyny sprawcze są same wybornemi reżyserkami porządku“ — wnoszą, że ten świat nie jest bezmyślnem zbiegiem warunków, ale utworem mądrości celowo działającej.

Więc, skoro niema żadnej opozycyi między celowością a przyczynowością sprawczą, to wszystkie odkrycia i postępy zrobione badaniem przyczynowości, należą, tak do stronników celowości, jak do przeciwników, przynajmniej na równi. Ale czy w istocie na

równi? czy nie jest notorycznem, że wszyscy wielcy pionierzy nowożytnej nauki, ci którzy odkryli wielkie prawa natury, z których cała nauka dzisiejsza jak z kłębka się wysnuła — Kopernik, który znalazł klucz systemu świata, Kartezyusz, który fizykę nowoczesną ukonstytuował, oparłszy ją na podstawie mechaniki, Kepler zakonodawca astronomii, wielki Newton, który największe prawo materyalnego świata odsłonił, Leibnitz twórca rachunku różniczkowego, Ampère wynalazca praw elektryczności, Fresnel praw światła, Robert Mayer teoryi mechanicznej ciepła, Cuvier inicyator nowożytnej historyi naturalnej, Liebieg ojciec organicznej chemii, Claude Bernard luminarz dzisiejszej fizyologii, i t. d. i t. d. — czyż nie jest notorycznem, mówię, że ci wszyscy wielcy uczeni patrzali na świat z punktu teleologicznego, widzieli w nim myśl, racyonalność, wyraz mądrości twórczej? Wypowiadają to przecież na każdej karcie swych dzieł wiekopomnych.

Ale nie dosyć na tem; ci wszyscy twórcy nowożytnej nauki nie tylko uznawali w świecie mądrość Twórcy, ale tym poglądem kierowali się w swych odkryciach, to przekonanie o racyonalności planu świata, jako dzieła Istoty Najmędrszej, zapłodniło ich geniusze i spowodowało ich wynalazki. Wykazałem to w szeregu artykułów p. t. „Filozofia założycieli nowożytnej fizyki“, drukowanych w *Przeglądzie* w r. 1885, przytoczyłem ustępy z ich dzieł, gdzie widać przejrzyście, jak się ich wielkie myśli rodziły pod wpływem poglądu celowego na świat. Wspomniałem też o tem w książce o Celowości, odesłałem do dzieła Ernesta Naville'a, które ten przedmiot wyczerpująco traktuje [1]. — Jakżeż więc może p. M. powtarzać bez zająknięcia, że pogląd celowy był zawsze niepłodny, żadnej nigdy korzyści nauce nie przyniósł? Najoryginalniejszem jest to, że sam p. M. wylicza gdzieś szereg ważnych odkryć pod wpływem poglądu celowego zrobionych: „Harvey „odkrył obieg krwi, zastanawiając się nad celowem przeznaczeniem „niektórych właściwości w budowie naczyń krwionośnych; Weber „dokonał ważnych odkryć w przedmiocie budowy oka u psów mor„skich, kierując się przekonaniem, iż ustrój tego oka musi mieć coś

[1] *La Physique Moderne.*

„szczególnego, ponieważ celem tego oka jest widzenie w wodzie „i w powietrzu; Cuvier, zapatrując się celowo na budowę ustrojów, „potrafił z jednego zęba zaginionego zwierzęcia odbudować cały ustrój „jego“... Jakżeż to pogodzić z twierdzeniem, że stanowisko celowe jest zupełnie niepłodne? Wprawdzie, mówi p. M., „b a r d z o p r a- „w d o p o d o b n a, że oni kierowali się (w swych odkryciach) celo- „wem sposobem zapatrywania się na rzeczy, ale też nie ulega wąt- „pliwości, że w zasadzie każdego z powyższych odkryć spoczywa „głębokie przeświadczenie o k o n i e c z n e j p r z y c z y n o w e j z a- „l e ż n o ś c i zjawisk: Harvey musiał być pewnym, iż klapki w prze- „biegu naczyń nie powstały bez przyczyn naturalnych etc.“ (str. 146). Jakżeż to ładnie obrócone! ile retorycznych eufemizmów! ale jak się tu przecież wyraźnie odsłania fałszywość bronionego stanowiska! Któż nie wie, że nie tylko ci wynalazcy, ale wszyscy zwolennicy celowości „przeświadczeni są o koniecznej przyczynowej zależności zjawisk“? Lecz to właśnie zadaje kłam panu M., że oni, kierując się celami, odkrywają przyczyny.

Żeby zapobiedz nieporozumieniom, przypomnę co wyłożyłem także w wspomnianym art. „O filozofii założycieli nowożytnej fizyki“. Celowość, racyonalność natury, mądrość twórcza w świecie, nie są to dane, z którychby można jakąkolwiek treść nauki *a priori* wyprowadzić; ta treść, ten materyał powinien być brany litylko z obserwacyi. Ale żeby z tego materyału zrobiła się nauka, żeby zwłaszcza wykluły się wielkie ogólne prawa, potrzeba pracy umysłowej, trzeba żeby umysł szukał, racyonalnie hipotezy stawiał, zagadywał naturę odpowiedniemi doświadczeniami. Ta zaś praca, albo się dzieje na ślepo i zwykle bezpłodnie, albo pod kierunkiem i za światłem owych wielkich pewników — i wtedy korzystnie i płodnie, jak fakta świadczą. Pod koniec średnich wieków grasowała właśnie mania odwracania tego stosunku, czerpania *a priori* z celowości materyału naukowego. I dlatego pierwsi przewódzcy nowożytnej nauki, Bakon (który swoją drogą żadnym odkryciem nauki nie wzbogacił) i Kartezyusz, reagując przeciwko temu kierunkowi, piętnowali badania celowe jako niepłodne; ale potępiali je tylko z pomienionego względu; najmocniej zaś przytem przekonani byli, że świat jest celowym utworem Stwórcy, i sami się tym poglądem

w swych badaniach ciągle kierowali[1]. — Zatem p. M., stojący na diametralnie przeciwnem stanowisku, najniesłuszniej się na nich powołuje.

Ale jakież jest ostatecznie stanowisko pana M.? Czy jest materyalistą?, czy ateuszem? P. M. wypiera się jednego i drugiego najwyraźniej; — i broń mię Boże, żebym miał w niego wmawiać te szkaradne kwalifikacye, które on sam od siebie odpycha. Zwrócić mu jednak muszę uwagę, że materyalistą jest nie tylko ten, kto, jak Büchner, podejmuje się wszystko przez materyę wytłumaczyć, ale i każdy, dla którego żaden byt nie istnieje poza materyą. Kto więc nie chce być materyalistą, ten nie powinien się wyrażać, jak to czyni wciąż p. M.: że żadna wiedza, żadna myśl nie istnieje ani istnieć nie może poza mózgami ludzkimi i zwierzęcymi. Również, kto nie chce byś ateistą, ten nietylko wręcz zaprzeczać nie powinien istnieniu Boga, ale też nie powinien przeczyć wszelkim dowodom i wszelkiemu pojęciu Bóstwa, wszelkim możliwym stosunkom świata i człowieka do Boga — jak to czyni nasz autor. P. M. układa po swojemu zgodę między wiarą i nauką. Bóg i religia, naucza on, to kwestye serca, w które rozum wdawać się nie powinien, ale też one nie powinne się wtrącać w sferę rozumu i nauki. Bóg, jego zdaniem, winien być ze sfery nauki zupełnie wykluczony (str. 98); przez naukę zaś rozumie autor nietylko samą obserwacyę, ale i „najdalsze konsekwencye", jakie rozum z obserwacyi wyprowadzić może (str. 55). Co więcej, p. M. obszernie dowodzi, że pojęcie nasze o Bogu, Rozumie najwyższym i Przyczynie świata, polega na nielogicznym antropomorfizmie, pełne jest sprzeczności i niedorzeczności, i w żaden sposób z rozumem i nauką pogodzić się nie może. Skąd wnosi, że „ta fikcya niby antropomorficzna" nic zgoła w świecie nie wyjaśnia. Wreszcie, przekraczając sferę materyalnego świata, p. M. odrzuca stanowczo Opatrzność Boską nad ludzkością, nie tylko jako rzecz nie dającą się rozumowo uzasadnić, ale jako rzecz zupełnie przez naukę zwalczoną; twierdzi wyraźnie, że „z jego wywodów o celowości dedukcyjnie wynika odparcie tego poglądu" (str. 165, 166).

---

[1] Dowody na to wszystko znajdzie także p. M. w wspomnianym artykule „O filozofii założycieli nowożytnej fizyki".

Z tem wszystkiem p. M. daje nam, teleologom i teologom, magistralną przestrogę, żebyśmy nie mieszali wiary z nauką, nie próbowali uczynić religię zrozumiałą — bo to jest jedyny sposób uniknięcia kolizyi i utrzymania świętej zgody.

O szczegółowych „wywodach“ pana M. przyjdzie mi mówić poniżej, tu tylko zaznaczam, że jego stanowisko zaczepne i negacyjne względem teizmu nie zgadza się (a przynajmniej nie pojmuję jak się zgadza) z jego profesyą nieateizmu. Wytknął mu tę sprzeczność nietylko recenzent *Przeglądu Polskiego*, ale nawet recenzent z *Ateneum*. Wszelako, choćby p. M. skreślił wszystkie swoje wycieczki przeciwko pojęciu Boga, przeciw stworzeniu i Opatrzności, jeszcze tranzakcya, jaką proponuje między wiarą a rozumem, byłaby niemożliwą — niemożliwą najprzód psychologicznie: bo wierzyć religijnie co się naukowo odrzuca, jestto psychicznie niepodobieństwem — niemożliwą także logicznie, bo sprzeczną z pojęciem wiary. Wiara nie jest uczuciem, ale p r z e k o n a n i e m; serce jej pomaga, ale ona jest w rozumie; podkładem wiary w słowo boże jest r o z u m o w e przekonanie, że Bóg istnieje, i że Bóg historycznie dane prawdy objawił; wiele prawd objawionych daje się rozumem przeniknąć i rozumowo udowodnić. Nie są to moje poglądy, ale d o g m a t a wiary katolickiej, jak wykazał dokładnie ks. Pawlicki w recenzyi książki pana M. w *Przeglądzie Polskim*, i ja też w innem miejscu to samo wykazałem [1]. Zaprzeczać więc temu, odrzucać racyonalność wiary, twierdzić, że pojęcie Stwórcy jest z rozumem niezgodne, że istnienie Boga nie może się rozumowo udowodnić, jestto samej wierze wręcz zaprzeczać. — Radzę tedy panu M. po przyjacielsku, aby się nie wdawał nadal w godzenie wiary z rozumem.

II.

Taki jest w ogóle pogląd pana M. na kwestyę celowości, i takie w nim u s t e r k i. Zobaczmy teraz jak on zwalcza dowody celowości.

[1] „Filozofia i jej zadanie“, rozdz. XV.

Kiedy przypuszczamy, że w naturze są cele, że przyszłość panuje nad teraźniejszością, zdaje nam się, że nie ulegamy tylko „illuzyi pierwotnego realizmu“, ale że mamy rozumne do tego powody. Powody te wyłożyłem i roztrząsnąłem w swojej książce, i pokazałem, jak sądzę, że wytrzymują krytykę. Pierwszym w ich rzędzie jest analogia między tworami natury a celowemi dziełami człowieka. P. M., suponując że analogia, o której mowa, na podobieństwie powierzchownem zależy, dowodzi długo i szeroko, że to podobieństwo jest niezupełne; zrozumieć nie może, czemu raz teleologowie kładą nacisk na cechy podobieństwa między naturą a sztuką ludzką, drugi raz przeciwnie wytykają różnice; gniewa się szczególnie na porównywanie dzieł natury z maszynami, i w tem Janet'owi ciągłe sprzeczności zarzuca. Ale to wszystko świadczy, że p. M. nie zdał sobie dobrze sprawy z kwestyi — może nie przeczytał Janeta uważnie. Analogia, o której mowa, jest głęboka, zależy nie na podobieństwie form, ale na identyczności procederu natury i człowieka: tu i tam zbieżność wielu rozmaitych warunków uzupełniających możliwość pewnego racyonalnego skutku; tu i tam dodatki służące do ochrony organu, do zapobieżenia wypadkom; tu i tam przygotowywanie organów i materyałów do funkcyj, które dopiero w przyszłości wejdą w życie, lub w innym osobniku i t. d. Ztąd zdarza się w pewnych razach podobieństwo form, jak między okiem a narzędziem optycznem; w innych zaś razach niema żadnego podobieństwa w formie, tylko w stosunku między warunkami a skutkiem: jak to pokazałem w porównaniu jelit zwierzęcia, z doniczką w której sadzimy rośliny do przenoszenia przeznaczone i w tylu innych przykładach.

I na tem nie poprzestając, pokazałem, że ta sama analogia ciągnie się nieprzerwanym łańcuchem przez całą przyrodę, począwszy od faktów celowości absolutnie pewnych. Że drudzy ludzie tak samo myślą i celowo działają jak my, o tem zupełnie pewni jesteśmy, a jednak wiemy to tylko z analogii objawów. Otóż ta sama analogia, jak wykazałem, każe nam wnosić, że zwierzęta w czynach własnej zmyślności działają także celowo — i dalej, że celowo działa instynkt — i równie celowo działa funkcya organiczna, która organizm utrzymuje i kształci — i w końcu nie mniej celowo świat mineralny dostarcza organicznemu warunków życia. Wszystko się tu trzyma i wiąże w realnej i logicznej jedności. Spodziewałem

się że p. M. weźmie ten dowód za bary, że wykaże gdzie w tym łańcuchu jest przerwa, gdzie i dla czego nagle odwraca się w nim porządek przyczynowości. Ale autor to właśnie pomija milczeniem. A gdy następnie wnoszę przeciwko materyalistom, że zaprzeczywszy celowości w funkcyi organicznej, powinniby logicznie, przecząc wciąż tej analogii, dojść aż do zaprzeczenia celowości w czynach świadomych zwierzęcia i człowieka — p. M. pyta z oburzeniem: „Dla „czegoż materyaliści mieliby być l o g i c z n i e zmuszeni do zaprze„czenia celowości w postępowaniu człowieka i zwierząt — kiedy „ta celowość jest faktem? Zawsze mamy do czynienia z tym nie„ubłaganym racyonalizmem, który wyobraża sobie, że logika może „fakt obalić!“ — Nie powiedziałem przecież, że logika ma obalić fakt, ale że fakt obala logikę materyalistów. Hipoteza ich, że organizmy i funkcye organiczne są niecelowe, prowadzi logicznie do wniosku, któremu fakt kłam zadaje — a więc fakt zaprzecza ich hipotezie [1].

[1] P. M. nie może także sobie dać rady z pojęciem m e c h a n i z m u. Janetowi zarzuca, że raz zestawia organizm naturalny z mechanizmem, drugi raz przeciwstawia, gdy przyczynowość bezcelową nazywa *pur mécanisme, mécanisme aveugle*. Nareszcie i na Spencera powstaje, zarzucając mu także „złudzenie“, iż za cechę organizmu podał „koordynacyę wnętrzną i przystosowywanie się do zewnętrza“. Zdaniem pana M. to wszystko i w bryle nieorganicznej się znajduje. „Bolid spadający, mówi on, nie tylko ma pewną ko„ordynacyę cząstek, dzięki której przedstawia ciało określonych kształtów „i konstytucyi chemicznej, lecz nadto, przebiegając różne warstwy atmosfery, „przystosowuje się w każdym momencie do warunków temperatury etc.“ (str. 107—109). — W tych wszystkich zarzutach brakuje cokolwiek koordynacyi wewnętrznej pojęć. Przez działanie mechaniczne rozumiemy to, które na samem udzielaniu się ruchu zależy; gdyby więc świat był tylko masą atomów w ruchu, bez żadnej kierowniczej myśli, byłby to „czysty i ślepy mechanizm“. Mechanizm atoli zorganizowany przez myśl ku pewnemu celowi, jak maszyna przez człowieka zrobiona, podobny jest do organizmu naturalnego pod tym względem, że tak jeden jak drugi jest: zbieżnią części rozmaitych (organów) zastosowanych do zadania całości. Spencer ten układ części czyli organów nazywa koordynacyą wewnętrzną — i słusznie: bo w nieorganicznych jest tylko wielość części jednorodnych czy różnorodnych, niema zaś tej jedności idealnej składu, tej „koordynacyi“, na którą p. M. uwagi zwrócić czy nie chce czy nie może. Dodaje Spencer jako drugie znamię organizmów „zastosowywanie się do zewnętrza“, przez co on rozumie, nie uleganie aktualnym wpływom zewnętrznych warunków (co i ciałom nieorganicznym jest wspólne) ale dostrajanie się ciągłe do warunków p r z y s z ł y c h; w czem wybornie określa Spen-

Drugi dowód, czyli drugi szereg dowodów celowości natury, zależy na charakterach racyonalności, które się w działaniu natury objawiają. Z tem pojęciem „racyonalności“ zgoła sobie p. M. rady dać nie umie; gubi się w definicyach i dialektycznych wycieczkach, zbiera przykłady błędów popełnionych, nie przez badanie celów natury, ale przez narzucanie jej dowolne własnych myśli. Nie może zaś jakoś trafić na ten prosty pomysł, żeby za znamię racyonalności w działaniu natury uważać t o s a m o, co wszyscy uznajemy za znamię racyonalności w działaniu jakiegoś człowieka, wedle czego sądzimy, czy rozumnie czy nierozumnie postępuje[1]. „Sama tylko „racyonalność, mówi p. M., nigdy nie może być uznaną za rękoj-„mię dostateczną prawdy naukowej“ — i przytacza długi tekst Kanta na poparcie tej oczywistej prawdy, że sama racyonalność jest tylko formalnym warunkiem prawdziwości w i e d z y, a że oprócz tego trzeba jeszcze treści, czyli materyału należycie sprawdzonego. Zgoda najzupełniejsza — ale cóż to ma do rzeczy? Przecież tu nie o wiedzy kwestya, panie M., ale o działaniu natury! Logiczne rozumowanie może być bez treści prawdziwej, ale logiczne postępowanie nie może być bez rozumu. Jeżeli więc natura postępuje w swoich tworach logicznie i racyonalnie, to stoi fakt, że jest w niej lub ponad nią pierwiastek myślny.

P. M. i przeciw tej racyonalności postępowania natury polemizuje, ale przez to w drugą jeszcze nielogiczność wpada. W zasadzie potępia on przeciwników celowości, którzy wyszukują przypadki dysteleologii; słuszną robi uwagę, że wytykanie tych wyjątków jest *implicite* przyznaniem, że w innych razach panuje celowość. W praktyce jednak p. M. wpada w sprzeczność z tą zasadą, i za

---

cer znamię żywotnego organizmu i zadanie, któremu wszystkie części służą. Dziwić się wypada że p. M., który tak często Spencera cytuje, tego wszystkiego nie spostrzegł czy nie wyczytał, jakkolwiek to Spencer bardzo wyraźnie mówi.

[1] P. M. powtarza kilka razy za Büchnerem, że zgodność natury z prawami myśli tłumaczy się tem, iż te ostatnie są tylko pewnem odbiciem pierwszych. Nic jednak nie odpowiada na dowody, jakie dałem w rozdz. III, że tak być nie może, ponieważ myśl nasza naturę sądzi, w jednych wypadkach jej biegu uznaje celowość, w drugich zaprzecza, a sąd ten opiera się na pewnikach bezwzględnych, podczas gdy w prawach natury tylko względną znajdujemy konieczność.

wszystkimi antiteleologami powtarza te same oklepane zarzuty: — rośliny nie mogą być w ogóle przeznaczone dla zwierząt, bo są rośliny co się żywią owadami — skrzydła ptasie nie są celowo do lotu zrobione, bo są ptaki, które latać nie mogą — (zawsze wnioski z szczegółu przeciwko ogółowi: jak gdyby sztylet nie był celowo zrobiony do przebijania, dlatego że pewne sztylety są tylko do przecinania papieru). Obwinia też p. M. naturę, że mnóstwo zarodków marnuje, powtarza skargi na okrucieństwo walki o życie między stworzeniami, i wpadając w ton patetyczno-rzewny, kreśli dytyramb *à la* Schoppenhauer: „Czemuż ten wszechmocny rozum najwyższy — „że się odwołamy do „racyi" teleologów — czemuż nie urządził „tak jakoś, aby duch ludzki, o który ostatecznie ma przecież cho- „dzić, znalazł sobie inny jakikolwiek pokarm, mniej krwawy (niż „żywienie się zwierzętami), mniej jękami cierpień zaprawny, aby „uniknął tych jatek w imię moralności, ale kosztem krwi tylu istot „które o moralności nic nie wiedzą i wiedzieć nie mają, których „agonii nie osładza nawet myśl o ofierze, poniesionej dla jakiegoś „ideału wzniosłego" [1]!

Ależ ta cała „tragikomedia" (by użyć słowa pana M.) jest już zużytym tematem — odpowiedzi na nią znajdują się nie tylko w mojej książce, ale w dziełach zawołanych przyrodników, jak prof. Coutance *La lutte pour la vie;* a nie widać śladu, żeby p. M. te odpowiedzi był zwalczył. Radzibyśmy przecież coś nowego słyszeć. — Otóż p. M. ma jeden nowy i prawdziwie oryginalny dowód nieracyonalności natury. Powiedziałem w mej książce, że świadomość jest najwyższym celem wsobnym życia zwierzęcego. Na to p. M. dowodzi z Helmholza, że „tylko $^1/_5$ całej energii, wytwarzającej się w ciele ludzkiem przez utlenianie się pokarmu, zużywa się na pracę zewnętrzną (chodzenia, dźwigania etc.), a pozostałe $^4/_5$ energii niezbędne są dla wytworzenia ogromnej ilości pracy wewnętrznej, dla

[1] *Teorya celowości* str. 160. Ostatnie zdanie jest odwróceniem pięknych słów prof. Coutance'a, które przytoczyłem w swojej książce. „Jedna tylko istota „wie o czekającej ją śmierci, ale też ona jedna ma w duszy zapewnienie drugiego życia". Czytelnik osądzi po której stronie jest myśl i prawda, a po której pusty frazes. Dodaję uwagę na zaspokojenie pana M., że jeśli te „krwawe jatki" wydają mu się tak oburzające, to Stwórca nie broni mu bynajmniej pościć od mięsa.

podtrzymywania organizmu potrzebnej, jak np. na ruchy serca, płuc, na utrzymanie pewnej normy ciepła zwierzęcego i t. d.“ (str. 64). Stąd wnosi on odrazu, że ilość pracy użytej bezpośrednio na świadomość, jest „nieskończenie małą“ w stosunku do tej, która służy do utrzymania organizmu. A zatem oczywiście organizm ludzki jest najgorzej zbudowaną maszyną, w przypuszczeniu że świadomość jest jego celem.

Ale tu znowu potyka się p. M. w logice, i może nawet w fizyologii. Maszyny parowe najlepiej zbudowane wydają tylko, w kształcie pracy pożytecznej, 8 do 10% mechanicznego równoważnika ciepła wytwarzanego w kotłach; cała reszta traci się w tarciach, ciśnieniach na punkta oparcia, w rozgrzaniu maszyny i promienieniu ciepłem; więc zużywa się nietylko bezcelowo, ale na szkodę samej maszyny. Organizm ludzki najprzód wytwarza stosunkowo dwa razy więcej pracy zewnętrznej; więc już „zawstydza parowe maszyny“ (jak mówi Armstrong, przytoczony przez p. M.) Z tej pracy zewnętrznej spora część odnosi się najwidoczniej do świadomości (idziemy np. aby coś widzieć, mówimy aby się o czemś wywiedzieć i t. p.); reszta energii, która się używa na wewnątrz, nie traci się, jak w maszynach, ale służy także do świadomości pośrednio, przez to samo, że wzmaga i odżywia narządy świadomości, jakoteż i inne organa, które się do utrzymania tychże celowo odnoszą — co w swojem miejscu pokazałem. Wreszcie, jaka ilość energii zużywa się bezpośrednio w funkcyach świadomości, tego wcale nie wiemy. Obliczamy, że $^4/_5$ całej energii obraca się na pracę wewnętrzną, ale jak wiele tej ostatniej służy bezpośrednio w świadomości, na to dotąd żadnego sposobu obliczenia fizyologia nie posiada; sposób zaś, jakim p. M. dowodzi, że to musi być „nieskończenie mały“ procent, nie da się naukowo usprawiedliwić.

Lecz dajmy na to, że ten procent pracy bezpośrednio na świadomość użyty, jest istotnie niezmiernie mały — cóż stąd logicznie wypada na korzyść pana M.? Przecież jeśli świadomość jest celem, to jest celem jako świadomość podmiotu, a nie jako pewna ilość pracy mechanicznej (choćbyśmy nawet przypuścili, że to są tylko dwie strony jednego procederu). Otóż świadomość jako taka, jak się objawia subjektywnie, jest celem, ma wartość wyższego rzędu, w obec której największa ilość mechanicznego ruchu jest niczem,

i może być dla niej środkiem podrzędnym. Pozwolę sobie użyć przykładu. Przypuszczam, że p. M. odbywa podróż do Włoch, celem oglądania dzieł artystycznych. Któżby zganił taki zamiar? Tymczasem czyż nie widoczna jest nieproporcya między ogromną ilością pracy mechanicznej, jaka się w ogóle zużyje na podróż pana M. z Petersburga do Włoch, a tą odrobiną pracy, jaka się ziści w samem patrzeniu i używaniu psychicznem pana M. w obec arcydzieł sztuki? — a jednak nikt nie zaprzeczy, że p. M. może racyonalnie wziąść to używanie za cel, a ową ogromną ilość pracy mechanicznej za środek do tego celu. Niechże więc nie oskarża natury o nieracyonalność, kiedy ona to samo czyni, i niech nie ocenia ważności jej celów podług równoważników użytego cieplika.

Ale możem skrzywdził pana M., mówiąc, że tylko ten jeden ma argument oryginalny przeciwko racyonalności. Pod końcem książki jest i drugi, który, przynajmniej co do sposobu wnioskowania, wydaje mi się zupełnie nowy i własny. Argument jest taki: celowa hierarchia przyrody doprowadza nas do człowieka, jako szczytu i celu natury; tymczasem człowiek pożera człowieka, „ludożerstwo na pewnem szczeblu cywilizacyi jest normą, jest pospolitem zjawiskiem wszystkich epok i plemion"; więc — cóż za wniosek? — chyba to, że nieracyonalnem by było, gdyby człowiek był celem natury. P. M. wzmacnia jeszcze siłę swego dowodu, dodając drastyczne opisy przygotowań i uczt kannibalskich w Brazylii i u niektórych plemion afrykańskich. Recenzent *Przeglądu kat.* odpowiedział na to, zaprzeczając faktowi — i bardzo słusznie: kannibalizm jest i był zawsze (o ile źródła historyczne wnosić pozwalają) zjawiskiem wyjątkowem; norma, o jakiej mówi autor, jest fikcyą niedowiedzioną, nieprzyjętą przez naukę, jakkolwiek skłonną dzisiaj do upośledzenia pierwotnego stanu człowieka. Ale ja, pomijając fakt, stawiam sobie pytanie: cóż za wniosek z tego faktu wypływa przeciwko celowości? jaka jest logika w rezonowaniu pana M.? Gdyby on na podstawie tej normy ludożerstwa przypuszczał, że człowiek jest stworzeniem niższego rzędu od wielu innych zwierząt, w takim razie logicznieby wnosił z tego assumptu, że stawianie człowieka za cel innych istot jest nieracyonalnem. Ale nie sądzę, żeby p. M. był tak radykalnym pitekofilem. Jeżeli zaś człowiek, mimo przypuszczonej „normy ludożerstwa", jest zawsze

najwyższym tworem przyrody, to cóż stąd za wniosek przeciwko celowemu stosunkowi natury do człowieka? Teleolog, któryby przypuścił, że ludzkość postępowała ewolucyjnie od powszechnej dzikości do cywilizacyi, powie oczywiście, że ów pierwotny stan celowo zmierzał do stanu oświaty, tak samo jak życie embryonalne organizmu zmierza celowo do stanu dorosłego. Jeżeli więc ludzkość w przypuszczonej fazie dzikości zdaje się panu M. niegodną być celem natury i Stwórcy, to niech zwróci oczy na dzisiejszą oświatę, albo jeszcze lepiej, na ten złoty wiek, który Spencer prorokuje dla przyszłości!

Byłoby wiele jeszcze do powiedzenia o zarzutach p. M. przeciwko racyonalności natury; ale już przejdźmy do trzeciego walnego dowodu celowości natury, który opiera się na „zasadzie racyi dostatecznej“ i jest głównym filozoficznym argumentem w tej kwestyi. Sformułowałem go w swojej książce w ten sposób: Gdziekolwiek z mnogich i różnorodnych czynników składa się idealna jedność — zależąca na stosowności narządów do funkcyj, a funkcye do jednego czynu całości — to jedność ta musi mieć swą racyę w odpowiedniej przyczynie; taką zaś przyczyną może być tylko istota rozumna, która zamierza końcowy rezultat jako cel, i warunki w stosunku do niego składa: bo oczywiście idealna jedność tylko rozumem pojętą być może. Otóż w naturze znajdujemy tę idealną jedność już w każdej komórce, w nierównie zaś wyższy sposób w każdym rozwiniętym organizmie, a najbardziej w całości przyrody, jako jednym wielkim systemie różnorodnych czynników stosownie do wspólnej akcyi złożonych.

Na ten dowód i wszystko co się z nim wiąże nigdzie P. M. wprost nie odpowiada; usiłuje on jednak odpowiedzieć ubocznie, walcząc z pojęciem przypadku. Wy teleologowie, mówi on innemi słowy, chcecie, żeby każda zbieżność warunków była albo celową albo przypadkową; tymczasem ona nie jest ani taką, ale jest wynikiem koniecznej przyczynowości. Na dowód czego p. M. rozpisuje się przez cały rozdział o przypadku, zarzucając mi, że nie określam tego pojęcia, że w użyciu go wpadam w sprzeczności, i wciąż dowodząc, że przypadek nie istnieje, ponieważ wszystko ma swoją przyczynę.

Każdy widzi, że to rozumowanie szwankuje w głównym punk-

cie: aby coś znaczyło przeciw celowości, trzebaby wykazać, że konieczna przyczynowość wyklucza nie tylko przypadek, ale też celowość. Tymczasem autor tej drugiej strony wcale nie dowodzi; owszem w kilku miejscach przyznaje, jak widzieliśmy, że teorya celowa nie wyklucza przyczynowości. Ale stąd już wynika, że cała rozprawa autora o pojęciu przypadku chybia celu. Jestto fałszywy atak. I nie zastanawiałbym się nad tem dłużej, gdyby nie to, że p. M. zażądał odemnie definicyi — do czego w filozoficznej dyskussyi ma się zawsze prawo.

Pojęcie tedy przypadku jest, tak samo jak pojęcia celowości, przyczynowości i t. p., pochodzenia subjektywnego. Przez przypadek rozumiemy, w sferze czynności ludzkich, fakt lub zbieg faktów n i e z a m i e r z o n y: „przypadkiem stłukłem lampę — przypadkiem spotkaliśmy się na ulicy". Nie wykluczamy oczywiście z przypadku przyczyn sprawczych, bo wiemy, że tych nigdy brakować nie może, ale wykluczamy tylko przyczynę celową. Przenosząc następnie to samo pojęcie do natury przedsobnej, uważamy za nieprzypadkowy każdy fakt lub zbieg faktów będący wyrazem prawa a więc i zamiaru natury, każde bowiem prawo natury uważamy za „umyślne"; — przypadkami zaś nazywamy zajścia, zbieżności faktów, z których każdy ma oczywiście swoje przyczyny sprawcze, ale których spotkanie się nie jest, lub zdaje nam się nie być wyrazem prawa ani zamiaru natury. Gdy wilk goni owcę, to nie jest przypadek, ale gdy w tym biegu za owcą rozdeptuje po drodze ślimaka, to ostatnie jest przypadkiem, bo nie ma nic w naturze wilka, coby go do zgniatania ślimaka determinowało. „Można dowieść, mówi p. M., niezależności jakiegoś zjawiska od czego innego" — więc już tem samem można dowieść istnienia przypadku, (jakkolwiek skądinąd „każde zjawisko związane jest z całością świata"). Rozumie się że, jak pojęcie natury i prawa natury bierze się w ciaśniejszem i szerszem znaczeniu, tak samo i pojęcie przypadku może być wzięte ciaśniej lub szerzej, zawsze w znaczeniu względnem. Coś, co jest przypadkiem względem jednostki, może być prawem względem całości przyrody. A wreszcie względem Boga nic nie jest przypadkiem, bo wszystkie zajścia, kollizye, skrzyżowania się wypadków, począwszy od losów człowieka, aż do najmniejszej ptaszyny, która „nie spada z dachu bez Ojca, który jest

w niebiesiech", i aż do atomu, który drga w fali światła, — wszystko jest odwiecznie obmyślane — jedno wprost chciane, drugie dopuszczone, jako nieuchronne następstwo rzeczy dla innych powodów zamierzonych, ale wszystko w najwyższym planie. Arcymistrza objęte.

Tych kilka słów wystarcza, jak sądzę, na odparcie wszystkich zarzutów nielogiczności i sprzeczności, jakiemi p. M. na tym punkcie Janeta, mnie i innych teleologów obrzuca. Przypadek nie jest „zupełną negacyą przyczyny", jak twierdzi p. M., ale tylko względną do danego faktu negacyą celowości. Przypadek, suponując przyczynowość sprawczą, wyklucza w jakimś zakresie zamiar i cel. Jeżeli się w ogóle uchyla z całej natury celowość, jak to czyni p. M., przez to nie znosi się wcale przypadku, ale przeciwnie to, co przypadkiem nazywamy, staje się wówczas osnową całej natury — prawa natury, jakkolwiek konieczne, tracąc swój charakter racyonalności, są już tylko szeregami przypadków — i cały świat staje się jednym wielkim przypadkiem bez racyi bytu. Dlatego to wszyscy myśliciele, którzy próbują wytłumaczyć świat bez rozumu, od Epikura aż do Darwina i Spencera, wpadają fatalnie w teoryę przypadku, i nawet mimowoli wciąż to słowo na ustach mają. Doskonale powiedział im Paweł Janet, że „przypadek jest ich bogiem" [1].

Czy na tem koniec dowodów celowości? Wcale nie. Przecież pokazałem, że natura nietylko racyonalnie ustraja środki do obecnych potrzeb, ale że pracuje ustawicznie dla przyszłości; pokazałem to, nie wywodami metafizycznemi, ale mnóstwem faktów, coby uwagę p. M. powinno było zwrócić. Prowadziłem czytelnika po wszystkich szczeblach przyrody, od tej skorupy ziemi, która krociami wieków naprzód wygotowywała warunki życia, aż do poszczególnych gatunków roślin i zwierząt; pokazywałem wszędzie pracę dla bliższej lub dalszej przyszłości: jak w zarodkach kształcą się organa, które dopiero po wyjściu na świat będą żyjątku użyteczne — jak na jednej roślinie tworzy się misterny słupek, na drugiej pręcik, i cze-

[1] Wiele innych jeszcze zarzutów poruszył p. M. o przypadku, bronił klasycznego twierdzenia Epikurejczyków, że druga Iliada mogłaby być wypadkiem szczęśliwego rzutu czcionków i t. p. Ale ponieważ to niekoniecznie do rzeczy należy, a dłuższej wymagałoby rozprawy, w tej i tak już długiej recenzyi pominąć to musiałem.

kają aż wiatr przeniesie stąd tam zapładniający pyłek — jak owady opatrują w żywność komórki, gdzie jajeczka swoje złożą, chociaż o potrzebach swego potomstwa nic nie wiedzą i wcale tego potomstwa widzieć nie będą — jak ptaki wiją gniazdka — jak inne zwierzęta kotne włosiem lub liściem wyścielają swe nory... Nie jest że to wszystko razem najwyraźniejszym świadectwem samej natury, że dla przyszłości działa, że więc jest prawdziwie celową? Cóż na to p. M.? jakżeż zwalcza ten głos faktów. P. M. — pisząc całą książkę przeciwko celowości — ani słowem o tem wszystkiem nie wspomina, ignoruje ten nieskończony szereg faktów, gdzie praca dla przyszłości jest jak na dłoni widoczna. Dziwne zapomnienie — czy także bezcelowe?

Nakoniec spodziewałem się choć słówka od p. M. o stosunku, jaki zakreśliłem między celowością a Darwinizmem i doktryną ewolucyi. Przecież jestto punkt kardynalny dla tezy pana M. Z jednej strony widocznem jest, że w dzisiejszym stanie nauki, ewolucyonizm jest jedyną deską ratunkową dla przeciwników celowości. Häckel w niebogłosy woła na nich, żeby się z zamkniętemi oczyma zaciągali w szeregi Darwina, „bo inaczej niepodobna uniknąć kreacyanizmu“ (tj. teoryi stworzenia). Otóż pokazałem, że teorya ewolucyi (przypuściwszy nawet jej prawdziwość) w gruncie rzeczy nie obchodzi się wcale bez celowości; tłumaczy ona rozwój gatunków, bez interwencyi przyczyny rozumnej, ale za pomocą czynników i praw natury, które same najwyraźniej piętno celowości noszą i same dowodzą, że pierwiastek celowości w świecie panuje. Takiemi są prawa: „że potrzeby stwarzają organa“ — „że organizmy adaptują się do środowiska“ (tj. do walczenia z przeszkodami środowiska) — że istoty żyjące rodzą sobie podobne — że organa więcej używane potęgują się (zamiast się niszczyć), a nieużywane zanikają — że istnieje także „równowaga rośnięcia“, „koordynacya wewnętrzna“, „korespondencya do zewnętrza“, tj. przystosowywanie się do obecnych niekorzystnych i do przyszłych warunków. Wykazałem, że na tych celowych danych wszyscy przewódzcy teoryi ewolucyi, Lamark, Darwin i Spencer, budują. Stąd wynika oczywiście, że chcąc uciec od celowości, wpada się fatalnie w celowość. — Cóż na to p. M.? Znowu w całej książce nie znalazł na to miejsca, nie zwrócił na to uwagi. W kilku ustępach tylko karci bar-

dzo surowo i zgóry swoich sojuszników, nie wyjąwszy Spencera, iż wbrew swej teoryi używają ciągle wyrazów celowością nacechowanych. Wprawdzie już ten sam nałóg mowy, który przeciwnicy celowości jedni drugim zarzucają (bo to samo zarzuca Spencer Darwinowi, a Darwin Lamarkowi, a wszyscy w to samo wiecznie wpadają), już ten nałóg, mówię, jest dosyć znaczący:

Naturam furca expellas, tamen usque redibit.

Snać przeciw naturze rzeczy walczą. Ale nie o to właściwie chodzi; nie to wytknąłem przeciwnikom celowości, że słów teleologicznych używają, ale to, że budują swoje systemy anticelowe na faktach i na prawach natury najwyraźniej celowych, że tłumaczą swą ewolucyę za pomocą pewnych danych, o których wcale nie dowiedli, że się mogą bez celowości tłumaczyć. A na to wszystko, jak powiedziałem, p. M. milczy. — W gruncie mądrze robi.

III.

Taka jest strona krytyczna tezy pana M.; widzieliśmy jak zwalcza dowody za celowością; zobaczmy teraz stronę tetyczną: jak dowdzi, że celowości w naturze nie ma. Tego byłem oczywiście najciekawszy, i starannie szukałem w jego książce od deski do deski. Otóż dowody znalazłem następujące.

Najprzód za dowody w tym kierunku możnaby uważać wszystkie wypadki dysteleologii czyli niecelowości w naturze, które autor w swej rozprawie podnosi. Ale już po wielkiej części na te zarzuty odpowiedziałem, a nadto w ogóle w mej książce dowiodłem, że wszystkie objawy wrzekomej niecelowości nic nie znaczą, skoro w innych wypadkach stanowczo dowiedzione jest istnienie celowości, i skoro postęp nauki coraz więcej celowości w naturze odkrywa, a granice pozornej niecelowości ścieśnia. Autor śmieje się gdzieś z tego wyzyskiwania postępu nauki przez teleologów; mówi, że skoro porządek przyczynowy i celowy są odwracalne, to nic dziwnego, że każde nowe odkrycie w kierunku przyczyn, da się też wytłumaczyć w kierunku celów. Zarzut to jednak niesłuszny, bo nowsze badania wykrywają co chwila odpowiedniość i pożyteczność wielu rzeczy, ustrojów i praw, które poprzednio bezcelowemi albo i szkodliwemi

się wydawały. Wiele takich przykładów przytoczyłem w książce. A w końcu sam p. M., jak widzieliśmy, przyznaje, że na faktach dysteleologii opierać się nie może.

Dalej, za dowód swej tezy p. M. zdaje się uważać tę niepożyteczność i niepłodność teoryi teleologicznej, o której ciągle wspomina. Ale już na to dostał odprawę: choćby pogląd celowy nie przyczyniał się do postępu nauk przyrodniczych jako takich, jeszczeby to nie ujmowało jego prawdziwości, jako teoryi filozoficznej; faktycznie jednak pogląd celowy był i jest płodny, a przeciwnemu oskarżeniu historya nauki najwymowniej kłam zadaje.

Po trzecie, do dowodów przeciw celowości p. Mahrburg zdaje się zaliczać wszystkie błędy, w jakie popadli jej zwolennicy[1]. Ale cóż to za dowód? Gdybym zaczął wyliczać błędy i niedorzeczności, jakie popisali badacze przyczynowości sprawczej, nawet w naszym wieku, wypisałbym dłuższą i komiczniejszą litanię niż to, coby p. M. z teleologów potrafił wyciągnąć. A czyżby to było dowodem, że przyczynowość sama jest błędem i illuzyą? — Tłumaczenia celowe, tak samo jak przyczynowe, powinne iść, jak powiedzieliśmy, w ślad za obserwacyą — ile razy wybiegają naprzód, tyle razy, jedne jak drugie, narażają badacza na błąd; ogólny atoli pewnik celowości natury, tak samo jak pewnik przyczynowości, powinne tym badaniom obserwacyi i doświadczeń z góry przyświecać — i takie kierownictwo jest zawsze korzystnem.

Dotąd, jak widać, nie trafiliśmy jeszcze na rzetelny dowód u pana M. Czyż nie ma zgoła nic lepszego? — Otóż jest jeden główny dowód, kolubryna pana M. przeciwko celowości; i oto na czem zależy: Ażeby była celowość w naturze, musiałby być jakiś najwyższy umysł, któryby cele zamierzył i naturę do tych celów ustroił; ale taki najwyższy umysł być nie może; więc i celowości

[1] P. M. ma nawet czoło przytoczyć z św. Ambrożego drobny szczegół — że woszczek w uchu ludzkiem służy do przytrzymania głosu — jako dowód niedorzeczności, do jakich teleologia prowadzi. Gdyby p. M. był czytał tekst św. Ambrożego, byłby może spostrzegł, co świat naukowy powszechnie uznaje, że to dzieło *de Opere sex dierum* jest arcydziełem literackiem, i że osobliwie opis człowieka, okrom tego szczegółu, jest pełen głębokich i prawdziwych poglądów, i znakomitym jest okazem niepośledniego stopnia ówczesnej nauki. Takie dzieła na uszanowanie zasługują.

nie ma. Syllogizmu tego nie stawia p. M. tak nago; jest on jednak niezaprzeczenie treścią całego jego rozumowania. Formalnie ten wniosek jest doskonały; pierwsza przesłanka jest zupełnie prawdziwą, sam dowodziłem jej prawdziwości w osobnem rozdziale. Zostaje tylko pytanie, jak autor drugą przesłankę uzasadnia że umysł, któryby wytknął cele natury, jest niemożliwy? Już od pierwszych kartek swej książki p. M. występuje z twierdzeniem, że „wyobrażenie celu“ nie może istnieć poza mózgiem ludzkim lub zwierzęcym, bo — tak uczy doświadczenie. Lecz później w osobnym rozdziale reasumuje on tę kwestyę. „Rozum najwyższy“, wedle niego, jest kreacyą antropomorfizmu, bo jest tylko „superlatywem abstrakcyi rozumu ludzkiego“. Ale i ten antropomorfizm, mówi, jest wadliwie ukuty, bo przypisujemy Bogu różne niemożliwe warunki, do których nawet podstawy w rozumie ludzkim nie mamy. I tak: nasz rozum kształci się doświadczeniem, Boski musiałby mieć wszelką wiedzę z góry; nasz rozum poznaje rzeczy w czasie, Boski, będąc „poza kategoryą czasu“, widzi wszystko symultannie, przez co nie odróżnia tego co przedtem od tego co potem (sic!), a więc jest poniekąd w gorszem położeniu od rozumu ludzkiego. Nasz rozum wreszcie jest związany z mózgiem, „czynności psychiczne są nieodłączne od pewnych stanów systemu nerwowego“, cele tylko tam występują gdzie jest mózg“ — a Boskiemu rozumowi trzebaby przypisać byt „od warunków cielesnych niezależny“, czego „nauka“ w żaden sposób przyjąć nie może.

Dosyć przytoczyć te naiwności, aby przekonać czytelnika, że p. M. nie tylko do żadnej książki teologicznej nie zajrzał, ale ani porządnej filozofii o Bogu, ani nawet Teodicei Leibnitza nie przeczytał. Inaczej miałby o tem wyobrażenie, z jaką metodycznością, z jaką matematyczną ścisłością uzasadnia się najprzód pewnik, że Bóg posiada „pełnię bytu“, tj. czystej doskonałości; a potem analizuje się poszczególne pojęcia realności ze stworzeń wzięte, odłączając elementa ujemne, a czyste doskonałości, na mocy powyższego pewnika, Bogu przypisując, dyskutując i uchylając każdy pozor nieścisłości w wniosku lub sprzeczności w rezultacie. Zrozumiałby wtedy p. M., że Rozum najwyższy po chrześcijańsku pojęty jest o tyle, jeśli chcemy, antropomorficzny, że podobniejszy jest do rozumu ludzkiego, niż do instynktu zwierzęcego (jak absolut nie-

których panteistów), lub do ślepego mechanizmu materyalistów[1]. I cóż w tem dziwnego, że Stwórca najwięcej się odzwierciedla w najdoskonalszym ze swoich tworów? Wszelako to pojęcie Boga właściwym antropomorfizmem nie jest, bo nie jest naiwnem urobieniem sobie bóstwa na podobiznę człowieka, lecz rzetelnem poznaniem Boga, o ile on się daje z dzieł swoich poznać[2].

Ale należy się słówko odprawy każdemu z powyższych zarzutów pana M. Wiedza ludzka pochodzi z doświadczenia: — czyż stąd wynika, że w ogóle wiedza bez doświadczenia jest absolutnie niemożliwa? Jakim prawem? Kiedy p. M. pojęcie przyczynowości, które pierwotnie jest także subjektywne, przenosi do natury martwej, to oczyszcza je z przypadłości psychicznych, które się z niem wiążą w sferze subjektywnej, i tylko samo powodowanie zjawisk przedmiotom przypisuje. Otóż niech tak samo postępuje kiedy pojęcie wiedzy i innych przymiotów przenosi z człowieka do Boga, niech odróżni rzecz samą od warunków towarzyszących jej w subjekcie ludzkim a z Absolutem niezgodnych — a tak trafi do prawdy. Co się tyczy mniemania pana M., że chrześcijańskie pojęcie Boga, jako wiekuistej teraźniejszości „ruguje z umysłu Boskiego zdolność odróżniania rzeczy teraźniejszych od przeszłych i przyszłych“ — to już za wiele naiwności! Wytknął mu to już wybornie ks. Pawlicki; a jest to za łatwa sposobność do ośmieszenia przeciwnika, abym chciał ją wyzyskać.

Za to, niech mi powie przynajmniej p. Mahrburg, dla czego rozum istniejący bez mózgu uważa za niemożliwy? — Dla tego, że nauka doświadczalna tylko w mózgach wyobrażenia konstatuje; przypuścić jakieś inne, byłoby rzeczą nienaukową. — Ależ

---

[1] Powiedziałem gdzieś w mej książce, że wolę przedstawić sobie Boga w sposób antropomorficzny, aniżeli w sposób z o o m o r f i c z n y, jak czynią pewni panteiści. P. M. uchwycił za to słowo, i zarzuca mi, że przyjmuję antropomorfizm, to znów, że w innych miejscach go odrzucam. Przeczytanie spokojne kontekstu byłoby zapobiegło tym nieporozumieniom.

[2] Z teologiczną erudycyą pana M. nie mogę seryo polemizować. Niech przeczyta jak św. Augustyn filozofuje o Bogu, np. w *Soliloquium*, a wtedy zobaczy, jak on rozumie, że *Deus melius scitur nesciendo*. Co do *credo quia absurdum*, (co nie jest słowem żadnego Ojca Kościoła, tylko Tertuliana) niech p. M. przeczyta ostatni rozdział mojej *Filozofii i jej zadanie*, a znajdzie wyjaśnienie.

panie M., skądże takie pojęcie nauki, w najwyższym stopniu nienaukowe? To znaczy rozumować, jak ten chłop, co nie chciał uwierzyć kolei żelaznej, „bo nigdy nie widziano, żeby kto jechał bez koni“. Prawdziwa nauka nie przesądza z góry o niemożliwości tego czego nie skonstatowała; owszem często z faktów obserwowanych wnosi o istnieniu rzeczy, których bezpośrednio konstatować nie może. Jeżeli tedy fakta przedstawiają ślady jakichś pojęć celowych z żadnego mózgu niepochodzących, to nauka wnosić każe, że istnieją pojęcia bez mózgu. Przecież i atomy, które nauka przyjmuje, nie dają się obserwować ani nawet wyobrazić, ale tylko z faktów wywnioskować.

Nie chcę pana M. trudzić zdaniami metafizyków, ale przytaczam lekarza, jednego z pierwszorzędnych uczonych naszego czasu, którego świeżo wydane Pamiętniki przypadkiem przejrzałem. „To mi jest jasnem, pisze Pirogów, że pierwiastkowa siła i pierwiastkowe atomy nie mają i nie mogą mieć tych własności podlegających zmysłom, które obserwacya i nauka odkrywają w otaczającym nas wszechświecie. Ta siła i ta materya pierwiastkowa jest takiem samem oderwaniem, jak i światowa myśl i principium życia; lecz oderwanie to nie jest dowolnem ani przypadkowem. Umysł z konieczności i, że tak powiem, nieświadomie (chociaż to na sprzeczność wygląda) znajduje siebie i właściwe sobie dążenie do celu i plan poza sobą (w naturze). Taka jest umysłu właściwość; a właściwość tę posiada on właśnie dlatego, że ona istnieje i poza nim, w całym wszechświecie; innemi słowy, dlatego, że ten umysł jest tylko przejawem innego, wyższego, światowego Umysłu...“

Ale czy w istocie obserwacya przyrody nic nie wie o myśli bez mózgu? „W moich poglądach na świat, mówi dalej Pirogów, wspominam ciągle o światowym umyśle, o światowej myśli; ale gdzież jest światowy mózg? Myśl bez mózgu i bez słów! czy to nie absurd w ustach lekarza? Lecz pszczoła, mrówka myślą przecież bez mózgu, a całe królestwo zwierzęce czyż nie myśli bez słów? My ludzie myślą nazywamy tylko ludzką, mózgową, wyrazową i po ludzku świadomą myśl. Ale ta myśl jest w mojem przekonaniu tylko przejawem myśli powszechnej, wszędzie rozlanej, twórczej i wszystkiem rządzącej. I sam mózg i samo słowo, które uważamy

za organ i warunek myśli, są wytworami tej myśli wszechświatowej — a bezwątpienia nie przypadkowemi...“

Wskazawszy następnie jak nawet dla nauki empirycznej myślenie ludzkie tylko względną przedstawia zależność od zwojów mózgowych — „o tyle zależy od mózgu, o ile tenże jest organem słowa i wrażeń, które doń przynoszą rozmaite narządy, podczas gdy sam mózg, nie jest wcale siebie świadom“ — kończy nasz uczony uwagą o charakterze pewności swych wniosków poza empiryą:

„Te niby oderwania wydają mi się taksamo niewątpliwemi, jak moje własne istnienie; do nich zaliczam: celową odpowiedniość w świecie, ogólny plan stworzenia, światową myśl, siłę niezależną od materyi, materyę, która przy analizie rozumowej przemienia się w coś nieujętego dla zmysłów, tj. również w siłę, pierwiastek życia przenikający materyę, lecz niezawisły ani od niej ani od sił fizycznych, ale kierujący temi siłami celowo ku samoochronie materyi, podniesionej przezeń do bytu organizmów i osobników. Będąc o tem wszystkiem przekonany, czyż mogłem inne dzielić poglądy? Chociażby nauka kiedykolwiek dowiodła niewątpliwie, że wyższe zwierzęce typy, i że my sami rozwinęliśmy się pod wpływem zewnętrznych warunków z form niższych, a te znów z pierwotnej organicznej protoplazmy — mój pogląd jednak przez to się nie zmieni. Czy tak czy inaczej rozwinęło się życie zwierzęce na ziemi, zasada celowości w stworzeniu nic na tem nie traci, a obecność światowej myśli i pierwiastka życiowego we wszechświecie nie staje się przez to mniej pewną“ [1].

Argumenta tedy pana M. są ryczałtem jeszcze słabsze od jego krytyki — właściwie mówiąc, argumentów nie ma żadnych. Jakaż jest konkluzya? — Autor, kończąc swą książkę, zdaje się czuć że jakoś niepocześnie kończyć rezultatem czysto negatywnym, zaprzeczeniem celowości w przyrodzie; usiłuje więc na ostatniej kartce coś dodatniego z tej negacyi wyprowadzić. Zaprzeczyliśmy, mówi, celowości ale przez to postawiliśmy „determinizm teoretyczny“. Co za determinizm? Jeśli mowa o koniecznym determinizmie przyczyn

[1] Сочиненія Н. И. Пирогова. Томъ I. С. Петербургъ 1887.

materyalnych, o tym od dawna wiedzieliśmy; teorya celowości go nie wyklucza, jak panu M. wiadomo, a negacya celowości go nie stawia. (Postawili go właśnie zwolennicy celowości, jak Newton i Robert Mayer). Jeśli zaś autor rozciąga ten determinizm i do sfery wolnej woli, jeśli chce powiedzieć (jak najwyraźniej zdaje się mówić), że wola ludzka ulega koniecznie determinującym pobudkom — to po pierwsze p. M. wyprowadza ze swoich przesłanek co się w nich wcale a wcale nie zawiera, gdyż nawet w tę sferę (na swoje szczęście) w ciągu książki bynajmniej się nie wdawał; a po drugie, zamiast chcianego rezultatu dodatniego, przydaje on tylko drugi czysto negatywny, ba nawet destrukcyjny wynik, bo podkopujący podstawę moralnego porządku. Autor zdaje się to spostrzegać, kiedy w patosie zakończenia, stara się dodać czytelnikowi otuchy, mówiąc mu, że mimo determinizmu może on, jak ta kropla wody w przestworzu, przyczyniać się do ewolucyjnego postępu wszechświata. Ku większej jasności i szczerości, powinienby tu autor przypomnić czytelnikowi, że ta cała ewolucya jest bez celu, i że on sam, ujęty w jej wirze, nie ma więcej wolności ni odpowiedzialności jak ta kropla wody, ani innej przyszłości jak rozwianie się w parę.

IV.

Jeszcze słowo o sposobie jakim p. M. moją książkę o celowości traktuje. Zdajeć on z niej sprawę — prawie mojemi słowami — ale w jakim ładzie i składzie! obcina całe człony, pomija, jak widzieliśmy, główne argumenta, wyrywa zdania, które w tem oderwaniu żadnego sensu nie mają. Moja biedna książka na tem prokrustowem łożu wygląda prawdziwie, jak *monstrum informe ingens*... Oto np. okaz tej krytyki: „Przebiegając szereg wy-„wodów w książce „Celowość w naturze“, dowiadujemy się, że ce-„lowość nie jest ani „hypotezą“ ani „teoryą filozoficzną“. Czemże „więc ona jest? „Faktem dającym się bezpośrednio ze zjawisk wy-„prowadzić“ — „prawem metafizycznym“ — „dążnością natury“ — „atoli obok tego: „sądem pośrednio wysnuwanym przez anologię“ — „pojęciem“ — „pewnikiem absolutnym“ — „zasadą myśli“. Okre-

„śleń, jak widzimy, jest dość! ale jak je pogodzić ze sobą?..“ (str. 47). Nic łatwiejszego jak je pogodzić — dosyć kontekst tych słówek oderwanych przeczytać. Celowość w przedmiocie, tj. ustrój rzeczy dla celu zbudowanej, jest faktem; zbiór takich faktów w naturze istniejących przejawia dążność natury do celów. Celowość zaś w oderwaniu, czyli zasada, że: każdy racyonalny ustrój wymaga przyczyny celowo działającej — jest pewnikiem metafizycznym, tak samo jak pewniki przyczynowości i racyi dostatecznej. Rzecz prosta dalej, że ta sama celowość, która przedmiotowo jest faktem, podmiotowo jest pojęciem. Nie mówiłem nigdzie że ona jest sądem, ale tylko że sąd nasz, którym pojęcie celowości przypisujemy naturze, opiera się nie tylko na analogii, ale i na metafizycznej zasadzie przyczynowości. I z tego względu zasadę celowości w oderwaniu wziętą zaliczyłem do „absolutnych pewników, normujących wszelki byt i wszelkie myślenie“ — Ale jeśli celowość jest takim jasnym pewnikiem, pyta p. M., to czemuż jej dowodzić? Poprostu dlatego, iż co innego pewnik oderwany: że ustrój racyonalny[1] musi być celowy — a co innego kwestya faktu: czy takie ustroje w naturze istnieją; ta ostatnia rzecz, jakkolwiek także bardzo jasna, jednak uzasadnienia potrzebuje — a przynajmniej odparcia zaczepek.

Nic dziwnego, po powyższym przykładzie, że p. M. zarzuca mi „brak precyzyi filozoficznej“. Wytyka mi też gęste sprzeczności: jak co do antropomorfizmu i nie antropomorfizmu idei Boga, co do przypuszczenia w naturze przypadku i twierdzenia, że Bóg wszystkiem rządzi i t. p. Ale główne z tych wrzekomych sprzeczności już miałem sposobność w ciągu tej recenzyi wyświecić, a dla drobniejszych nie chcę już cierpliwości czytelnika nadużywać.

W jednem miejscu tylko zarzuca mi p. M. błąd faktu w zakresie nauk przyrodniczych. Powiedziałem, jak się aż do tych ostatnich czasów w botanice mówiło, że rośliny oddychają odwrotnym sposobem do oddychania zwierząt, że chłoną kwas węglowy a wydychają tlen, przez co powietrznię oczyszczają dla zwierząt. P. M.

[1] Ustrojem racyonalnym nazywam tu dla skrócenia, co wyżej określiłem: syntezę mnogich a rozmaitych czynników schodzących się harmonijnie do jednej wspólnej akcyi.

za to chwyta i mówi: Ot widzicie, do jakich błędów pogląd celowy prowadzi: dziś jest dowiedzionem, że rośliny tym samym procesem co zwierzęta oddychają. — Najprzód wiadomo, że dotychczasowe mniemanie nie wyrodziło się z teoryi celowości, ale z obserwacyi, może nie dość ścisłej. A po drugie, na nieszczęście pana M., to nowsze „odkrycie“ w niczem nie zmienia zastósowania celowego roślin do zwierząt, które ja na dawnem mniemaniu oparłem. Albowiem choć zaródź (protoplasma) roślinna te same odbywa wymiany z powietrznią, co zwierzęca, jednak chlorofil, substancya zielona ubierająca niemal całą roślinę pod powierzchnią liści i zielonych, łodyg, rozkłada pod wpływem światła kwas węglowy i uwalnia tlen; skąd wynika, że roślinność zielona, pokrywająca w strefach umiarkowanych niemal całą powierzchnię ziemi, wydziela faktycznie za dnia daleko więcej tlenu, niż go zużywa — i przeto służy zawsze, jak powiedziałem, ku odnowieniu atmosfery dla zwierząt.

Z szczególną żywością rzuca się p. M. na postawioną przezemnie hypotezę, o niezaludnieniu innych planet prócz ziemi; wyrzuca mi, że ją „wolę“ niż hypotezę przeciwną, nazywa ją „tezą“ — jakkolwiek ja wyraźnie powiedziałem, że to hypoteza, i że ją stawiam litylko by pokazać, że celowość gwiazd pojąć się daje niezależnie od nierozwiązalnej kwestyi: czy inne ciała niebieskie są zamieszkałe. O hypotezie przypuszczającej, iż są zamieszkałe, nie miałem wiele do powiedzenia, gdyż wtedy celowość nie przedstawia trudności; więcej musiałem się rozpisać o hypotezie przeciwnej, żeby i w takim razie możliwość celowości wskazać. Wystawiam sobie, jakby p. M. na mnie wpadł, gdybym był postąpił przeciwnie, i związał celowość z zagadką wielości światów. Teraz zwalcza on moją hypotezę kilkoma zarzutami, dowodzącymi, że zbyt pobieżnie ten rozdział przeczytał; ale co najkapitalniejsze, to że zarzuca mi seryo, iż ta hypoteza — sprzeciwia się dogmatom!

Na ostatek wyrzuca p. M. mojej książce zupełny brak oryginalności, i sądzi, ze w ogóle zwolennicy celowości tym brakiem się odznaczają. Już kiedyindziej miałem sposobność powiedzenia, że we filozofii zupełna oryginalność jest znamieniem zupełnie błędnego kierunku. Obrońcy celowości trzymają się stale tych samych zasadniczych pewników, bo tesame pewniki są wiecznie prawdziwe; ale przynoszą nowe fakta i nowe na nie odsłaniają poglądy, i w tem

jedynie trzeba ich oryginalności szukać. Paweł Janet napisał wielkie dzieło obejmujące tę kwestyę wszechstronnie — nic dziwnego, że pisząc po nim, zdaję się obracać poniekąd w jego ramach; nie byłbym jednak wziął za pióro, gdybym nie był sądził, że mam coś innego do powiedzenia. Janet nie daje ogólnego poglądu na całość celowości natury, zupełnie inaczej traktuje stosunek celowości do ewolucyonizmu, faktow ma stosunkowo mało, nie uznaje odnośni natury do człowieka i całą tę kwestyę pomija, wreszcie stosunek celowości do Boga bardzo obszernie, lecz nie dość ściśle omawia. Swoją drogą dzieło Janeta jest pomnikowem, i nie chcę do niego zbliżać mojej małej i skromnej pracy; myślę jednak, że obok niego zajmuje ona pożyteczny kącik w naszej literaturze filozoficznej. Nie do mnie wszakże sąd o tem należy.

Kończąc tę może zbyt długą recenzyę, stawiam sobie pytanie: dlaczego praca p Mahrburga o celowości nazywa się z wyszczególnieniem „ze stanowiska naukowego“? Recenzent, który ją oceniał w *Przeglądzie katolickim*, nazwał ten tytuł „pretensyonalnym“; za co się p. M. mocno obruszył, a przynajmniej takich użył wyrazów, z których można o obruszeniu wnosić[1]. Co do mnie, pozwalam panu M. sądzić, że jego książka jest naukową, a książki, które zwalcza, tak Janeta jak i moja, wcale naukowemi nie są; ale obchodzi mię pytanie: czemu w pewnych kołach jego książka uszła za naukową, w przeciwieństwie do mojej? Czy dlatego, że może stanowisko, jakiego broni p. M., jest powszechnie przyjętem przez ludzi nauki, a stanowisko, na którem ja stoję, jest powszechnie opuszczonem? Ale jak widzieliśmy, rzeczy zupełnie inaczej się mają: pierwszorzędni uczeni trzymali się zawsze i dziś się trzymają celowości. Czy dlatego może, że p. M. opiera się na faktach przyrodniczych, a ja tylko na abstrakcyach metafizycznych? Lecz i to nie; łatwo się przekonać, że w pracy pana M. jest faktów dziesięć razy mniej niż w mojej, a daleko więcej rezonowania;

[1] „*Kraj*“ Nr. 1 b. r. Przegląd literacki „Za i przeciw“.

w jednym zaś tylko fakcie spotkałem się z zarzutem błędu naukowego, i na to powyżej odpowiedziałem. Czy może dlatego p. M. uzyskał dla swego dzieła przywilej naukowości, że rozumuje tak ściśle, rozwija swe myśli tak metodycznie, iż zniewala umysły, a mojej książce tych zalet zupełnie brakuje? Ale, zostawiając innym sąd o mojej pracy, sądzę, że ktokolwiek przeczytał rozdział z książki pana M., ten przyzna, że właśnie brak metody i logiczności jest tam najbardziej rażący, czego iście dosyć widzieliśmy okazów. Czy w końcu dlatego dzieło pana M. ma być z wyszczególnieniem naukowem, że może do jakiegoś pozytywnego dochodzi rezultatu, jakieś „nowe zdobycze“ nauce przynosi? Ale i z tem zgodzić się niepodobna. P. M. powtarza dawne zarzuty przeciwko celowości, i kończy wnioskiem czysto negatywnym, a starym jak stary jest na świecie materyalizm — ja jeśli nie nową, to przynajmniej dodatnią konkluzyę stawiam.

Z jakiegoż więc tytułu dzieło i stanowisko p. M. uchodzą w pewnych sferach za tak osobliwie naukowe? — Poprostu dlatego, że p. M. zajął pozycyę przeczącą względem celowości, ja zaś miałem nieszczęście trafić do wniosku, że celowość istnieje; a są sfery, w których zgóry odsądza się od nauki, nietylko „hypotezę Stwórcy“, ale i fakta i wnioski wszelkie, któreby mogły do tejże hypotezy prowadzić. Magistralnie to wypowiedział Szujski:[1] „Trudnoby mi oznaczyć dokładnie początek zjawiska, które podnoszę, zjawiska specyalnego wykluczenia katolickiego stanowiska przez uczony świat wszelkich odcieni... Żaden inny odcień chrześcijaństwa nie doznał tego losu: znoszą się i tolerują książki i rozumowania silnie anglikanizmem, protestantyzmem, kalwinizmem lub prawosławiem przejęte, na samym katolicyzmie cięży nieubłagany anatemat rzekomej umiejętności. Książki katolickie przemilcza się w nauce, o ile się to da, a nawet kiedy się to nie da. Czynią to oczywiście wszystkie odszczepieńcze sekty, czyni t. zw. wolnodumstwo, czynią rzekomi naukowi katolicy, Francuzi, Włosi, Polacy. Dosyć w książce przyznać się do katolickiego na świat poglądu, aby między większością wykształconych ludzi, katolików z imienia, spotkać się z reprobatą ruszenia ramionami i milczenia.

[1] „Zarysy filozofii historyi: Systemy filozofii historyi“.

„Zapewne, jest to milczące uznanie wyższości katolicyzmu, uznanie go za wiarę, za stanowisko dogmatyczne κατ' ἐξοχήν. Ale bądź co bądź, jest to rzecz dla nauki samej niezmiernie szkodliwa, naruszająca jej najświętsze prawo — wolność; rzecz mszcząca się na nauce samej, bo raz postawiwszy sobie pewną rogatkę, odgranicza się ona od źródła natchnień i myśli filozoficznych, które zawsze najobfitszem płynęło korytem".

Ks. M. Morawski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Biblische Archäologie. Von *Dr. Peter Schegg.* Nach seinem Tode herausgegeben von *Dr. J. Wirthmüller.* II-te u. III-te Theil. Herder. Freiburg B. 1888.

W jednym z dawniejszych numerów *Przeglądu*[1], podaliśmy czytelnikom naszym sprawozdanie z pierwszej części niniejszego dzieła, które ukończone w 70 roku życia autora, dopiero po jego śmierci zostało wydanem. Druga i trzecia część *Archeologii Biblijnej,* zapoznaje nas z całą, rzec można, historyą wybranego ludu, niemniej jak z pojęciami późniejszych żydów, ich zwyczajami, obyczajami i prawodawstwem. Warto nieco bliżej z zajmującymi tymi tomami się zapoznać, zwłaszcza że autor, znając wybornie Talmud i tradycye rabinów przytacza wiele ciekawych i ważnych szczegółów, rzucających obfite światło na historyę i zwyczaje narodu Izraelskiego.

Pierwszą część dzieli autor na 11 rozdziałów. Rozpoczynając ogólnem poglądem na religię Mojżeszową, z kolei mówi o arce przymierza, o pierwszej i dwóch następnych świątyniach, synagodze, modlitwie, błogosławieństwach i ślubach, wreszcie o ofierze i ceremoniach kościelnych, osobach i czasach świętych, kończy artykułem o objawach bałwochwalstwa w narodzie wybranym. Wśród tego bogactwa treści zaledwie, rzecz prosta, na niektóre szczegóły możemy zwrócić uwagę czytelnika, aby go tak zachęcić do prze-

[1] *Przegląd powszechny.* Marzec 1887.

czytania całej tej bardzo interesującej książki. Tak pierwszy rozdział podaje ważne wyjaśnienia odnoszące się do rozwoju prawa zakonu. W miarę bowiem rozwoju życia społecznego i politycznego Izraela, musiało ustawodawstwo jego także rozwijać się i bliżej określać prawa raz już przez Mojżesza podane. Tak *Deuteronomium* uważać należy jako uzupełnienie i wyjaśnienie wpierw danych praw; poczem występują Lewici powołani do tłumaczenia i bliższego wyjaśnienia prawa w poszczególnych wypadkach, dając początek stałej tradycyi. Po powrocie z wygnania i odnowienia państwa, występuje *Esdrasz* jako nauczyciel i tłumacz *Pentateuchu*, nie ogranicza się wszakże na samym suchym wykładzie, lecz robi nadto swoje uwagi przekazując je potomności. Następcy jego w nauczaniu (Soferim) idą śladem nauczyciela, i w ten sposób tradycya dochowuje się aż do Szymona Sprawiedliwego. Szymon i jego następcy, *Tanaici*, zebrali razem w jedną całość wykład prawa przez poprzedników (Soferim) podany. W późniejszych czasach nauczyciele prawa usilnie starali się, ażeby poglądem Szymona i Tanaitów, które miały tylko powagę rabinów, nadać powagę biblijną. Nie zgadzali się jednak ze sobą, stąd po rozwiązaniu się Synedrium, potworzyły się szkoły najrozmaitsze, często sobie wprost przeciwne; kłótnie i spory w wykładzie prawa końca nie miały. Sami żydzi przyszli do przekonania, że koniecznie wśród tylu zdań sprzecznych należy ułożyć symbol wiary, stale wszystkich wyznawców religii Mojżeszowej obowiązujący. Myśl ta jednak nie wpierw została urzeczywistnioną, aż rabini żydowscy weszli w dysputy z Mahometanami i chrześcijanami. Pierwszy wykład systematyczny religii Starego Zakonu, pierwszą żydowską dogmatykę, napisał *Saadia Fajjumi* (umarł w r. 942 w Sora nad Eufratem) w języku arabskim, którą *Ibu Tabon* przełożył na język hebrajski. Dzieli on swe dzieło na dziesięć rozdziałów następującej treści: 1) świat ma początek; 2) Stwórca jest tylko jeden jedyny; 3) od Niego pochodzą obietnice i nauki; 4) o wierze, niewierze i boskiej sprawiedliwości; 5) o winie i zasłudze; 6) o duszy, śmierci i nieśmiertelności; 7) o zmartwychwstaniu; 8) o wybawieniu Izraela, o Messyaszu; 9) o przyszłej nadgrodzie i karze; 10) nauki moralności.

Wstępując w ślady *Saadia Fajjumi* napisał *Jehuda ha Levi* z Kastylii (r. 1140) dyalog *Cusari*, między królem Chasarów, po-

gańskim filozofem, chrześcijanínem , Mahometaninem i żydem. Ten ostatni odgrywa główną rolę w dyalogu tym po arabsku spisanym. *Moses Majmun* (Majmonides) urodzony w Kordowie (r. 1135 † 1204) rozwinął dogmatykę żydowską i podał ją w formie zrozumialszej. Są tam szczegóły piękne, wzniosłe a praktyczne. Tak np. mówi: „We wszystkich swych sprawach pamiętaj na Niego (Boga)"; w „Przypowieściach Ojców" *(Pirke Aboth)* nakazane jest wedle religii żydowskiej „wszystko czynić wedle woli Bożej". Prześliczną jest modlitwa grzesznika korzącego się przed Bogiem, wyznającego i oskarzającego się jakby na spowiedzi ze wszystkich grzechów, nawet myślą popełnionych, które Bóg widzi i karze surowo, lecz że miłosierny jest, może je przebaczyć żałującemu grzesznikowi.

Podawszy ogólny pogląd na religię Mojżeszową, przechodzi autor do opisu Arki Przymierza, zawierającej w sobie dwie tablice przykazań. Jej budowa, skład wewnętrzny, opis figur i sprzętów, ołtarz ofiarny, symboliczne znaczenie liczb pomiaru, poświęcenie Arki krzyżmem, wreszcie rodzaj tego krzyżma i sposób sporządzania go, są przedmiotem tego ustępu, opartego w części na Piśmie św., w części na Talmudzie i tradycyi rabinów.

Historya Arki Przymierza łączy się z historyą świątyni Jerozolimskiej, więc w dwóch następnych rozdziałach znajdujemy opis pierwszej, drugiej i trzeciej świątyni ze wszystkiemi urządzeniami wewnętrznemi i historyą budowy. W rozdziale V, bardzo interesującym, zwłaszcza dla badaczów pierwszej ery chrześcijańskiej omawia historyę synagog. Dopokąd lud wybrany pozostawał w swoich siedzibach, całe urządzenie państwowe najściślej pod jednym rządem, łączyło się z religią. W czasie niewoli Babilońskiej należało koniecznie dla ocalenia religii od wpływu rządu ją usunąć. Wygnańcy musieli postarać się o wykształcenie młodego pokolenia w prawach zakonu; musieli w tym celu liczne budować domy, które w pierwszym planie na szkoły przeznaczano. A jakkolwiek zbierano się tam czasem i na modlitwę, to jednak modlitwy te odprawiać można było na każdem miejscu, w jakimkolwiek czasie, i niekoniecznie w języku hebrajskim. Głównym celem zebrań w synagodze nie była wspólna modlitwa, lecz nauka; w synagogach uczyli się wygnańcy i uczyli innych praw zakonu, pokrzepiali się wzajemnie do wytrwałości przez czytanie ksiąg świętych. Później

nastał zwyczaj, że nietylko odczytywano pojedyncze ustępy Pisma św., lecz nadto Lewici tłumaczyli takowe zebranemu ludowi a Esdrasz zwyczaj ten przeniósł do odzyskanej ojczyzny i rozpowszechnił w całym Izraelu. Za czasów Chrystusa Pana nie tylko każde miasto, każda wioska posiadała swoją synagogę, ale nawet każda dzielnica miast większych, każda nawet narodowość osobną miała synagogę, co prawu Mojżeszowemu wcale się nie sprzeciwiało, bo jedna wprawdzie tylko świątynia miała być na składanie ofiar przeznaczona, ale bynajmniej nie w jednej tylko świątyni wolno było i należało wykładać naukę Bożą. Liczne synagogi nie mało dopomogły do szerzenia się chrześcijaństwa; w nich bowiem równie Chrystus P., jak później Apostołowie i uczniowie głosili „dobrą nowinę“ zgromadzonym żydom.

Synagoga, wedle tego co podaje *Mischnach*, była miejscem świętem, chroniono ją przed profanacyą, miała ona swych przełożonych i zarządców. Zakazanem było burzyć synagogi starej, zanimby się nowej nie wybudowało. Grunt, na którym dawniej znajdowała się synagoga, nie mógł służyć pod uprawę; ani drogi, ani ścieżki nie wolno było przezeń poprowadzić.

Na następnych kartkach spotykamy nie mniej interesujące szczegóły odnoszące się do modlitwy, błogosławieństw, klątw, ślubów, postu i jałmużny. Godnem uwagi jest to, że modlitwa publiczna i wspólna już u Izraelitów wyższe miejsce zajmowała niż modlitwa prywatna, chociaż w pewnych czasach i okolicznościach i prywatnie było obowiązkiem się modlić. Błogosławieństwa Bożego udzielali wiernym nie tylko kapłani, do czego nakazem Pańskim byli obowiązani, ale i każdy starszy młodszym błogosławił, a przedewszystkiem rodzice swym dzieciom. Jak ten zwyczaj był rozpowszechniony i jaką moc do błogosławieństwa przywiązywano, okazuje się już z faktu, o którym wspomina Marek św. (r. X w. 13 i 16) *i przynoszono Mu dziatki, aby się ich dotknął... i obłupiając je i kładąc na nie ręce błogosławił.* W przeciwstawieniu do błogosławieństwa stało złorzeczenie, którego skutek podobnie jak błogosławieństwa nie był i nie mógł być określony, bo zależał od woli Bożej.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje rozdział VII o ofierze. Bardzo oryginalnie, może nawet za śmiało tłumaczy autor (str. 491

i 497) znaczenie ofiary krwawej Starego Testamentu. Otóż w streszczeniu jego słowa: Pojednanie grzesznika z Bogiem dzieje się przez zwierzę ofiarne, a wylanie krwi jego jest środkiem błagalnym, *bo dusza ciała we krwi jest: a jam ją dał wam, abyście nią na ołtarzu oczyszczali za dusze wasze, a krew była na oczyszczenie dusz* (Lew. XVII, 11) tj. nie powinniście krwi pożywać, albowiem uczynił ją Bóg środkiem błagalnym za grzechy wasze; ten środek błagalny jakby podtrzymywał duszę, która w zwierzęciu ofiarnem błaga za ofiarującego człowieka. Stąd wywodzi autor, że nie tyle zabicie zwierzęcia, ile raczej wylanie krwi jego na ołtarzu, było punktem kulminacyjnym ofiary; nie zamierza przez to jednak dowodzić, jakoby inne części ofiary, były czemś drugorzędnem. Śmierć zwierzęcia jest tylko naturalnem następstwem wylania krwi, tak jak śmierć człowieka jest naturalnem następstwem grzechu duszy. Człowiek przez grzech zasłużył na karę śmierci wiecznej; aby jej uniknąć, Bóg dozwala mu za siebie złożyć ofiarę zwierzęcia; na nie składa wszystkie swe grzechy, ono ma przebłagać Boga i odpokutować śmiercią w zamian śmierci grzesznika. Lecz zwierzę ofiarne, na które złożono grzechy człowieka, potrzebuje oczyszczenia, aby śmierć jego ekspiacyjna miłą była Bogu, dlatego kapłan wylewa krew jego na ołtarz i ściany świątyni nią pomazuje, nie w tym celu, aby ołtarz i ściany świątyni krwią zwierzęcia ofiarnego uświęcić, lecz przeciwnie, ażeby uświęcić krew, symbol grzesznej duszy, przez zetknięcie się z miejscami świętemi. W ten sposób uświęcenie krwi i duszy przechodzi na całe zwierzę ofiarne i czyni je miłem w oczach Bożych, i miłą czyni ekspiacyę za grzechy przez śmierć zwierzęcia zabitego w miejsce grzesznika. Takie tłómaczenie autora; jedną tylko co do niego musimy zrobić uwagę, że twierdzenie (str. 497) jakoby krew zwierzęcia uświęcała się przez zetknięcie się z ołtarzem i świątynią, nie dość licuje z tem, co św. Paweł mówi w liście do Żydów (IX w. 19, 22) „wziąwszy krew cielców... lud... i *przybytek* i wszystko naczynie krwią także pokropił... wszystko we krwi wedle zakonu bywa *oczyszczone*“; lub w wierszu 13 i 14 tegoż rozdziału, gdzie porównywuje ofiarę Starego Zakonu z ofiarą Chrystusową [1].

[1] *Kard. Franzelin* De Verbo Incarnato Thes. XLIX pag. 529 (Ed. Ro-

Rozdział ten ze wszech miar interesujący, kończy się opisem wszystkich ofiar Starego Testamentu, ich ceremonii i znaczenia symbolicznego, co wszystko łączy się w harmonijną całość z następnym rozdziałem, w którym autor omawia inne jeszcze ceremonie kościelne, sakramenta Starego Zakonu, i ich stosunek do Sakramentów przez Chrystusa ustanowionych. Niejedno zapewne, jak np. stosunek i podobieństwo pokuty w Starym Zakonie do Sakramentu Pokuty w Nowym Zakonie, możnaby tu z dawnych pomników i tradycyi rabinów jaśniej i dokładniej okazać (Por. np. *Valentinus Casajoana* S. J. *De Sacram. Poenitentiae)*; ale autorowi chodziło widocznie o nieprzekroczenie z góry nakreślonych ram, a i tak dziwić się tylko można bogactwu materyi zamkniętej stosunkowo w nie zbyt obszernych granicach.

Wagę i znaczenie części III i to wcale nie dla samych tylko specyalistów wypowiada dostatecznie sam ogólny tytuł: „Ekonomia państwowa w narodzie wybranym", tytuły sześciu rozdziałów, z których część ta się składa: „prawo osobiste, rodzinne, służbowe, prawo zasadnicze państwa, sądownictwo, prawo wojenne".

Czytając uważnie te rozdziały, łatwo się przekonać, o ile prawo żydowskie wyżej stało od wszystkich tak wielce sławionych praw starożytności, zwłaszcza greckich i rzymskich; może nawet dostrzeże pewną wyższość nad niejednem z dzisiejszych, nawet europejskich prawodawstw narodów, które mienią się chrześcijańskimi. Dla umysłu wierzącego nic w tem niema i nie może być nadzwyczajnego. Skoro Izrael był narodem wybranym, fundamentem jego prawodawstwa było prawo Boże, zapisane więc w sercach każdego człowieka, jużto objawione Mojżeszowi a przezeń ludowi podane. Tak np. prawa określające stanowisko kobiety, stawiały ją tak wysoko, jak żadne inne prawo najcywilizowańszych narodów

---

mana 1881) wyjaśnia podany wyżej tekst (Lew. XVII, 11) temi słowy: „Ratio, cur vetitum est vesci sanguine animalium haec datur. In sanguine anima est, i. e. vita animalis sanguine continentur et sustentatur; ideo vult Deus, ut sanguinis effusione velut profusione animae h. e. destructione vitae fiat expiatio legalis pro anima hominis delinquentis, substituendo nimirum vitam animalis pro vita hominis profitentis se reum mortis. Substitutio illa symbolica typus erat et praemonstratio alterius realis substitutionis, qua Dei Filius factus homo se ipsum pro genere humano lapso substituit etc.

starożytności. Niewiasty Izraelskie brały nawet udział w ważnych wypadkach państwowych, sprawowały najwyższe godności. Tak Judyt, Ester, Debora wybawiły swój naród od ciężkich klęsk, ta ostatnia sprawowała nawet urząd sędziowski; Maacha i Atalia urząd królewski. A jakkolwiek prawem natury wykluczone były od godności kapłańskiej, to jednak brały pewien udział w uroczystościach kościelnych, grając na instrumentach muzycznych, a jak siostra Mojżesza Marya, jak Holda i Debora, Bóg wlewał w nie ducha proroczego.

Prawodawstwo żydowskie nakazywało wprawdzie zwrot gruntów tym rodzinom, w których posiadaniu były w czasie ostatniego roku jubileuszowego, a tem samem kładło tamę zubożeniu rodzin; pomimo tego jednak znajdowali się zawsze i znajdować się musieli biedni potrzebujący pomocy. Rząd i prawa Izraelskie szczególniejszą otaczały ich opieką. Tak np. właściciel ziemi obowiązany był przynajmniej $^1/_{60}$ część gruntu pozostawiać ubogim pod zasiew. Osobne prawa zapewniały ubogim pewną cząstkę przy zbiorze zboża, oliwy i wina. Z prawdziwym też wstydem czytamy i porównujemy z prawami niejednego z dzisiejszych państw, oświatą i cywilizacyą się chełpiących, przepisy odnoszące się do przychodniów, a w ogóle obcokrajowców. Z małymi koniecznymi wyjątkami wszyscy przybysze i obcokrajowcy innej religii mieli wspólne prawa z Żydami, równej opieki rządu doznawali, krzywda im wyrządzona tak samo jak i krajowca odszkodowaną być musiała.

Następnie obznajamia nas autor z zajęciami Żydów. Początkowo tylko uprawą roli i chowem bydła trudnili się, w późniejszych czasach, na wygnaniu wyuczyli się od Egipcyan rozmaitych rzemiosł, i tak je sobie przyswoili, że do dobrej edukacyi dziecka, chociażby pochodziło z klas wyższych i majętniejszych, należało znać jedno przynajmniej rzemiosło. Ciekawe także są wzmianki o zwyczajach ówczesnych, często bardzo do dzisiejszych zbliżonych. Młodzieniec widząc starszego wstawał i nisko się kłaniał; jeśli siedział na koniu, powinien był z niego zsiąść, byle pokłonu nie zaniedbać. Z gośćmi bawiono się wesoło, przyjmowano ich w oryginalny sposób; zewnętrzne objawy radości lub smutku w wielu szczegółach od dzisiejszych się nie różniły. Zaręczyny były w zasadzie nierozerwalne, mogły jednak być zerwane dla słusznych pra-

wem określonych przyczyn przez narzeczonego, w czem jednak równe prawo narzeczonej nie przysługiwało. Choć wedle zwyczaju żydowskiego, narzeczony dawał podarunki narzeczonej i jej rodzicom, nie było to jednak kupowaniem żony (*Ks. Rodzaju* r. XXIV w. 53 i r. XXXIV w. 12), w czem okazuje się wyższość tego prawa nadzwyczaj powszechny w starożytności kupowania sobie żon u rodziców. Dla „twardości serc“ mężów Izraela przysługiwało im prawo dawania żonie *libellum repudii*, które to prawo nie przysługiwało niewiastom. Mojżesz nie mogąc prawa tego zupełnie usunąć, ograniczył rozwody małżeńskie do pewnych ściśle określonych wypadków.

Wyższość prawa Starego Zakonu bardziej jeszcze okazuje się w prawach tyczących się służby. Domownicy dzielili się na rozmaite kategorye, i w miarę tego, do której należeli, większej lub mniejszej zażywali wolności; wszyscy jednak mieli pewne prawa osobiste, których przekroczenie ze strony chlebodawców surowej podlegało karze, nawet karze śmierci. Stan niewolniczy, podobnie jak u wszystkich innych narodów starożytności, istniał i w narodzie wybranym; Mojżesz nie mógł znieść niewoli u Żydów, ograniczył jednak prawami władzę właścicieli. Niewolnik był wprawdzie własnością pana, i w zupełności od niego zależał tak dalece, że żadnej nie mógł mieć swojej własności, jednak stosunek jego do pana był znośniejszym od tego, jaki zachodził u innych narodów. Tak np. Talmud rozróżnia w człowieku 24 części ciała, a uszkodzenie jednej z tych części dawało wolność niewolnikowi; uszkodzenie kilku części, pociągało za pierwszą ranę wolność niewolnika, a za każdą następną osobne wynadgrodzenie; za zabicie niewolnika z rozmysłem popełnione, wymierzaną była na zabójcę kara śmierci, tak samo jak za zabicie każdego innego Izraelity. (*Ks. Wyjścia* XXI w. 12; *Lew.* XXIV w. 17. XXI; *Liczb* XXXV).

W trzech ostatnich rozdziałach tej części mówi autor o prawach fundamentalnych państwa, sądownictwie i prawach wojennych, wykazując w dobitny sposób ich praktyczność i wielką roztropność. Świadectwo ludzi podejrzanych o niesprzyjanie obwinionemu nie miało wartości. Świadkowie, których wiarygodność nie ulegała wątpliwości, pierwsi musieli rzucić kamienie na skazanego zbrodniarza, poczem dopiero inni kamienie rzucali.

Szkoda, że za mało znajdujemy szczegółów tyczących się wychowania, nauki Sadduceuszów, Faryzeuszów, uczonych w piśmie, tak że z książki tej nie możemy sobie o nich wyrobić jasnego pojęcia.

Ks. Marcin Czerminski.

Z pism czasowych.

Duszpastyr (Душпастырь Газета церковна). Pod redakcyą Dr. Józefa Komarnickiego.

...„W obecnych czasach, kiedy każdy stan ma swoją gazetę fachową, nie trzeba i nam zostawać w tyle, lecz udoskonalać się przedewszystkiem w kierunku teologicznym, abyśmy mogli spełniać sumiennie i dobrze zadanie, jakie Kościół na nas włożył, a które, w teraźniejszych stosunkach staje się coraz trudniejszem. Żyjemy bowiem w czasach, gdzie trzeba nieraz z całą siłą i energią występować w obronie św. kat. Kościoła, gdzie trzeba zbijać błędne mniemania, i chronić niewinne serca przed szerzącą się coraz bardziej zarazą“...

Tak Duszpatyr określa swoje piękne zadanie w słowie wstępnem swego drugiego rocznika; i przyznać trzeba, że rzetelnie to zadanie spełnia. Owszem, skonstatować można, że w drugim roku swego istnienia znacznie się rozwinął bogacąc się w artykuły treści filozoficznej i naukowej, w recenzye i t. d.

Główną, oczywiście ozdobą ostatniego rocznika jest ten prześliczny list pasterski X. metrop. Sembratowicza o 900 letniej rocznicy Chrztu św. Włodzimierza, gdzie Arcypasterz, opierając się na pomnikach historycznych, Kościołowi katolickiemu windykuje pierwociny wiary na Rusi, i wobec świata wypowiada, że nie prawosławni, ale Unici Rusini, są dziedzicami wiary przez św. Włodzimierza przyjętej. List ten przetłumaczony został przez Włodzimierza Sołowiewa na język francuski, a „l' Univers“ ogłosił go zachodniemu światu.

W ogóle większą część każdego numeru „Duszpasterza“ zajmują kazania, i słusznie, skoro tego wzgląd praktyczny wymagał.

Kazania te jednak nie są najlepszą rzeczą w tem piśmie; brak u nich w ogóle nauki wymowy — retoryki, zato miewają często ciepło religijne i pewną poetyczność. Odznaczają się pod tym względem utwory X. L. Szefera; zwłaszcza jego krótkie przemówienia okolicznościowe bardzo mile się czytają i jak pięknie np. przytoczony tren Kochanowskiego nad grobem młodej dzieweczki. X. Toroński bardzo dobre podaje raz poraz kazanie katechizmowe, przedmiot tak trudny a jednak tak pożyteczny. Szkoda że dogmatycznych kazań prawie niema, za to w drugim roczniku zaczynają się pojawiać homilie. Najwięcej jest kazań moralnych, bo już wszystkie niedzielne i świąteczne są takiemi, nadto misyjne, i osobne o trzeźwości.

Z rozpraw i artykułów, w kierunku ascetycznym cenna i obszerna jest rzecz p. t. „Sposoby kształcenia się plebana“ Ks. Bartoszewskiego. Ciągnie się ten artykuł przez cały rok z górą, a zasługuje w zupełności, aby był wydany jako osobna książeczka. Są to prawidła ascetyki bardzo trafnie stósowane do życia każdego wiejskiego kapłana. Tego samego autora artykuł: „Do czego mamy dążyć“ traktuje barwnie i z prawdziwem namaszczeniem o gorliwości kapłańskiej na parafii. W trzecim p. t. „Myśli z powodu 900-letniej rocznicy Chrztu Rusi“, objawia ks. Bartoszewski sympatyczny patryotyzm względem swego narodu. O uroczystości jubileuszowej Ojca św. jest cały szereg korespondencyj, jak ją w różnych stronach kraju obchodzono, a także pokaźny wykaz składek na potrzeby Głowy Kościoła. Między artykułami dotyczącymi nauki i filozofii odznaczają się prace dr. Hankiewicza jak: „Krytyka i historya Darwinizmu“. Autor, który należy do najlepszych pisarzy filozoficznych w naszym kraju, potrafił ten przedmiot zawiły przedstawić w sposób jasny, popularny a przytem naukowo dokładny, co jest najlepszym dowodem, jak ten przedmiot posiada i jak umie myśl filozoficzną poprowadzić. Te same przymioty objawiają się w jego recenzyach książek X. Morawskiego i P. Mahrburga o celowości, artystyczne zaś wykształcenie jego odsłania się w studyach: „O malarstwie na Rusi“ i „archeologiczno-bibliograficznej wystawie instytutu Stauropigiańskiego“.

Z zakresu skrypturystyki jest wyczerpujący artykuł: „Gwiazdy w księdze Joba“; szkoda tylko, że zapowiedziany jeszcze w pier-

wszym roczniku koniec, dotychczas się nie ukazał. Z dziedziny dogmatyki jest: „Rozprawa historyczno-dogmatyczna o symbolu wiary“ ks. dr. Hruszki. Traktuje ona o Składzie apostolskim, najprzód ze stanowiska ogólnego: o początku, autentyczności, historyi tego symbolu, a następnie rozbiera jego pojedyńcze artykuły. Ze sfery filozoficzno-społecznej zaczął się na wielką skalę i z uwzględnieniem najnowszych źródeł i przeciwników, artykuł p. t. „Chrześcijanizm i wielkie kwestye spółczesne“, ale ten się na nieszczęście urwał. Drugi w tym samym rodzaju p. t.: „Kościół jako podstawa cywilizacyi i postępu“ ks. dr. Bartoszewskiego, bardzo poważnie się zapowiada, lecz należy on właściwie do przyszłego rocznika, gdyż w 1888 tylko w dwóch ostatnich numerach się pojawił. Jest i artykuł z pastoralnej: „O nawiedzaniu chorych i umierających“ odznacza się on nietylko praktycznością ale i wielką naukową erudycyą. Z tego samego zakresu ale wdzięcznem piórem znanego nam już ks. Bartoszewskiego napisane są: „Niektóre skuteczne środki w pracy około zbawienia dusz“.

Dział kazusów bardzo praktyczny i urozmaicony. Czworakiego rodzaju bowiem znachodzimy w nim wypadki: zwyczajne, tj. należące do teologii moralnej, pasterskie, liturgiczne, i „kongrualne“. Kwestye stawiają się w jednym numerze, a odpowiedzi dopiero w następnym. Dobry to sposób, bo daje okazyę do samodzielnego myślenia.

Dobre bywają na koniec, bo krótkie a żywotne korespondencye, tudzież począwszy od II-go rocznika recenzye i nareszcie wiadomości dyecezyalne.

Z wszystkiego widać, że to pismo jest wprawną ręką prowadzone i że prawdziwe oddaje przysługi nauce katolickiej i duchowieństwu ruskiemu. Życzyć mu więc możemy nietylko *ut vivat* ale *ut crescat*, i to się udać powinno, bo w Duchowieństwie ruskiem nie brak, dzięki Bogu, skorych do duchowego pokarmu.

X. M.

Rozmaitości.

Wydawnictwo Herdera.

Wśród panującego dziś zobojętnienia dla wiary, wydawnictwo dzieł treści religijnej jest bardzo pocieszającym objawem. Zasługa zapewne w tem wielka tych, którzy swe zdolności i siły poświęcają mozolnym badaniom, ale nie jedna cenna praca musiałaby pozostać w manuskrypcie ukrytą, gdyby się nie znalazł nakładca. Słuszna więc zasługa na tem polu przypada tym, którzy, nie tyle własny interes jak dobro Kościoła mając na oku, podejmują się wydawnictw często bardzo ryzykownych. Uznanie takie należy się księgarniom Palmy, Pusteta i Herdera, które wyłącznie zajmują się wydawnictwem książek katolickich. Ostatnia ta firma z końcem ubiegłego roku dotkliwą stratę poniosła przez śmierć głównego jej kierownika — Benjamina Herdera. S. p. Benjamin w ciągu swej pięćdziesięcioletniej działalności do niebywałej dotąd świetności podniósł od dawna znaną firmę rodziny Herderów. Gorliwy katolik, a przytem bardzo uprzejmy, znalazł ogólną sympatyę u wszystkich, którzy mieli z nim jakąkolwiek styczność, i każdy z największem zaufaniem wchodził z nim w stosunki. Trudno wyliczyć tysiące dzieł, które jego nakładem wyszły a wszystkie treści katolickiej; wystarczy rzucić okiem na katalog dzieł wydanych w ubiegłym roku, w którym przeszło 130 naliczyliśmy, niektóre kilku i kilkunastotomowe. Śmierć Benjamina Herdera, jakkolwiek bolesna dla rodziny i tych którzy mieli z nim stosunki, prawdopodobnie nie da się odczuć w wydawnictwie, które odziedziczył i objął syn jego Herman. P. Herman zapewnia, iż prowadzić będzie nadal firmę w tym samym kierunku jak i jego ojciec, wydawać będzie dzieła, które mają na względzie chwałę P. Boga i dobro Kościoła.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Allokucya papieska. — Rozruchy w Rzymie. — Reorganizacya zakładów miłosiernych we Włoszech. — Koszta laicyzacyi szkół we Francyi. — „Powszechny Związek wychowawczy i naukowy". — Rozmowa z kardynałem Manningem o położeniu Kościoła w Anglii a we Francyi. — Rozwój Kościoła katolickiego w Afryce.

W allokucyi wygłoszonej 11 lutego na publicznym konsystorzu, dotknął Papież rozpoczętych, ale nie doprowadzonych jeszcze do końca rokowań z Rosyą, w następujących słowach: „Staramy się obecnie wskrzesić ściślejsze stosunki z przepotężnem cesarstwem rosyjskiem i ufamy, że życzeniom naszym w tej mierze odpowie skutek pomyślny. Z szczególną zaś usilnością i równą jej życzliwością myślimy i troszczymy się o sprawę katolicką w Polsce; czego zaś przedewszystkiem domagało się uregulowanie zarządu tamtejszych dyecezyj, kilku już biskupów jest dla nich oznaczonych. Pragnęliśmy bardzo wymienić już dzisiaj ich nazwiska przed najzacniejszem zgromadzeniem waszem, lecz uczynić tego nie możemy, ponieważ ostateczne przeprowadzenie podjętych rokowań wymaga jeszcze nieco czasu". Następnie napiętnował Ojciec św. świeże, a tak smutne rozruchy rzymskie i rozwiódł się obszernie nad „zbrojnym pokojem", pod którego ciężarem jęczy cała Europa.

Wszyscy domagają się pokoju, zapewniają o swej miłości dla niego, a wszyscy jednak zbroją się i zbroić się muszą coraz silniej i przygotowują do wojny coraz liczniejsze wojska. Ilekroć i w jaki sposób Kościół mógł, starał się zawsze o zgodę między mocarstwami; i my — wierni powołaniu naszemu — głos nasz podnosimy, do pokoju zachęcamy, a gdyby nawet wszystkie inne użyte przez nas środki okazały się daremnymi, „nie przestaniemy z pewnością — a w tem „nikt nam już przeszkodzić nie może — uciekać się i o pomoc „błagać Tego, który sam jeden, jako chce, wolą ludzką może kie„rować. Modlić się będziemy gorąco do Boga, aby oddalił wszelką „bojaźń wojny, sprowadził napowrót na ziemię w miłosierdziu swem „porządek i spokój, a tak dozwolił Europie spocząć na silnych, „stałych podwalinach".

Do czego ta ciągła bojaźń, ciągłe gotowanie się do wojny ludy i kraje doprowadza; jak z drugiej strony prawdziwem jest przysłowie: Kradziony chleb nie tuczy, tego nowym dowodem przerażający stan włoskich finansów, którego dzisiaj, po zbyt długo dla omamienia swoich i obcych odgrywanej komedyi, sam już rząd ukryć nie jest w stanie. Zrabowane kościołom i klasztorom sumy, które dawniej były prawdziwym funduszem asekuracyjnym dla wszystkich nędzarzów i biedaków, rozpłynęły się bez śladu; rząd nie umiejący szanować sumień swych poddanych, nie myślał też uszanować grosza od nich ściągniętego, a jako ekonomiczny program wytknął sobie jedynie, wedle energicznych słów posła Toscanellego: podwyższanie podatków i zaciąganie nowych długów. Jak dawniejsze, tak i dzisiejsze ministeryum ukrywało zręcznymi manewrami wciąż rosnący deficyt; dłużej ukrywać się on już nie dał, i nagle kraj dowiedział się z przerażeniem z ust ministra Perazzi, że deficyt ten wynosi 461 milionów lir. Z drugiej strony brak roboty, nędza panująca w Rzymie doprowadziły już do krwawych scen, które bodaj czy nie są tylko — jak sądzą ludzie najpoważniejsi, — pierwszemi oznakami formującej się we Włoszech groźnej, socyalnej burzy. Dotąd Rzym i niewiele miast: Faenza, Ferrara, Medyolan były widownią rozruchów, do których zresztą rząd sam najlepszą dał zachętę i przykład, tolerując a raczej popierając w ostatnich jeszcze tygodniach ohydne antipapieskie demonstracye; lecz czy za temi miastami nie pójdą niebawem

i całe Włochy, zwłaszcza jeźli parlament uchwali długi szereg proponowanych, a w najwyższym stopniu niesprawiedliwych i niepopularnych podatków: od soli, dochodów rocznych, i t. d.? Zresztą rząd wie dobrze, że i to lekarstwo choroby nie zażegna, i dlatego niby chory nie mający nadziei wyzdrowienia, chwyta się trucizny, aby na chwilę przynajmniej wzmocnić wycieńczone siły. Rozpaczliwym tym, nad wyraz niemoralnym środkiem jest r e o r g a n i z a c y a, jak wyraził się król Humbert w mowie tronowej; k r a d z i e ż, jak mniej dyplomatycznie, ale prawdziwiej wyjaśniają nie sami tylko katolicy — funduszów miłosiernych dzieł i zakładów istniejących we Włoszech.

Czy była jakakolwiek, choćby pozorna racya do podjęcia tej r e o r g a n i z a c y i, mającej na celu odebrać duchowieństwu i osobom stojącym dotychczas na czele zakładów pobożnych, a oddać rządowi bez wszelkiej rzeczywistej kontroli zarząd i wyłączny wpływ na należące do zakładów tych fundusze? Nie brakowało naturalnie dobrej woli do wynalezienia takiej racyi. Rządowe gazety, na dany z góry rozkaz ogłosiły światu, że zakłady pobożne najfatalniej są administrowane; opinia poruszyła się; Crispi ulegając wrzekomo powszechnemu żądaniu, wyznaczył osobną komisyę, która całą sprawę miała bliżej zbadać i odpowiednie wnioski poczynić. Komedya sprytnie była z góry ułożoną, cóż kiedy i tym razem — opowiada ultraliberalny *Popolo Romano* — „pokazało się, że my Włosi je„steśmy zawsze gorsi lub lepsi, niż się na zewnątrz wydaje i oszczer„cze języki w nas wmawiają. Komisya — sprzeniewierzając się „roli, którą jej wyznaczono — przyznała, że ten lub ów szczegół „pozostawia nieco do życzenia; ale zarazem stwierdziła bardzo sil„nie, że wszystkie oskarżenia o marnotrawienie funduszów i zby„tnią hojność w rubryce „kosztów zarządu“, nie tylko na prawdzie, „ale nawet na c i e n i u p r a w d y się nie opierają. Przekonano się, „że największa część pobożnych naszych fundacyj, rozporządzają„cych zwłaszcza znaczniejszemi sumami, poddaną jest bardzo su„miennemu i troskliwemu zarządowi, o wiele lepszemu, niż sprawy „gminne lub prowincyonalne“. Trudno o ostrzejszą, a mniej o stronniczość podejrzaną krytykę złodziejskiego tego projektu i niecnej komedyi, którą upozorować go chciano; ale rządowi włoskiemu potrzeba koniecznie pieniędzy, a jeśli rzeczy pójdą dalej tym samym

co dotychczas torem, to kto wie, czy niezadługo, nie chcąc cofnąć się ze stanowiska zajętego przez siebie w potrójnem przymierzu, nie zechce chwycić się względem Kościoła radykalniejszych jeszcze, dotychczas tylko przez krwawe rewolucye i komuny, używanych środków!?

Rewolucyjne, antyklerykalne rządy, mniejsza o to: Crispiego czy Floqueta, drogo w ogóle kosztują biedną ludność, którą mają uszczęśliwiać. Wedle ścisłych obrachowań podanych przez *Journal des Débats*, Francya przed zaprowadzeniem laicyzacyi szkół ludowych płaciła na nie rocznie 75 milionów franków, obecnie płaci 182 milionów, a w niedalekiej przyszłości, gdy uchwalone już obecnie prawa wejdą w całej pełni w wykonanie, płacić będzie 285 milionów. W obec tych cyfr dość oryginalnie, ale zarazem okazując całą zapalczywość przed niczem nie cofającego się sekciarstwa, brzmią słowa wypowiedziane w parlamencie przez ministra oświaty Lockroy: „Laicyzacya jest wielkim owym czynem, z którego słusznie chełpi się stronnictwo republikańskie"! Prawda, że bezwzględniej jeszcze brzmi oświadczenie Floqueta, które samo jedno wystarczałoby do przekonania się, czego już nie katolicy tylko, ale ludzie w Boga wierzący po świeżo upadłym rządzie francuskim mogli się spodziewać; same już tryumfy Boulangera i wsparcie udzielone mu przez konserwatystów dostatecznie wyjaśnia: „Celem podjętej przez „nas laicyzacyi, mówił Floquet bez ogródek, jest uwolnienie z kaj- „dan ducha ludzkiego. Wolno wam się śmiać, ale sami się prze- „konacie, iż pokolenia w wolności wychowane wypędzą po kilku „latach z tego zgromadzenia przedstawicieli starego porządku rze- „czy . . Bezwątpienia, znaczne wydaliśmy sumy, ale wydaliśmy je „dla dopięcia wielkich, świętych celów, bo chodziło nam o uwol- „nienie sumień, o wychowanie dobrych obywatelów".

Barbarzyńskim tym słowom i w parze z niemi idącym czynom przeciwstawiają katolicy francuzcy, jeśli nie równą na każdem polu, to w każdym razie na polu szkolnictwa, podziwienia godną energię i ofiarność. *Powszechny związek wychowawczy i naukowy*, założony dla bronienia szkół katolickich, ogłosił jako odpowiedź na mowy Floqueta i Lockroy'a, wspaniałą odezwę, podpisaną przez prezesa senatora Chesnelonga, jednego z wiceprezesów, posła Kellera i sekretarza Remonta. Z odezwy tej najlepiej poznać można,

w jakiem stadyum znajduje się dzisiaj we Francyi walka o szkoły, — o przyszłość:

„Obowiązki przypadające w udziale *Powszechnemu związkowi wychowawczemu i naukowemu*, stają się coraz większemi i trudniejszemi do spełnienia od chwili, w której Rzeczpospolita wypowiedziała wojnę chrześcijańskiemu wychowaniu, a podatków płynących od całego narodu używać zaczęła na kształcenie ateizmem owianego pokolenia.

„Izby uchwaliły cały szereg praw mających na celu oddać szkoły publiczne w tyrańskie ręce państwa, a stawiających niezliczone przeszkody zakładaniu i utrzymywaniu szkół wolnych. Ogłosiliśmy natychmiast W y j a ś n i e n i a tych praw, w których przedstawiliśmy dokładnie ich znaczenie i zakres; wskazaliśmy środki odpowiedne do obrony. Do W y j a ś n i e n i a tego dołączyliśmy *Podręcznik dla obywatelskich stowarzyszeń*, tudzież *Praktyczne wskazówki dla zakładających szkoły wolne.* Nasze *Czasopismo* ogłasza regularnie każdego miesiąca wszystkie nowo zaszłe wypadki i zdarzenia, mogące obchodzić interesujących się kwestyą chrześcijańskiego wychowania.

„Laicyzacye mnożyły się coraz bardziej, dotykając rok rocznie z początku 500, później 600 i aż do 800 szkół zostających pod kierownictwem zakonników i zakonnic. Obecnie liczba szkół zlaicyzowanych dochodzi do 7000. *Czasopismo* nasze donosi o każdym poszczególe wypadku, aby założyciele i dawniejsi dobroczyńcy mogli zażądać zwrotu wszystkich przedmiotów przeznaczonych wyłącznie dla szkół chrześcijańskich.

„Katolicy, pragnąc sparaliżować systematyczne to prześladowanie, założyli 6000 szkół wolnych. Połowa, a więc około 3000 szkół otrzymały wsparcie od *Związku wychowawczego;* na wsparcie to użyto do chwili obecnej 291.936 fr. Niemal wszystkie szkoły zażądały rozlicznych wyjaśnień od naszych adwokatów, którzy zebrani w stale, nawet w czasie wakacyjnym funkcyonujący komitet, udzielili żądanej rady w przeszło 4000 przypadkach. Nadto sekretaryat nasz rozesłał również około 4000 piśmiennych odpowiedzi, ułożonych wedle informacyj zasięgniętych u komitetu adwokackiego.

„Ze względu na usługi oddane chrześcijańskiemu wychowaniu przez nasz związek liczba członków jego wciąż wzrasta, tak że

w przeciągu lat dziewięciu doszła od 225 do 3032. Lecz na tem nie dosyć; każdy katolik, każdy szczery zwolennik wolności sumienia powinien wstąpić w nasze szeregi! Sumy, zebrane dotychczas z dziesięciofrankowych składek od każdego członka, absolutnie nie wystarczają do udzielenia odpowiedniej pieniężnej pomocy biednym szkołom lub zaopatrzenia je w niezbędne przyrządy szkolne. Obecnie istnieje 12,000 szkół wolnych; w najbliższym czasie trzeba będzie koniecznie założyć jeszcze przynajmniej 10,000 nowych szkół w miejsce publicznych szkół zakonnych, z których rząd z coraz bardziej rosnącym pośpiechem wypędza zakonników i zakonnice. Skromny zasiłek pieniężny, użyczony przez nas szkołom wolnym w r. 1888, a na który obróciliśmy największą część całorocznych dochodów, dochodzi zaledwie do 50,000 fr.; gdy chcąc zaradzić rzeczywistym potrzebom, zebraćby należało co najmniej dziesięćkroć większą kwotę.. "

Czy kwota taka da się zebrać? Nie wątpimy o tem, bo ufamy w chrześcijańską ofiarność katolików francuzkich, odpowiada odezwa *Związku*, a że słowa te nie są czczym frazesem, tego dowodzą jak cyfry złożonych już jałmużn w odezwie podane, tak bardziej jeszcze sprawozdania rozlicznych pobożnych i miłosiernych stowarzyszeń, które najlepszem są świadectwem, że Francya na polu chrześcijańskiego miłosierdzia żadnemu dotąd innemu narodowi nie ustąpiła tradycyjnego pierwszeństwa. Tak np. niezmiernie ważne, cały niemal świat działalnością swą obejmujące *Stowarzyszenie rozkrzewienia wiary* zasila się głównie jałmużnami francuzkiemi; wedle ostatniego sprawozdania Stowarzyszenie to zebrało w roku 1887 ogólną sumę 6,462,276 fr, a z sumy tej przypada na Francyę 4,073,250 fr. Świeżo znowu zdał dziennik *L'Univers* sprawozdanie z ogłoszonej przez siebie w r. 1880 a po dziś dzień zbieranej składki na wypędzonych z Francyi zakonników. W ostatnim r. 1888, składka ta przyniosła 114,667 fr.; przez cały zaś czas swego trwania 1,110,879 fr. Wymowne to i pocieszające cyfry, niby jasny punkt w posępnych dziejach dzisiejszej Francyi.

Pewien katolik i dziennikarz francuski miał niedawno temu długą rozmowę z kardynałem Manningiem o obecnem położeniu Kościoła we Francyi, a rozmowa ta, podobno bardzo wiernie w gazetach ogłoszona, ciekawe rzuca światło równie na obecne prześla-

dowanie katolików francuzkich, jak i na nowe zapatrywania i drogi, na które, kto wie, czy katolicy w niedalekiej przyszłości nie będą musieli wstąpić już nie tylko jak dotąd w innowierczych, ale i w niejednym z nazwiska jeszcze katolickim kraju.

„Czyż to nie dziwną i anormalną rzeczą, mówił kardynał, iż tak stosunkowo drobna liczba wolnomyślicielów dyktuje prawa całemu krajowi liczącemu około 30 milionów ludzi przyznających się do nazwy katolików? Paryż rozkazuje Francyi, a kraj do tej tyranii się przyzwyczaił. Zanim ktoś palcem odważy się ruszyć, czeka wyższego rozkazu... Rewolucya podkopała do gruntu we Francyi wszelką prywatną inicyatywę. Najbardziej ze wszystkiego brakuje wam wolności, zwłaszcza wolności stowarzyszeń; zamiast wolności macie centralizacyę, a centralizacya, to śmierć dla narodu... Anglicy szanują wolność i prywatną inicyatywę, i dlatego siłą rzeczy doszli i dojść musieli do tolerancyi dla Kościoła katolickiego.

„Czy wielu katolików zamieszkuje dziś w Londynie? zapytał się korespondent.

„Dwakroćstotysięcy, odparł kardynał; ludzie to ubodzy, ale poczciwi, po większej części robotnicy irlandcy. A zauważcie Panowie, że nie uważają nas tutaj za Parjasów, jak to miejsce ma we Francyi. Wszyscy bez wyjątku rachują się z nami jako z prawdziwą siłą społeczną, jako z potęgą przyczyniającą się do utrzymania porządku i spokoju. Katolicyzm, biorąc inicyatywę w wielu kwestyach, okazując się zawsze i wszędzie pełnym życia, dał się poznać jako jedna z tych instytucyj, które Anglicy zwykli nazywać c z c i g o d n e m i, i które rzeczywiście czcią otaczają.

„Patrzcie np. Panowie! W ostatnich tygodniach przyjechał do mnie z Paryża proboszcz kościoła św. Magdaleny *Le Rebours* i przez cały czas pobytu w Londynie chodził w księżej swej sutannie. Nikt a nikt ani jednem słowem mu nie ubliżył; mówił mi, że nadziwić się nie może uprzejmości i względom, które mu wszyscy okazują. Siostry miłosierdzia chodzą po ulicach w zakonnych swych habitach, z białymi welonami. Urzędnicy kolejowi, żeby jeden przykład wymienić, okazują szczególny szacunek dla poczciwych Sióstr. W czasie podróży koleją żelazną umieszczają je, jak mogą, najwygodniej i raz po raz przychodzą się pytać, czy im czego nie brakuje, czy nie postarać im się o co do zjedzenia lub wypicia“.

„A rząd, czy również szacunek ten podziela?“

„Bezwątpienia! zmiany w ministeryum żadnego w tym względzie wpływu nie wywierają. Torysi i wigowie nie mają na tym punkcie dwóch odmiennych zdań. W Londynie księża nie podlegają ostracyzmowi. Dajmy na to, że który z mych księży udaje się w jakim interesie do ministeryum oświaty. Może to być sobie ksiądz najmniej znaczący; najmniej, że się tak wyrażę, zwracający na siebie uwagę; mniejsza o to! W ministeryum przyjmą go z pewnością grzecznie, wysłuchają jego żądań i uczynią im zadość w miarę możności.

„W Anglii chciano przez pewien czas zaprowadzić coś podobnego do szkół zwanych „neutralnemi“; prawo z 1870 nakazało zakładanie szkół nie wyznaniowych, do których mogliby uczęszczać wspólnie katolicy i protestanci, nie słysząc w nich o żadnej pozytywnej religii. Ale religijne uczucie ożywiające lud angielski nie dozwoliło przemienić w rzeczywistość a przynajmniej przemienić w całej pełni uchwalonego prawa; aby temu uczuciu zadośćuczynić, musiano wprowadzić i do tych szkół czytanie Pisma świętego. Prawda, że i przed tą zmianą, szkoły te nie były wcale „neutralnemi“ w tem znaczeniu, które wy słowu temu nadajecie; bo mówiono w nich o Bogu. We Francyi schodząc ze stopnia na stopień zeszliście tak nisko, że obecnie niżej stoicie od pogan, którzy przecież w Boga wierzyli. U was ateusz zasiąść może spokojnie na ławce szkolnej obok katolika, pewien że nie posłyszy ani słowa, zasadom swym przeciwnego. Przyznać wam jednak muszę, że w kwestyi szkolnej niespokojnem okiem patrzymy w przyszłość. Nie możemy liczyć na wodzów stronnictw parlamentarnych, bo wodzowie ci to niewolnicy; z obawy utracenia jednego żołnierza gotowi są na najsmutniejsze ustępstwa, polityce wszystko poświęcają“.

„A cóż sądzisz Eminencyo, o budżecie wyznań? zapytał korespondent, pragnąc dowiedzieć się zdania kardynała o trudnej tej kwestyi, w której najpoważniejsi i najświatlejsi katolicy nie mogą się zgodzić na jedno.

„Nie pytaj mię pan o to“, zawołał żywo kardynał Manning, a wymawiając te słowa utkwił we mnie płomieniejące swe oczy i wyciągnął obie ręce, jakby pragnął oddalić pytanie, na które

obawiał się jasno i wyraźnie odpowiedzieć. Po chwili jednak odpowiedział:

„Miałem sposobność gruntownie roztrząsnąć tę kwestyę z arcybiskupem Darboy, a w czasie soboru powtórzyłem mu kilkakrotnie swe przekonanie. Zdaniem mojem, Kościół we Francyi nie odzyska zupełnej wolności, dopóki istnieć będzie rządowy budżet wyznań. Komu płacą żołd, ten traci na uroku. Prawda, że wespół z wolnością przyszłoby ubóstwo, ale zarazem przyszłaby cześć publiczna, godność, siła. Duchowieństwo nie ma za zadanie być narzędziem panowania, podporą dynastyi: jest ono przedewszystkiem siłą społeczną. Na zarzutach, na trudnościach nie braknie; stąd je słyszę, dziś przewiduję. Powiedziano mi już: „Wiele parafii nie będzie w stanie utrzymać swych księży". Łatwe na to lekarstwo: niech księża podzieliwszy całą dyecezyę na pewne okręgi, żyją wspólnie, a w niedzielę wyjeżdżają ze Mszą tam, gdzie żyją jeszcze chrześcijanie, i do siebie ich wzywają: w ten sposób z pewnością wyżyć będą mogli. Jeżeli zdobywanie dusz leżeć będzie w interesie samychże księży, przyczyni się to do pomnożenia ich gorliwości. Trudniejsza sprawa z seminaryami. Co się nas tyczy, nie mamy subwencyonowanych przez rząd seminaryów, a jednak księży nam nie brak. Trzeba się będzie we Francyi zdecydować na to, na co się już zdecydowano w Irlandyi, w Ameryce, w Anglii; biedny lud katolicki nie opuści swych księży i nie da im z głodu umrzeć... Wtedy i rząd inneby musiał względem duchowieństwa zająć stanowisko, bo nie trzeba zapominać, że rząd nigdy się z tymi nie liczy, których sam opłaca i wie doskonale, że bardzo trudno kłaść swoje warunki i twardo przy nich stać odnośnie do tych, od których się bierze pieniądze. Lud znowu ma ze swojej strony mniej lub bardziej jasną świadomość delikatnej tej pozycyi i niechętnie idzie za księżmi, którzy stając w opozycyi do rządu, znajdują się jak mu się wydaje, w pewnej z sobą samymi niekonsekwencyi".

Taki jest pogląd kardynała Manninga, a bądź co bądź, nadzwyczaj to ciekawe i charakterystyczne uwagi; cały śmiałymi rysami nakreślony program działania na przyszłość dziś dla Francyi, jutro dla któregobądź innego może z mocarstw europejskich. Czy wykonanie tego programu np. we Francyi przyniesćby mogło po-

dobne świetne rezultaty, co w Anglii lub Ameryce? Wielu tak sądzi, ale kto na pewne może dziś przewidzieć. Czyż duchowieństwo bardziej niż nasze od rządu zawisłe, pyta jedna z katolickich gazet, a pytałby prawdopodobnie i kardynał Manning, gdyby opisana poprzednio rozmowa miała miejsce kilka dni później — czyż duchowieństwo takie zdobyłoby się na protest jaki cały episkopat irlandzki, 26 arcybiskupów i biskupów, zaniósł do lorda-majora dublińskiego, przeciw niegodziwemu obchodzeniu się z uwięzionym członkiem parlamentu O. Brienem? Czy arcybiskup z Cashel, T. W. Croke wystąpiłby z taką energią i śmiałością, jak to obecnie uczynił w otwartym liście do biskupa O. Donella, przeciw nielitościwemu, bezwzględnemu wypędzaniu nieszczęśliwych dzierżawców irlandzkich? Być może, bo nie mało mamy przykładów i w najnowszej historyi mężnych biskupów i kapłanów, którzy choć w zupełnie innych znajdowali się okolicznościach, nie dali się odwieść żadnymi względami od wypełniania lub wypowiedzenia tego, co uważali za swój obowiązek; ale trudno też nie przyznać, że łatwiej obowiązek taki spełnić np. angielskim, niż francuskim biskupom. Zawikłana to kwestya, najznakomitsi ludzie, jak przyznał kardynał Manning, różnie się na nią zapatrują; rozwiązać się ona naturalnie nie da wszędzie jednakowo, a tem mniej w tym samym czasie; ale zarazem nie można zaprzeczyć, iż Kościół wyrobić sobie musi i z natury rzeczy już sobie wyrabia inne stanowisko względem rządów wysuwających się coraz bardziej z charakteru chrześcijańskiego, lub nawet wprost go się zapierających, niż je zajmował względem państw katolickich.

Z mało znanej dotąd części świata, z Afryki dochodzą nas pocieszające sprawozdania, świadczące o wolnem, ale stałem szerzeniu się po całej ziemi katolickiej prawdy. Afryka, w której na początku bieżącego wieku zaledwie tu i owdzie rozrzucone były na wybrzeżach rzadkie katolickie osady bez kościołów, bez biskupstw, bez funkcyonującej hierarchii kościelnej; podzieloną jest obecnie na 2 arcybiskupstwa, 12 biskupstw, 17 prefektur apostolskich, 21 apostolskich wikaryatów. Wedle ostatnich obrachowań znajduje się w Afryce północnej 497.030 katolików; w Afryce zachodniej 1,026.950; w Afryce wschodniej i południowej 39.000; na wyspach morza Indyjskiego 296.940; na wyspach oceanu Atlan-

tyckiego 796.000; razem zatem w całej Afryce 2,655.920 katolików; — cyfra bez wątpienia niewielka w porównaniu do całej ludności afrykańskiej, wynoszącej około 206 miljonów; ale pocieszająca, gdy się pomyśli, że w znacznej części jest ona zdobyczą niewielu lat ostatnich.

Ks. Jan Badeni.

Kościół katolicki w Norwegii.

O postępach katolicyzmu w Norwegii i stanowisku, jakie Kościół prawdziwy zaczyna w kraju tym zajmować, świadczą najlepiej ciekawe głosy prasy norwegskiej z ostatnich paru miesięcy, to z przerażeniem wołające o pomoc dla zagrożonego protestantyzmu; to przyznające wprost z nietajonem zniechęceniem: Przeżyliśmy się: protestantyzm dzisiejszy to trup już rozkładający się, który prędzej, później koniecznie trzeba z drogi uprzątnąć... Zdanie to jawnie wyraża wychodzący w Christianii ultra-liberalny, katolikom zresztą bardzo niechętny dziennik *Verdens-Gang* w wielkim, programowym artykule, ogłoszonym w połowie stycznia b. r.:

„Katolicyzm! Spytajmyż raz na seryo, czego chce, co to jest katolicyzm? Dla tych pomiędzy nami, którzy wymawiając to słowo widzą przed sobą coś więcej, niż same tylko czarne, gęste chmury, katolicyzm: to szalona, zdrowym rozumem pojąć się nie dająca wiara w nieomylnego człowieka; wiara w Niepokalane Poczęcie Maryi Panny; wiara nakazująca wzywać pomocy Świętych, spodziewać się za kawałek świecy odpuszczenia grzechów, odprawiać Msze i modlitwy; wiara — co ze wszystkiego najokropniejsze — zakazująca ludziom świeckim czytać Pismo święte.

„Oto wszystko mniej więcej, co słyszymy o dogmatycznej różnicy zachodzącej pomiędzy nami a katolikami; bo o dogmatycznych tylko kwestyach zazwyczaj słyszymy. Ale jeśli kto miał sposobność bliżej się rzeczom przypatrzeć, wnet dostrzeże, że katolicyzm w życiu rzeczywistem, praktycznem odznacza się pewnemi cechami,

któremi, daj Boże! aby i Kościół protestancki mógł kiedyś zajaśnieć, a które wszyscy, równie wierzący jak i nie wierzący, powinnibyśmy się starać naśladować.

„We wszystkich krajach katolickich znajduje się coś, co wszystko inne o sto łokci przewyższa; tem coś, to Kościół. Wejdźmy do najwspanialszego pałacu; spacerujmy pod jego kolumnadą; wstępujmy po marmurowych schodach; wstąpmy do sal, w złocie i jedwabiu tonących; — wszystko to niczem w porównaniu do Kościoła. Co najwięcej, będzie to wspaniała, mieszczańska kamienica, której blask niknie w obec Kościoła powszechnego; będzie to ziemska pompa w obec niebieskich cudów, jak je sobie wystawiano w wiekach średnich w tajemniczem świetle, w niedościgłej dla oka ludzkiego wspaniałości. A Kościół ten wszystko przewyższający przeznaczonym jest dla wszystkich bez wyjątku, od cesarza do żebraka. W pośród wielkich nierówności ziemskich Kościół jeden wywiesił chorągiew równości.

„Podobnie jak Kościół był zawsze wielkiem, powszechnem stowarzyszeniem demokratycznem, w którem nie znaczyło ani prawo dziedziczne, ani ród, ani ziemski urząd, ale w którem najuboższy chłopak dojść mógł do papieskiej stolicy; podobnie jak w czasach największej swej potęgi stworzył pierwszy powszechne prawo moralne, zaprowadził to samo prawo dla wszystkich; podobnie jak przywoływał królów przed swój trybunał, a ubogiemu zapewniał obronę; tak też Kościoły katolickie, to najwspanialsze dzieło umysłu ludzkiego, ucieczką są dla wszystkich.

„Wielki prałat Bossuet zasłynął mowami, skierowanemi bez miłosierdzia do współczesnych sobie magnatów, o równości wszystkich w obec trybunału śmierci. Każdy, kto wstąpi do wielkich katolickich kościołów, wynosi z nich, świadomie lub nieświadomie, to samo uczucie, a choć na razie nie zdaje sobie z niego sprawy, towarzyszy mu ono w codziennem życiu i łagodnem swem dotknięciem działa uśmierzająco, pojednawczo... W Kościołach tych ubodzy czują, że są u siebie; klęczą koło ołtarza w długich modłach zatopieni; klęczą w wspaniałych ławkach... bo to ich dom, tu spokojnie nosić mogą swe łachmany; wiedzą, że mają te same prawa, co najbogatsi, najpotężniejsi.

„A u nas, czyż to nie to samo, czyż ten sam Kościół, ta sama biblia nie jest dla wszystkich? Zapewne, z tą tylko różnicą, że takby u nas być powinno, ale tak nie jest... Jakże biedne, nędzne, te nasze zamknięte kościoły! Czyż znajdując się w nich powie kto, czyż powiedzieć może: Jestem u siebie? Wszak wszyscy znamy smutną tę skargę: „Jestem za biedny, żeby się odpowiednio ubrać i znaleść miejsce w kościele!...

„Nie inaczej rzecz się ma z biblią i pretensyą, że nie mamy nieomylnego Papieża. Wszak rzecz to aż nadto znana, że gdyby kto z nas chciał na seryo uważać biblię, jako dobro wszystkim zarówno wspólne, lub pozwoliłby sobie odrębnego jakiego zdania od swego pastora, nie tylko ogłoszonoby go jako „dyssydenta“, ale nie wolnoby mu nawet było, stosownie do kościelnych naszych zasad, wykładać w szkole arytmetykę. Mówcy na zgromadzeniach ludowych opowiadają z przerażeniem i wystawiają jako najstraszniejszy grzech liberałów głoszone przez nich zdanie, że dyssydent, nie należący do państwowego Kościoła, może być równie dobrym chrześcijaninem, jak pierwszy lepszy luter. A cóż dopiero mówić o nieomylnym Papieżu! Czyż lepiej miasto jednego mieć całe wojsko mikroskopicznych nieomylnych papieżyków; czy nie rozporządzamy może taką armią? A sam Luter nie miałże pewnych dość wyraźnych pretensyj do nieomylności?“

Jeszcze cenniejsze wyznania zawiera, i z wielu względów bardziej jest charakterystyczną odpowiedź na powyższy artykuł, ogłoszona również w styczniu b. r. w *Luthersk Ugeskrift*, urzędowym organie protestanckich pastorów w Chrystianii. Autor odpowiedzi zmuszony oczywistością przyznaje, że pod względem religijnym panuje straszny chaos, ale nie chcąc dotrzeć do źródła smutnego tego zamętu, zwala całą winę na pośrednią przyczynę: mnogość coraz liczniejszych i różniejszych sekt, wyrastających w Norwegii prawdziwie jak grzyby po deszczu. Baczność! woła, nie rozdzielajcie się dalej, nie kłóćcie się między sobą, bo Kościół katolicki czeka tylko, aby — niezgody wasze na własną korzyść obracając — wszystkich was pochłonąć!

Dobrze się trzeba zastanowić, coby nastąpić musiało, gdyby to z sekciarskiego ducha płynące, w nieskończoność ciągnące się rozdzielanie na coraz mniejsze sekty, zabiło u nas ostatecznie Ko-

ściół luterski, jako Kościół narodowy. Wszak jedynie jako Kościół narodowy wypełniać on może posłannictwo przez Pana sobie zlecone, jedynie jako taki kształcić może uczniów Chrystusowych. Jeźli wciąż mnożące się rozdwojenia i tworzenie się coraz nowych sekt uniemożebniłoby Kościołowi ewangelicznemu wypełnienie tego rozkazu Pańskiego, natenczas inny Kościół gotów w każdej chwili zastąpić go w podjęciu się tego dzieła, a Kościołem tym jest Kościół katolicki.

Szczególna jakaś fatalność ciąży zawsze na sektach: wszędzie, chociaż katolicyzmem brzydzą się i nienawidzą go nadewszystko inne, to jednak mimowoli przygotowują mu drogę. Wiadomo, jak świetne zdobycze poczynił Rzym w ostatnich kilku latach w Anglii i w Ameryce, tych prawdziwych fabrykach sekciarstwa. Jaka tego przyczyna? Ta poprostu, że ostatecznie długie a niepożyteczne dysputy, owoc sekciarstwa, męczą ludzi i wrzucają w dusze chrześcijańskie niepewności, wątpliwości. Czują, że potrzeba im jakiejś podpory, powagi tak w tłumaczeniu, jak i w zastósowaniu słowa Bożego; a skoro przekonali się, że wszelką powagę w Kościele ewangelicznym podminowują częścią wewnętrzne spory sekt, częścią wspólny wszystkim brak jasno określonych, niezmiennych zasad wiary; ulegają aż zbyt niestety! łatwo pokusie szukania tych wszystkich dóbr w Kościele katolickim, który właśnie przedstawia im się, jako Kościół w sobie nie rozdzielony, na powadze niezłomnej oparty, i pociąga do siebie duszę, dając im najpewniejszą gwarancyę zbawienia: okazując, że zbudowanym jest na silnych, przedmiotowych fundamentach.

Bujnie wciąż rozkrzewiające się sekciarstwo doprowadza protestantyzm do podobieństwa z słynnym owym polskim sejmem, zgromadzonym na polach Woli, na którem każdy członek miał prawo przez swoje *liberum veto* rozwiązać całe zgromadzenie. Im bardziej Kościoły ewangeliczne obraz ten na sobie odbijają, tem silniej grozi im los owego królestwa: pochłonięcie przez sąsiednie mocarstwo, chytre, potężne, silne bezwzględną jednością.

Wychodzący w Trewirze *Paulinusblatt* zamieścił mowę norwegskiego prefekta apostolskiego Dr. J. B. Fallize; z mowy tej powtórzonej przez *Deutsche evang. Kirchenzeitung* widzimy, że katolicyzm spodziewa się dołączyć niezadługo Norwegię do innych

swoich zdobyczy. Nie sądzimy wprawdzie, aby ziścić się miały zbyt śmiałe nadzieje i cała Norwegia, jak przepowiadał jeden z profesorów uniwersytetu w Christianii, wrócić miała w przeciągu najdalej stu lat do Kościoła katolickiego; z drugiej jednak strony kto wie, czy prefekt katolicki nie ma racyi utrzymując, że w Norwegii przygotowany już grunt dla licznych nawróceń do katolicyzmu. Istotnie, czyż sekty, nieprzebłagani nieprzyjaciele katolicyzmu, nie przygotowują mu bezwiednie gruntu z gorliwością wciąż rosnącą? Katolicy, dzięki podjętym przez siebie miłosiernym dziełom, a zwłaszcza dzięki wybornie uorganizowanemu szpitalowi Sióstr Miłosierdzia w Christianii, choć nie pozyskali dotąd znaczniejszej liczby prozelitów, to pozyskali w szerokich kołach prawdziwą sympatyę. Podobnie i książki wydane przez nich w ostatnich latach w celu rozszerzenia znajomości religii katolickiej jak np. książka p. t. „Nauka Dr. Marcina Lutra o usprawiedliwieniu wedle jego pism oryginalnych“ przez ks. Holfelta Houena, lub „Wiara ojców naszych“ przez kardynała Gibbonsa, w przekładzie Holfelta Houena, zawierają bardzo poważne, uderzające umysł argumenty, które u niejednego łatwo zachwiać mogą wiarę w fundemantalne zasady protestantyzmu, niejednego skierować mogą ku Kościołowi katolickiemu, jako najpoważniejszemu ze względu na wiek i bez zmian od samego początku swego istnienia głoszoną naukę. Katolicyzm nie posuwa się naprzód z krzykiem i hałasem jak „Armia Zbawienia“; nie bębni i nie trąbi jak sekty rozbijające na naszych polach lekkie swe powiewne namioty; katolicyzm postępując spokojnym krokiem, nie rozpoczyna w kraju naszym właściwej budowy, dopóki silnych w nim nie założy fundamentów, ale właśnie dlatego mieć się przed nim musimy na baczności, na baczności tem czujniejszej, ponieważ, jak wykazaliśmy, gdzie sekciarstwo nasienie rzuciło, tam on żniwo zbiera“.

Ostatnie z dawnych praw norwegskich, wymierzonych przeciw Kościołowi katolickiemu zostało zniesione w czerwcu roku zeszłego. Od tego czasu zmieniła się znaczenie postać sejmu, w którym obecnie, po jesiennych wyborach, już nie liberalne, jak poprzednio, ale konserwatywne żywioły przeważają. Dla katolików zmiana ta nie ma zasadniczego znaczonia; wiedzą oni dobrze, że w dzisiejszym stanie rzeczy żaden rząd nie będzie próbował odebrać im raz udzielonych wolności. Należytemu rozwojowi katolickiej

misyi norwegskiej nie stoi dziś na przeszkodzie ani rząd, ani zła wola mieszkańców, ale jedynie i wyłącznie brak misyonarzów, spowodowany znowu zupełnym brakiem materyalnych środków do życia. „Misya nasza, pisze prefekt apostolski Fallize, nie miała nigdy, od swego założenia aż po dziś dzień, zabezpieczonego istnienia na dłużej, jak na trzy miesiące; to główna przyczyna, dla której działalność nasza w tak stosunkowo ciasnych granicach dotąd zamknięta". W obec tego położenia rzeczy tłumaczy się okrzyk jednego z misyonarzów, którym Fallize kończy swe zajmujące, a bądź co bądź pocieszające sprawozdanie: „Ach! czemuż Norwegia nie jest pogańską! Z hojniejszą by nam wtedy spieszono pomocą!"

Druk ukończony dnia 27 lutego 1889 r.